PRZEGLĄD

POWSZECHNY.

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO
Ps. 143.

ROK DWUDZIESTY TRZECI. — TOM XCI.

LIPIEC, SIERPIEŃ, WRZESIEŃ.

1906.

KRAKOW.
DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.
1906

Z NASZYCH SPRAW SPOŁECZNYCH.

KSIĄŻNICE PROWINCYONALNE W GALICYI.

Świat naukowy lwowski, skupiający się koło lwowskiego uniwersytetu, rozwinął w ostatnich dziesięciu latach szczególnie żywą działalność obywatelską, w kierunku rozbudzenia zainteresowania możliwie najszerszych warstw społeczeństwa polskiego dla postępu nauki. W urzeczywistnieniu tego celu zapoznaje je ze zdobyczami wszelkich gałęzi wiedzy ludzkiej, w naukowo-popularnych odczytach i wykładach, wygłaszanych przez siły fachowe (powszechne wykłady uniwersyteckie), i to tak, że działalność jego nie ogranicza się do samego miasta stołecznego, gdzie instytucya ta ma swą siedzibę (Lwów), ale rozpościera swą akcyę wykładową także na prowincyę, ożywiając tą drogą tętno życia umysłowego, tak leniwie i ospale wśród intelligencyi prowincyonalnej bijącego.

Samo jednak rozbudzenie zainteresowania dla nauki i żądzy wiedzy — wykład popularny bowiem więcej dać nie może — nie wystarcza. Gdybyśmy na tem poprzestali, skuteczność akcyi wykładowej jeśli nie chybioną, to przynajmniej zupełnąby nie była. Rozbudzony głód umysłowy potrzebuje zaspokojenia w odpowiedniej strawie duchowej. Tę może dać tylko czytelnictwo, rodzące potrzebę książnic, zaopatrzonych w nadający się do poważnej lektury materyał książkowy.

Pod tym względem, o ile chodzi o miasta stołeczne: Kraków i Lwów, warunki są wcale pomyślne. Każde z nich posiada po

kilka bibliotek, »które bądź to same, bądź razem wzięte, czynią w przeważnej mierze zadość zarówno wymogom naukowym, jako też potrzebom szerszej intelligentniejszej publiczności, poszukującej w nich źródła wiedzy i nauki« (Odezwa Towarzystwa dla popierania nauki polskiej p. t. »W sprawie założenia bibliotek publicznych w ważniejszych miastach prowincyonalnych«). O wiele natomiast gorzej przedstawiają się stosunki na prowincyi, nawet w najprzedniejszych miastach galicyjskich. Zupełny brak publicznych książnic, złożonych z dzieł treści naukowej, dawniej już dawał się dotkliwie odczuwać. Dziś sprawa ta stała się tem bardziej piekącą. Czytelnictwo zmienia się w coraz szerszych warstwach intelligencyi w potrzebę istotną, a sprawa zakładania bibliotek domaga się najszybszego załatwienia.

Obecny smutny stan książnictwa na prowincyi przedstawia trafnie T. P. N. P. w swej odezwie (str. 1—2).

Istnieje wprawdzie kilka bibliotek rozrzuconych po kraju, założonych i utrzymywanych hojnością prywatną, jak Biblioteka hr. Branickich w Suchej, hr. Tarnowskich w Dzikowie, hr. Szembeków w Porębie i inne. Użyteczność ich jednak dla ogółu jest w wysokim stopniu ograniczona. Składają się na to przyczyny dwojakiego rodzaju. Po pierwsze zbiory te obejmują w znacznej części zabytki dawniejszej literatury. Po drugie »znajdują się w miejscowościach mniejszych, zdala od ognisk życia miejskiego, gdzie więc poczet intelligencyi, szukającej umysłowego pokarmu w lekturze poważnej, jest stosunkowo nieznaczny, a przeto też koło osób korzystających z rzeczonych bibliotek bardzo szczupłe« (Odezwa str. 1).

Natomiast w miastach prowincyonalnych, nawet większych, jak Tarnów, Rzeszów, Przemyśl, Tarnopol, Stanisławów, Kołomyja, skupiających stosunkowo znaczny zastęp intelligencyi, żadnych publicznych księgozbiorów o poważniejszym zakroju niema. Istnieją tu tylko przy szkołach średnich lub pewnych wyższych zakładach fachowych, o ile je dane miasto posiada, tak zwane biblioteki profesorskie, w książki naukowe zaopatrzone. Te jednak nie mogą zastąpić bibliotek publicznych. Ze względu na przeznaczenie swe służenia potrzebom zamkniętego koła osób, mianowicie odnośnych

gron profesorskich, przedewszystkiem jednostronne, bo zaopatrywane głównie w dzieła z dziedziny szczególnych gałęzi wiedzy, w odnośnych zakładach naukowych wykładanych, następnie dla szerszej publiczności z łatwo zrozumiałych przyczyn tylko wyjątkowo i trudno dostępne, wreszcie wobec niezwykle szczupłej dotacyi rządowej stosunkowo ubogie. Żadnego już znaczenia dla zaspokojenia poważnych potrzeb umysłowych nie mają istniejące tu i owdzie czytelnie i biblioteki, utrzymywane przez instytucye mające za zadanie rozbudzenie życia towarzyskiego, jak kasyna, resursy i kluby oraz wypożyczalnie książek, w celach zysku przez miejscowe księgarnie urządzane. Przyczyna tego leży również w ich jednostronności i nieraz wątpliwej wartości zasobie książkowym. Ograniczają się one bowiem do utrzymywania czasopism illustrowanych i dzienników politycznych, oraz do nabywania dzieł belletrystycznych, bez wyboru, lichej wartości nieraz, często już przestarzałych.

Potrzebę stworzenia poważnych księgozbiorów prowincyonalnych odczuło i konieczność rychłego jej zadośćuczynienia zrozumiało, tak już rzetelnie nauce polskiej na polu wydawniczem zasłużone, młode, ale materyalnie dość silne i tyle żywą działalność rozwijające Towarzystwo dla popierania nauki polskiej (T. P. N. P.). Z inicyatywy swego założyciela, obecnie wiceprezesa prof. O. Balzera, podjęło ono już w pierwszem czteroleciu swego istnienia akcyę w kierunku zakładania bibliotek publicznych w większych miastach prowincyonalnych Galicyi, rozszerzając przez to zarazem zakres swych zadań w dziedzinie materyalnego poparcia celów naukowych. Urzeczywistnienie myśli zapoczątkowano w połowie grudnia 1903 roku ogłoszeniem memoryału, który wyjaśnia wyczerpująco znaczenie i uzasadnia wszechstronnie potrzebę tworzenia książnic prowincyonalnych, tudzież omawia sposoby przysporzenia środków do zrealizowania tego celu prowadzących, i przedstawia plan całej akcyi w głównych zarysach.

Stało się z pewnością dobrze, że nie kto inny jeno T. P. N. P. sprawę tę w ręce swe ujęło. Możemy z całą ufnością i spokojem o los przedsięwzięcia wyglądać urzeczywistnienia myśli. W za-

rządzie Towarzystwa zasiadają ludzie nauki, rzetelni pracownicy na różnych polach wiedzy, tak humanistycznej jak ścisłej. Dają oni, jedni już osiwiali w tej pracy, inni w pełni sił i w pełnym toku działalności naukowej, dziś już uznani, nieledwie sławni, mający kilkanaście lat pracy owocnej za sobą, wszelką rękojmię, że pod ich kierunkiem i bezpośrednią kontrolą prowadzona akcya odpowie wymaganiom, jakie w granicach możności, księgozbiorom prowincyonalnym o poważnym zakroju, pod względem naukowej wartości stawiać możemy i mamy prawo. Miejmy nadzieję, że przyświecać tu będzie Towarzystwu ta sama szczęśliwa gwiazda, pod którą działalność swoją dotąd rozwijało i pod której znakiem samo powstało, stając »w rażącej sprzeczności z obawami tych, którzy zapoczątkowanej myśli przepowiadali stanowcze niepowodzenie i bez złego niewątpliwie zamiaru, w tej ciągle w naszem społeczeństwie tkwiącej, pożałowania godnej nieufności we własne siły, w dziwnej jakiejś obawie do szukania nowych dróg i środków rozwoju, doradzali jako rzecz najlepszą, zaniechać zamiaru«. (Sprawozdanie T. P. N. P. z r. 1901).

Szczęśliwe powodzenie podjętej przez T. P. N. P. akcyi, zawdzięczać należy rzutnej i energicznej akcyi Wydziału, oraz odczuwanej powszechnie potrzebie, i jeśli urzeczywistnienie myśli samej nie da się jeszcze przeprowadzić, to w każdym razie dobrze jest, iż praca w tym kierunku została już rozpoczęta i że nie będzie potrzeba po kilku dziesiątkach lat dopiero zaczynać od tego, co dziś już można zrobić.

Ujemne następstwa dotychczasowego braku książnic i doniosłość istnienia ich dla życia umysłowego i naukowego większej miejscowości prowincyonalnej, wyłuszcza trafnie odezwa T. P. N. P., której główne myśli tu przedstawimy.

Brak bibliotek publicznych na prowincyi, jest zewnętrzną przyczyną zastoju i zabicia wszelkiej prawie naukowości. Tamuje on samodzielne studya i prace w jakiejkolwiek dziedzinie wiedzy, czyni ją niemożliwą z powodu braku dostatecznego, a niezbędnego materyału książkowego. Brakowi temu, nabywanie książek przez interesowanych, może tylko w bardzo małej cząstce zaradzić. Potrzeba zaopatrzenia się przy pewnych pracach specyalnych w wię-

kszą ilość nieraz kosztownych dzieł, przekracza możność przeciętną funduszów prywatnych. Nie wszystko zresztą da się zakupić, lub pożyczyć z księgozbiorów stołecznych, które dla łatwo zrozumiałych powodów niechętnie na prowincyę książki wysyłają. Taki stan rzeczy piętrzy nieraz nieprzezwyciężone trudności przed pracownikiem naukowym, który większym nakładem czasu i pracy, oraz z wielkim nieraz dla siebie uszczerbkiem materyalnym, zdoła osiągnąć postawiony sobie cel naukowy. Mimo tych wysiłków, naraża się na obniżenie wartości wyników swej pracy, bo nie zdołał oprzeć się na pełnej podstawie źródłowej, lub nie wyczerpał literatury. Stąd nieraz marnują się siły i zdolności niejednego pracownika naukowego. Ludzie o wyższych studyach, jak prawnicy, lekarze, inżynierowie, z których niektórzy wynieśli z ławy uniwersyteckiej zamiłowanie do pracy naukowej, wdrożeni do samoistnych studyów naukowych i w tej dziedzinie z pożytkiem czynni, rzuceni na prowincyę i zetknąwszy się z tak nieprzezwyciężonemi trudnościami, zarzucają pracę naukową z wielką szkodą dla nauki samej.

Brak bibliotek wpływa także ujemnie na potrzeby praktycznego codziennego życia. Wymaga ono bowiem nieraz sięgnięcia do zbiorów praw, wykazów statystycznych, sprawozdań o stanie i rozwoju pewnych instytucyi, lub wogóle do podręczników czy wydawnictw zbiorowych, w celu poinformowania się w kwestyach, mających nieraz wielką doniosłość dla zadań życiowych.

Poza tem brak ten oddziaływa też na obniżenie umysłowości całych szerokich warstw intelligencyi, które w braku poważniejszej strawy umysłowej, zatracają w sobie zrozumienie i interes dla kwestyi naukowych, a wreszcie do książki samej.

Z tych uwag, same przez się nasuwają się wnioski o znaczeniu bibliotek publicznych dla życia umysłowego na prowincyi.

Biblioteka taka stanowić będzie w odnośnej miejscowości, ognisko życia umysłowego, źródło i rozsadnik kultury. Mimo to do niedawna jeszcze z tej potrzeby jasno sobie sprawy nie zdawano. Bo choć nie tylko wiele się mówi, ale nawet robi dla podniesienia i oświecenia niższych warstw, zakładając w tym celu liczne czytelnie i biblioteki ludowe, rzemieślnicze, niedzielne i t. p.,

o dostarczeniu odpowiedniej strawy duchowej dla intelligencyi właściwej na prowincyi, nikt dotąd u nas nie pomyślał. Czytelnie ludowe i rzemieślnicze nie wystarczą, mimo swe pierwszorzędne znaczenie jako czynnik cywilizacyjny w odniesieniu do warstw, dla których są przeznaczone, bo jako wyłącznie do ich potrzeb zastosowane dla intelligencyi żadnego znaczenia nie mają. Konieczną jest więc równoległa działalność w kierunku dostarczenia strawy umysłowej także i owym warstwom intelligentnym.

Powiedziano słusznie, że istnienie biblioteki jest »podstawą szczepienia nauki w n a r o d z i e«. (K. Estreicher, w *Tygodn. Illustr.* r. 1905 nr. 40, str. 743), powiększa szeregi pracowników wiedzy, toruje drogę do samokształcenia. Dodajmy tu jeszcze uboczne i pośrednie korzyści jakie stąd wypływają. Biblioteka taka będzie służyła miejscowym potrzebom umysłowym nie tylko swym własnym substratem książkowym, ale nadto przez swe pośrednictwo ułatwi wypożyczanie książek z bibliotek stołecznych, a umożliwi sprowadzanie ich nawet z bibliotek zagranicznych, oraz korzystanie z druków cennych lub rękopisów, tylko instytucyom publicznym pożyczanych, a osobom prywatnym niedostępnych. — Zyskają na tem z pewnością inne towarzystwa naukowe, mające swą siedzibę w obu miastach stołecznych; ożywione bowiem czytelnictwo wzbudzi i wzmocni słabe dziś zainteresowanie temi instytucyami u publiczności prowincyonalnej. O ile chodzi o wschodnią Galicyę i miasta prowincyonalne w obrębie niej leżące [1], akcya biblioteczna wykazuje nadto znaczenie także i z tego względu, że stworzy poważne ostoje kultury polskiej i stanie w ten sposób na równi z innemi usiłowaniami, tak oświatowej jak ekonomicznej natury, w tym kierunku przedsiębranemi.

Z przedstawionych wyżej niedostatków i potrzeb życia umysłowego na prowincyi, wynika zarazem charakter, jaki T. P. N. P. pragnie bibliotekom nadać, jako też zakres zadań, jakie chce im poruczyć do spełnienia. Mają one czynić zadość »zarówno wymogom naukowym, jako też potrzebom szerszych kół intelligen-

[1] Akcya biblioteczna obejmuje między innemi Tarnopol, Stanisławów i Kołomyję.

cyi«, służyć potrzebom zarówno tych, którzy naukę sami uprawiają i dla jej postępu pracują, jak i tych, którzy z niej bezpośrednio korzystają, a wreszcie licznemu zastępowi intelligencyi, który nie podejmując sam badań samodzielnych, odczuwa jednak potrzebę zapoznania się przynajmniej z ważniejszymi jej wynikami.

O ile zapewne niema nikogo, ktoby nie odczuwał nieodzownej potrzeby stworzenia publicznych książnic w miastach prowincyonalnych, tak z drugiej strony istota i cel tych bibliotek, zakreślone przez T. P. N. P., stały się przedmiotem uwag polemicznych. Mamy tu na myśli dwa artykuły ogłoszone w roku zeszłym (1905) w warszawskiej *Książce*, w krótkich po sobie odstępach czasu. Jeden z nich pióra p. Kazimierza Woźnickiego, kustosza muzeum polskiego w Rapperswylu p. t.: »W obronie książnictwa« (*Książka* 1905, R. V, nr. 9) i drugi p. Maryana Niemierkiewicza p. t.: »Jeszcze w sprawie książnictwa u nas i książnice we Francyi« (tamże nr. 11), który na wywody poprzednika swego się godzi. Pan K. W. występuje przeciw naukowym zadaniom mających się zakładać bibliotek, uważając cel ten, za rzecz niemożliwą do osiągnięcia: »czy od zupełnego braku bibliotek skok niezbyt szybki do naukowych instytucyi?« Pan M. N. przekonany argumentami pierwszego, nazywa całe przedsięwzięcie za niedające się w praktyce przeprowadzić, bo »w teoryi przeholowane«, a więc odmawia inicyatorom zmysłu praktycznego i zarzuca, że obmyślili rzecz całą przy zielonym stoliku, traktując ją z katedry, a nie licząc się z warunkami rzeczywistymi. Wobec tego proponuje p. K. W., że najwłaściwiejby było porzucić myśl zakładania bibliotek w tych rozmiarach, jakie zakreśla projekt T. P. N. P., natomiast rozpocząć akcyę około zakładania bibliotek — czytelń, któreby »na razie« dla intelligencyi miejscowej zastąpiły właściwe biblioteki o poważnym zakroju naukowym. Przeciwnicy zatem występują nie tyle ze względów zasadniczych, ile raczej z praktycznych, przeciw planowi akcyi, uważając go za nie dający się urzeczywistnić ideał. Takie sformułowanie zarzutów dowodzi najwymowniej uznania istotnej wartości przedsięwzięcia w tych ramach, jakie je T. P. N. P. podjęło, a jest tylko wyrazem braku

wiary w możność powodzenia, co zresztą jest u nas zwykłym objawem i skutkiem nieufności we własne siły; powtarzają się one zawsze, ilekroć chodzi o urzeczywistnienie myśli dalej sięgającej. Doświadczyło tego już raz T. P. N. P., zaraz w pierwszej chwili swego powstania [1]. Mimo to, stanęło ono od razu na silnej podstawie materyalnej i rozwinęło owocną działalność, wbrew złowróżbnym przepowiedniom o marnej wegetacyi. Miejmy więc nadzieję, że znalazłszy wbrew przypuszczeniom pesymistów podstawy swego bytu, potrafi zapewnić powodzenie także i mniejszej akcyi, jaką obecnie podjęto.

Prawda, iż rzecz o tych rozmiarach, co akcya biblioteczna wedle planu T. P. N. P., będzie potrzebowała do zupełnego urzeczywistnienia upływu dłuższego przeciągu czasu, lecz tą trudnością nie można się zrażać. Tego rodzaju przedsięwzięcia o większym zakresie, powstają z pracy i usiłowań jednego pokolenia, nieraz aby służyć dopiero następnym. Modyfikacya programu akcyi bibliotecznej po myśli krytyków byłaby chwyceniem się półśrodków, stworzeniem czegoś, co może w bardzo niedostatecznej mierze odpowiedziałoby potrzebom chwili, ale nie mogłoby mieć bytu trwałego. Takie połowiczne załatwienie sprawy opóźniłoby tylko akcyę właściwą, której podjęcie po pewnym przeciągu czasu okazałoby się znowu potrzebnem. Wtedy należałoby znowu zaczynać od tego, co dziś już może być zrobione.

Zresztą T. P. N. P. w myśl zasad wynikających z treści i ducha statutu, a nadających kierunek jego działalności, nie mogłoby podjąć akcyi w sprawie, którąby na sobie właściwego piętna naukowego nie nosiła i nie była przeznaczoną służyć przedewszystkiem celom nauki.

Były dyrektor książnicy Jagiellońskiej, dr. Karol Estreicher, zabierając głos w sprawie założyć się mającej biblioteki powszechnej miejskiej w Krakowie (*Głos Narodu*, rok 1905, nr. 287) wypowiedział zdanie, że biblioteka ta powinna być »czemś wręcz przeciwnem jak dotyczasowe biblioteki, magazynem dzieł wybo-

---

[1] Por. wyżej przytoczone słowa, wyjęte z pierwszego sprawozdania z r. 1901.

rowych, nie tyle naukowych jak raczej literackich«, podkreślając w dalszym ciągu jej doniosłe znaczenie dla oświaty ogółu. Zdanie to bardzo słuszne ze względu na stosunki panujące w Krakowie, z pewnością nie popiera zdania wymienionych poprzednio krytyków, o ile chodzi o książnice prowincyonalne. Można bowiem wykluczyć zadania naukowe przy układaniu planu organizacyi nowej biblioteki tam, gdzie istniejące inne księgozbiory potrzebom nauki w należytej mierze czynią zadość. Nie można jednak zamykać podwoi książnicy przed pracownikami nauki tam, gdzie z powodu stosunków miejscowych, biblioteka T. P. N. P. będzie jedynym publicznym, o poważnym zakroju księgozbiorem. To podwójne zadanie wobec nauki i społeczeństwa, jakie tu księgozbiorom przypadnie w udziale, nie pozwala ograniczać ich działalności do zadań wyłącznie popularyzacyjnych, z wykluczeniem charakteru ściśle naukowego.

Oczywiście biblioteka o charakterze, jaki jej wytknęło T.P.N.P., musi posiadać już w czasie założenia pokaźniejszy zasób książek; dlatego też na pierwszy plan wysunęła się już teraz kwestya gromadzenia książek. W celu stworzenia takiego zawiązku przyszłej książnicy, który wedle przypuszczenia Odezwy T. P. N. P. powinien liczyć przeciętnie do dwudziestu tysięcy dzieł, odniosło się Towarzystwo w gorących słowach do całego społeczeństwa, z wezwaniem o nadsyłanie darów w książkach. »I niema prawie nikogo — oto słowa Odezwy — ktoby nam tu z pomocą pospieszyć nie mógł. Więc najpierw instytucye i władze publiczne, przesyłając nam swe publikacye urzędowe; instytucye i towarzystwa naukowe, udzielając nam wydawnictw przez siebie ogłaszanych; podobnież redakcye czasopism i dzienników, przesyłając nam swoje pisma«. Następnie zwraca się odezwa do księgarzy i wydawców oraz autorów o nadsyłanie książek w ich nakładzie ogłoszonych, wkońcu zaś do całego czytającego ogółu, z tej właśnie strony najwydatniejszego poparcia oczekując.

Ten apel do ofiarności publicznej poddał krytyce p. Niemierkiewicz w powołanym wyżej artykule, wyrażając wątpliwości co do wyników akcyi w ten sposób prowadzonej, po której T.P.N.P. wiele sobie obiecuje, a która mu się wcale dla przedsięwzięcia

donośną nie wydaje. Pomijając milczeniem wymienione na czele w Odezwie kategorye przypuszczalnych ofiarodawców, odsuwa możliwość zbytniego liczenia na ofiarność księgarzy i nakładców: »i od nich trudno wymagać ofiary w książkach wybitnych, zazwyczaj kosztownych i pokupnych (tem lepiej, bo tem łatwiej mogą ponieść wobec powodzenia finansowego ofiarę drobną!), zwłaszcza, że jest tak wiele do rozdawania w Galicyi na przeróżne cele«. Pozostaje tedy tylko szersza publiczność czytająca. Ale właśnie ze względu na materyał tą drogą napływający, wyraża p. Niemierkiewicz obawę, że: »będzie się przedstawiał okazale jedynie pod względem ilości, nie zaś jakości« i to do tego stopnia, że więcej kłopotu przysporzy zabierając miejsce jako balast, aniżeli pożytku. To pesymistyczne zapatrywanie uzasadnia p. Niemierkiewicz tem, że jako księgarz zna czytające społeczeństwo i wie, jak bezwartościowe książki w jego rękach się znajdują. Wobec tego zaznaczyć należy, że stanowisko, z jakiego się p. N. na omawianą sprawę zapatruje, jest zbyt ciasne. Nie uwzględnił on mianowicie, że przez ręce księgarza przechodzą tylko wydawnictwa bieżące, najświeższe. Książki dawniejsze, nieraz bardzo cenne, jakie w rękach osób prywatnych się spotyka, dostają się w ich posiadanie drogą transakcyi poza handlem księgarskim, zakupów lub wymian z firmami antykwarskiemi, nabycia wprost od osób prywatnych lub spadków. Wzajemne bardzo często darowizny między autorami, premie udzielane przez towarzystwa naukowe swym członkom w formie peryodycznych organów fachowych lub innych cennych publikacyi naukowych, stanowią również znaczny i pod względem wartości ważny przyrost bibliotek prywatnych.

Książki w spadku otrzymane nie przedstawiają bardzo często »żadnego interesu dla dzisiejszych posiadaczy i czasem nietknięte, zapomniane, całemi dziesiątkami i setkami lat, walają się po strychach i piwnicach, zdane na pastwę moli i zbutwienia. Wielu »choć chętnie książki kupuje i czyta, nie przywięzuje wagi do zbierania bibliotek prywatnych«. Zresztą nawet ci, »którzy sami tworzą biblioteki prywatne, wydzielają z nich od czasu do czasu pewne niepotrzebne im druki«. Wszystkie te książki albo leżą

bezużytecznie »porzucone w kątach lub skrzyniach, albo też przechodzą w ręce antykwarzów za cenę tak niestosunkowo nizką, że sprzedaż da się tu usprawiedliwić chyba tylko chęcią pozbycia się niepotrzebnego, zawadzającego balastu książkowego«. (Ten i poprzednie ustępy ujęte w cudzysłowy są wyjęte z Odezwy T. P. N. P.).

Dodawać chyba nie potrzeba, że jeśli ktoś darowuje książkę dlatego, że jest dlań osobiście zbędną t. j. względnie bezwartościową, nie przesądza o jej możliwej nieraz wielkiej wartości bezwzględnej To też nierzadkim będzie wypadek, że pozorny »balast książkowy« z punktu widzenia prywatnego, oddany na rzecz bibliotek publicznych, będzie dla nich bardzo cennym nabytkiem. Nawet same przez się niewiele znaczące dla osób prywatnych broszury i pisma ulotne, jeśli w bibliotece publicznej znajdą się w większym komplecie, stanowić tu będą cenny nieraz materyał.

Opierając się na swej znajomości czytelnictwa u nas, wyraża p. N. w dalszym ciągu obawę, aby w skład biblioteki T. P. N. P. nie weszły książki w rodzaju Gawalewicza i Niedźwieckiego i wydaje okrzyk: »takich pustych ziarek siewcą nie zechce być chyba Towarzystwo dla popierania nauki polskiej«. Tu zachodzi już zasadnicze nieporozumienie co do zadań, jakie ma do spełnienia każdy większy księgozbiór w gromadzeniu zabytków rozmaitej wartości wewnętrznej, jako dokumentów historycznych epoki — bez osobnej cenzury. Wszakże używając słów p. Woźnickiego, »nie można dzielić książek na złe ani dobre«, zwłaszcza skoro się nie zakłada popularnych czytelni dla dzieci i początkujących. Żeby tych naszych słów mylnie nie rozumiano, dodajemy, że nie przemawiamy za dopuszczeniem w bibliotekach prowincyonalnych nieograniczonego czytelnictwa wszystkich w odniesieniu do wszystkich książek. Owszem, pewna granica pod tym względem może być utrzymana, jak to się we wszystkich poważnych księgozbiorach praktykuje. Nie należy jej jednak ciągnąć przez proskrybowanie pewnych rodzajów książek, jak chce p. N., ale przez rozciągnięcie nadzoru ze strony zarządu bibliotecznego, ażeby pewne książki nie dostały się w niewłaściwe ręce. Wyrazem myśli, którą tutaj podnieśliśmy, są słowa Odezwy, wzywające do nadsyłania darów

w książkach: »I niema rodzaju książki czy publikacyi, którąby się do tego zbioru nie przydała: czy publikacye zbiorowe, czy encyklopedye, czy słowniki, zbiory praw lub wykazy statystyczne, roczniki pism czasowych czy dzienników, książki ściśle naukowe lub popularne, podręczniki systematyczne lub monografie, utwory belletrystyczne jakiejkolwiek treści, podręczniki szkolne dawniejsze i nowsze, książki dla młodzieży, sprawozdania z działalności rozmaitych instytucyi, broszury jakiejkolwiek treści, nawet pisma ulotne i t. p.«, ogłoszone w jakimkolwiek języku.

Jakkolwiek w pierwszym rzędzie chodzi o założenie przynajmniej jednej biblioteki, to jednak T. P. N. P. przewidując już dziś możność założenia w dalszej przyszłości większej ilości bibliotek, gromadzi dary książkowe w większej ilości egzemplarzy (6—8) tego samego dzieła.

Pan Niemierkiewicz zwracając się bezwzględnie przeciw uciekaniu się do ofiarności publicznej o książki jako bezcelowej, zaleca inne źródła przysporzenia środków na utworzenie księgozbiorów, a to przyjmowanie datków pieniężnych i urządzanie loteryi publicznych, wykładów, koncertów i t. d. na dochód założyć się mających książnic. Na to zgoda z p. N., że te źródła mogą i powinny przynieść wydatną pomoc materyalną. Zrozumienia wydatności tego sposobu przysporzenia funduszów dowiodło T. P. N. P. kołacząc o datki pieniężne tak do członków, jak i do szerszego ogółu, który, choć za Towarzystwem stojący, jednak doniosłość akcyi bibliotecznej rozumie. Ale dlaczego do nich się ograniczać, wykluczając najbogatsze, jak dotychczasowe doświadczenie wykazało, źródło przyrostu książkowego, w najpoważniejszych nawet książnicach stołecznych, choćby najlepiej uposażonych, praktykowanego? System darów książkowych, o ile chodzi o biblioteki prowincyonalne, jest nie tylko wskazany, ale nawet konieczny. Powodem tego szczupłość środków finansowych, jakimi nie tylko T. P. N. P., ale wogóle wszelkie przedsięwzięcia dobra publicznego w stosunku do rozmiarów rzeczywistych potrzeb rozporządzają. Choćby więc wskutek odezwy T. P. N. P. o datki pieniężne, grosz się posypał obfitym strumieniem ze wszystkich

stron, to jeszcze nigdy za dużo go nie będzie. Mimo więc najpomyślniejszego wyniku finansowego przedsięwzięcia, nie do pogardzenia będą dary w naturze (książki), oszczędzające wydatków w pieniądzach.

Poza zasadniczymi argumentami, za akcyą o dary w książkach przemawiają najlepiej wyniki faktyczne. Omówieniu postępu i wyników akcyi tej poświęca T. P. N. P. w corocznem swem sprawozdaniu, począwszy od r. 1903, osobny rozdział. (Sprawozdanie T. P. N. P. za rok 1903 str. 9—13, za r. 1904 str. 11—17 i za r. 1905 str. 14—18, w każdem rozdział trzeci p. t.: »Sprawa zakładania bibliotek publicznych w ważniejszych miastach prowincyonalnych«). Stamtąd też wyjmujemy najważniejsze szczegóły, wykazujące, że usiłowania na tem polu, wbrew zdaniu pesymistów, uwieńczone zostały bardzo pokaźnymi wynikami, jakkolwiek od ogłoszenia Odezwy jeszcze nie minęły trzy lata. Niedługo dały na siebie czekać obfite dary, napływające ze wszystkich stron Polski. Najsłabiej przedstawia się wynik akcyi w Poznańskiem; natomiast zabór rosyjski z Królestwem Polskiem na czele, poza Galicyą samą, najwydatniej poparł akcyę.

Już w chwili oddania pod prasę drukarską sprawozdania z 1903 r. t. j. zaledwie w trzy miesiące po rozpoczęciu akcyi (połowa grudnia 1903), wykazuje T. P. N. P. 2558 tomów książek, nie licząc innych przedmiotów bibliotecznych (atlasów i map, rycin, monet i medali). Po upływie roku ilość darów urosła do cyfry 7607 dzieł w 10.349 tomach. Ostatnie sprawozdanie (za r. 1905) wykazuje w książkach 11.956 dzieł w 17.099 tomach, nie wliczając w to darów złożonych w ostatnich miesiącach roku ubiegłego i początkowych bieżącego, których inwentaryzacyi nie zdołano jeszcze przeprowadzić, a które dopełnią ilość tomów do cyfry mniej więcej 20.000. W atlasach i mapach widzimy 49 numerów, w nutach 11 nrów, w rękopisach 9 nrów, w rycinach i sztychach 68 nrów, w monetach i medalach 218 nrów, wreszcie w różnych przedmiotach muzealnych 5 pozycyi. Nadto otrzymuje T. P. N. P. na cel bibliotek od trzech lat przeszło 50 czasopism i dzienników, niektóre w większej ilości egzemplarzy. Jak z zestawienia powyższego wynika, zapas książek wzrasta statecznie z szybkością,

która pozwala rokować nadzieje, że w niedalekiej przyszłości będzie ilościowo dostatecznym, ażeby zeń utworzyć zawiązek pierwszej biblioteki prowincyonalnej. Dziś już bowiem odliczając około 20% na dublety i tryplety, rozporządza T. P. N. P. zapasem mniej więcej 10.000 dzieł w 14.000 tomów. Jest to cyfra, do jakiej nie doprowadziło nigdy przedtem żadne z dawniejszych nieudałych usiłowań około stworzenia księgozbiorów prowincyonalnych w Galicyi.

Ale nie tylko pod względem ilościowym wynik wypadł pomyślnie; także sama wewnętrzna wartość zebranego materyału przedstawia się ze wszechmiar dodatnio.

I żeby zbytnio w szczegóły się nie wdawać, a jednak rozprószyć wątpliwości niewiernych, powtórzymy za sprawozdaniami Towarzystwa ważniejsze daty, ofiarności społeczeństwa na rzecz bibliotek dotyczące.

Wymieniamy na pierwszem miejscu obfity zbiór czasopism literackich i naukowych, naszych i obcych (przeważnie czeskich, rosyjskich i niemieckich), obejmujący roczniki z ostatnich kilkudziesięciu lat, a liczący około 600 tomów, ofiarowany przez lwowskie Towarzystwo historyczne. Cenny nabytek stanowią roczniki czasopism naukowych, składane z przesyłanych przez redakcye bezpłatnie egzemplarzy numerów bieżących. Wspominamy tu o najważniejszych i najcelniejszych: *Biblioteka Warszawska, Krytyka, Przewodnik naukowy i literacki, Przegląd prawa i administracyi, Przegląd historyczny, Przegląd filozoficzny, Świat słowiański, Wisła, Światowid, Wiadomości numizmatyczno-archeologiczne, Prace matematyczno-fizyczne, Pamiętnik fizyograficzny, Pamiętnik Towarzystwa lekarskiego warszawskiego, Krytyka lekarska, Teka konserwatorów* (Lwów) i wiele innych, w liczbie dochodzącej dziś do sześćdziesięciu. Dalej zasługują na wyróżnienie dary od wydawców i nakładców, którzy ofiarowali cenne, swym kosztem podjęte wydawnictwa. Kto zna nasz ruch wydawniczy, ten potrafi ocenić już wedle samych nazwisk wartość użyczonych kollekcyi. A więc Kasa im. Mianowskiego złożyła około tysiąca tomów, Biblioteka ordynacyi hr. Krasińskich, Biblioteka hr. Dzieduszyckich »Poturzycka« obecnie we Lwowie, każda z nich po kilkaset tomów. Biblioteka Kórnicka kilkadziesiąt tomów swych cennych publikacyi, między

nimi znane przedruki homograficzne. Zarząd Kółek rolniczych i Zjednoczenie towarzystw polskiej młodzieży za granicą w Zuruchu, każde około 150 tomów. Księgarnie lwowskie, a więc Polska (Połonieckiego) około 500 tomów, Gubrynowicza i Schmidta półtrzeciej setki; warszawskie jak: Wendego przeszło półtorej setki, Laskauera około stu, oraz cały szereg innych tamtejszych firm nakładowych, w sprawozdaniu nie wyszczególnionych, a tylko ogólnie wspomnianych.

Nadto księgarnie Gebethnera i Wolffa w Krakowie około 50 tomów, Idzikowskiego w Kijowie i T. Westa w Brodach; ta ostatnia około dwustu dzieł. Wreszcie drukarnie Wł. Łozińskiego we Lwowie (200 tomów) i Wacława Anczyca w Krakowie (również kilkaset tomów). Ze względu na ilość zasługują na wymienienie: dar Izby handlowej lwowskiej około tysiąca druków specyalnej treści do spraw handlu i przemysłu się odnoszących, dar ks. M. Czermińskiego, półtora tysiąca książek przeważnie religijnej treści, oraz dary pp. Kopernickiego, redaktora *Czasu,* mecenasa Lewandowskiego z Czortkowa, p. Zdanowicza z Warszawy, Bolesława Orzechowicza z Kalnikowej obejmujące każdy po kilkaset tomów. Dodawszy do tego owoce ofiarności ze strony różnych osób prywatnych, których dary przeważnie cenne, przedstawiają wielką niekiedy nawet wartość, a o których przekonać się można z prowadzonych przez T. P. N. P. inwentarzy, mamy całokształt tego, czego w kierunku gromadzenia zasobu książek T. P. N. P. zdołało już dokonać. »Prócz obfitego działu belletrystyki, zarówno dawniejszej jak i najnowszej, prócz bogatego zbioru klasyków polskich i obcych, — mówi sprawozdanie z 1904 roku — zgromadziliśmy cenne wydawnictwa z zakresu najrozmaitszych gałęzi wiedzy ludzkiej, pokaźny zbiór czasopism literackich i naukowych, nieraz bardzo rzadkich, nie brak nawet pewnych osobliwych działów literatury np. obfitszej kollekcyi literatury emigracyjnej«. W uznaniu doniosłości przedsięwzięcia, znalazły się osoby i instytucye, które w celu poparcia akcyi T. P. N. P. podjęły się pośrednictwa w zbieraniu darów książkowych [1], np. w Krakowie

[1] Wymienia ich sprawozdanie T. P. N. P. z r. 1903 str. 12 i z r. 1904 str. 14.

(Dyrekcya Kasy Oszczędności), lub w Warszawie (kilka osób prywatnych). Wydatność w tym kierunku ofiarowanej pomocy objawia się w całej pełni, gdy zważymy, ilu to ofiarodawców, mogłaby powstrzymać przed darowaniem Towarzystwu książek obawa kłopotliwej i kosztownej przesyłki.

Jakkolwiek materyał książkowy zebrany drogą darów przedstawia pod wielu względami całość zaokrągloną, bo wedle przewidywań Odezwy »dary jednych zaopatrzyły zbiór w utwory nowsze i najnowsze«, w darach zaś innych znalazły się »cenne uzupełnienia literatury dawniejszej«, to jednak muszą tu być jeszcze pewne braki, z których dobrze sobie należy zdać sprawę. Uzupełnienie tych braków jest zadaniem do podjęcia. Od tego więc co już zrobiono przechodzimy do tego, co jeszcze w przyszłości zrobić należy. Najpierw nie u wszystkich, u których apel T. P. N. P. powinien się odbić echem i wzbudzić czynną ofiarność, odniósł on pożądany skutek. Brakuje na liście ofiarodawców cały szereg instytucyi i towarzystw naukowych, wydających organa fachowe, przedstawiające wielką wartość naukową; one powinny były w pierwszym rzędzie pospieszyć z ofiarną pomocą. Tylko więc niektóre z nich ten obowiązek obywatelski spełniły. To samo odnosi się do nielicznej jak dotychczas listy firm nakładowych i wydawniczych.

Ten stan rzeczy wskazuje, że T. P. N. P. powinno podjąć jeszcze inne kroki, by wyczerpać wszelkie środki pobudzania ofiarności publicznej. O ile nie będzie można uzyskać czegoś drogą dobrowolnej ofiary, mogłoby T. P. N. P. wejść w stosunek wzajemnej wymiany publikacyi, coby umożliwiło wzbogacenie księgozbioru prowincyonalnego nie tylko polskiemi, ale nawet obcemi dziełami. Przykład Akademii krakowskiej wskazuje, że tą drogą można zadzierżgnąć gęstą sieć stosunków, obejmujących obie półkule, bo instytucye zagraniczne chętnie do nawiązania takich węzłów się garną. Publikacye zresztą T. P. N. P. idąc w świat w najodleglejsze zakątki Europy, spełnią podwójną rolę; jedną na zewnątrz, składając świadectwo naszej pracy około postępu nauki, drugą wobec naszych braci, przebywających na obczyźnie. Niejeden tom publikacyi T. P. N. P. »może gdzieś za morzami, po-

mieszczony w bibliotece publicznej, pokrzepi jakieś serce stęsknione; może go tam wygląda już niecierpliwie jakiś Polak, koleją losów rzucony w odległe kraje, pozbawiony polskich książek, rodzimej strawy umysłowej« (słowa St. Smolki).

Jakkolwiek w zasadzie T. P. N. P. wszystkie zgromadzone książki przeznacza dla bibliotek prowincyonalnych, jednak gdyby w szeregu darów nadsyłanych znalazły się rzadkości bibliograficzne, których nie posiadają nawet nasze wielkie biblioteki stołeczne, zamierza je wydzielić i przekazać tym ostatnim np. Bibl. im. Ossolińskich we Lwowie, o ile temu życzenie ofiarodawcy nie stanie na przeszkodzie. Myśl bardzo słuszna i uznajemy w zupełności racye, dla których T. P. N. P. zamierza tak postąpić; niech jednak i z tych książek w myśl intencyi ofiarodawców, skorzystają biblioteki prowincyonalne: książki te powinny być wydane tylko na zasadzie wymiany za dublety, które w tych księgozbiorach w pokaźnej znajdują się liczbie i są pozbywane przez te instytucye drogą zamiany z antykwaryuszami.

W akcyi o zbieranie książek drogą ofiarności publicznej, ważną odgrywają rolę dary autorskie, na razie jeszcze nieliczne. Tu jedynym sposobem byłoby przypomnieć się każdemu autorowi za świeża, tuż po ukazaniu się odnośnej publikacyi w handlu księgarskim, osobnemi prośbami opierając się na bieżących przewodnikach bibliograficznych.

Mimo wszystkie zalety systemu jednania darów, dla których nie podzielamy zdania pesymistów, jakoby tą drogą zebrany materyał przedstawiał kollekcyę samych bezwartościowych wybiórków, zdajemy sobie należycie sprawę z tego, że na samych darach poprzestać nie można, ale trzeba będzie przejść także do zakupywania książek. Jest to konieczne ze względu na potrzebę wyrównania niejednolitości co do poszczególnych działów literatury naukowej, że wspomnę o zjawisku najczęściej spotykanem: przewaga dzieł humanistycznych nad przyrodniczo-matematycznemi. W tej ostatniej dziedzinie najsilniej wystąpi potrzeba uzupełnienia braków, ze względu na bardzo szybki rozwój tych gałęzi wiedzy ludzkiej w ostatnich dziesiątkach lat, z powodu czego drogą darów zebrane książki, nie mogą dawać obrazu najnowszych wyników ba-

dań na tem polu. T. P. N. P. więc musi się liczyć z tem, że przed otwarciem pierwszej biblioteki, gdy będzie dla niej wydzielało zasób książek, stanie niechybnie przed koniecznością uzupełnienia zbioru zakupnem dzieł. Odezwa przewiduje potrzebę zakupna dzieł i przeznaczenia na ten cel stałej rocznej dotacyi, ale dopiero od chwili powstania księgozbioru (str. 5). Jednorazowy prawdopodobnie dość wielki wydatek, możeby zbyt zaciężył na funduszach T. P. N. P. Wobec tego byłoby wskazanem utworzenie już teraz funduszu książkowego, zasilanego corocznym, choćby najskromniejszym wkładem. Zyskany tą drogą kapitał nie tylko dawałby przyrost przez oprocentowanie, ale umożliwiłby korzystanie ze sposobności nabywania bibliotek prywatnych, tak często się nadarzającej. Tą drogą można przysporzyć przyszłym książnicom prowincyonalnym, nieraz nie wielkim stosunkowo kosztem, rzeczy bardzo cenne, kollekcye pięknie skompletowane, gromadzone nieraz trudem całego życia specyalisty lub amatora i wielkim materyalnym nakładem. Dzisiaj te księgozbiory idą za bezcen między antykwarzy naszych i obcych na spekulacyę, co gorsza uciekają za granicę i rozpraszają się po świecie. Omówioną przez nas kwestyę poruszył dr. Eug. Barwiński w kronice *Kwartalnika historycznego* r. 1905, t. XIX, str. 187, ubolewając nad smutnym losem biblioteki Konopków w Mogilanach pod Krakowem. W ten sposób rozwijając działalność, przeszłoby T. P. N. P. z roli biernej w czynną, zyskując możność wpływania na dobór książek gromadzonych. Ma się rozumieć, że tak prowadzona akcya wymagałaby utworzenia osobnej komisyi bibliotecznej, której zadaniem byłoby kierowanie zakupnem książek, a w szczególności zasięganie wiadomości, o nadarzającej się sposobności zakupu, układanie się z właścicielami i stanowienie w jakim kierunku zapas książkowy ma być uzupełniony. Dla możności wywiązania się z tego ostatniego zadania, niezbędną jest znajomość zawartości znajdującego się w posiadaniu T. P. N. P. zapasu książek. Pod tym względem jest Towarzystwo w tem szczęśliwem położeniu, że ma dokładny inwentarz nadsyłanych darów; na sporządzenie jego łoży T. P. N. P. rocznie sumę kilkuset koron. Koszta inwentaryzowania zbiorów i transportu książek wykazywane są w sprawozdaniach

w rubryce wydatków p. t.: Koszta zarządu zbiorów bibliotecznych. W r. 1904 pozycya ta wynosiła 628.44 K. a w r. 1905 497.04 K.

Drugą kwestyą równie doniosłą, jak zgromadzenie dostatecznego zapasu książek, jest sprawa stosownego pomieszczenia przyszłej biblioteki, na razie najsłabsza strona całej akcyi; zgromadzenie bowiem funduszu na ten cel potrzebnego nastręcza niemało trudności, — o czem mówią sprawozdania T. P. N. P. z ostatnich dwu lat (1904 str. 15, 1905 str. 16) które wprawdzie nie udaremnią przeprowadzenia tej myśli, tylko jej urzeczywistnienie opóźnią. Na pomieszczenie biblioteki potrzeba stosownego budynku, bądź specyalnie na ten cel zbudowanego, bądź też jakiegoś już istniejącego gmachu, Towarzystwu na ten cel np. przez zarząd miasta ofiarowanego, po odpowiedniem dla celów bibliotecznych urządzeniu. W pierwszym wypadku oblicza Odezwa koszta budowy na sumę ośmdziesięciu do stu tysięcy koron, w drugim zaś wypadku koszta rekonstrukcyi na sumę dwudziestu do trzydziestu tysięcy koron. Przysporzenie tych funduszów Towarzystwo postanowiło zyskać głównie drogą ofiarności czynników miejscowych, którym rozwój kulturalny miast prowincyonalnych powinien leżeć na sercu, które więc powinny zrozumieć doniosłość zakładania bibliotek i z tego względu usiłowania w tym kierunku podjęte poprzeć. Aby uchylić zarzut, że sprawa traktowaną jest »tylko z katedry, bez uwzględnienia jej momentów praktycznych« i usunąć idącą za tem nieufność w powodzenie i niechęć do ofiar na rzecz przedsięwzięcia, którego upadek jest rzekomo z góry przesądzony, podało T. P. N. P. w sprawozdaniu za r. 1905 (str. 17—18) typowy szemat akcyi utworzenia funduszu bibliotecznego, drogą finansowego poparcia ze strony zarządów miast samych, reprezentacyi powiatów (Rad powiatowych), miejscowych instytucyi finansowych, nie mówiąc już o pomocy ze strony osób prywatnych, szczególnie bogatszych jednostek, z obywatelstwa miejscowego i okolicznego, zwłaszcza takich, »których z daną miejscowością silniejsze łączą węzły«. Również reprezentacye krajowe i rząd, jako obowiązane do popierania zadań kulturalnych, nie powinny odmówić poparcia materyalnego na cel powyższy. Ze źródeł tych możnaby uzyskać roczny

przyrost funduszu bibliotecznego w kwocie ośmiu do dziesięciu tysięcy koron; po upływie dziesięciolecia rozporządzałoby Towarzystwo sumą wystarczającą do założenia pierwszej książnicy. W tym kierunku jednak T. P. N. P. doznało zawodu w swych rachubach, te bowiem czynniki, na których pomoc liczono nie tylko nie pospieszyły z poparciem materyalnem, ale pozostały głuche i obojętne na wszelkie odezwy T. P. N. P. bezpośrednio do nich wystosowane; żadna z rad miejskich nie weszła w rokowania w tej sprawie. Brak ofiarności publicznej z jakim się Towarzystwo z tej strony spotkało, nie udaremnia jednak wcale akcyi całej; zwala tylko przeważny ciężar stworzenia funduszu na samo T. P. N. P., a w następstwie tego odwleka ostateczne urzeczywistnienie myśli na dalszą metę, niż pierwotnie przy większej pomocy społeczeństwa można było się spodziewać. Zrozumiało to T. P. N. P. i w tej myśli uchwaliło w r. 1904 stworzyć własnemi siłami fundusz biblioteczny, który ma być corocznie od r. 1905 poczynając, zasilany stałą dotacyą, conajmniej w wysokości 1000 K [1]. W miarę wzrostu ogólnych przychodów Towarzystwa, można się spodziewać statecznego z postępem lat zwiększania zasiłku dla bibliotek, nie mówiąc już o narastaniu funduszu przez kapitalizacyę i datki osób prywatnych, szczególnie członków Towarzystwa. Do tych ostatnich zwróciło się T. P. N. P. z apelem, by idąc z pomocą Towarzystwu, równocześnie z wkładkami przesyłali naddatki, choćby najdrobniejsze, w jakiejkolwiek wysokości, gdyż tą drogą uzbierać się może corocznie pokaźna suma [2].

Patrząc na to, co T. P. N. P. dotychczas dla sprawy bibliotek prowincyonalnych zdołało zdziałać, mimo czasu krótkiego i wyżej wspomnianych przeciwności, z otuchą możemy spoglądać w przyszłość, która ma dać urzeczywistnienie myśli i doprowa-

---

[1] W wykonaniu tej uchwały wniosło Towarzystwo do nowo utworzonego funduszu, pierwszą ratę w 1905 roku; wedle sprawozdania z tegoż roku fundusz ten wynosił z końcem roku administracyjnego 1008 K 1 h.

[2] Z tego źródła płynący roczny dochód na rzecz T. P. N. P. wynosi stale, jak wskazują sprawozdania z pięciu lat istnienia, kilkaset koron (od 100 do 400 K).

dzić do otwarcia pierwszej książnicy. Chwila, w której ta instytucya otworzy swe podwoje pracy naukowej i samokształceniu, stanie się nie tylko ważnym nabytkiem kulturalnym dla miejscowej intelligencyi, ale będzie także niepomiernej doniosłości dla dalszych, w przyszłości założyć się mających księgozbiorów. Skrzepi ona i doda otuchy tym, którzy dla tej idei pracują, obali pozorne obawy pesymistów, pobudzi ofiarność prywatną i skieruje ją na właściwe tory, a w następstwie przyspieszy akcyę zakładania dalszych bibliotek.

Biblioteka już istniejąca, jak z jednej strony będzie stanowiła ognisko życia umysłowego prowincyonalnego, tak z drugiej nie powinna się zupełnie wyzwalać z pod związku z T. P. N. P. Węzły łączące jej powstanie z towarzystwem powinny nadal pozostać w postaci nadzoru i kierownictwa.

Omawianie całego szeregu pytań, dotyczących urządzenia bibliotek, jest na razie przedwczesne. Dosyć będzie czasu do dyskusyi wtedy, gdy nadejdzie chwila oddania książnic do użytku publicznego. To też i Odezwa T. P. N. P. przechodzi nad tem słusznie do porządku dziennego, rozpatrując jedynie sprawę zarządu i personalu bibliotecznego. Ponieważ wyrażone tam zapatrywania spotkały się także z częściową krytyką, przeto należy się bliżej zastanowić nad niemi.

»Na czele biblioteki — oto słowa Odezwy (str. 6) — jako jej zarządcę, należałoby koniecznie postawić człowieka, odpowiednio do tego uzdolnionego, a więc takiego, który odbył już praktykę biblioteczną (np. w którejś z bibliotek stołecznych) i sam poświęca się uprawie jakiejś gałęzi nauki. Jeden i drugi warunek musiałby się tu schodzić; sama praktyka biblioteczna nie wystarczyłaby jeszcze; niema większego nieszczęścia dla biblioteki, jak kiedy na jej czele stanie człowiek, który sam nauki nie kocha, zrozumienia dla jej potrzeb nie ma, sam dla niej nie pracuje«.

Pan Woźnicki w wyżej powołanym artykule p. t. »W obronie książnictwa«, godząc się z wymaganiem praktyki bibliotecznej, drugi warunek, t. j. uprawianie nauki nie tylko nie uważa za rzecz konieczną, ale wprost za szkodliwą, stanowiącą cechę uje-

mną kandydata na bibliotekarza. Wedle niego naukowość nie da się pogodzić z pracą bibliotekarza, bo przynosi tylko uszczerbek samej bibliotece i tym, którzy w niej pracują i z niej korzystać pragną [1]. T. P. N. P. stawiając warunek naukowości poszło tylko za mylnem, a powszechnie u nas panującem mniemaniem. Na poparcie swego twierdzenia przytacza krytyk szereg argumentów.

Człowiek pracujący naukowo w jakiejś gałęzi nauki, będzie ją uprawiał ze szkodą biblioteki, zaniedbując obowiązki urzędowe: »czy wogóle, jako specyalista w pewnej dziedzinie wiedzy, będzie w stanie badania swe na bok odłożyć, a biblioteką się zająć, czy raczej pracy bibliotecznej na plan drugi nie odsunie, a własnemi badaniami się nie zajmie?« Po prostu wyraża p. W. w powyższym wykrzykniku myśl, że uprawianie nauki odciąga od spełniania obowiązków urzędowych. Jest to zarzut niesprawiedliwy i bezzasadny. Może się wprawdzie znaleźć człowiek nauki bez sumiennego poczucia przyjętych na się obowiązków; wszelako ten sam wypadek zajść może także co do bibliotekarza, który sam nauki nie uprawia; przyczyn zaniedbania znaleźć można u niego nieraz więcej, aniżeli u uczonego ze względu na jego pracę fachową.

Zarzut, że przy pełnieniu obowiązków bibliotekarza niema czasu na naukową pracę, upada sam z siebie, jeśli uwzględnimy, że wielu urzędników bibliotecznych, przy sumiennem pełnieniu swych obowiązków, jest ponadto wydatnie czynnych na polu naukowem; ich praca naukowa, zadzierżga właśnie silniejszy węzeł między książnicą a jej kierownikiem. Że zresztą T. P. N. P. w pełnej mierze zdaje sobie sprawę z tego, iż bibliotekarz powinien z całem oddaniem poświęcić swe siły książnicy, dowodzi wyrażony w Odezwie postulat, ażeby ta posada była stałą i dostatnio dotowaną. W ten sposób stworzywszy podstawę materyalnego bytu kierownika, związałaby osobę jego ściśle »z losem powierzonej mu instytucyi«, żeby urzędu swego nie uważał za chwilowe jedynie zajęcie: »Tylko w tym razie ma się pewniejszą rękojmię, praw-

[1] Z wywodami p. W. godzi się w zupełności p. Niemierkiewicz w artykule ogłoszonym w *Książce* nr. 11, r. 1905.

dziwie sumiennego pełnienia obowiązków i szczerego zajęcia się dobrem biblioteki«.

Pan W. przechodząc do dalszych zarzutów, mówi o braku poszanowania dla książek, jako stronie ujemnej kandydata na bibliotekarza: »czy wystarczy poza praktyką kochać naukę: dla niej pracować[1], aby módz dobrze pełnić obowiązki biblioteczne... trzeba kochać książki, a można kochać naukę nie kochając książek i obchodzić się z niemi po barbarzyńsku«. Innemi słowy, krytyk żąda od bibliotekarza zamiłowania do swego zawodu. Ależ oczywiście że tak, temu nikt nie przeczy, choć zbędną jest rzeczą z osobna przy omawianiu warunków na bibliotekarza nad tem się rozwodzić. Jest to bowiem postulat podstawowy przy wykonywaniu jakiegokolwiekbądź zawodu. Na wszelki sposób przyjąć należy, że z różnych kategoryi ludzi, jacy mogliby się ubiegać o kierownictwo bibliotek, ci, którzy kochają naukę, będą też najpewniej kochali książki.

»A przytem czyż nie szkoda czasu historyka, prawnika, ekonomisty i t. p., aby studyował podręczniki techniki bibliotecznej, zajmował się sprawami, które go mało obchodzą, zamiast badać źródła, analizować je i dla nauki spożytkowywać?« Można zasadniczo podzielać to zapatrywanie p. W., o ile chodzi o interes pracy naukowej (nie bibliotek). Niestety jednak ze strony praktycznej jest ono utopią. Ludzie bowiem nauki, tak samo jak literaci czy poeci, muszą najczęściej obok pracy twórczej, poświęcać część swego czasu i sił umysłowych pracy zawodowej, dla zapewnienia sobie bytu; o ile więc nie uzyskają profesury, najlepiej jeśli się poświęcą zawodowi bibliotekarza, czy archiwaryusza. W ten sposób człowiek nauki wchodzi w związki z instytucyą, mającą charakter naukowy, będącą niejako arsenałem pracy naukowej. I niema potrzeby uważać tego zajęcia za rodzaj *panis bene merentium*, lub synekurę, jak się na obsadzanie posad bibliotecznych ludźmi nauki zapatruje p. W., nazywając to »bardzo szlachetnym sposobem ułatwiania im, a w wielu przypadkach umo-

[1] Słowa rozstrzelone cytuje pan W. z odezwy T. P. N. P., zaczepiając w ten sposób wypowiedziane w niej zdanie o wymogach co do bibliotekarza.

żliwiania nawet pracy naukowej«. Praktyka zna poważnych uczonych, którzy okazali się zarazem najdzielniejszymi i najsumienniejszymi bibliotekarzami; gdzie stosunek ułożył się odwrotnie, przyczyna leżała nie w naukowości bibliotekarza, ale w pewnych ujemnych właściwościach osobnika, które równie dobrze, może nawet w szerszej mierze spotkać możemy u bibliotekarzy nienaukowych.

To też uznać należy zupełną słuszność Odezwy T. P. N. P., że przedewszystkiem ludzie nauki nadają się na bibliotekarzy, jeśli książnice mają służyć celom naukowym. Staranie i piecza nad niemi spoczywa w ręku kierownika; musi on tu posiadać odpowiednią kwalifikacyę naukową, jak w sprawach tej instytucyi rozstrzygać ze znajomością rzeczy. Pewnik ten odnosi się nie tylko do bibliotek, ale wogóle do wszelkich instytucyi mających za zadanie poparcie celów naukowych.

Bibliotekarzowi nie wolno, mówi p. W., »książek dzielić na złe lub dobre«. To słuszne; ale właśnie nie przemawia przeciw naukowości bibliotekarza, już choćby dlatego, że kierownik naukowo pracujący zda sobie o tej zasadzie co najmniej tak samo sprawę, jak bibliotekarz, któremu wszelkie naukowe aspiracye są obce.

»Dzisiaj warunki się zmieniły, bibliotek dla bibliotekarzy niema i być nie może«. W myśl tego hasła odsądza p. W. ludzi nauki od kwalifikacyi do bibliotekarstwa, jako skłonnych do korzystania ze zbiorów sobie powierzonych w swej pracy naukowej i zazdrosnych o ich zawartość, a w myśl tego odstręczających innych od korzystania ze skarbów w nich zawartych. Zatem wedle intencyi pana W. książki mogą dla bibliotekarza stanowić jedynie pozycye inwentarza, numery katalogu, lub wartość ilościową tomów wstawionych na półkę; brakiem żywszego interesu naukowego chce on zabezpieczyć treść ich przed ciekawością bibliotekarza. Naukowość bibliotekarza i wynikające stąd korzystanie przezeń z książnicy, nie ogranicza przecież prawa ogółu czytających w korzystaniu z bibliotek, nie sprowadza szczególnego utrudnienia lub uniemożliwienia im pracy. Do czegóż wreszcie dojdziemy, jeżeli razem z p. W. żądać będziemy od bibliotekarza, by się ograniczył do tego, aby każdy był »szybko i dobrze obsłużony«.

Jak p. W. wyobraża sobie bez naukowości bibliotekarza pomaganie w pracy naukowej wszystkim tym, którzy się zgłoszą, co obok gromadzenia zbiorów, jako drugi cel księgozbioru widzi?

Jeszcze jeden argument p. W. Specyalizacya i ograniczenie zakresu studyów poszczególnych przedstawicieli świata naukowego budzi w nim obawę jednostronności w kierowaniu biblioteką. »Czy historyk nie będzie stronnym w ocenie zbiorów tyczących się nauk przyrodniczych, a przyrodnik w stosunku do materyałów historycznych?« Tak było może dawniej, dziś jednak nie istnieją już tego rodzaju mury chińskie i przepaście między poszczególnymi działami wiedzy ludzkiej. Owszem w miarę specyalizacyi coraz dalej idącej, zacieśnia się równocześnie związek i występuje coraz wyraźniej łączność między poszczególnemi gałęziami nauki, spływającemi się w jedno wielkie łożysko wiedzy ludzkiej. U człowieka nauki nieuznawanie i nierozumienie tej łączności między jego specyalnością, a innymi działami wiedzy byłoby oznaką zaskorupienia się i zastoju. Utwory produkcyi naukowej są często stopieniem elementów nieraz zupełnie odrębnych działów wiedzy. Mamy wielu pracowników, którzy ściśle i wyłącznie do żadnej ze specyalności, na jakie nauka ludzka wedle szablonowych podziałów się rozpada, nie należą, ale ze względu na kierunek swej pracy, równie dobrze mogą być zaliczeni np. do historyków jak prawników lub ekonomistów. Uczeni zużytkowują w swych dziełach plony badań w poszczególnych odłamach wiedzy osiągnięte. Wszak z postępu przyrodoznawstwa i chemii korzysta nauka ekonomii, z wyników medycyny i psychologii kryminalistyka; o związku historyi z całym szeregiem innych specyalnych działów wiedzy ludzkiej osobno mówić niema potrzeby i t. p. Dziś każdy specyalista, naprawdę naukowy, musi mieć nie tylko zrozumienie dla owych innych działów, ale częstokroć nawet dokładną wielu znajomość. I pod tym więc względem obawy p. W. są z pewnością nieuzasadnione, tem bardziej, że idąca z góry w tym wypadku od wydziału T. P. N. P. akcya nadzorcza zapobiedz zdoła wszelkim zapędom jednostronnym, jakieby się wyjątkowo pojawić mogły.

Z drugiej strony p. W. oświadczając się przeciw naukowym aspiracyom bibliotekarza w jakimkolwiek dziale wiedzy ludzkiej,

pozwala, a nawet poleca, pracę naukową w dziedzinie książnictwa, a więc nauki obejmującej: »poza techniką biblioteczną, wszystko to, co książek i książnic dotyczy, historyę drukarń, druków, historyę bibliotek, bibliografię i kwestye z nią związane«. Niechże mi będzie wolno zauważyć, że to także jeden z działów wiedzy ludzkiej, który może odciągnąć bibliotekarza od bieżących zajęć urzędowych, od »dobrego i szybkiego obsługiwania gości«. Zresztą w dziedzinie pracy naukowej niema granic nieprzekraczalnych i jak przykłady z życia praktycznego wskazują, pracownicy w dziedzinie nauk, które p. W. do książnictwa zalicza są czynni zarazem w innych działach nauk, szczególnie w historyi (Lelewel, »Bibliograficznych ksiąg dwoje«, Finkel, »Bibliografia historyi polskiej«, Piekosiński, »Znaki wodne« i inni). Czyżby pracownicy tej miary mniej odpowiadali stanowisku bibliotekarzy aniżeli ci, którzy tylko książnictwem się zajmują? O tyle tylko można się zgodzić z p. W., że specyalistom w zakresie nauk bibliotekarskich należałoby przyznać pierwszeństwo, przed uprawiającymi wyłącznie inne działy wiedzy.

Żądanie p. W., aby bibliotekarze byli wykształceni teoretycznie w swym zawodzie t. j. w technice książnictwa, jest słuszne, ale jest dopiero postulatem przyszłości. Stawianie takich wymogów ze strony T. P. N. P bibliotekarzom prowincyonalnych książnic, byłoby żądaniem wyższych kwalifikacyi technicznych, niż się ich pospolicie wymaga od urzędników księgozbiorów stołecznych, rozmiarami, bogactwem i cennością zbiorów, prowincyonalne z natury rzeczy przewyższających. Zresztą znajdą się zawsze ludzie z pewnem przygotowaniem fachowem, przez praktykę nabytem, z pośród których można będzie wybierać przyszłych bibliotekarzy; w samym Lwowie corocznie stale kilkunastu z młodzieży akademickiej poświęca się zajęciom bibliotecznym w Ossolineum, w charakterze stypendystów, nie mówiąc o młodszych funkcyonaryuszach biblioteki uniwersyteckiej i t. p.

Niewłaściwym jest tedy zarzut zwrócony przeciw T. P. N. P. i jego programowi, oraz obrona książnictwa w tym tonie, jakby Towarzystwo przeczyło, lub zapoznawało potrzebę fachowych wiadomości bibliotekarza. Zbyt skomplikowana technika bibliote-

czna nie jest zresztą potrzebna w książnicy prowincyonalnej, chyba w czasie organizowania jej; ale na przeciąg tego stadyum wystarczy zapewnić sobie czasowe kierownictwo i wskazówki zawodowe bardziej wytrawnego znawcy tej sprawy.

Szereg zadań jakie bibliotekarz ma spełniać, nie tylko nie przemawia przeciw kwalifikacyom jego naukowym, ale owszem wskazuje na nie jako konieczne. Nawet już tak czysto techniczna czynność, jak katalogowanie, wymaga obok precyzyi formalnej, zastosowania się do wymogów naukowych, wogóle przedsiębrania pracy z pełną świadomością celu naukowego. Dlatego to nieraz dla zbadania sporządzanych katalogów i inwentarzy książek i rękopisów, ustanawiane są komisye kontrolujące, z przedstawicieli nauki złożone, które orzec mają, czy i o ile katalogi owe odpowiadają wymogom nauki.

W wyższym o wiele stopniu pożądaną jest naukowość bibliotekarza tam, gdzie chodzi o metodyczne i celowe wzbogacanie księgozbioru, bez czego biblioteka przestałaby rozwijać się prawidłowo. Naukowość daje bibliotekarzowi pewien szerszy pogląd i możność krytycznego zapatrywania się nawet na takie działy wiedzy, których sam nie uprawia. O ile się będzie musiał zdać na obce zdanie, zdoła je właściwie ocenić.

Do samych tylko fachowych wiadomości funkcyonaryusza można się ograniczyć raczej wtedy, kiedy chodzi o personal biblioteczny podwładny, dodany bibliotekarzowi do pomocy w wykonywaniu czynności bieżących, w katalogowaniu i porządkowaniu książek. Odezwa T. P. N. P. przewiduje jako nieodzowną potrzebę, przydzielenie bibliotekarzowi przynajmniej jednego lub dwu takich pomocników.

Wszystkie te potrzeby wymagają także już po instalacyi biblioteki stałej rocznej dotacyi na utrzymanie budynku, opał i oświetlenie, na pensye dla funkcyonaryuszy, wreszcie utrzymanie, zakupno i oprawę książek, w kwocie conajmniej 7000 do 11.000 koron, jak oblicza Odezwa. Należałoby życzyć sobie, żeby Towarzystwo znalazło się jak najrychlej w możności wydzielenia tej, bądź co bądź pokaźnej sumy na cel powyższy.

Bolesław Grużewski.

NOWY PROJEKT NOWELI DO USTAWY PRZEMYSŁOWEJ

WOBEC TERMINATORÓW [1].

Odczyt na społecznym Kursie lwowskim.

Rękodzielnictwo obecnie ciężką przechodzi fazę przesilenia. Rękodzielnik, wyrwany z prastarej organizacyi cechowej, bez wykształcenia fachowego i kupieckiego, bez oświaty prawie, wciągnięty w wir szalonej walki konkurencyjnej z produkcyą fabryczną i handlową, zmuszony przebijać się przez najtrudniejsze stosunki kredytowe, dziś z wielkim tylko trudem zdoła się utrzymać przy warsztacie.

---

[1] Na napaść *Słowa Polskiego* nie odpowiadam. Porozumienie jest możliwe tylko tam, gdzie znajomość rzeczy łączy się z dobrą wolą. W notatce zaś, umieszczonej w tydzień po Kursie społecznym w wydaniu świątecznem *Słowa Polskiego*, uderza w oczy rażąca nieznajomość rzeczy, walcząca o lepsze ze zjadliwą stronniczością. Jest to ta sama etyka głównego organu wielkiego stronnictwa, która wysoko trzyma sztandar demokracyi a lęka się trwożliwie, jakby widma wstrętnego, wszelkiego ruchu szczerze katolickiego i szczerze demokratycznego, która rzekomo bierze w obronę duchowieństwo przed socyalizmem a zasadniczo stoi na stanowisku bezwyznaniowem i drukuje feljetony przeciwko nieśmiertelności duszy, która chłopom bluzga w oczy: chamy, a sympatyzuje zawsze z potęgą wielkiego kapitału i z żydami. Ale wobec uczestników Kursu winienem się wytłumaczyć, zwłaszcza, że z powodu nieskończonej dyskusyi nie mogłem odpowiedzieć na niektóre zarzuty tam podniesione. Naprzód zarzucono mi, że referat mój nie opiera się na ostatnim projekcie noweli do ustawy przemysłowej. Zarzut to niesłuszny i bezpodstawny. Praca moja obejmuje również projekt Komisyi przemysłowej, to też ogłaszam ją drukiem bez jakiejkolwiek zmiany. I nawet inaczej być nie mogło, już choćby dlatego, że projekt Komisyi zgadza się

W dziedzinie produkcyi przygniata go naprzód konkurencya wyrobów fabrycznych. Fabryka przedewszystkiem produkuje tanio, a ogół publiczności kupuje tam, gdzie taniej. Zasada: to dobre, co tanie, zwyciężyła na całej linii. Daremnie tu apelować do uczuć patryotycznych. Prawda, rozbrzmiewa tu hasło wciąż powtarzane od lat wielu: popierajmy nasz przemysł. Ale cóż znaczy hasło idealne wobec nieodpartych potrzeb życiowych. W życiu codziennem, z nielicznymi wyjątkami każdy kieruje się zdrowym egoizmem gospodarczym. Zresztą budżet roczny ogółu publiczności ledwo wystarcza na opędzenie szeregu nieodzownych do życia potrzeb, niesposób więc pozwolić sobie na tego rodzaju luksus gospodarczy. Daremnie tu wskazywać na to, że towar fabryczny jest zwyczajnie lichy, że to robota tandetna. Naprzód nie wszystkie wyroby fabryczne są liche. Dziś fabryka chcąc wytrzymać konkurencyę, musi pracować z precyzyą i dbać o wygląd estetyczny swoich wyrobów. A powtóre u nas robota rzemieślnicza jest częstokroć nad wszelki wyraz nieudolna.

---

najzupełniej z zasadami i celami projektu rządowego, a powtóre dlatego, że co do mojego tematu pomiędzy redakcyą rządową a redakcyą Komisyi, wyjąwszy niewielu małoznaczących drobiazgów, już żadnej niema różnicy. Zarzut więc taki jest co najmniej dziwny.

Powtóre w toku dyskusyi zaznaczono, że mówić dziś o usunięciu konkurencyi z produkcyą fabryczną i organizacyą handlową, o wznowieniu organizacyi cechowej zbyteczna. O tem dziś żaden rzemieślnik nie myśli ani nie marzy. *Słowo Polskie* nazywa to »żyje wspomnieniami«. W odpowiedzi niech mówią uchwały I wiecu krajowego rękodzielników i przemysłowców, który się odbył w Krakowie dnia 26 marca 1905 r. Oto kilka rezolucyi tego wiecu:

»Wiec uznaje potrzebę udzielenia stowarzyszeniom i izbom rękodzielniczym jak najszerszej autonomii, szczególniej w udzielaniu lub odjęciu pozwolenia do prowadzenia rzemiosła«.

»Wiec domaga się, ażeby ustawodawstwo państwowe zabroniło fabrykantom wyrabiać te gatunki produkcyi, które wchodzą w zakres rzemieślnika; również, ażeby zabroniło zakładania w innych królestwach i krajach koronnych filii z gotowymi produktami«.

»Zakładanie wielkich konfekcyi szewskich, krawieckich i stolarskich również musi być wzbronione«.

»Wiec uznaje potrzebę regulacyi produkcyi, rozdziału zbytu« i t. d.

Ale galicyjski organ wielkiego przemysłu może nie znać stosunków przemysłowych kraju i częstować swoich czytelników frazesem.

Powtóre w dziedzinie zbytu ogromne wyrządzają szkody rzemieślnikom wszelkiego rodzaju bazary i składy gotowych wyrobów fabrycznych. Każdy bazar rozmaitości wszelkiego rodzaju, każdy magazyn z gotowymi wyrobami dziwny jakiś czar wywiera na publiczność i przyznać trzeba, że dobrze urządzony sklep kupiecki więcej przypada do zmiennych potrzeb i gustów publiczności, niż pracownia rzemieślnicza i robota na zamówienie. Już sama wystawa ładnych towarów nęci oko, a grzeczna obsługa kupiecka podoba się publiczności. A względy praktyczne? W wielkim składzie znajduje się zawsze towar w wielu gatunkach, stosownie do upodobań i życzeń kupujących, co więcej, tam niemal każde życzenie niewyraźne, nieokreślone, przybiera kształt widomy, namacalny, błyszczący barwą i nowym deseniem. W sklepie lepsza obsługa: kupiec na żądanie towar odeśle do domu, przyjmie go napowrót, gdy się niepodoba — słowem, sklep nie tylko taniością towarów ale i organizacyą kupiecką przewyższa niezmiernie produkcyę ręczną rękodzielnika. To też dużo przedsiębiorstw rękodzielniczych upadło wobec konkurencyi wielkich składów.

W dziedzinie kredytu większe jeszcze szkody, niż magazyny i składy, wyrządza rzemieślnikom nierządna gospodarka pożyczkowa. Niezmiernie ważną jest rzeczą dla samodzielnego rzemieślnika mieć na podorędziu na cele produkcyjne dogodny i tani kredyt. W Poznańskiem dużo dobrego w tej mierze zdziałały kasy kredytowe ks. Wawrzyniaka. U nas zaś pole kredytu rzemieślniczego leży dotąd zupełnie odłogiem. Stowarzyszenia zaliczkowe i kredytowe, gęsto rozsiane po miastach galicyjskich dla drobnego przemysłu nic prawie nie zdziałały. Kredyt ten jest dla rękodzielnika za drogi i z trudnymi połączony warunkami. Zresztą instytucye te, oparte przeważnie na obcych kapitałach, łaknących wysokich dywidend, z natury rzeczy nie przypadają do stosunków i potrzeb rzemieślnika. Samodzielny rzemieślnik potrzebuje przedewszystkiem kredytu na urządzenie warsztatu, na zakupno materyału nieraz w wielkim wyborze, na cele produkcyjne przy dostawach i robotach publicznych a gdzież go znajdzie? — bez gwarancyi pewnej, rzeczowej, kredytu osobistego nigdzie, chyba u żyda. Zorganizowanego kredytu rzemieślniczego z nielicznymi

wyjątkami nie posiadamy w Galicyi. Banki i nasze instytucye kredytowe niechętnie obsługują rzemieślników. Niepopłatny to interes. Ręczycieli zresztą w takich warunkach zwyczajnie bardzo trudno znaleźć a często jest to i rzecz kosztowna. Fabryka również bez dostatecznie pewnej gwarancyi nie dostarczy materyałów na kredyt. Większość więc majstrów jest zmuszona brać swe materyały od kupców żydowskich, płacąc oczywiście za tę przysługę gruby procent.

Z drugiej zaś strony jest u nas niezdrowy, pasożytnie krzewiący się, sposób udzielania kredytu, który wyrób rękodzielniczy ogromnie podraża a rękodzielnika przywodzi do zupełnej ruiny. Otóż w składach i sklepikach żydowskich zwykle każdy znajduje łatwy i dogodny dla siebie kredyt, choć grzeczność tę grubo trzeba opłacić. Więc i rzemieślnicy zmuszeni są gościom swoim udzielać kredytu i najczęściej ponad wszelkie granice możności. Są bowiem sklepy, które sprzedają gotowe wyroby na spłaty drobne, miesięczne. Są magazyny, które niezmiernie tanio sprzedają, bo spekulują na upadłość. Każda tam cena jest dla nich czystym zyskiem. W takich warunkach jakże tu ostać się może sumienny majster! Obcokrajowa konkurencya w formie składów i sklepików, połączona z bezładną gospodarką kredytową po prostu zagłodzą i zamorzą naszych rzemieślników, jeżeli nie wyrobi się u nas planowa w tym kierunku akcya ratunkowa.

W tak trudnych warunkach ostać się jeszcze może rzemieślnik obrotny, intelligentny, pod względem fachowym i handlowym dobrze wykształcony, ale i to do czasu tylko. I jego zmiecie niebawem z widowni bezlitośna i najczęściej nieuczciwa konkurencya obcokrajowa i obcoplemienna, jeżeli nie będzie miał na usługi swoje dogodnego i taniego kredytu. Ten oto majster jest prawdziwym mistrzem w swoim zawodzie. Co z pod jego ręki wychodzi jest starannie wykończone, z poczuciem estetycznem, według najświeższej mody wykonane, ale nie stać go na rozszerzenie warsztatu i wyposażenie go w potrzebne materyały i przyrządy techniczne, nie stać go na urządzenie sklepu na ludnej ulicy i zdobycie sobie drogą reklamy kupieckiej szerszego koła klienteli. I jakiż będzie rezultat jego wysiłków i pracy? całe życie

zejdzie mu na niepopłatnej walce z produkcyą fabryczną, dopóki jakiś nieprzewidziany wypadek lub zastój w pracy nie zepchnie go do rzędu zawisłego rzemieślnika.

A więc trzeba nam stworzyć przedewszystkiem dogodny i tani kredyt rzemieślniczy. Na ofiarę tę milionową kraj zdobyć się powinien i musi, bo ani Wiedeń ani Praga nie użyczą nam milionów na zawojowanie swego przemysłu.

Współzawodniczyć dalej skutecznie z produkcyą fabryczną i organizacyą handlową składów kupieckich mogą spółki różnego rodzaju, uzbrojone w najnowszą technikę i umiejętność kupiecką. Ale do tego potrzeba przedewszystkiem podnieść fachowe wykształcenie rzemieślników i zaszczepić ducha asocyacyi w stowarzyszeniach przemysłowych. Tę drogę też obrał nowy projekt noweli ustawy przemysłowej: »W ostatnich latach, czytamy w motywach projektu, utrwala się przekonanie, iż wielorakim niedomaganiom, które ciężkiem zaciążyły brzemieniem na całem rękodzielnictwie, nie zaradzi się przez akcyę, skierowaną przeciwko innym kołom produkcyjnym, lecz tylko przez wzmocnienie akcyi solidarnej w drobnym przemyśle i podniesienie fachowego wykształcenia rzemieślników«.

To też wszystkie dodatki, poprawki i uzupełnienia i nowe postanowienia, jakie projekt przynosi, idą w dwu kierunkach: jedne mają na celu skonsolidowanie akcyi solidarnej w stowarzyszeniach przemysłowych, drugie podniesienie wykształcenia fachowego rękodzielników czyli stosunki terminatorów. I o tym drugim punkcie projektu dzisiaj mam zaszczyt mówić.

Naprzód jednak słów kilka o rozwoju ustawy przemysłowej.

W historycznym rozwoju austryackiej ustawy przemysłowej dwa przedewszystkiem rozróżnić należy stadya. Gdy w połowie ubiegłego wieku prastare cechy rozpadły się własną niemocą i siłą stosunku, ustawa z r. 1859 wprowadza wolność przemysłową albo raczej utrwala i ujmuje w porządek prawny tę wolność, która już uprzednio była od dawna się wyrobiła. Myśl zasadnicza tej wolności przemysłowej jest ta: odtąd wszystkie gałęzie przemysłu dla każdego są dostępne. Kto chce rozpocząć przedsiębiorstwo przemysłowe lub otworzyć warsztat rękodzielniczy, nie potrzebuje

żadnego świadectwa uzdolnienia, żadnego wykazu majątkowego przedkładać władzy przemysłowej. Wolno też przerzucać się z jednej gałęzi przemysłu na drugą i dowolnie zawierać ugodę z robotnikami. I to pierwsze stadyum.

Drugie stadyum: Nowela przemysłowa z r. 1883, na liczne żądania ze sfer rzemieślniczych, znosi zasadę wolności przemysłowej i wprowadza dla przemysłu rękodzielniczego dowód uzdolnienia. Na czem polega ten dowód? Na dostarczeniu świadectwa nauki, zwykle odbytej u majstra i świadectwa pracy czeladnika, czyli kto chce otworzyć warsztat rękodzielniczy, winien dowieść, że odbył przepisany czas terminowania i następnie pracował jako czeladnik w tym samym lub pokrewnym przemyśle. Celem zaś tego dowodu jest: nie utrudniać dostępu do rękodzielnictwa, jak czytamy w motywach ustawy, ani ścieśniać możności zarobkowania, lecz wziąć w obronę rękodzielnictwo przed nieuczciwą konkurencyą i produkcyą tandetną. Celem jego jest zagrodzić drogę wszystkim przemysłowcom, którzy lekkomyślnie bez zawodowego wykształcenia, bez majątku rzucają się do rękodzielnictwa. Następstwem dowodu uzdolnienia było wytworzenie się albo raczej skonsolidowanie stowarzyszeń przemysłowych. Ustawa z r. 1859 wprowadziła w miejsce dawnych cechów stowarzyszenia przemysłowe, obejmujące przemysł wielki i handel i rękodzielnictwo, i wytknęła im różne zadania humanitarne. Nowela z r. 1883 przez wprowadzenie dowodu uzdolnienia wyodrębnia rękodzielnictwo ze stowarzyszeń przemysłowych albo raczej ścieśnia ich zakres do przemysłu drobnego, bo tylko dla przemysłów niefabrycznych są stowarzyszenia przemysłowe obowiązkowe. W ten sposób wytworzone stowarzyszenia przemysłowe różnią się od dawnych cechów przedewszystkiem tem, że w cechach tylko ten mógł rozpocząć przedsiębiorstwo rzemieślnicze, kto był jego członkiem. W stowarzyszeniach zaś przemysłowych przeciwnie: ktokolwiek rozpocznie jakieś przedsiębiorstwo przemysłowe już tem samem staje się członkiem stowarzyszenia przemysłowego. Pozwolenia zaś na otwarcie warsztatu nie udziela przełożeństwo cechowe, ale władza przemysłowa, t. j. władza administracyjna. Dwa te punkty, t. j. dowód uzdolnienia i stowarzyszenia przemysłowe są dzisiaj jeszcze

najgłówniejszym przedmiotem i postulatem programu rękodzielniczego.

W dalszym rozwoju ustawy przemysłowej inne nowele są tylko uzupełnieniem ustawy z r. 1883. I tak nowela z r. 1885 reguluje stosunek przemysłowego personalu roboczego do majstrów i wprowadza obowiązkowe książeczki robotnicze dla robotników przemysłowych. Nowele z r. 1896/7 i 1902 tyczą się przeważnie niektórych gałęzi przemysłu drobnego. Obecna nowela przedłożona w r. 1901 kołom interesowanym i fachowym, wróciła z różnemi poprawkami kolejno w dwukrotnej redakcyi i rządowej i komisyi parlamentarnej na stół obrad parlamentarnych. Podejmuje ona na nowo zasadniczą myśl noweli z r. 1883 co do ustawowego rozwoju dowodu uzdolnienia i dalszego rozwoju stowarzyszeń przemysłowych.

Wracając teraz do sprawy terminatorów rozpatrywać będziemy dla większej przejrzystości:

1) Stosunek terminatorów do majstrów,

2) Następnie do szkoły uzupełniającej,

3) A wkońcu stosunek terminatorów do stowarzyszeń przemysłowych i egzamina terminatorskie.

Warunkiem koniecznym i niezbędnym, aby uzyskać dowód uzdolnienia, jest odbycie czasu terminowania. Stosunek prawny pomiędzy majstrem a terminatorem normuje kontrakt, zawarty wedle ustawy przemysłowej. Nie jakikolwiek kontrakt, gdy idzie o małoletnich, ale kontrakt specyalny, odpowiadający wymaganiom ustawy. Kontrakt terminatorski, to dokument niezmiernie ważny. Na mocy kontraktu nabierają prawa, przyznane uczniom ustawą przemysłową, dopiero uchwytny i konkretny swój wyraz. Na podstawie kontraktu mogą władze przemysłowe łatwo wglądnąć w stosunki terminatorskie i usunąć krzyczące nieraz nadużycia. Na podstawie kontraktu, którego główne części mają być uwidocznione w książeczce robotniczej, może terminator znaleźć nieraz poradę i pomoc na swoje biedy i kłopoty służbowe.

Teraz któż może kontrakt terminatorski zawierać, czy każdy majster czy każdy samoistny przedsiębiorca może trzymać terminatorów?

Majster w myśl ustawy piastuje niejako urząd publiczny i ma fachowo wykształcić ucznia i wychować go na uczciwego człowieka. To też ustawa wymaga, żeby przedsiębiorca przemysłowy albo jego zastępca, chcący trzymać terminatorów, sam znał się na rzemiośle i był uczciwym człowiekiem. Paragraf 98 ustawy przemysłowej mówi: »Uczniów mogą trzymać tylko tacy przedsiębiorcy przemysłowi, którzy sami (albo których zastępcy) posiadają potrzebne wiadomości zawodowe«.

Przepis ten ustawy przemysłowej projekt dopełnia praktycznym dodatkiem. Zdarza się nierzadko, że przedsiębiorca przemysłowy, trzymający uczniów, nie ma ani warsztatu odpowiedniego, ani nie wykonuje swego rzemiosła, bo albo rozszerzył swój warsztat na przedsiębiorstwo fabryczne lub jest więcej kupcem, niż rzemieślnikiem, albo posiada warsztat bardzo prymitywny. To też projekt rządowy nie zadawalnia się, że majster posiada dostateczne wiadomości fachowe, aby mógł ucznia wyuczyć rzemiosła, ale wymaga ponadto: żeby urządzenie warsztatu i sposób wykonywania rzemiosła były tego rodzaju, aby nauka mogła być z korzyścią udzielaną.

Powtóre tenże sam § 98 wymaga, aby każdy kto chce trzymać ucznia był uczciwym człowiekiem. A więc kto był w kolizyi z kodeksem karnym, nie może ani przyjmować ani dalej trzymać uczniów małoletnich; »właściciele przemysłu zasądzeni za zbrodnie wogóle albo za przestępstwo lub przekroczenia, popełnione w chęci zysku lub przeciw obyczajności publicznej, nie mogą ani przyjmować małoletnich uczniów ani już przyjętych dłużej trzymać«. Dalej § 137 U. p. postanawia, żeby majstrom, którzy dopuścili się grubych uchybień względem terminatorów albo ze względów moralnych nie nadają się na wychowawców, odjęto prawo trzymania uczniów na pewien czas lub na zawsze. »Prawo trzymania uczniów lub młodocianych pomocników należy odebrać tym przedsiębiorcom przemysłowym, którzy staną się winnymi grubego uchybienia obowiązków względem powierzonych uczniów lub młodocianych pomocników, albo których obciążają fakta, świadczące, że pod względem moralnym nie nadają się do trzymania uczniów lub pomocników. Prawo to odebrać należy na pewien czas lub na

zawsze«. Przez powyższe postanowienia tedy daje ustawa przemysłowa władzy broń do ręki przeciwko wszelkim gorszycielom publicznym, bluźniercom i wyzyskiwaczom.

Co więcej § 100 U. p. wylicza obowiązki, ciążące na majstrach wobec uczniów. I tak:

a) majster ma dbać o fachowe wykształcenie ucznia, nie zabierać mu czasu i sposobności do wykształcenia się fachowego przez używanie go do posług innych;

b) ma rozciągnąć opiekę moralną nad uczniem w warsztacie i poza warsztatem, ma dbać o to, żeby uczeń był pracowity, prowadził się dobrze pod względem moralnym i spełniał obowiązki religijne;

c) ma czuwać nad jego zdrowiem, nie bić go i czuwać nad tem, żeby go nie bili domownicy ani pracownicy. Niema go obarczać ciężkiemi pracami, np. transportem towaru i t. p. pracami, które nie przypadają do rozwoju jego sił fizycznych;

d) w czasie choroby ucznia lub innych ważnych wypadków np. gdy uczeń zbiegł, ma natychmiast powiadomić o tem rodziców lub opiekuna i przełożeństwo stowarzyszenia przemysłowego.

Co się tyczy ucznia, ustawa wymaga tylko, żeby chłopiec, wstępujący do terminu, ukończył 12 lat.

Teraz co do kontraktu. Kontrakt, gdy idzie o małoletnich, powinien być zawarty zwyczajnie po miesiącu, a najpóźniej po trzech miesiącach próby, który to czas wliczyć należy do nauki (§ 99 a). Kontrakt ten należy ustnie zawrzeć lub na piśmie. Jeżeli ustnie, to wobec przełożeństwa stowarzyszenia przemysłowego lub władzy gminnej. Jeżeli na piśmie, wystarczy po zawarciu przedłożyć go władzy gminnej lub przełożeństwu stowarzyszenia przemysłowego, ażeby tam mógł być wciągnięty do osobnej książki w tym celu założonej.

Ustawa dalej przepisuje szczegółowo, co ma kontrakt zawierać. W kontrakcie mają być wymienione między innymi: data umowy i czas trwania nauki, warunki przyjęcia co do płacy za naukę lub też za robotę ucznia, co do wiktu, przyodziewy i mieszkania i należytości za wpis i wyzwolenie terminatora. Najważniejsze te

warunki umowy mają być dla ewidencyi wciągnięte przez władzę gminną do książeczki robotniczej (§ 99).

Kontrakt, to niezmiernie ważny dokument, jak już wspomniałem. Tylko, że kontrakt ten, cenny i niezbędny dla terminatora, zbyt często usuwa się z pod kontroli władz. Zdarza się nie rzadko, że ani władza gminna, ani przełożeństwo stowarzyszenia przemysłowego, którego najgłówniejszą, a u nas jedyną prawie działalnością jest zajmowanie się sprawami terminatorskiemi, żadnej w tej mierze nie spełniają kontroli. »Jako przykład istotnego stanu rzeczy, pisze hrabia Michałowski, który w sprawach terminatorskich w Krakowie kilkoletnią ma praktykę, niech posłużą piekarze. W r. 1904 było w Krakowie 56 terminatorów piekarskich, o których władza przemysłowa zgoła nic nie wiedziała i wiedzieć nie mogła«. Dlaczego? bo terminatorzy ci wogóle nie byli zameldowani jako terminatorzy. »Niewykonywanie przepisów ustawy wytwarza stan we wysokim stopniu pożałowania godny. W praktyce wskutek tego zaciera się różnica pomiędzy terminatorem a młodocianym robotnikiem nie kwalifikowanym. Terminator wskutek tego bywa używany do najcięższych robót. Majster widzi w nim taniego robotnika« [1].

Zdarza się nierzadko, że istotne części kontraktu, jak to ustawa wymaga, nie są zgoła uwidocznione w książeczce robotniczej terminatora, lub, że terminator żadnej książeczki nie posiada.

Na te i tym podobne niedomagania przynosi projekt noweli pewne ulepszenia. Naprzód przez to, że domaga się dla lepszej ewidencyi i kontroli kontraktu na piśmie zawsze i dla wszystkich terminatorów, idąc w tem za ustawą niemiecką. Czy cel ten da się u nas osiągnąć wobec wielu analfabetów? Ustawa w takim razie każe postępować tak, jak władze postępują przy innych kontraktach z analfabetami. Powtóre projekt domaga się kontraktu specyalnego dla wszystkich terminatorów bez wyjątku. A więc i dla terminatorów pełnoletnich, którzy na niemniejszy narażeni są wyzysk od terminatorów małoletnich.

---

[1] *Przegląd Polski*, zeszyt kwietniowy 1906: »Sprawa terminatorów w rękodziele« (»Stosunki krakowskie«), przez d-ra Józefa Jakóba Michałowskiego. Str. 110.

Dalej ściśle określony jest ustawą przemysłową (§ 98 a) czas trwania nauki. Dla przemysłowców niefabrycznych nie ma on dłużej trwać niż cztery lata i nie krócej niż dwa lata. W ciągu tego okresu należy czy to przez kontrakt, czy to przez statut stowarzyszenia przemysłowego zdeterminować czas trwania nauki. Stowarzyszeniom przemyłowym bowiem przysługuje prawo, w granicach ustawą określonych, oznaczyć czas nauki. W czas też terminowania wlicza się czas nauki, spędzony legalnie u innego majstra.

Tylko że stowarzyszenia przemysłowe w swych statutach zbyt często umieszczają jak najdłuższe termina. Uczeń doskonale mógłby sobie przyswoić wiadomości i wprawę fachową w dwu latach, a stowarzyszenia naznaczają cztery lata. Podobnie też postępują majstrowie. W ten sposób siłą egoizmu klasowego ujednostajnia się czas nauki, pozostawiony dowolnej decyzyi różnych stowarzyszeń przemysłowych, ale bądź co bądź takie przedłużanie bezowocne nauki odbija się niekorzystnie na uczniach i podcina energię i przedsiębiorczość najzdolniejszych częstokroć jednostek. Zdarza się też, że majstrowie przedłużają czas nauki i poza granicę ustawą dozwoloną, jak to stwierdza sprawozdanie inspektora przemysłowego za r. 1900 str. 375. Zdarza się też nierzadko, że ustawy bywają w ten sposób gwałcone, że majster samowolnie przedłuża czas próby, zwlekając z zawarciem umowy o naukę.

Projekt usiłuje nadużyciom tym w ten sposób zaradzić, że skraca najdłuższy obecnie, trzymiesięczny czas próby do czterech tygodni, w którym to czasie należy zawrzeć kontrakt terminatorski. Kto zaś zwleka z wpisaniem lub wyzwoleniem ucznia dłużej niż 14 dni podlega dotkliwej karze. Władza przemysłowa może po zasądzeniu odjąć takiemu majstrowi prawo trzymania uczniów, na zawsze lub do czasu.

§ 101 U. p. określa dalej, kiedy natychmiastowe rozwiązanie kontraktu przed upływem minionego terminu i pod jakimi warunkami może być legalne. Przepisy te odnoszą się w części do majstra, ażeby go uchronić przed możliwemi stratami z powodu nieudolności lub choroby albo czynów karygodnych ucznia, a w czę-

ści do uczniów, ażeby ich uchronić przed nadużyciami ze strony majstra lub jego domowników i pomocników.

Nadto przysługuje uczniowi prawo wypowiedzenia 14-stodniowego we wypadkach ustawą przewidzianych mianowicie, gdy uczeń przechodzi do innego zawodu lub wraca do domu wskutek zmienionych stosunków (§ 102).

Również uczeń może korzystać z wypowiedzenia, jeżeli majster obchodzi się z nim za surowo lub niesprawiedliwie, chociaż postępowanie majstra nie jest tego rodzaju, żeby terminatora uprawniało do natychmiastowego zerwania stosunków, jak np. katowanie ucznia, znęcanie się nad nim pomocników lub domowników, popychanie go do czynów karygodnych, niemoralnych lub nielegalnych.

Warto tu wskazać jeszcze na dwa nadużycia, które są na porządku dziennym.

Pierwsze to używanie ucznia do posług domowych kosztem jego wykształcenia i częstokroć zdrowia. Zapewne terminator był zawsze używany do posług domowych i w okresie kwitnącego rozwoju prastarych cechów. Wynika to zresztą z jego stosunku do majstra, przejętego duchem patryarchalnym.

Ale idzie tu o to, żeby po pierwsze uczeń nie był pozornie tylko uczniem, a w rzeczywistości tanim robotnikiem. Po drugie, żeby uczeń mógł naprawdę wykształcić się fachowo i uzupełnić swoje wykształcenie szkolne. I pod tym względem austryacka ustawa przemysłowa niedomaga. Podczas gdy ustawa niemiecka zakazuje wyraźnie i stanowczo ucznia używać do posług domowych, ustawa austryacka czyni to tylko pośrednio przez to, że zakazuje: *a)* zatrudniać ucznia robotami, które przechodzą jego siły fizyczne; *b)* zabierać uczniowi czasu i sposobności, potrzebnego do wykształcenia fachowego, przez używanie go do posług innych (§ 100).

Drugie nadużycie, którego niekiedy dopuszczają się majstrowie, to równocześnie trzymanie chłopców do roboty obok terminatorów w celu obejścia ustawy, biorącej w obronę terminatorów.

Otóż w takim wypadku według projektu rządowego władza przemysłowa może na wniosek stowarzyszenia lub inspektora

przemysłowego, majstrowi odjąć na zawsze lub do czasu prawo równoczesnego trzymania młodocianych robotników i terminatorów (§ 98). Gdy domagano się w radzie pracy, żeby wogóle zabronić ustawowo równoczesne trzymanie uczniów obok młodocianych robotników, rząd nie przychylił się do takiego postulatu. Utrudniłoby to, twierdzi rząd, z jednej strony prowadzenie przedsiębiorstw, a z drugiej odebrałoby możność zarobku tylu chłopcom, którzy muszą sobie zapracować na kawałek chleba. Wystarczy zwalczać nadużycia. I pod tym względem podaje projekt noweli cały szereg przepisów, które zresztą już dziś obowiązują tylko nie pod karą utraty prawa trzymania uczniów w § 133 a, mianowicie: traci na zawsze lub na pewien czas po zasądzeniu przez władzę przemysłową prawo trzymania terminatorów i młodocianych robotników; *a)* kto nie zachowuje przepisów »co do sposobu i czasu zatrudnienia młodocianych robotników«. *b)* Kto zatrudnia młodocianych robotników w nocy. *c)* Kto zajmuje młodocianych robotników przemysłowemi pracami niebezpiecznemi lub szkodliwemi zdrowiu i t. d. Przepisu zaś co do sposobu i czasu zatrudnienia młodocianych robotników wedle ustawy są następujące: *a)* przed dwunastym rokiem nie wolno wogóle dzieci zatrudniać pracą jakąkolwiek; *b)* od 12-go do 14-go wolno w przemyśle niefabrycznym używać dzieci do robót takich, które nie szkodzą zdrowiu, ani nie tamują fizycznego rozwoju ciała. Czas pracy nadto nie powinien wynosić więcej jak 8 godzin dziennie. W ciągu nocy (od 8-mej godziny do 5-tej rano) wogóle zakazana jest wszelka praca nocna dla młodocianych robotników (od 12 do 16 roku). Tu istnieją atoli z rozporządzenia ministeryalnego różne wyjątki np. dla piekarstwa, dla szynkarstwa i t. d.

Teraz co do wykształcenia szkolnego terminatora.

Wedle ustawy przemysłowej każdy terminator ma ukończyć szkołę przemysłową uzupełniającą. Szkoła ta odbywa się wieczorem po skończonej pracy warsztatowej i ma trwać przez cały przeciąg terminowania, a więc trzy do czterech lat. Zawodowego jednak wykształcenia szkoła uzupełniająca nie daje, obejmuje ona tylko te przedmioty, które są dla rzemieślnika niezbędne z zakresu rachunkowości, stylistyki i rysunków.

Obowiązek uczęszczania do szkoły uzupełniającej kilkakrotnie ustawa z wielkim naciskiem przypomina i majstrom i uczniom. Na straży tego obowiązku stoi dotkliwa kara. Majster w razie powtarzającego się przekroczenia obowiązku posyłania ucznia do szkoły, traci po zasądzeniu prawo trzymania ucznia na zawsze lub do czasu. § 137. Uczniom zaś w razie zaniedbywania obowiązku uczęszczania do szkoły przedłuża się czas terminowania, który jednak nie może więcej wynosić jak 1 rok. Tyle ustawa. A teraz jak zachowuje się ta ustawa?

Opieram się tu na ostatniem sprawozdaniu przedłożonem Sejmowi przez krajową komisyę dla spraw przemysłowych za czas od 1 lipca 1904 do 30 czerwca 1905.

Otóż w sprawozdaniu tem uderzyły mnie przedewszystkiem dwie rzeczy. Naprzód, iż w ciągu roku ostatniego mimo, że dwie nowe przybyły szkoły (jednę zamknięto w Sądowej Wiszni z powodu nadzwyczaj nizkich świadczeń miejscowych) liczba uczniów zapisanych pomniejszyła się znacznie, t. j. o 456 z pośród 6.000 uczniów zapisanych. Jak sobie wytłumaczyć ten ubytek? Coraz więcej szkół przybywa, a liczba uczniów maleje. P. Inspektor krajowy tłumaczy nam, iż przeniesienie czasu nauki na wcześniejsze godziny wieczorne w myśl rozp. minister. z 1903 r. było przeszkodą frekwencyi. Wprawdzie nowe to zarządzenie było dla uczniów, zmęczonych całodzienną pracą warsztatową, konieczne a dla nauki korzystne, ale niedogodne dla pp. majstrów, którzy tracą na tem kilka godzin tygodniowo.

»Ofiara 4-ech godzin pracy na tydzień, mówi p. Inspektor, w czterech wieczorach nauki na korzyść wykształcenia uzupełniającego uczniów wydała się za ciężką pryncypałom. Nie wahali się też wbrew postanowieniu § 75 a, § 100 i 137 ustawy przemysłowej swym uczniom wprost zabraniać uczęszczania do szkoły«. Co to będzie gdy zamienią szkoły wieczorne na dzienne? a za konieczną potrzebą takiej przemiany już się Ministerstwo zasadniczo oświadczyło, gdyż nauka wieczorna dla terminatorów, zmęczonych całodzienną pracą zawodową, ani dla rękodzieł, ani dla przemysłu, ani dla handlu nie przedstawia tych korzyści, jakieby dawać mogła.

Co się tyczy frekwencyi szkół uzupełniających na inną jeszcze stronę ujemną zwraca uwagę p. Inspektor krajowy. »Co do frekwencyi, pisze on, należy jeszcze tę ujemną stronę zaznaczyć, że liczba uczniów z drugiej klasy kursu przemysłowego jest niemal wszędzie, w stosunku do liczby uczniów innych klas zanadto małą. (Np. w Rzeszowie na 85 uczniów zapisanych, znalazło się tylko 10 w drugiej klasie przemysłowej, w Bochni na 90 uczniów 16 i t. d.)«. Tłumaczy się to okolicznością, iż rękodzielnicy opierając się na mylnej interpretacyi § 75 ustawy przemysłowej, mniemali, że terminatorzy obowiązani są tylko do 18-go roku skończonego uczęszczać do szkoły przemysłowej. Ponieważ zaś znaczna część młodzieży terminatorskiej wiek ten już w pierwszej klasie kursu przemysłowego osiąga lub przekracza, przestaje uczeń z ukończonym 18-tym rokiem życia uczęszczać do szkoły pomimo, że nauki w niej nie ukończył. Obecnie mylna interpretacya już uchylona rozporządzeniem ministeryalnem z ubiegłego roku. Czy frekwencya uczniów po tem rozporządzeniu się powiększyła, przekonamy się w roku następnym.

Następstwem tej nad wyraz lichej frekwencyi są nader nikłe rezultaty osiągnięte w nauce. Z blizko 6.000 uczniów odpadło w ciągu roku 1.120, t. zn. prawie $^1/_5$ część. Z pozostałych zaś średnio uczęszczających otrzymało postęp niedostateczny 1228 uczniów, a więc znowu $^1/_5$ część. A cel nauki osiągnęło tylko 60% uczniów zapisanych. Wobec tych rezultatów nauki czyż ofiary pieniężne, które państwo i kraj i różne instytucye na utrzymanie szkół uzupełniających łożą, nie są zbyt wielkie? Każda przemysłowa szkoła uzupełniająca kosztuje od 3.000 do 7.000 kor.

Powtóre uderzyło mnie w sprawozdaniu komisyi dla spraw przemysłowych nadto to, o czem komisya ani słówkiem nie wspomina, mianowicie, że ogromna większość terminatorów wogóle się uchyla od obowiązku uczęszczania do szkół przemysłowych, że ogromna liczba terminatorów nie uczęszcza do szkoły poprostu dlatego, że szkół takich nie zorganizowano lub wskutek analfabetyzmu z nauki korzystać nie może. Bo i analfabetów pomiędzy terminatorami jest dużo tak, że należałoby dla nich założyć osobny kurs przy-

gotowawczy. Tymczasem nie wiedzieć z jakiego powodu Komisya, czytamy w sprawozdaniu, »sprzeciwia się zasadniczo łączeniu kursów analfabetów ze szkołami uzupełniającemi, gdyż szkoła przemysłowa nie może zastępować szkoły ludowej w ciążących na niej obowiązkach«.

W Krakowie do szkół uzupełniających przemysłowych było zapisanych w r. 1902 uczniów 768 w rękodziełach, ilość zaś terminatorów zestawiona na podstawie kas ubezpieczenia chorych przedstawia się w cyfrze 1310. W rzeczywistości jednak jest ich dużo więcej. Bo wielu majstrów uchyla się od ubezpieczenia uczniów w kasie chorych, bo wielu terminatorów pracuje u tak zwanych domowników, którym wedle ustawy terminatorów trzymać nie wolno. A iluż terminatorów będzie w całej Galicyi? może jakie 20.000. Cyfr pewnych tu dostarczyć niepodobna z powodu braku danych statystycznych w tej mierze. A z tych tylko 5.926 było w roku ubiegłym zapisanych do szkoły, a z jakim wynikiem widzieliśmy. Ogromna zaś większość terminatorów z powodu braku szkół i nie zachowania ustawy przemysłowej skazana na nieuctwo, na partactwo i na nędzę.

Wobec takiego stanu rzeczy cóż znaczą wszelkie obostrzenia i dodatki w tej mierze, jakie przynosi nowy projekt, co do frekwencyi szkół przemysłowych?

Projekt noweli do wyż przytoczonych ustępów ustawy przemysłowej dodaje kilka uzupełnień w tym kierunku. Naprzód na majstra (§ 100) nakłada obowiązek, żeby nie tylko regularnie posyłał ucznia do szkoły, jak to obecna ustawa wymaga, ale ma nadto umożliwić nauczycielom regularną kontrolę nad terminatorami, uczęszczającymi do szkoły przez zameldowanie i wymeldowanie ucznia w zarządzie szkoły. Na ucznia zaś nakłada projekt rządowy (§ 99 b) obowiązek uczęszczania do szkoły »aż do zupełnego osiągnięcia celu nauki w sposób przepisany planem nauki«. Uczniowi zaś, który z własnej winy nie osiągnął stopnia w nauce przepisanego lub w drodze dyscyplinarnej ze szkoły na pewien czas wykluczonym został, przedłuża się na wniosek władzy szkolnej czas nauki.

W gruncie rzeczy kara, jaką nakłada ustawa, jest iluzory-

czna i przyczynia się tylko do większych jeszcze nieporządków w tym kierunku. Najniższa bowiem grzywna wymierzona wedle ustawy majstrowi, który nie posyła terminatorów do szkoły wynosi 20 K. Oczywiście kara taka nie przypada do stosunków majątkowych naszych majstrów galicyjskich. Z drugiej zaś strony przedłużenie czasu terminowania dla ucznia jest dla majstra tylko pożądaną rzeczą.

Co się tyczy wykształcenia ucznia ciążą jeszcze na stowarzyszeniach przemysłowych ważne obowiązki. W zakres bowiem najgłówniejszych celów i zadań tych stowarzyszeń, wchodzi obok popierania szkół przemysłowych uzupełniających jeszcze zakładanie szkół ściśle zawodowych, (w takim razie oczywiście upada obowiązek uczęszczania terminatorów do szkół uzupełniających), zakładanie warsztatów naukowych, urządzanie kursów zawodowych i wystaw prac terminatorskich. Ustawa przem. § 114 w tej mierze wymaga, żeby stowarzyszenia przemysłowe popierały interesy kulturalne (naukowe), przez zakładanie i popieranie przemysłowych zakładów naukowych (szkół zawodowych i uzupełniających warsztatów naukowych i t. p.), przez urządzanie zawodowych kursów naukowych dla członków i uczestników, przez wystawy uczniów i t. p.). A projekt noweli § 115 al. 6 postanawia, żeby conajmniej połowa należytości, która wpłynie do kasy stowarzyszenia z wpisowego i wyzwolenia uczniów, była obróconą na cele, dotyczące wykształcenia uczniów, lub cele służące ich interesom z wyjątkiem kasy chorych.

A co na tem polu nasze stowarzyszenia przemysłowe zdziałały? W ostatniem sprawozdaniu instruktora przemysłowego na zachodnią Galicyę czytamy, że stowarzyszenia przemysłowe »na fachowe wykształcenie ucznia u majstrów nie wywierają żadnego wpływu« [1] (str. 137). Co się tyczy kursów fachowych dla terminatorów, o ile mi wiadomo, jeden tylko urządzono w r. 1904 w Krakowie, za przyczyną hr. Michałowskiego w stowarzyszeniu piekarzy. Kurs ten atoli odsłonił tylko smutne nad wyraz stosunki terminatorskie w piekarniach krakowskich. Oto co pisze

[1] Bericht der Genossenschafts-Instructoren, Wien 1904.

o pierwszej tej próbie szkolnictwa zawodowego hr. Michałowski: »W r. 1904 stowarzyszenie przemysłowe piekarzy założyło kurs zawodowy, który przestał istnieć po czterech miesiącach. Cel kursu nie został zupełnie osiągnięty. Istnienie jednak tego kursu pozwoliło wglądnąć bliżej w stosunki uczniów we fachu piekarskim. Na 149 uczniów piekarskich, 57 było zapisanych, 36 nie zgłosiło się do szkoły, a o 56 władze przemysłowe zgoła nie wiedziały, iż przyjęci zostali do terminu. Ten stan rzeczy wynika, jak to już wyżej zaznaczono, z tego, że majstrowie bardzo często przyjmują terminatorów, których władzy przemysłowej lub też stowarzyszeniu podają jako małoletnich robotników (niekwalifikowanych) lub też jako tak zwanych parobków (str. 114)«. Co się tyczy wystaw terminatorskich, to takowe w zachodniej Galicyi zgoła nie były znane. Dopiero w r. 1902 za inicyatywą i staraniem rządowego instruktora p. Schoenetta urządzono pierwszą wystawę terminatorską, w której brało udział 205 uczni ze 109 warsztatów. Wystawa ta trwała przez 10 dni i cieszyła się wielkiem powodzeniem.

Do wykształcenia fachowego terminatorów odnosi się również egzamin terminatorski, który projekt do stowarzyszeń przemysłowych wprowadza i od wszystkich terminatorów się domaga.

Pierwszym, niezbędnym do otwarcia warsztatu rękodzielniczego warunkiem jest dowód uzdolnienia. Według § 14 austr. Ust. przem. Na czem polega ten dowód uzdolnienia? na dostarczeniu świadectwa terminatorskiego i świadectwa pracy. Kto bowiem świadectwa te posiada uzyska dowód uzdolnienia. Istota zaś tych świadectw zasadza się na tem, że rzemieślnik chcący otworzyć warsztat, odbył ustawą określony czas terminowania, zwyczajnie u majstra, a następnie pracował jako czeladnik w jakiem przedsiębiorstwie fabrycznem lub rękodzielniczem. Ustawa nie pyta się o fachowe wykształcenie ucznia, ani o to, czy uczeń odbył prawidłowo czas terminowania, nie domaga się obowiązkowego egzaminu terminatorskiego ani majsterskiego, wystarczy, że ktoś pracował jako terminator a później jako czeladnik wedle wymagań ustawy przez wymagany okres czasu w przedsiębiorstwie przemysłowem.

Wobec tak ogólnikowego określenia dowodu uzdolnienia oczywiście łatwo obejść ustawę. To też celu swego przepis ten nigdy nie osiągnął. A celem jego było: zagrodzić drogę wszystkim lekkomyślnym przemysłowcom, którzy bez fachowego wykształcenia, bez kapitału rzucali się na rękodzielnictwo. Celem jego było wyrugować z rzemiosła wszelkie partactwo i różnych partaczy, którzy tylko obniżają robotę rzetelnym majstrom a płacę kwalifikowanym czeladnikom. To też rękodzielnicy i dziś jeszcze domagają się wznowienia w całym rygorze dawnego dowodu uzdolnienia, który był w ręku cechu najpotężniejszą bronią do usunięcia groźnej konkurencyi. Z dawnych cechów radziby oni zachować, choćby ten jeden wielki przywilej, któryby usunął niebezpieczną konkurencyę w handlu i przemyśle i zamknął magazyny i sklepy kupieckie. A wielu jeszcze marzy o wznowieniu prastarych cechów, na których spoczywała łaska Króla Jegomości i które były opromienione chwałą wielkiego narodu, wielu marzy o wskrzeszeniu dawnych cechów, kwitnących taką zamożnością, że okazała się potrzeba osobnej ustawy przeciwko zbytkowi i hucznym biesiadom cechowym. Ale darmo, dawne cechy i ich era chwały niepowrotnie minęła. Historya nie cofa się. Kto domaga się od cechów tej samej żywotności ekonomicznej, tych samych rezultatów świetnych, ten powinien nie tylko dawne cechy stworzyć wraz ze wszystkimi przywilejami, ale nadto, co najważniejsza, wytworzyć podobny milieu ekonomiczny i polityczny.

Kwitnący rozwój cechów i miast średniowiecza mógł tylko w stosunkach średniowiecznych się wytworzyć i był tylko wówczas możliwy, kiedy miasta wraz z przyległemi terytoryami tworzyły jakby odrębne rzeczypospolite, jakby organizmy w sobie zamknięte, z daleko idącą niezawisłością ekonomiczną i polityczną, kiedy rady miejskie zapomocą twardego regimentu regulowały produkcyę i zbyt towarów i czuwały nad tem, żeby ubogi obok bogatego mógł wyżyć.

Czasy te wobec wszechświatowej komunikacyi i dzisiejszych miast ludnych niepowrotnie minęły. Dziś organizm ekonomiczny i polityczny miast średniowiecznych rozszerzył się w olbrzymi organizm państwowy. Dziś rynek miejski, który zaopatrywał

wszystkie potrzeby ludności, rozszerzył się w rynek światowy. Dziś atrybucye władzy miejskiej i starszyzny cechowej przeszły na rząd i na nieobliczalne czynniki gry ekonomicznej na rynkach światowych. Nawet wznowienie tego jednego przywileju w całym rygorze t. j. dowodu uzdolnienia, któryby usunął konkurencyę i ścieśnił wolność zarobkowania, jest niemożliwem. Bo konkurencya jest czemś dobrem. Przez konkurencyę dokonywa się selekcya dobrego, zwycięża to, co lepsze, przez konkurencyę rozbudza się szlachetne współzawodnictwo. To też nie konkurencyę trzeba zwalczać, lecz tylko konkurencyę nieuczciwą. A na to wystarczy ustawa, któraby nieubłaganie ścigała nierzetelną konkurencyę, na krętych drogach handlu i przemysłu czyhającą na zgubę współzawodnika. Niepodobna też zbyt ścieśniać wolności zarobkowania, bo każdy ma prawo zarobić sobie na kawałek chleba w sposób dla siebie dogodny. Przy dzisiejszem zaludnieniu gęstem ścieśniać zbyt wolność zarobkowania, to rzecz niesprawiedliwa i niebezpieczna. Dzisiejszy duch wolnościowy nie zniósłby, nie ścierpiałby żadnego przymusu, który nie jest bezwarunkowo wymagany przez dobro ogółu. Dzisiejszy duch postępu i w dziedzinie techniki i produkcyi i handlu nie da się ująć, nie da się skrępować w żaden szablonowy porządek na korzyść, choćby tak pożytecznej klasy społecznej, jaką jest rękodzielnictwo. Byłaby to w najlepszym razie sztuczna organizacya, któraby w krótkim czasie siłą stosunku i własną niemocą się rozpaść musiała, jak się ongi rozpaść musiały dawne cechy.

To też projekt noweli, choć podejmuje na nowo reformę dowodu uzdolnienia, nie wychodzi pod tym względem poza myśl zasadniczą noweli przemysłowej z r. 1883. Nie chce on utrudniać przystępu nikomu do rękodzielnictwa, ani ścieśniać wolności zarobkowania, ani usuwać konkurencyi. Idzie mu tylko o podniesienie fachowego wykształcenia rękodzielników i w tym celu obok różnych obostrzeń, mających na celu utrudnienie obejścia ustawy co do dowodu uzdolnienia, wprowadza przymusowy egzamin terminatorski. Egzamina terminatorskie u nas faktycznie już się odbywały po wielu stowarzyszeniach, bo ustawa przemysłowa (§ 114) uprawnia stowarzyszenia przemysłowe do wprowadzania ich w ży-

cie. Wszelako projekt noweli domaga się dużo więcej, bo naprzód rozciąga egzamin przymusowy na wszystkich terminatorów [1], ażeby przekonać się, czy »uczeń przyswoił sobie wiadomości i wprawę fachową«. A powtóre domaga się utworzenia w tym celu komisyi egzaminacyjnej i ułożenia planu egzaminu, podczas gdy obecny egzamin uczniowski odbywa się zwyczajnie w ten sposób, że przełożeństwo stowarzyszenia przemysłowego ocenia wykształcenie fachowe ucznia na podstawie pracy terminatorskiej.

W skład komisyi egzaminacyjnej wchodzą oprócz przewodniczącego, mianowanego po porozumieniu się z Izbą handlową i przemysłową przez władzę przemysłową, jeszcze co najmniej dwaj członkowie, jeden majster i jeden czeladnik. Majstra mianuje przełożeństwo stowarzyszenia przemysłowego, czeladnika wydział pomocników. Powołano tu po raz pierwszy do ważnego w stowarzyszeniu przemysłowem urzędu czeladników. Projekt chce przez to postanowienie wnieść nowe życie do stowarzyszeń przemysłowych. Plan egzaminu przedstawiony przez stowarzyszenie przemysłowe, po wysłuchaniu Izby handlowej i przemysłowej zatwierdza krajowa władza polityczna. Na przewodniczącego komisyi w myśl ustawy wolno powołać profesorów szkół przemysłowych.

Prośbę o dopuszczenie do egzaminu wystosować ma uczeń do komisyi egzaminacyjnej i do prośby dołączyć: 1) świadectwa nauki odbytej u majstra, 2) świadectwo szkolne, t. j. szkoły uzupełniającej. Po egzaminie pomyślnie odbytym otrzymuje uczeń nowe świadectwo, które należy wciągnąć do listu wypisu czyli listu wyzwolenia. Kto nie zda egzaminu, musi go powtórzyć w naznaczonym przez komisyę terminie. Po upływie jednak naj-

[1] Jest to jedyny donioślejszy dodatek Komisyi przemysłowej do projektu rządowego odnośnie do sprawy terminatorów. Projekt rządowy wprowadza obowiązkowy egzamin tylko do stowarzyszeń przemysłowych. Projekt Komisyi rozciąga ten egzamin również na terminatorów, uczących się poza obrębem stowarzyszeń przemysłowych. Władza przemysłowa po porozumieniu się z Izbą handlową i przemysłową ma się postarać w tym celu o Komisyę egzaminacyjną (§ 1046). Jest to, jak widać, kompromis czysto formalny.

dłużej dopuszczalnego przedłużenia czasu nauki nie może być odmówiony list wyzwolenia z powodu niezłożenia egzaminu. List ten wyzwolenia, wystawiony przez stowarzyszenie przemysłowe na podstawie prawidłowo odbytego czasu terminowania i egzaminu terminatorskiego, oznacza postęp niemały w rozwoju ustawowym dowodu uzdolnienia w obrębie rękodzielnictwa. Przepis ten nie wychodzi atoli, jak już wyż wspomniałem, poza myśl zasadniczą noweli z r. 1883; jest on tylko jej skuteczniejszem urzeczywistnieniem.

Oto są najgłówniejsze przepisy projektu noweli do ustawy przemysłowej, tyczące się terminatorów w sprawie wychowania i wykształcenia fachowego. Czy przepisy te w życie wprowadzone osiągną cel, zamierzony przez ustawodawcę, czy usuną choćby najgłówniejsze niedomagania i nadużycia i braki w dziedzinie wychowania i wykształcenia terminatorów? — Niewątpliwie, gdyby weszły w życie. Ale cóż znaczy rozumna ustawa, cóż znaczą najrozumniejsze przepisy, skoro ta ustawa jest nieznaną, skoro te przepisy się nie zachowują, skoro władza mało dba o ich zachowanie a najczęściej jest zupełnie bezsilną wobec egzekutywy. Jeżeli gdzie, to w dziedzinie rękodzielnictwa ta prawda uderza w oczy, że do naprawy stosunków nie wystarcza sama ustawa, ale potrzeba nadto, żeby ustawa ta weszła w świadomość i sumienie publiczne, potrzeba zmiany zapatrywań i poglądów w społeczeństwie i oświaty prawdziwie społecznej, potrzeba, żeby społeczeństwo całym ciężarem opinii publicznej popierało ustawę.

To też społeczeństwo nasze tu przedewszystkiem powinno rozwinąć skuteczną akcyę w tym celu i popierać majstrów i zaopiekować się terminatorami. W jaki sposób popierać majstrów? Naprzód przez szerzenie znajomości ustawy przemysłowej i pielęgnowanie stron idealnych rękodzielnictwa. Wszystkie obowiązki i prawa, wypływające z ustawy powinien każdy rzemieślnik znać, tak, jak je ongi znać musiał każdy członek prastarego cechu. Znać je powinien choćby dlatego, żeby wyzyskać wszystkie korzyści, jakie ustawa mu daje. A potem łatwiej mu będzie i spełnić obowiązki, jakie ustawa na niego nakłada. Stroną idealną rękodzielnictwa niech się zajmą miłośnicy sztuki stosowanej i mi-

łośnicy naszej przeszłości artystycznej w dziedzinie rękodzielnictwa. Mamy przecież klasyczne w tej mierze wzory i stale wspaniałe i relikwiarze i pacyfikały i monstrancye, nie mówiąc już o wielkiem bogactwie utworów świeckiej sztuki zdobniczej. Jest więc na czem budować i na czem się kształcić. Powtóre popierać należy interesy materyalne rękodzielnictwa. Powstało w ostatnim czasie dużo stowarzyszeń czy komitetów, mających na celu popieranie wielkiego przemysłu, albo raczej niewielu naszych przemysłowców. Mnie się zdaje, że niemniej ważne dla przyszłości kraju i dla samego rozwoju wielkiego przemysłu jest wydatne popieranie drobnego przemysłu. Kwitnący bowiem rozwój drobnego przemysłu jest koniecznym warunkiem i podstawą przemysłu wielkiego. Dopiero z pośród armii intelligentnych, pracowitych i sumiennych robotników kwalifikowanych wybija się talent i geniusz przemysłowy. Nie zapominajmy o tem, że prawie wszyscy wielcy przemysłowcy i za granicą i u nas wyszli z rzędu robotników kwalifikowanych i rękodzielników, że niejedna wielka fabryka powstała z rozszerzonego warsztatu rzemieślniczego. Nie zapominajmy o tem, że wszystkie wielkie kraje przemysłowe, jak Ameryka, Anglia, Niemcy, Belgia, Czechy dbają przedewszystkiem o wykształcenie fachowe robotników przemysłowych i werkmistrzów i rękodzielników i ogromne sumy na to przeznaczają. Nas na wielkie sumy nie stać, ale stać nas na poświęcenie się, na rozumną i wydatną pracę w tym kierunku. Ot, ile złego np. płynie ze zwlekania płacenia rachunków rzemieślniczych — poruszyć w tym kierunku i oświecić sumienie publiczne, żeby już raz ustał ten niezdrowy kredyt rujnujący nasze rękodzielnictwo. Ileż zarobku możnaby przysporzyć naszemu rękodzielnictwu przez większe uwzględnianie naszych rzemieślników przy dostawach i zamówieniach publicznych, przy umeblowaniu domów naszych, przy ozdobie kościołów i t. d.

Obok popierania interesów majstrów, zająć się należy opieką nad terminatorami. Praca ta powinna iść zawsze razem, jeżeli ma być wydatną i przynieść owoce. Idzie tu przecież o tysiące młodzieży, która w tak licznych wypadkach przechodzi do szeregów wrogów społeczeństwa i Kościoła. Ileż tam nędzarzy po-

między terminatorami, którzy prócz tego, co noszą na sobie, nie mają żadnej bielizny, żadnego cieplejszego ubrania — a w łachmanach terminator do szkoły nie pójdzie. Ileż tam analfabetów, którzy się zgłaszają po naukę do szkoły przemysłowej a szkoła ich nie przyjmuje — bo dla analfabetów nie są szkoły przemysłowe. Ileż tam biedaków, którzy tylko w braku jakiegoś uczciwego ogniska towarzyskiego wpadają w towarzystwa ludzi nieuczciwych, tułają się w niedziele i święta po zaułkach różnych i podejrzanych szynkowniach. Terminatorami tedy trzeba się zająć, trzeba koniecznie się zaopiekować, jeżeli organizacya katolicka ma się posunąć o krok naprzód. Bez organizacyi bowiem terminatorów niema zdrowej organizacyi czeladników ani majstrów, ani świadomej celu walki ze socyalizmem, który dotąd tylko po miastach się rozwija. Niech tedy po naszych miastach i miasteczkach wytworzą się komitety w celu popierania rękodzielnictwa i majstrów i terminatorów. Komitety, któreby sobie obrały za zadanie popieranie i pielęgnowanie spraw rękodzielniczych i wychowanie religijne i zawodowe terminatorów a wielka sprawa i odrodzenie mieszczaństwa naszego posunie się o potężny krok naprzód.

Ks. Leonard Lipke.

OKRES RZYMSKI W TWÓRCZOŚCI MICKIEWICZA.

(Dokończenie).

Kto w krwawych zapasach ze zwątpieniem i podszeptami szatana pychy doszedł do tak niezłomnych przekonań o godności wiary katolickiej, o jej majestacie i mocy wznoszenia duszy człowieka ku Bogu: ten zdolen będzie oddać się najbardziej skupionej w sobie kontemplacyi nad najgłębszemi tajemnicami tej wiary; a kto objawił jako artysta taką potęgę plastycznego geniuszu w obrazowaniu epickiem wewnętrznych stanów duszy: ten z pewnością znajdzie i na harmonijne a mistrzowskie odmalowanie onych tajemnic dość barw na swej tęczowej palecie. I rzeczywiście w następnych trzech poematach przechodzi Mickiewicz od owego zasadniczego problemu o wzajemnym stosunku wiary i rozumu do kontemplacyi trzech wielkich tajemnic zbawienia: o męce Zbawicielowej, o działaniu łaski w duszy pokutującej i o Eucharystyi.

Pierwszy z tej przedziwnej trylogii utwór, będący poniekąd dopełnieniem pieśni poprzedniej, to krótki, zaledwie 28 wierszowy, w formę sestyny ujęty, prócz zwrotki ostatniej, poemat p. t. Mędrcy. Odczytajmy go naprzód:

I.

W nieczułej, ale niespokojnej dumie
Usnęli mędrcy; wtem odgłos ich budzi,
Że Bóg widomie objawił się w tłumie,
I o wieczności przemawia do ludzi:

»Zabić go«, rzekli, »spokojność nam miesza:
Lecz zabić we dnie? obroni go rzesza!«

II.

Więc mędrcy w nocy lampy zapalali,
I na swych księgach ostrzyli rozumy
Zimne i twarde, jak miecze ze stali;
I wziąwszy z sobą uczniów ślepych tłumy,
Szli łowić Boga — a zdrada na przedzie
Prostą ich drogą, ale zgubną wiedzie.

III.

»Tyś to?« — krzyknęli na Maryi syna.
»Jam« — odpowiedział, i mędrcy pobladli...
»Ty jesteś?« — »Jam jest!« — Służalców drużyna
Uciekła w trwodze, mędrcy na twarz padli;
Lecz widząc, że Bóg straszy, a nie karze,
Wstali przelękli, więc sroższi zbrodniarze.

IV.

I tajemnicze szaty z Boga zwlekli,
I szyderstwami ciało Jego siekli,
I rozumami serce Mu przebodli; —
A Bóg ich kocha i za nich się modli.
Aż gdy do grobu duma Go złożyła,
Wyszedł z ich duszy, ciemniej, jak mogiła.

V.

Spełnili mędrcy na Boga pogrzebie
Kielich swej pychy. — Natura w rozruchu
Drżała o Boga, — lecz pokój był w niebie:
Bóg żyje, — tylko umarł w mędrców duchu!

Oto niemal przed oczyma naszemi rozgrywa się w tym poemaciku potężne misteryum religijne w zarysie, uposażone we wszelkie znamiona strasznej tragedyi ducha ludzkiego. Stają do walki ze sobą: z jednej strony przewrotna, podstępna, zaślepiona pycha zbuntowanych »zimnych i twardych« mędrców-Faryzeuszów i racyonalistów, popartych przez tłumy ślepych uczniów-służalców, — a z drugiej strony, sam samotny Bóg-człowiek, co zstąpił wśród ludzi widomie, jak ich ojciec, brat, przyjaciel, by do nich przemówić o wieczności, by wskazać do niej jedynie wiodącą drogę, by na tę drogę wysoką wyposażyć ich we wszystko,

co do niej konieczne. To dwa przeciwne sobie czynniki tragiczności.

Owi rzekomi »mędrcy«, choć z powodu swej pychy wiecznie w duszach swych niespokojni, przed oczyma tłumów przyoblekli się w pozory spokoju i zadowolenia z siebie. Zdawało się im, że już zapanowali nad światem dusz, że już wszystkie zagadki bytu rozjaśnili »koniecznością« i »przypadkiem«. Usnęli... na laurach!

Z tej drzemki pychy budzi ich nagle wieść, że ten Bóg, któremu oni odmówili bytu, zjawił się widomie wśród tłumów maluczkich a pokornych, że je naucza o wieczności... wbrew wszystkim ich wysiłkom, zdążającym do wyplenienia z serc ludzkich wszelkich t. zw. »odwiecznych przesądów!«

Udawany spokój znika z ich oblicza od razu, a ogarnia ich wściekły szał, wybuchający z szatańską iście zaciekłością. Postanawiają zabić Jezusa Chrystusa, by nie kompromitował ich »zimnych i twardych jak miecze ze stali«, rozumów. Ale ogarnia ich lęk: w świetle dnia boją się rzucić na »Syna światłości« — obierają więc noc. — Oto misterna charakterystyka obozu negacyi przeciw Boskiemu posłannictwu Chrystusa! Już zbliża się chwila tragicznej kollizyi między pychą, trawioną wewnątrz niepokojem, choć na zewnątrz zuchwałą w swej bezsilności — a Bogiem-człowiekiem, pełnym nadziemskiego majestatu, świadomym swej wszechmocy i niewyczerpanej dla ludzi miłości. To pierwsze dwa akty tego tragicznego misteryum.

Trzy dalsze zwrotki zawierają katastrofę tej dziejowej kollizyi. Zbuntowana przeciw powadze Boga pycha onych mędrców staje twarzą w twarz przed Chrystusem, pocącym się krwawym potem właśnie za ich zbrodnie. Zjawiają się w Ogrojcu, by »łowić Boga!« Na dwukrotne pytanie, rzucone z niespokojem, właściwym nieczystemu sumieniu, otrzymują tę samą, pełną boskości odpowiedź: »Jam jest!« Ten majestat Zbawicielowy przejmuje ich grozą; trupia bladość pokrywa ich pomarszczone złością lica; padają nawet na twarz — lecz »widząc, że Bóg straszy a nie karze«: zrywają się na równe nogi bogobójcy, by zbrodniczy zamiar wykonać. I zwlekają z Boga »tajemnicze szaty« — prze-

cząc zjednoczeniu natury Boskiej z ludzką — i sieką szyderstwy niepokalane Jego ciało — i pychą rozumu swego bodą mu serce: »a Bóg ich kocha i za nich się modli«. Ta nieprzebrana miłość Boga-człowieka nie tylko nie rozbraja ich okrucieństwa i przewrotności, ale owszem zaostrza je. Nie spoczną więc, dopóki ich duma nie złoży Go w grób, z którym, jak sądzą, wszystko się kończy.

Epilog tej przejmującej do szpiku kości tragedyi stanowi upojenie bogobójczych »mędrców«, spełniających na pogrzebie Zbawiciela »kielich swej pychy« wśród konwulsyjnych drgań nierozumnej przyrody, przejętej zgrozą na widok najokropniejszej pod słońcem zbrodni!

Ostatni wiersz tego wstrząsającego do głębi poematu skupia w sobie całą jego myśl, wyrażając w niej tak bezsilność głupoty, niedowiarstwa, jak wiecznotrwałą owocność Męki Zbawiciela świata, w słowach godnych Dantego:

»Bóg żyje — tylko umarł w mędrców duchu!« —

Z niewinnej Męki Chrystusa Pana wytrysnęło źródło łask dla upadłego człowieka; wytrysnęły przedewszystkiem Sakramenta św., wśród których Pokuta i Eucharystya dla odrodzonych już przez chrzest członków Kościoła katolickiego są ostatnią deską ratunku. Do tych więc krynic zbawienia zwraca się teraz nasz wieszcz w dwu dalszych poematach: w »Rozmowie wieczornej« i »Do Marceliny Łempickiej«. Posłuchajmy naprzód pierwszego:

I.

Z Tobą ja gadam, co królujesz w niebie,
A razem gościsz w domku mego ducha, —
Gdy północ wszystko w ciemnościach zagrzebie
I czuwa tylko zgryzota i skrucha,
Z Tobą ja gadam! Słów nie mam dla Ciebie:
Myśl Twoja każdej myśli mej wysłucha;
Najdalej władasz i służysz w pobliżu,
Król na niebiosach — w sercu mem na krzyżu!
I każda dobra myśl, jak promień, wraca
Znowu do Ciebie, do źródła, do słońca;

I nazad płynąc, znowu mię ozłaca;
Ślę blask, blask biorę i blask mam za gońca. —
I każda dobra chęć Ciebie wzbogaca,
I znowu za nią płacisz mi bez końca.
Jak Ty na niebie, Twój sługa, Twe dziecię
Niech się tak cieszy, tak błyszczy na świecie. —
Tyś król, o cuda! i Tyś mój poddany!
Każda myśl podła, jako włócznia nowa,
Otwiera Twoje niezgojone rany.
I każda chęć zła jest gąbka octowa,
Którą do ust Twych zbliżam zagniewany;
Póki Cię moja złość w grobie nie schowa,
Cierpisz, jak sługa panu zaprzedany.
Jak Ty na krzyżu, Twój pan, Twoje dziecię
Niechaj tak cierpi i kocha na świecie.

II.

Kiedym bliźniemu odsłonił myśl chorą
I wątpliwości raka, co ją toczy:
Zły wnet ucieczką ratował się skorą,
Dobry zapłakał, lecz odwracał oczy. —
Lekarzu wielki! Ty najlepiej widzisz
Chorobę moją, a mną się nie brzydzisz! —
Gdym wobec bliźnich dobył z głębi duszy
Głos przeraźliwszy, niźli jęk cierpienia,
Głos wiecznie grzmiący w piekielnej katuszy,
Cichy na ziemi — głos złego sumienia:
Sędzio straszliwy! Tyś ognie rozdmuchał
Sumieniu złemu, a Tyś mnie wysłuchał!

III.

Gdy mię spokojnym zowią dzieci świata,
Burzliwą duszę kryję przed ich okiem, —
I obojętna duma, jak mgły szata,
Wnętrzne pioruny pozłaca obłokiem;
A tylko w nocy — cicho — na Twe łono
Wylewam burzę, we łzy roztopioną!

Odczytany dopiero co poemat, nasiąkły łzami pokuty, nazwałbym poetyckiem »Przed oczy Twoje, Panie, winy nasze składamy« naszego wieszcza. Pierwsza część, złożona z trzech pełnych powagi i namaszczenia oktaw, jest podniosłą symfonią ekspiacyjną. Składa się na nią cichy i rzewny szept, tajona rozmowa serca z tym Ukrzyżowanym przez »mędrców«

Zbawcą i Ojcem, który żyje i króluje w niebie, a zarazem gości w domku człowieczego ducha. Oto gwar dzienny ustał — kir nocy przysłonił jego jaskrawą wrzawę. Poeta jest sam i odczuwa blizkość Boga... ale i zgryzotę i skruchę zarazem, bo ten Król na niebiosach, w sercu jego jest na krzyżu. A przecież każda dobra myśl i każda dobra chęć z tego krzyża nań spływa; temu krzyżowi zawdzięcza on każdy swój postęp ku dobru. To też wyznaje z iście chrześcijańską pokorą, że niejednokrotnie nadużył tej nieskończonej miłości ojcowskiej, bo każda myśl podła, grzeszna, jako włócznia nowa otwiera Zbawiciela rany; a każda chęć zła t. j. grzeszna żądza, jest gąbką octu, którą zbliża roznamiętniony grzesznik do ust konającego Chrystusa. Tak odnawia dusza niewdzięczna tajemnicę Męki Pańskiej, niepomna, co Bóg dla zmazania win ludzkich wycierpiał; tak staje się niejako Panem i tyranem Boga. — Oto sam rdzeń grzechu wydobyty na jaw w poetyckiem słowie — oto zarazem nadprzyrodzona pobudka najczystszego żalu i skruchy za winy! I w istocie, z duszy poety, zapatrzonego w rany krwawiące Ukrzyżowanego, dobywa się pod koniec tej pierwszej części pragnienie pomsty na sobie samym za winy własne... dla Umiłowanego:

Jak Ty na krzyżu (za grzechy me rozpięty)... Twoje dziecię niechaj tak cierpi i kocha na świecie!

Spokojny dotąd przeważnie tok myśli ekspiacyjnej w części II tej »Rozmowy« wzmaga się w sile wyrazu, potężnieje mocą kontrastów między marnością ludzkiej pociechy, a skutecznością pociechy »Lekarza wielkiego«, — między obojętnością bliźnich na przeraźliwe jęki sumienia, targanego w piekielnej katuszy, a nieskończonem miłosierdziem »Sędzi straszliwego«, który sam te ognie sumienia grzesznego rozpala, ale i sam jeden tylko je gasi, wysłuchując skruszonego grzesznika. Ta część symfonii, jako odmienna nastrojem, ma też inną formę: fale jej płyną gwałtowniej, ujęte w przepyszne sestyny.

Ostatnia zwrotka — znowu sestyna — jest artystycznym finałem całej tej przedziwnej pieśni skruchy:

powraca w niej bowiem motyw, od którego się zaczęła. Dzieci świata spokojnym zowią poetę, bo przed ich ciekawem a złośliwem okiem kryje on tajemne swe zgryzoty; — ale w nocy, gdy jest sam na sam z Bogiem, to owa wewnętrzna burza zamienia się w potok łez pokutnych, w których znajduje on ulgę — gdyż powracają mu synowstwo Boże.

Serce, co odzyskało wiarę, co się oczyściło we łzach pokuty, potrzebuje umocnienia w dobrem, potrzebuje dusznego pokarmu, szuka i pragnie najściślejszego zespoleia z Bogiem, jako zadatku odzyskanej miłości i rękojmi na żywot wieczny. Tę rękojmię swej niepojętej miłości zostawił nam Boski Zbawiciel w Najśw. Sakramencie Ołtarza. To też dusza po katolicku wierząca, przebywszy szczęśliwie proces swego nawrócenia do Boga, od którego odpadła przez grzech, musi całym instynktem swoim, całym pędem miłości dążyć do tego mistycznego zjednoczenia z Jezusem w Najśw. Sakramencie. I ten objaw pełni katolickiego życia znalazł artystyczny swój wyraz w liryce religijnej Mickiewicza z okresu rzymskiego. A jest nim »Wiersz do Marceliny Łempickiej w dzień przyjęcia Komunii św.« Łempicka była w Rzymie przy boku Henryki Ankwiczównej, swej siostry ciotecznej, niemal jej Aniołem Stróżem. Przez swą zatopioną w Bogu pobożność, przez niezwykłą niewinność serca i czystość duszy budziła w każdym cześć dla swej cnoty, a przykładem swoim pociągała ku Bogu [1]. Z autografu wiersza »Do Marceliny Łempickiej«, znajdującego się w bibliotece Wiktora hr. Baworowskiego we Lwowie, wynika, że poemat ten napisał Mickiewicz po powrocie z nabożeństwa u OO. Jezuitów w al Gesu w Rzymie, najprawdopodobniej dnia 9 stycznia 1830 r. Patrzał tam z wielkiem w duchu zbudowaniem na Ankwiczów, a zwłaszcza na pobożną i głęboko wierzącą Marcelinę, która owego dnia w al Gesu przystępowała do Stołu Pańskiego [2].

---

[1] W r. 1840 została Siostrą Miłosierdzia a umarła we Lwowie 1843 r. na posłudze zarażonych tyfusem. Odyniec: »Listy z podróży«, IV, 362.

[2] Por. »Uwagi wydawcy«, prof. Bruchnalskiego, w II tomie wydania pomnikowego »Dzieł A. Mickiewicza«, p. 536—537.

Przykład jej rozbudził w poecie pragnienie doskonalszego zjednoczenia z Bogiem w Eucharystyi, co w tym krótkim, z 26 wierszy jeno złożonym poemaciku, o formie swobodnej, najbardziej i od razu uderza. Oto całkowita osnowa utworu:

Dziś cię za stołem swym Chrystus ugościł,
Dziś Anioł tobie niejeden zazdrościł!
Ty spuszczasz oczy, które Bóstwem gorą:
Jak ty mnie swoją przerażasz pokorą,
Święta i skromna! — Grzesznicy nieczuli,
Gdy my w spoczynku skroń ospałą złożym.
Tobie, klęczącej przed Barankiem Bożym,
Jutrzenka usta modlące się stuli:
Wtenczas zlatuje Anioł, twój obrońca,
Czysty i cichy, jak światło miesiąca;
Zasłonę marzeń powoli rozdziela,
A troskliwości pełen i wesela,
Z takiem nad tobą schyla się objęciem,
Jak matka nad swem — sennem niemowlęciem. —
Jeżeli promień nieśmiertelnej łaski
Zbyt żywo w oczach Anioła jaśnieje,
I gdy się senna zbyt żywo rozśmieje:
Anioł łagodnie przygasa swe blaski,
Stula nad senną zasłonę marzenia
I odlatuje, biorąc twe westchnienia;
Lecz nim odleci, kładzie wdzięki nowe,
Jak nowe suknie dziecięciu pod głowę:
Tak się piastunka jego codzień budzi
Z nową miłością u Boga i ludzi. —
Jabym dni wszystkich rozkosz za nic ważył,
Gdybym noc jedną tak jak ty przemarzył!

Dwa przeciwieństwa składają się na dziwnie eteryczną i lotną przędzę tej pieśni uwielbienia niebiańskich godów duszy niewinnej z przeczystym Oblubieńcem, Barankiem Bożym, w Najśw. Sakramencie Ołtarza. Pierwszy kontrast to świętość, skromność, pokora tej anielskiej duszy, przy Stole Pańskim, Bóstwem gorejącej i z Niem zjednoczonej — a przerażenie patrzącego na nią grzesznika, który choć daleki jeszcze od tej śnieżnej białości, bo jest dopiero na drodze do nawrócenia swego, ale ani nie utracił szacunku dla cnoty, ani nie wyrzekł się nadziei jej odzyskania. W jak pro-

stych, a silnych słowach wyraził tu poeta dobrze przez siebie odczutą zasadę katolickiej wiary, że do Eucharystyi może tylko przystępować dusza oczyszczona z grzechów! — Drugi kontrast, to z jednej strony nieczułość grzeszników, ciężkie ich i gnuśne ospalstwo, przykuwające ich do błocka tej ziemi — a z drugiej strony anielska lekkość duszy niewinnej, pogrążonej i zatopionej całkowicie w Bogu, z takim żarem, że zdolna jest po Komunii św. i noc całą spędzić na klęczkach przed Barankiem Bożym w ekstatycznym zachwycie, a nawet we śnie staje się »piastunką« niebiańskich myśli i uczuć, które jej serce przepełniają wzmożoną miłością i Boga i ludzi. — Ten ostatni obraz może posłużyć za dowód, jak znakomicie zrozumiał Mickiewicz znaczenie Eucharystyi dla wyrwania duszy ludzkiej z objęć materyi i dla jej wzlotów ku Bogu w najbardziej natchnionej modlitwie. Sam koniec utworu zawiera brylant najczytszy... osobiste wyznanie poety, że za jedną taką chwilę uniesienia i zatopienia się w Bogu gotówby był cały świat rozkoszy ziemskich poświęcić:

Jabym dni wszystkich rozkosz za nic ważył,
Gdybym noc jedną tak jak ty przemarzył!

Na tym najwznioślejszym wybuchu tęsknoty za Bogiem kończy się liryka religijna A. Mickiewicza z okresu rzymskiego, wzięta w znaczeniu ścisłem. Kto taką drogę przebył, jaką odsłania przed nami pobieżna analiza tej poezyi rzymskiej Adama, ten z pewnością i ostatnie zapory samolubstwa i pychy zmiażdży; a co tak głęboko przeczuł, przemyślał i w nieśmiertelnych pomnikach artyzmu swego na wieki zaklął, za tem też w życiu pójdzie. Z. Krasiński powiedział, że

. . . modlitwa jedyna,
Co godna Stwórcy, od hymnu się wszczyna,
Lecz nie zna myśli i czynów rozdziału!

Mickiewicz był tak szczery w życiu swem, że w wyższym daleko stopniu, niż autor »Przedświtu«, potępiał rozdział myśli od czynu, czyli ideałów poetycznych od praktyki. To też wkrótce, jak to we wstępie wskazałem, czynami stwierdził, co wielbił w poezyi.

Na zakończenie tej pracy zostawiłem ostatni wiersz z okresu rzymskiego p. t. »Arcymistrz«, jest on bowiem nie tylko konsekwencyą, wynikającą z katolickich przekonań Adama w tej dobie, ale równocześnie jego wyznaniem wiary artystycznej. Wewnętrzna jednolitość i spójnia duszy, nieznającej rozdźwięków, znalazła w tym maleńkim, z 24 wierszy, a 4 sestyn złożonym poemacie, najwspanialszy wyraz tak indywidualnych jak i zasadniczych poglądów poety na cele i zadania wszelkiej sztuki. Posłuchajmy naprzód, co nam poeta głosi:

I.

Jest Mistrz, co wszystkie duchy wziął do chóru
I wszystkie serca nastroił do wtóru,
Wszystkie żywioły naciągnął, jak struny, —
A wodząc po nich wichry i pioruny,
Jedną pieśń śpiewa i gra od początku:
A świat dotychczas nie pojął jej wątku!

II.

Mistrz, co malował na niebios błękicie
I malowidła odbił na tle fali;
Kolosów wzory rzezał na gór szczycie
I w głębi ziemi odlał je z metali:
A świat przez tyle wieków, z dzieł tak wiela,
Nie pojął jednej myśli Tworzyciela!

III.

Jest mistrz wymowy, co Bożą potęgę
W niewielu słowach objawił przed ludem,
I całą swoich myśli i dzieł księgę
Sam wytłumaczył głosem, czynem, cudem:
Dotąd Mistrz nazbyt wielkim był dla świata;
Dziś świat nim gardzi, poznawszy w Nim brata!

IV.

Sztukmistrzu ziemski! czem są twe obrazy,
Czem są twe rzeźby i twoje wyrazy?
A ty się skarżysz, że ktoś w braci tłumie
Twych myśli i mów i dzieł nie rozumie!
Spojrzyj na Mistrza i cierp, boży synu,
Nieznany albo wzgardzony od gminu!

Na tej dziwnie skąpej w słowa i szczupłej kanwie czterech sestyn wypowiedział się cały geniusz mickiewiczowskiej plastyki!

Każda zwrotka jest dla siebie takiem arcydziełem skończonem, a wszystkie razem splatają się w tak zachwycającą symfonię myśli, barw i tonów, że lękam się tykać skalpelem analizy tej przecudownej tkanki. Pójdę więc jeno za tokiem zasadniczej myśli utworu.

I i II sestyna poświęcona jest Bogu-Stworzycielowi; III zawiera obrazy, napomykające nam działalność Syna Bożego i Ducha św.; a IV zwraca się do artystów wśród ludzi. — Któż staje przed zdumionym wzrokiem duszy w sestynie I? Oto wszechpotężny, przeolbrzymi, nieskończony Mistrz-Twórca, w postaci zachwycającej Boskiego Pieśniarza i Muzyka, otoczonego chórem niezliczonych duchów anielskich, wśród wtóru strojnych serc ludzkich, z cudowną w wszechmocnej dłoni harfą, na którą naciągnął, jako struny, żywioły wszystkie widomego świata, wygrywające na niej od początku istnienia najbardziej harmonijne symfonie kosmiczne! — Jest to w swej potędze intuicyjnej prawdziwie apokaliptyczna wizya!

W drugiej sestynie ten sam Mistrz-Twórca występuje przed nami, jako nieśmiertelny artysta-malarz, rozporządzający blaskami świateł na przeźroczach fal oceanowych i barwami błękitu niebios; jako rzeźbiarz kolosów tak na powierzchni, jak w głębi ziemi. Podobnie maluje nam wszechmoc Boga-Stworzyciela tylko Pismo św. Starego Zakonu. Sestyna trzecia wtłacza w przepyszny obraz działalność Ducha św. i Zbawiciela na ziemi, wśród ludzi, porównaną niejako z resztą sztuk pięknych, które posługują się słowem. Mową, czynem, cudem — w niewielu słowach, ale przenikających ukryte przed okiem śmiertelnych istot tajemnice Bóstwa i żywota wiecznego — objawia nam Duch św. i Syn Boży całą potęgą Trójcy Przenajświętszej.

Cóż za myśl zawarł poeta w tych trzech przeogromnych wizyach? Czyż nie określił w nich najwidoczniej samej istoty widomego we wszechświecie piękna, jego nieśmiertelnych wzorów, barw i kształtów, jako odźwierciedlenia nieskończonej potęgi twórczej Bóstwa w trzech osobach jednego? Takie pojęcie przyrody całej, jako

dzieła sztuki Bożej, jest jedynie katolickiem[1]; ono przed nią otwiera niezmierne widnokręgi piękna, którego nigdy wyczerpać nie można. Ono też niema w sobie ani krzty obłędliwych mgieł pogańskiego panteizmu, którym się lubią popisywać liliputowe, zwyrodniałe i kalekie wyobraźnie dzisiejszych dekadentów sztuki. Takie, a nie inne pojęcie sztuk pięknych, było jedynie godnem Mickiewicza, jako geniusza »z Bożej łaski« naprawdę, a nie z fantastycznego urojenia tylko, — geniusza, który umiał odczuwać i odtwarzać całe przedmiotowe piękno rzeczywistych zjawisk przyrody i ducha ludzkiego, ale równocześnie duchem i sercem wierzącem umiał wzlatywać poza byt materyalny i namacalny w sfery nadprzyrodzone, do Boskiego źródła wszelkiej prawdy, dobroci, piękna i sztuki. Lecz w »Arcymistrzu« wskazał Mickiewicz coś więcej, prócz źródła piękna w wszechświecie i drogi, którą w jego odtwarzaniu winien pójść artysta: boć w każdej z trzech pierwszych sestyn przy końcu dźwięczy głos serca, przejętego podziwem dla piękności Bożej i zdumieniem na widok ludzi grubych i dusz ich tępych, które są ślepe na ślady tej piękności Bożej objawionej w przyrodzie. Wszak poeta skarży się na to, że »świat dotychczas nie pojął wątku« tej pieśni-cudu, na arfie wszechbytu przez Boga-Pieśniarza wygrywanej; że »przez tyle wieków, z dzieł tak wiela, nie pojął jednej myśli Tworzyciela»; że »dotąd mistrz nazbyt był wielkim dla świata«, gdy mu się objawiał, jako Bóg-Stwórca; ale gdy się z ludzkością zbratał przez Wcielenie Syna Bożego, przedwiecznego Λόγος, to przewrotna ludzkość »gardzi Nim, poznawszy w Nim brata«. Do czegoż prowadzi poetę ten szereg rozdzierających serce refleksyi? Oto celem ich przygotowanie umysłów do ostatniej sestyny, w której Mickiewicz zawarł swój wniosek, swą nawskróś katolicką zasadę dla artystów chrześcijańskich. Wszak obrazy, rzeźby, tony, słowa sztukmistrzów ziemskich są bladem jeno odbiciem rzeczywistego piękna przyrody, i nieskończenie słabiuchnem przeczuciem wszechpiękności Bóstwa. Jeśli więc Bóg w swych tworach tak mało jest

[1] Por. Meschler, o. c. str. 431—440.

pojęty przez własne stworzenia, jeśli Słowo Boże za swą naukę, czyny, cuda, doznało i doznaje do dziś niepamięci, a nawet wzgardy i prześladowania: to i genialny sztukmistrz ziemski, w twórczości swej tak bardzo ograniczony, powinien, »nieznany albo wzgardzony od gminu« ból swój zamknąć w sercu i złożyć go w ofierze u stóp krzyża: gdyż jeśli sztuka jego była wyrazem niczem nieugaszonej tęsknoty i głodu za Bogiem, za Jego przedwiecznem pięknem; jeśli Pan wzniósł w niebo jego gromowładne czoło, jak tęczę, i umalował promieni swych tysiącem: to »będzie ono błyszczeć na świadectwo wierze« po wsze czasy, a »gdy luną klęski z niebieskiego stropu« i gdy naród takiego wieszcza »zlęknie się potopu«, to »spojrzy na ową tęczę«, wiodącą go do Boga, *ad astra,* »i wspomni przymierze« — i pójdzie śladami swego ziemskiego króla-Ducha ku prawdzie, ku miłości, ku dobru bez końca. — Tak bowiem dla narodów, jak i dla prawdziwie chrześcijańskiego artysty jest:

. . . jedna tylko droga:
Z serca przez miłość do Boga.

Profesor W. Lutosławski, inicyator i kierownik »Wszechnicy Mickiewicza w Londynie«, w projekcie swej uczelni [1] uważa systematyczne studyum nad dziełami trzech geniuszów naszej poezyi wieszczej, a zwłaszcza nad pismami A. Mickiewicza, za główny obowiązek swych uczniów dla ich obrony »przed wynarodowieniem myśli i uczuć« [2], dla zdobycia »niepodległości ducha i niezależności narodowej« [3].

Niniejsza praca, która wśród zajęć i obowiązków zawodowych była dla piszącego prawdziwem wytchnieniem i skąpaniem ducha w najczystszych zdrojach katolickich i narodowych, tryskających tak przeobficie z liryki rzymskiej A. Mickiewicza, —

---

[1] Por. »Sprawozdanie z Wszechnicy Mickiewicza w Londynie za lata 1902—1905« dodane do »Logiki ogólnej« tegoż autora. Londyn-Kraków 1906.
[2] Tamże, str. 19.
[3] Tamże, str. 21.

utwierdza mnie w przekonaniu, że w zasadzie przez profesora Lutosławskiego postawionej tkwi dużo prawdy.

Po pięćdziesięciu latach, które minęły od śmierci wielkiego twórcy »Pana Tadeusza«, i dzisiejsze pokolenia mogą z całą szczerością pisać się na słowa i sąd o nim wypowiedziany przez Z. Krasińskiego (w liście do A. Sołtana): (Mickiewicz) »był dla ludzi mego pokolenia i miodem i mlekiem... i krwią duchową: my z niego wszyscy... Był to jeden z filarów, podtrzymujących sklepienie... z serc tylu żywych i krwawych... Największy wieszcz, nie tylko narodu, ale wszystkich plemion słowiańskich...«

Czyż obecne pokolenia pogrobowej Polski, żyjące w tak ciężkich i mozolnych warunkach bytu, nie powinnyby tego samego imać się *Credo*, gdyby szczerze pragnęły ratować ducha narodowego od zagłady, od zatraty, od zatrucia?... Światopogląd religijny, narodowy i artystyczny, wytworzony przez Mickiewicza, jest najpiękniejszą i najcenniejszą spuścizną naszą własną. Gdy się ziarno jego haseł, zasad, ideałów zasadniczych i podstawowych oddzieli od chwilowych omamień, zboczeń lub obłędów, to znajdzie się w niem tyle zdrowego i posilnego pokarmu, iż starczy on dla duchowego odrodzenia i podniesienia naszego społeczeństwa na wyżyny najwznioślejszej katolickości i najczystszej, bezosobistej miłości ojczyzny. Bo, zaiste, taki jak Mickiewicz

Wieszcz to wybrane, przedrogie naczynie,
To coś z wszechmocy Bożej w kruchej glinie,
Darowanego ludowi na chlubę,
Na światłość wiekom, pod ciemności grube!
Jako wysoka wieżyca u morza,
Na której czole zapalona zorza
Świeci żeglarzom w nocy ku przystani:
Wieszcz świeci wiekom wśród czasów otchłani! [1]

Dałby najmiłościwszy Bóg, żeby te święte katolickie hasła naszego wieszcza objęły wszystkie przyszłe pokolenia młodej Polski i stały się dla nich »arką przymierza między dawnemi i młodszemi laty«; były im »mlekiem i miodem i krwią duchową«;

[1] B. Zaleski: »Pisma« t. IV, 152, »O geniuszach, do A. M.« Lwów.

stały się dla nich »cudowną wodą w Betsaidzie« [1], uzdrawiającą schorzałego »Paralityka« i »Łazarza narodów«! Bo nie zapominajmy, że:

Znikną od prądów chwilowych zawiśli,
Za widmem sławy goniący sztukmistrze;
Lecz nie zaginie siew szlachetnych myśli
I nie przepadną natchnienia najczystsze [2].

Ks. Romuald Koppens.

[1] B. Zaleski: »Pisma« t. IV, str. 121.
[2] A. Asnyk.

W ARABII SKALISTEJ.

Wrażenia z podróży r. 1905.

(Ciąg dalszy).

Jesteśmy już w Arabii. Warto więc przypomnieć sobie — w najogólniejszych oczywiście zarysach — co nam o Arabii opowiadają geografowie[1]. Arabia — półwysep wielki jak trzecia część Europy — znajduje się w samym środku starego świata. Z masą kontynentalną wiążą ją łańcuchy górskie od Synaju aż po Taurus. Jako ląd przejściowy, należy Arabia i do Azyi i do Afryki. Jej proste ukształtowanie granic, kierunek pasm górskich, wreszcie objawy klimatyczne, przypominają wielce Afrykę; natomiast spadzistość dolin, sąsiedztwo z niziną Eufratu (na przestrzeni 1000 kilometrów) każą w niej upatrywać córę Azyi. W rzeczywistości jednak stanowi Arabia świat odrębny dla siebie, mimo licznych węzłów wiążących ją z Afryką i Azyą. Nawet historya przemawia za tem twierdzeniem. Choć położona w środku między Afryką a Azyą, Arabia nigdy nie była wciągnięta w wir handlowy świata. Drogi handlowe Wschodu omijały ją: Azya utrzymywała komunikacyę z Afryką przez wybrzeże syryjskie i ostatnie Synaju wysłanniki. Zaniedbana i jakby wzgardzona, oddzielona chińskim murem strasznej pustyni od ówcze-

[1] W tym ustępie korzystałem głównie z pomnikowego dzieła É. Reclus: *Nouvelle géographie universelle.* T. IX. p. 827 sqq.

snego cywilizowanego świata, z drugiej zaś strony skąpana z trzech boków oceanem indyjskim (ściślej mówiąc: morzem arabskiem) i jego zatokami (morzem czerwonem i zatoką perską) — słusznie, zdaje się, nosi między Arabami nazwę: »wyspy arabskiej«, *żezirat-el-'Arab.*

Ponieważ od północy Arabia nie posiada granic naturalnych, przeto niema zgody między geografami co do jej powierzchni. Również brak jej z tej strony wszelkich granic etnograficznie stałych. Beduini, mieszkańcy Arabii, nie mogą być w tej kwestyi czynnikiem rozstrzygającym, albowiem z jednej strony spotyka się ich już za Jordanem, z drugiej zaś strony koczownicze te plemiona zapuszczają swe zagony aż po starą drogę światowego handlu, która w prostej linii przerzynając pustynię syryjską [1], łączyła Babylon z Antyochią. Z tego powodu Arabia nie może posiadać od północy żadnych granic politycznie ustalonych, gdyż Beduini przenoszą ciągle swe namioty z Hamad do *Badiet el 'Arab* [2], lub odwrotnie, kierując się w tem jedynie brakiem lub dostatkiem wody, obfitością paszy, przyjaźnią lub niezgodą plemion i t. p. Zwiększa jeszcze zamieszanie okoliczność, że niektórzy z geografów chcą wyłączyć z Arabii półwysep synajski i ziemię Midian (Madian), politycznie zależną od Egiptu, a niektórzy nawet wszystkie posiadłości tureckie w Arabii usuwają z rachunku. Te różne poglądy wprowadzają w powierzchnię Arabii małą różnicę, bagatelę, bo tylko milion kilometrów kwadratowych. Według pierwszego zdania [3], które do Arabii zalicza cały jej półwysep (z posiadłościami tureckiemi) odgraniczony od północy linią idącą od miasta Gazy przez Bezsabeę, południowe wybrzeże Morza Martwego, Kerak, Hauran, Palmyrę aż do Eufratu — a nadto wlicza do Arabii Synejskie pogórze — według tego zdania Arabia miałaby 3,156.558 klm². Wyłączając zaś z Arabii z drugą opinią *per fas et nefas* terytorya podległe Turcyi (Heżas, Assir, Jemen, El Hasa) a nadto Synaj i Midian, otrzymalibyśmy więcej niż 2 miliony kilometrów kwadratowych prze-

[1] Po arabsku zwaną *Badiet-esz-Szam* albo *Hamad.*

[2] Puszcza arabska.

[3] Por. Engelhard: *Die Bevölkeruug der Erde* 1874.

strzeni. Pierwsze zdanie więcej przemawia do przekonania i jest ogólniejszem.

Na tym niezmiernym obszarze ludność jest bardzo nieliczną i kapryśnie rozłożoną. Liczba mieszkańców całej Arabii zaledwie równa się zaludnieniu Galicyi. Środek półwyspu jest nam bardzo mało znany. Że nasze wiadomości geograficzne są w tym względzie nieco bogatsze od wiedzy aleksandryjskiego geografa, należy przypisać heroicznym wysiłkom podróżników badaczy, takich jak Karsten, Niebuhr (1762), Burckhardt, Galinier, Sadlier (1819), de Wrede, Palgrave (1862), a przedewszystkiem Halévy. Między bardzo licznemi plemionami, wypełniającemi wnętrze półwyspu arabskiego, za najpotężniejsze uchodzą: Janzeniści Islamu: *Wahabici*. Wszystkie te plemiona są politycznie niezależne i niezawisłe od nikogo; to stanowi ich chlubę i najdroższy skarb, z tego są najwięcej dumni. Arabowie zamieszkali na zachodniem wybrzeżu podlegają Turcyi. Na południową granicę niezaprzeczony wpływ wywiera Anglia z Adenu, a w ostatnich czasach na wybrzeże wschodnie z Koweitu.

Całe zachodnie wybrzeże półwyspu, z ʿAkaby aż po Bab el Mandeb, wypełnia masywny wał górski, poprzerzynany tysiącznemi *wādi* (dolinami), często bardzo przepaścistemi, — wał, który się wznosi przeciętnie od 1500—2.000 metrów wysokości. Najwyższe jego szczyty dochodzą do 3.100 m. i są najczęściej granitowego lub porfirowego układu. W ogólności góry Arabii są pochodzenia wulkanicznego, czego dowodem ogromna ilość wygasłych wulkanów. Prawie każdy szczyt nosi na sobie ślady wulkanicznej roboty: »skały ogniste«.

Zdaniem badaczy, którzy zwiedzili te krainy, trudno znaleść na globie ziemskim skały równie dzikie a tak cudnie zabarwione. Że w tem jest dużo prawdy przekonałem się w Petra. Najdzikszemi jednakowoż górami są wyniosłości ʿ*Omānu*, które na wschodniem wybrzeżu Arabii ułożyły się prawie równolegle do łańcuchów Jemenu. Według botanika Aucher'a Eloy, góry Synaju w porównaniu z pasmem Maskaty [1] są ogrodem.

---

[1] *Maskata* miasto w Omanie.

Starzy geografowie z Ptolomeuszem na czele, dzielili zachodnie wybrzeże Arabii, które jedynie bliżej znali, na dwie części: południową część (dziś Jemen i Assir) zwali »Arabią szczęśliwą« *(Arabia felix)*; część północną ochrzcili mianem »Arabii skalistej« *(Arabia petraea)*. Do tej ostatniej zaliczali zawsze półwysep Synajski, krainę na południe od Morza Martwego i dzisiejsze prowincye Midian i Heżaz.

Obydwie nazwy nader trafne. I tak stwierdzają podróżnicy, że południowo-zachodni pas nadmorski Arabii jest najbogatszym w płody krajem na ziemi. Chociaż leży na geograficznej szerokości Abissynii, Nubii i Sahary, mimo to jednak z powodu wysokich gór, przypomina częściowo klimat Hiszpanii i Włoch. W zimie śnieg nie jest tam rzadkością. Obfite deszcze w czerwcu i lipcu, w czasie największych upałów, ochładzają znacznie temperaturę i zwiększają płodność i tak już urodzajnej ziemi. Liczne miasta Jemenu leżą prawie zawsze na wysokości 2000 m.; miasto Sana a stolica tej szczęsnej krainy, leży na wysokości 2.130 m.; — wysokość, na której Europejczycy nie marzą nawet budować większych miast.

Góry Jemenu pokrywa bujna a cudna roślinność południa i ocieniają wielkie drzewa. Nawet spadzistości górskie wyzyskano — podobnie jak na Libanie — pod uprawę, budując sztuczne terasy, i tworząc olbrzymie nieraz a śliczne amfiteatry kwiecia... Warunki klimatu i płodność ziemi przemieniły tam Beduina w osiadłego rolnika. Uprawia on ziemię i troskliwie pielęgnuje jej płody, aromatyczną kawę mokę[1], przyniesioną tu z Etyopii, balzam, myrrę, *olibanum*, różnorodne wonne kadzidła, gumę arabską, daktyle[2], drzewo *phoenix*, przeniesione do Europy przez Fenicyan i t. d. i t. d.

To niesłychane przyrodzone bogactwo Arabii szczęśliwej, drażniło wszystkich zdobywców świata od Babylończyków po-

---

[1] Z miasta Moki w Jemenie, gdzie rośnie na wysokości 400—1500 m., nie zaś z Mekki, jak czasem sądzą niektórzy.

[2] Niedawno mahomet zachęcał Arabów: »czcijcie drzewa daktylowe, bo to wasze matki« — jakoż w istocie są one pożywieniem, nieraz wyłącznem, Araba na pustyni.

cząwszy. Nawet pokojowy August słał tu swe legiony. Obecnie, niestety! Arabia szczęśliwa należy do Turcyi. Zyski handlowe przeszły prawie wyłącznie w ręce Anglików, odkąd (w r. 1839) zajęli najlepszy port tej ziemi Aden. Wielu sułtaników i szechów arabskich z wnętrza kraju i z Hadramantu [1], ulega obecnie, mniej lub więcej, wpływowi angielskiemu i pobiera od rządu brytańskiego pensye, zachowując sobie, wedle taktyki angielskiej, wszelkie honory i pozory władzy. Obecną rewolucyę w Jemenie przypisuje Turcya także agitacyi angielskiej.

Arabia skalista — cel mojej podróży — obejmowała jak wspomniałem w nomenklaturze starych geografów, dzisiejsze prowincye Heżazu, Midianu, Synaj i krainę położoną na południe od Morza Martwego. I jej miano »skalista« trafnie dobrane. Że półwysep Synajski wypełniają łańcuchy gór skalistych, o tem wie każdy. Ale i wszystkie inne pasma górskie tej krainy są κατ' ἐξοχήν skaliste. Przypatrzymy się im bliżej w Petra.

Pracy wulkanów, czy może strasznych kataklizmów geologicznych, należy także przypisać niż arabski *(wādī el-ʿArābāh)*, zajmujący dość wielką część Arabii skalistej, a położony między Morzem Martwem i zatoką Elanicką (akabską). Z geologicznego punktu widzenia, niż ten, nie jest niczem innem, jak tylko dalszym ciągiem jedynej w świecie rozpadliny kontynentalnej, długiej na jakie 450 klm., a szerokiej przeciętnie na 25 klm. Zaczepiła się ona u stóp Hermonu a ginie w morzu Czerwonem (przy Akabie), a raczej w oceanie indyjskim (przy Bab el Mandeb). Jej najniższym punktem jest zwierciadło Morza Martwego — 393·8 m. lub jeźli kto woli jego głębiny — 793 m., poniżej powierzchni morskiej. Ramy rozpadliny tworzą poszarpane góry, dochodzące ze wschodu do 1328 m. wysokości (góra Harun), z zachodu zaś do 1000 m. W tej rozpadlinie wykuł sobie łożysko Jordan arabski *esz-Szerī'a el Kebir* [2], tworząc sobie trzy coraz większe i coraz niżej położone zbiorniki wód.

ʿArābāh odgrywała dość poważną rolę w historyi ludu wy-

[1] Taką nazwę nosi całe południowe wybrzeże półwyspu arabskiego.
[2] Dosłownie: miejsce, gdzie obficie można poić konie, bydło, ludzi.

branego. Tu zmarł Aron [1], tu rozgrywały się sceny buntu Izraelitów przeciw Mojżeszowi, ukarane przez Jehowę zesłaniem jadowitych wężów, w które obfituje Arabah. Tu prawodawca Izraela rozpiął węża miedzianego na drzewie krzyża, symboliczny typ Zbawcy [2]. Kiedy później, dzięki podbojom Dawida, Idumea weszła w skład państwa żydowskiego [3], wówczas Arabah była najkrótszą drogą handlową do zatoki elanickiej i do Ofiru [4]; tędy też szły karawany wielkiego Salomona i Jozafata.

Za czasów rzymskich na Arabah i na wschód od gór Seir rozsiadły się wojskowe kolonie, by strzedz *limesu* wschodniego i komunikacyi z morzem Czerwonem, by zapewnić imperatorom i ludowi spokojne *panem et circenses.*

Dwadzieścia wieków mija od tej chwili, a jeszcze po dziś dzień na granicy tej pustyni snują się żołnierze, chadzają wojskowe placówki, tylko już nie rzymskie, nie bizantyjskie, ale... tureckie. Pociąg, jak miłosierna matka, wydziela każdej życiodajne porcye wody, mające starczyć na 2 lub 3 dni następne, dopóki nie zjawi się nowy żywiciel, by zaspokoić jej pragnienie. A pragnienie to wielkie; cały dzień praca na linii przy szalonej spiekocie słonecznej, naprawa toru, budowa mostów, które dopiero teraz (po zimowej próbie!) uznano w wielu miejscach za potrzebne.

Biedni ci tureccy żołnierze, biedni nawet ich oficerzy aż do jenerałów włącznie. Pierwsi za ciężką pracę, a drudzy za usługi oddawane państwu, odbierają miasto żołdu kwitki papierowe, których kasyerzy rządowi nie chcą wypłacać, rzekomo dla braku pieniędzy w kasie. Na ten temat dużo znam faktów. Znam np. jenerała tureckiego w Bejrucie, ze wszystkimi orderami, który jednak z rodziną całą nie ma z czego żyć, bo rząd mu dotychczas dłużen 12.000 franków. Ten sam los dzielą urzędnicy. Dla

[1] *Num.* XX, 14—17.
[2] *Num.* XXI, 4—9.
[3] II, *Reg.* VIII, 13—14; I, *Par.* XVIII, 12—13.
[4] III, *Reg.* IX, 26; XXII, 49.

najwyższych kasy rządowe są zawsze pełne, dla niższych próżne. Tem tłumaczy się łapczywość na *bakczysz* u wszystkich bez wyjątku urzędników, nawet wyższych. Jakże bowiem być obojętnym na brzęczącą mamonę, kiedy w domu dzieci wołają chleba, żona ubrania, a w biurze lub kasarni oczekuje przełożony sutego podarunku, w braku zaś takowego, grozi poddanemu niełaska. Ten system podarunków »dobrowolnych«, sięga aż do wezyra, a podobno nawet aż do »króla królów«.

To też aby wydusić niezbędny pieniądz, żołnierze uciekają się niekiedy do buntów, wyżsi zaś do podstępu. Tak np., niedawno temu, zbuntowała się w Kerak turecka załoga, nie odebrawszy żołdu za rok cały. Mutesaryfa nie było w twierdzy, poszli więc do kadiego (sędziego), a gdy ten się począł tłumaczyć brakiem pieniędzy, kijami zmusili go, by zatelegrafował do Damaszku po pieniądze. Odpowiedź z nakazem wypłaty nadeszła, a pieniądze cudownie jakoś się znalazły.

To samo wydarzyło się przed kilku laty w Bejrucie. Żołnierze, przez 3 lata niewypłaceni, zatrzymali na ulicy powóz wałego, pobili woźnicę i groźnie domagali się zapłaty. Zatelegrafowano do Konstantynopola. Nadszedł rozkaz wypłaty; więc pod pozorem, że niema więcej pieniędzy w kasie, dano każdemu żołnierzowi po jednym mežidje (4.20 fr.) za trzechletnią (!) służbę.

Często zdarza się, że po wysłużeniu prawem przepisanych lat, wypuszczają weteranów chorych, pokaleczonych, licho odzianych, bez grosza w kieszeni, nie odstawiając ich nawet na miejsce ich pobytu. Że to wszystko nie obudza wielkiego zapału w szeregowcach, i że tylko strach i przemoc trzymają ich w ryzach, nie potrzeba dodawać.

Ale i oficerów los często nie lepszy. Opowiadano mi w Damaszku, że jeden pułkownik, posiadający liczną rodzinę, już od dłuższego czasu odwiedzał kasyera, prosząc o swą należytość. Przyjmowano go zawsze grzecznie, dawano pisemne poświadczenie należytości i obiecywano, że skoro tylko pieniądze nadejdą, wyrówna się jego rachunki. Pieniądze miesiącami nie nadchodziły. Bieda w domu zmusiła go do działania. »Wziął się — jak to mówią — na sposób«. Ustroiwszy się w pułkownikowski mundur

i wszystkie ordery, zasiada pewnego poranku u drzwi jakiegoś urzędu i donośnym głosem oznajmia zebranej tam klienteli, że pełni obowiązki skryby ulicznego. W mig zarobił kilka piastrów. Przechodzący przypadkiem kolega po pałaszu spotkał go i zdumiony do najwyższego stopnia tak niezwykłym faktem, pyta co tu porabia. »Zarabiam na życie« — odpowiada zapytany — »w domu głód i nędza; dzieci krzyczą o pożywienie, a rząd miesiącami nie chce mi wypłacić mej należytości«. Nie omieszkano w tej chwili donieść tego jenerałowi komenderującemu, a ten, aby ratować honor armii, nakazał wypłatę. Ale i w tym wypadku kasyer zasłaniał się brakiem pieniędzy. Dopiero energiczny rozkaz muszira (jenerała-marszałka) wydusił na kasyerze pieniądze. Wypłacono pułkownikowi jego należytość, nie tyle z poczucia obowiązku, ile raczej by uniknąć przykrego skandalu i zbiegowiska całego Damaszku, który na wyścigi szedł do zaimprowizowanego skryby z zamówieniami, chcąc mu przyjść w pomoc.

Te i tym podobne zdarzenia przesuwały się w mej pamięci, ilekroć oczy moje spotykały w pustyni te biedne ofiary wyzysku i okrucieństwa. Iluż z nich wśród tak ciężkiej pracy i takich warunków nie dociągnie do zimy! Ale mało na tem zależy władzom. Ich luki wypełnią inni, a wola chalifa musi być wykonaną.

Koło południa wystąpiły znowu w całym blasku *fata morgana*. Tym razem, jakby naigrawając się z pragnienia podróżnych, przedstawiają w idealnych obrazach oazy, jeziora, rzeki, morze (Czerwone czy Martwe?); to znów małpują biegnący pociąg, a trojąc ilość jego wagonów, potęgując ich rozmiary, starają się napróżno prześcignąć naszego rumaka.

Liczne postoje wydoiły prawie do dna dwa wagony wody, zabrane z Katrani; litościwa więc maszyna z własnych już zasobów karmi spragnionych robotników, zatrzymując się często na linii. Na szczęście dotarła już do Aneże o godzinie $2^1/_2$ po południu. Tu wielka cysterna z czasów rzymskich, a w niej nieco wody. Zabrano ją więc jako zapas na te 50 klm., które nas dzielą jeszcze od Maan. Przy cysternie spostrzegam oryginalnej struk-

tury wieżę z czasów rzymskich. Ona to miała strzedz tego skarbu przed rabunkiem. Tędy też szedł w starożytności *limes* rzymski.

Na południe od Aneże okolica się zmienia. Piaski pustyni ustępują często miejsca całym rzeszom czarnych kamieni, wulkanicznego pochodzenia, rozsianych gęsto po polach. Zjeżdżamy z płaskowyża ku nizinom i znowu przez teren mocno falisty spinamy się na wyżyny.

Wreszcie, po męczącej nad wyraz dwudniowej prawie jeździe, zbliża się nasza pustynna oaza, pierwszy etap podróży, Maan. Z Damaszku do Maan jest tylko ± 480 klm., więc nieco mniej, niż np. z Tarnopola do Krakowa (482 klm.). Podczas gdy u nas pośpieszny pociąg przebywa tę odległość w 10-ciu, zwyczajny zaś w 17-tu godzinach, to na kolei mekkańskiej z powodu ciągłych półgodzinnych przestanków i miejscami wadliwej konstrukcyi toru, podróż przedłuża się do 30 godzin.

Ale poco szukać przykładów w Austryi? W Egipcie (a więc na Wschodzie), rządzonym przez Anglików, przestrzeń 674 klm. (z Kairu do Luxor) przebiega zwyczajny pociąg w 21, a pośpieszny w 15 godzinach. Znowu wpadam w błąd zdenerwowanych Europejczyków, którym się zawsze spieszy, i którzy wszystko chcieliby według swej modły urządzać. Na Wschodzie inne panują poglądy a poucza przysłowie: »Gdy wejdziesz między wrony krakaj jak one«. Darmo — dopóki Syrya i Arabia jest w rękach Turcyi, zmiana nie nastąpi i chcąc nie chcąc, trzeba się zastosować do panujących obyczajów. *Que voulez vous, nous sommes en Orient,* odpowiada stereotypowo nasz petrarcha na nie-»europejskie« zachcianki.

W Maan czekali już na nas: naczelnik stacyi i w zastępstwie nieobecnego mudira, oficer żandarmeryi. Obecność ostatniego była nam ze wszech miar pożądaną. W Maan z trudnością tylko można dostać koni, a teren operacyjny dość niebezpieczny. To też w odpowiedzi na wykrztuszone homagium i wszystkie honory, zażądał ks. prof. Lammens na jutro 4 koni osiodłanych i muła na pakunki. Oficer skłoniwszy się odpowiada, że konie, choć z trudnością, jeszcze znajdzie dla »naszych Ekscellencyi«,

ale o siodłach niema nawet co myśleć, gdyż Beduini w tej okolicy siodeł nie używają. Na takie *dictum* nie było ratunku; miny moich towarzyszy mocno zrzedły. Teraz dopiero przyznali słuszność mej przezorności; zabrałem bowiem ze sobą siodło z Bejrutu, podczas gdy oni natrząsali się ze mnie. Odpokutują za to. Litościwa Opatrzność zesłała im wybawiciela w osobie przedsiębiorcy kolejowego, Włocha, p. Denti. Posiadał na szczęście do swego i inżynierów użytku trzy siodła dość prymitywne, i nie bez wielkiej ofiary ze swej strony, odstąpił je im na dni kilka.

Po przyjęciu u naczelnika stacyi, nader usłużnego człowieka, nastąpiła wizyta kolejowych budynków. Maan posiada nieoszacowany skarb: jest dostatecznie zaopatrzony w wodę, dzięki wielkim a licznym cysternom i kilku studniom. Jest on wskutek tego ostatnią ludzką osadą w rodzaju miasteczka. Na południe od niego aż do Akaby niema ani jednej wioszczyny, stale zamieszkałej; tylko gdzieniegdzie przesuwają się, jak cienie, koczownicze obozowiska Arabów szczepu Alawin, bardzo dzikich i nieuskromionych.

Z tego powodu wybrano Maan na główną siedzibę budującej się kolei mekkańskiej. Tu staną większe kolejowe warsztaty, ogrzewalnie maszyn, magazyny i tu z czasem przeniesie się dyrekcya ruchu. Maan zostanie ogniskową linii między Damaszkiem a Akabą(?), prawdopodobniej zaś Medyną. Praca nad wybudowaniem gmachów i urządzeń kolejowych jest w całym rozpędzie. Rząd chce — jak zawsze — pokończyć wszystko na tegoroczne *żulūs* sułtańskie (1 września), aby módz mu donieść, że — dzięki niezmordowanej gorliwości — Maan już zupełnie gotowy. Inżynierowie i przedsiębiorcy bardzo sceptycznie zapatrują się na te nadzieje i obiecanki rządu, który często nie ma pojęcia o rzeczy, jakiej się domaga. Na stacyi pełno wozów basenowych na wodę, którą muszą stąd dowozić na linię dla pracujących (na południu) robotników. Codziennie rano wychodzi osobny pociąg z wodą.

Zaledwie ukończyliśmy zwiedzanie stacyi, gdy zjawił się szef sekcyi, p. inżynier Gelos, Francuz rodem, który właśnie wrócił z linii, by nas powitać. Uprzejmości naczelnego szefa w Derat zawdzięczamy tę niespodziankę. Zaprasza nas na nocleg do siebie, ale ze względu na wielką odległość i spóźnioną już porę należało

odmówić. A żałowaliśmy tego, bo jedyna drewniana buda, zwana »hotelem europejskim«, udzieliła nam chudej kolacyi i noclegu na ziemi za bajeczną cenę 30 franków. Nie mając ze sobą namiotów, musieliśmy się poddać wyzyskowi.

Obok stacyi prawdziwy las namiotów; — to Europa w osobie swych rzemieślników założyła tu płócienną osadę. Większość stanowią Włosi, którzy tu przenieśli się wraz z żonami i dziećmi. W tygodniu pracują na linii (budują głównie mosty i wiadukty), na niedzielę wracają do Maan, by wypocząć na łonie rodziny. Za stacyę nie mogą się daleko wychylać z obawy przed Beduinami. Raz kilku Włochów wyszło nieco dalej na przechadzkę, gdy nagle napadli ich Beduini, odarli ze wszystkiego, a na usilne prośby puścili wolno, ale literalnie w stroju Adama. Jakież było zdziwienie p. Gelosa, który w tych zawstydzonych biedakach, zaledwie dopatrzył się swych pomocników. Nauczka nie poszła w las; odtąd mają na Beduinów baczniejsze oko.

IV.

W drodze do stolicy Nabatejczyków.

Nasza karawana — pustynia — Beduini w drodze — upał — polowanie na gazelę — o koniach arabskich — *Żebel en-Szarat* — oaza — *Elżi* — obiad — uczta z Beduinami — o Nabatejczykach, ich dziejach i religii — przygotowanie do spoczynku — pierwsza noc na pustyni.

Wschodzące słońce dnia następnego widziało nas w drodze do wymarłej stolicy Nabatejczyków, do Petra.

Czoło karawany stanowiło dwóch konnych żandarmów tureckich *(chajjal)*, — pochodzeniem Kurdów — których całą broń stanowiły pałasze i strzelby. Jest to nasza nieodstępna eskorta rządowa, która ma nas bronić przed Beduinami. Niewiele ona wprawdzie pomoże, gdy przypadkiem napotkamy włóczęgów Alawinów[1], ale wobec Beduinów, z Petry i okolicy, uległym Turcyi,

[1] Przed kilku zaledwie miesiącami horda Alawinów, zwiedziawszy się o wyprawie włoskiej do Petra, obrabowała w drodze całą karawanę, a żandarmów obdarła i natłukła.

wystarcza strój z uzbrojeniem żandarmskiem i chorągiewka rządowa: czerwona płachta z białym półksiężycem.

Środek korpusu wypełniają czterej »konzulowie« [1] uzbrojeni od stóp do głów przeciw... słońcu. Głowy zasłania korkowy angielski kapelusz z wentylami. Do niego przyczepiona biała *keffije* z jedwabiu, okrywa kark i policzki. Na nosie siadły czarne okulary, by strzedz wzroku przed rozpaloną do białości pustynią. Z ramion spływa na plecy i na całe ubranie biały *maszlāch*, którego celem odbijać promieniste natręty słoneczne. Przez ramię przewieszone myśliwskie torby kryją najniezbędniejsze przedmioty podróży; rewolwery przyczepione do pasa lśnią się w słońcu i mają rzucać postrach wokoło. Broń jest »przyjacielem w niebezpieczeństwie, jak przyjaciele są ozdobą w pokoju« — mawiał chalif Ali.

Tyły zasłania kilku *mūkārī'ch*, Beduinów z Maan, właścicieli koni, którzy będą przewodnikami w drodze. Ich trzechmetrowe lance i strzelby starego kalibru mogą się przydać na wypadek.

Oto nasz orszak.

Rzucamy kolejową stacyę z jej życiem, mocno przypominającem Europę i wspinamy się wolno ku górze, za której szczytem leży miasteczko Maan, siedziba powiatu [2]. Mijamy je i zapuszczamy się ku północnemu zachodowi, w szczerą pustynię, pooraną gdzieniegdzie głębokimi jarami. Roślinność powoli ginie, tylko małe, kolczaste krzewy wyglądają gdzieniegdzie z piasków. Upał powoli się zwiększa. Barometr wskazuje przeszło 1250 m. wysokości a termometr w torbie (a więc w cieniu!) + 49° C. Jeszcze daleko do południa, a mimo to powietrze, przepełnione żarem, zaledwie pozwala oddychać. Prawda, że jesteśmy w połowie lipca — i że to pora wcale a wcale niestosowna do podróży po Arabii. Pragnienie poczyna się odzywać z całą siłą, ale w interesie zdrowia należy w pustyni

[1] Tak nazywają Beduini każdego bez wyjątku Europejczyka podróżującego. Nie mogą bowiem zrozumieć, aby obcokrajowiec wizytował ich krainę bez politycznych zamiarów, albo badał pomniki w innym celu, jak poszukując ukrytych tam skarbów.

[2] Mieszkańcy jego są potomkami sławnego geografa arabskiego *Istachri* z X wieku.

pić mało wody, wstrzymać się zaś zupełnie od alkoholicznych trunków. Nie zabraliśmy ich też ze sobą, wyjąwszy flaszki araku dla zabarwienia zbyt żółtej wody, jeśli się z taką napotkamy.

Po czterogodzinnej jeździe widać na horyzoncie kilku Beduinów na koniach, pędzących cwałem po pustyni. Czy tutejsi? natarczywie ale napróżno pyta ciekawość. Zobaczymy wkrótce. Zbliżają się ku nam. Wyraz twarzy wcale nie zdradza przyjaznych zamiarów; przypatrują się nam bystro. Widok rządowej chorągiewki i naszej liczby nie bardzo im przypada do gustu, ale zachowują się spokojnie. Mijając ich i chcąc ich rozbroić rzucamy zwyczajem przyjęte pozdrowienie: *nahārkom sa'īd wamarhaba*[1]. Chórem odpowiadają: *nahārkom mubārak, marhabtein*[2]. Pierwsze więc lody przełamane; zacięty i wrogo usposobiony Beduin albo wcale nie, albo niechętnie tylko odpowiada na pozdrowienie. Zwyczajem przyjętym pytają nas »skąd i dokąd« jedziemy, a zapytani dla formy, czy tędy droga do Wadi Musa, odpowiadają: *ai na'am*[3]. Rozstając się z nami dorzucają: *chātirkom*[4], na co im nawzajem życzymy: *ma' as-salām, Allāh isellikom*[5].

Byli to Beduini z wioski *Elżi* koło Petra; jeden z naszych żandarmów zna ich dobrze, bo częściej tam jeździł. To też widząc go spokornieli i poszli swoją drogą. Niedługo potem spotkaliśmy wielką rzeszę wielbłądów. To karawana handlowa wiezie z Akaby zboże do Maan. Co drugi wielbłąd niósł prócz worków jednego Beduina. Wszyscy uzbrojeni w strzelby i długie piki; kilku Beduinów na koniach stanowi widocznie konwój.

Przeszła karawana i zostaliśmy sami. Ciszę pustyni przerywał tylko tentent kopyt końskich, czasem rozmowa Arabów między sobą. Myśmy milczeli. Upał straszny wysuszył jamę ustną z ostatniej kropli wilgoci, język nie miał ni ochoty ni siły się obracać. Żar rozpalonej do białości puszczy raził silnie oczy

[1] Dosłownie: »Niech dzionek wasz będzie szczęśliwy; witajcie«.
[2] »Niech dzionek wasz będzie błogosławiony; witajcie dwakroć«.
[3] »Tak jest«.
[4] »Szczęśliwej drogi«.
[5] »(podróżujcie) w pokoju a Allah niech wam szczęści«.

nawet przez czarne okulary. W tej oślepiającej atmosferze wszystko przybiera barwy rozżarzonego ognia: ziemia, skały, piaski i cierniste krzewy, napotykane od czasu do czasu. Oczy kleją się jakby do snu, nie znajdując w pobliżu żadnego przedmiotu godnego uwagi. Tylko na zachodnim horyzoncie czerni się pasmo górskie, stojące na straży sławnego wadi Arabah, o którem wyżej wspomniałem.

Wtem, — w odległości dwóch kilometrów - przemknął się jeden cień, po nim drugi, trzeci, i... piąty. Zaledwie zoczyły je konie, rzuciły się naprzód. Były to gazele z puszczy arabskiej; a zaprawione widocznie do polowania rumaki, bez żadnej z naszej strony podniety, rozpoczęły gonitwę. Silny kłus przeszedł po kilku sekundach w galop, który wzmagał się ciągle. Prawdziwe araby, zaledwie dotykając kopytami ziemi, pędziły jak szalone. Odległość między nami a gazelami poczęła się gwałtownie zmniejszać. Wtem jeden z żandarmów wypalił ze strzelby. Chybił, ale antylopy spostrzegłszy, że są ścigane, poczęły się ratować ucieczką. I rozpoczęły się teraz prawdziwe wyścigi, które trwały z dziesięć minut. Konie żadną miarą nie chciały dać za wygraną, a i gazele, czując, że chodzi o życie, nie oszczędzały swych zwinnych nóżąt. Odległość kilometrowa nie pozwalała na celny strzał do uciekającej zwierzyny, a przestrzeń mimo wysiłków bachmatów nie chciała się zmniejszać. Nagle gazele znikły, jakby wpadły w ziemię. To jeden z tych licznych jarów, które zorały grunt pustyni, uratował je przed pogonią. Zbliżyliśmy się do jaru. Nie miało celu spuszczać się na dno jego i dla niepewnej zdobyczy, tracić drogi czas, zwłaszcza, że jar zbaczał ku południowi. Wierzchowce rwały się wprawdzie ku jarowi, ale wstrzymywane poddały się woli jeźdźców. Zyskaliśmy kwadrans czasu a przedewszystkiem użyliśmy rozkosznej jazdy na chyżych arabach.

Przepędziwszy w czasie mej podróży ośmnaście dni wyłącznie na koniu różnego gatunku i pochodzenia, miałem sposobność przekonać się, że to, co się często słyszy lub czyta o rumakach arabskich nie jest przesadzonem. Trzy razy tylko zdarzyło mi się jechać na arabie czystej krwi, (w wyprawie do Pe-

tra, do Keraku i do Ażlun). Zaleca je przedewszystkiem nie tyle chyżość lub wysokość, ile cała postawa. Mniejsze wprawdzie od koni angielskich, wierzchowce arabskie (czystej krwi), posiadają głowę większą, pysk ślicznie rzeźbiony, skórę jak jedwab delikatną, oczy wielkie i słodkie, grzbiet dość krótki, muszkuły silne, uwydatnione i rozwinięte, nogi bardzo cienkie i co jest ich cechą charakterystyczną — w biegu noszą swój ogon prawie horyzontalnie, równolegle do poziomu. Do długiej podróży po pustyni są niezrównane z powodu swej wytrzymałości i wstrzemięźliwości: »żyją z powietrza«, jak je wychwala poezya arabska. Nie są to dzikie rumaki Europy, do których zbliżyć się czasem nie można, ale zwierzęta nader łaskawe; nigdy się nie miotają, nigdy nie stawają dęba, nie zrzucają jeźdca na ziemię.

Ale bo też w przeciwieństwie do okrutnych Syryjczyków z nad morza — nigdy prawdziwy arab nie uderzy konia; kieruje go jedynie zachętą, śpiewem, karesem. Od dzieciństwa wychowuje je Arab jakby członków swej rodziny; one są towarzyszami jego młodości; jako dziecko przebył pierwsze lata, bawiąc z nimi i w ich gronie. Często wystarczy je pogłaskać, poklepać po karku, a choć zmęczone 8—10 godzinną jazdą, dobywają wszystkich sił, by zadowolić jeźdźca. Jazda na koniach tego rodzaju, choćby nie były najczystszej rasy, należy do prawdziwych rozkoszy. Spędzać na ich grzbiecie 10 godzin dziennie, mniej męczy, niż 3 godziny w powozie. Chód ich łagodny choć szybki; nie czuje się prawie wstrząśnień.

Ojczyzną koni rasy arabskiej są stepy prowincyi Neżd w Arabii północnej. Tam to mając podostatkiem wody, pokarmu i swobody, a olbrzymie przestrzenie do hasania, dochodzą do doskonałości. W południowej Arabii powoli się wyradzają. W Arabii skalistej należą już do wyjątków. Tylko szechowie i najbogatsi Beduini posiadają prawdziwe araby.

Przyczyną tego sami Arabowie. Nie mało koni pada ofiarą ciągłych walk i razyi; przedewszystkiem jednak dziwny przesąd zagraża śmiercią całej rasie. Oto w oczach Araba tylko ten koń jest prawdziwie rasowym, cennym, który może się wykazać metryką szlachectwa. A ponieważ istnieje tylko pięć klas *(kehīlan)*

najszlachetniejszych [1] i 16 klas drugorzędnie szlachetnych, przeto wszystkie inne konie, które nie pochodzą z tych stadnin, chociażby były najpiękniejszymi i posiadały w najwyższym stopniu wszystkie przymioty, uchodzą w oczach Araba za *plebs* koński, za nieznanego pochodzenia *(kadīch)*. Nigdy też prawdziwy Beduin nie dozwoli skrzyżować swego zwierzęcia, należącego do końskiej arystokracyi, ze zwierzętami bez herbu [2]. Skutkiem tego czysta rasa coraz więcej się wyczerpuje i ma już mało przedstawicieli.

Widocznie zbliżamy się do osad ludzkich lub do pustynnej oazy, bo coraz częściej zjawiają się kuropatwy i przepiórki; czasem nad nami zaszybuje orzeł lub kruk ciekawego gatunku. Jakoż koło południa zaczynamy się wspinać na pierwsze wysłanniki pasma górskiego *esz-Szērāt*, znanego w starożytności pod zmienioną nieco nazwą *Seir* [3]. Niebawem wpadamy w czeluść kamienistą, godne wrota skalistej Petry.

Dziwne to góry! Dziwnej formacyi! Co krok napotyka się olbrzymie głazy, to znów płyty kamienne, o wielkości 10—20 m., szerokie na 30 m., grube na meter i więcej; wygładzone i gotowe, jakby je kto wczoraj ociosał. Na szczycie przedgórza na wysokości 1300 m., termometr wskazuje 43° C. Co za cudny widok na cały łańcuch Seir! Tak poszarpanych, dzikich a cudnie lśniących gór skalistych dotychczas nie widziałem. Nasze Tatry nie mogą ani w tym względzie dorównać. Brak mi obrazów, brak wyrazów na oddanie tego, co oglądam. Wszyscy jakby na komendę zatrzymują konie i oddają się rozkosznej a cichej kon-

---

[1] Według arabskiego podania, pochodzą one z 5 klaczy, których prorok dosiadł w swem życiu.

[2] Wyraz ten należy brać dosłownie. Konie pochodzące z owych pięciu stadnin, noszą w torbeczce na szyi metrykę swego pochodzenia, podpisaną przez świadków. Reclus (l. c. IX p. 877) twierdzi, że nawet największy oszust arabski nigdy nie odważy się na fałszerstwo takiej metryki. Genealogia końska z owych pięciu klaczy uchodzi za rzecz świętą.

[3] *Gen.* XXXIII, 14; XXXVI, 8, 9; *Num.* XXIV, 18; *Deut.* I, 1—3; II, 4, 5, 12, 28—29; *Jos.* XXIV, 4; *Judic.* V, 4, 11; *Par.* XX, 10, 22, 23; XXV, 14; *Euli* L, 28; *Isai* XXI, 11; *Ezech.* XXV, 8, XXXV.

templacyi, którą przerywa czasem okrzyk zachwytu. Dawszy folgę uczuciu, spuszczamy się powoli ku dołowi. Jeszcze jedno pasmo górskie, a będziemy na miejscu.

W dolinie krajobraz zmienia się zupełnie — dzięki... strumyczkowi wody. Zda się, że bujna roślinność południa tu sobie obrała siedzibę, bo bieg strumyczka znaczy oazą zieleni. Niebawem spotykamy całe stado kóz i owiec, wspinających się po pochyłości; niżej skubiąc trawę, przechadzają się woły i osły, odmiennego niż nasze gatunku, pasterze Beduini ubiorem swym przypominają nieco naszych baców. Idylliczna całość tego obrazu, tu w środku szczerej pustyni, jakby żywcem wycięta z hal tatrzańskich, dziwnie mię poruszyła. Wobec takiego widoku i takich wspomnień, które jak huragan zakotłowały w duszy, zapomina się o strasznem pragnieniu, dokuczającem od siedmiu przeszło godzin, zapomina się, że tuż obok nas szemrze srebrna fala strumyka, zapraszając niejako na gody.

Jeden z mych towarzyszów poszedł za tem zaproszeniem, zeskoczył z konia i rzucił się w objęcia potoku; ale gromki głos ks. Lammensa wstrzymał go. Woda takich strumyków jest bardzo niebezpieczną, podobno nawet trującą, gdyż nad brzegami ich rosną w dzikim stanie i w wielkiej ilości oleastry.

Głębokim wąwozem wydostajemy się na zbocze góry, ślicznie zarośnięte drzewami i bujną nad wyraz roślinnością. Drzewa figowe, winogrady, oliwki, proso i ogórki pokrywają stoki i równinę; wśród nich kryją się w półcieniu drzew czarne namioty i kamienne Beduinów chaty. To wioska *Elżi* [1], stanowiąca jakby wstęp do »miasta umarłych«.

(C. d. n.)

Ks. Władysław Szczepański.

---

[1] Epiphanius upatruje w Elżi-Τάϊαν tekstu Septuaginta, — którą Diodor zowie Τέα — w tym wypadku należałoby pisać *El-Żi*. Τάια była jedną ze stacyi w pochodzie Żydów do Palestyny.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Z dziedziny kaznodziejskiej.

Ks. Jan Jaworski: »Kazania pasyjne z wielkopiątkowem, wielkanocnem i homilią na Poniedziałek wielkanocny«. — »Kazania o męce i śmierci P. naszego Jezusa Chrystusa, ułożone po siedm na każdy rok, z przydaniem siedmiu kazań o współboleściach N. M. Panny«. — »Kazania pasyjne o Męce Pańskiej, z kazań ks. T. Młodzianowskiego wyjął i opracował ks. Al. Syski, M. S. T.« — Ks. P. Jabłoński: »Kazania pasyjne«. — Ks. Antoni Szlagowski: »Ojcze nasz. Siedm przykazań Nowego zakonu, wyłożone w siedmiu kazaniach pasyjnych«. »Syn marnotrawny. Wykład egzegetyczno-moralny przypowieści Chrystusowej«. — Ks. Leonard Ostrowicz: »Mowy żałobne i kazania przygodne«. — Ks. Stanisław Adamski: »Kazania świąteczne na uroczystości Pańskie«. — Ks. Tomasz Dąbrowski: »Kazania na niedziele całego roku«. — Ks. J. A. Łukaszkiewicz: »Kazanie o odsieczy Wiednia, wygłoszone na Kahlenbergu dn. 20 listopada 1904 r.«

Szanowny autor niniejszego zbiorku kazań pasyjnych [1], snać zdawał sobie z tego sprawę, że kazania pasyjne z natury swojej są trudne, bo w przedmowie zaznacza, iż »najlepiej kaznodzieja wywiązuje się ze swojego szczytnego urzędu, jeżeli z obfitości serca usta mówią«. Nadto autor przeznacza swoją pracę dla Braci kapłanów pracujących na wsi, by im wśród rozlicznych zajęć w czasie W. Postu, ułatwić przygotowanie się do kazań pasyjnych. (Tamże).

[1] »Kazania Pasyjne z wielkopiątkowem, wielkanocnem i homilią na Poniedziałek wielkanocny«. Napisał ks. Jan Jaworski, prałat katedry tarnowskiej. Tarnów. Nakładem księgarni Z. Jelenia. 1904. Str. 105, 8-ka mała.

W tym duchu i pod tym kątem widzenia oceniamy niniejszą pracę.

Kazań pasyjnych jest siedm. Treść ich taka: Ogrojec, Zdrada Judasza, Prowadzenie P. Jezusa do Kaifasza, Zaparcie się Piotra i śmierć Judasza, Piłat, Ukrzyżowanie, Siedm słów P. Jezusa. Jak widać z tematów, kaznodzieja ujął w krótkich naukach całą mękę Chrystusa Pana, a wysunął na czoło rozważania takie jej szczegóły, które i bogatej dostarczają treści i umożliwiają praktyczne pouczenie słuchaczów.

Kaznodzieja rozwija temat sposobem rozważania. Jest to bardzo szczęśliwa metoda przy przedstawieniu Męki Pańskiej, a zwłaszcza w przemowach do ludu.

Nie ogranicza się jednak autor na samem tylko rozważaniu szczegółów historycznych, ale tu i ówdzie szczęśliwie potrąca o kwestyę dogmatyczną, jak np. str. 9 o naturze ludzkiej P. Jezusa, str. 13 o cenie krwi Jezusowej według św. Tomasza, str. 24 o Bóstwie Chrystusa; nawet szerzej stara się tę prawdę uzasadnić z cudów (str. 38—39) przez P. Jezusa zdziałanych w tak zwanem rozszerzeniu krasomowczem przez nagromadzenie dowodów. Parenezy dobrze umotywowanej i logicznie wyprowadzonej z przedmiotu nie brak — a tem ona przystępniejsza, że w pociągającej podana formie, np. str. 26 »Czuwaj i módl się« uzmysłowione w ładnem podobieństwie.

Nie zapomina też kaznodzieja o potrzebach czasu. Tak w nauce V (str. 59) przedstawia chorobę główną dzisiejszego społeczeństwa; w nauce VI (str. 65—66) potrąca o kwestyę bardzo delikatną i na ambonie niebezpieczną, bo o kwestyę wyborów. Dodajmy do tego dobre charakterystyki Piotra, Judasza, Piłata a będziemy mieli pojęcie dodatnie tych szczupłych na pozór rozmiarem, ale bogatych treścią nauk pasyjnych. Zwracam też uwagę na wstępy, które choć może nużą jednostajnością, nie są jednak bez wartości większej, bo są utkane na odpowiedniem do tematu jakiemś zdarzeniu biblijnem.

Pozwoli jednak szanowny autor, że pod względem strony praktycznej dużo jeszcze pozostaje do zrobienia. I tak, brak oznaczenia tematów, czy w nagłówku, czy w spisie, wielce utrudnia oryentacyę; również brak uwidocznienia działów i poddziałów przez liczby. Nie możemy też pochwalić metody opuszczania zaznaczenia źródła, czy to tekstu Pisma św., czy zdania któregoś z Ojców św. Niejeden z Braci Kapłanów życzyłby sobie mieć także tekst odpowiedni w nagłówku nauki. Nadto, zdaje mi się, że nie każdyby się zgodził na taką obronę uczniów idących do Emaus (str. 97), ale zato dogmatyczno-ascetyczna

nauka na Wielkanoc każdemu przypadnie do serca. Całość utrzymana jest w tonie średnim, a styl dobry, prosty, jasny, tu i owdzie np. str. 90, 100, staje się jędrnym i podniosłym. Aby zalecić każdemu kapłanowi poznanie tej pracy czcigodnego autora, zupełnie się z tem godzimy.

W objaśnieniu rozwija szan. autor swój program. Dowiadujemy się tam, że będziemy mieli przedstawiony całokształt Męki P. Jezusa w 12 rozdziałach [1], obejmujących 6 tomów, licząc dwa oddziały na jeden tom, jak tego mamy dowód w tomie I-ym, a rozłożonych do wygłoszenia na lat 12; każdy bowiem oddział składa się z siedmiu kazań. Praca, jak widzimy, olbrzymia, przeznaczona dla użytku kapłanów, jakby jaka kopalnia kazań pasyjnych, a nie pozbawiona nadziei urzeczywistnienia się. Wyszedł bowiem już drugi tom tej pracy — szkoda, że mamy tylko przed sobą tom pierwszy. Nie możemy się jednak zgodzić na skargę szan. autora, jakoby, mieszkając na wsi, nie rozporządzał bogatą biblioteką dzieł z zakresu Męki Pańskiej; przytoczony przez autora spis dzieł z powyższej materyi, z których czerpał treść do tych nauk, w liczbie 110 aż nadto udowadnia nasze zapatrywanie. Autor przy każdej nauce w dopisku podaje ogólne dzieła, z których w tej nauce korzystał. Niejeden widząc tak bogatą literaturę, zużytkowaną w tych kazaniach, mimowoli posądzić może autora o brak samodzielności. Otóż co do tego zarzutu, zdaje nam się, możemy śmiało wziąć autora w obronę, bo choć obcych źródeł legion, to jednak w pracy autora znać wmyślenie się w rzecz samą, znać przetrawienie treści zaczerpniętej i samodzielną robotę w obiorze tematów, w rozkładzie ich i sposobie przedstawienia. Jeszcze jedną cenną uwagę autora musimy wyszczególnić — że w Wielkim Poście winno się mówić w kazaniach pasyjnych tylko o męce Pańskiej a nie na temat rozmaitych socyalnych zagadnień, na co jest dość czasu przez cały rok. Właśnie w pominięciu nauk o P. Jezusie upatruje autor, i słusznie, przyczynę, dlaczego u nas coraz mniej naśladowania Chrystusa Pana (Objaśnienie).

Strona techniczna nauk jest wyborna, nagłówki bowiem i działy czyli części, nie tylko wyszczególnione są liczbami, ale nadto i tłustym drukiem, a poddziały literami *a, b,* i rozstrzelonym drukiem, tak, że

[1] »Kazania o męce i śmierci P. naszego Jezusa Chrystusa ułożone po siedm na każdy rok z przydaniem siedmiu kazań o współboleściach N. M. Panny«. Tom I. Poznań. Nakładem i czcionkami drukarni i księgarni św. Wojciecha. 1904. Str. 253, w. 8-ka.

każdy w momencie może znaleźć to, czego szuka. Spis zaś kazań końcowy wyszczególnia i temat główny i jego rozłożenie na części.

Forma tych nauk jest przeważnie homiletyczna prosta na tle historycznem. Treść zaś ich w egzegezie tekstu przeważnie moralna, bogato objaśniona wyimkami z Pisma św., Ojców św. i pism ascetycznych. Za zasługę poczytujemy autorowi, że nie pominął w swej pracy dzieł i kazań i pieśni polskich. Szkoda tylko, że autor nie zaznacza źródła przytaczając zdania Ojców św. Atoli kwestye dogmatyczne nie są pominięte. Tak np. str. 34, cz. II, o wartości uczynków Zbawiciela; str. 46, cz. I, dowody, że jest Bogiem; str. 104, cz. III, 3, o Eucharystyi; str. 218 o Bóstwie i człowieczeństwie i t. d.

Nie pomija też autor i potrzeb naszych czasów, poruszając kwestye aktualne np. str. 176, cz. III, 3 *b*, o potrzebie obrony Kościoła katolickiego; str. 180 (tamże) o obowiązkach przełożonych. Niektóre ustępy rozwijają bogato i jasno chrześcijańską ascezę, tak, że z nich można utworzyć osobne nauki, np. nauka I o unikaniu grzechu i nabywaniu cnoty; str. 164 k. III cz. II o modlitwie i t. d.

Co do ducha to zaznaczyć musimy, że gdy chodzi o prawdę, gotów jest autor narazić się nawet na niebezpieczeństwo, jak tego dowód mamy w k. V cz. I str. 208, gdzie śmiało karci postępowanie Prusaków za narzucanie dzieciom polskim języka niemieckiego w nauce katechizmu.

Siła autora tkwi w zastosowaniu praktycznem, które umie nie tylko bogato rozwinąć (np. str. 190 *c*), czy to we formie upomnienia (str. 118), zachęty (str. 135), lub ostrzeżenia i nauki (str. 54), czy we formie pociechy (str. 147). Podnosi też na duchu (str. 153 *d*) i zapala (str. 208); a wszystko to okraszone jakąś ozdobą oratorską, podobieństwem, porównaniem, czy analogią, podparte nierzadko przykładem (str. 200) i silną pobudką, uwidocznione pytaniem, wykrzyknikiem, zadziwieniem (por. cały ustęp k. V cz. III 1, str. 216). Zasługują także na uwagę ładne wstępy, osnute przeważnie na faktach biblijnych.

Długość kazań tłumaczy się celem autora, a po części znosi się jasnym ich rozkładem, Zgodzić się atoli nie możemy z autorem na użycie słów Ps. 17, 26, wielu potępienia, zgorszeń (str. 163), jak również na podane tłumaczenie zdarzenia historycznego z ks. 4. Król. 19, 35. Styl prosty, miejscami ozdobny, język dobry. Wobec zalet tej pracy możemy tylko powinszować autorowi i życzyć, aby to dzieło znalazło się w rękach kapłanów, jako kopalnia prawdziwa nie tylko

kazań pasyjnych, ale i nauk ascetycznych, a rozpoczęta praca wydawnictwa, aby uwieńczyła się pomyślnym skutkiem.

Miła i wdzięczna praca. Kto choć raz czytał kazania ks. T. Młodzianowskiego T. J., ten wie ile tam drogocennych kaznodziejskich i literackich pereł, ile ducha Bożego, którym się i dzisiejszy czytelnik zagrzać może. Autor sam zastrzega się w przedmowie [1], »że nie miał zamiaru traktować kwestyi naukowo«, a doprawdy szkoda, boby i samemu autorowi ta praca się opłaciła i czytelnik czy kaznodzieja miałby z niej większy pożytek. Wobec tego nie będziemy robić autorowi zarzutu, że i kazań ks. Młodzianowskiego zużytkowanych nie zaznaczał i w tekście samych wyimków z tychże kazań od własnych słów cudzysłowem nie oddzielał. Sądzimy jednak, że właśnie dlatego autor nie osiągnie zupełnie celu, jaki sobie tem wydawnictwem zamierzył, by mianowicie zachęcić kogoś do zapoznania się z oryginałem, bo wyniki oryginału właśnie przez takie zlanie się ze słowami autora, straciły nieraz na wyrazistości i świeżości.

Pozwoli autor, że zwrócimy w niniejszej ocenie uwagę na pewne, według naszego zdania, niedokładności, nie w celu zganienia pracy, którą ze wszechmiar zalecamy, ale może jako wskazówkę dla tych, którzyby się takiej pracy podjąć chcieli.

Mamy właśnie przed sobą oryginał kazań ks. Młodzianowskiego, tom III, wytłoczony w drukarni Collegium Poznańskiego, Soc. Jesu r. p. 1681 — a więc w pierwszem wydaniu.

W I-szem zaraz kazaniu (str. 16) szkoda wielka, że autor bez zmiany nie umieścił tego cudnego ustępu, w którym ks. Młodzianowski, pełen zapału Bożego, rozdaje krwawy pot Chrystusa, jakby jaką komunię na pożytek słuchaczom. (Oryg. kazanie I na niedzielę I w Post część II, 4). Drugi taki przykład mamy w III kaz., w którem opuszczone przecudne rozszerzenie krasomówcze (w kaz. II na Niedz. I w Post cz. I, 8). Następnie bardzo żałujemy, że autor w kazaniu IV, str. 46, przerobionem z kaz. II na Niedz. II w Post, opuścił rzeczowe dowody na potwierdzenie, dlaczego potrzebną była śmierć Jezusa na krzyżu, (cz. I, str. 210, 10, 11, 12), a przytoczył tylko z oryginału objaśnienia odnoszące się do tego tematu, raczej pożądaną było rze-

[1] Kazania pasyjne o Męce Pańskiej, z kazań ks. T. Młodzianowskiego wyjął i opracował ks. Al. Syski M. S. T. Warszawa. Nakład i własność Konstantego Treptego, 1905. 8-ka mała str. 77.

czą opuścić opis podnoszenia krzyża z przybitym na nim P. Jezusem, jako dość ciężki i oparty na domysłach.

Kazanie V (u ks. Młodzianowskiego kaz. II, na 4-tą Niedz. w Post) zanadto uległo zmianie ze szkodą oryginału, który jest po prostu pyszny.

Nadto przeróbka straciła wiele na wartości dlatego, że autor nie zachował tak jasnych, nieraz aż do przesady, podziałów i podpodziałów oryginału, zaznaczonych liczbami i odstępami. Tak np. z widoczną szkodą jasności, autor zmieszał w kaz. II (str. 22—29) ładny porządek myśli oryginału (kaz. I, Niedz. II Postu, cz. II), gdzie ks. Młodzianowski w trzech podpodziałach omawia zniewagi twarzy Chrystusowej 1-o zeplwanej, 2-o zasłoniętej, 3-o opoliczkowanej. Mimo tego wszystkiego wdzięczni jesteśmy Szan. autorowi za tę pracę szczęśliwie podjętą. A że oryginał ks. Młodzianowskiego T. J. dziś bardzo rzadki dlatego ją chętnie polecamy.

Treść tych kazań [1], choćby ze spisu poznana od razu interesuje. Ideą ich przewodnią są »cierpienia p. Jezusa« i »cierpienia Kościoła« (str. 8). Kaz. I omawia cierpienia P. Jezusa zadane Mu przez śpiących Apostołów; II przed sądem; III o Judaszu i jego naśladowcach; IV Niewiasty wobec sprawy Jezusa i Kościoła; V Los Żydów i narodów prześladujących Jezusa; VI Żydzi i Chrześcijanie pod krzyżem.

Jak widzimy tematy są zupełnie na czasie, aktualne, a otwierają przed kaznodzieją szerokie pole dla nauk praktycznych. Ze względu na treść można je zaliczyć do działu kwestyi społecznych ze stanowiska katolickiego. To też autor silnie zaznacza, że obowiązkiem jest katolika zainteresować się sprawami Kościoła i bronić takowych. W kaz. I (str. 10), z okazyi snu uczniów, uderza kaznodzieja silnie na gnuśność katolików w sprawie Bożej, wykazując jasno, jak nierozumną i zgubną jest ta zasada, że tylko kapłan ma bronić Kościoła. Zastosowanie praktyczne skupia się około głównego czynnika dzisiejszej wszelakiej akcyi: około Towarzystwa i pism. Szkoda, że tylko prawie negatywnie omawiana kwestya, ujęta w zbyt ciasne ramy.

W kaz. II zasadę prześladowców Jezusa i Kościoła, którą streszcza w tem słowie »kłamstwo« i silnie zaznacza zgubny ich wpływ

---

[1] Kazania pasyjne, wypowiedziane w kościele parafialnym w Płocku przez ks. P. Jabłońskiego M. św. T. Warszawa. Skład główny w księgarni *Kroniki Rodzinnej*, Krakowskie Przedmieście Nr. 6, 1905. 8-ka mała, str. 62.

na szkołę i urabianie fałszywych zasad (str. 18). Druga część jest apologetyczno-polemiczna, w której autor rozprawia się z nowoczesnymi zarzutami przeciw Kościołowi, a w 3-ej części wyłuszcza przyczynę, dlaczego Kościół prześladowany (str. 23).

Doniosłe treścią jest IV kaz., w którem autor przypomina obowiązek niewiasty katolickiej względem Kościoła, jako dziewicy, małżonki, matki.

Los narodów odpadłych od wiary (kaz. V), podnosi jeszcze wyżej o jeden ton zbawienności wpływu Kościoła na społeczeństwo. Na str. 50 odmalowany w jaskrawych barwach los służby.

Ostatnie wreszcie Żydzi i Chrześcijanie pod Krzyżem (kaz. VI), jest silnym epilogiem całości. Katolik obojętny, swojem postępowaniem większą wyrządza krzywdę Zbawcy i Kościołowi, niż Żydzi i prześladowcy jawni.

Forma tych kazań jest doskonałą. Rozłożenie na części wielce przyczynia jasności, tylko wstępy są za długie, np. wstęp kaz. III-go sam w sobie już jest małą mówką. Przedstawienie barwne i żywe, pełne figur krasomówczych np. str. 13. Całość owiana duchem gorliwości kapłańskiej. Braki, jakie się spotyka tu i ówdzie, np. kaz. II niesprawiedliwość sądu nad Jezusem słabo zaznaczona; kaz. III nie po oratorsku zakończone; pewne wyrażenia nie oratorskie, jak »zaręczyny z Lucyprem«, »braciszek rewolucyi«, ustępują zupełnie wobec bogactwa innych zalet.

Znany z rozlicznych prac na niwie kaznodziejskiej autor, znowu darzy nas nowym dorobkiem swego oratorskiego talentu[1]. Pracę całą ze względu na treść i cel możemy podciągnąć pod kategoryę studyum egzegetycznego w kierunku moralnym. Stara się bowiem autor uzasadnić, jak sam tytuł zaświadcza tę tezę, że w modlitwie »Ojcze nasz« nie tylko zawierają się prośby, ale i przykazania Nowego Zakonu.

Mozolną pracą zbierając treść tych przykazań siedmiu w tej formie katechizmowej, możemy je wygłosić. Siedm przykazań Nowego

---

[1] »Ojcze nasz. Siedm przykazań Nowego Zakonu, wyłożone w siedmiu kazaniach pasyjnych, wypowiedzianych w warszawskiej katedrze metropolitalnej św. Jana«.

»Syn marnotrawny, wykład egzegetyczno-moralny przypowieści Chrystusowej«, przez ks. Antoniego Szlagowskiego, profesora seminaryum metropolitalnego. Warszawa 1905. Gebethner i Wolff. Wydawnictwo biblioteki dzieł chrześcijańskich. 8-ka mała, str. 118.

Zakonu. 1) Czcij Boga, 2) Służ Bogu, 3) Służ z wolnej woli, 4) Pracuj, 5) Odpuść bliźniemu winy, 6) Unikaj pokus, 7) Chroń siebie samego.

Każdy przyzna, że w pomyśle tym tkwi dużo oryginalności, a choć modlitwa »Ojcze nasz« posiada nadzwyczaj bogatą literaturę patrystyczną i ascetyczną, to jednak nigdzie nie można znaleźć podobnych oryginalnych zamiarów, aby dekalog zastąpić siedmioma przykazaniami N. Zakonu, opartemi na siedmiu prośbach Modlitwy Pańskiej. Wiemy tylko, że św. Augustyn, idąc za nauką podaną przez św. Jana, ściągnął wszystkie przykazania do jednego, do miłości Bożej: »Kochaj, a czyń co chcesz«. Sądzimy, że podobny pogląd znalazłby usprawiedliwienie z punktu widzenia retorycznego w jakiemś objawieniu, czy podniosłem wyrażeniu, ale jako przedmiot aż siedmiu kazań wydaje się zbyt naciągniętym, jak to w rzeczy samej bez trudności można zauważyć w każdej nauce, zwłaszcza II, str. 21; VI, str. 78, a nadto i niebezpiecznym dla słuchacza. Z całości słuchacz przeciętny dojść może do tego wniosku, że dekalog to dość luźne zestawienie przepisów, które dowolnie skracać się daje.

Jak niepraktycznym był wybór tego tematu, sam kaznodzieja musiał doświadczyć w nauce III. Cała nauka wbija w przekonanie słuchacza to postanowienie, by pełnił wolę Bożą. Przypuszczam, że słuchacz powziął to silne postanowienie, ale cóż się dzieje? Logicznie nasuwa się pytanie, a gdzie ta wola Boża objawiona?

Chce się gwałtem odpowiedzieć: w dekalogu, w dwóch przykazaniach miłości, w pięciu przykazaniach kościelnych; ale kaznodzieja milczy, bo gdyby powiedział: wolę Bożą masz objawioną w dekalogu, samby się sobie sprzeciwił.

Pomijamy trudne i zawiłe nieraz ściąganie dekalogu do siedmiu próśb modlitwy Pańskiej, jak i wyciąganie z nich przykazań Nowego Zakonu, np. str. 21, 78. Ale nie możemy nie zwrócić uwagi na pewne niedokładności rzeczowe, które dopiero trzeba teologicznie tłumaczyć, aby należycie zrozumiałe były.

I tak str. 35 czytamy: »nie macie rozumieć, abyśmy byli obowiązani zawsze chcieć, czego Chrystus chce«. Na szczęście z okazyi przykazania trzeciego »bądź wola Twoja«, ale dopiero w nauce o przykazaniu czwartem »chleba naszego« kaznodzieja tłumaczy nam, że przykazanie trzecie (str. 49) »żąda od nas spełnienia woli Bożej w najszerszym jej zakresie«. Bardzo mało znajdujemy nauki o łasce poświęcającej (str. 41), niedokładne o łasce uczynkowej (str. 49). Nie widzimy racyi dlaczego kaznodzieja opiera się na złem tłumaczeniu

łacińskiem słowa greckiego ἐπιούσιος u Mateusza przez *supersubstantialis*, nadistotny, i stąd wyprowadza jakoby w sensie literalnym, że tam jest mowa o Eucharystyi, kiedy greckie słowo (por. Chryzostom in h. l.) oznacza pokarm potrzebny do zachowania naszej istoty, albo według wersyi etyopskiej i arabskiej, chleb dnia jutrzejszego. Zapewne błędowi drukarskiemu przypisać trzeba nie bardzo dobrą radę (str. 50), daną grzesznikowi, »Boga ojcem swoim nie nazywaj i o chleb, który z nieba zstąpił, w pacierzu nie proś, ani go ‚swoim' nie zów, bo on nie dla ciebie« *(sic)*.

Jak wszystkie niedokładności wypłynęły z nieszczęśliwego założenia, tak w tłumaczeniu samego tekstu »Ojcze nasz« jako prośby, a nie jako zbioru przykazań, kaznodzieja jest dość szczęśliwy, np. kaz. III o woli rozmaitej, kaz. II o królestwie Bożem, kaz. V o odpuszczaniu win.

Egzegeza tekstu jest przeważnie w znaczeniu moralnem, ale nie pomija kaznodzieja i prawd dogmatycznych np. o kościele, o władzy (str. 23). Przytaczanie atoli możliwie wszystkich znaczeń ubocznych obok znaczenia literalnego sprawia w duszy słuchacza pewne zamieszanie, np. »chleba naszego« tłumaczy kaznodzieja (kaz. IV), jako pożywienie, dary duchowne, Eucharystyę, słowo Boże, jałmużnę, Chrystusa, Królestwo Boże. Bardzo dobry jest ustęp kazania VII »o złem« (str. 98). Ładną prawdziwie parafrazę słów »zbaw nas ode złego« znajdujemy na str. 102, a perełką istotnie jest objaśnienie życiowe modlitwy »Ojcze nasz« (str. 105) obudzające w sercu uczucia religijnego rozrzewnienia.

Zato wykład egzegetyczno-moralny przypowieści o synu marnotrawnym nagradza nam braki poprzednich nauk. Zaleca się i jasnym rozkładem i pogodą wysłowienia i bogatą życiową nauką. Znalazłby się atoli niejeden, któryby onego marnotrawnego syna nie tak czarnemi chciał malować barwami (str. 138, 144), a ze stanowiska hygieny pokarmu nie potępiłby w czambuł silikwy czyli chleba świętojańskiego (str. 130). Te atoli i inne sporne kwestye pokryte są bogato innemi dodatniemi stronami krasomowczo-artystycznego wykładu.

Tyle nasypano kwiecia pochwał na grób zmarłego kaznodziei ks. Leonarda Ostrowicza i w *Kronice dyecezyi przemyskiej* (marzec 1905) i w *Przeglądzie kościelnym* (styczeń 1905) i w *Gazecie kościelnej* (2 listopada 1905) za ogłoszenie drukiem przez szanownych wydawców jego kazania, że doprawdy jesteśmy w kłopocie, coby nadto powiedzieć

a nie powtórzyć się. Wszystkie te pochwały tak polotu myśli odzianych w piękną szatę klasyczno-oratorskiego języka, okraszonego nieraz jasną barwą poezyi, tak formy doskonałej kazań, jak i ducha religijno-patryotycznego, zdają się być usprawiedliwione i zasługują na potwierdzenie. Jednem słowem wiele znajduje się w tych kazaniach wybitnych rysów, które świadczą o wielkim talencie krasomowczym autora. I tuszymy, że gdyby autor był sam przygotowywał swoje kazania do druku, byłby z wydawnictwa ich obecnego pousuwał wiele braków i niedoskonałości, jakie naturalnie wślizgnęły się do manuskryptów kazań, dorywczo nieraz opracowywanych. Sądzimy, że autora śmiało można postawić w rzędzie wybitnych kaznodziei. Choć daje się czuć w jego pracach brak obszerniejszej kaznodziejskiej twórczości. Tak np. kazania żałobne [1] w liczbie 73, które pod względem opracowania i polotu myśli, jak barwności języka innym przodują, a niektóre z nich jak 2, 3, 7, 8, 9, 11 były przez autora samego drukiem ogłoszone, grzeszą widoczną jednostajnością nie tylko układu ale nawet i myśli. Wstępy prawie wszędzie te same, zmiana tylko nazwisk zmarłych osób, niektóre prawie dosłownie powtarzane (por. 1, 2, 28, 41), potem następuje krótki żywot zmarłego z tem zastrzeżeniem, że kaznodzieja nie myśli bogatą ręką a nieszczerem sercem częstokroć niezasłużone na zmarłych ciała sypać pochwały, następnie rozwija ogólną jakąś prawdę religijną, nadaje swej mowie zwrot patryotyczny i odpowiednio do życiorysu lub znaczenia zmarłego zakończa mowę. Więcej rozmaitości spotyka się w kazaniach, nazwanych niesłusznie przez wydawców przygodnemi w l. 24, bo przygodnych jest tylko 5, ale i w tych, acz nie zniża kaznodzieja lotu, nie podnosi się znowu zbyt wysoko. Tłumaczy się to tem, że są to kazania przeważnie z okresu pierwszych lat kapłaństwa, co tem chlubniej świadczy o wrodzonym talencie kaznodziei.

Prześliczna tak formą, jak myślami, bogata wysłowieniem a ciekawa treścią jest mowa żałobna na cześć poległych Polaków pod Somo-Sierrą, wygłoszona dnia 30 listopada 1858, jako w dzień 50-letniego jubileuszu. Skala myśli taka: Czem był naród, czem jest, co Polak kocha, Somo-Sierra, gdzie ratunek? Objaśnienia zaczerpnięte z poematu »Raj i Peri«, jak i żarliwe nawoływanie kaznodziei na naród, by się

[1] Ks. Leonard Ostrowicz, szambelan papieski: »Mowy żałobne i kazania przygodne«. Poznań. Nakładem wydawców. Czcionkami drukarni. J. Fr. Tomaszewskiego. 1905. 8-ka większa, str. 384.

z cierpienia duchowego obudził, treścią i formą mogą stanąć obok nawoływań Skargi, a dla doniosłości swojej życiowej powinno być w jak najszerszych kołach spopularyzowane. Któż się nie zachwyci śpiewem prawie ustępu zaczynającego się od słów (str. 13): »bo czy ty wiesz, co to jest ojczyzna twoja?« a grającego na każdej fibrze polskiej duszy.

Zaznaczyć tu winniśmy, że kaznodzieja umie zawsze jednem uderzeniem skrzydła wznieść się od szczegółu do prawdy ogólnej, by w tych przestworzach wspaniałe lotu krasomowczego zataczać kręgi.

Z nauk treści religijnej ciekawe choćby dla swej rzadkości, acz niewykończone są trzy przemówienia do pielgrzymów przed pielgrzymką, w chwili przybycia do cudownego obrazu i po powrocie ich do domu. Oryginalne w swoim rodzaju jest kazanie o Soborze Watykańskim w dniu jego otwarcia 8 grudnia 1869 r. Wstępem uroczystym i wzorowym podziałem zaleca się kazanie na św. Wawrzyńca, ale kazanie I na Boże Ciało razi niedoborem tematu.

Z dogmatycznych kazań nauka o Trójcy Przenajświętszej, acz ładna w szczegółach krasomowczych, wymaga w treści pewnego uzupełnienia katechizmowego, zato kazanie o duszy (str. 217) w zapasach krasomowczych święci tryumfy.

Z całości bije żar ducha, żar gorliwości o dobro dusz i narodu kapłana-Polaka. Kazania te powinny być wszystkim znane.

Życzliwe bardzo przyjęcie niniejszych kazań[1] przez poważną cenzurę *Gazety kościelnej* nr. 47, str. 495, r. 1905, nowego recenzenta już z góry usposabia dobrze i optymistycznie. Czytamy tam bowiem: »na ogół są to kazania świetne i niezwykłe. Zarówno dobór tematów, jak ich uzasadnienie i wypełnienie, jak zresztą dyspozycya i wysłowienie, wszystko tu dobrze pomyślane, dokładnie wyrażone, wprost wzorowo oddane«. Zdaje nam się, że na większą pochwałę zdobyć się nie można. My też nie możemy, ani myślimy jej burzyć lub umniejszać. Wystarczy przeglądnąć tylko spis rzeczy, aby się przekonać o dogmatycznem bogactwie przedmiotu, obszernie i głęboko w obranym temacie rozprowadzonego. Na każde bowiem święto autor przynosi 4, 5 lub 6 kazań, a każde znowu kazanie, według intencyi autora,

[1] Ks. Józef Stanisław Adamski T. J.: »Kazania świąteczne na Uroczystości Pańskie«. Tom I. Poznań. Nakładem i czcionkami drukarni i księgarni św. Wojciecha. 1905. 8-ka wielka, str. 474.

może dostarczyć treści na dwa i trzy kazania. Na ośm świąt, począwszy od Bożego Narodzenia, liczymy ogółem 40 kazań.

Treść tych kazań przeważnie dogmatyczna. Czasem potrąca szan. autor o kwestyę socyalną, jak kaz. V i VI na Boże Narodzenie »Stanowisko ubogich w świetle Bożego Narodzenia«. Czasem jest treść ascetyczna, jak np. kaz. IV na Nowy Rok »Zjednoczenie z Jezusem«, to znowu moralna, jak np. kaz. IV na Uroczystość Imienia Jezus o pokorze. Patryotyczne ostatnie kazanie o Krzyżu.

Rozprowadzenie tych tematów różnie się przedstawia. Najczęściej udowadnia autor założenie swoje wprost dogmatycznie, nie brak atoli i dowodzeń nie wprost np. kaz. III na Boże Narodzenie, w którem zgodność Narodzin Pańskich z wielkością, mądrością, dobrocią Boga jest w uzasadnieniu punktem wyjścia (por. kaz. II na Wielkanoc o zwycięstwach Jezusowych). O nieśmiertelności duszy kaz. IV na tę samą uroczystość przybiera charakter konferencyi z powodu rozprowadzenia i uzasadnienia czysto filozoficznego.

Forma kazań jest urobiona na wzorach francuskich; ma podziały i podpodziały, co w takich kazaniach, jak te, natury dydaktycznej, znajduje bardzo dobre zastosowanie. Pareneza występuje w zastosowaniach życiowych. Nie brak i formy homiletycznej, kaz. I na Boże Narodzenie i kaz. III na Wielkanoc.

Oceniając kazania ze względu na stanowisko, jakie zajmują w dziedzinie homiletyki, musimy je podciągnąć pod dział kazań dogmatyczno-dydaktycznych. Kaznodzieja czyni w nich zadość pierwszemu postulatowi wymowy *ut veritas pateat.* Brakuje zaś tym kazaniom spełniania dwóch innych postulatów, *ut veritas placeat et moveat* (Por. św. Augustyn *de Doctr. Christ.* l. IV, c. XII). To też jako takie wypełniają one bardzo dobrze i z wielkim pożytkiem lukę ogromną w dziale literatury kaznodziejstwa polskiego dogmatyczno-dydaktycznego. Szkoda, że szanowny autor nie potrafi się zniżyć w sposobie wyrażania się do pojęć przeciętnego słuchacza. I to jest, według naszego zdania, największy brak tych kazań. Błąd ten Cicero (*de Orat.* 1, 3, 12) tak określa: *In dicendo vitium vel maximum, a vulgari genere orationis atque a consuetudine communis sensus abhorrere.*

Mimo to wszystko powodzenie tych kazań u PT. Braci Kapłanów dla nauki dogmatycznej w nich zawartej, stale powinno być zapewnione.

Prace homiletyczne znanego kaznodziei zawsze są mile i przychylnie witane. Zalecają się one dziwnie wielką prostotą i przystę-

pnością. Seryę pierwszą kazań niedzielnych (we wyd. III Wilno 1900), jakoteż kazania świętalne (wyd. IV Warszawa 1902), przygodne (wyd. IV Warszawa 1902), pasyjne (wyd. III Warszawa 1902), Homilie (Stanisławów 1900), zna każden kapłan i zawdzięcza im nieraz walną pomoc w swych pracach pasterskich. Nowa serya kazań niedzielnych [1], odrębna i świeża co do treści od poprzednich, nie zawiedzie napewno oczekiwania. Są one przeważnie moralne, a nauka w nich zawarta, czy to o cnocie, czy o występku zawsze jasno wyłożona, odpowiedniemi pobudkami tak Bożemi, jak naturalnemi poparta i do życia dostrojona. Niektóre z kazań, jak 7 o Mszy św., 11 o piekle, 19 o Eucharystyi, 33 o Opatrzności, osnute są na tle dogmatycznem.

Z wielkim pożytkiem dla kapłanów porusza Szan. autor tematy bardzo świeże, jak kazań 6 o wychodźtwie, kazań 13 o stanie robotniczym, kazań 19 o środkach na zdobycie chleba powszedniego, 34 o socyalistach, 35 o procesach, 41 o loteryi. Do liturgicznych zaliczyć można kazań 4 o Suchedniach, 38 o Sakramentaliach, 21 o Wielkim tygodniu. W dodatku mamy parę kazań okolicznościowych, jak na 40-godzinne nabożeństwo, na dzień św. Dominika, na Podwyższenie św. Krzyża, na M. B. Różańcową.

Mimo wszelkich wywodów nie możemy się zgodzić na tezę Szan. autora potępiającą w czambuł wychodźtwo (kaz. 6). Kwestya ta tak piekącej natury socyalnej, zbyt jest pobieżnie rozwiązana, a w rezultacie tak co do strat duchowych (część 3), zwłaszcza doczesnych (część 2) jak i co do przyczyn (część 1) nie zupełnie z rzeczową prawdą zgodna. To też jest ono i pozostanie głosem wołającego na puszczy, bo go nikt dzisiaj nie usłucha.

Podnosimy natomiast chętnie cenne i rzeczowe wywody o socyalistach (kaz. 34), o wiatyku (kaz. 47), jak również (kaz. 43) o stanie robotniczym.

Zalecać tych kazań nie myślimy. Nazwisko Szan. autora jest dla nich najlepszą reklamą.

Kazanie to patryotyczne wypowiedział mówca na Kahlenbergu, podczas uroczystości poświęcenia odnowionej kaplicy króla Jana Sobieskiego i umieszczenia tamże pamiątkowej tablicy, wobec zgro-

---

[1] Kazania na niedziele całego roku. Opracował ks. Tomasz Dąbrowski, emer. katecheta gimnazyum w Stanisławowie. Serya druga. Kraków. Nakład i własność XX. Misyonarzy w Krakowie. 1906. 8-ka większa, str. 407.

madzonej Polonii z całego Wiednia, tak dostojnych urzędników i panów, jak prostego robotnika. Osnowa jego taka [1]: Przypomniany czyn oswobodzenia Wiednia przez Sobieskiego wraz z napiętnowaniem nieuzasadnionych przeciw niemu wycieczek wrogów naszych. Kaznodzieja odpowiada na pytanie, dlaczego ojcom naszym działo się dobrze, a dlaczego nam źle (str. 8) i gdzie nasz ratunek? Kazanie wypowiedziane w stylu, choć może nie podniosłym, atoli pełnym szczerości i dziwnej męskiej mocy.

Forma jego przypomina raczej zastanowienie się seryo nad sobą, a nastrój wywołany miejscem tak brzemiennem we wielkie myśli, które mówca umiał wykorzystać, nadaje mu charakter jakiegoś wielkiego wspomnienia przeszłości. Zasługa tego kazania w tem, że mówca odrzuciwszy od siebie ze wstrętem wszelkie czułostkowe roztkliwianie się nad naszym losem i wszelkie niesmaczne i niezdrowe uwielbianie samych siebie, z mocą męża-lekarza odsłonił rany narodu, pokazał jego wady i grzechy i w imię sławy przeszłości i w imię obowiązków dzisiejszych kazał je leczyć i goić, nie słowem ale czynem, nie programem, ale organiczną pracą, nie rozdziałem, ale jednością. A jako kapłan-Polak na pierwszem miejscu, za wzorem Sobieskiego i wielkich owych mężów, mniej sławnych uczonością, ale więcej sławnych czynem, wskazał na potrzebę odrodzenia się duchowego narodu w Chrystusie. Szczęść Boże tym myślom i radom i tej prawie nowej drodze w przemówieniach patryotycznych.

Ks. H. Haduch.

Z piśmiennictw obcych.

La France au dehors. Les missions catholiques françaises au XIX s. par *le Père J. B. Piolet S. J.* Missions d'Amérique. T. VI. Librairie Armand Colin. Str. 520.

Ostatni tom wielkiego wydawnictwa O. Pioleta nie jest materyalnie obszerniejszym od poprzednich, przy czytaniu jednak czyni

[1] Kazanie o odsieczy Wiednia, wygłoszone na Kallenbergu dnia 20 listopada 1904 r. Najpierw odbitka z *Dwutygodnika katechetycznego*, potem broszura, przez ks. J. A. Łukaszkiewicza, Kan. Kap. Bazyliki Loret. Lwów. Nakładem Biblioteki Dzieduszyckich, z drukarni Polonia. 1905. 8-ka mała, str. 16.

wrażenie ogromu; przedmiot ciężarem swoim przygnębia umysł czytelnika. Ameryka zbyt jest obszerną, aby działanie w niej katolicyzmu módz bezkarnie zamknąć w 520 stronicach, to też dzieło byłoby zyskało na poczytności, gdyby nań wydawca był dwa tomy poświęcił, albo ograniczył się na opisaniu istotnej czynności misyonarskiej, nie wciągając w jej zakres pracy dyecezyalnej wśród chrześcijan z dziada i pradziada, jak np. w Stanach Zjednoczonych. Zresztą w tym tomie, jak i w poprzednich, poszczególni autorowie opowiadają nie tylko o misyach XIX wieku, jak opiewa tytuł, ale całą historyę tych misyi od ich początku — inaczej rzecz nie byłaby dość jasną. Trzeba im także przerzucać się z jednego punktu na drugi przez odległości, któreby w Europie całe państwa objęły, a tu tworzą tylko mniej lub więcej pustynną cząstkę kraju. Obszary te gorzko czuć się dawały i często jeszcze czuć się dają misyonarzom w stronach, dokąd kolej żelazna jeszcze nie sięga, gdzie całe dni spędzać trzeba na lichej łódce lub twardym wózkiem trząść się po skałach. Najobfitszą w takie wycieczki jest praca w północnych strefach Ameryki, ponad Zatoką Hudsońską wśród lodów i nieskończoności pól śnieżnych. Od nich z porządku geograficznego powinnyby rozpocząć się opisy; uczucie patryotyzmu wszakże każe im pierwszeństwa ustąpić Kanadzie. I nie dziw — ludzie mówią, iż Francuzi kanadyjscy, zachowujący zalety swych przodków, o stokroć są milsi od swej europejskiej dzisiejszej braci.

Do Kanady pierwsi ponieśli krzyż Jezuici, ale ich wypędzono, poczem przyszli Franciszkanie, których wymordowano a po nich znów Jezuici. Dopiero jednak od anneksyi kraju i traktatu w St. Germain (1632), praca misyjna rozpoczęła się na dobre, utrudniona epidemiami szkorbutu, febry i innemi biedami a podzielona około kolonistów francuskich i usuwanych przez tychże krajowców. Tych Jezuici usiłowali z wędrownego, utrudniającego wszelki wpływ stały próżniaczego życia, doprowadzić do ugrupowania się w osobnych osiedlach. Ludzie byli nieźli, ale »natura ciągnęła wilka do lasu«, a obarczeni całą parafialną działalnością zakonnicy, nie mogli pracy podołać. Utworzenie w r. 1657 w Anébec biskupstwa ze zwykłą hierarchią kleru, rozwiązało ręce Jezuitom. Za nimi przybyły z kolei różne zakony, jak Kapucyni, Reformaci, Sulpicyanie i t. p. i wtedy misye rozwinęły się w całej pełni, zwłaszcza po stronie północno-zachodniej, po obu brzegach Mississipi. Często wprawdzie skropiła je krew męczenników, ale ta, jak wiadomo, najlepiej użyźnia rolę Chrystusową. Trwało tak do r. 1763, to jest do zaboru Kanady przez Anglię. Wtedy nastały cięższe czasy, nie tyle

z powodu umniejszenia wolności religijnej, ile z antagonizmu urzędników angielskich, wietrzących, i słusznie, w zakonnikach francuskich zelantów francuskiego patryotyzmu i wpływu. Stąd zakaz zakonnikom obcym przebywania w granicach Kanady i wskutek tego niejeden gwałt i, co gorzej, stopniowy upadek dzieła. Ledwie zaś dla Jezuitów uczyniono wyjątek wraz nastąpiła kasata Zakonu. Pozostał tedy sam kler świecki, to jest 1 biskup z 60 księżmi na 70.000 katolików. Bóg jednak umie w dziwny sposób rozmnażać ludzkiej pracy owoce. W niespełna sto lat potem (1850) Kanada posiadała 1 arcybiskupa, 7 biskupów, 572 księży i 900.000 katolików. Dziś zaś wobec gęstego napływu z Europy i zupełnej wolności wiary, ułatwiającej działanie różnych zgromadzeń zakonnych, katolicy tworzą masę kilku milionów, podzieloną na 26 dyecezyi a 7 prowincyi kościelnych.

Na północ od Kanady, w wzmiankowanej już olbrzymiej nad Zatoką Hudsońską przestrzeni, mieszczącej płaszczyzny t. zw. *prairies*, i część łańcucha Rocky Mountains, działalność misyonarzy dzieli się między Metysów i czerwonoskórców. Ci ostatni zajmują 50 rezerw, przeznaczonych wyłącznie dla tyluż szczepów, a zamieszkujący w każdej rezydent angielski pilnuje ziemi, by jej nie sprzedawano lub też nie osiedlił się nań który z białych. Dawniej bawoły stanowiły bogactwo kraju; dziś, gdy ich brakło, rząd zmuszony jest, według zawartych umów, dostarczać Indyanom mąki i mięsa. Są to nie już ludy, ale szczątki ludów wymierających o charakterze przeważnie ponurym, o moralności żadnej. Posiadają tradycye dość dokładne o stworzeniu świata, natomiast o potopie żadnego pojęcia, co — obok innych wskazówek — budzi u niektórych uczonych przypuszczenie, iż są odłamem rasy mongolskiej przeszłym do Ameryki przez dzisiejszą cieśninę Behringa. Co dziwne, to istnienie u niektórych obrządku obrzezania i innych zwyczajów semickich, jest też wielu czcicieli ognia, obchodzących w czerwcu ohydną uroczystość Tańca ognia, wśród którego fanatycy krają sobie ciało lub urzynają członki ku wielkiej uciesze rozciekawionych turystów angielskich. Nie cześć ognia ale wielożeństwo stanowi dla misyonarzy główną przeszkodę, wzmocnioną jeszcze przykładem poblizkiej kolonii Mormonów. Metysi zaś powstali z małżeństw pierwszych zaborców kraju, Francuzów, z miejscowemi kobietami, i łącząc w sobie właściwości obu ras, utworzyli szczep bardzo zajmujący, nadający się do opisów romansopisarzy. Góruje w nich żywioł francuski i francuska mowa, stąd też macosze obchodzenie się z nimi urzędników angielskich, upokorzenia i krzywdy rodzące niechęć a wkońcu zbrojne

w r. 1885 powstanie, zakończone, jak łatwo można było przewidzieć, porażką Metysów. Rozdrażnienie było tak wielkie, iż powstańcy, choć sami katolicy, burzyli misye, skąd dochodziły ich przezorne rady cierpliwości i spokoju. Po uśmierzeniu burzy szczep zaczął szybko zanikać a podobno bardzo go szkoda. Z ich to ojcami przyszli pierwsi misyonarze pierwszej połowy XVIII wieku, zrazu powitani śmiercią męczeńską a następnie pracujący pomyślnie aż do chwili zniesienia Towarzystwa Jezusowego. Wtedy kraj pozostał w rękach handlowców; rozpoczęła się walka między Hudson-bay Company, używającej przeważnie Szkotów a Nord-west Company, posługująca się Francuzami z Kanady. Dopiero około 1825 r. prezbyteryanin angielski, lord Selkirk (Thomas Douglas), jeden z najpotężniejszych członków Kompanii hudsońskiej, przywołał misyonarzy katolickich dla utworzenia kolonii i wtedy wysłany przez jedynego wówczas biskupa kanadyjskiego ksiądz Provencher, został założycielem tego, co dziś jest archidyecezyą St. Boniface. Jeszcze przed 50 laty, biskup odbywający wizytacyę dyecezyalną, zmuszonym był czynić to pieszo w towarzystwie dwóch Indyan i czterech psów, sypiając na śniegu pod osłoną gałęzi świerkowych. Praca szła ciężko wśród objawów złej woli ajentów tejże samej hudsońskiej Kompanii, przeciwdziałania protestanckich duchownych i morderczych napadów krajowców. Ogromnie wiele łożyli jej Oblaci, których dzieje misyi zapisują długie szeregi imion z głównym naciskiem na nazwiska późniejszych biskupów, jak ks. Taché, Legal, Grandin, Lacombe i t. d. Otwarcie w r. 1883 wielkiej linii kolejowej Great Pacific zmieniło zupełnie warunki bytu w tych dzikich przestworzach, wtłaczając w nie ogromny prąd cywilizacyi i europejskiego życia. Trudności przybrały inny charakter, niemniej przeto na niedawnych pustkowiach stanęły katedry i miasta; w Ottawie jest uniwersytet kierowany przez księży Oblatów.

Wątpić należy, aby do podobnych rezultatów doszło kiedy w Labradorze. Zbyt zimną i zbyt ubogą jest ta pierwsza z ziem Ameryki, na której pono stanęła noga Europejczyka [1] i dopiero przed pół wiekiem kilku misyonarzy z O. Armand na czele wybrało się między lody i biednych, bardzo poczciwych rybaków. Na wybrzeżu morskiem stanęło kilkadziesiąt kaplic, do których rodziny rybackie przychodzą z daleka

[1] Statek duński, dowodzony przez Jana z Kolna, zda się Polaka, natrafił na Labrador długo przed urodzeniem Cabota i Kolumba. Wyprawa ta jednak pozostała bez skutków i nie mogła się zwać »odkryciem« ani Ameryki ani nawet samego Labradoru.

ku wielkiemu niezadowoleniu osiadłych tu Braci Morawskich czyli Czeskich. Niedawnymi czasy postanowiono nad cieśniną Hudsońską założyć stałą misyę; dotąd księża, głównie Jezuici, przybywają ze Stanów Zjednoczonych zwłaszcza na wybrzeże wschodnie Labradoru, gdzie lud jest gościnny i chętny. Na zachodniem przeciwnie, misyonarz wydaje się krajowcom tylko przedmiotem do wyzysku.

Wręcz odmiennie przedstawia się t. zw. Kolumbia brytańska czyli Vancouvert, zwana też Szwajcaryą amerykańską, kraj łososia, czerpiący bogactwo swoje z rybołostwa, kosztownych futer i kopalni złota, zamieszkały przez szczątki te plemion w łącznej dziś liczbie 23.000 i ludność osiedleńców białą i żółtą — wielu bowiem Chińczyków zajętych jest przyprawianiem konserw z łososia. Obyczaje tych kolonistów — istna Sodoma i Gomora — morderstwa i gwałty na porządku dziennym zarażały przykładem biednych pogan i niweczyły usiłowania przybyłych tu od r. 1847 misyonarzy. Utrudniała je też różnorodność obyczajów i mowy u tubylców, nierówności w ich poziomie umysłowym i religijnym, zbliżonym u większości do szamanizmu. Wielkiem ułatwieniem zato okazały się wspólne niemal wszystkim zdolności muzyczne i dziś można słyszeć całe msze śpiewane przez Indyan bez nut i to po łacinie. Moralność podniosła się o całe niebo wśród katolików liczonych obecnie na 12.000. Duchowieństwo składa się z biskupa i 35 księży, z których jest 30 Oblatów. Z pomiędzy tych biskup d'Herbonnez największe położył zasługi.

Dotąd była mowa o prawdziwych misyach. Obecnie przychodzi kolej na Stany Zjednoczone, gdzie opis działalności kleru katolickiego zajmuje sto kilkadziesiąt stron a da się streścić chyba wzmianką, że gdy w chwili utworzenia Unii było w niej katolików 24.000 a rozwój ich wiary tłumiony był przez protestantyzm w początku XIX wieku, to już w końcu stulecia statystyka wykazywała ich przeszło 10 milionów, objętych w 78 dyecezyi — z tych 5 francuskich biskupów, którymi mianowicie zajmuje się sprawozdanie. Do katolików liczą się też Indyanie oraz wzmagająca się z każdym rokiem moc emigrantów. O Polakach znajdujemy tylko pogardliwą uwagę, że »mają schizmę we krwi«: *le schisme dans le sang.*

Z prawdziwemi misyami spotykamy się znowu na Kubie a to, co się tam widzi, zaciera wszelkie pożałowanie dla zwalczonych niedawno Hiszpanów. Niedość że Kuba podobnie jak Filipiny służyły za *vomitoria* Hiszpanii, wyrzucającej tam, *en Ultramar,* swych podejrzanych urzędników, zgranych paniczów i zbankrutowanych przedsiębior-

ców, niedość że w sposób rujnujący monopolizowała wszelki handel Kuby, ale na domiar złego zostawiała ją bez żadnej opieki religijnej. To, co na wyspie zdziałali Dominikanie, zniszczyła rewolucya hiszpańska w r. 1834, tak, iż gdy po ostatniej wojnie rozświeciły się przed oczami świata wewnętrzne stosunki, okazało się, iż istnieją tam całe okręgi przywrócone niemal do stanu pogaństwa. W okolicach Cienfuegos większość nie tylko młodych lecz i starców żyła bez chrztu, bez małżeństwa, z mętnem bardzo wyobrażeniem o Bogu. Tu podobnie, jak w niektórych innych stronach, misyonarze czują się jakoby w środkowej Afryce. Jest ich dotąd bardzo niewielu, kilku Dominikanów hiszpańskich i pięciu Francuzów, do których biedny lud garnie się gorliwie. W Cienfuegos buda, przedstawiająca prowizoryczny kościół, pełna pobożnych — rzec można neofitów. Nielepiej dzieje się na kwitnącej w połowie XVIII wieku, a tyloma rewolucyami wstrząsanej wyspie Haiti. Tu wśród kleru i ludu zdziczenie, niemal powrót do pogaństwa. Proboszczowie umyślnie, w grzesznych celach, zabraniali wikarym nauczania i kazań i udaremniali usiłowania obcych księży. Z Rzymu kilkakrotnie czyniono próżne kroki ku zawarciu konkordatu z czarnymi władcami wyspy: sam »cesarz« Saluk, choć solennie ukoronowany na wzór Napoleona, należał do ohydnej sekty Wodu. Dopiero w r. 1860 doszedł konkordat do skutku i O. Liberman wysłał swych pracowników do tej stajni Augyasza. W teoryi założono na Haiti archidyecezyę i 3 dyecezye, w praktyce jednak teraz dopiero zaczęła się walka między dawnym, zepsutym klerem a nowymi księżmi. Jeszcze w następnych latach odbywały się u bram Port-au-Prince pogańskie orgie bożka Wodu, wśród których czarni zabijali i pożerali dzieci; kobieta jedna przyznała, iż ośmioro własnych dziatek dała w ten sposób na śmierć i sama jadła ich ciało... W jakiejś chacie misyonarz znalazł stary biust Nelsona, czczony jako bożek źródeł i gór. Teraz jednak rzeczy idą codzień ku lepszemu, pomimo iż wkrótce po zjednoczeniu z Rzymem, nowa rewolucya przerwała chwilowo pracę oczyszczenia, pomimo również, iż tu, jak w większości misyi, propaganda Metodystów współzawodniczy z działaniem katolicyzmu. Już w 1885 r. gdy umarł czczony i kochany arcybiskup Guilloux, prezydent republiki szedł pierwszy za trumną, na którą z okien i balkonów sypały się kwiaty. Odtąd już dużo się zrobiło i dużo się robi. Nie są opuszczone i inne Antylle. Na Dominice trudności stawia nie ludność poczciwa, ale bieda, brak pieniędzy i innych środków działania, tak, iż misyonarze stwierdzają, iż całkowity materyał na wielkie stojące dziś kościoły zniesiony

był z daleka na murzyńskich głowach. Na Trinidad znów stosunki inne, bo rządy angielskie. Tu żółta febra przerzedza szeregi pracujących zakonników nie tamując ogromnych postępów, nie odstraszając Sióstr Dominikanek, obsługujących, ku wielkiemu niezadowoleniu ministrów protestanckich, rządowy szpital trędowatych. Chyba żaden żołnierz w bitwie nie jest bardziej narażonym na śmierć, niż te Boże pracownice między żółtą febrą a trądem...

Wobec klimatu Antylli powietrze osławionej Guyany francuskiej jest stosunkowo niewinne i nie byłoby zyskało tak złej reputacyi, gdyby umieszczenie na tych wybrzeżach francuskiej katorgi nie rzuciło grozy na całą krainę. Zamieszkujący ją pierwotnie lud Karaibów nawrócony przez Jezuitów w XVII i XVIII wieku wymiera w stanie zdziczenia. Część nawet tych, którzy tu przebywają obecnie, przywędrowała z Guyany holenderskiej. Opróżniona w r. 1807 prefektura apostolska liczyła naonczas tylko 6 księży. Od r. 1818 datuje się postęp. Nowo mianowany biskup Guillot rozpoczął z wielką energią dzieło odbudowania. Duszą tegoż obok biskupa była kobieta rzadkich zdolności i cnoty, założycielka Zgromadzenia św. Józefa z Cluny, Anna Marya Javouhey, przezwana »Matką czarnych«. Rząd francuski, usiłujący napróżno kolonizować wybrzeża Guyany, zażądał jej współudziału i wnet M. Javouhey przybyła na czele 36 swych Sióstr i 50 emigrantów, zamieniając pustkowie zwane odtąd Nouveau-Angoutême w osadę rzemieślniczo-rolniczą. W przeciągu trzech lat z jednej osady zrobiły się trzy; Czarni bowiem przyłączali się do kolonistów francuskich. Parafii w blizkości nie było, ale co dwa lub trzy miesiące przyjeżdżał ksiądz i bawił parę tygodni. Dni kolonii wszakże były policzone, bo ich wyroby czyniły konkurencyę zazdrosnym kupcom Kajenny, wskutek czego powstały trudności zniechęcające wielu kolonistów za ojczyzną stęsknionych. Nadto rząd przestał płacić dotychczasową subwencyę a M. Javouhey wezwał do innego dzieła. Chodziło o wychowanie moralne 520 murzynów świeżo kupcom afrykańskim odbitych, a których obawiano się puścić na wolność bez pewnego przysposobienia. I znów M. Javouhey wzięła się gorąco do dzieła nawracając prócz powierzonej sobie gromady, mnóstwo Czarnych garnących się do niej z ufnością. Daremnie najszpetniejsze potwarze, znajdujące chwilowo posłuch u samego biskupa Guillot, usiłowały przerwać anielską pracę. M. Javouhey przetrwała wszystko i dopiero dokonawszy dzieła, wróciła do Francyi, gdzie w r. 1851 umarła. Wtedy już Jezuici chwycili w swe ręce apostolstwo Guyany i prowadzili je zwycięsko do chwili, gdzie republi-

kańsko-masońskie rządy rozpoczęły swą czynność burzącą. W r. 1897 było w Guyanie 17 stałych stacyi misyjnych.

Podobny był los, który spotkał katolicyzm w Brazylii w XVIII w. Tu świetne zakłady Jezuitów zniszczyła kassata Towarzystwa a wyniki prac innych zakonów zgładziły wyroki Pombala. Wiadomo również, iż pobożność dworu ostatniego cesarza Don Pedra, a zwłaszcza córki i dziedziczki jego Izabelli, która dla przykładu własnoręcznie myła posadzki kościelne, przyczyniła się w znacznej mierze do wybuchu rewolucyi, zmiatającej tron. W tak olbrzymiem państwie jednak nie może być wszystko jednostajnie złem, jak też i jednostajnie dobrem. Tak np. gdy przy końcu XIX w. biskup z Manaos Aguijar postanowił udać się do misyonarzy O. Libermanna z prośbą o pomoc w nawracaniu Indyan, ówczesny gubernator Stanu Amazonek poparł go całą siłą. Wkrótce też powstał zakład misyjny w puszczy leśnej Teffe, a za tym podobne stacye i w innych częściach kraju nie tylko dla Indyan ale i dla zwiększającej się co dnia liczby kolonistów z Europy. W Stanie Rio Grande np. koloniści wśród ogromnych borów wycinają ulice i rynki, na których w pośród starych drzew stają nie tylko domy i banki ale kościoły, klasztory, szkoły i szpitale. Toż samo dzieje się w innych łacińskich republikach południowej Ameryki, gdzie przybysze ze wszystkich narodowości walczą o przewagę — przedewszystkiem handlową — ale też i po części moralną. Najwięcej Francuzów, bo 300.000, jest w Argentynie; w Urugwaju liczba ich zeszła do 35.000. Za to liczba Indyan przeciwnie jak w Ameryce północnej od pewnego czasu znacznie się wzmaga a wskutek tego postawa z pokornej lub biernej przechodzi często w zaczepną. W Urugwaju nie mając od nich spokoju Biali zażądali pośrednictwa Lazarystów, którzy nie tylko umieli utrzymać zgodę ale pozyskali u Indyan ogromny wpływ. Nawrócenia mnożyły się, gdy Lazaryści dla własnych, niewymienionych w książce powodów, zmuszeni byli opuścić misyę. Zastąpili ich Maryści wraz z innemi zgromadzeniami męskiemi i żeńskiemi.

W ostatnich czasach prześladowanie Kościoła we Francyi spowodowało ogromny przypływ misyonarzy i zakonnic wszelkich reguł do Ameryki południowej jak zresztą na wszelkie punkta kuli ziemskiej, gdzie mogą pracować dla dobra dusz. Wszelako, jak słusznie zauważa autor, wzmocnienie to jest chwilowem, gdyż wskutek wyschnięcia źródeł w ojczyźnie, przestaną klasztory amerykańskie z Europy czerpać swe siły a wtedy wraz z francuskiemi misyami skończy się i wpływ francuski na zewnątrz.

Na tych smutnych słowach zamyka się szereg opisów wszechświatowej pracy dokonywanej przez misyonarzy francuskich.

Dzieło kończy się długą oceną działalności misyi francuskich pióra najpoważniejszego z paryskich krytyków, p. Brunetière. Przedmowę napisał polityk, p. Lamy, konkluzyę literat, Brunetière, i obaj, tak z punktu politycznego jak umysłowego, zgadzają się na jedno: że misye są chlubą francuskiego narodu i że niszcząc je, rząd republikański zadaje krwawy cios powadze i przewadze swojego kraju.

T. Wodzicka.

Les drames de l'histoire. *Comte Fleury.* Librairie Hachette 1905.

Uważają powszechnie za rozrywkę czytanie powieści; sądzić jednak można, że coraz więcej wysubtelniająca się ludzkość, będzie czem raz surowsze stawiać wymagania utworom powieściowym. Podzieli je na te, które odpowiedzą psychologicznym wymaganiom i odsłonią dzieje wewnętrzne duszy ludzkiej w jej różnych przejawach nie ograniczając się tylko do kwestyi miłości. I coraz więcej widzieć można śladów tej ewolucyi. Drugi dział powieści rzuci się pewno na bogatą skarbnicę dramatów i konfliktów historyi — i przemieniając się na opowiadania historyczne uplastyczni tę przeszłość. I tu i tam cała wartość utworu polegać będzie naturalnie na większej lub mniejszej zdolności — powiedzmy nawet geniuszu — autora. Ale tymczasem wracając do punktu wyjścia tego sprawozdania, szczerze polecamy tym, którzy szukają rozrywki i pouczenia, obznajomienie się z książką p. Fleury.

Wykroił on z historyi trzy dramaty. Pierwszy, to historya ciotek Ludwika XIV: księżne Adelajda i Henryeta wyjechały z Francyi przerażone zapowiadającą się rewolucyą, w Rzymie jednak dosięgnęła ich burza i biedne stare panny zaskrzepłe w dewocyi, etykiecie guwernantki i amatorki drobnych ploteczek, musiały się tułać po ziemi i morzu, zanim dobiły do Tryestu, gdzie skołatanego życia dokonały.

Druga opowieść, to uwolnienie Lavalette'a przez żonę. Skazany na śmierć za to, że w czasie 100-dniowego Napoleońskiego powrotu objął energicznie dawny urząd dyrektora poczty, byłby zginął marnie na szafocie, gdyby nie przytomność żony, która przebrała go w swoje suknie i zamiast siebie, z więzienia wyprawiła. Te wzruszenia okupiła chorobą umysłową.

Ale najciekawszym dramatem, to dzieje Gaspara Hausera, owego »podrzutka« z Norymbergi. Stara Norymbergia wywiera dziwny urok

na każdego, kto do niej zaglądnął. Kto raz tylko tam był, już zachowa wyryte w pamięci wspomnienie tego oryginalnego miasta; te ulice wązkie raz idące stromo do góry, to znowu przerwane schodami, te mostki nad brudną Pegnitz, te sylwetki domów oryginalnych, wystających nad ulicą swymi gankami, to wszystko powszednie i codzienne co składa się na tło miasta jest tam zupełnie typowe. A cóż za uderzające wrażenie na takiem tle właśnie wywierają prawdziwe arcydzieła gotyckiej architektury! Kościoły św. Sebalda i św. Wawrzyńca, Frauenkirche, studnie przepiękne, to są monumenta rozkwitłego życia dawnych patrycyuszów. Dom Dürera, arcydzieła Adama Krafta mówią nam o całych wiekach wysokiej kultury artystycznej tego wolnego miasta, które nigdy nie było rabowanem ani spalonem wśród rozlicznych wojen, które Niemcy przechodziły w wiekach dawnych.

Kto miał sposobność zwiedzać Norymbergę, ten przyzna słuszność tym zachwytom nad nią: ten zarazem i może powiedzieć, jaki urok tajemniczości wywierają te charakterystyczne norymberskie pamiątki, np. dom baronów Tucherów. Jakże oddech średniowiecza uderza z tego dziedzińczyka okolonego śliczną galeryą włoską. Wchodzi się od ulicy bramą zwykłą; front kamieniczki gładki, skromny z jednym tylko erkerem. Bo ten front służy zwykłym ludziom jako najęte mieszkanie. Dopiero w dziedzińcu z boku stoi to, co było dawniej Jägerhausem i miniaturowy pałacyk w włoskim stylu zewnątrz, z wieżą, na której widnieje herb Tucherów — murzyn z niebieską opaską, zupełnie podobny do herbu Korytowskich. Wewnątrz zaś tego miniaturowego domu spotyka cię przeszłość wieku. Typowe urządzenie czysto niemieckie w norymberskim stylu Dürera, mnóstwo rzeczy starych autentycznych, jak np. śliczny pokój sypialny wyłożony boiseriami, na których niby drzewo genealogiczne idą obok siebie rzeźbione herby Tucherów i ich małżonek, które ten pokój zajmowały. Przepyszne gobeliny flamandzkie z herbami Tucherów, zdobią jadalnię bardzo piękną i poważną. Wszystko utrzymane starannie i uzupełnione ze znajomością rzeczy przez obecnego naczelnika rodu barona Tuchera, konsula bawarskiego w Wiedniu.

Te wszystkie wspomnienia Norymbergii żywo mi wróciły do pamięci przy czytaniu świeżo wydanej książki p. Fleury p. t. »Les drames de l'histoire«.

Raz jeden więcej znajdujemy tam historyę Gaspara Hausera; tę historyę tajemniczą, niejasną podrzuconego miastu Norymberdze

chłopca, w którym dopatrują się księcia Badeńskiego, syna Stefanii Beauharnais.

Oto 26 maja 1828 w poniedziałek Zielonych Świąt, na jednej z głównych ulic, powoli wzdłuż murów kamienic, wlecze się mizerny, wybladły ośmnastoletni wyrostek. Zaintrygowany dziwnym wyglądem chłopca przechodzący mieszkaniec Weichman, zaczepia go i wypytuje. Ale odpowiedzi przychodzą niejasne i niezrozumiałe: wreszcie przerażony chłopiec pokazuje list zaadresowany do kapitana v. Wessenich, komenderującego pułkiem ułanów w Norymberdze. Ale i tam zaprowadzony chłopiec nie wiele więcej daje odpowiedzi. Pokazuje się, że prócz kilku słów, wcale ludzkiej mowy nie zna; odpowiada ledwo znakami a nazwiska swojego, Gaspar Hauser nie umie wymówić, tylko niezgrabnie napisać. Przytem na nogach utrzymać się nie może, a doktor uznał to skutkiem długich lat przepędzonych siedząco lub leżąco. Znosić jedzenia zwykłego nie może, jedynie chleb i wodę przyjmuje. List, który miał przy sobie, widocznie podrobiony, nie daje żadnych wyjaśnień: przytacza tylko niczem nie udowodnione fakta, że Gaspar wychowany przez ubogich ludzi, ma być w ośmnastym roku oddany do pułku ułanów, gdzie służył jego ojciec. Zresztą żadnych objaśnień ani dat, ani określeń, gdzie i u kogo chłopiec dotąd przebywał!

Cóż zrobić z tajemniczym podrzutkiem?

Początkowo umieszczono go w więzieniu, ale przekonawszy się, że nie zachodzi tu żadna wątpliwość co do prawdziwości zachowania się nieszczęsnego chłopca, miasto Norymberga, przez usta burmistrza swego Bindera, ogłasza we wszystkich znaczniejszych dziennikach o dziwnym fakcie znalezienia na ulicy swego miasta tego wyrosłego a dotąd dziecinnego pod względem umysłowym podrzutka. Nikt jednak nie umie dać ani objaśnień, ani wskazówek, skąd i kto on jest, a Hauser dzięki opiece ludzkiej i zacnego burmistrza zaczyna powoli się uczyć mówić i wyrażać swe myśli. Lecz z jego opowiadań tylko niewiele wiedzieć można. Jedynie stwierdza się przypuszczenie doktora, że biedny chłopiec od kiedy tylko pamięcią zasięgnie, przebywał w ciasnem, nizkiem więzieniu podziemnem. Jednak zręcznie wypytywany zdradza ślady niejasne, innej zupełnie w dzieciństwie przeszłości. Znaki ospy, majaczące wspomnienia jakiegoś pałacu i schodów z wielkim lwem, świadczą, że Gaspar gdzieindziej się urodził i w innem otoczeniu. Pamięta za to doskonale swego dozorcę, zawsze w masce, który nocą przynosił mu chleb i wodę, później zmusił go do nauki czytania, wreszcie pewnego razu wyprowadził z więzienia i przymusił

do pójścia za sobą. Gaspar nieprzyzwyczajony do chodzenia upadał ze znużenia, nogi ociekały krwią, ale dozorca naglił groźnie. I tak doszli do murów Norymbergii. W lasku przebrał go w suknie inne, dał list do ręki, wprowadził na ulicę i puścił samego. Takie były wspomnienia Hausera.

Miasto Norymberga z największą troskliwością zajmowało się chłopcem, dając mu wykształcenie i pielęgnacyę fizyczną. Naturalnie stanowił on zagadkę i osobliwość, która pociągała wszystkich; łagodne i uprzejme zachowanie zawsze dziecinnego chłopca, jednało mu przyjaciół. Jakież było zadziwienie, gdy się rozeszła wieść, że na biednego Gaspara, zbrodnicza ręka skrytobójcy się porwała! Wypadkiem tylko uszedł z życiem, ciężko jednak raniony, lecz zbrodniarza nigdzie nie schwytano. Odtąd zaczęto starannie strzedz chłopca, zaczęto się coraz więcej przekonywać, że los jego to jakiś dramat; jakaś ukryta tajemnica groźna i ważna zarazem.

Nagle życie chłopca zmienić się miało. Zjawia się w Norymberdze bogaty Anglik lord Stanhope. Pragnie poznać Hausera: a raz go poznawszy zaczyna obsypywać go pochlebstwami, otwierać przed nim horyzonta czarodziejskie, buntować przeciw opiekunom. Baron Tucher specyalnie interesujący się Hauserem, zwraca uwagę lorda na nieroztropność jego postępowania. Ale Stanhope obraża się i nie przestaje Hausera tak długo podniecać, zaś miastu czynić tak błyszczące nadzieje co do przyszłości jego, równocześnie obrażając tych, co się chłopcem zajmowali, że ostatecznie Rada miasta zgadza się na propozycye lorda Stanhope. Hauser przechodzi pod jego opiekę; przenosi się do Ausbach, gdzie lord daje mu nauczycieli ze swojej ręki, ale równocześnie zmienia swą rolę. Z tkliwego i kochającego opiekuna znowu staje się ambitnym, wielkim panem, który lekceważy chłopca i wyjeżdża w świat, zostawiając go przybitego i zawiedzionego. Równocześnie zaś jeden z szczerych przyjaciół Hausera jak Feuerbach odsuwa się, inni umierają...

W tych warunkach przychodzi niespodzianka i tragiczny koniec dla zagadkowego chłopca 13 grudnia 1833. Zwabiony przez jakiegoś nieznajomego w ustronie parku, Gaspar Hauser zostaje śmiertelnie ranionym. Przed śmiercią czyni zeznania, ale one i teraz na nic nie pomogły. Tak jak zamach w Norymberdze tak i zabójstwo w Ausbach zostało nieukarane, mimo, że król bawarski ofiarował 10.000 florenów za odkrycie zabójcy.

Jednak ta zagadkowa przeszłość Hausera i tajemniczy jego ko-

niec, nie dawały spokoju ludziom umiejącym badać, zbierać i porównywać fakta, stawiać hipotezy, by dojść do prawdy. I tak są przekonywujące dowody, że pamiętniki Heune-Hofera szczegółowo opowiadające prawdziwy stan rzeczy, są tylko uzupełnieniem przypuszczeń wypowiedzianych przez kilku współczesnych badaczy.

Otóż Gaspar Hauser miał być synem ks. Karola Badeńskiego i Stefanii Beauharinas podanego za nieżyjącego w parę tygodni po urodzeniu. Miała go usunąć morganatyczna żona starego księcia, baronowa Geyer-Hochberg w porozumieniu z pasierbem (swym równolatkiem i przyjacielem od serca) księciem Ludwikiem. Baronowa Geyer chciała zapewnić tron swoim dzieciom; i rzecz dziwna! Z pięciorga dzieci Stefanii i ks. Karola żadne nie zostało przy życiu, a książę umarł bardzo młodo. Jednak obejmujący tron po nim książe Ludwik, mógł się ożenić i tron badeński wtedy nie dostałby się dzieciom bar. Geyer. Przezorna kobieta zachowała więc przy życiu biednego Gaspara, aby w razie, gdyby ks. Ludwik chciał złamać obietnicę i swoją własną rodzinę fundować, mieć na niego broń. Ale ks. Ludwik umarł bezdzietnie i wtedy co prędzej zgładzono Gaspara a tron badeński przeszedł do linii morganatycznej.

To rozwiązanie zagadki ma być autentyczne.

Marya Harsdorf.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Das altchristliche Tomi. Eine kirchengeschichtliche Studie. *P. Raymund Netzhammer O. S. B.* Salzburg. Str. 43.

Znany w Niemczech ze swych naukowych prac Benedyktyn, dzisiaj już arcybiskup bukareszteński, daje w swej broszurze wielce ciekawy przyczynek do najstarszych dziejów Kościoła. Położone nad Czarnem Morzem Tomi, miejsce wygnania Owidyusza, późniejsze Künstendże lub Konstanca, było niegdyś kwitnącą prowincyą kościelną. Wprawdzie świadectwa, stwierdzające przyjęcie chrześcijaństwa przez te okolice, pochodzą dopiero z trzeciego i czwartego wieku, wielka jednak liczba męczenników, rekrutujących się nie tylko z pomiędzy wygnańców, lecz i z pomiędzy krajowców i fakt, że za Dyoklecyana Kościół był tam zorganizowany, przemawiają za tem, że chrześcijaństwo znalazło do tych stron już pierwej przystęp; owszem z pewnem prawdopodobieństwem przypuszcza autor, że ewangelię głosił w Tomi św. Andrzej, apostoł Scytów a Scytyą nazywano też często dzisiejszą Dobruczę. Źródła historyczne notują, jako godny uwagi fakt, że cała Scytya posiadała zawsze tylko jednego biskupa, podczas gdy w innych prowincyach znaj-

dowali się oni i po wsiach. Z dwunastu znanych biskupów z Tomi, każdy wyróżniał się nauką, świątobliwością życia i przywiązaniem do wiary, tak, że aryanizm nie znalazł nigdy między nimi zwolenników; brali udział w koncyliach: nicejskiem, konstantynopolitańskiem (381 r.) i w chalcedońskiem, zabierali głos w sprawie Nestoryusza i Origenesa i wogóle we wszystkich ważnych kwestyach, wstrząsających ówczesnym światem, tak, że »stare Tomi może być dumnem ze swoich biskupów« (str. 35). Ostatni rozdział podaje interesujące szczegóły o wykopaliskach w południowej i północnej Dobruczy. W *Tropaeum Traiani* na południu blizko granicy bułgarskiej i w *Troesmis* na północy niedaleko od portu Braila, odkopano nie tylko stare rzymskie grody, ale i ruiny pięciu chrześcijańskich bazylik, stwierdzających na nowo starożytność Kościoła w Scytyi, o którym w drugiej połowie szóstego wieku wiadomości zaginęły.

W.

Wstęp do dziejów nauki państwowej. *Sir Fryderyk Pollock.* Spolszczył Alfred Tom Warszawa 1903. (Str. 180).

Celem wydania niniejszego dziełka było zaradzenie brakom, jakie się okazały w ogłaszanych drukiem, bez upoważnienia autora, jego wykładach uniwersyteckich na temat dziejów nauki państwowej. Formę nauki z katedry wygłaszanej w znacznej mierze zachowało i to wydanie; autor wyraża w przedmowie swej ubolewanie, że inne zajęcia nie dozwoliły mu powiększyć zbyt szczupłych tych szkiców. Praca na cztery dzieli się części, według okresów i faz rozwoju nauki o państwie. Jak się zarysowywała ta gałęź wiedzy w Atenach, w dziełach Platona, Arystotelesa, Cycerona — to treść rozdziału pierwszego. Drugi okres obejmuje Średniowiecze i Odrodzenie; trzeci rozdział poświęcono wiekowi osiemnastemu, wreszcie czwarty najnowszej dobie do lat ośmdziesiątych ubiegłego stulecia. Hasłem, którem pracę swą autor zaczyna i kończy, jest: »Powróćmy do Arystotelesa«. — Kto za pomocą krótkiego przeglądu najwybitniejszych teoryi chce się zaznajomić z nauką państwową, temu książka niniejsza pewną odda przysługę. — Tu i ówdzie znów występujący brak zupełnie przedmiotowego przedstawienia tła i zalet zwalczających się często wzajemnie teoryi, przytem w przeważnej części książki styl zbyt jednostajny i nużący, — to ujemne strony tego, jak słusznie nazwać go możemy, podręcznika. O tłumaczeniu polskiem Pollock wydać sądu nie był w stanie, nie znając języka, jak to sam wyznaje, tłumaczeniu też temu w części przypisać należy ciężką formę dziełka.

L.

Wspomnienia z podróży. 1. O Muzeum narod. w Rapperswylu. — 2. O grobie Bolesława Śmiałego w Ossyaku. Odczyty wygłoszone w Tarnowie przez *ks. d-ra J. G.* Tarnów 1904.

Autor zwiedzał we wrześniu 1904 r. Szwajcaryę i w podróży swej nie mógł pominąć i Rapperswylu. Starożytny zamek sam sobą mógł zainteresować i zachęcić turystę do zwiedzania: cóż dopiero, jeśli turystą tym był Polak, a w zamku tym mieści się Muzeum narodowe. Autor kreśli w odczycie swym historyę tego Muzeum, opisuje pokrótce jego zbiory.

Drugi odczyt omawia grób Bolesława Śmiałego w Ossyaku. Autor kreśli podania wiążące się z pobytem naszego króla w Ossyaku, przytacza poemat niemiecki pod tytułem *Der*

stumme Bruder zu Ossiach. Opisuje domniemany grób Bolesława, wreszcie usiłuje rozstrzygnąć czy te tradycye przechowane w Ossyaku są zgodne z prawdą, czy rzeczywiście tam żył i umarł, jako mnich Bolesław. Autor skłania się do uznania prawdziwości tych podań. Dla nas jednak sprawa ta, którą zajmowały się pierwszorzędne nasze siły historyczne, pozostanie dotąd wątpliwą i nie wiemy, czy kiedy nauka zdoła o niej wypowiedzieć ostatnie słowo.

B.

Ruskie bezrobocie w r. 1902. Uwagi o jego terenie. ***Dr. Jan Rozwadowski.*** Lwów.

Bezrobocie rolne we wschodnich powiatach Galicyi w roku 1902 było przedmiotem szerokich omawiań w naszej publicystyce. Zajmowano się jego faktycznym przebiegiem, społecznem tłem, badano je ze strony statystycznej i t. d. Dr. J. Rozwadowski w szeregu artykułów pomieszczonych w *Słowie Polskiem* omawiał warunki *milieu*, w którem to bezrobocie wybuchło. Artykuły te zebrał i wydał w osobnej książce, o której mamy obecnie mówić.

Dr. Rozwadowski oparł się w swych studyach na materyałach czerpanych z pierwszej ręki, a dotyczących prawie całego obszaru dotkniętego bezrobociem. Oparty na tym materyale może wiernie przedstawić teren walki społecznej. Zaczyna od oceny sił narodowych. Pod względem ukształtowania się stosunku narodowości do siebie, dzieli autor Galicyę wschodnią na 4 strefy: powiaty polsko-ruskie, północne, wschodnie i podkarpackie. Powiaty wschodnie tj. okręgi sądów obwodowych w Tarnopolu, Złoczowie i Brzeżanach, stanowią prawie wyłącznie cały teren bezrobocia ruskiego: autor tedy omawia tylko stosunki panujące w tych powiatach. W powiatach tych ma żywioł ruski przewagę, bo znajduje się tam tylko 28% katolików obrz. łac., których autor, opierając się na faktycznych stosunkach, identyfikuje z Polakami. Na 100 katolików wogóle przypada łacińskich w gminach wiejskich i małomiejskich 25, w miastach wyżej 5000 mieszkańców 48, a na obszarach dworskich 52. Stąd pierwszy szturm Rusinów padł na obszary dworskie, by je zdobyć na korzyść gmin wiejskich.

Rusini w walce tej mieli dla siebie korzystniejsze warunki kulturalne. Więcej tam i bezwzględnie i stosunkowo licząc szkół ruskich, cerkwi grecko-katolickich, niż szkół wiejskich z językiem wykładowym polskim i kościołów łacińskich. Stąd najpierwsze potrzeby kulturalne narodu ruskiego lepsze znajdują zaspokojenie, niż to widzimy między ludnością polską, która zmuszona jest dla braku szkół i kościołów uczęszczać do szkół ruskich i modlić się w cerkwiach. Stąd stoją pod bezpośrednim wpływem ruskich nauczycieli i agitatorów, należących przeważnie do radykalnej partyi ukraińskiej.

Czemuż jednak ci agitatorzy znaleźli posłuch, mogli doprowadzić do strejku, w rezultacie nie uwieńczonego pomyślnym skutkiem. Wynik to warunków miejscowych wśród ludności wiejskiej. Ludność ta składa się przeważnie z właścicieli drobnych, nie mogących utrzymać się z dochodów roli, szukają uzupełnienia przez zarobek na gruntach większych właścicieli. Wobec braku przemysłu i stąd braku konkurencyi w popycie robotnika, zarobek ten jest bardzo nizki. Ci drobni rolnicy uważają zarobkowanie za *malum necessarium*, pragną w głębi duszy posiadania więcej roli,

zarobku wyższego, i stąd hasło agitatorów *lasy i pasowyska* chętny znalazły posłuch.

Z drugiej strony dwory stoją na stanowisku coraz więcej obcem wobec ludności wiejskiej. Ci właściciele, w których rodach mogłaby się utrzymać tradycya patryarchalnego stosunku dworu do wsi, ustępują coraz więcej żywiołom nowym. Stąd brakuje owego hamulca moralnego wobec bezrobocia. Brak tego hamulca w stosunku do stałych robotników rolnych płatnych licho. Stąd wyrodziło się u nich głuche niezadowolenie, wdzięczny grunt dla roboty agitatorskiej.

Oto treść broszury. *Z.*

Kwestya alfabetu litewskiego w państwie rosyjskiem i jej rozwiązanie. *J. Baudouin de Courtenay.* Kraków.

Znany uczony zwalcza we wstępie rozpowszechnione mniemanie, że nakaz używania alfabetu rosyjskiego w drukach litewskich był karą za udział Litwy w powstaniu styczniowem. Tak tymczasem nie jest. Pomysł ten powstał w głowie Hilferdinga, który marzył o stworzeniu jakiegoś alfabetu wszechsłowiańskiego, podobnego do rosyjskiego, a w ten sposób wszystkich Słowian silniejszymi spoić węzłami. Pomysł jego zużytkował dla swoich celów rusyfikatorskich Milutin i Murawiew. Znany zakaz z r. 1865 nie sprowadził jednak owych spodziewanych przez jego twórców skutków: owszem przeciwnie, wywołał tylko rozgoryczenie i niechęć, wprowadził wiele czynników nieetycznych, jak system denuncyatorski, a nie uchronił od drukowania pism litewskich alfabetem łacińskim. Przeciwnie ruch wydawniczy druków litewskich za granicą się wzmógł i wiele wydawnictw alfabetem łacińskim wprowadzono drogą kontrabandy do kraju. Wreszcie przymus drukowania alfabetem rosyjskim nie zbliżył Litwinów do Rosyan: Litwini nie chcąc wydawać swych dzieł w szacie im obcej, woleli korzystać z pism polskich i zbliżali się w ten sposób do Polaków.

A. B.

La fille du Braconnier. Par *Achille Mélandri.* Paris. Libr. A. Colin.

Opowieść to o losach dziewczyny, wychowanej wśród zapadłych lasów, zdala od cywilizowanego świata. Jest ona córką znanego jako kłusownika samotnika zamieszkującego odludną chatkę wśród borów. Wskutek nieszczęśliwych przejść stał się on tem, co Niemcy nazywają *menschenscheu*, niechętnie styka się z ludźmi, a już najbardziej unika właściciela pobliskiego zamku, barona de Néel, ku którego rodzinie pała dawną a silną nienawiścią. Tymczasem ślepy los zrządza, że zabłąkani w lesie synowie bar. Néela natrafiają na kłusownika i jego córkę; ci, nie wiedząc, kto są zbłąkane dzieci, zajmują się niemi, wyprowadzają do zamku. Gdy potem Roget (tak się nazywa kłusownik) zmuszony jest opuścić swe leśne schronienie, baron wbrew jego woli bierze do siebie jego córeczkę i wychowuje ją na równi ze swemi dziećmi. Marya tęskni jednak do swego życia, tęskni do lasu, do życia natury. Zwłaszcza uderza ją niemile chłód baronowej w stosunku do niej, tem wyraźniejszy, że odbija od serdecznego obejścia barona i dzieci. Ojciec jej tymczasem przejąwszy ważne depesze skoalizowanych, wręcza je cesarzowi Napoleonowi, czem zaskarbia sobie jego względy, zaciąga się do szeregów a zasługi jego wynagradza Napoleon krzyżem legii honorowej.

Jako kawaler legii ma prawo Roger żądać dla swej córki bezpłatnego miejsca w zakładzie dla panien w St. Germain. Tam też umieszcza córkę i odbiera ona w istytucie tym wychowanie bardzo staranne. Tymczasem w zapasach armii napoleońskiej pada stary eks-kłusownik. Po skończeniu instytutu przez Maryę, zajmuje się nią hr. Friedberg, który w czasie wojen napoleońskich powziąwszy wdzięczność dla stryja Maryi, Piotra, chce ten dług spłacić jego synowicy. Wdzięk Maryi nie pozostał bez wpływu na podstarzałe serce Friedberga, ta jednak żywiąc uczucie miłości dla towarzysza lat dziecinnych Raula Néela, odrzuca ofiarowaną jej rękę Friedberga. W końcu Numa wychodzi za Pompiliusza, Marya za Raula głównie za interwencyą wzgardzonego konkurenta Friedberga.

Taka jest treść powieści. Historya prosta, bez pretensyi do rozwikływania głębszych problematów życiowych. Tą właśnie prostotą ujmuje czytelnika, opanowuje i przyciąga jego uwagę. Główne zainteresowanie budzi naturalnie postać główna Maryi. Postać to pełna wdzięku, prawdziwej kobiecości czy to z początku powieści, gdy widzimy ją jako dziecię natury, czy później jako pannę, która przeszła szkołę ogłady towarzyskiej i umiejętności życia. Ten urok dziewiczy towarzyszy jej zawsze.

Obok niej występują przed naszemi oczyma: charakterystyczna postać jej ojca, chłodna baronowa Néel, rycerski od lat chłopięcych Raul, pełen szlachetności i sentymentalizmu hrabia Friedberg i szereg postaci drugoplanowych. W opowieść zaś o losach tych osób wplecionych jest kilka epizodów z epopei napoleońskiej, nie mogących w ekspresyi i obrazowości przedstawienia iść w zawody np. z sławnym opisem bitwy pod Waterloo Wiktora Hugo, może nieco za suchych, za kronikarskich. Ze współczesnej literatury francuskiej wyróżnia się ta powieść czystością etyczną przy całym realizmie opowiadania. Godna polecenia jako lektura nietylko *pour les jeunes filles*.

L.

Tersat, chorwackie Loreto. Przez *O. Maryana Sirča*. Podług O. Franciszka Glavinića. Kraków 1904.

Znane jest w świecie katolickim, że święty domek, zanim cudownie został przeniesiony do Loreto, przedtem przez 3 lata stał w Tersato. Dzieje Tersatu, przeniesienia tamże i zniknięcia świętego domku, wreszcie zbudowanie i opis kościoła kreśli autor w swej broszurze, opierając się na *Historia Tersattana* i *Origine della Provincia Bosnio-Croazia* O. Glavinića.

B.

Listy św. Hieronima do Heliodora i Nepocyana o życiu pustelniczem, kapłańskiem i zakonnem. Z łaciny na język polski przełożyli alumni kursów teologicznych seminaryum sandomierskiego. Przejrzał, poprawił i wydał ks. Jan Gajkowski. Warszawa 1905.

Znane zajmującym się patrologią listy św. Hieronima ukazały się obecnie w polskiem tłumaczeniu. Uprzystępnione w ten sposób, oby się stały nie tylko *Vademecum* dla kapłanów, jak tego życzy wydawca, ale oby się dostały i w szerszy ogół, dla którego cennem możebyć poznanie zawartych tam głębokich prawd życiowych.

L. K.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Z wyborów belgijskich.

Prawie równocześnie z wyborami we Francyi odbyły się częściowe wybory w sąsiedniej Belgii. Częściowe tylko, gdyż według ustawy belgijskiej wybiera się deputowanych na cztery lata, tak jednak, że co dwa lata połowa wybranych składa swoje mandaty, stąd też przy rozwiązaniu parlamentu pewna część członków tylko przez dwa lata w izbie zasiada. Wybory belgijskie są tajne, bezpośrednie, lecz nie równe; opierają się przeciwnie na tak zwanym systemie pluralnym, mocą którego pojedynczy wyborca, stosownie do swego wykształcenia, majątku lub rodziny, ma jeden do trzech głosów. Liczba deputowanych wynosi w Belgii stu sześćdziesięciu sześciu członków, z tych należało w ostatnim roku do stronnictwa katolickiego 93, do liberalnych 43, do socyalnej demokracyi 28; dwaj bracia Daens tworzyli czwartą, osobną grupę. Z ośmdziesięciu pięciu deputowanych, składających w maju b. r. swe mandaty, było 53 katolików, 20 liberalnych, jedenastu socyalistów i ks. Daens.

Większość katolicka wynosiła w parlamencie dotychczas dwadzieścia głosów. Ta większość była od dawna solą w oku dla stronnictw liberalnych i antyreligijnych, to też wszystko robili, żeby tę większość obalić. A przyznać trzeba, że zewnętrzne wa-

runki bardzo im sprzyjały. Z jednej strony pojawiło się w obozie katolickim wielkie niezadowolenie z rządu i jego programu, szczególniej dlatego, że rząd ulegał za wiele osobistym i prywatnym życzeniom króla, z drugiej zaś strony nigdy jeszcze opozycya nie była tak zjednoczona i nie rozwinęła tak prawdziwie mistrzowskiej agitacyi, jak właśnie teraz. Podczas kiedy np. partye katolickie w okręgu wyborczym brukselskim, który dawał 21 deputowanych, rozpadły się na pięć osobnych grup, z których każda na głosach katolickich się opierała, utworzyło stronnictwo antyrządowe blok, składający się z liberałów, radykałów i socyalistów, który postawił kartelowych kandydatów tam nawet, gdzie dotychczas osobny kandydat pojedynczego stronnictwa przechodził, jak np. w Nivelles lub Lowanium. To ścisłe połączenie się dawało im pewne prawdopodobieństwo wygranej w tych przynajmniej okręgach, gdzie przedtem swoich pojedynczo przeprowadzić nie mogli.

Nadzieje ich powiększało przypuszczalne oddziaływanie wyborów francuskich na stosunki belgijskie. Prasa belgijska stoi w wielkiej części w duchowej zależności od prasy francuskiej, jej zasadami się przejmuje, a francuskie dzienniki, jak *Matin, Journal, Petit Parisien, Petit Journal,* a więc dzienniki niekatolickie, rozchodzą się codzień w tysiącach egzemplarzy po Belgii i wpływają powoli wprawdzie, ale pewnie na urabianie zasad i opinii. Dlatego też liberalna prasa belgijska głośno twierdziła, że wybory francuskie torują drogę w duchu postępowym, to znaczy religii nienawistnym, dla belgijskich, że potęgują one odwagę i ufność w obozie liberalnym, a prowadzą do małoduszności stronnictwa katolickie. Nie było to wprawdzie zupełnie słusznem, gdyż katolicy wskazywali przeciwnie na wybory francuskie, jako na odstraszający przykład, co i Belgii zagrażać może, w każdym razie położenie było dość groźnem.

Agitacya liberalna miała jednak dwie słabe strony, o które rozbiły się ostatecznie zbyt wygórowane nadzieje: program i nieliczenie się z aktualnym stanem rzeczy. O ściśle wspólnym programie stronnictw antyrządowych, nie może być mowy; stawiają one wprawdzie na pierwszym planie żądanie reformy wyborczej

i ogólnej i osobistej służby wojskowej, lecz każde z nich inaczej te rzeczy pojmuje. Figuruje również w ich programie i przymus szkolny, innemi słowy: szkoła bezwyznaniowa, ale ten punkt ich dążności jest im właściwie niewygodny, czują bowiem, że tak prędko tego swego pragnienia w życie nie wprowadzą i rozumieją dobrze, że gdyby nawet przymus szkolny przeprowadzić się dał, musianoby religii naznaczyć w szkole wybitne miejsce, inaczej spotkałby ich los parlamentu z 1884 r. Łączą się tylko w jednem: w dążności do wywołania walki religijnej i kulturnej, lecz i tu nie mogą zbyt jawnie swoich prawdziwych celów objawić, gdyż jak zauważa *Kölnische Volkszeitung:* »z hasłem *à bas la calotte* zamrze w Belgii każdy antyklerykalny rząd na suchoty«; sam więc program nie jest tego rodzaju, by mógł rozentuazyazmować tłumy i zjednać im ich głosy.

Nieliczenie się z realnymi warunkami zgotowało blokowi gorzkie rozczarowanie; antyrządowcy spodziewali się, że zyskają co najmniej ośm nowych mandatów, a toby już bardzo stanowisko katolikom utrudniało. Tymczasem na miesiąc przed wyborami wykazały cyframi gazety katolickie, że antyrządowi mogą obecny gabinet obalić jedynie i wyłącznie przy pomocy katolików, a o tem nie może być mowy, gdyż za silne jest u nich poczucie obywatelskie; również przed miesiącem wykazano cyframi, że w najlepszym razie mogą stronnictwa blokowe zyskać pięć nowych mandatów. Nie zyskały nawet pięciu, lecz tylko cztery, a mimo to liczba głosów oddanych na kandydatów katolickich przewyższała wszędzie liczbę głosów, które przypadły na wszystkie inne stronnictwa. To też musiano odwołać zapowiedziany ku uświetnieniu zwycięstwa uroczysty i tryumfalny pochód, a socyalistyczny *Peuple* w melancholijnym artykule wykazuje, że o antyklerykalnej większości nie można było myśleć teraz, nie można będzie myśleć nawet jeszcze w r. 1908 i 1910, i dodaje, że wybory wykazały ciągłe zmniejszanie się głosów oddawanych na socyalistów. »Spodziewaliśmy się więcej, powiedział wódz radykałów, Janson, spodziewaliśmy się za dużo«. Wybory wykazały też mimo pozornego zjednoczenia, brak ścisłej wewnętrznej jedności między stronnic-

twami antyrządowemi. Socyaliści nazywają liberałów zdrajcami, liberali socyalistów a Daensiści jednych i drugich, przyczem *Etoile Belge* twierdzi, że kartel w pewnych okolicach stał się raz na zawsze niemożliwym. Koniec końcem rząd ma jeszcze większość dwunastu głosów, a że cztery głosy utracił, to tylko może być dla niego przestrogą, żeby się więcej liczył z postulatami katolików.

Sprawa Fogazzara.

Z chlubą spoglądały do niedawna Włochy na autora »Dawnego świątka« a wyrazom uznania nie przeszkadzało bynajmniej katolickie stanowisko Fogazzara. W ostatnich miesiącach ubiegłego roku pojawiła się nowa powieść głośnego pisarza *Il Santo*. Fogazzaro stanął tu na stanowisku reformistycznem, to też nie dziw, że powieść zwyciężała w przelocie wszędzie tam, gdzie potrafiła dotrzeć. Tłumaczono ją na gwałt, tem bardziej, że takie poglądy, jak np.: Kościół nie dorasta dzisiaj do swoich zadań, — tylko reforma, pochodząca ze świeckiego obozu, może uratować ludzkość i wrócić chrześcijaństwu jego pierwotną czystość, — świeccy naciskiem opinii powinni zmusić hierarchię kościelną do reformy *in capite et in membris*, — takie poglądy musiały się podobać. Ale w tych właśnie poglądach tkwiło niebezpieczeństwo i było ono chyba wielkie, skoro Kongregacya, wiedząc przecież, jakie burze przez to wywoła, położyła dzieło na indeksie. Jak niegdyś przy Schellu, spodziewano się i przy Fogazzarze, że się nie podda — tym sposobem zyska Kościół nowego wroga. Zawiedziono się na drugim, tak samo jak niegdyś na pierwszym. *Inde irae*. Fogazzaro buntujący się byłby bohaterem, upokarzając się stał się człowiekiem bez talentu, wyrazem ciemnoty i zacofania. Przeszło 300 studentów, zgromadzonych w podwórzu Sapienz'y, uchwaliło drugiego czerwca, wśród zgiełków i wrzasków, zażądać od odpowiednich władz wykluczenia Fogazzara z wyższej komisyi dla oświaty, której jest członkiem, ponieważ poddając się dekretowi kongregacyi uznał najwstrętniejsze narzędzie religijnej nietolerancyi i stał się przez to niegodnym zajmować miejsce wśród tych, którym poruczono wychowanie narodowe. Ponieważ o kompetencyi studentów wydawania sądu w takiej sprawie mógłby niejeden wątpić, poparli rezolucyę ci, których nigdzie nie braknie, jeżeli chodzi

o przypięcie łatki Kościołowi, profesorzy socyaliści i — to jest znamiennem — redaktor pornograficznego pisma *Asino*. Przypomnieli sobie i protestanci, że sama ich nazwa również protestu się domaga i postanowili »odważnie swój głos szlachetnego protestu połączyć z innemi podobnemi manifestacyami, by tym sposobem oficyalnie zmuszono Fogazzara do złożenia swej godności w wyższej radzie dla publicznej oświaty, aby z tem większą swobodą mógł pełnić nałożone przez Kościół rzymski obowiązki«, tem bardziej, że »pochylił on myśli i duszę przed potępionem przez rozum i historyę panowaniem kapłańskiem«. Jednak, ponieważ znowu powiedzieć można było, że protestantów rzymskich, składających się w przeważnej części z cudzoziemców, takie sprawy nic nie obchodzą i że powinni się oni przedewszystkiem starać o zaprowadzenie porządku we własnym domu, dlatego postawił deputowany Borciani, socyalista, w izbie wniosek, żądający wykluczenia Fogazzara z komisyi.

Wyniki tych protestów były dość niespodziewane. Studenci katoliccy i konserwatywni obeszli się niegrzecznie z rezolucyą swoich trzystu kolegów i zawiadomili ministra oświaty, że większość studentów rzymskiego uniwersytetu potępia urządzoną w imię wolnej myśli manifestacyę. Na domiar złego zażądał deputowany Cameroni od prezydenta izby odpowiedzi na następujące pytanie: »Czy minister oświaty sądzi, że można pogodzić z powagą szkoły, z wolnością przekonań i z godnością rządu hecę urządzoną przez profesorów i uczniów, żądających ukarania wybitnego pisarza, członka najwyższej Rady dla oświaty, dlatego tylko, że publicznie pozostał wiernym tym samym zasadom, które wyznawał już wtedy, gdy mu ofiarowano jego wysokie stanowisko«.

Na obie interpelacye odpowiedział imieniem ministra podsekretarz stanu Ciufelli. Zaznaczył on wprawdzie, że minister nie ma prawa zakazywać uczniom i profesorom zgromadzeń, odbywających się poza salami szkolnemi i nie osłabiających dyscypliny, ale równocześnie dodał, że żadna ustawa nie udziela ministrowi prawa do wkraczania przeciwko Fogazzarowi. Taka odpowiedź nie mogła się, rzecz jasna, podobać socyalistycznemu depu-

towanemu. »Mamyż pozwolić, zawołał, aby Kongregacya indeksu wpływała i mieszała się do spraw naszych najwyższych komisyi dla oświaty?« Tu, rzecz istotnie nieoczekiwana, powstali zewsząd deputowani i zaprotestowali przeciwko tym słowom a odpowiedź Cameroniego na »nieliberalną nietolerancyę paladynów wolności«, powitał parlament burzą oklasków.

W obronie Fogazzara stanęły nawet liberalne dzienniki, jak np. medyolański *Corriere della Sera*, utrzymujący, że nikt pisarzowi po jego poddaniu się nie może z tego robić zarzutu, z wyjątkiem chyba Wielkiego Wschodu, który sprawę do swoich celów wykorzystać pragnie. W całej tej walce cieszy nas, że parlament i wielka część opinii stanęły po stronie Fogazzara, dziwi jednak równocześnie, jak można było z jego posłuszeństwa Kościołowi robić mu takie zarzuty, skoro do uznania wyroku Kongregacyi trzeba było zaprawdę sporo energii i niesłychanie dużo cywilnej odwagi, aby nieliczyć się z opinią publiczną a to chyba większym jest dowodem szlachetności charakteru, jak bunt i walka.

Protest demokratycznej Ligi rzymskiej.

Równocześnie jednak dochodzi nas z Włoch mniej pomyślna wiadomość. Wychodząca w Rzymie od ośmiu i pół lat pod redakcyą ks. Romolo Murri'ego *Cultura sociale* wydała 1 czerwca ostatni swój zeszyt. Sprawa nie przedstawia się zbyt jasno. Ks. Murri utrzymuje, że władza kościelna poleciła niektórym biskupom, aby zakazali podwładnym sobie księżom czytania *Cultur'y*, a ponieważ »nie czuje żadnej potrzeby walki z Kościołem«, dlatego pismo swoje zawiesza, uwiadamiając jednak równocześnie, że *Società nazionale di cultura* rozpocznie wydawać niebawem nowe pismo i będzie je redagować w duchu *Cultur'y*. Tragiczniej, jak ks. Murri, pojęli rzecz chrześcijańscy demokraci. Rzymska gałąź *Lega democratica nazionale* zaprotestowała »przeciwko reakcyjnemu postępowaniu, które coraz więcej do tego zdąża, by katolicyzm, wbrew wszelkim nowożytnym prądom, zamknąć w zakrystyi; uważa, że udział jej członków w stowarzyszeniach katolickich o tendencyi politycznej, jest niekorzystny i szkodliwy, ponieważ jakiekolwiek wspomaganie rozkłada-

jącego się organizmu tamuje postęp;... poleca wszystkim członkom *Ligi*, należącym do katolicko-politycznych stowarzyszeń, by je opuścili i objęte w nich urzędy poskładali«.

Ostatni występ Ligi wskazuje na nowo braki w chrześcijańskiej pracy społecznej we Włoszech: brak zgodnego współdziałania i podporządkowania osobistych zapatrywań wyższym celom i dobru ogólnemu.

Z walki kulturnej we Francyi.

Wielkie zainteresowanie wywołał w prasie francuskiej zapowiedziany od dawna zjazd biskupów. Gazety umiarkowane wyrażały się o nim z rezerwą lub z taktem, radykalne lub socyalistyczne, jak np. *Lanterne*, z wściekłością i w tym tonie, który podobne pisma na całej ziemi cechuje. Z tego niby lekceważenia przebija jednak obawa i strach, a sam fakt, że cała prasa wypełniała szpalty wiadomościami i plotkami o zjeździe, jest charakterystyczny; widocznie liczą się jeszcze ze stanowiskiem i znaczeniem Kościoła.

O samym zjeździe trudno dzisiaj pisać. Obrady odbywały się przy drzwiach zamkniętych; od udziału z nich byli wykluczeni wszyscy, z wyjątkiem biskupów: to też szczegóły donoszone przez różne gazety, są z palca wyssane. Trzy tylko rzeczy można uważać za pewne. Najpierw zjazd nie był żadnym soborem czy też koncylium. Chodziło tylko o odpowiedź na pytania z Rzymu postawione, dlatego wszystkie inne kwestye, jak np. sprawa propagandy katolickiej, ożywienie ducha pobożności i t. d. zostały, aczkolwiek już przygotowane, odłożone na później. Dalej fakt, że wszystkie ostatnie *Semaines Religieuses* i *Bulletins Religieux*, przyboczne niejako organa biskupie, liczą się z *Związkami wyznaniowymi*, nasuwa przypuszczenie, że mimo różnicy zdań biskupi w jakiejś formie do przyjęcia *Związków* się przychylili. Pewnem jest wreszcie, że po otrzymaniu odpowiednich wskazówek z Rzymu, biskupi zbiorą się na nowo.

Równocześnie ze zjazdem francuskich książąt Kościoła, zeszła walka kulturna, chwilowo przynajmniej, na drugi plan; na pierwszym stoją utarczki ze socyalistami i zwycięstwo ministra Clémenceau nad Jaurésem. Zdaje się również, że obecny gabinet,

wprawdzie nie ze względów sprawiedliwości, ale wprost oportunizmu, nie bardzo się skłania do przeciągnięcia struny. Minister finansów, Poincaré, wyraził się w Commercy, że Francya zaaprobowała rozdział, że starać się będzie o przeprowadzenie prawa, ale skrupulatnie chce unikać naruszenia wolności sumienia i religii; w ten sam sposób omawiał sprawę we Vic-de-Bigorre minister dla publicznych robót, Barthou. Te słowa nie były może pustymi frazesami, staną się jednak takimi z chwilą, gdy obóz Combesa na nowo rządy zagarnie. To też praca ustawać nie powinna, a znać ją mało.

Jedynym ważniejszym na tej drodze objawem, to działalność związku dla obrony katolickich szkół ludowych, ktory utrzymywał dotychczas 4943 szkół, zajmował przy nich 6071 nauczycieli i nauczycielek i postarał się o to, że 3000 rodzin zajęło się pozbawionemi pracy i chleba zakonnicami. Znamienną w innym kierunku jest znowu propaganda, aby uczniowie tak zwanych wolnych uniwersytetów katolickich, które nie doznają żadnej pomocy materyalnej ze strony państwa i dlatego z uniwersytetami rządowymi rywalizować nie mogą, uczęszczali na wykłady tych przedmiotów w uniwersytetach państwowych, które z natury swej nie dają okazyi do obrażania uczucia religijnego. Klerycy i inni uczniowie katoliccy mają wyjść przynajmniej trochę ze swego odosobnienia i nauczyć się liczyć z realnością życia.

Osservatore w obronie rzezi?

Na zgromadzeniu żydów, odbytem w Krakowie 24 czerwca, a protestującem przeciwko ohydnej rzezi w Białymstoku, rzucił jeden z mowców, syonista Peher, katolikom w twarz kalumnię: urzędowy organ Watykanu pochwala rzeź. Dla katolika i wogóle każdego rozumnego człowieka, sprawa jest *a priori* przesądzona; widocznie jednak mówca syonistyczny dobrze poznał i ocenił moralny i intellektualny poziom zgromadzonych, skoro przypuścił, że takiemu zarzutowi uczestnicy wiecu uwierzą.

Co się żydom w *Osservatore Romano* mogło nie podobać? To chyba, że winę rzezi przypisuje żydowskiemu wyzyskowi

i przewadze żydowskiego kapitału, czyli samym żydom. Przecież takich zdań, jak np.: »W faktach, które opłakujemy i potępiamy najżywiej« lub »Skutki bomb białostockich były okropne, wywołały okrucieństwa straszliwe. Tych nie przestaniemy nigdy opłakiwać, bo naszą zasadą jest zawsze i wszędzie tolerancya ludzi względem ludzi, bez różnicy wyznań czy stronnictw. Krzywdę powinno się dochodzić dowodami i środkami prawnymi, a nie rozruchami i walkami z inicyawy prywatnej«, takich zdań nikt nie nazwie uznaniem i aprobatą rzezi.

Żydzi mogą być przekonani, że żaden organ prawdziwie, nie z imienia tylko, katolicki, rzezi nigdy nie pochwali, ale przydałoby się i na przyszłość zapamiętać słowa *Osservatore*, że takie opłakane »skutki i nieszczęścia spadają na wszystkich, także na tych, co rozdmuchując iskry, wzniecają pożary«.

Ks. Wiktor Wiecki.

Kurs socyalny we Lwowie.

Po długiej przerwie w czerwcu b. r. przyszedł do skutku we Lwowie drugi Kurs socyalny.

Wiadomo z pism codziennych, że przedsięwzięcie to nad wszelkie spodziewanie sie powiodło. Blizko dwustu księży z czterech dyecezyi galicyjskich z natężoną uwagą i młodzieńczym zapałem słuchało przez 8 godzin dziennie, razem przez $3^1/_2$ dni różnych wykładów z dziedziny kwestyi społecznej, do położenia naszych rolników, robotników i rzemieślników się odnoszących i w dyskusyi nad tymi przedmiotami gorący wzięło udział. Księża nasi »wychodzą z zakrystyi«, jak im to nieśmiertelny Leon XIII zalecił, pragnąc w życiu codziennem czuwać i nad dobrem doczesnem naszego ludu.

Zebranie cechowała wielka chęć wiedzy, pragnienie pracy społecznej i budująca, bezinteresowna, podyktowana jedynie miłością ludu wiejskiego gorliwość.

Inicyatorem tego ruchu, twórcą idei urządzenia kursu socyalnego jest arcypasterz dyecezyi lwowskiej, ks. Bilczewski, który lud polski

całem sercem ukochał i dla niego z poświęceniem pracując, wszystkich do tej pracy zagrzewać umie.

Intelligencya świecka jeszcze nie dopisała, a i jej przydałyby się wykłady z dziedziny objętej kursem socyalnym. W społeczeństwie świeckiem jest przerażająca obojętność w tym kierunku: obok czysto galicyjskiego pragnienia posad lub awansów, jednostronne i nie bardzo głębokie zamiłowanie do sztuki i literatury pięknej przy oburzającej ignorancyi w kwestyach społecznych. Jeszcze polityka, to uchodzi; we wschodniej części kraju wymyślania na Rusinów, u nas bądź narzekania na stańczyków, bądź na »próby rozstroju«. To bywa bardziej zajmujące; przynajmniej jest z kim walczyć, na kogo składać winę, ale kwestye społeczne: kółka rolnicze, kasy raiffeisenowskie, włości rentowe, organizacya pomocy prawnej dla ludu i opieki nad wychodźcami, jakie to monotonne i nudne, ile na to wszystko trzeba przygotowań i czasu!

Uświadomić chłopa choćby w jednym z tych pięciu kierunków i za to w najlepszym razie zyskać sobie jego wdzięczność, to praca u podstaw, na którą nasi geniusze bez teki są stanowczo za dobrzy.

Jeżeli jednak w ten sposób intelligencya świecka nie stara się na razie o wpływ na lud i poznanie jego potrzeb, tem cięższy spada obowiązek na duchowieństwo. Kula rzucona nie zatrzyma się już w biegu. Nim lat kilka upłynie, będziemy mieli, musimy mieć duchowieństwo rozumiejące dobrze kwestye społeczne i umiejące niemi rozgrzać i zainteresować świeckie sfery wykształcone.

Mówił profesor Czerkawski o reformie wyborczej i rozszerzeniu autonomii Galicyi oraz o sposobie zwalczania naszych stronnictw antyspołecznych. Były to jedyne dwa referaty polityczne; to też zwłaszcza pierwszy najwięcej obudził dyskusyi, najgoręcej w niej ścierały się zdania. Referat pierwszy bronił między innemi równego prawa głosowania. Ponieważ broni tego samego i socyalizm, spotkał referenta, oczywiście poza wiecem, zarzut — *risum teneatis* — socyalizmu. Rozbrajająca naiwność tego zarzutu uświadomi się czytelnikowi, jeżeli zważy, że w pewnych kołach wyzywa się każdego od socyalisty, kto na włos odmiennego od nich jest zdania; ciska się gromy na niemieckie centrum, które także jest »socyalistyczne«, bo ujmuje się za ograniczeniem pracy kobiet i dzieci, żądało rozszerzenia ubezpieczenia na najszersze warstwy i t. d. Czy w rezultacie równe prawo głosowania okaże się korzystnem dla żywiołów narodowych w kraju, przyszłość okaże, ale słuszność naka-

zuje wyznać, że sama zgodność zapatrywań z innem stronnictwem w konkretnej kwestyi, przy całym szeregu zasadniczych różnic w kwestyach ważniejszych, bo istotnych, nie uprawnia do podciągania pod jeden strychulec obu. A katolickie centrum i partya socyalno-demokratyczna w naszym kraju chyba dla tego mogą być identyczne, dla kogo celem nie jest praca nad dobrem powszechnem w kierunku umoralnienia, oświecenia i obrony przed wyzyskiem mas ludowych, ale samo osiągnięcie pewnej liczby mandatów, bez względu na los tych, którzy o ich rozdawnictwie mogą stanowić.

Mówił ks. Leonard Lipke T. J., znany z szeregu prac naukowych czytelnikom *Przeglądu Powszechnego* o stosunku majstrów do terminatorów wedle projektu nowej ustawy przemysłowej, p. Artur Zaremba Cielecki, prezes Tow. kółek rolniczych referował na temat, jak zorganizować stowarzyszenia i spółki rolnicze, dr. Franciszek Stefczyk, dyrektor biura patronatu kas raiffeisenowskich przy Wydziale krajowym na temat, jak zorganizować spółki oszczędnościowe, sekretarz Wydziału krajowego i profesor Akademii rolniczej w Dublanach, dr. Henryk Sawczyński o włościach rentowych, dr. Zbigniew Pazdro, naczelnik krajowego biura pośrednictwa pracy przy Wydziale krajowym na temat, jak zorganizować opiekę nad wychodźcami, a adwokat dr. Leopold Caro na temat, jak i w jakich kierunkach przedewszystkiem przeprowadzić obronę prawną ludu.

Nadto były następujące referaty: ks. Adama Kopycińskiego, byłego posła do Rady państwa i kanonika w Tarnowie, o potrzebie i sposobach zebrania funduszu dla akcyi katolicko-społecznej, ks. Stanisława Adamskiego, redaktora *Ruchu chrześcijańsko-społecznego* z Poznania na temat, jak przeprowadzić organizacyę zawodową, względnie lokalną chrześcijańską i wreszcie ks. prof. d-ra Kazimierza Weissa, z Przemyśla i ks. posła Adama Wesolińskiego, redaktora *Gazety Niedzielnej* ze Lwowa na temat, jaką powinna być prasa katolicka i jak ją rozszerzać.

Te cztery referaty były najważniejsze, biorąc rzecz ze stanowiska przyszłej akcyi katolicko-społecznej w kraju. Wiele zwłaszcza nowych rzeczy dla nas, powiedział ks. Adamski, znający wybornie akcyę niemieckiego stowarzyszenia *Verein für das katholische Deutschland* i pokrewnych związków.

Gdyby chodziło o systematykę, możnaby zarzucić, że referaty te należało umieścić bezpośrednio obok siebie a referat ks. Kopycińskiego

po innych trzech, w związku z nim będących. Logicznie bowiem biorąc, naprzód każdy chce wiedzieć, na co daje, a potem dopiero dawać. Tymczasem referat ks. Kopycińskiego był pierwszy i słusznie w toku dyskusyi nad tym referatem pytano o przeznaczenie zebrać się mających funduszów. Może z powodu tego odwróconego porządku doskonały referat ks. Kopycińskiego minął bez głębszego wrażenia, podczas gdy na wiedeńskim wiecu katolickim od razu popłynęły tysiące na katolicką prasę. Wprawdzie kurs socyalny nie minie bez rezultatu, a przy wielkiej ofiarności ks. Arcybiskupa i na związki parafialne i na prasę katolicką, a w pierwszym rzędzie na dwutygodnik w rodzaju poznańskiego *Ruchu chrześcijańsko-społecznego* znajdą się z pewnością pieniądze; ale oprócz grosza byłoby i większe w szerokich kołach zainteresowanie w razie zmiany porządku tych referatów, bo leży w naturze ludzkiej największe przywiązanie do tych celów, dla których poniosło się osobistą ofiarę.

Byłoby również pożądanem w przyszłości utworzenie pewnego rodzaju biura prasowego, któreby dziennikom rozsyłało *ex post* w formie komunikatów streszczenie odczytów i dyskusyi. Notatki dziennikarskie o kursie były bowiem nie tylko niedostateczne, ale wprost niedokładne i nie dawały zupełnie pojęcia o tem, z jaką gorliwością i zapałem uczestnicy kursu rozprawiali o sprawach kraj nasz obchodzących.

Ponadto w najbliższym kursie socyalnym należałoby pomieścić, zdaniem mojem, następujące referaty: z dziedziny kwestyi socyalnej jeszcze referat o teoretycznych podstawach socyalizmu a w szczególności o materyalizmie historycznym, oraz referat o tak zwanej etyce niezależnej, co wobec ścisłego związku etyki z ekonomią chrześcijańską uważałbym za konieczne. W wykładach tych, choćby obejmujących po kilka godzin, należałoby przy podaniu odpowiednich wskazówek bibliograficznych, wytknąć sobie jako cel, ułatwienie kapłanom przygotowania się do odparcia socyalizmu w sferach wykształconych.

Byłoby również pożądanem usunąć w specyalnym wykładzie istniejący i w kołach katolickich przesąd klasycznej ekonomii, który tak znamienite oddaje usługi partyom przewrotowym, przesąd zgoła antychrześcijański, a jednak na kursie socyalnym przez poważnych nawet mowców broniony. Mam na myśli twierdzenie, jakoby wzrost potrzeb ludzkich był jako podnieta postępu i kultury, zjawiskiem bezwzględnie i bezwarunkowo dodatniem.

Jest to wprost błędne. Jeżeli celem wszelkiej akcyi społecznej

jest dobro ogólne, nie zaś zwiększenie produkcyi, podniesienie przemysłu i t. d., tedy p r z e d zwiększeniem potrzeb, należy dążyć do zwiększenia źródeł ich zaspokojenia. Przeciwny porządek wyradza niezadowolenie, jest źródłem zbrodni i wszelkiej niemoralności, zjednywa zwolenników materyalizmowi i rewolucyi socyalnej, podkopuje byt i rozwój społeczeństw. Dźwignią postępu jest nie tyle walka o byt i konkurencya, ile raczej ograniczenie potrzeb zbędnych przy bezwzględnej solidarności bodaj między członkami pewnego narodu.

Japończycy zarówno jak i Żydzi tymi właśnie przymiotami dochodzą do niezwalczonej dotąd potęgi. Tam, gdzie upadają społeczeństwa aryjskie, przyczyna ich upadku tkwi w rozkiełzanej żądzy użycia, wyzutej z etyki i solidarności narodowej.

Byłyby dalej nieodzowne wykłady o pojęciu własności chrześcijańskiej, odbiegającem tak jaskrawo od pojęć prawa rzymskiego i prawodawstw niemieckich. Przez długie dziesiątki lat pogardzana nauka katolicka święci dziś na tylu polach coraz większe tryumfy. Niechże i to, co Doktorowie Kościoła a w szczególności św. Tomasz z Akwinu i tylu kanonistów w kwestyach społecznych wypowiedziało, stanie się podnietą do dalszej pracy naukowej w wytkniętym przez nich kierunku.

Z dziedziny administracyi państwowej pożądane byłyby odczyty o ustroju gminnym i potrzebie jego reformy; to samo o reformie ustawy drogowej i łowieckiej, o konkurencyi kościelnej, o prawie ubogich, o małoletnich przestępcach, o szpitalach krajowych i t. d.; oprócz tego należałoby w dalszym ciągu omawiać kwestye bieżące, zwłaszcza z dziedziny pięciu referatów praktycznych, o których wyżej wspomniałem.

Czytam właśnie zarzut *Gazety kościelnej,* że i tych odczytów, jakie były na kursie socyalnym było za wiele, stąd »konfuzya pojęć i przemęczenie«. Ale to jest zarzut, mający swoje źródło może w niedostatecznem przygotowaniu słuchaczy, może w zbyt krótkim czasie przeznaczonym do wykładów, może w innych przyczynach, dotyczących samej organizacyi odczytów. Nie może to jednak w niczem uwłaczać zasadniczej słuszności zapatrywania, że kapłan znać dzisiaj winien kwestye społeczne jak najgruntowniej, że musi posiadać dostateczną wiedzę, aby nie tylko praktycznie działać, jak chce *Gazeta kościelna,* ale także, by umiał w umysłach wykształconych rugować socyalizm i wykazać jego naukową błędność. Intelligencya potrzebuje argumentów, na lep ogólników i deklamacyi już nie pójdzie, ją trzeba przekonać, jeśli się ją chce pozyskać. Jest przecie publiczną tajemnicą,

że intelligencya świecka jest obojętną dla sprawy katolickiej, że ciągle odróżnia katolicyzm od klerykalizmu, darząc tem ostatniem przezwiskiem wszystko, co zmierza nie do innego celu, jak tylko do wprowadzenia w czyn i w życie codzienne zasad katolickich. Jeżeli przeto ksiądz »wyjść ma z zakrystyi«, jeżeli działać ma praktycznie, a jeżeli przytem jest człowiekiem samodzielnie myślącym, to mu trzeba powiedzieć nie tylko, jak ma działać, ale i dlaczego ma tak działać a nie inaczej, trzeba mu udzielać wskazówek do dalszego kształcenia się, trzeba mu dać teoretyczne podstawy dla polemiki i uzasadnienia wobec słuchaczy antysocyalistycznego światopoglądu. Informacya w kwestyach społecznych ważna jest zresztą dla kapłanów nie tylko w tem znaczeniu, w jakiem żołnierz, wiedzący, o co walczy i pełen zapału dla idei, w obronie której życie swoje naraża, stokroć więcej wart jest od setek bezmyślnych wojaków, dobrych tylko na karmę dla armat, ale i z tego względu, że każdy duchowny jest zarazem sam obywatelem kraju, dla którego sprawy współżycia ludzkiego i jego warunków muszą być równie ważne, jak dla każdego innego członka narodu, a oglądane i badane pod kątem widzenia woli Bożej, Jego wszechmocy i wszechdobroci, stać mu się muszą zrozumialsze i jaśniejsze, niż każdemu innemu.

Kurs socyalny miał jeszcze jeden niepośledni rezultat. Była na nim przeprowadzona dyskusya szerokiego grona ludzi wykształconych w dziedzinie spraw, wszystkich nas najżywiej obchodzących. U nas niema ani opinii publicznej, ani odwagi cywilnej w znaczeniu zachodnio-europejskiem, niema jeszcze tej opinii, która jednym wielkim głosem potępia każdy czyn niemoralny, każdą ustawę niesprawiedliwą.

Przez szereg dni omawialiśmy poszczególne zjawiska naszego życia społecznego pod kątem widzenia sprawiedliwości chrześcijańskiej. Pokrzepieni na duchu, wzmocnieni wspólną solidarnością wniesiemy ideały prawdy i prawa w życie codzienne, zejdziemy z tą latarką w różne zakamarki naszego bytu, nie zawahamy się przed przyłożeniem do nich lupy, nie cofniemy przed wytknięciem zła, które się dotąd w bezpiecznych ukrywało kątach.

Zaczerpnęliśmy sił do dalszej walki życiowej. Tego rodzaju zebrania dodają hartu i tworzą opinię publiczną, a tem samem podnoszą społeczeństwo całe na wyższy poziom kultury.

Najgłębsza reforma społeczna, najgruntowniejsza, sięgająca do podstaw, zacząć się musi od reformy etycznej. Na tę drogę skierować całe społeczeństwo może duchowieństwo tylko wówczas, jeżeli pozna

metodę walki przeciwników, dowie się o ich argumentach, rozglądnie po szerokim terenie pracy, jaka dotąd odłogiem leży, i w poczuciu silnej łączności z całem wojskiem Chrystusowem a w gorącej miłości dla naszego narodu znajdzie zachętę do walki i świadomość zwycięstwa dobra i prawdy.

Pierwsza rewia awangardy chrześcijańskiej w naszym kraju odbyta — *vivat sequens!*

Dr. Leopold Caro.

Druk ukończono 17 lipca 1906 r.

Z TWÓRCZOŚCI FRANCUSKIEGO PASTORA.

Kto z nas nie widział południowego słońca wpadającego do mieszkania przez kraty? Światłość ogromna a przecież niejednolita, bo przerywana ciemnemi pręgami żelaza. W miarę zaś posuwania się godzin zmieniają się pozycye światła i cieni: miejsce przed chwilą jasne zajmuje smuga ciemności, miejsce niedawno ciemne zalewa blask. Podobnie dzieje się i w niektórych umysłach: »Duch św. — mówił raz O. Morawski o Sołowiewie — oświecił go na wielu punktach, a na innych zostawił w ciemności«. U Sołowiewa atoli punkty te zostawały zawsze równie promienne lub mgliste. Sołowiew nie był protestantem, więc przywykł myśli swoje trzymać w wytyczonym kierunku, bez wybiegań na boczne ścieżki, skądby dopiero wracać musiały na prostą drogę ku zamierzonemu celowi. Karol Wagner zaś jest protestanckim pastorem. Jest protestantem a zarazem gorącym wielbicielem Chrystusa Pana: stąd w pismach Jego częsta alternatywa światła i cieni, stąd pewien brak karności w myślach. Jego działalność literacka znaczna i przeważnie dodatnia, przedstawia się jak ów pokój oświetlony przez kraty: pełno w niej blasków najczystszej prawdy, pełno też ciemnych smug przenoszących się z miejsca na miejsce. Początek tej pracy datuje od ostatnich dziesiątek XIX wieku; sam autor mówi o sobie, że przyszedł na świat w drugiej jego połowie. Trudno zatem zarzucać mu przestarzałość, zaliczyć go do »strupieszałych mumii«. Trudno jednak z drugiej strony nazwać nowem piękno, (a jest go wiele), zawarte w pra-

cach Wagnera, jest ono raczej dowodem, iż są rzeczy zawsze żywotne i świeże, które pył światowy może chwilowo zaćmić a nawet zagrzebać, ale które pod dotknięciem dobrej woli odzyskują swą nieśmiertelną barwę i moc.

U nas dzieła Wagnera znane są tylko z paru tłumaczeń, we Francyi doczekały się powtórnych wydań, niektóre powędrowały do Ameryki na biurko prezydenta Roosevelta, zyskując jego sympatyę i podziw. To co jest w nich błędnem a starem, jak pierwsze tchnienie herezyi, nie mogło razić ani obojętnych lub zachwianych w wierze Francuzów, ani tem mniej protestanckich Amerykanów. Co innego u nas, gdzie Bogu dzięki, wiara u wielu zachowała się całkowitą na dnie serc, pod pływającemi na powierzchni mętami zwątpienia i buntu. U nas należy przestrzedz czytelników, bo nie każdy z nich zdobędzie się na wykrzyknik usłyszany temi dniami z ust młodzieńca przy czytaniu Wagnera: »Jakżeż być może, iż tak mądry człowiek jeszcze nie jest katolikiem!« Niejeden przeciwnie powie, że skoro ten człowiek w innych rzeczach jest tak cnotliwy i mądry, to musi mieć słuszność i w tem, co w jego pismach sprzeciwia się nauce Kościoła.

Patrząc jednak bliżej dostrzega się w samych tych błędach częste sprzeczności, czyniące je nieszkodliwemi dla czytelnika przebiegającego myślą i wzrokiem nie jeden lub dwa osobne tomy, ale ogół prac autora. Te braki zaś logiki i konsekwencyi są skutkiem sprzeczności w samej jego osobie. Jest protestantem a zarazem gorącym chrześcijaninem, więc mu duszno w ciasnej atmosferze sekt. Odetchnąłby swobodnie w szerokich przestworach katolicyzmu, ale na nie wypłynąć nie może, bo jest oplątany w starą sieć przesądów, przez którą patrzy na Kościół i jego dzieje. Istnienie Boga, nauki Pisma św., odkupienie przez śmierć krzyżową Zbawiciela i wraz z niem cała zawartość Ewangelii, wydają mu się prawdą tak realną, tak niemal dotykalną, iż wiara w nie jest prostym aktem zdrowego rozsądku. Wyraz »dogmat« zato wzbudza w nim zgrozę, tak jakoby wszystko w co wierzy, nie było seryą dogmatów! Podobnie miejscami potępia żal za grzechy, mówiąc, że osłabia wolę i umniejszając własną wartość w oczach człowieka, budzi w nim zniechęcenie do życia. Zaledwie

jednak czytelnik ochłonie z wrażenia, aliści spotyka obraz duszy, która swe winy zmyła pokutą i łzami... Miejscami znów gniewa się na teologów, rozbieraczy tekstów porównywa z potępionymi przez Chrystusa Pana Skrybami, radby wymieść precz »formułki«, w które zasklepiono naukę Ewangelii. I ten gniew jednak niedługi, bo wkrótce przychodzi ustęp, w którym czytamy, o konieczności badań teologicznych, choćby dla obrony przeciw sofizmatom błędu: »Nie bądźmy, mówi, jako ci chorzy, którzy przez wstręt do medyków wpadają w ręce znachorów...«

Bywają też dnie, gdzie autor wznosząc się ponad wszystko co ludzkie, gani wskazywanie szczęścia wiekuistego za cel wysiłkom i aspiracyom człowieka. Ten, zdaniem jego, powinien działać z całkiem bezinteresownych pobudek. Na to zgoda, iż tak byłoby najlepiej, ale szczęściem Pan Bóg jest wyrozumialszym od p. Wagnera. Ten zaś sam sobie przeczy, stawiając wciąż nadzieję i ufność jako nieodzowne dźwignie życia ludzkiego. Mielibyśmy prawo zapytać, czego nam się każe przez całe życie spodziewać? Zbyt często czytając ma się wrażenie czegoś niedopowiedzianego, nieokreślonego, jakoby warstwy prawd, zostawionej umyślnie w mgle, aby po nich protestancka swoboda wierzeń mogła do woli się błąkać. Nie dziw więc, że obok dowodzeń konieczności wiary widzimy twierdzenie, iż nie chodzi o to, w co kto wierzy, ale jak w wierze swojej działa, że przeto forma wiary jest obojętną, bo jest tylko jej szatą zewnętrzną, duch zaś wszystkich kościołów i wszystkich religii zlewa się w łono powszechnego niewidzialnego Kościoła, który jedyny jest wprost założony przez Boga. Powyższe zdanie spotyka się u wielu protestantów, znużonych walką sekt, o której zaciekłości większość katolików nie ma wyobrażenia. Chronią się też w owo pojęcie dusze zaniepokojone jak Wagner uczuciem odstępstwa od pierwotnego zgromadzenia wiernych. Widać, iż z czasem polemizuje sam z sobą; usiłuje bowiem oczyścić pamięć pierwszych Reformatorów: »Któż jest lepszym synem — mówi — czy ten co z obawy nadwerężenia starych pamiątek patrzy bezczynnie na ruinę domu rodzicielskiego, czy ów, co odważnie przykłada rękę do murów? Kto z nich dwóch jest wierniejszy tradycyom? Ten co widząc walący się

dom opuszcza go i buduje sobie nowy, tak jak ojcowie niegdyś uczynili, czy ten co się czepia zmurszałych ścian i zgniłego dachu bez względu na zdrowie i życie swoje i dzieci?« Miałoby się ochotę odpowiedzieć, że Kościół nigdy się zawalić ani popaść w ruinę nie może, bo go »piekielne nie przemogą bramy«, że więc nie Kościół się psuje, ale serca napełniających go synów. Ci jeśli nie poprawią swej wewnętrznej ruiny, napróżno opuszczą dach ojców, by sobie wystawić dom nowy: owo nowe mieszkanie już domem ojców nie będzie, a zgnilizna ich dusz pójdzie za nimi w owe obce progi i tu wraz z nimi zamieszka. Ale próżno gadać — autor nas nie dosłyszy, a mnóstwo katolików żądających dziś jak wtedy »naprawy Kościoła« nie będzie chciało uwierzyć, iż im trzeba naprawiać nie Kościół lecz siebie...

Należało dla sprawiedliwości przestrzedz czytelnika przed błędami, które rozsiane po książkach Wagnera w całości po większej części zwalczają się wzajemnie, lecz spotykane z osobna mogą utkwić w umyśle. Uczyniwszy to jednak, trzeba uchylić czoła przed płomieniem miłości Bożej buchającym z tej duszy. Zbyt rzadki to objaw w naszych chłodnych czasach, by go nie powitać z radością; toż choć latarnia morska z obcego świeci brzegu, wolno korzystać z jej światła, by się prędzej do ojczystego portu przedostać.

Z dziewięciu tomów Wagnera, obejmujących jego literacką działalność, (nie licząc w to zbioru kazań p. t.: *L'Evangile et la vie*), możnaby wyjąć jeden tomik myśli mglistych lub sprzecznych. Reszta cała świeciłaby blaskiem nieskalanym na drogach życia do wieczności wiodących. Są to przeważnie rozprawy dotykające wszystkich stosunków ludzkich, pisane dla pożytku młodzieży. Myśl przewodnia jest prawie zawsze głęboka, ale to głębokość nie straszna. Młodość wyobraźni, świeżość uczucia, barwność i poezya stylu wytwarzają całość pełną życia i wdzięku. Tak jak w tryłogii Sienkiewicza, na którejkolwiek stronie otworzy się książkę, ma się ochotę czytać dalej, aż do końca rozdziału.

Snać nazwisko Wagnera przeznaczone jest na wyrażenie harmonii: Ryszard Wagner jest jej przedstawicielem w muzyce, u Karola Wagnera wszystkie głosy nieba i ziemi zdają się zle-

wać w jeden akord harmonii. Dostrzega ją w całym ustroju świata, w prawowitym stosunku stworzenia do Stwórcy, człowieka do ludzkości, do rodziny, do samego siebie, do żywej i martwej natury. Każdy promyk słońca śpiewa mu o jasnościach niebiańskich, każde odmładzające się drzewo o cudach odnowienia dusz, w ciężkiej masie gór widzi obraz wieczności; nawet atom tańczący w promieniu staje mu się obrazem ufności w Opatrzność Bożą: za chwilę zginie, lecz teraz się weseli, bo się nie stanie z nim tylko to, co się stać powinno, a tymczasem słońce przyświeca... Autor radby przykładem tego bezwiednego poddania, pobudzić człowieka do większego zaufania, do większego spuszczania się na wolę Bożą. Obawa o przyszłość własną i przyszłość ludzkości, wydaje mu się być krzywdą wyrządzoną Stwórcy, który przecież dość już zrobił, aby mu człowiek mógł bezpiecznie zawierzyć. Wierzy mocno w Królestwo Boże już tu na ziemi; ono wydaje mu się celem stworzenia, ku niemu mają się ściągać wszystkie nasze dążności. Chwilami zda się, że o niem więcej myśli niż o niebie, najczęściej trudno rozróżnić, o którem z dwóch chce mówić. Być może, iż przez to bardziej ziemskie pojęcie pragnie cel wieczystej nagrody zbliżyć niejako do umysłu ludzkiego. W tem jednak się myli, gdyż idealny stan ludzkości, mający zajaśnieć za setki lub tysiące lat, wydaje się o wiele dalszym niż to, co każdego z nas ma spotkać zaraz po śmierci. W każdym razie ten punkt jest niejasnym, podobnie jak wiele innych.

I.

Pierwszem znanem dziełem Wagnera jest *Justice*[1], napisane w r. 1889, nawoływanie do sprawiedliwości, do tolerancyi i zgody na polu religijnem, politycznem i społecznem. Posłuchajmy od razu co mówi autor w pierwszym rozdziale p. t.: *La naissance de la justice:*

»Od pewnego czasu już, można było dostrzedz w łonie

[1] C. Wagner: *Justice.* Huit discours. 7 édition. Paris. Librairie Fischbacher. 1904. Str. 234.

społeczeństwa pewne obniżenie zmysłu moralnego. Dziś objaw ten rzuca się w oczy. Po błędach w uczynkach przyszło gorsze od nich, spaczenie zasad. Sofizmat przeniósł się do kierowniczego centrum sumienia. Niepokojące oznaki dekompozycyi duchowej w oczach naszych się mnożą: zło przestało być złem, dobro dobrem. Istnienie woli jest zaprzeczonem, odpowiedzialność zmniejszona, pojęcie obu zaćmione. Wielu bardzo uznaje wzrost tej choroby, ale jakże rzadko kto wierzy w możność wyleczenia z niej społeczeństwa? Niektórzy z nią walczą z obowiązku, ale mieniliby niedorzecznością zachowanie najmniejszej nadziei. Są zrezygnowani. Wśród tych spotyka się i zabłąkanych chrześcijan, ludzi wierzących, którzy wprawdzie nie stracili wszelkiej nadziei w zwycięstwo Boże, ale spełnienie jej odkładają poza grób, nawet poza krańce istnienia świata. Ze swojej strony filozofowie zrobili sobie z toczących nas ran, przedmiot analitycznych studyów; wzmianka o próbach leczenia pobudza w nich śmiech. To wszystko bardzo smutne i jeden tylko zostaje nam ratunek: silna wiara w istnienie dobra i w groźną obecność złego. Walka dobrego przeciw złemu — jest wszystkiem. Stąd też ci co myślą inaczej, skazani są na bezpłodność. Przechodzą bezużyteczni, zgarbieni, pod brzemieniem straconych dni. Życie bowiem o tyle tylko ma wartość, o ile jest rzuconem w ten wielki bój. A jest to walka w której nic nie ginie. Każdy głaz, każde ziarnko piasku przyniesione ludzkim wysiłkiem, układa się na przeznaczonem sobie miejscu, przysparzając wzrost miasta Bożego lub warowni grzechu.

»Biada temu, kto opuści ręce mówiąc, iż praca jego nieznaczna na nic się nie przyda. Najgorszy sposób czynienia źle jest — nic nie robić.

»Obniżenie zmysłu moralnego objawia się między innemi zanikiem poczucia sprawiedliwości. Jesteśmy niesprawiedliwymi jedni wobec drugich. Brak prawości czuć się daje na całej linii w stosunkach pomiędzy narodami, religiami i stronnictwami, pomiędzy frakcyami społeczeństw i niegodnymi przedstawicielami wiedzy.

»Wprawdzie wojna pod wszelkiemi formami starą jest jak świat, starą też rywalizacya różnych od siebie sił, staremi również

zrodzone stąd niedorzeczne pojęcia. Jeźli wszakże dawniej używano sposobów walki bardzo brutalnych, wątpię, by się często zdobyto na tak nieuczciwe jak dzisiaj. Dziś zda się być hasłem: Przeciwnik to wróg! Przeciwnik to złoczyńca! Nie dość go zwalczać, należy go zhańbić. Wobec niego uczciwość uchodzi za szaleństwo, lub — tak w nią uwierzyć trudno — za fortel wojenny.

»Poświęcenie dla sprawy bywa mierzonem według stopnia nienawiści dla strony przeciwnej, a bezkrytycznej pobłażliwości dla swoich. Jest to pomimo swej banalności jedno z najsmutniejszych widowisk naszego czasu. Z tego nieszczęścia bowiem mnóstwo nieszczęść wyniknie. Niesprawiedliwość jest płodną matką, to też gdy świat napełni tysiącami oszczerstw, nieufności, zawiści i fałszów zaściele go ruinami i krwią.

»Scisłym obowiązkiem każdego co stan ten pojmuje jest przeciwdziałanie złemu. Jak? to właśnie pytanie. Co do mnie, wierzę tylko w jeden sposób działania, w propagandę przykładu i czynu za pomocą wytrwałej cierpliwości i roztropności, umiejącej się zadowolnić drobnym początkiem. Nie wykluczając nikogo i nie odpychając żadnej dobrej woli, śmiem sądzić, iż ten program w walce o sprawiedliwość, nadaje się przedewszystkiem dla chrześcijan.

»Chrystyanizm nie pozostający czczą formą, ale przelany w życie stanowi istną potęgę w służbie sprawiedliwości. Chrystusa nazwano pośrednikiem, bo zbliżył Boga do człowieka, a człowieka do Boga w najwznioślejszej harmonii miłości i przebaczenia. Jest wszakże pośrednikiem w innem jeszcze znaczeniu. Zbliża ludzi do ludzi kojąc gniew, gasząc zawiści, usuwając egoizm, powstrzymując niegodziwe zapędy, zacierając różnice. Ktokolwiek zaś nie tylko usty, lecz sercem jest uczniem Chrystusa, musi z nim w tym kierunku współdziałać. Prawdziwy chrześcijanin jest pośrednikiem pokoju. Pragnąłbym uwidocznić jego akcyę pośród walczących. Wprzód jednak należy się rozpatrzyć w warunkach, jakich podobne posłannictwo wymaga«.

* * *

»Mąż sprawiedliwy nie jest płodem jednego dnia. Na wydanie go potrzeba długiego wpajania i bolesnego rodzenia. Chcąc się stać potęgą pokój niosącą trzeba samemu przebyć i przecierpieć wiele, rozszerzyć swój horyzont pojęć, zbadać przeróżne środowiska, przyjrzeć się rzeczom z przeróżnych stron, trzeba pozyskać zdolność stawiania się w położenie drugich i słusznego oceniania ich. Warunki te zdobywa chrześcijanin w czasie życiowego przełomu, zwanego nawróceniem, czyli odrodzeniem. W niem jest źródło wody żywej, której strugami pragniemy zrosić ziemie wyschłe i twarde, kędy dziś Boskie kwiaty sprawiedliwości więdną i giną.«

* * *

»Czemże jest odrodzenie, istotny wynik chrystyanizmu?

»Chrystus rzekł, iż chcąc się dostać do Królestwa sprawiedliwości, trzeba się stać napowrót dziecięciem — to znaczy, odrzucić z siebie wszystko co życie wpoiło w nas sztucznego i usiłować stać się człowiekiem w całej piękności i prostocie, w całej pełni tego imienia. W blasku ewangelii, rzucającym nowe światło na przebytą przezeń drogę, człowiek spostrzega, że błądził. Wtedy budzi się jakoby ze snu do rzeczywistości. Żył dotąd wśród mamideł i kłamstw. Cierpienie jego i radość, prace i trudy, wszystko tonęło w nicości, bo to nie było życie to była śmierć. Obecnie ockniony rozgląda się, bada i w ślad za działającym w nim duchem prawdy wnika w tajniki swego przeznaczenia. Po raz pierwszy ogląda sam siebie, a odkrycie przynosi zrazu zmięszanie i ból.

»Cała jego istota jest rozdartą na poły, w jego życiu, w myśli, o tegoż powstaniu i końcu, kłębią się zatrważające sprzeczności. Nadludzka walka wybucha w głębiach sumienia, całym jego światem wewnętrznym wstrząsa bój przeciwnych sobie sił. Wejrzyjmy w wir kontrastów, przez które człowiek przechodzi dążąc do zjednoczenia«.

* * *

»Najwybitniejszą ze wszystkich jest sprzeczność duchowa wywołana przez uwydatnienie w Ewangelii postaci Chrystusa.

»Wobec tej nieskończonej dobroci, tej łaskawości, tej uśmiechniętej a nieugiętej energii, człowiek poznaje zarazem piękność istotnego życia i żal, że mu do niego tak bardzo daleko. Nigdy dotąd nie odczuł tak wyraźnie kajdan tamujących rozwój jego duszy, przewrotnych instynktów, tajnych skłonności do złego; nigdy go tak boleśnie nie ranił łańcuch jego niewoli. A wśród tych więzów, tej fatalnej dziedziczności ciągnącej go w dół zdaje sobie przecież jasno sprawę ze swej przynależności do wyższych sfer. Z oblicza Jezusowego wpłynął promień do jego więzienia i ów niewolnik poczuł się bratem wolnego. Czyżby go tak uwielbiał, gdyby w sercu jego nie zbudziło się poczucie tego pocieszającego braterstwa? Ale tu właśnie zaczyna się męka. Kto jej nie zaznał, ten nie ma pojęcia, wiele łez, wiele trwogi i niewymownej rozpaczy streszczają te słowa: Człowiek jest biednym grzesznikiem dążącym do sprawiedliwości«.

* * *

»W sferze intelligencyi podobna sprzeczność wynikła z prawa ustawicznego rozwoju, który nami rządzi. Człowiek nie jest jak kamień, roślina lub zwierzę stworzeniem nieświadomem, nieznającem swej własnej istoty. Nie jest też światłością obejmującą i przenikającą wszechrzeczy. Skazany jest na zmrok, w którym jasność i ciemność toczą bój ustawiczny. Głos z głębi nieskończoności zawołał nań: Chodź! — więc idzie. Idzie otoczony tajemnicą, dręczony głodem wiedzy, a promyk oświecający mu drogę, zda się pogłębiać ciemność niezgłębionych przestworzy. Człowiek jest nieświadomym spragnionym świadomości...

»Człowiek jest przechodniem. spragnionym tego, co jest trwałe... Jest samolubem spragnionym kochania...

»Jest także nieszczęśliwym marzącym o szczęściu, ustawicznie miotanym a szukającym spokoju... Czuje się być bezsilnym atomem tonącym między ogromem morza a nieskończonością niebios i z głębi przepaści woła jak św. Paweł: O ja nieszczęsny, kto mnie wyratuje?

»Jeśli w tym stanie duszy znajdzie Chrystusa i zdoła Go pojąć — jest wybawiony...«

Zatrzymawszy się jeszcze nad tym stanem przejściowym i nad charakterystyką chrześcijanina, autor przechodzi do jego usposobienia wobec społeczeństwa. »Nie jest to — mówi — olimpijski spokój widza spoglądającego z nad brzegu areny na zapasy atletów z pobłażliwością ogólną a chłodną. Podobny spokój jest objawem duchowej atonii. Stronnicza zapalczywość nawet lepszą jest od tej dumnej obojętności, mieniącej się bezstronnością. Chrześcijanin zbyt jest przejęty wielkiem znaczeniem życia, ważności czynów ludzkich, ich dalekonośnego i wieczystego działania, by mógł na walkę złego i dobrego patrzyć bez zadrgania w nim wszystkich sił żywotnych.

»Wpływ pokojowy chrześcijanina nie może również działać drogą kompromisów i ustępstw. Postępowanie niejasne i chwiejne nie godzi się z jego prawością. Nie może chcieć jednoczyć rzeczy przeciwnych przez subtelne okrawania i zamilczania: byłoby to budowaniem sprawiedliwości na hipokryzyi, prawdy na niegodziwości. Toż właśnie z śmiałego zderzenia dwóch przeciwnych sił światło wytryska, a uczciwa walka bywa jedną z najpłodniejszych form kollaboracyi. W zegarze zdają się pracować dwa sprzeczne przyrządy a właśnie antagonizm ich jest źródłem ich użytecznego działania. W podobny sposób chrześcijanin pojmuje różność zdań, w której ze swobodnej pracy odrębnych umysłów wyniknąć ma wielka synteza prawdy. Przejęty tem przekonaniem nie tamuje żywotności żądaniem absolutnej monotonii. Przeciwnie umie oceniać wszystkie formy pracy dla dobra, zwłaszcza te, które zdają się być lepszemi od jego własnego działania. Otwierając ramiona najróżnorodniejszym sprzymierzeńcom, widzi posiłki przybywające mu z Zachodu i Wschodu.

»Umiejmy wszakże odróżnić szerokiego ducha sprawiedliwości chrześcijańskiej od miękkości woli, skutkiem której unikamy wszelkiego starcia. Precz z takim duchem!... Nie mieszajmy nigdy »pokój czyniących«, których Chrystus nazwał synami Bożymi, z miłośnikami zgody za wszelką cenę, których Apokalipsa jednem

słowem pogrąża: »Iżeś nie był ani ciepły ani zimny przeto wyrzucę cię z ust moich«. Chrześcijanin pamięta, iż Chrystus przyszedł przynosząc miecz... Sprawiedliwość jego jest męską, jest wojującą. Zgoda, do której dąży nie jest spokojem tchórzów, ale zdobyczą silnych.

»Cycero określał niegdyś mowcę twierdząc, że to »człowiek prawy umiejący mówić«. Chrześcijaninowi zaś przystałoby określenie: sprawiedliwy umiejący walczyć. W świecie, w którym żyjemy, chrześcijanin powinien odgrywać rolę, jaką w burzliwych i ciemnych epokach dziejowych odgrywało rycerstwo. Rycerza nam potrzeba, okutego w żelazo, a z sercem braterskiem!

»A teraz niech idzie w bój! Przebył twardą próbę rycerskiego nowicyatu, przepędził przed pasowaniem długą noc na modlitwie, przywdział zbroję, którą opisał św. Paweł, pokłonił się swemu wodzowi i poprzysiągł mu wierność. Niech idzie na ciężki znój, w wir bitew, gdzie cios pada za ciosem, i tam wśród zgiełku nienawiści, wśród pyłu walk, wszędzie, gdzie człowiek rozdziera człowieka, gdzie brat poniewiera brata, gdzie kłamstwo sączy truciznę i jad, niech stanie jako zwiastun sprawiedliwości, jako wał ochronny słuszności i cnoty. A jeśli przyjdą dni, gdzie mu zadanie wyda się nad siły, jeśli z tłumu walczących wyjdzie złamany i krwawy, o wtedy niech mu jeszcze na dnie serca śpiewa niby pieśń z pól ojczystych, niby echo z nieba słowo, które na górze wyrzekł książę pokoju, najwyższy wódz walk Bożych: Błogosławieni, którzy cierpią dla sprawiedliwości«.

Pastor Karol Wagner zadziwiłby się zapewne, gdyby mu powiedziano, że czytając go przychodzi chwilami na myśl arcykatolik Ernest Hello. Różnica między nimi ogromna; Wagnerowi daleko do tytanicznych porywów Hella, jak spokojnej rzece do wodospadów Niagary. Zawartość wody jednak a raczej treść myśli jest często w obu podobna. Uderza to w drugim rozdziale dzieła *Justice*, zatytułowanego *Domination et servitude volontaire*, dowodzącego zawsze na mocy słów Chrystusa Pana, że prawdziwą wyższością człowieka jest panowanie nie nad drugimi ale nad sobą. Obecna

ludzkość przedstawia mu się jako spiętrzona masa narodów, stronnictw, grup społecznych i pojedynczych ludzi, tłoczących się wzajemnie w walce o pierwszeństwo, o rządy. Naprzeciw temu zgiełkowi ambicyi stawia ukrytego Boga, pokornego Chrystusa, usługującego uczniom i chrześcijanina kształtującego się na wzór mistrza. Przy sposobności rzuca uszczypliwe słówko papieżom średniowiecznym mieniącym się sługami sług Bożych; odpycha też pojęcie Boga zagniewanego, »Boga-mściciela«. »Bóg Jezusa, Ten, którego On głosi, naucza i miłuje do śmierci, to Ojciec miłosierdzia, to Bóg uniżający się, to śmiem wyrzec, Bóg-sługa człowieka. Takim Go widzieli niegdyś prorocy w chwilach najwznioślejszych objawień. Tak więc Bóg, który we wszechrzeczy jest wszystkiem, On którego nie ogarną niebiosa, jeden wielki i niezgłębiony jest także — i w tem ukazuje się najwyższym Bogiem cichym i ukrytym. Jeśli dojdę do szczytu niebios — tam jest; jeśli się zniżę myślą w bezdenny odmęt najdrobniejszych atomów — i tu jest, stwarza i działa. Co więcej, jeśli zejdę w otchłań cierpienia, pomiędzy ukryte bóle i łzy — tam jest. Niema jęku, niema skargi, którejby nie słyszał, niema głuchego pustkowia, gdzieby nie był obecnym. Człowiek nie wie o Nim, sądzi się opuszczonym: Bóg przy nim jest. Gdy o tem mówią prorocy, głos ich podnosi się i mięknie. Zda się gdy echo ich słów budzi strunę nadziei w złamanych sercach, że to sama litość najwyższa woła z nieskończoności: »Wspomnę na cię w miłosierdziu wieczystem. Czyż matka może zapomnieć o dziecięciu, które wykarmi swą piersią? Czyż się nie ulituje nad owocem żywota swego? A choćby ona zapomniała, ja cię nie zapomnę i pocieszę cię tak, jak pocieszają matki!«

»Ale zejdźmy jeszcze niżej. Być wzgardzonym, zdeptanym, być tym, który wszystko robi a jest najmniej ceniony, który w miejsce miłości samą niewdzięczność odbiera, zapomniany, bluźniony, zaprzeczony, zelżony... Kto pamięta, że Bóg Ojciec, Bóg żywy dzieli w tem los najbiedniejszego, najniższego sługi? W tem pojęciu Boga, który dlatego, że widzi całą doniosłość złego odczuwa nasze zbrodnie i nasze cierpienia, jakoby własne krzywdy i własne obrażenia wieczyste — jest taka przepaść miłości, iż przed

nią można tylko korzyć się w prochu i wielbić... Nam chrześcijanom, żyjącym w świecie niesprawiedliwości i walki o władzę, trzeba, chcąc urzeczywistnić sprawiedliwość, stać się dziećmi tego właśnie Boga. Potrzeba nam tego wzniosłego wspomnienia, potrzeba w sercu ciągłej obecności Boga uniżonego i służącego, abyśmy zdołali pokochać wązką, lecz szczęśliwą ścieżkę dobrowolnego posłuszeństwa... Ludzie mylą się dziwnie, sądząc, iż wielkie dusze, które zrozumiały i obrały tę drogę, tracą energię i siłę osobistej woli, że tracą charakter, stając się narzędziem w cudzych rękach. Owa *servitudo*, o której mówi Chrystus, wymaga największego wytężenia woli, do jakiego człowiek jest zdolnym, może bowiem być uskutecznioną tylko za pomocą zupełnego zwycięstwa nad sobą. Ten jest prawdziwie własnym panem, kto wolę swoją poddaje z własnego postanowienia, a energia, jaką wydobył z siebie w tym akcie karności, wzmacnia w nim siłę odporną na wszelki przymus zewnętrzny...«

Autor byłby znów zapewne zdziwiony gdyby mu powiedziano, iż wynosząc zasadę dobrowolnego posłuszeństwa śpiewa pochwały jednego z głównych filarów życia zakonnego. Odpowiedziałby zapewne, iż myślał o poddaniu się prawom własnego sumienia, przez nie zaś prawom Boskim. A może zaś przyznałby, iż w tem mnichów pochwala, wierny systemowi eklektycznemu, który w rzeczach moralności i wiary usiłuje w praktykę wprowadzić. Wyłożywszy wyższość władzy nad sobą samym, przechodzi do drażliwego przedmiotu Twoje i moje *(Le mien et le tien)*, stanowiącego powód wszystkich prawie walk i wszystkich zbrodni na świecie: nawet chciwość władzy straciłaby najczęściej racyę bytu bez tego potężnego motywu. Jako przeciwdziałanie p. Wagner nie proponuje »społecznych ruchów« ani »rozwiązywania kwestyi społecznych«. Usiłuje tylko dowieść ludziom, że w walce o moje i twoje chodzi im przecież o własne szczęście a że więcej go znajdą w dawaniu, niż w braniu: *Il y a plus de bonheur à donner qu'à recevoir.*

Ciekawy jest rozdział o wiedzy i o wierze *(La science et la foi)*, tłumaczący racyonalistom w sposób dobitny choć grzeczny, iż są krótkowidzami, pragnącymi zamknąć ducha ludzkiego w cia-

snym zakresie materyalnym, ogarniętym i to niedoskonale przez wiedzę i odcinającym go od olbrzymich przestworów świata nadprzyrodzonego, który tylko można ogarnąć przez wiarę. Podobnie jak ucho chwyta głosy, których ani oko nie widzi ani ręka nie dotknie, wiara chwyta to, co jest poza sferą nauki. Ani wiara przeto nie sprzeciwia się wiedzy, ani wiedza nie może zniweczyć wiary. Każda z nich ma osobne pole działania — jedna w świecie widzialnym, druga w duchowym. Chcąc ludzi karmić jedynie wywodami naukowymi, znaczy to samo, co odciąć ich od źródeł żywotnych, przyprawić ludzkość o kalectwo, oschłość, sceptycyzm, upadek energii i chęci do życia, zmusić pogwałconą naturę do chorobliwego szukania nieznanych uczuć i wrażeń. Pozbawiona przyrodzonego pożywienia dusza spragniona szuka czem go zastąpić i znajduje truciznę... Wielu pociesza się żyjąc wyłącznie zmysłami, odganiając wszelką myśl głębszą. Inni zaś »przywykli żyć tylko rozumem, wpadli w rodzaj ogólnej anemii, jaką widzimy wszędzie, gdzie ludzkość jest torturowaną na Prokrustowem łożu ekskluzywnych systemów. Choroba zaś jest taką: analiza naukowa została zastosowaną do wszystkiego bez żadnego wyjątku. Wszędzie gdzie jest bezsilną a przeto nic znaleźć nie może, zawyrokowano, że niema nic. A zatem serce ze swą skarbnicą uczuć, sumienie ze swemi prawami i zastrzeżeniami, cała niedotykalna poezya, stanowiąca woń i życie wszechrzeczy — wszystkie wygnano z dziedziny rzeczywistego świata. Pozostał panem słuchanym, choć nienawidzonym, sam jeden rozum. Nazwano go zimnym, bo poza swoją sferą zabija i niszczy, jak każda siła oderwana od swego celu. Wszystkie prawe instynkta poświęcone na ołtarzu tego bożyszcza zmieniły się w tyleż boleści. Rzeczywistość wydaje się smutną, płytką, wyblakłą, świat wielką a pustą ramą nieobecnego obrazu. Długi, bolesny żal przenika w milczeniu najskrytszy ducha głąb. Ponad zwiędłemi kwiaty, nad każdą zgasłą nadzieją, każdą miłością i każdem złudzeniem unosi się jak mgła ogromny smutek utraconej wiary... Wiedza nie wystarcza. Człowiek nie żyje tem, co umie i nie może niem żyć, nie dlatego, iż jego wiedza jest ograniczoną, ale że człowiek nie jest tylko intelligencyą i że mu czegoś więcej potrzeba... Weźmy

przykłady z życia codziennego. Dobro, zło, przyjaźń, poświęcenie, miłość — czemże są? Z punktu naukowego — niczem. Więc czemuż ludzie wyrzekający się w teoryi wszystkiego, czego nie uznaje nauka, żyją nadal tak, jakby to wszystko było realnem?... Czynią tak, bo nie mogą przestać być ludźmi a przez to samo posiadać zdolności rozpoznawania i odczuwania, których istnienia zaprzeczają w teoryi...«

Z dalszych rozdziałów *Églises – Église*, *L'individu et la société* i *La conception religieuse du travail* — pierwszy zawiera wzmiankowaną już teoryę o niewidzialnym Kościele streszczającym w sobie wszystkie Kościoły, drugi zaś i ostatni zapatrywania społeczne autora, z którymi spotkamy się w innych jego dziełach, a które streścićby można w słowach: Kochaj bliźniego twego, ucz się poznawać jego sposób życia, jego cierpienia i trudy; czuj każdą pracę — choćby nieudaną, choćby owoce jej nigdy się oczom ludzkim okazać nie miały.

(C. d. n).

T. Wodzicka.

Z NASZYCH SPRAW SPOŁECZNYCH.

OŚWIATA I EMIGRACYA W NASZYM KRAJU.

Żywy ruch emigracyjny z naszego kraju budzi od dłuższego już czasu coraz większe zainteresowanie; słyszy się i czyta zwłaszcza w pewnych okresach czasu, gdy wychodźtwo przybiera szersze rozmiary, rozmaite o niem sądy, oparte na mniejszej lub większej znajomości rzeczy. Wśród tego zaś można się bardzo często spotkać ze zdaniem, że brak oświaty pośród naszego ludu pcha go przedewszystkiem do obcych krajów w nadziei, iż tam znajdzie lepsze warunki bytu. Nie od rzeczy przeto będzie zastanowić się bliżej nad tem, ile jest prawdy w tem zdaniu, na którem do niedawna jeszcze kończyły się u nas znajomość i sąd o ruchu emigracyjnym. Rozwiązaniem tego problemu będzie odpowiedź na pytanie: Jaki wpływ może wywierać wychodźtwo na stan oświaty w naszym kraju i odwrotnie, jakie skutki pociąga za sobą w granicach ruchu emigracyjnego wyższy lub niższy stan kulturalny jego uczestników?

Pierwsza część powyższego pytania nabiera dla nas tem większego znaczenia, że właśnie początki pierwszych większych ruchów emigracyjnych schodzą się niemal z tą chwilą, w której nasza Rada szkolna krajowa, uzyskawszy poważną pomoc w ustawodawczo uchwalonym przymusie szkolnym [1], mogła naprawdę roz-

[1] Art. 40 i 41 ust. szk. kraj. z r. 1873.

począć swą pracę nad stanem oświaty w kraju. Na tę stronę emigracyi nie zwracano u nas dotąd dostatecznej uwagi, z tem większą szkodą dla samego przedmiotu, że bez zebrania szczególnych dat w odnośnym kierunku trudno dojść do stanowczych wniosków i rezultatów. Podobnych dat właśnie u nas brak. Częściowo przychodzą nam w pomoc sprawozdania jeneralnego komisarza emigracyjnego Stanów Zjednoczonych, podające cyfrę analfabetów wśród obcych immigrantów, przybywających do krajów północnoamerykańskiej Unii. Pomijając kwestyę dokładności zawartych tam dat — a to z powodu braku wszelkiej możności ich stwierdzenia — zwrócić należy uwagę na następujące ważne okoliczności: 1) Wspomniane wykazy nie zawierają kombinacyi cyfry analfabetów łącznie z liczbą tych wychodźców, którzy do Stanów Zjednoczonych przybywają już po raz wtóry, wskutek czego nie można mieć pewności, czy dany emigrant-analfabeta nie został już raz wykazany w jednem z poprzednich sprawozdań. 2) Wykazy amerykańskie podają od roku 1899/900 liczbę emigrantów wraz z odnośnemi innemi datami nie według krajów, z których ci wychodźcy przybywają, lecz według narodowości, wskutek czego pod rubryką »Polacy« mieszczą się także wychodźcy z W. Ks. Poznańskiego i Królestwa Polskiego. Natomiast w graficznych dyagramach, umieszczonych w »Raportach« za lata 1902 i 1903, podane są cyfry analfabetów-emigrantów państwami według narodowości, a obliczenie to zawiera nie tylko stosunek procentowy, lecz także liczby bezwzględne. 3) Zestawienia jeneralnego komisarza emigracyjnego w Ameryce nie dają nam pełnego obrazu, bo brak w nich dat dla państw Ameryki południowej, co jest tem ważniejsze, że właśnie do tych krajów odbywa się przedewszystkiem emigracya z charakterem kolonizacyjnym, a więc stałym. Daty, dotyczące stopnia kultury udających się do nich naszych emigrantów, stanowiłyby bardzo cenny materyał do badań nad tem, jakie to żywioły, mniej czy więcej kulturne, porywa wychodźtwo z kraju raz na zawsze.

Z temi zastrzeżeniami możemy się przypatrzyć cyfrom, podanym w sprawozdaniach amerykańskich. W datach, tam zawartych, uderza przedewszystkiem ten ciekawy szczegół, że procen-

towy stosunek liczby analfabetów wśród naszych emigrantów utrzymuje się w ciągu kilku ostatnich lat mniej więcej na tej samej wysokości. I tak w latach 1898/99 wśród immigrantów z Galicyi było 33% analfabetów, w latach 1902 i 1903 pośród Polaków z Galicyi 32%, wśród Rusinów w r. 1901/2 było 48%, w r. 1902/3 49% analfabetów [1].

Jeżeli tedy rozglądniemy się w tych cyfrach bliżej, to uderzy nas to zjawisko, że na polskich emigrantów z Galicyi [2] przypada bądź co bądź corocznie 64—68% alfabetów.

Dziwne zjawisko daje się spostrzedz z cyfr, podanych przez amerykańskiego komisarza emigracyjnego. Oto mimo wzrostu emigracyi liczba około 70% alfabetów wśród polskich wychodźców zdołała się utrzymać na pierwotnej wysokości przez szereg lat, z chwilą zaś zniżenia się liczby emigrantów polskich z Austryi w r. 1904 na 30.243 (z 37.499 w roku poprzednim) cyfra analfabetów podniosła się z 32% na 36%. Widocznie w pierwszym ruchu uczestniczyły żywioły kulturniejsze, a w miarę, jak ten ruch słabnąć poczyna, śpieszą na emigracyę jednostki mniej oświecone. Jeszcze charakterystyczniej przedstawia się sprawa z ludnością ruską. Tam liczba analfabetów z 48% w r. 1902 podniosła się w następnym roku na 49%, w roku zaś 1904 przy zmniejszeniu się liczby emigrantów ruskiej narodowości w Austryi na 9.415 (z 9.819 w r. 1903), cyfra analfabetów podniosła się gwałtownie, bo z 49% (w r. 1903) na 59% (w r. 1904). Jeżeli nadto weźmiemy pod uwagę cyfry bezwzględne, to uderzyć nas musi niewielka w porównaniu z Polakami cyfra Rusinów, emigrujących do Ameryki północnej. Kiedy w roku 1902 przybyło do Stanów Zjednoczonych z Galicyi Polaków około 33.000 [3], to Rusinów tylko blizko 6000, w r. 1903 przybyło tam Polaków galicyjskich 37.499, Rusinów tylko 9.819. Widocznie wychodźtwo do Stanów Zjednoczonych, uważane w znacznej części przez ludność mazurską

---

[1] *Annual Report etc.* za rok fisk. 1898, 1902 i 1903.

[2] Bez ludności izraelickiej.

[3] *Annual Report etc.* za 1902, p. dyagram na załączonej tam karcie.

za środek do zdobycia grosza na kupno ziemi w rodzinnym kraju [1], nie pociąga w tym samym stopniu ludności ruskiej, idącej z większą ochotą — jak to stwierdzają poważni znawcy tych stosunków [2] — na kolonizacyę. Ten wyższy procent alfabetów wśród emigrującej ludności polskiej z równocześnie objawiającym się wśród niej ruchem powrotnym do ojczyzny nasuwa poważne refleksye, o których jednak pomówimy w innem miejscu.

Pewną illustracyę do przytoczonych powyżej dat ze sprawozdań amerykańskiego komisarza emigracyjnego w Stanach Zjednoczonych mogą stanowić dane, zaczerpnięte z wyników ostatniego spisu ludności w r. 1900. Dr. Meinzingen dochodzi na ich podstawie w *Oesterreichische Statistik* do wniosku, że Galicya wykazuje znaczny postęp w tym mianowicie kierunku, iż z 17 powiatów, liczących w r. 1890 powyżej 90% analfabetów, pozostało w r. 1900 tylko cztery, a mianowicie Bohorodczany, Kosów, Nadwórna i Turka. Otóż będzie ciekawą rzeczą dla naszego założenia zbadać, czy te wymienione cztery powiaty [3] przeszły w latach 1890—1900 słabszy, czy żywszy ruch emigracyjny, od tamtych trzynastu [4].

---

[1] Por. Dr. Buzek: *Das Auswanderungsproblem etc.* str. 458.

[2] Por. Dr. Buzek: ib. str. 471.

[3] Analfabetów na 100 mieszkańców:

	1890		1900	
	męż.	kob.	męż.	kob.
Bohorodczany . .	92·04	96·99	82·48	90·18
Kosów	90·71	95·07	82·64	90·18
Nadwórna . . .	90·81	94·53	86·06	91·16
Turka	94·26	97·62	92·15	95·60

[4] Analfabetów na 100 mieszkańców:

	1890		1900	
	męż.	kob.	męż.	kob.
Dobromil	88·56	90·76	82·87	86·10
Borszczów . . .	89·74	94·28	79·19	86·58
Brzeżany	83·49	90·42	72·19	80·56
Czortków	80·79	90·34	65·33	78·43
Dolina	83·11	90·59	72·90	82·34
Horodenka . . .	87·69	93·71	80·59	88·64
Kołomyja. . . .	84·78	91·93	70·12	79·24
Lisko.	93·27	94·82	86·16	89·54
Podhajce	84·25	90·60	72·65	81·37

Największy ruch emigracyjny wykazuje z tych 4 powiatów Kosów (2.508)[1], najsłabszy Turka (799), pośrodku stoją Bohorodczany (1699) i Nadwórna (1229). Ten ruch jest stanowczo słabszy, niż w 13 innych powiatach, w których liczba analfabetów spadła w latach 1890—1900 poniżej 90% ludności, gdyż wśród tych ostatnich powiat borszczowski wykazuje ubytek skutkiem emigracyi w wysokości 12·355 (11·57%), Brzeżany 5·024 (5·78%), dwa powiaty przeszło 4000, trzy przeszło 3000, trzy przeszło 2000, dwa przeszło 1000, jeden poniżej 1000. Otóż z tych 13 powiatów aż 9 wykazuje wyższy ruch emigracyjny, niż powiat kosowski, zajmujący wśród owych czterech z analfabetami ponad 90% pierwsze miejsce, o ile chodzi o emigracyę. W przytoczonym wypadku ma się do czynienia ze zjawiskiem, że zmniejszanie się liczby analfabetów postępuje równolegle ze wzrostem emigracyi. Wchodzą tu jednak naturalnie w grę jeszcze inne czynniki, jak szkoła, z którymi się liczyć należy.

Pisząc już o tej kwestyi, nie można pominąć jeszcze i tej ważnej okoliczności, że — jak dr. Meinzingen wykazał z porównania odnośnych dat — w ostatniem dziesięcioleciu musiało z Galicyi wywędrować 108.949 Izraelitów, bo od r. 1890 do 1900 naturalny przyrost ludności izraelickiej w Galicyi wynosił 148.107 (po odjęciu od liczby żywo urodzonych 315.073 liczby zmarłych 166.966), który, dodany do cyfry izraelickiej ludności w Galicyi w r. 1890 w wysokości 772.213 osób, powinien był dać z dniem 31 grudnia 1900 r. liczbę 920.320, tymczasem spis ludności, przeprowadzony we wspomnianym dniu, wykazał w Galicyi tylko 811.371 Izraeli-

	1890		1900	
	męż.	kob.	męż.	kob.
Rawa Ruska . .	89·49	94·49	79·88	89·26
Stare Miasto . .	85·37	90·48	80·79	85·74
Tłumacz	84·70	90·54	70·71	81·12
Zaleszczyki . . .	87·21	92·79	79·82	87·21

[1] Podane tu cyfry przedstawiają ubytek ludności, otrzymany po odjęciu od liczby żywo urodzonych, liczby zmarłych w latach 1890—1900 i po zestawieniu go ze stanem ludności według spisu z r. 1890, jest to zatem wynik rachunkowego obliczenia na podstawie ostatniej konskrypcyi.

tów, a więc o 108·949 mniej [1], niż w porównaniu z naturalnym przyrostem być powinno. Jeżeli teraz weźmiemy pod uwagę, iż ludność Galicyi wykazuje według spisu z r. 1900 ubytek przez emigracyę w wysokości 302.703 osób, to widzimy, że ludność izraelicka stanowi z tej liczby prawie trzecią część. Ponieważ z doświadczenia wiadomo, że liczba analfabetów wśród ludności izraelickiej jest stosunkowo niewielka, możemy na pewno z tych 108.949 Izraelitów, którzy w ostatniem dziesięcioleciu opuścili Galicyę, liczyć połowę, a nawet $^2/_3$, t. zn. 55 do 70 tysięcy, za alfabetów.

O ile rozchodzi się o wpływ wyższej lub niższej oświaty emigrantów na sam problem emigracyi i jego rozwiązanie, to należy zwrócić uwagę na bardzo doniosły moment kulturalny i narodowy, tkwiący w emigracyi. Mam na myśli o ś w i a t ę i utrzymanie przez to p o c z u c i a n a r o d o w e g o u tych naszych emigrantów, którzy w krajach zamorskich na stałe osiedli. Na ten bardzo ważny moment nie zwracano u nas dotąd takiej uwagi, na jakąby zasługiwał; szliśmy tutaj widocznie aż zbytnio śladem centralnego rządu, który zachowywał wobec ruchu emigracyjnego aż do ostatnich czasów bierne stanowisko. W państwach o charakterze wybitnie narodowym rządy dbają z wielką pieczołowitością o kulturę i poczucie narodowe swoich emigrantów w dalekich krajach, a na czele kroczą bez wątpienia Włochy i Niemcy. Pierwsze z nich, obok szkół ludowych, uzyskały nawet w argentyńskich liceach włoskie paralelki. Co się tyczy Niemiec, to wybitnie charakteryzuje ich stanowisko w poruszonej kwestyi oświadczenie, złożone imieniem rządu przez usta podsekretarza stanu, br. Richthofena, na posiedzeniu sejmu Rzeszy d. 6 marca 1901 r., że Niemcy brazylijscy mogą pod względem popierania szkół niemieckich w Brazylii liczyć najzupełniej na to, że rząd niemiecki poprze każde ich usiłowanie w tym kierunku. Nadto w *Gazecie handlowej i geograficznej* z 28 lutego 1902 r., R. VIII z. 2, w dziale p. t. »Emigracya i kolonizacya« znajdujemy cie-

[1] Podobne wyniki p. także dr. Buzek: *Das Auswanderungsproblem etc.* str. 469.

kawe pod tym względem szczegóły. Czytamy tam, że »*Schulverein* utrzymuje obecnie około 40 szkół niemieckich w Brazylii« i że »cesarz Wilhelm II corocznie przesyła szkole kurytybskiej tysiąc marek ze swej prywatnej szkatuły«.

Jeżeli teraz spytamy, czy także i my możemy liczyć na podobną pomoc ze strony centralnego rządu dla naszych emigrantów, to odpowiedź na to pytanie wypadnie raczej przecząco. W sprawie wydatnej bezpośredniej pomocy na polu oświaty narodowej naszych emigrantów rząd centralny zachowa się według wszelkiego prawdopodobieństwa także i w przyszłości z rezerwą i to nawet wtedy, gdyby emigracyę wogóle uchwycił w swe ręce. Podobnej wstrzemięźliwości ze strony rządu można się spodziewać z powodu roznamiętnienia się w Austryi waśni na tle narodowem, wobec których rząd mógłby się obawiać dorzucenia nowego paliwa do ognia, który nie gardzi żadną sposobnością, by buchnąć jasnym płomieniem.

Jednak państwo mogłoby przyjść z pomocą pośrednią, a to w następujący sposób: Nasi emigranci porzucają lub tracą obywatelstwo austryackie na rzecz poddaństwa tego kraju, do którego wyemigrowali, częściej, niżby to można było przypuszczać. Dzieje się to już to pod wpływem obcego, już też wskutek austryackiego ustawodawstwa. Do pierwszych należy zaliczyć przedewszystkiem Brazylię, której konstytucya z 24 lutego 1891 stanowi w art. 69, że obywatelami brazylijskimi są: 1) wszyscy urodzeni w Brazylii, a to nawet ci, których ojciec jest obcokrajowcem, jeżeli nie pozostaje w służbie swego rządu; 2) ci wszyscy, którzy w dniu 15 listopada 1889 r. znajdują się w Brazylii i w ciągu sześciu miesięcy licząc od dnia, w którym niniejsza ustawa zacznie obowiązywać, nie złożą wyraźnej deklaracyi, że chcą zatrzymać dotychczasowe obywatelstwo; 3) ci obcokrajowcy, którzy w Brazylii mieszkają i tam posiadają nieruchomości albo są ożenieni z Brazyliankami lub wreszcie mają synów, urodzonych w Brazylii, o ile nie oświadczą wyraźnie, że nie chcą zmieniać swego dotychczasowego poddaństwa [1]. Rząd brazylijski

[1] Por. dr. Buzek: *Das Auswanderungsproblem etc.* str. 501 i 502 uw. tudzież *Gazeta h. i g.* z 30 sierpnia 1902, r. VIII, nr. 7 i 8.

czuwa nad tem, by — o ile się da — powyższe przepisy, jedyne w swoim rodzaju, były z całą ścisłością przeprowadzane w praktyce, co mu się tem łatwiej udaje, o ile obcy immigrant nie wie nic o obowiązku złożenia odnośnej deklaracyi, a równocześnie niema nikogo, ktoby go o tem pouczył. Rząd brazylijski ustępuje w ścisłem wykonywaniu powyższych przepisów chyba tylko przed energiczną interwencyą władz dyplomatycznych odnośnego państwa, jak to stwierdza włoskie ministerstwo spraw zewnętrznych [1].

Klasycznym przykładem czuwania nad prawem obywatelstwa swoich poddanych w dalekich krajach są Niemcy. Pomijając już dawniejsze układy, jak np. t. zw. *Bancroftverträge*, zawarte między Związkiem północno-niemieckim (22 lutego 1868 *R. G. Bl. S.* 228), tudzież państwami południowo-niemieckiemi, a Stanami Zjednoczonymi północnej Ameryki, lub układ między cesarstwem niemieckiem a Costa Rica z 18 maja 1875, wymienić tutaj należy układ cesarstwa niemieckiego z Nicaraguą z 4 lutego 1896 (*R. G. Bl.* 1897 S. 171), oraz z państwem Honduras z 12 grudnia 1887 (*R. G. Bl.* 1888 S. 262), z których ten ostatni wyraźnie stanowi, że ślubne dzieci niemieckiego poddanego, urodzone w Honduras, zatrzymają obywatelstwo ojca, pełnoletni jednak synowie muszą wykazać, że odbyli służbę wojskową w Niemczech, inaczej będą uważani za obywateli Honduras i podpadną wypływającym stąd obowiązkom, jako też i prawom. (To samo na odwrót odnosi się także do ślubnych dzieci poddanych Honduras, urodzonych w Niemczech) [2].

Należałoby sobie życzyć, aby również rząd austryacki zwrócił większą uwagę na swych obywateli w krajach zamorskich i aby z jednej strony polecił swym dyplomatycznym zastępcom w odpowiedni sposób pouczać naszych wychodźców o formalnościach, wymaganych przez miejscowe ustawy, a z drugiej przystąpił

---

[1] *Emigrazione e Colonie*, Roma 1893, por. o tem dr. Buzek: *Das Auswanderungsproblem etc.* str. 502 uwaga.

[2] Bliżej o tych umowach u d-ra Liszta: *Das Völkerrecht.* Berlin 1904, str. 101—103.

możliwie najszybciej do reformy obowiązujących dziś w Austryi przepisów o utracie prawa obywatelstwa [1].

Do poruszonej wyżej przyczyny dołącza się inna, równie poważna, a tkwiąca już w ustawodawstwie austryackiem — jest nią mianowicie ustawa i przepisy wojskowe. Te drobne ułatwienia, jakie przyznaje emigrantom § 108 I cz. przepisów wojskowych *(Wehrvorschriften)*, tudzież § 64 ust. z 11 kwietnia 1889 Dz. u. p. 41 w związku z § 26 ust. z 13 maja 1869 Dz. u. p. l. 68, są tak nic nieznaczące, że ciężar służby wojskowej skłania często naszych emigrantów do możliwie najszybszego porzucania austryackiego obywatelstwa i przyjmowania obcego [2]. Zrozumiały to już dawno inne państwa, jak Włochy lub Niemcy, w których przecie sprężystość w kwestyach służby wojskowej, graniczącą nieraz z bezwzględnością, stała się przysłowiową. W obu wspomnianych państwach wprowadzono naprawdę ułatwienia ze względu na służbę wojskową [3]. Gdyby zatem rząd wystąpił z należytą energią i inicyatywą w obronie obywatelstwa swoich poddanych na emigracyi, przyszedłby o tyle z pośrednią pomocą ich interesom narodowo-kulturalnym, że ułatwiłby w ten sposób możliwie najdłuższe utrzymanie choćby tylko formalnych węzłów z tem państwem, w granicach którego leży ściślejsza ojczyzna tych ludzi. Jednak, niestety, projekt rządowy ustawy emigracyjnej przedłożony Radzie państwa, nie zawiera we wskazanych kierunkach żadnych postanowień. W motywach czytamy nawet, że *an die individuelle Freiheit der Auswanderung rührt der Entwurf grundsätzlich nicht*, a następstwem tego jest utrzymanie w pełnej mocy odnośnych przepisów dotychczasowych ustaw, między któremi motywa wymieniają wyraźnie przepisy wojskowe *(Wehrvorschriften)* [4].

Z tego zatem wynika, że bezpośrednia pomoc kultu-

---

[1] § 32 kod. cyw., patent ces. z 24 marca 1832, Zb. u. s. 2557, tudzież por. art. IV. ust. zas. z 21 grudnia 1867, l. 142 Dz. u. p. — Cz. dr. Buzek: *Das Auswanderungsproblem etc.* str. 582.

[2] Dr. Buzek: *Das Auswanderungsproblem etc.* str. 582 i 593.

[3] Ibd. str. 582, 592 i 593.

[4] 2097 *der Beilagen zu den stenogr. Protokollen des Abgeordnetenhauses*, XVII Session 1904, str. 26 w ustępie p. t. *Allgemeines.*

ralna dla naszych emigrantów musi się ograniczyć do własnych sił samych emigrantów, jako też kraju, z którego wyszli i stąd należałoby tutaj rozróżnić akcyę na emigracyi i akcyę w samym kraju. Ta ostatnia nie może i nie będzie mogła się równać z działalnością, podejmowaną przez organa rządowe jakiegokolwiek państwa, bo te ostatnie mają do swego rozporządzenia cały szereg dyplomatycznych przedstawień i interwencyi, mają za sobą siłę, strzegącą powagi państwa i jego obywateli. My zaś w kraju możemy zakładać towarzystwa na wzór Tow. św. Rafała we Lwowie, możemy organizować biura pośrednictwa pracy, możemy wspomagać prywatnie polskie czytelnie, dzienniki i szkoły na emigracyi, ale nie rozporządzamy środkami, któreby nam umożliwiły wobec obcego rządu taką akcyę, na jaką stać Rzeszę niemiecką, czy rząd Zjednoczonych Włoch. Jeżeli zaś uwzględnimy, że główną tarczą ochronną dla narodowości naszych emigrantów jest choćby tylko najelementarniejsza oświata i rozbudzone przez nią poczucie narodowe, to przyjdziemy do przekonania, że zadanie naszej szkoły ludowej w kraju obecnie się zwiększyło i spotęgowało. Przez zwalczanie analfabetyzmu ma ona nie tylko podnieść poziom ogólnej oświaty w kraju, lecz nadto ma ona wystąpić w rozbudzonym dziś ruchu emigracyjnym, jako pierwiastek bardzo ważny i doniosły; jej przypada w udziale przysporzyć temu ruchowi silnych i zdrowych podstaw. Nasz emigrant galicyjski, dźwignięty z nieświadomości kulturalnej, będzie mógł w dalekich krajach łatwiej wystąpić do współzawodnictwa z napływającym skądinąd robotnikiem, by nie iść, jak się to dziś przeważnie dzieje, w szeregi najpośledniejszego materyału[1]. Nasz emigrant z obudzonem przywiązaniem do rodzinnego kraju tem więcej i tem częściej będzie z tęsknotą oczekiwał chwili, w której z zaoszczędzonym groszem będzie mógł wrócić do ojczyzny i tam osiąść na kawałku ziemi. Wreszcie pokolenie, oświecone i uświadomione, będzie się tem silniej i tem lepiej bronić przed wynarodowieniem, gdy mu wypadnie osiąść na stałe wśród obcych; będzie ono zarazem zdolne wnieść pośród tych, którzy

[1] Dr. Buzek: *Das Auswanderungsproblem etc.* str. 471.

już zapominać poczęli o kraju rodzinnym, nowego ducha, krzepiąc i umacniając w przywiązaniu do ojczystej ziemi. Wielkie i doniosłe zadania czekają naszą szkołę ludową w najbliższej przyszłości! Ona ma być jednym z najdonioślejszych moralnych czynników w akcyi kraju około ruchu emigracyjnego, ona ma być walną pomocą w utrzymaniu związku i łączności emigracyi z metropolią.

A ta łączność[1] wymaga ratunku i pomocy i tu znów wysuwa się na plan pierwszy polska szkoła w centrach naszych emigrantów. Widzieliśmy już, jak niektóre państwa europejskie doskonale zrozumiały znaczenie szkół narodowych w siedzibach swoich wychodźców. A że położenie naszych emigrantów pod tym względem nie przedstawia się różowo, to stwierdza dobitnie urzędnik konsularny w Rio de Janeiro, p. Struszkiewicz, w sprawozdaniu, przesłanem w r. 1900 c. i k. ministerstwu spraw zagranicznych, w słowach: »*Die Bildung der Colonisten ist höhst vernachlässigt*«[2]. Jeszcze znamienniejszym jest list O. Wilhelma Kulawego z Winnipeg de dato 21 lipca 1899, załączony do sprawozdania austryacko-węgierskiego konsula z Montreal-Canada, p. Pohla, z 6 września 1899 Nr. 847|99, w którym pisze: »*Es besteht bis heute noch keine Schule für Galizier in ihren Mitten. Von englischen religionslosen Schulen will das Volk nichts hören. Demnach verlangen die Galizier allgemein eigene Schulen mit katholischen Lehrern, die auch ihrer Sprache mächtig seien*«.

W południowej Ameryce grozi naszym emigrantom z powodów kulturalnych jeszcze inne niebezpieczeństwo obok zniknięcia w tamtejszych miejscowych żywiołach, a jest

---

[1] Por. »Sprawozdanie krakowskiej Izby handlowej i przemysłowej za rok 1902, str. 270.

[2] W alegatach do Sprawozdania Departamentu VI Wydziału krajowego od 16 września 1899 do 15 września 1900 pismo, przesłane Wydziałowi kraj. przez c. k. Namiestnictwo we Lwowie z 7 lipca 1900, l. 7187/pr.

Informacye o bieżącym ruchu emigracyjnym z Austro-Węgier można znaleźć w sprawozdaniach c. i k. konsulatów w wydawnictwie c. k. austr. *Handels-Museum*, p. t. *Berichte der k. u. k. österr.-ung. Konsularämter* (pod redakcyą R. v. Roesslera, druk Christoph Reiners Söhne, Wien v).

nim emigracya niemiecka. Wiemy, z jaką energią niemiecki rząd z całem społeczeństwem czuwa nad niemieckością swoich emigrantów, wiemy, jaką opieką otacza tamtejsze szkoły niemieckie, to też nie dziw, że przewyższają one swą organizacyą i wartością naukową te nieliczne polskie szkółki, które powstały tu i ówdzie dzięki inicyatywie energiczniejszych jednostek. Chromają one wszystkie na jeden bardzo ważny brak: Nie mają należycie przygotowanych sił nauczycielskich! Skutek zaś jest taki, że wiele rodziców woli posyłać swe dzieci do szkoły niemieckiej, jeżeli taka jest na miejscu, woli nawet, aniżeli do szkół rządowych, bo te zazwyczaj także nie celują doskonałością. Ten smutny stan rzeczy stwierdza między innymi p. Leon Bielecki w »Listach z Brazylii«, drukowanych w roku 1900 w *Gazecie Polskiej*. Opowiada on, że w Kurytybie istniały dwie szkoły polskie, do jednej chodziło wszystkiego 40, a do drugiej 20 dzieci, a kiedy już za jego bytności powstała tam trzecia szkoła, zapisało się do niej tylko dziesięcioro dzieci [1]. Przyczyną tego był — jak to już mówiliśmy — brak kwalifikowanych polskich sił nauczycielskich. »Wielokrotnie zapytywałem — pisze p. Bielecki — i rodziców i dzieci, biegnące z książkami nie w kierunku szkoły polskiej, a słyszałem odpowiedź: »Do niemieckiej, bo w naszej mało uczą« [2]. Ten sam autor wypowiada w innem miejscu [3] o polskiem szkolnictwie w Paranie taki sąd: »Z jakiegokolwiek punktu widzenia zechcemy rozpatrywać stosunki wychodźców naszych w Paranie, zawsze dojdziemy do wniosku, że szkolnictwo jest tych stosunków stroną najsłabszą«.

Widzieliśmy tu zatem opinie, pochodzące z trzech różnych źródeł, a wszystkie przecie zgodne w swych ostatecznych wynikach, że stan kulturalny naszych emigrantów w południowej Ameryce jest narażony na poważne niebezpieczeństwo. Należy jednak przy tej sposobności stwierdzić i z pewnem zadowoleniem podnieść, że w ostatnich czasach daje się spostrzedz na tem polu pewna dodatnia akcya. I tak np czytamy w *Gazecie handlowej*

[1] *Gazeta Polska* z 1900, nr. 46 i 126.
[2] Ibd. nr. 126.
[3] Ibd. nr. 125.

i geograficznej z 28 lutego 1902, że w Kurytybie zawiązało się »Towarzystwo szkoły polskiej« celem szerzenia oświaty w duchu narodowym w koloniach polskich w Brazylii. Znowu w Kanadzie, dzięki staraniom arcybiskupa z St. Boniface, dwaj Ślązacy, władający polskim językiem, OO. Wojciech i Wilhelm[1] Kulawy, założyli w Winnipeg szkołę dla polskich dzieci i mieli w roku 1901/2 125 uczniów[2].

Drugim ważnym czynnikiem obok szkoły są polskie k s i ą ż k i i d z i e n n i k i. I co ciekawe, to objaw, dostrzeżony przez p. Bieleckiego w Brazylii, że inteligentniejsi emigranci czują większą potrzebę ściślejszej łączności z ojczyzną za pośrednictwem dzienników, sprowadzonych z rodzinnego kraju. I tak największą ilość gazet spotkać można wśród kolonistów z Prus, drugie miejsce zajmują osadnicy z Galicyi, najbiedniej pod tym względem przedstawia się Królestwo Polskie[3]. Doniosłe znaczenie mogą mieć pod tym względem rozumne dzienniki polskie, założone w większych centrach życia naszych emigrantów. W Stanach Zjednoczonych wychodzą tego rodzaju dzienniki już od szeregu lat, natomiast w południowej Ameryce zbudziła się pod tym względem pierwsza Brazylia. Do wydawanej już *Gazety Polskiej w Brazylii*, przybyła w roku 1900 w Kurytybie *Prawda*, pod redakcyę pana I. Okołowicza[4].

Jak wielką rolę w tych ważnych zagadnieniach musi odegrać oświata, już w kraju nabyta i na niej oparta świadomość narodowa — zbyteczna chyba dowodzić. Nowe zastępy emigrantów, któreby przybywały z kraju z pewnym zasobem rozumnej kultury, stanowiłyby znakomitą pomoc w szczęśliwem rozwiązaniu kwestyi emigracyjnej. Kulturniejsze żywioły, jeśli osiędą na stałe za morzem, zdołają łatwiej i świadomiej bronić swej odrębności narodowej, będą wybitnym przykładem dla osiadłych tam już oddawna współplemieńców, potrafią celowo i z większem

---

[1] Wyżej umieszczono list O. Wilhelma Kulawego do austr.-węgiersk. konsulatu w Montreal-Canada.

[2] *Gazeta h. i g.* z 30 kwietnia 1902, r. VIII, nr. 4.

[3] *Gazeta Polska* z 1900, nr. 135.

[4] *Gazeta h. i g.* z 31 stycznia 1901.

zrozumieniem popierać na obczyźnie polskie szkoły, czytelnie, dzienniki, uważając je za placówki obronne przed obcym żywiołem. Jeżeliby zaś takie kulturniejsze żywioły po jakimś czasie wróciły do ojczystej ziemi, to będą zdolne wnieść do swej wsi czy powiatu niejedną myśl dobrą i niejedno drogocenne doświadczenie, zdobyte w dalekich krajach.

I tu zbliżamy się do innego rodzaju emigracyi, którego celem nie są odległe zamorskie krainy, lecz bliższe lub dalsze państwa europejskiego kontynentu. Mam na myśli t. zw. emigracyę »na Saksy«[1]. Że nie obywa się tu bez nadużyć, że nieraz i siła moralna wychodźców wystawiona jest na silną próbę — o tem wiemy wszyscy, bośmy słyszeli i czytali wiele już o tem lamentów i narzekań, lecz na odwrotną stronę medalu mało kto dotychczas chciał zwrócić uwagę. Zrobili to przedewszystkiem dr. Franciszek Bujak[2] i prof. dr. Buzek[3]. Wolno bowiem przypuścić, że czasowa emigracya może w niejednym wypadku wpłynąć dodatnio na podniesienie kultury[4] i na zmianę nieoświeconych zapatrywań na zadanie szkoły, a to dzięki zetknięciu się powracających wychodźców z szerszym światem i — co może jeszcze ważniejsza — dzięki temu, że taki wracający »ze Saksów« emigrant, »*das grosse Kind*« — jak się wyraża p. Rinner z Wrocławia[5] — doświadczył niejednokrotnie, może aż zbyt dotkliwie na sobie, że brak choćby elementarnej oświaty robi człowieka bezsilną igraszką wyrafinowanych oszustw i wyzysku. Prof. dr. Buzek podnosi ten fakt w dobitnych słowach: »*Von besonderer Wichtigkeit ist, dass die Westwanderung, wie oben geschildert, aus »grossen Kindern« denkfähige, selbständige Männer macht, dass sie ferner die Auswanderer an intensive Arbeit gewöhnt*[6]. *Die Auswanderer verbessern ihren »standart of life«, kleiden*

[1] Por. referat Dra Artura Benisa w Sprawozdaniach krakowskiej Izby handlowej i przemysłowej na r. 1900, rozszerzony w sprawozdaniu za r. 1902.

[2] »Maszkienice, wieś powiatu brzeskiego«, wyd. Akad. Umiejętności. Kraków 1901.

[3] *Das Auswanderungsproblem etc.*

[4] Ibd. (ad 3) str. 499.

[5] Ibd. str. 488.

[6] Ibd. str. 499.

sich besser, wohnen bequemer, kommen für die Volkswirtschaft immer mehr, als die Consumenten, in Betracht« [1]. I właśnie w tym względzie byłoby rzeczą wskazaną zbieranie odnośnych dat, których brak daje się dziś każdemu czuć dotkliwie, kto się tą sprawą bliżej zajmuje. Podobne badanie nabiera znaczenia, jeżeli się zważy, jak wielka liczba ludzi śpieszy od nas corocznie »na Saksy«. Czy przyjmiemy obliczenie prezesa Biura pośrednictwa pracy we wrocławskiej Izbie rolniczej, p. W. Rinnera, podające galicyjskich emigrantów sezonowych do Niemiec tylko w jednym roku 1900 na 80—90.000 głów [2], czy też o wiele niższą cyfrę 40.000, podaną przez prof dr. Pilata [3], to w każdym razie będzie to liczba tak wysoka, że jej uczestnictwo we wspomnianym ruchu i powrót do kraju nie mogą pozostać bez znacznego wpływu.

Do Niemiec wędrówka »na Saksy« nie zamienia się na stałą wskutek całego szeregu środków, zastosowywanych w ostatnich czasach przez władze niemieckie, co ma ten dobry skutek, że te liczne żywioły wracają do kraju po oznaczonym terminie, a przecie jeszcze w r. 1890 dr. Karol Koerger podnosił z widocznem zadowoleniem w swem dziele »*Die Sachsengängerei*« [4], że emigracya »na Saksy« wywiera na ludność, pochodzącą z polskich okolic, stanowczy wpływ germanizacyjny.

Natomiast w Danii, dokąd czasowa wędrówka odbywa się mniej więcej od r. 1893, co rok zostaje około 30 osób na stałe, kiedy reszta wraca do kraju zwykle z dobrym zarobkiem [5]. Tą niewielką garstką polskich wychodźców zaopiekował się ks. Edward Ortvet, Duńczyk, który, nauczywszy się po polsku, założył w Mariebo na wyspie Laaland misyę polską i kościół pod wezwaniem św. Stanisława, przy którym istnieje polska szkoła dla dzieci i kobiet. Do misyi sprowadził ks. Ortvet polskie zakonnice [6].

---

[1] Ibd. str. 499.

[2] Dr. Buzek: *Das Auswanderungsproblem etc.* str. 483.

[3] »Wychodźtwo robotników rolnych za zarobkiem do Niemiec«. Lwów 1900.

[4] Wyd. w Berlinie, str. 190.

[5] Dr. Bujak: »Maszkienice i t. d.«

[6] Por. *Gazeta h. i g.* z 30 kwietnia 1902, r. VIII, nr. 4.

Jeżeli zatem pytać będziemy o to, w jakim stosunku pozostają do siebie oświata ludowa i emigracya, to stwierdzić nam wypadnie, że oddziaływują one na siebie wzajemnie. Z jednej strony emigracya nie pozostaje i nie może pozostać bez wpływu na szerszą oświatę, z drugiej zaś niższa lub wyższa oświata w samym kraju odegra w przyszłości niepoślednią rolę w rozwiązaniu problemu emigracyjnego. Na to zwrócić uwagę dziś, gdy ta kwestya wystąpiła na pierwszy plan socyalnych zagadnień naszego kraju, jest tem świętszym obowiązkiem, że bez gromadzenia co rychlej potrzebnych danych nie zdołamy postąpić naprzód we wskazanym kierunku z taką świadomością i energią, jakichby wymagała doniosłość sprawy.

Dr. Kaz. Wł. Kumaniecki.

BOSSUET I FENELON.

Na umocniony przez Richelieu'go tron francuski wstąpił Ludwik XIV. Ideałem jego panowania było utrzymanie tej zupełnej jedności państwowej, którą wywalczył swą genialnością i żelazną energią wielki kardynał-minister. O rozerwaniu jedności politycznej nie mogło być mowy, owszem, ona utwierdzała się coraz bardziej w miarę wzrastającego z dniem każdym powodzenia króla. Za jednością polityczną poszło i dążenie do jedności religijnej. Zwycięski katolicyzm, odrodzony duchem św. Franciszka Salezego, przestał być formą a stał się treścią życia i wydaje wielkiego apostoła miłości bliźniego, św. Wincentego à Paulo, który też przyczynił się ogromnie do ożywienia ducha gorliwości wśród duchowieństwa; pod jego to kierownictwem odprawia rekolekcye przed święceniami Bossuet.

Tę harmonię jedności psuł tylko protestantyzm, już osłabiony, nieliczny ale ostatecznie stanowiący żywioł obcy wśród ogółu katolickiego. Ludwik XIV więc, kontynuujący dzieło zaczęte przez Richelieu'go, odwołuje edykt nantejski i tem protestantyzm we Francyi znosi. Nie było to dzieło osobistej inicyatywy króla ani, jak chcą niektórzy historycy, podszeptów jezuickich, ale po prostu spełnienie woli całej niemal katolickiej Francyi, która już za Ludwika XIII była niechętna edyktowi nantejskiemu, a za jego następcy coraz wyraźniej i gwałtowniej do-

magała się jego zniesienia [1]. Dowodem tego i fakt, że zniesienie edyktu przyjęte zostało z uznaniem, a nawet entuzyazmem przez duchownych i świeckich, nie wyłączając Lafontaine'a, który z katolicyzmem miał dość mało wspólnego.

Inna kwestya, czy był to krok rozważny tak pod względem politycznym jak i w interesie Kościoła. Pomijając znane skutki ekonomiczne, należy zwrócić uwagę na doniosłe konsekwencye moralne: we Francyi wolno być odtąd tylko katolikiem. A jeśli nim kto być nie chciał? jeśli kto swego umysłu pod prawdę dogmatów Kościoła nagiąć nie umiał — co wtedy? Dotychczas znajdował w takim razie inną formę chrześcijaństwa, odmienną dogmatami, ale podobną zasadami moralnemi, w której on przestał być katolikiem, ale pozostał chrześcijaninem. Teraz, po zniesieniu protestantyzmu, ta forma pośrednia odpadła, i oto umysły, niechcące się pogodzić z katolicyzmem, popadają już nie w »herezyę«, ale w »wolnomyślność«, w zupełną negacyę wszelkiej prawdy objawionej [2]. I to jest jedną z głównych przyczyn, dla których po wielkim rozkwicie katolicyzmu w wieku XVII następuje już nie jakaś forma pośrednia, herezya, ale — wolteryanizm.

Nadto środki używane do stworzenia tej upragnionej jedności religijnej we Francyi były nie zawsze chrześcijańskie. Nie brakło poświęcenia, pracy rzeczywiście apostolskiej, w której przodował Bossuet, ale nie wszyscy tak rzecz pojmowali. Zwłaszcza, że Ludwik XIV sprawę traktował raczej z punktu widzenia politycznego, niż religijnego. Bo i czemżeż dla niego była religia; zaprzeczeniem jej było jego życie prywatne, a bodaj czy nie bardziej

[1] W r. 1635 Claude d'Angennes, biskup z Noyon, zwraca uwagę króla Ludwika XIII na niebezpieczeństwo mogące »ściągnąć gniew Boży« na Francyę, jakiem jest ta »wolność sumienia i pozwolenie każdemu wierzyć, w co mu się tylko podoba«.

[2] Odwołanie edyktu nantejskiego decyduje tedy o losach idei religijnych we Francyi. Prawda, że dzięki jemu odrodzenie religijne po rewolucyi jest tem samem odrodzeniem katolicyzmu, żadne inne wyznanie nie ma już głosu; ale też każdorazowy upadek katolicyzmu we Francyi pociąga za sobą panowanie zupełnego ateizmu, co zresztą jest i konsekwencyą charakteru narodu, lubującego się w ostatecznościach, tak jak w tymże charakterze należy upatrywać podstawną racyę psychologiczną edyktu Ludwika XIV.

jeszcze polityka zagraniczna, dla której gotów był poświęcić interesy chrześcijaństwa i cywilizacyi (Wiedeń 1683). Cóż więc dziwnego, że przed misyonarzem posyła dragonów dla ułatwienia mu dzieła, że przypomina czasem cesarzów rzymskich z pierwszych wieków, wtrącając gwałtem dzieci i osoby starsze do zakładów *Nouvelles catholiques*, by tam pod przymusem, nieraz barbarzyńskim, przechodziły na katolicyzm [1].

Smutniejszem jednak to, że większość narodu sekunduje tu królowi, który jest w tem dziele istotnie reprezentantem większości [2], jak tego dowodzi bogata literatura listowa tej epoki. Oczywiście rezultaty misyi na oko były olbrzymie.

W Rzymie jednakże (co pomija milczeniem Douen w swem dziele) patrzano się sceptycznie na te powodzenia misyonarzy. Papież Innocenty XI rzeczy nie pochwalał i gdy zaczęto posądzać go o inicyatywę czy współwinę w tym akcie gwałtu, papież kazał odpowiedzieć wcale niedwuznaczną broszurą, gdzie czytamy takie słowa, najwidoczniej pisane w imieniu Ojca świętego: »Przy-

---

[1] O. Douen (*Intolérance de Fénelon*. Paris 1875), wydobył z archiwów bileciki z kancelaryi królewskiej np. tej treści: »Król wie, że żona niejakiego Trouillon, aptekarza w Paryżu, która znajduje się obecnie przy księżnej de Bouillon, jest jedną z najupartszych hugenotek. A ponieważ jej nawrócenie mogłoby sprowadzić nawrócenie jej męża, przeto Jego Król. Mość chce, abyś pan kazał aresztować ją i zaprowadzić do *Nouvelles Catholiques*, stosownie do rozkazu, który panu posyłam« (str. 61). Inna (de Villete-Murçay), jako dziecko uprowadzona do Wersalu, nawrócona następnie, pisze o sobie: »Płakałam zrazu bardzo, ale nazajutrz msza królewska tak mi się wydała piękną, żem się zgodziła zostać katoliczką, pod warunkiem, bym tej mszy słuchała codzień i by mię uwolniono od rózgi; tej jednej kontrowersyi użyto i tę jedną abjuracyę uczyniłam«. Douen (protestant) zapomina dodać, że równocześnie protestanci w Hollandyi, a zwłaszcza w Genewie prześladowali katolików; w Genewie do bardzo niedawna nie wolno było nawet budować kościoła katolickiego.

[2] Naród francuski miał w sobie zawsze coś despotycznego, nietolerancyjnego; ten rys charakteru wynika z brania na seryo wszelkiej raz przyjętej idei, uznania tylko tej jednej za prawdziwą i stąd nieznoszenia innych. Zasada: »tolerancya to obojętność«, tkwiąca w charakterze narodu, uczyniła z Francyi kraj może najbardziej nietolerancyjny w Europie, jakim zresztą pozostała do dzisiaj — tylko role się zmieniły. »Combes to drugi Ludwik XIV«, powiada Faguet (*Anticléricalisme*. Paris, 1906), ważniejszem jednak, że Francya za Ludwika XIV jest tą samą, co za Combes'a.

łączenie wszystkich protestantów francuskich do Kościoła katolickiego jest bez wątpienia dziełem, któreby królowi było zjednało sławę nieśmiertelną, gdyby tego dzieła nie był zbezcześcił sposób, w jaki podjęto się jego urzeczywistnienia. Papież byłby nie omieszkał uznać nie tylko słowami ale i czynem i nowemi łaskami tej wielkiej usługi, jakąby Jego Król. Mość był oddał Kościołowi rzymskiemu. Ale papież, Kościół i jego najwięksi słudzy wiedzą, że rozmnożenie ludu nie zawsze bywa wzmożeniem radości według słów: *Multiplicasti gentem, sed non magnificasti laetitiam.* Mają oni za wiele rozsądku, by widzieć wielką przyczynę radości w zewnętrznem i pozornem nawróceniu blizko dwu milionów osób, które po większej części przeszły na łono Kościoła katolickiego na to, by go zbezcześcić nieskończoną liczbą świętokradztw« [1].

Ostatecznie jednak jedność religijna została zdobyta. Francya była katolicką. Wprawdzie tam gdzieś na dnie nurtuje pomruk negacyi; Fontenelle z uśmiechem wykwintnego sceptyka opowiada, jakto starożytni Grecy wierzyli w Wyrocznie, które były machinacyą zręcznych kapłanów, ale wraz z wyższą kulturą umysłową wiara w takie bajki musiała sama z siebie runąć; Piotr Bayle w swoim »Dykcyonarzu» nie atakuje wprawdzie wiary, ale milczy o Sokratesie, Platonie, Pascalu, natomiast dziwnie lubi się rozwodzić nad Epikurem, Anaksagorasem, Lukrecyuszem i nasuwa mimowoli czytelnikowi myśl, że najwięksi myśliciele ludzkości nie wierzyli w Boga; obok tych dwóch byli inni *libertins*, ale nie było ich słychać wobec potężnego głosu kaznodziei, apologetów, a nawet filozofów, którzy, acz swoim systemem przygotowują broń wiekowi XVIII, sami jednak jak w życiu są gorliwymi katolikami, tak i w dziełach mniemają bronić wiary i tak też są, z małymi wyjątkami, rozumiani przez współczesnych [2].

---

[1] *Réflexion sur le plaidoyer de M. Talon*, 1688, cytowane w dziele p. t.: *Recherches historiques sur l'Assemblée du clergé de France de 1682* par Charles Gérin, II wyd. Paris 1870, str. 360—361. Le Gendre w »Pamiętnikach« swych potwierdza, że »Innocenty XI nie pochwala ani motywów ani środków tych nawróceń masowych, z których żadne nie jest dobrowolne«. (*Mémoires*, str. 67).

[2] Descartes jest szczerze wierzącym katolikiem i to bardzo pobożnym, odbywa pielgrzymkę do Loretto i t. p. Malebranche był kapłanem Oratorya-

Ale ta niezwykła kultura umysłowa Francyi wieku XVII, której równa bodaj czy powtórzy się w wieku XIX, musiała z natury rzeczy wykształcić, pogłębić sztukę myślenia, — a że przedmiotem obserwacyi nie mogło być państwo i jego sprawy, bo myśl o tem zmonopolizował sobie król i tem samem uniemożliwił rozwinięcie się literatury politycznej tak bogatej w Polsce, — przeto cała energia obserwacyi i myślenia skierowała się do wnętrza duszy ludzkiej i stąd powstało to studyum duszy, którego pełne są arcydzieła tej epoki w prozie i poezyi. Za tem poszła ta wielka indywidualizacya jednostek, która rozwinie się na dobre później a tymczasem przybiera w zakresie religii katolickiej, powszechnie uznanej, formy rozliczne, niby do siebie podobne; bo na wspólnym gruncie, a jednak jakże nieraz oddalone jedna od drugiej! Jakaż przepaść np. między jansenizmem a kwietyzmem, choć obie doktryny uważali ich wyznawcy za katolickie, a chociaż je Kościół potępił, to niemniej ich ślady pozostaną jako wybitne piętna na niejednym z pośród najgorliwszych obrońców wiary, a nietrudno je dostrzedz i w poezyi, dowodem Polyeucte, Athalie. Trafnie bowiem powiedział Faguet, że »sposób pojmowania religii, to sama istota autora XVII wieku«, a »jansenizm czy kwietyzm tego lub owego nie był niczem innem, jak tem, czem dla nas jest pessymizm, optymizm albo sceptycyzm, to znaczy jego filozofią wewnętrzną« (*Dix-septième siècle. Etudes littéraires.* Paris 1903, 446—7).

I pod tym względem także wiek XVII nadał Francyi piętno niezatarte, a tak wyróżniające ten naród z pośród wszystkich innych; jest niem to stawianie kwestyi religijno-filozoficznych, na pierwszem miejscu. »Jesteśmy wszyscy trochę teologami«, powiedział Brunetière *(Discours de Combat)* i rzeczywiście potwier-

---

ninem i słynął ze swej skromności i życia umartwionego. Corneille tłumaczy wierszem dziełko »O naśladowaniu Chrystusa«. Racine przez ostatnie dwadzieścia lat życia buduje wszystkich swą pobożnością. Nawet Lafontaine, znany z lekkich obyczajów, po ciężkiej chorobie w r. 1693 publicznie w Akademii daje wyraz żalowi swemu z powodu zgorszenia rozsiewanego w swych pismach, przyrzeka poprawę i istotnie ostatnie dwa lata życia poświęca przerabianiu na wiersz francuski pieśni kościelnych.

dzają to w zupełności imiona takie jak Pascal, Chateaubriand, Montalembert, Brunetière z jednej, a Fontenelle, Voltaire, Renan, Anatole France z drugiej strony, a nadewszystko ich wielki wpływ i znaczenie. Dzieje zaś Francyi uczą, że kwestya religijna w tym kraju należy do najgłówniejszych sprężyn dziejowych, że bez niej nie mielibyśmy najważniejszych przewrotów politycznych wieku XVIII, XIX aż do chwili obecnej.

To też studyum nad rozwojem idei religijnych we Francyi, jest ściśle złączone z literaturą i historyą tego narodu. Koniec wieku XVII zaś jest pod tym względem niezmiernie ważną epoką, gdzie ważą się losy idei religijnych i politycznych. A jedne i drugie najwybitniejszych swoich reprezentantów znajdują w dwóch filarach Kościoła katolickiego, Bossuecie i Fenelonie.

Grunt zasad niby ten sam i przyjaźń osobista łączy ich długie lata, a jednak ostatecznie stają naprzeciw siebie do walki — walka prałatów się skończy w dwóch latach, — potem cisza — ale po śmierci walka pomiędzy ideami Bossueta a nie ideami Fenelona, ale prostemi ich konsekwencyami zapali się na dobre i nie ustanie tak prędko...

Studyum nad temi dwiema postaciami ma swoją historyę, związaną z dziejami idei religijnych i politycznych we Francyi. Wiek XVIII nie sympatyzował z Bossuetem, którego dzieł zresztą nie czytał jako zbyt katolickich. Voltaire nienawidzi go jak wroga osobistego, głosi bajkę o jego mniemanem małżeństwie, o jego zazdrości względem Fenelona i t. p. Za nim poszli inni encyklopedyści, z wyjątkiem d'Alembert'a, który w Akademii wygłasza jego pochwałę, gdzie zaprzecza bajce Voltaire'a i wielkiego kaznodziei nie waha się za La Bruyère'm nazwać »ojcem Kościoła«. W r. 1761 dopiero ukazuje się pierwsza monografia Bossueta (autorem Levesque de Burigny). La Harpe uważał Bossueta za »miernego w kazaniach«. Nawet odrodzenie katolicyzmu po rewolucyi nie od razu zrehabilitowało wielkiego biskupa, którego gallikanizm tak oburza katolickich uczonych, że bodaj czy od Encyklopedystów tyle gromów nań spadło, jak od Józefa de Maistre'a *(De l'Eglise gallicane. Du Pape)*. Odtąd biedny Bossuet mię-

dzy dwoma ogniami jest przedmiotem napaści od Scherera, Renana i t. p. z jednej, a pisarzami katolickimi (X. Réaume), a zwłaszcza z historykami Kościoła z drugiej strony. Wyjątek stanowi monografia kardynała Bausset'a (*Histoire de Bossuet* 1814, 4 tomy), pełna przedtem nieznanych dokumentów, ale zanadto bezkrytyczna, by mogła ratować sławę kaznodziei. Ale powoli dokonuje się przewrót w sądach o Bossuecie; namiętności partyjne stygną, czytelnicy Bossueta zaczynają się przekonywać, że prócz gallikanizmu jest tam jeszcze coś, czego nie było w literaturze religijnej Francyi a może i Europy; budzi się entuzyazm, nie potwierdzony jeszcze wybitnemi dziełami krytycznemi, ale faktyczny, skoro Sainte-Beuve w r. 1854 *(Causeries du Lundi)* nie waha się powiedzieć, że »sława Bossueta stała się jedną z religii Francyi« i dalej: »jest to przywilejem prawdziwej wielkości, że w miarę oddalenia coraz wyraźniej się zarysowuje«, a jako szczególną właściwość tej sławy Bossueta wskazuje, że »staje się on coraz większym dla nas, jakkolwiek mu się nie zawsze przyznaje słuszność«. Wprawdzie ten sam Sainte-Beuve w kilka lat potem przyćmiewa obraz, który sam rozjaśnił — zdaje się pod wpływem Renana — ale studya nad Bossuetem na tem nie cierpią. Owszem Nisard w swej historyi literatury francuskiej, staje zupełnie po stronie Bossueta i ma odwagę (nie wiem czy nie pierwszy we Francyi) obalić dotychczasowy sąd o Fenelonie. Bo jeżeli Bossuet nie miał szczęścia u potomności to Fenelon miał go więcej, niżby sam był tego pragnął. Jego poddanie się wyrokowi Rzymu przeszło w Kościele w pobożną legendę, budującą do dziś historyków Kościoła, a obrona dogmatu Nieomylności papieskiej, podniosła jeszcze bardziej jego znaczenie. I nie tylko to, ale w świecie encyklopedystów i wogóle niewierzących otoczono Fenelona aureolą, jakiej Bossuet do dziś jeszcze nie ma w Kościele; chwalono jego postępowe idee polityczne, tolerancyę, zwiastunem rewolucyi go zrobiono, a Józef Chénier w swym dramacie p. t. *Fénelon ou les religieuses de Cambrai*, przedstawia biskupa, jak ten uwalnia z klasztoru gwałtem tam wtrąconą dziewczynę i wygłasza deklamacye godne Woltera i wieku XVIII. To uwielbienie dla Fenelona w dwóch wręcz przeciwnych obozach

(i z zupełnie przeciwnych racyi) zaczęło słabnąć dopiero w połowie wieku XIX, w chwili, gdy Nisard naukowo uzasadnia wielkość Bossueta, a obniża autora »Telemacha«. Odtąd też zaczynają się mnożyć studya krytyczne, pochlebne dla pierwszego a mniej przychylne drugiemu biskupowi, aż ostateczny cios »legendzie Fenelonowej« zadają jego »Listy niewydane«, które ukazują się w r. 1874 i dają całkiem odmienny obraz rzeczy od dotychczasowego, a jakkolwiek jeszcze raz po raz występują wielbiciele Fenelona w jego obronie, to jednak świat naukowy tak wśród duchownych jak świeckich coraz mniej sympatyi mu okazuje, a coraz bardziej wynosi Bossueta, darowując mu nawet z przesadną pobłażliwością jego gallikanizm, nawet pochwalając go za wystąpienie w r. 1682. Pojawiają się dzieła gruntowne jedno po drugiem, wykazujące wartość estetyczną, naukową, filozoficzną i ściśle teologiczną dzieł największego kaznodziei francuskiego. Wydania jego dzieł, popularne i krytyczne, się mnożą. W wykładach uniwersyteckich coraz więcej zajmują się profesorowie wierzący i niewierzący tą wielką postacią; a Brunetière z odczytami o Bossuecie jeździ po całej Francyi, budząc tem imieniem uśpione uczucia religijne słuchaczy, sam się przyznaje, że wiele się nauczył »w szkole Bossueta«, — wiadomo, że jeden z tych odczytów miał w Watykanie wobec kollegium kardynałów, a nie trudno się domyślić, ile dzieła wielkiego kaznodziei XVII wieku przyczyniły się do nawrócenia na katolicyzm największego krytyka XIX w. Po samych »Listach Fenelona« najważniejszym momentem dla studyum nad dwoma biskupami było dzieło dwutomowe Cronslé'go p. t. *Fénelon et Bossuet* (Paris 1894—95), oparte na wszelkich wydanych i niewydanych dokumentach, którychto ostatnich udzieliło mu seminaryum św. Sulpicyusza, najbogatsze w tej materyi, i ministeryum spraw zagranicznych. Rzecz to najobszerniejsza i najgruntowniejsza z dotąd w tej materyi wydanych, przyjęta z uznaniem przez krytykę duchowną (ks. Delmont, kardynał Bourret i i.) jak i świecką (Faguet i i.). Oczywiście spór o Bossueta i Fenelona nie ukończony i nie prędko nim będzie. Fenelon bowiem jak za życia tak i po śmierci ma sobie oddanych przy-

jaciół i obrońców, którzy nie pozwalają zaczepić w niczem »legendy Fenelonowej«.

Najważniejsze dzieła w obronie Fenelona są: ks. Verlaque: *Fénelon missionaire d'après des documents inédits* (dzieło wymierzone przeciw dziełu O. Douen'a p. t. *Intolérance de Fénelon*). Alg. Griveau: *Etude sur la condamnation des Maximes des Saints.* — Emanuel de Broglie: *Fénelon à Cambrai* (Brunetière nazywa to dzieło złośliwie »jedną z najlepszych hagiografii«, *Etudes critiques* II-me série). Ze świeckich nie wiem, czy nie jeden Janet (*Fénelon.* Ed. des Grands Ecr. fr.) stoi dziś po stronie Fenelona, do pewnego stopnia także Faguet (XVII-me siècle), ale jego pochwała w oczach katolika jest najcięższym zarzutem, jaki można Fenelonowi uczynić (»jest on mniej chrześcijaninem, jak deistą«, str. 450). Nie wymieniam tu historyków Kościoła (np. Rohrbachera), którzy, dbając w pierwszym rzędzie o dogmat, nie liczą się zbytnio z najnowszemi badaniami na polu krytyki literackiej. Z dzieł o Bossuecie choć kilka wymienię najważniejszych: Lanson: *Bossuet.* Ks. Lebarg: *Histoire critique de la prédication de Bossuet* (1868), dzieło to ustala chronologię kazań Bossueta. Le P. de la Broise S. J.: *Bossuet et la Bible*, 1891. Rebellian: *Bossuet, historien du protestantisme*, 1892. Ks. Delmont: *Quid conferant latina Bossueti opera ad cognoscendam illius vitam, indolem, doctrinamque* i tegoż autora: *Bossuet et les Saints Pères.* 1896. Ks. Bellon: *Bossuet directeur de conscience,* 1896. Obok niezliczonych mniejszych rozpraw wymienić należy w pierwszym rzędzie studya Brunetière'a np. *De la Philosophie de Bossuet, Querelle du Quiétisme* i i. a wreszcie w dziele O. Longhaye'a S. J. p. t. *La Prédication* 1897, świetną charakterystykę Bossueta, jako kaznodziei. Syntezę krytyki podaje w małej, ale zwięźle i bardzo gruntownie napisanej broszurze ks. Delmont p. t. *Fénelon et Bossuet d'après les derniers travaux de la critique.* Paris-Lyon 1896.

I.

Bossuet urodził się d. 27 września 1627 r. w Dijon. Rodzina była szczerze katolicka i dała Kościołowi w tej jednej generacyi trzech księży i dwie zakonnice; rodzina urzędnicza, jeszcze

w wieku XVI kupiecka, nobilitowana w roku 1515, odznacza się wielkiem przywiązaniem do rodziny królewskiej; do Ligi nie należą mimo podburzań księcia de Mayenne, a za Ludwika XIV odznaczają się wyjątkową lojalnością względem króla; ojciec przyszłego kaznodziei był radnym Metzu i jako taki na usługach Colberga. »Cała rodzina należała do tej partyi narodowej, która wobec dogorywającego feodalizmu i ducha prowincyonalizmu żywego ale bezsilnego pracowała nad tryumfem monarchii absolutnej, jako jedynie zdolnej zapewnić ład i pokój« [1]. Młody Bossuet więc od dziecka ma wszczepione idee polityczne, które później będzie głosił słowem i czynem.

Pierwsze studya odbywa w kolegium jezuickiem miasta rodzinnego, mieszkając jednak u rodziców, a po wyjeździe ich w roku 1638, u stryja. Od dzieciństwa rokował wielkie nadzieje z powodu zadziwiającej bystrości i żywości umysłu, niezwykłej pamięci, która go do ostatnich chwil życia nie opuści, a wreszcie mrówczej pilności (*bos suetus aratro* – żartowali koledzy) i zapału do nauki, co jednak nie przeszkadzało mu bynajmniej być wesołym w chwilach rekreacyi. OO. Jezuici nacisk kładli na język łaciński, który też przyszły kaznodzieja posiadł, jak swój własny, kształcąc się na klasykach starożytnych [2]; widoczny też jest wpływ łaciny, i to, jak wszyscy podnoszą, dodatni na styl Bossueta; natomiast uchronił się on zupełnie od wpływu idei świata starożytnego, co ważne ze względu na porównanie z Fenelonem.

W tymto czasie jako kilkunastoletni student bierze w domu pierwszy raz do ręki Pismo św. [3] i odczuwa jakieś niezwykłe

[1] A. Rébellian: *Bossuet.* Paris 1900, str. 9.

[2] Próbowano wprawdzie kilkakrotnie autorów pogańskich zastąpić chrześcijańskimi, ale jak za Juliana Apostaty tak z końcem wieku XVI próby te się nie udały; a nawet św. Karol Boromeusz, który wydał zrazu nakaz czytania tylko pisarzy chrześcijańskich w szkołach, sam niebawem go odwołał, spostrzegłszy się, że ta metoda »wprawdzie sprzyja cnocie, ale mniej rozwojowi intellektualnemu». W połowie XIX wieku wznowił ten spór L. Veuillot, a także niedawno jeszcze zacięte dyskusye toczyły się o tę kwestyę wśród katolików francuskich, gdzie zwłaszcza OO. Jezuici energicznie stanęli w obronie autorów starożytnych.

[3] Jezuici nie dawali Pisma św. uczniom, obawiając się, by go dowolnie nie tłumaczyli pod wpływem protestantyzmu. Przeciwnie w zakładach

»wrażenie radości i światła« [1], które przypomina sobie jeszcze w późnej starości. Było to dla niego jakby objawieniem. Najmilszą jego lekturą staje się odtąd Pismo św.; czytał je od pierwszych lat bez cienia wątpliwości, z wiarą czystą, dziecięcą, jaka będzie przez całe życie jednym z głównych rysów jego charakteru.

W r. 1642 przybywa do Paryża w sam czas jeszcze, by być świadkiem tryumfalnego wzjazdu wielkiego kardynała, który, »dotknięty chorobą niebezpieczniejszą od spisków« [2], »niesiony był w pokoju zbudowanym z desek, mając przy sobie sekretarza, któremu dyktował«; wkrótce potem umarł, a młody Bossuet wśród tłumów defilował przed zwłokami wystawionemi z niebywałym przepychem w pałacu kardynała i słyszał mowy pogrzebowe, co wszystko na żywą wyobraźnię przyszłego kaznodziei musiało wywrzeć wrażenie niezatarte.

W Collège de Navarre w Paryżu przebył lat dziesięć, w którymto czasie oddawał się studyom zawsze z tym samym zapałem i łatwością. Mniej lubił matematykę jako »naukę zbyt abstrakcyjną i dającą za mało korzyści duchownemu«. Bossuet bowiem od 8-go roku życia miał tonzurę, w trzynastym zaś mianowany był kanonikiem [3] w Metzu i nigdy też nie zawahał się w swem powołaniu. Studya teologiczne ukochał nad wszystkie inne, a pierwsze wśród nich miejsce zajęło studyum biblijne, do którego wnet dołączył studyum Ojców Kościoła, których po Piśmie św. najgorliwiej studyuje. W »Planie traktatu teologicznego«, napisanym dla własnego użytku w tym czasie (około r. 1648 [4]), pisze ten 21-letni kleryk, że »powaga Ojców jeszcze większa gdy mówią

---

naukowych Port-Royal od najniższych klas czytano Biblię oraz uczono się greckiego języka, o który Jezuici mniej dbali. Stąd Corneille, wychowany u Jezuitów, wzoruje się na tragedyi rzymskiej, a Racine w Port-Royal przejmuje się entuzyazmem dla autorów greckich, których język przyswoił sobie świetnie pod kierownictwem Lancelota.

[1] Le Dieu: *Mémoires.*

[2] Voltaire: *Essai sur les moeurs.*

[3] Dochody pobierała kapituła do r. 1648, a młodemu studentowi wypłacała tylko skromną pensyę.

[4] Ks. Delmont: *Bossuet et le Saints Pères.*

o obyczajach i życiu chrześcijańskiem, aniżeli gdy omawiają kwestye teologiczne. Trzeba czytać i studyować Ojców pilnie, ale z uległością ucznia, a nie z wyniosłością sędziego, by iść za nimi, a nie by ich pociągać za sobą«. Te słowa już wskazują, że Bossuet będzie przedewszystkiem moralistą. Spis dzieł czytanych i uwagi dowodzą oczytania wprost olbrzymiego. Wiemy, że w tem studyum Ojców Kościoła nigdy nie ustawał. Świadczą o tem Pamiętniki Le Dieu'go, rady udzielane młodemu kardynałowi de Bouillon [1], a przedewszystkiem dzieła Bossueta, które według pięknego powiedzenia O. Campioni'ego »są jakby encyklopedyą wszystkich Ojców«[2].

Objawia się też od wczesnej młodości u Bossueta dar wymowy. Młodego 16-letniego kleryka przedstawiają w salonie markizy de Rambouillet, gdzie wobec samego kwiatu ówczesnego towarzystwa kazano mu improwizować kazanie, którem wszystkich zachwycił — było to późną nocą — a Voiture zawołał, że »nigdy nie słyszał, by kto kazał tak wcześnie ni tak późno« [3].

Przemawiał też publicznie, jeszcze przed święceniami; charakterystyczny jest pierwszy występ młodego kaznodziei podczas uroczystości uniwersyteckiej na temat: *Deum timete, regem honorificate*, a było to w czasie niepokojów wewnętrznych (Frondy), i tak Bossuet zaczyna swe kaznodziejstwo od zażegnywania wojny domowej i obrony monarchii.

Po świetnem ukończeniu studyów uzyskuje stopień doktora a wreszcie święcenia. W tym też czasie zbliża się do św. Wincentego à Paulo, pod jego kierownictwem odbywa rekolekcye i nawiązuje z nim stosunek przyjazny, nawet serdeczny; odtąd Bossuet bierze udział w »konferencyach wtorkowych« księży u św. Łazarza (gdzie św. Wincenty był przełożonym), a nie potrzeba dodawać, jak zbawienny był wpływ świętego na młodego kapłana, którego »jasnością umysłu, szczerą pobożnością i prostotą od razu był uderzony« [4].

---

[1] Por. Delmont j. w. *Préface* s. XVI.
[2] List do Bossueta, 1698.
[3] Tallemant de Réaux: *Historiettes.*
[4] Le Dieu: *Mémoires.*

Jeszcze z roku 1648 lub 1649 przechowały się w papierach Bossueta refleksye — pewnie rekolekcyjne — tego najwyżej 22-letniego kleryka, które odsłaniają nam sam fundament jego filozofii i zdumiewają swoją głębokością i powagą. Oto kilka urywków: »Człowiek to bardzo marna rzecz — wszystko, co się kończy, jest bardzo marnem. Przyjdzie czas, kiedy człowiek, który wydawał nam się tak wielkim, nie będzie już istniał, kiedy będzie jako dziecko, które ma się dopiero narodzić, kiedy nie będzie niczem... Tylko czas mego życia stanowi różnicę między mną a tem, co nie istniało nigdy: ta różnica jest bardzo mała, ponieważ przy końcu będę zrównany z tem, co nie istnieje, a to się stanie w dniu, kiedy się nawet wydawać nie będzie, żem istniał, i kiedy mało mię to obchodzić będzie, ile czasu istniałem, ponieważ już istnieć nie będę... Moje życie co najwyżej 80 lat potrwa, przypuśćmy sto: ileż czasu było, kiedym nie istniał, ileż go będzie, kiedy mnie nie będzie. Jakże małe miejsce zajmuję w tym wielkim przestworzu lat!... Moja cząstka jest nader mała w tym świecie i tak mało znaczna, że gdy przyglądam się zblizka, wydaje mi się to snem, iż widzę się tutaj, i że wszystko, co widzę, to tylko puste obrazy; *praeterit figura huius mundi*... ‚Uszedłem śmierci przy takim a takim wypadku', to źle mówić: ‚uszedłem śmierci': uniknąłem tego niebezpieczeństwa, ale bynajmniej nie śmierci: śmierć nam stawia różne zasadzki; jeśli unikniemy jednej, wpadniemy w drugą, ostatecznie musi się wpaść w jej ręce. Zdaje mi się, że widzę drzewo miotane wichrami; są liście, które opadają co chwila, jedne opierają się więcej, drugie mniej, ale jeśli niektóre unikną burzy, to zima przyjdzie i sprawi, że zżółkną i opadną...« Następnie zastanawiając się nad latami życia, zauważa, że nie wszystko można w nich liczyć, jako choćby pozorny zysk, bo »sen jest podobniejszy do śmierci, dzieciństwo jest życiem zwierzęcem. Ileż czasu chciałbym zatrzeć z mej młodości... Czas, kiedy miałem jakieś zadowolenie, albo doznałem zaszczytu — lecz jakże ten czas jest rzadko porozsiewany w mem życiu. To jak gwoździe poprzybijane w pewnej odległości do długiego muru; powiesz może, że to wiele miejsca zajmuje: zbierz je, niema czem ręki napełnić!«

Równie silnych ustępów trzebaby szukać gdzieś w księdze Joba lub u Salomona albo też w hymnach buddyjskich — tak jest, Bossuet tu schodzi się z największymi pessymistami ludzkości. Zdawałoby się, jak słusznie zauważa Rébellian [1], że młodzieniec, tak wnikający w marność życia, skończy u Kartuzów. Ale Bossuet, mimo że przez całe życie z największą siłą, potęgą słowa i ogniem mówił o śmierci i marności rzeczy ziemskich, nie był zgoła pessymistą, bo tuż obok idei: *vanitas vanitatum*, była w jego duszy druga idea, rozpraszająca swym blaskiem niebiańskim ciemności tamtego pessymizmu, tą ideą szczęście pozagrobowe. I to jest wielka filozofia Bossueta, nie nowa, bo z ewangelii wzięta, ale przez nikogo może z taką siłą i plastyką nie nakreślona, jak przez niego.

On wierzy i jest przekonany (wraz z Montaigne'm, którego czyta i zwalcza w konkluzyach), że człowiek, mając w duszy pragnienie szczęścia od Boga mu dane, ma prawo to pragnienie pielęgnować, byle przedmiot jego przenieść z ziemi do nieba. Każdy chrześcijanin ma prawo i obowiązek dążyć do tego szczęścia. Tę zasadę wypowie zaraz z początkiem sporu o kwietyzm: »Jest to pragnieniem i głosem wspólnym całej natury i chrześcijan i filozofów, że się chce być szczęśliwym i że nie można tego nie chcieć ani wyrwać sobie tego motywu w żadnej z działalności, jakie rozum produkuje« [2].

»O śmierci, zawoła niebawem w cudownem kazaniu na tenże temat, my tobie dzięki składamy za światło, które rozlewasz na naszą ciemnotę: ty jedna przekonywasz nas o naszej nizkości, ty jedna dajesz nam poznać naszą godność; jeśli człowiek zanadto się ceni, ty umiesz zgnieść jego pychę, jeśli człowiek zbyt sobą gardzi, ty umiesz podnieść jego odwagę... i uczysz go tych dwóch prawd, otwierających mu oczy na dobre poznanie siebie: że jest on nieskończonej pogardy godzien o tyle, o ile przemija, i nieskończonej ceny, o ile zdąża do wieczności [3]. Bossuet tutaj schodzi

[1] Rébellian: *Bossuet.* s. 13.

[2] Bossuet: ***Instruction sur le états d'oraison.***

[3] Kazanie o śmierci, wygłoszone w r. 1662 wobec króla.

się z Pascalem, który w swych genialnych »Myślach« mówi to samo, niemal temi samemi słowy.

Ale z tej filozofii też wynika potrzeba działania, by samemu niebo pozyskać i by innych do niego prowadzić, bo Bossuet — wbrew temu, co się o nim nieraz słyszy — ma serce czułe na nędzę bliźnich, a czemże wszystkie nędze życia wobec potępienia, a więc ratować dusze od tego nieszczęścia, by je prowadzić ku absolutnemu szczęściu, to cel i zarazem rozkosz duszy. »O Jezu, pisze jako młodziutki kapłan, przez pragnienie Twoje na krzyżu daj mi, abym miał pragnienie wszystkich dusz, abym swoją cenił tylko dla obowiązku mi nałożonego, bym żadnej z nich nie zaniedbał. Chcę je wszystkie kochać, ponieważ one wszystkie są zdolne do ukochania Ciebie« [1].

I tak to z tej pięknej filozofii wypływa naturalną konsekwencyą miłość Boga; bo nie wyobrażajmy sobie, jakoby Bossuet, mający za cel życia niebo, a więc swą nagrodę, nie był zdolny do wielkiej, gorącej miłości Boga; owszem, widzimy u niego uniesienia mistyczne, godne św. Teresy: »O, jakżeś Ty piękny mój Ukochany! O Jezu Chryste!... chcę Cię kochać... to niemożliwe, bym Cię nie umiłował jeden dzień.., niech nam serce pęka z żalu, żeśmy jedną chwilę pozostali bez kochania, a jeszcze więcej, żeśmy stracili jedną, jedyną chwilę, jedną, jedyną sposobność, bez ożywienia w sercu naszem świętej miłości... O Jezu! chcę, aby Ciebie jednego kochano i dlatego sam chcę Ciebie jedynie kochać. Jesteś wszystkiem jako Bóg, jesteś więc jedynym przedmiotem godnym pragnienia«. Są to uniesienia młodzieńcze, z których wykwitną dzieła mistyczne, jak *Elévations sur les Mystères* i *Méditations sur l'Evangile*, niestety za mało znane, choć nic piękniejszego nie wydała literatura ascetyczna we Francyi, a może i w Europie.

Z doktryną filozoficzno-religijną łączą się pojęcia społeczne, które odziedziczone z oddalonych pokoleń, wszczepiane nadto w dzieciństwie przez ojca, przybierają powoli postać konkretnej doktryny politycznej. Wspomnienia walk domowych, których ostatni akt rozegrał się pod okiem młodego kleryka, utwierdziły go

[1] *Lettres à une Demoiselle de Metz.* II.

w przekonaniu, że tylko absolutna monarchia może dać Francyi szczęście. W królu swym Bossuet pokładać będzie wraz z całą katolicką Francyą wszystkie nadzieje patryoty, a jest on wielkim, gorącym patryotą; będzie chwila w jego życiu, kiedy ten patryotyzm posunie za daleko; będzie to nie służalstwo dworaka, ale przeważenie interesów na swój sposób pojętego patryotyzmu nad interesami Kościoła. Bossuet, tak jak cała Francya katolicka, widzi uosobienie ojczyzny w królu [1], jak ów biskup Turpin w »Pieśni o Rolandzie«, który umierając żałuje przedewszystkiem, że »już króla zgasłe nie ujrzą oczy«. Bossuet tego króla kocha miłością patryoty, a pamiętajmy (o czem De Maistre i tylu innych zapomina), że cała młodość i znaczna część działalności Bossueta jako biskupa, przypada na okres najświetniejszy tego panowania, że zatem to uwielbienie dla monarchy i zaufanie do formy rządu było w wysokim stopniu usprawiedliwione.

II

Po święceniach kapłańskich w r. 1652, mimo próśb przyjaciół chcących go zatrzymać w Paryżu [2], udaje się do Metzu na swą kanonię, gdzie pozostaje z przerwami lat 17. Działalność jego jest tu wszechstronna. Pierwsze miejsce zajmowały obowiązki kapłańskie, ale na nich nie poprzestawał. Brunetière trafnie wykazuje *(Philosophie de Bossuet)*, że ideą przewodnią Bossueta była jedność religijna, a więc zadaniem przywiedzenie do tej jedności wszystkich innych żywiołów; i nie poprzestaje z tem nawet na Francyi,

---

[1] Nie trudno dopatrzeć się tradycyi tych pojęć średniowiecza i w. XVII w dzisiejszem duchowieństwie francuskiem i u wielu świeckich katolików tego kraju, którzy do dziś nie tają się z żalem za monarchią. Podręczniki dla szkół zakonnych nie mówią tego wyraźnie, ale pozwalają się tego łatwo domyśleć. Przypominam też Bourget'a *Etape*, gdzie czytamy takie słowa: »Wolałbym żyć w tej dawnej Francyi z jej nadużyciami i nędzą...« i dalej autor tłumaczy, że duch Ewangelii jest w sprzeczności z zasadami rewolucyi: Wolność — Równość — Braterstwo. Całkiem przeciwnie Brunetière głosi, że te zasady są prostą »laicyzacyą idei chrześcijańskiej« *(Discours de Combat)*.

[2] Ofiarowano mu kierownictwo w *Collège de Navarre*.

sławna jest jego korespondencya z Leibnitzem, w celu przyciągnięcia całego protestantyzmu do Kościoła.

W Metzu byli obok większości katolickiej protestanci i żydzi. Bossuet podejmuje z nimi dyskusye i powoduje liczne nawrócenia. Walka z protestantyzmem zajmować go odtąd będzie przez całe życie, uważa ją za najważniejszą, bo jak słusznie zauważa Lanson [1], Bossuet w Lutrze i Kalwinie potępia w pierwszym rzędzie »przykład, który dali. Mniej go gorszy ich dzieło jak konsekwencye ich zasad, które go przerażają. Co go zajmuje przedewszystkiem, to ten rozum ludzki, który się wślizga do wszystkich kontrowersyi i który podstawia nieznacznie swoją powagę na miejsce powagi Pisma św.« Ta sama racya skłoni go do tak energicznego wystąpienia przeciw Malebranche'owi, uczniowi Descartes'a, bo widzi jasno tę »wielką walkę, przygotowującą się przeciw Kościołowi pod imieniem filozofii Kartezyańskiej«, jak pisze w liście do jednego z uczniów Malebranche'a. Nieprawdą jest, jakoby Bossuet nie przewidział racyonalizmu wieku XVIII, owszem on go widział i wskazywał jego źródło, np. w tymże samym liście: »... pod pozorem, że trzeba przyjąć tylko to, co się jasno rozumie... każdy sobie pozwala powiedzieć: ja rozumiem to, a nie rozumiem tamtego; i na tej jedynej podstawie przyjmuje się i odrzuca wszystko, co się zechce... słowem, albo się bardzo mylę, albo też widzę wielkie stronnictwo, powstające przeciw Kościołowi: i ono wybuchnie w swoim czasie, jeżeli zawczasu nie postaramy się porozumieć...«

Do walki z protestantyzmem uzbraja się Bossuet w olbrzymią erudycyę, bo trzeba pamiętać, że jak zadziwiał swą pilnością w seminaryum, tak uczy się przez całe życie, a wszystko, co napisze, będzie nie tylko owocem talentu wrodzonego, ale także olbrzymiej pracy, jak na to mamy dowody w świadectwach współczesnych i w manuskryptach pisarza: Plany lektur z góry zakreślone, notatki na marginesie książek, uwagi, wyciągi, a nadewszystko rękopisy kazań, z których wynika, że każde kazanie osobno było przygotowywane, a jeśli miał je powtórzyć, to prze-

[1] Bossuet, 367.

rabiane i poprawiane[1]; wszystko to, a nadewszystko same dzieła (np. historyczne) świadczą o niezwykłej pracowitości Bossueta.

Dla nawracania Żydów studyuje Talmud i zagłębia się w dzieje ludu izraelskiego, przyczem nie gardzi pomocą rabinów, z niektórymi z nich nawiązuje bliższą znajomość, tak jak wśród protestantów ma prawie przyjaciół, przez których jest szczerze szanowany, jakkolwiek zwalcza żywem słowem i pismem ich doktrynę. Wogóle zaś w dziele nawrócenia, o ile się godzi z odwołaniem edyktu nantejskiego, jest przeciwny środkom gwałtownym; jeszcze pod koniec życia wyprasza u Ludwika XIV zakaz zmuszania nowonawróconych do przystępowania do Sakramentów, jak niektórzy oficerzy przez fałszywą gorliwość czynili to w paru miejscowościach.

W r. 1657 przybywa do Metzu królowa-matka i słucha wraz z całym dworem kazania Bossueta o św. Teresie; pierwszy to występ młodego kaznodziei wobec dworu i w tym pierwszym występie zwraca uwagę królowej na »ubogich i cierpiących« (rzecz bowiem kończy się apostrofą do samej królowej). Na jej życzenie mówi jeszcze jedno kazanie o św. Józefie, gdzie dworskich słuchaczy przestrzega przed chwałą ziemską: »Obawiajmy się, chrześcijanie, obawiajmy się tego strasznego słowa, które powiedział Chrystus w Ewangelii: Otrzymaliście waszą zapłatę, chcieliście chwały ludzkiej, mieliście ją, jesteście zapłaceni, niema już na co czekać...« Bossuet, jak widzimy, od pierwszych kazań swoich jest przedewszystkiem moralistą, św. Teresa czy św. Józef posługują mu w pierwszym rzędzie jako motyw do głoszenia pewnych zasad moralnych, których rozbiór zajmie zawsze lwią część całego kazania.

Królowa-matka, wróciwszy do Wersalu, nie zapomniała znakomitego kaznodziei, przypomniał się jej w najsmutniejszych chwilach życia, kiedy musiała patrzeć na lekkie obyczaje króla, który poza małżeństwem szukał dogadzania swym namiętnościom i utrzymywał jawny niemal stosunek z panną de La Vallière. Wtedy to, widząc jedyny ratunek w potężnem słowie kaznodziei,

[1] Lebarg: *Histoire critique de la prédication de Bossuet.*

sprowadza Bossueta na kazania wielkopostne do Louvre'u. I tak w r. 1662 widzimy Bossueta przemawiającego po raz pierwszy wobec króla. Pierwsze kazanie w dniu Oczyszczenia N. P. Maryi zwraca niedwuznacznie do króla, tłumacząc że jest się chrześcijaninem tylko wtedy, »jeźli się gardzi życiem, umartwia swe chuci zmysłowe i więzi swą wolę« i że »nie jest dobrem dla człowieka nie widzieć nic ponad sobą... ci więc, którzy nie widzą nic na ziemi, coby im mogło być prawem, powinni tem bardziej być przygotowanymi na przyjęcie tego prawa z góry. Tam wola najwyższa będzie sądziła królów tej ziemi, bo ich korona jest darem Opatrzności, ich berło narzędziem jej postanowień«. Innym razem znowu (w ciągu tegoż postu) mówi: »Obfitość, poważanie, życie miękkie i zmysłowe są porównywane często w Listach świętych do nieokiełznanych rzek, które mijają, nie zatrzymując się i wpadają, nie mogąc wstrzymać własnego ciężaru. Ale jeśli pomyślność świata naśladuje rzekę w swej niestałości, ona też do niej podobna w swej sile, bo wpadając, nas pcha, a płynąc nas pociąga... A tymczasem cóż ty robisz wielki człowieku, bez którego tej wielkiej komedyi świata brakłoby osobistości potrzebnej, cóż ty robisz dla sprawy wieczności, której ustąpić muszą wszelkie urzędy?« poczem stawia przed oczy słuchaczów ostatnią godzinę życia i sąd. A na tym sądzie nie tylko własne namiętności będą oskarżycielami, ale i — ubodzy.

Za de Maistre'm wielu świeckich, a i duchownych nawet krytyków, zarzuca Bossuetowi brak współczucia dla biednych. Jest to fałsz, któremu można przeciwstawić nie kilka, ale kilkadziesiąt, jeśli nie setki całe cytatów z kazań, zwłaszcza na dworze wygłaszanych, gdzie z niezrównaną siłą piętnuje brak litości nad ubogimi. I tak w jednem z pierwszych kazań na dworze wobec Ludwika XIV, o którem właśnie mowa *(Sur l'impénitence finale),* poświęca wspaniałą część trzecią ubogim: ...»tak, oni umierają z głodu w miastach, po wsiach, u bram i wokoło waszych pałaców, nikt nie biegnie im z pomocą. Wygoda, uciechy, dostatek wypełniają tak duszę, że oddalają wszelkie odczucie nędzy drugich i wysuszają, jeźli się na to nie baczy, źródło litości. I tu tkwi przekleństwo wielkich dostatków, tu duch świata ukazuje się w największej sprzeczności z duchem

chrześcijaństwa: bo cóż to jest duch chrześcijaństwa? to duch braterstwa, duch miłości i współczucia, który sprawia, że odczuwamy nieszczęścia naszych braci, że wchodzimy w ich położenie, cierpimy nad ich potrzebami«. Dawszy następnie obraz »ducha świata«, pełnego samolubstwa: *Ego sum et praeter me non est alter,* woła: »O, Bóg jest sprawiedliwy! Przyjdziesz do Niego sam, bogaczu nielitościwy, w dni potrzeby i trwogi. Nie obawiaj się, bym ci groził utratą twego dobytku, to zdarzenie jest przypadkowe, ale to, co ci chcę powiedzieć, nie jest wątpliwe: Ona przyjdzie w dniu oznaczonym, ta ostatnia choroba, kiedy wśród niezliczonych przyjaciół, lekarzy i sług pozostaniesz bez pomocy, bardziej porzucony, bardziej opuszczony od tego biedaka, który umiera na słomie i nie ma prześcieradła do swego pogrzebu...« I dalej maluje obraz nędzy, która właśnie w tym roku była straszna: »W prowincyach odległych, a nawet w tem mieście wśród tylu uciech i tylu zbytków niezliczone rodziny umierają z głodu i rozpaczy: prawda ciągła, publiczna, pewna. O nędzo dni naszych! Jakąż mieć możemy radość?... Wszyscy Ojcowie Kościoła i teologowie nas uczą powszechną zgodą, że jeśli się nie wesprze bliźniego według możności, jest się winnym jego śmierci, zda się Bogu rachunek z jego krwi i jego duszy z wszystkich ostateczności, do jakich szał głodu i rozpaczy go doprowadza«. Wkońcu mówiąc o tej »najwyższej rozkoszy ulżenia nieszczęśliwym, pocieszenia Jezusa Chrystusa cierpiącego w nich«, zwraca się do króla: »rzeczą królów działać; oni sami nie mogą wszystkiego, co chcą, ale zdadzą rachunek z tego, co mogą. Oto wszystko, co można powiedzieć W. Król. Mości. Resztę trzeba powiedzieć Bogu i prosić go pokornie, by odkrył tak wielkiemu królowi środki zadowolenia wkrótce tej miłości, jaką ma dla swych ludów, spełnienia obowiązków swego sumienia, uwieńczenia swej sławy i położenia fundamentu koniecznego do swego wiecznego zbawienia«. Król istotnie sprowadził zboże z Polski dla rozdania ubogim, a za jego przykładem poszli inni, np. księżniczka Conti, która sprzedała za 60.000 franków drogich kamieni, by przyjść z pomocą biednym.

Bossuet o ubogich często mówił z kazalnicy[1], inicyatywą prywatną jednał im pomoc materyalną, a nadto sam z własnej szkatuły ich zaopatrywał. W r. 1699 prosi go bratanek o pieniądze, Bossuet odpowiada, że »ten rok jest tak zły i jesteśmy tak obarczeni ubogimi, że nie można tego, co się chce«. A »Sprawozdanie z wizyt pasterskich r. 1693« (cytowane przez ks. Delmonta) powiada, że »ponieważ nędza była większa, Bossuet przebiegał różne parafie swej dyecezyi i zarządzał środki skuteczne na wszystkie strony, by zaspokoić potrzeby biednych«. Jak wobec tego — a zwłaszcza kazań tak wyraźnych — wygląda powiedzenie De Maistre'a o Bossuecie: »Cierpienia ludu nie wydarły mu nigdy jednego okrzyku?« Gorzej, że ten paradoks powtarzają z wiarą niektórzy historycy literatury, np. Paul Albert.

Wracając do tego pierwszego występu na dworze, warto przypomnieć, że król tak był z młodego kaznodziei zadowolony, że kazał napisać do ojca jego z powinszowaniem, że ma takiego syna; młody Bossuet zostaje mianowany kaznodzieją królewskim, zdawałoby się, że już na dworze zostanie. Tymczasem przez trzy następne lata ani go widać w kaplicy królewskiej. Dlaczego? Słusznie zauważa ks. Bellon[2], że Ludwik XIV i panna de La Vallière bali się kazań, wypominających im ich życie poza Bogiem i woleli nie przerywać sobie zabawy wyrzutami sumienia. Dopiero w r. 1665 zjawia się znowu Bossuet w stolicy i zaczyna rzecz od potężnego wezwania Apostoła: »Czas, byśmy się zbudzili z naszego snu«. Kazanie to należy do najwyraźniej skierowanych do króla, choć nie brak i przyjętego zwyczajem kadzidła, przypomnienia wielkich czynów króla, ale tylko na to, by zaraz potem wskazać na ten ogień, który zniszczy w jednym dniu i miasta i twierdze i baszty i pałace i marmury i napisy i tytuły i dzieje

[1] W Zielone Świątki r. 1661 tak mówi: »Kiedy zważę na te nieszczęścia nas otaczające, ubóstwo, cierpienie, rozpacz tylu zrujnowanych rodzin, wydaje mi się, że ze wszech stron podnosi się krzyk nędzy dokoła nas, od którego powinno nam serce pęknąć, a który może nie uderza nawet uszu naszych... I ty nie czujesz, nędzniku, że okrucieństwo twego zbytku wydziera duszę stu sierotom, którym Opatrzność zabezpieczyła życie na twoim majątku?« Podobnych ustępów możnaby przytoczyć bez liku.

[2] *Bossuet, directeur de conscience*, str. 47.

i zamieni w jeden wielki ogień, a wnet potem w jeden stos popiołu wszystkie pomniki królewskie...« a ponieważ Bóg pisze naszą historyę, »myślmy o tem, by ją uczynić piękną, usuńmy pokutą to, coby nas okryło wstydem i zamieszaniem«. Król zrozumiał, ale się nie poddał, wolał nie przychodzić na dalsze nauki takiego kaznodziei i do końca tego postu na kazaniu się nie zjawił.

Posądzenie Bossueta o schlebianie królowi w kazaniach jest bezpodstawne. Oczywiście Bossuet nie był świętym Ambrożym, ale też nie ulega kwestyi, że wystąpienie takie zawiodłoby kaznodzieję do Bastylii a literaturę francuską i kościelną wogóle pozbawiłoby arcydzieł wymowy. Bossuet pozostawał zawsze w granicach możliwości, i w tych obowiązek swój spełniał. Sławne są one dwa listy do króla (r. 1675), gdzie z winną czcią ale jeszcze większą stanowczością przypomina mu obowiązek wielkanocnej spowiedzi ale i zaznacza, że spowiedź bez poprawy, a nadewszystko bez zerwania z okazyą do grzechu (domyślne: kochanką) nic nie warta. Król istotnie kochankę oddalił i spowiedź następnie odbył— a że do złego powrócił, o to już trudno winić Bossueta, który w sposób bardzo oględny ale niemniej stanowczy do króla przemawiał. »Jest Bóg na niebie — mówi mu innym razem z kazalnicy, który mści się za grzechy ludów, ale nadewszystko za grzechy królów...« Pani de Maintenon zaś (która nie była kochanką ale żoną Ludwika XIV potajemnie poślubioną po śmierci pierwszej), pisze do hr. de Saint-Géran, że Bossuet »ma wiele bystrości umysłu, ale jest pożałowania godną rzeczą, iż nie posiada ducha dworskiego«.

Król jednak zbyt dbał o wyzyskanie zdolności swych poddanych, by pominął Bossueta przy rozdzielaniu godności duchownych, które otwierały większe pole działania i zamianował Bossueta w r. 1669 biskupem w Condom; w dekrecie podniósł sam (wbrew zwyczajowi) »gorliwość, jaką ks. Bossuet okazał przy każdej sposobności na pożytek Kościoła i szczególniej dar kaznodziejski, jakim go Bóg obdarzył« [1].

---

[1] Floquet: *Etudes sur la vie de Bossuet*, t. III.

W tymże roku Bossuet znowu przed dworem ma kazania adwentowe. Król już porzucił jedną kochankę, by wziąć drugą de Montespan, kobietę z gruntu złą, bo nie kochającą nawet króla, jak poprzednia, dla niego samego, ale jedynie dla nizkiej ambicyi i która też fatalny musiała wywierać wpływ na Ludwika XIV. Bossuet mówi o Sądzie ostatecznym: »... W takim stanie, w jakim umrzemy, w tym niezmienionym stanie będziemy stawieni przed światłem Bożem. O, co za przewrót, iluż zstąpi z miejsc wyniosłych!« I znowu wprost do króla przemawia w te groźne i serdeczne zarazem słowa: »Oby ten wspaniały monarcha nie ujrzał nigdy swej korony upadłej, oby był przy św. Ludwiku, który ku niemu wyciąga ramiona i wskazuje mu jego miejsce. O Boże! oby to miejsce nie było opróżnionem!«

Jeżeli król był daleki od nawrócenia, to dawna kochanka de La Vallière, która długo nie mogła zerwać ze światem, ostatecznie to uczyniła, a sama w swych »Pamiętnikach« przyznaje, ile tu zawdzięcza Bossuetowi. Nawrócenie było szczere; poszła do królowej i padłszy na kolana ze łzami przepraszała ją za krzywdę jej wyrządzoną, poczem zamknęła się w murach Karmelu. Bossuet, który był odtąd jej kierownikiem duchownym pisze o niej: »Bóg założył w tem sercu fundamenta wielkich rzeczy, wszystko tam jest nowem«. Przy jej obłóczynach zaś ma wobec dworu jedno z najpiękniejszych swych kazań. Nie robi już aluzyi do przeszłości, zwraca się zresztą raczej do słuchającego dworu, niż do należącej już do Boga zakonnicy. Kazanie to jest jakby streszczeniem wszystkiego, co dotąd dworowi królewskiemu powiedział, i niejako wyrazem filozofii Bossueta, tak zbliżonej, identycznej prawie z filozofią Pascala.

(D. n.)

M. Paciorkiewicz.

STATYSTYKA KATOLICYZMU W PAŃSTWIE ROSYJSKIEM [1].

Źródła.

Mało są znane szerszemu ogółowi dyecezalne schematyzmy, w Królestwie i Rosyi wydawane corocznie pod nazwą katalogów lub wykazów kościołów i kleru (*Catalogi* sive *Elenchi ecclesiarum et utriusque cleri*). Tymczasem przedstawiają one niepoślednie źródło do statystyki katolicyzmu, wykazując nie tylko liczbę wiernych, ale i liczbę duchowieństwa, ilość i jakość kościołów, do pewnego stopnia nawet ich historyę. Wprawdzie w obliczaniu ludności katolickiej trudno od nich żądać ścisłości: kontrola nad przyrostem ludności nie wszędzie, jak np. po miastach, jest dostępną dla parafialnych urzędów. Gdzieindziej daje się zauważyć nawet lekceważenie ścisłości i cyfry przez cały szereg lat występują wciąż te same. Ten stan rzeczy naprowadza na wniosek, że jeżeli zachodzi poważniejsza różnica między faktyczną liczbą a podaną w katalogach, to niewierność ta nigdzie nie tworzy

[1] Po napisaniu niniejszego artykułu dowiedzieliśmy się o podobnej statystyce umieszczonej w *Pracy*, dodatku do *Biblioteki Warszawskiej*, za miesiąc marzec i kwiecień b. r. pod nagłówkiem: »Duchowieństwo rzymsko-katolickie«. Praca A. P. jest bardziej wyczerpującą, niż moja, co się tyczy historyi formowania się stosunków kościelnych w Rosyi i w kwestyi uposażenia duchowieństwa. Zato ledwie dotyka statystyki samej ludności katolickiej, parafii, kościołów, co znowu stanowi główny przedmiot mojego artykułu. Dlatego sądzę, że zamiast być zbytecznym, będzie on niejakiem uzupełnieniem statystyki, podanej przez p. A. P. *Autor.*

przesady, lecz raczej niedocenienie liczbowej strony Kościoła. Natomiast inne podawane daty, jak liczba kościołów, kapłanów, są zupełnie pewne i w kombinacyi z ilością mieszkańców mogą dostarczyć cennych wskazówek o stosunkach kościelnych w danej prowincyi.

Z katalogów, wydanych przez konsystorze dyecezalne katolickie w państwie rosyjskiem na rok bieżący 1906, nie wszystkie przedstawiają zarówno bogaty materyał dla statystyki. Z pomiędzy nich najkorzystniej wyróżnia się katalog dyecezyi płockiej, który notuje skrzętnie nie tylko liczbę wiernych w każdej parafii według najnowszych obliczeń i nazwiska pracujących w niej kapłanów, ale nadto załącza przy każdej parafii spis należących do niej miejscowości, kreśli krótko historyę erekcyi parafii, fundacye kościołów tak istniejących, jak i tych, które poprzednio tam istniały, wreszcie notuje wszystko, cokolwiekbądź interesującego znajduje się w danym kościele, jako to cudowne obrazy, stare zabytki sztuki, kielichy, monstrancye i t. d. Mniej bogatymi w szczegóły są katalogi innych dyecezyi, notujące z historyi zaledwie rok zbudowania istniejących świątyń. Wreszcie katalogi archidyecezyi warszawskiej i dyecezyi łucko-żytomierskiej pomijają zupełnie szczegóły historyczne.

Dyecezye.

Cały obszar ziem, podległych berłu rosyjskiemu, pod względem administracyi Kościoła katolickiego rozpada się na dwie kościelne prowincye, z których pierwsza obejmuje Polskę Kongresu wiedeńskiego, a druga resztę ziem cesarstwa. Wobec prawa państwowego Królestwo Polskie posiada 7 katolickich dyecezyi, Rosya zaś 5, razem 12, mianowicie: w Królestwie są archidyecezya warszawska i dyecezye: kujawsko-kaliska czyli włocławska, płocka, augustowska czyli sejneńska, lubelska, sandomierska i kielecka; w Rosyi: archidyecezya mohilewska, dyecezye: wileńska, żmudzka, łucko-żytomierska i tyraspolska (z rezydencyą biskupa w Saratowie). Prawo jednak kościelne, oprócz dyecezyi wymienionych, zna jeszcze trzy dyecezye, skasowane przez rząd rosyjski w latach

1866—1870, a mianowicie: podlaską w Królestwie i mińską i kamieniecką w Cesarstwie [1]. Wobec więc Kościoła istnieje w Rosyi 15 dyecezyi, z których 8 w Królestwie, a 7 w Cesarstwie. Supresyi rządowej trzech dyecezyi, która skasowała doszczętnie kapituły, konsystorze, seminarya i inne dyecezalne instytucye, Stolica Apostolska nie uznała dotąd; wszakże wobec niemożliwości obsadzenia wspomnianych biskupstw przez własnych pasterzy, poleciła pieczę nad nimi biskupom tych dyecezyi, do których rząd rosyjski wcielił skasowane biskupstwa, a mianowicie podlaską — biskupowi lubelskiemu, mińską — arcybiskupowi i metropolicie mohilewskiemu, kamieniecką — biskupowi łucko-żytomierskiemu. Ci biskupi względem suprymowanych dyecezyi noszą tytuł administratorów apostolskich.

Odnośne katalogi dyecezalne, z wyjątkiem łucko-żytomierskiego, zapewne ze względów cenzuralnych, nie zaznaczają nawet różnicy między właściwemi dyecezyami, których nazwę noszą, a wcielonemi do nich przez rząd biskupstwami. Znając jednak granice skasowanych biskupstw, będziemy się starali w niektórych obliczeniach różnicę tę uwydatnić i dyecezye skasowane będziemy traktowali osobno.

Opis poszczególnych biskupstw.

W Królestwie. 1. Najdawniejsza ze wszystkich archidyecezya warszawska, jako osobne biskupstwo istnieje dopiero od r. 1818; a więc utworzono ją dopiero za Kongresówki. Terytoryum jej należało przedtem do różnych dyecezyi, w tej liczbie i do poznańskiej, do której za czasów Rzeczypospolitej należała i sama Warszawa. Po utworzeniu archidyecezyi pasterze jej używali przez pewien czas tytułu prymasowskiego, który jednak później poszedł w zaniedbanie; obecnie tytułują się arcybiskupami kościoła metropolitalnego warszawskiego. Pierwszym arcybiskupem warszawskim był Franciszek Malczewski (1818—1819), następcami jego: Stefan Hołowczyc (1819—1823),

[1] Pomijamy zupełnie dawne dyecezye obrządku wschodniego.

Wojciech Skarszewski (1824—1827), Jan Paweł Woronicz, znany poeta, koronator Mikołaja I na króla polskiego (1828—1829), Stanisław Choromański (1837—1838), Antoni Fijałkowski (1857—1861), Zygmunt Feliński (1862—1883) i obecny arcybiskup, J. E. Wincenty Teofil Chościak-Popiel (od r. 1883).

Dyecezya zajmuje większą część gubernii warszawskiej, parę powiatów gubernii piotrkowskiej i zarywa nieco z kaliskiej i siedleckiej. Należą do niej oba największe w Królestwie miasta: Warszawa i Łódź. Ludność katolicką obliczono na 1,742.289 dusz.

2. Dyecezya włocławska, czyli kujawsko-kaliska, rządzona obecnie przez J. E. ks. biskupa Stanisława Zdzitowieckiego, należy do najstarszych w kraju biskupstw. Rozpościera się pasem z północy na południe na pograniczu Poznańskiego i Śląska, w guberniach warszawskiej, kaliskiej i piotrkowskiej. Znaczniejsze miasta: Częstochowa, Piotrków, Kalisz, Włocławek. Osobliwością tej dyecezyi jest to, że posiada aż trzy konsystorze, według trzech t. zw. oficyałatów, we Włocławku, Kaliszu i Piotrkowie. Ostatnie dwa załatwiają wszakże tylko podrzędne kościelne sprawy. Ludność wynosi 1,297.820 dusz wiernych.

3. Dyecezya płocka obejmuje lwią część Mazowsza. Odgraniczona od północy i zachodu granicą Prus Zachodnich, od południa Bugiem i Wisłą, na wschodzie graniczy z dyecezyą sejneńską. Mieści w sobie całą gubernię płocką, 3 powiaty z łomżyńskiej i 2 z warszawskiej (Pułtusk i Płońsk). Katalog podaje seryę biskupów płockich, sięgającą r. 966, sześciu jednak pierwszych biskupów do r. 1087 zanotowani są jako biskupi »wątpliwi«. Pierwszym pewnym biskupem był Stefan Pobóg (1087—1099). Obecny pasterz J. E. ks. biskup Apolinary Wnukowski jest 83-im z rzędu biskupem na tej prastarej stolicy. Podobnie jak włocławska, dyecezya płocka posiada dwa konsystorze: w Płocku i w Pułtusku. Kościół katedralny płocki, kryjący w swych podziemiach prochy Władysława Hermana i Bolesława Krzywoustego i wielu książąt mazowieckich, zbudowany w XII stuleciu, w ostatnich latach uległ gruntownej restauracyi. Posiada cenną bibliotekę i muzeum dyecezalne (zdaje się pierwsze w kraju). Dyecezya liczy mieszkańców katolików 793.298.

4. Dyecezya sejneńska najbardziej na północ w Królestwie wysunięta, zajmuje 4 powiaty gubernii łomżyńskiej i całą suwalską. Erygowana pod koniec XVIII stulecia, już po ostatnim rozbiorze, miała dotąd 8 dyecezalnych biskupów, z których pierwszym był Michał Karpowicz (1797—1803), a ostatnim Antoni Baranowski (1897—1902). Od śmierci tego ostatniego stolica biskupia wakuje. — Ludność w połowie polska, w drugiej połowie litewska; nadto liczy kilkanaście tysięcy Rusinów w powiecie augustowskim. Katolickiej ludności posiada 691.572 według katalogu, lecz jest to cyfra za nizka, choćby dlatego, że kilka parafii i to w miejscowościach niegdyś unickich nie wykazały wcale liczby swych parafian. Znaczniejsze miasta w dyecezyi: Łomża i Suwałki. Rezydencya biskupia, Sejny, jest małą mieściną.

5. Dyecezyi lubelskiej obecne granice zgadzają się z granicami gubernii tejże nazwy. Jest to również dyecezya ustanowiona w nowszych czasach. Wprawdzie od wieku XV istniało w tych stronach biskupstwo łacińskie chełmskie, którego rezydencya tułała się po różnych miastach, jako to: Chełm, Hrubieszów, Krasnystaw. Lublin jednak z większą częścią powiatów obecnej gubernii lubelskiej należał aż do biskupstwa krakowskiego. Biskupstwo lubelskie utworzono w r. 1805 ze skrawków rozmaitych dyecezyi; w 1818 r. granice jego uległy nowym zmianom, zgodnym z politycznym podziałem kraju. Rezydencya biskupia przeniesioną została do Lublina dopiero 1826 r. Obecnie rządzi dyecezyą J. E. ks. biskup Franciszek Jaczewski. Katolików liczy ta dyecezya 842.366.

6. Dyecezya podlaska, wcielona do lubelskiej, zajmowała prawie całą gubernię siedlecką. Janów, rezydencya biskupów podlaskich, należał niegdyś do biskupstwa łuckiego. Po utworzeniu Kongresówki granice dyecezyi uległy zmianie: powstała nowa dyecezya podlaska, z pierwszym biskupem Feliksem Lewińskim na czele. Ostatnim biskupem podlaskim był Benjamin Szymański, kapucyn, roku 1867 usunięty z dyecezyi i osadzony w klasztorze łomżyńskim. Obecnie dyecezya liczy 703.007 katolików. Obie więc połączone dyecezye: lubelska i podlaska liczą razem 1,545.373 dusz, czyli tworzą najliczniejszą po dyecezyi warszawskiej jednostkę

administracyjną. Z porównania katalogów lubelskich za lata 1904 i 1906 widać, że w przeciągu dwóch lat ludność katolicka wzrosła na 290.000, w tem przeszło 150.000 b. unitów, świeżo zapisanych do łacińskich parafii. W ciągu ostatnich 30 lat kilkadziesiąt kościołów przeważnie na Podlasiu zamknięto w interesach »prawosławia«. Po ukazie tolerancyjnym do 1 stycznia b. r. otwarto z nich zdaje się dwa: w bieżącym zaś roku znowu kilka.

7. Dyecezya sandomierska, wykrojona przeważnie z krakowskiej, powstała już za Kongresówki. Pierwszym biskupem mianowany był r. 1818 Stefan Hołowczyc, lecz w tymże samym roku posunięty na godność arcybiskupa warszawskiego. Następni biskupi: Adam Burzyński (1819—1830), Klemens Bąkiewicz, nominat tylko (1840—1842), Józef Goldtman (1844—1853), Józef Juszyński (1859—1880), Antoni Sotkiewicz (1882—1901) i obecny pasterz J. E. ks. biskup Zwierowicz, przeniesiony z Wilna r. 1902. Dyecezya, obejmująca gubernię radomską i część kieleckiej (niemal pod samo miasto Kielce), wykazuje 823.991 katolików.

8. Dyecezya kielecka powstała z części biskupstwa krakowskiego. Pierwszym biskupem z tytułem kieleckiego był Wojciech Górski (1805—1807). Po jego śmierci dyecezya jako taka przestała istnieć i włączoną została częścią z powrotem do krakowskiej, a częściąd o sandomierskiej. Krakowską jednak częścią rządzili zwykle biskupi-sufragani, mieszkający w Kielcach, jako administratorzy apostolscy. Roku 1883 Stolica Apostolska na nowo ją erygowała, jako dyecezyę osobną, i drugim biskupem kieleckim został ówczesny (od 1872) jej administrator, J. E. ks. biskup Tomasz Kuliński, który też do dziś dnia nią rządzi. Obejmuje ona prawie całą gubernię kielecką i południowy skrawek piotrkowskiej, gubernialne miasto Kielce i fabryczne ludne centra: Dąbrowę Górniczą i Sosnowiec. — Ludności katolickiej katalog wykazuje 968.569.

W Cesarstwie. 9. Archidyecezya mohilewska. Po pierwszym rozbiorze Rzeczypospolitej Katarzyna II utworzyła własną powagą biskupstwo białoruskie (1772 r.), w skład którego weszły oderwane od Polski części kilku wschodnich dyecezyi. Pierwszym biskupem został słynny Stanisław Bogusz Siestrzeń-

cewicz, sufragan wileński. Roku 1783 biskupstwo to podniesionem zostało do godności arcybiskupstwa z katedrą w Mohilewie. Granice jego, z powodu zmian politycznych, to się powiększały to zmniejszały, aż wreszcie r. 1848 zostały ustalone. Jest to największa na świecie całym dyecezya. Obejmuje całą Wielką Rosyę, prawie całą Ruś Białą, wschodnią część Ukrainy, całą Finlandyę, Inflanty i Estlandyę, całą Syberyę i Środkową Azyę. Ryga i Władywostok, Archangielsk i Taszkient, oto krańcowe tej dyecezyi parafie. Obecnie rezydencyą arcybiskupów-metropolitów jest Petersburg, gdzie posiadają i swoją katedrę. Dotąd zasiadało na tej stolicy 11 pasterzy; obecnie od śmierci arcybiskupa Jerzego Szembeka († 1905) katedra osierocona. — Ludność katolicka archidyecezyi, bez włączonej do niej dyecezyi mińskiej, wynosi podług katalogu 750.000. Z porównania jednak katalogu tegorocznego z przeszłorocznym przekonałem się, że nie wiadomo dlaczego powtórzono w nim c o d o j o t y te same cyfry bez względu na naturalny przyrost ludności i rezultaty tolerancyjnego kwietniowego manifestu. Musimy więc dodać do tej liczby najskromniej obliczony naturalny przyrost za jeden rok i konwersye, dokonane w najświeższej dobie, co razem według naszego rachunku wynosi najmniej 95.000, a zatem ludność archidyecezyi z początkiem bieżącego roku obliczamy na 845.000.

10. D y e c e z y a m i ń s k a, zamknięta w granicach gubernii tejże nazwy, utworzona r. 1798 przez nuncyusza Littę przy ogólnej organizacyi Kościoła w państwie rosyjskiem, skasowana r. 1869 ukazem cesarskim, obecnie od r. 1883 zostaje pod zarządem arcybiskupa mohilewskiego. — Jednocześnie z kasatą dyecezyi zamknięto w niej w latach 1863—1885 równo połowę kościołów, bo 66 na 132 istniejących wtedy świątyń[1]. Później ubyło jeszcze kilka świątyń. Wiele parafii wraz z ludnością przyłączono do wyznania panującego. Katalog archidyecezyi mohilewskiej za r. 1906 wykazuje w granicach biskupstwa mińskiego po dawnemu 244.261 katolików, którą to cyfrę po licznych konwersyach, jakie w roku ostatnim miały miejsce w tej dyecezyi, możemy śmiało podnieść

[1] Zob. »Biskupstwo mińskie« przez X. Y. Z. Kraków 1887. Str. 23.

co najmniej do 280.000. Według tego skromnego obliczenia ludność obydwóch połączonych dyecezyi wynosiłaby razem 1,125.000.

11. Dyecezya wileńska, istniejąca od r. 1388, zamyka się obecnie w guberniach wileńskiej i grodzieńskiej. Katalog dyecezalny z ostatnich dwóch lat kreśli obszernie jej historyę od najdawniejszych czasów aż do naszych dni. Z dołączonego spisu dowiadujemy się, że dotąd było 37 biskupów wileńskich; obecnie jako 38-y z rzędu pasterz rządzi tą dyecezyą J. E. ks. biskup Edward bar. de Ropp od r. 1903. — Ludności najnowszy katalog wykazuje 1,442.421.

12. Dyecezya żmudzka, wykrojona z wileńskiej jeszcze w XV stuleciu, obecnie rozciąga się na gubernie kowieńską i kurlandzką. Rezydencyą biskupią do niedawna było miasto Telsze, obecnie po spaleniu się r. 1863 tego miasta biskup stale rezyduje w Kownie. Obecny pasterz tej dyecezyi J. E. ks. biskup Mieczysław Pallulon jest 38-ym z rzędu na tej stolicy. Wiernych katalog wykazuje 1,258.092.

13. Dyecezya łucko-żytomierska. *Habent sua fata et dioeceses* — możnaby o niej powiedzieć. Za czasów Rzeczypospolitej istniała dyecezya kijowska od 1321 r., lecz nieszczęścia, spadające na ten kraj, nie dozwalały biskupom utrwalić swej rezydencyi, zmuszając ich do tułania się po różnych miastach. Niekiedy dochodziła ta dyecezya do tak smutnego stanu, że raz liczyła zaledwie 7 kościołów. Biskupią rezydencyą wreszcie stało się w 1722 r. miasto Żytomierz na Wołyniu. Sąsiednia dyecezya łucka, jedna z największych w Polsce, rozciągała się wązkim a długim pasem z północy, począwszy od Prus, na południe aż po krańce województwa bracławskiego. Po rozbiorze Polski, gdy dyecezyę łucką rozkawałkowano pomiędzy trzy mocarstwa, część jej połączono z kijowską, czyli żytomierską, na prawach równości między obiema i tak połączona nazwaną została łucko-żytomierską (1798). Odpadła jednak od niej większa część dawnej kijowskiej dyecezyi z samem miastem Kijowem do arcybiskupstwa mohilewskiego, lecz 1848 z powrotem cała gubernia kijowska do niej została przyłączoną. Roku 1866 dodano do niej i całą dyecezyę kamieniecką, przez rząd skasowaną. Właściwa dyecezya

łucko-żytomierska obejmuje dwie gubernie, t. j. kijowską i wołyńską, posiada dwie katedry: w Łucku i Żytomierzu, ze wspólnymi jednak kanonikami. Konsystorz jest tylko jeden w Żytomierzu. Ludność katolicką oblicza najnowszy katalog na 482.640 dusz, a razem z kamieniecką — na 781.445. Obecny pasterz, ks. Karol Niedziałkowski, jest następcą kilku seryi biskupów, a mianowicie: 55 na stolicy kijowskiej, 45 na katedrze łuckiej i 6 na katedrze połączonej dyecezyi łucko-żytomierskiej.

14. Dyecezya kamieniecka, założona r. 1375, wykazuje nieprzerwany szereg 57 biskupów aż do Antoniego Fijałkowskiego, późniejszego metropolity mohilewskiego. R. 1866 zwiniętą i do łucko-żytomierskiej przyłączoną została. Jak w mińskiej i podlaskiej, tak i w tej skasowanej dyecezyi zwinięto nie tylko katedrę, ale kapitułę, konsystorz i wszelkie inne instytucye dyecezalne. Niegdyś obszerniejsza, dzisiaj zajmuje tylko podolską gubernię i wiernych liczy 298.805.

15. Dyecezya tyraspolska, przedtem nazywana również chersońską. Utworzono ją r. 1848 przy ogólnem rozgraniczeniu biskupstw w obrębie cesarstwa rosyjskiego. Przy tworzeniu nowych biskupstw wymaga się, aby nadawać im nazwy od znaczniejszych miast. Kiedy na ochrzczenie swem imieniem nowej katolickiej dyecezyi na południu Rosyi, żadne z miast, o których myślano, nie dawało swej zgody, wyszukano maleńką mieścinę w gubernii chersońskiej — Tyraspol, nie posiadającą wcale ani katolickiego kościoła, ani, podobno, katolików i jej imię nadano nowemu biskupstwu. Biskupi osiedli w Saratowie nad Wołgą i tam zbudowali katedralny kościół. Pierwszym biskupem został Ferdynand Kahn (1850—1864), następnie rządził tą dyecezyą sufragan Wincenty Lipski (1865—1872), po nim biskupi dyecezalni: Franciszek Zottmann (1872—1890); Antoni Zerr (1890—1902), Edward Ropp (1902—1904) i wreszcie obecny pasterz, ks. Józef Kessler od r. 1904. Po archidyecezyi mohilewskiej, tyraspolska dyecezya jest największą w Rosyi co do przestrzeni. Obejmuje przeszło milion kwadratowych wiorst i wklucza w sobie całe południe Rosyi, począwszy od granic Rumunii, aż do Kaspijskiego morza i Uralu. Chocim i Tyflis podlegają temu samemu bisku-

powi. Ludność katolicka łacińskiego obrządku składa się przeważnie z kolonistów niemieckich i w mniejszej tylko części z Polaków i wynosi 337.683 osób. Osobliwością tej dyecezyi jest to, że juryzdykcyi biskupa tyraspolskiego podlegają i Ormianie-unici, mieszkający na Kaukazie i w Krymie w liczbie 37.088 dusz [1]. Ormianie posiadają swoje nacyonalne duchowieństwo, święcone wszakże przez łacińskiego biskupa w Saratowie. Wszystkiej więc ludności katolickiej dyecezya tyraspolska posiada 374.771 dusz.

Ludność katolicka pod berłem rosyjskiem, licząc ją według dyecezyi, w dzisiejszych prawem rządowem określonych granicach, tak się przedstawia w porządku stopniowej liczebności biskupstw:

Archidyecezya warszawska	1,742.289	dusz
Dyecezya lubelska z podlaską	1,545.373	»
» wileńska	1,442.421	»
» kujawsko-kaliska	1,297.820	»
» żmudzka	1,258.092	»
Archidyecezya mohilewska z mińską . .	1,125.000	»
Dyecezya kielecka	968.569	»
» sandomierska	823.991	»
» płocka	793.298	»
» łucko-żytom. z kamieniecką .	781.445	»
» sejneńska.	691.572	»
» tyraspolska wraz z Ormianami	374.771	»
Razem .	12,844.641	dusz
W tej liczbie z dyecezyi w Królestwie .	7,862.912	dusz
» » » w Cesarstwie.	4,981.729	»

Podziałów katolickiej ludności według narodowości dyecezalne katalogi nie uwzględniają, więc i my je pomijamy.

Sufraganie.

Według etatów, określonych przez rząd w porozumieniu ze Stolicą Apostolską, biskupi dyecezalni w państwie rosyjskiem (nie licząc dyecezyi skasowanych) winni mieć do pomocy w funkcyach pasterskich 22 biskupów-sufraganów, mianowicie: arcybiskup mo-

[1] Zresztą jest kilka parafii ormiańskich i w dyecezyi kamienieckiej.

hilewski trzech (mohilewskiego, inflanckiego i połockiego), biskup żmudzki trzech (żmudzkiego, miednickiego i kurlandzkiego), biskup łucko-żytomierski trzech (żytomierskiego, łuckiego i kijowskiego), biskup wileński trzech (wileńskiego, trockiego i brzeskiego), biskup tyraspolski dwóch (tyraspolskiego i saratowskiego), arcybiskup warszawski dwóch (warszawskiego i łowickiego), biskupi zaś: kielecki, lubelski, włocławski, sandomierski, płocki i sejneński po jednemu. Z tych sufraganii wiele jest takich, których nigdy nie obsadzano, a obecnie tylko dwóch biskupów: warszawski i żmudzki mają każdy jednego sufragana; wszystkie inne sufraganie wakują.

Kapituły.

Są dwojakiego rodzaju: katedralne i kolegiackie. Po kasacie trzech dyecezyi, kapituł katedralnych zostało 13, gdyż dyecezya łucko-żytomierska posiada ich, jak wiemy, dwie. Skład kapituł katedralnych inny jest w dyecezyach Królestwa, a inny w Cesarstwie. W pierwszych ukazem z 26 grudnia 1865 określono ilość kanonii na 12 w każdej kapitule, w tej liczbie 4 prelatury. Przytem czterej najmłodsi kanonicy nie mają żadnej pensyi z tytułu kanonii. Inni kanonicy i prałaci pobierają niewielkie pensye, mianowicie prałaci po 375, a kanonicy po 300 rubli rocznie. W cesarstwie wszystkie kapituły, oprócz tyraspolskiej, liczą w swem gronie po 6 prałatów i 3 kanoników; tyraspolska zaś tylko 2 prałatury i 4 kanonie. Uposażenie ich od 200 do 600 rub.

Kapituły kolegiackie, niegdyś liczniejsze w Polsce, dochowały się tylko w obrębie Królestwa w liczbie pięciu, mianowicie w Łowiczu, Kaliszu, Pułtusku, Opatowie i Zamościu. Każda z nich liczy 3 prałatów i 4 kanoników; godności te jednak są tylko tytularne, bez obowiązków ale i bez wynagrodzenia.

Konsystorze i Kollegium.

Każda z 12 istniejących dotąd dyecezyi, posiada swój generalny konsystorz; nadto, jak wiemy, istnieją konsystorze podrzędne w Kaliszu, Piotrkowie i Pułtusku. Wszystkich zatem konsystorzów jest 15. W Królestwie członkami i urzędnikami konsystorzy są sami duchowni; w Cesarstwie zaś obok kapłanów pracują w nich i świeccy w cha-

rakterze sekretarzy, referentów i innych urzędników. Instytucyą centralną dla spraw kościelnych całego państwa jest Petersburskie kollegium katolickie, utworzone r. 1801 przez cesarza Aleksandra I w celach anty-kanonicznych, mianowicie przeniesienia punktu ciężkości w sprawach kościelnych z Rzymu do Petersburga. Z początku władza tej magistratury rozciągała się tylko do dyecezyi Cesarstwa, w r. 1867 poddano jej i dyecezye w Królestwie jednocześnie z rozszerzeniem atrybucyi kollegium. Stolica św. protestowała przeciwko tej uzurpacyi, kilku biskupów opór swój przypłaciło wygnaniem. Wreszcie jednak, po złagodzeniu odnośnej ustawy i ukróceniu praw owego kollegium, Stolica Apostolska pozwoliła biskupom r. 1875 wysłać ze swych dyecezyi asesorów do niego. Obecnie kollegium, o którem mowa, istnieje w roli biura, pośredniczącego we wzajemnych stosunkach między ministeryum a władzami dyecezalnemi i opiekuje się funduszami Kościoła katolickiego w Rosyi. W kollegium tem prezyduje z urzędu arcybiskup mohilewski, członkami są dwaj prałaci, asesorami delegaci z różnych dyecezyi. Przedtem każda dyecezya wysyłała asesora na 3 lata, przed paru jednak laty liczbę asesorów zredukowano do 4, czyli pozostawiono jednego na każde trzy dyecezye. Oprócz tego rząd nominuje swego prokuratora, urzędnika świeckiego, na wzór ober-prokuratury w prawosławnym Synodzie. Podrzędnymi urzędnikami kollegium są również osoby świeckie w liczbie kilkunastu.

Akademia i seminarya duchowne.

Każda z 12 dyecezyi posiada swoje seminaryum dla wychowania i kształcenia kleru. Ponieważ zwierzchni nadzór nad niemi, jak również i stanowienie programu nauk należy do odnośnych biskupów, przeto w urządzeniu poszczególnych seminaryów dają się zauważyć pewne różnice. Od kandydatów stanu duchownego żąda się wszędzie uprzedniego ukończenia 4 klas gimnazyalnych lub odpowiadających temu kursowi egzaminów. Czas trwania nauk seminaryjskich jest rozmaity w różnych dyecezyach; mianowicie waha się pomiędzy 4 a 6 latami. Na czele każdego seminaryum stoi regens; jako nadzorca wychowania i moralności alumnów

istnieje w Królestwie ksiądz vice-regens, w Cesarstwie zwany inspektorem. W Królestwie profesorami są sami duchowni, oprócz nauczyciela literatury i historyi rosyjskiej; w Cesarstwie jednak profesorów świeckich bywa więcej, gdyż im powierzane bywają katedry języków, historyi i t. p.

Wyższe teologiczne wykształcenie można odebrać w Rosyi w jednej tylko Akademii petersburskiej, otwartej r. 1842 po zwinięciu seminaryum głównego we Wilnie. R. 1867 zwinięto Akademię warszawską i odtąd petersburska Akademia stała się jedyną w całem państwie wyższą uczelnią teologiczną. Każda z dyecezyi ma prawo wysyłania do niej określonej liczby alumnów, którzy ukończyli przedtem seminaryum dyecezalne. Kurs nauk trwa 4 lata. Uczelnia ta nadaje stopnie akademickie z teologii i prawa kanonicznego. Na czele Akademii stoi rektor, profesorami są po większej części kapłani.

Liczbę alumnów w Akademii i seminaryach, jaka była z początkiem bieżącego roku, jak również czas trwania nauk w każdem seminaryum, uprzystępni następująca tablica:

Tablica a.

Dyecezye	Długość kursu seminaryjskiego	Liczba alumnów		
		W seminaryum	W Akademii	Razem
Warszawska	6 lat	130	6	136
Kujawsko-kaliska	6 »	151	5	156
Płocka	6 »	86	4	90
Sejneńska	6 »	66	5	71
Lubelska z podlaską	5 »	88	1	89
Sandomierska	6 »	92	3	95
Kielecka	5 »	69	6	75
Mohilewska z mińską	5 »	123	10	133
Wileńska	4 »	135	10	145
Żmudzka	4 »	151	6	157
Łucko-żytom. z kamieniecką	5 »	75	4	79
Tyraspolska	4 »	36	2	38
Ogółem		1202	62	1264

Oprócz tego dyecezya tyraspolska posiada wSaratowie seminaryum niższe z kursem 4 klas gimnazyalnych, jako przygotowawczych do seminaryum wyższego. Uczniów z początkiem tego roku było w niem 138.

(Dok. nast.).

Ks. Jan Urban.

W ARABII SKALISTEJ.

Wrażenia z podróży r. 1905.

(Ciąg dalszy).

Pilno nam do skamieniałej stolicy Nabatejczyków, więc by być najbliżej, nie zgłaszamy się w gościnę do szecha osady, ale wybieramy pod obóz najdalej ku zachodowi wysuniętą placówkę. Miejsce należy do najuboższej familii we wsi, która »nie posiada ani osiołka, ani owieczki«, według zeznania starej Beduinki. Nawet jej namiot świeci dziurami. Rozkładamy więc koce pod cieniem oliwki i spożywamy szybko obiad, złożony z jaj na twardo, surowego ogórka i arabskiego chleba — wszystko to ze sobą przywieźliśmy. Naszą wodą z Maan uraczyli się w drodze *mūkāri,* gdyż muł idący w tyle dźwigał obydwa worki wody. Na przyszłość trzeba być ostrożniejszym i brać miechy ze sobą.

Wypada jednak zaspokoić pragnienie, niezmiernie dokuczliwe. Domagamy się przeto wody od Beduinki, ta zaś przynosi nam worek tak estetycznie wyglądający, że na jego widok niedobrze się robi. Zawartość jego nielepsza: to płyn żółtawy, mocno cuchnący już z daleka. Ale w pragnieniu: ἄριστον μὲν ὕδωρ... wedle Pindara; pokonało ono wstręt; zbliżyłem wodę do ust. W tej chwili oddałem ją. Było to coś niepojęcie wstrętnego. Beduinka ze zdziwieniem patrzała na »konzulów«, którym ta woda nie smakuje, a przecież ona świeżo jej zaczerpnęła z... cysterny. Mam teraz małe wyobrażenie o tem, jak wyglądają cysterny na pustyni;

rozumiem, czemu tak często są powodem azyatyckiej cholery. Chcemy kupić mleka jakiegokolwiek, ale w całej wiosce niema ni *labbanu* (kwaśnego mleka) ni innego mleka, mimo takiej ilości kóz i owiec, które przed godziną spotkaliśmy. Trzeba się zgodzić z losem.

Idziemy z jednym przewodnikiem do »miasta grobowców« i wracamy dopiero wieczorem. Jednego żandarma wysłaliśmy tymczasem po wodę do źródeł Mojżeszowych (Ain Musa) o godzinę jazdy z Elżi. Ks. Lammens pozostał przy rzeczach z drugim żandarmem, a nasi *mūkāri* z Maan poszli odwiedzić swych znajomych.

Gdy wieczorem powróciłem z ruin, ujrzałem naszego Petrarchę w licznem gronie Beduinów. Cóż zaszło? Otóż zaraz po naszem odejściu zjawił się u ks. Lammensa szech wioski, imieniem Musa i jął go zapraszać w gościnę do siebie. Ale że jego chata daleko stąd, bo o półtorej godziny drogi, przeto nasz dyrektor odmówił. Natomiast znając dobrze Beduinów osiadłych i chcąc się uchronić od napaści lub odwiedzin nocnych, zaprosił nawzajem szecha i najznakomitszych przedstawicieli wioski na ucztę wieczorną.

A była to oryginalna, bo na wskroś beduińska uczta, której przypatrywałem się z zajęciem. Głównem (a dodajmy nawiasowo jedynem) daniem była *frikā*, ulubiony smakołyk beduiński, który jednak dość rzadko widzą. Gotuje się na pół potłuczone ziarna pszenicy w wodzie. Po odlaniu wody, wszystko gotowe. Aby jeszcze więcej uświetnić przyjazd »konzulów«, ks. Lammens polecił dolać do pszenicy roztopionego masła. Kosztowała nas ta uczta sześć franków dlatego, że pszenica na pustyni jest rzadkością a i masło dość drogie.

Na dwukrotnie powtórzone zaproszenie: *tafaddalu* (uczcijcie nas), zasiadają Beduini z szechem w środku naokoło ogromnego cebrzyka z friką. Ceremoniał wymaga, że zasiadłszy na ziemi do stołu i skrzyżowawszy nogi, podnosi każdy prawą rękę kolejno do piersi [1], czoła i ust na znak powitania, szacunku (lub podzię-

[1] Turcy przy przyjęciach ceremonialnych podnoszą rękę prawą do brzucha, czoła i ust.

kowania); powtarza się to tyle razy, ilu jest współbiesiadników. Zaczyna się uczta. Wydobywamy z torb łyżki, które zabraliśmy ze sobą. Beduini ze zdziwieniem patrzą na nas, ale jeść nie śmieją. Nie pomogły żadne prośby. Szech oświadczył, że dopiero po »konzulach« weźmie udział w uczcie. Trzeba było się poddać. Nabieramy przeto z cebrzyka po łyżce zgotowanej pszenicy i usiłujemy ją z chlebem przełknąć popijając wodą. Smak nie najgorszy, zwłaszcza na puste od wczoraj żołądki. Ale mimo głodu po piątej już łyżce czuje się każdy z nas sytym. Trzeba więc odłożyć łyżki na bok. Podsuwamy cebrzyk Beduinom.

Po powtórzonem zaproszeniu i ceremoniale powitania zabierają się teraz oni do uczty. Trzeba było widzieć, z jaką skwapliwością rzucili się na wielki a prawie pełny cebrzyk. Każdy z nich zanurza swą prawicę i wydobywa pełną garść cennej friki; z tego ubija w dłoni kulkę, wrzuca ją zgrabnie do ust, tak że żadne ziarno nie spadnie na ziemię — i popija... chlebem arabskim. Po pięciu niespełna minutach pełne naczynie wypróżniło się do dna. Płatami chleba wymywają je, łowiąc troskliwie ostatnie ziarnka nieocenionej friki. Teraz dopiero następuje picie wody wprost z worka, przykładanie rąk do piersi, czoła i ust z wyrazem *mamnūrak* (jestem twym dłużnikiem) i — nieodzowna kawa, którą szynkuje Beduin, strażnik santonu z góry Harun. Posiada on tylko dwie malutkie filiżanki z porcelany i napełnia je po kolei cenną, wonną moką. Ceremoniał nakazuje długo kosztować, kroplami połykać, mlaskać przytem językiem, jako oznakę, że się uznaje jej dobroć. Oddając filiżankę, podnosi się znowu rękę do czoła, piersi i ust i wymawia się słowo: *daiman* [1].

Po królewskiej uczcie następuje palenie tytoniu. Papieros czy fajka były do niedawna częścią integralną każdego przyjęcia na Wschodzie. Odmowa uchodziła za obelgę. Obecnie jednak »eleuterya« europejska sprawiła, że w Syryi i Arabii Skalistej, gospodarz już się nie obraża, iż gość jego nie pali. Nie będąc amatorem tytoniu, skwapliwie skorzystałem z tego wyłomu. Jesteśmy teraz nietykalnymi, bo według zwyczajowego prawa, z kim

[1] Dosłownie: »zawsze« (tj. obyś zawsze posiadał taką kawę).

Beduin napije się kawy, ten jest dla niego osobą świętą, gościem przez trzy dni.

Przy papierosie rozmowa poczęła się toczyć szybko i swobodnie, bo żandarmi oddalili się, by w wiosce kupić owsa dla koni. O czem rozmawiano, łatwo zgadnąć. Ostrożnie, przyciszonym głosem, rozglądając się na wszystkie strony, poczęto się pytać o wiadomości z Jemenu. Beduin tylko w Turku upatruje swego śmiertelnego wroga, przed którym się kryje, z którym politykuje, ale z Europejczykiem, mówiącym po arabsku, rozmawia otwarcie i szczerze. Wprawdzie z całej rozmowy zrozumiałem tylko piąte przez dziesiąte, głównie z powodu dziwnej wymowy [1] i akcentowania syllab — ale objaśnił mię później nasz nieoceniony Dyrektor. Nigdy nie sądziłem, aby sprawa zaszła tak daleko. Chociaż odcięci od Jemenu trzema tysiącami kilometrów pustyni, mimo to wiedzą oni prawie o wszystkiem. Jakież to podziemne kable donoszą im o tem, pytałem sam siebie i nie znalazłem zadowalniającego rozwiązania. Sympatya dla Arabów z Jemenu jest powszechną także w Syryi, a pragnienie odrębnej, niezależnej ojczyzny jest u wszystkich gorące. Nie przypuszczałem, aby ten *bacillus ethnologicus* — jak go raz dowcipnie nazwano — zaglądnął nawet aż do pustyń Arabii i zaszczepił się tak głęboko w organizmie i sercu jej mieszkańców.

W czasie rozmowy przypatrywałem się dokładnie typowi Beduinów z Elżi. To nie są Beduini, jakich się często spotyka po pustyni; to typ całkiem odrębny. Nawet dzieci, które u Beduinów są zwykle w całem tego słowa znaczeniu urocze, tu noszą, obok dziecięcej świeżości, charakterystyczne cechy całego plemienia *Liāzini*. Krępego, nizkiego wzrostu, mają oni barki szerokie, twarz nader kościstą, szczękę dolną wystającą naprzód,

[1] Wymowa samogłosek i spółgłosek zmienia się prawie w każdem plemieniu. Tak np. w Arabii Skalistej około Petra, wymawiają Beduini *gaf* jak *g*; *kaf* jak *cz;* nie rozróżniają *th* od *t*, *dal* od *dral*, *zain* od *za*. Na porządku dziennym jest przekształcanie samogłosek długich na inne dźwięki analogiczne. Ogólną zaś prawie cechą, jest dążność do zmiękczenia twardych lub syczących spółgłosek *sz* na *ś; ż* na *ź* i t. d.

piersi silnie rozwinięte a muszkuły rąk i nóg wydatne. Dodaje srogości ich postawie liche, podarte odzienie, które do połowy tylko zakrywa ich ciało. Dzieci, starsi, nawet sam szech Musa, chodzą w szmatach i łachmanach. Bo też to plemię jest prawie na wymarciu i jest bardzo ubogie.

Ale mimo wszystko są oni, zdaniem etnologów, prawymi potomkami Nabatejczyków, panów niegdyś całej krainy, obywateli skalistego miasta Petry.

Kim byli Nabatejczycy? jakie ich dzieje? Uczeni prawie wszyscy [1] godzą się na to, że starych biblijnych *Nebajotów* [2] należy zaliczyć do Arabów, których językiem ojczystym była arabszczyzna, a pismem charaktery aramejskie, podówczas bardzo rozpowszechnione [3].

Jakie ich zaczątki? ile wieków błądzili po pustyni arabskiej, przez jakie przechodzili metamorfozy — któż to wie? *Allāh a'lam.* Tyle pewno, że już w czasach przed Nabuchodonozorem zamieszkiwali dzisiejszą prowincyę Heżazu, a ich stolicą było miasto *Haźr* (Egra [4]). W VI wieku kolejno niszczył Nabuchodonozor królestwo judzkie, pustoszył ziemie Ammonitów, Moabitów, Edomitów, nie szczędził także oraz więcej oddalonych jak Dedan, Thema [5], Hasor i Cedar. Skutkiem tych wypraw zginęło niemało państewek i plemion semickich, ale Nabatejczykom nie wiele one zaszkodziły,

---

[1] O ile mi wiadomo, jedynie I. Halévy *(Dictionnaire de la Bible* I. vol. 862), zalicza Nebajotów do szczepu aramejskiego; X. H. Vincent O. P. (*Rev. biblique* 1898 p. 576) twierdzi natomiast, że byli wprawdzie Arabami, ale mówili językiem aramejskim.

[2] Por. *Gen.* XXV, 13; XXVIII, 9; XXXVI, 3. — *Isai.* LX, 7. — Księga I *Machab.* nazywa ich *Nabuthaei.*

[3] Nawet w późniejszych czasach, po podboju Rzymian, pasterze nabatejscy ryli dalej na skałach pozdrowienia *(salam)* nieboszczykom literami aramejskiemi. Nie trzeba im było znać całego alfabetu — ale wystarczało zapamiętać typowe znaki: (hebr. ם-ש). Nawiasowo dodaję, że alfabet nabatejsko-aramejski jest ze wszystkich alfabetów semickich, najwięcej podobny do alfabetu żydowskiego za czasów Chrystusa Pana.

[4] Niedawno temu znaleziono tam ważne a liczne inskrypcye, pochodzące z czasów przed Chrystusem.

[5] *Jerem.* XXV, 23, 24.

owszem dopomogły wzbić się wśród osłabionych sąsiadów do większej potęgi i znaczenia. Od tego czasu stają się pierwszorzędnym narodem w Arabii, zwłaszcza gdy plemię Cedar, starte przez władzcę Babylonu, zlało się z nimi w jedną całość. Wtedy to czując się dość na siłach ruszyli ku północy, zajęli całe wadi Arabah i okoliczne ziemice.

Za monarchii perskiej tworzyli już potężne państwo, którego stolicą była Petra [1], stara siedziba królów idumejskich, wspominana niejednokrotnie w Biblii [2]. Najstarszą a początkową osadę zbudowali sobie Nabatejczyczy na górze obeliskowej, zasłaniającej z południowego wschodu dzisiejszą Petrę (zob. o tem niżej). Ich kultura i religia była podówczas jeszcze swojską, arabską. Z czasem jednak stolica przeniosła się do doliny Musa, a ich kultura zatraca powoli pierwiastek narodowy. Za czasów greckorzymskich Nabatejczycy zajmują (czasowo!) terytorya Moabitów, Ammonitów i Hauran aż po Damaszek. (Tak więc państwo ich podówczas otaczało Palestynę ze wschodu i południa). Wyprawę Ateneusza, jenerała Aleksandra W. (r. 312), umieją zwycięsko odeprzeć, a nawet późniejsze powodzenie orężne Demetryusza zredukować do zera stałych korzyści.

Za Ptolomeusza wpływy greckiej cywilizacyi poczynają oddziaływać na Nabatejczyków skuteczniej, niż szabla. Ludowi handlarzy — jakimi byli obywatele Petry — zależało na tem, aby utrzymywać dobre stosunki ze Syryą i Egiptem, między którymi pośredniczyli w przemyśle. To też — mimo zamiłowania wolności, wrodzonego wszystkim Arabom, i mimo sympatyi dla Izraelitów, swych kuzynów, — zachowywali pozory uległości względem Pto-

---

[1] Nazwa Petry jest tylko przekładem hebrajskiego *Sel'a*. Zdaje się, że i Arabia Skalista *(Arabia petraea)* zawdzięcza swą nazwę miastu Petra.

[2] *Petra* dzisiejsze nie jest identyczne ze wszystkiemi miejscami Biblii, gdzie spotykamy słowo *has-sel'a*. Rzecz to zbyt jasna. Tak np. *Judic.* I, 36, odnosi się do *Cades*; IV *Reg.* VIII, 21 (gdzie Seir należy poprawić na Segor) odnosi się do dzisiejszego *Ror Safije*. Natomiast (według H. Vincent O. P. *Rev. biblique* 1898 p. 586, 587) w następujących miejscach Pisma należy prawie z naukową pewnością rozumieć przez *has-sel'a*, stolicę Nabatejczyków: IV *Reg.* XIV, 7; II *Paral.* XXV, 11, 12; *Jerem.* XLIX, 16; *Abdias* (wiersz 3, 4), *Izaj.* LX, 7 + LXII, 11. Wątpliwość zachodzi co do *Izaj.* XVI, 1.

lomeuszów i Seleucydów i chętnie kumali się z Grekami. Tak np. Aretas I, król nabatejski, gotów był w r. 169 dać schronienie arcykapłanowi żydowskiemu Jazonowi; ale gdy Jazona oskarżono o wrogie plany względem Antyocha Epiphanesa, Aretas nie chciał więcej słyszeć o Jazonie [1]. Natomiast, gdy walka żydowska o niepodległość zaczęła być pomyślną, Nabatejczycy nawiązali na nowo dobre stosunki z Judą Machabejczykiem (r. 164), a następnie z Jonatą (r. 160) [2].

Zupełną niepodległość wywalczył Nabatejczykom król Taim-Allat (Erotimos), korzystając z osłabienia Seleucydów i Ptolomeuszów (około r. 100 przed Chr.). Aretas III Philhellenos (85—60 przed Chr.) nadaje stolicy (Petra) charakter miasta greckiego i buduje teatr u stóp świętej góry obeliskowej. Za jego panowania państwo Nabatejczyków posiada najobszerniejsze granice (od Synaju aż po Damaszek). Ale to było jego nieszczęściem. Zetknąwszy się z Rzymianami (Pompejuszem) musi im płacić haracz. Jego następcy zwłaszcza Aretas IV, o którym wspomina św. Paweł [3], lawirowali długo wśród zamieszek politycznych owych czasów. Wreszcie wybiła i dla nich ostatnia godzina ich (*de facto* dotychczasowej) niepodległości, gdy Trajan (r. 105 po Chr.) zamienił ich państwo w prowincyę rzymską: *redacta in formam provinciae Arabia* — jak lakonicznie mówią kilometrowe słupy onej wspaniałej drogi, którą Rzymianie poprowadzili z Bosra (w Hauranie), aż do brzegów Czerwonego Morza.

Główne bogactwo i zajęcie Nebajotów. stanowił handel złotem, srebrem i wonnościami; a Petra położeniem swojem wśród gór niedostępnych, nadawała się dobrze na skład pieniędzy [4] i towarów. Nawet utrata niepodległości i zamienienie w prowincyę rzymską nie zachwiało jej znaczeniem i bogactwy; owszem je rozwinęło. Dzięki drogom rzymskim Petra stała się węzłem karawan, zdążających z Palmiry do Egiptu i Arabii szczęśliwej.

Teraz to groby i budowle — które już w II i I wieku przed

---

[1] II *Mach.* v, 8.
[2] I *Mach.* v, 25; ix, 35.
[3] *Cor.* xii, 32.
[4] Petra posiadała własną monetę!

Chr. stawiać poczęto — zjawiają się w wielkiej liczbie i w całym blasku. Tę ilość grobowców tak pięknych i olbrzymich należy przypisać i ich pochodzeniu. Jako prawdziwi Arabowie starają się mniej o mieszkania doczesne (prosty namiot na to wystarcza) ale głównie i przedewszystkiem o mieszkanie pośmiertne. Gdy zaś w III wieku po Chr. zyskali obywatelstwo rzymskie, to i grobowce przedstawiają nam ich jako obywateli Rzymu.

W cóż wierzyli ci arystokraci pustyni? Religia ich ma wiele cech wspólnych z religią Arabów w epoce przedislamickiej. Inskrypcye nabatejskie wspominają bardzo często i na pierwszem miejscu bożka *Duszara*[1] (grecka forma: Δυσάρης); jest on dla nich symbolem słońca, wszystko odradzającego. Według Suidasa odbierał Duszara cześć pod postacią czarnego czworograniastego kamienia, wysokiego na 4 stopy a szerokiego na 2 stopy, który spoczywał na złotej podstawie. Była to więc petrejska Kaaba[2]. Jeszcze za czasów Epiphaniusa czczono Duszarę (i jego dziewiczą matkę) w Petra szczególnem świętem 25 grudnia. Wtedy to urządzano procesye z pochodniami i śpiewem na górę świętą. Za czasów greckiego synkretyzmu mieszano często Duszarę z Dyonizosem.

Obok bóstwa Duszara-Dyonizos, oddawali Nabatejczycy cześć bóstwu żeńskiemu, które było analogicznem do greckiej Uranii, a które zwali Allat[3] (wedlug Herodota 'Αλιλάτ). *Allāt* była powszechnie czczoną boginią, nie tylko u Nabatejczyków i mieszkańców całej Arabii, ale i u Palmiran, Fenicyan, Kartagińczyków, a nawet u Assyryjczyków. Uchodziła ona za matkę bogów. Mohamed, aby jej kult wyplenić, burzył jej świątynie i w Koranie[4] osobno o niej wspomina. — Obok charakteru Matki Bogów,

---

[1] Niektórzy filologowie (jak Pockoke i Lewy) wyprowadzają nazwę *Duszara* od arabskiego *Du* (*zu:* właściciel, pan) i góry *szarat* (biblijnej Seir), gdzie odbierał kult; Duszara więc znaczyłoby władzca gór Szarat.

[2] Por. F. Baethgen: *Beiträge zur semitischen Religionsgeschichte.* Berlin 1888 p. 92 sqq.

[3] *Allat* oznacza tyle co *Al-ilahat.* »bogini«, κατ' ἐξοχήν — podobnie jak *Allah* = *Al-ilah*, »bóg«, κατ' ἐξοχήν. Wskutek tego w Syryi obecnie chrześcijanie, Żydzi i mahometanie nazywają jedynego Boga: *Allah.*

[4] *Sura* 53.

Allat była czczona jako bogini księżyca i zajmowała pierwsze miejsce w żeńskim panteonie Nabatejczyków.

Jako podrzędne bóstwa odbierali cześć u Nabatejczyków: Aumos, Baalszam, Aziz, Kasiu, Manot, Hobal i t. d. — były to mniej więcej personifikacye gwiazd i nieba.

Z tego wszystkiego wynika, że Nabatejczycy — podobnie jak i inni Arabowie — byli w początkach wyznawcami sabeizmu (kultu gwiazd). Tem się tłómaczy także, że — jak zobaczymy niżej — na miejsce kultu w najdawniejszych czasach wybrali najwyższy punkt Petry.

Wszak cześć ciał niebieskich na szczytach gór, skąd je w całym blasku oglądać można i niejako z niemi przestawać, jest dość naturalnym objawem. Dopiero później pod wpływem greckim, spotykamy u nich świątynie budowane na nizinie lub kute w skale.

Chrześcijaństwo przyjęli Nabatejczycy dość wcześnie, a nazwiska biskupów *(Petra deserti)* są wzmiankowane na soborach.

Petra upadła dopiero wtedy, gdy za nowego państwa perskiego pod Arsakidami, handel świata inne sobie wybrał drogi. Podczas najazdu Arabów, ani wzmianki nawet o niej nie czynią pisarze. Krzyżowcy, którzy zagnieździli się w Kerak, zaglądnęli i do Petry, gdzie wystawili na *el-Wu'aira* (a prawdopodobnie i na górze świętej) fortece, dominujące nad położeniem. Z upadkiem wypraw krzyżowych i zamczyska uległy zniszczeniu, a o istnieniu stolicy Nabatejczyków zapomniano. Dopiero z początkiem XIX wieku (w sierpniu 1812 r.) odkrył jej pomniki i groby słynny badacz i podróżnik J. L. Burckhardt[1].

Jeśli jednak miasto Petra wymarło, a potężne państwo Nebajotów legło w gruzach, zostawiając po sobie tylko podziw wzbudzające pomniki i grobowce w swej stolicy — to nie wy-

[1] Na politowanie zasługuje ignorancya uczonych tureckich redaktorów, którzy jednogłośnie przed rokiem ogłosili zdumionemu światu, że przy budowie kolei mekkańskiej odkryto to cudo starożytności, stolicę Nabatejską; że więc ta kolej, choć młoda, położyła już zasługi wszechświatowej wartości dla nauki.

gasł w zupełności lud Nabatejczyków. Nieliczne rozbitki ocalały z pogromu i, kryjąc się po niedostępnych jaskiniach wśród rozpadlin skał, przechowały do naszych czasów cechy charakterystyczne i fizyonomię starych Nebajotów. I tych to właśnie znędzniałych i skarłowaciałych epigonów miałem długo przed oczyma podczas uczty i po kolacyi, w czasie swobodnej pogawędki.

Powrót żandarmów przerwał wynurzenia Lizianów na temat kwestyi arabskiej. Beduini w tej chwili wrócili do swej zimnej obojętności; twarze ich nie zdradziły w niczem przebiegu rozmowy, a pogadankę skierowali zręcznie na przedmiot zupełnie obojętny.

Zachodzące właśnie słońce rzucało ostatnie blaski i złociło cudnie poszarpane szczyty Esz-Szaratu i góry Haruna. Na ten widok szech Musa wstał, dając znak zgromadzonym Beduinom, by uczynili to samo. Następnie z powagą nie licującą trochę z jego wiekiem [1], zapowiada obecnym i każe powtórzyć wszystkim innym, że »konzulowie« posiadają prawa gości w plemieniu, przeto powagą Allaha i swoją własną, zakazuje choćby dotknąć się tylko rzeczy cudzoziemców, wielkiej czy małej, cennej, czy bez wartości. Nakazuje nadto oddalić się wszystkim i nie przeszkadzać podczas spoczynku.

A spoczynku tego gwałtem potrzebowałem. Od wyjazdu z Damaszku nie spałem dotychczas wcale. Trudy trzydniowej podróży w wagonie i na koniu, przy braku odpowiedniego pożywienia, a przedewszystkiem przy braku wody, dawały mi się niemało we znaki. Spodziewałem się, ba, byłem pewny że zasnę. To samo myśleli i moi towarzysze. Zandarmi ulokowali się już obok koni; my idziemy w ich ślady. Każdy rzuca się w ubraniu na matkę-ziemię, owija się kocem, pod głowę bierze swe siodło. Przed samym snem chusteczką należy zawiązać oczy, aby silna rosa

[1] Jest to młody człowiek 25—30 letni; wybrano go szechem może dla względnie większej zamożności, a może dlatego, że ojciec jego był głową osady.

nocy nie wygryzła wzroku i aby księżyc będący blizko pełni nie raził światłem powiek.

To pierwsza noc, spędzona w Arabii, na stepie, pod gołem niebem, na ziemi z siodłem pod głową! Pod koniec mej 36-dniowej podróży byłem już zupełnie oswojony z takiem żołnierskiem przepędzaniem dni i nocy. Ale w początkach było to dla mnie wielką, a powiedzmy otwarcie, przykrą nowością.

Mimo to pierwsze godziny nocy upłynęły błogo i mile. Wszak wystarczało otworzyć oczy i patrzeć przed siebie.

Nox erat, et coelo fulgebat luna sereno
Inter minora sidera

powtórzyłby bez wątpienia Horacy; ale gdyby był w Petra nie omieszkałby wspomnieć o cudnym widoku, który się rysował na horyzoncie.

Jakoż na zachodzie dźwignął swe dumne czoło Żebel Harun i spogląda hardo po mniejszej swej braci. Ostatki rozpalonego zachodem nieba czerwienią jeszcze jego wierzchołki, gdy wschodzący z przeciwległej strony księżyc srebrzy je już nowem a uroczem światłem, które pełza wolno po zboczach skał, rzucając długie cienie w doliny. W tem oświetleniu te dzikie gór szczyty i cały łańcuch otaczających je pagórków, przybierają najfantastyczniejsze kształty zaklętych zamków, czy miast i napełniają duszę mimowolną powagą i szacunkiem. Spłoszone światłem spuszczają się ku dolinom coraz to nowe cienie, niby nabatejskich rycerzy, kryją się po niedostępnych pieczarach, nierade, że oko śmiertelnika śmie je podpatrywać, śmie przerywać ich zasłużony spoczynek po wiekowej pracy.

Majestat nocy posiada w sobie coś niepojęcie czarującego. Tem więcej tu na stepie, pod niebem czystem jak kryształ, którego nie kaziła żadna chmurka, ni przesłaniały opary ziemi. Godzinami też patrzyłem na biegi ciał niebieskich i gubiłem się w tych przestworzach wszechświata, które kryją przed nami tyle tajemnic, tyle zagadek.

Kontemplacyi przeszkadzało nieco twarde łoże i równie

twarda poduszka, wycie owczarskich psów, rżenie koni, chrapanie żandarma i niemiłosierne mrówki. Te same powody nie pozwalały oka zmrużyć. Zasnąłem dopiero nad ranem, gdy już zorza zaczęła bielić gór szczyty, a jutrzenka spędzać cienie nocy.

Już dniało.

(C. d. n.)

Ks. Władysław Szczepański.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Z dziedziny kaznodziejskiej.

II.

»Krótkie homilie i nauki. Cz. I. Od I niedzieli Adwentu do Wielkanocy«. — Ks. Feliks Leliwa Józefowicz: »Egzorty świąteczne do młodzieży szkolnej«. — Ks. Karol Józef Fischer, bisk. tyt. melleński, sufr. przemyski: »Kazania i przemowy pasterskie do ludu wiejskiego«. — Ks. K. Smogór »Wykład przypowieści P. Jezusa w kazaniach«. — O. Wiktor Kolb T. J.: »Precz z trucizną — tylko zdrowy pokarm!« Przemowa. — Ks. dr. Józef Pelczar, biskup przemyski o. ł.: »Mowa żałobna wypowiedziana nad zwłokami ś. p. O. Henryka Jackowskiego T. J.«

Po przeczytaniu tytułu [1], a tem więcej słowa wstępnego, zabiera się do czytania tych krótkich przemówień z pewnem uprzedzeniem, mówiąc sobie niejako w duszy, co z góry nakazane i na urząd, jak to mówią, zrobione, zapewne nie musi być dobrem. Tymczasem jest to szczęśliwa pomyłka, bo w miarę jak się je czyta, zainteresowanie wzrasta i nie bez rzeczowych powodów.

Mowy te rozpadają się na homilie, po dwie na każdą niedzielę i święto. Ogółem homilii jest 58, a nauk 28.

Cechą ich główną zewnętrzną — to krótkość, wewnętrzną — to ja-

[1] »Krótkie homilie i nauki, wydane z polecenia Najprzew. Arcypasterza ks. Floryana Stablewskiego. Część I. Od I niedzieli Adwentu do Wielkanocy«. Poznań. Drukiem i nakł. drukarni i księgarni św. Wojciecha. 1906. 8-ka mała, str. 377.

sność rozkładu i wykładu przedmiotu. Za tekst służy przytoczona na początku odnośna ewangelia niedzieli czy święta. Ogólnie można te nauki tak rozgatunkować, że pierwszą homilię zaliczamy do formy homilii analitycznej, drugą do syntetycznej, nauka zaś przybiera formę doskonałego kazania, pełnego nieraz żywych uczuć. Treść w homiliach zależy od treści ewangelii; jest ona dogmatyczno-moralna. Po krótkiem wytłumaczeniu odnośnego zdania z ewangelii w sensie literalnym, kaznodzieja przechodzi do zastosowań życiowych. Treść nauk jest rozmaita. Dogmatyczna w naukach na niedzielę II i III Adwentu o Panu Jezusie jako Mesyaszu, na IV Adwentu o Bóstwie Chrystusa Pana, o jedności Kościoła (str. 202), Kościół ma prawo stanowić przykazania (str. 160). Kwestya socyalna o ubóstwie znakomicie przedstawiona w nauce na Boże Narodzenie (str. 59), ze stanowiska socyalno-katolickiego; o Kościele, rzecz przepyszna w tonie polemicznym, homilia II na niedzielę IV po Trzech Królach (str. 186), o zacności pracy (str. 216), ze stanowiska apologetycznego nauka o przyczynach niedowiarstwa (str. 83).

Wykład w tych homiliach jest nadzwyczaj jasny, bogato objaśniony cytatami z Pisma św. i Ojców św. a nawet tu i owdzie z pism ascetycznych. Dwie homilie wraz z nauką tak się bardzo często dopełniają, że stanowią nieraz jednolitą całość.

Przedstawienie wogóle żywe i zajmujące, odpowiednio do charakteru i talentu autora. Kto je pisał — nie wiemy; dowiadujemy się tylko z przedmowy, że jest to praca zbiorowa kilkunastu kapłanów z archidyecezyi gnieźnieńsko-poznańskiej. To pewna, że trzy nauki na jedną niedzielę czy święto są dziełem jednego i tego samego autora. Po odrębnym charakterze stylu, przedstawienia, dowodzenia, objaśnienia przedmiotu, rozróżnić się da na pewno kilku autorów.

Tak spokojnym rozwojem myśli, tonem dydaktycznym, przytaczaniem zdań Ojców odznaczają się homilie i nauki I, II i III niedz. Adwentu, I niedz. po Trzech Królach, niedziela Starozapustna. Rozumowanie, jak również przytaczanie zdań Ojców i Pisma św. napotykamy w niedzieli po Bożem Narodzeniu, na Nowy Rok, na III niedzielę po Trzech Królach. Nauki na V i VI niedz. po Trzech Królach, na święto M. B. Niepokalanej cechuje styl okresowy i bogactwo podobieństw. Brakiem zaznaczania miejsc tekstów przytaczanych cechują się nauki na I, II i III niedzielę Postu — są atoli i dodatnie strony niemałe. Wreszcie dramatycznością przedstawienia, polotem myśli, jędrnością wyrażenia, poetycznością języka, rysami, zdradzającymi

wielki talent krasomowczy, uderzają czytającego homilie i nauki na IV niedz. Adwentu, na niedz. po Nowym Roku, na święto Trzech Króli, na II i III niedz. po Trzech Królach. Są to cacka oratorskie np. nauka na niedzielę po Nowym Roku (str. 106).

Wobec tych zalet i stron bardzo dodatnich wydawnictwa tych kazań nikną drobne braki językowe np. wyrażenie: »dzisiajszy«, »poseła«. Zwracamy natomiat uwagę szanownym kapłanom współpracownikom, że dobrze będzie ze względów praktycznych zaznaczać w naukach, choć krótkich, odmienne myśli liczbami początkowemi, jak również pragnęlibyśmy, by i wyimki z Ojców św. były opatrzone odnośnikiem do miejsca, skąd były zaczerpnięte.

Jesteśmy przekonani, że praca ta zajmie poczesne miejsce w literaturze homiletycznej i niemałą odda przysługę nie tylko tym kapłanom, dla których jest tak chlubnie podjęta, ale i ogółowi.

Zdaje nam się, że egzorta dla młodzieży szkolnej, zwłaszcza gimnazyalnej, powinna mieć następujące zalety. Treść powinna być przeważnie dogmatyczno-moralną, wyjąwszy nauk okolicznościowych, rzecz gruntownie obrobiona, mianowicie w podaniu jasnych filozoficzno-dogmatycznych określeń, w rozwinięciu dowodów dogmatycznych z okrasą teologiczno-rozumowych objaśnień, koloryt naukowy, przedstawienie żywe, barwne i jędrne, tu i ówdzie wypowiedziane we formie zasady czy hasła wielkiej myśli, styl żywy, potoczysty, barwny, nieraz z odcieniem poetycznego nastroju. Forma winna być o ile możności zbliżoną do formy klasycznej, nierzadko atoli wobec młodzieży wolno jej będzie zerwać tamy klasycznych granic i przemienić się w gorący wylew porywających uczuć i myśli. Zastosowanie zaś praktyczne, uwzględniając psychologiczną stronę ducha młodzieży, winno zawsze tak być przedstawione, żeby porywało młodę serce swą pięknością i szlachetnością, obudzało w niem zapał, a tak z nienacka weszło do niego, jakby nie było narzucone, ale było samorzutne. Młodzież tylko wtedy idzie za czemś, co jej się podoba, co ją zapałem porywa, a nosi na sobie cechy jakby jej własnych myśli i własnych postanowień.

Według tych postulatów sądząc niniejsze egzorty [1], musimy powiedzieć, że, aczkolwiek nie zbywa im na zaletach, za wzór jednak

---

[1] »Egzorty świąteczne do młodzieży szkolnej«, napisał ks. Feliks Leliwa Józefowicz. Wydanie drugie przerobione i znacznie pomnożone. Lwów. Z drukarni Józefa Chęcińskiego. 1906. 8-ka większa, str. 248.

egzort uchodzić nie mogą. Brak im przedewszystkiem głębszych myśli, poloru naukowego i polotu słowa. Wiele też pozostawia do życzenia zastosowanie praktyczne. Nadają się one raczej dla księży parafialnych z powodu spokojnego toku nauczania i charakteru ogólnego. Są one przeważnie treści moralnej — do dogmatycznych w części zaliczyć można kazanie o Trójcy Przenajśw. (str. 182). Więcej zastosowane do młodzieży są nauki o Świętych Pańskich, jak o św. Stanisławie Kostce, o św. Kazimierzu.

Drugie w krótkim czasie wydanie kazań czcigodnego autora[1] najlepiej rekomenduje takowe P. T. Braciom Kapłanom, a recenzenta zmusza do sumiennej ich oceny. Czcigodny autor położył na początku swych kazań słowa katechizmu rzymskiego, jako wskazówkę swej pracy, a zarazem i kamień probierczy jej wartości. Słowa katechizmu głoszą dwie zasady bardzo ważne w kaznodziejstwie, zwłaszcza w kaznodziejstwie ludowem; aby 1) słuchający rozumieć mogli, aby 2) malutcy z głodu nie umierali. Czcigodny autor wywiązał się ze swego zadania świetnie i, można powiedzieć, stworzył wzorowe nauki dla ludu wiejskiego.

Co do treści, są one przeważnie dogmatyczno-moralne, tak że zastępują i wykład katechizmu prawd wiary świętej i jasno nauczają o przepisach moralności. Niektóre z nich są czysto dogmatyczne, jak cztery nauki na cztery niedziele Adwentu (str. 69—92), jak o Niepokalanem Poczęciu nauki cztery. Piąta nauka o tej samej prawdzie jest w treści moralną, w sposobie przedstawienia podniosłą. Tu należą jeszcze nauki o »Znamionach Kościoła« (str. 272), o piekle (288). Są i czysto moralne, są i liturgiczne np. o Adwencie, Roratach (str. 13), o Mszy św. zwanej Pasterką (str. 103). Znajdują się także nauki i o charakterze socyalnym, jak o wychowaniu dzieci, o obowiązkach gospodarzy względem sług (str. 262).

Repertoar tedy tego tomu jest bardzo bogaty i bardzo urozmaicony.

Jeśli się zapytamy o główną rzecz, o którą najwięcej chodzi w kazaniach ludowych, to jest o przedstawienie jasne i zrozumiałe,

---

[1] Karol Józef Fischer, biskup tyt. melleński, sufragan przemyski: »Kazania i przemowy pasterskie do ludu wiejskiego. Tom I, obejmujący czas od pierwszej niedzieli Adwentu do Środy Popielcowej«. Wydanie drugie powiększone. Przemyśl. Nakładem A. Juszyńskiego. 1905. 8-ka większa.

doprawdy lepszego, bardziej popularnego wykładu wyobrazić sobie chyba nie można. W tych kazaniach ludowi nic nie jest obcem, on wszystko tam zna, przez pojęcia swoje dochodzi do poznania prawd Bożych, on się tam na każdym kroku z życiem swojem spotyka, on wraz z kaznodzieją myśli, czuje, cieszy się i trwoży, płacze i pokutuje i do cnoty się zachęca, modli się i do Boga się zbliża. To też te kazania owiane są duchem prawdziwie Bożym i prawdziwie pasterskim. Pasterz-kaznodzieja w naukach tych uczy, ostrzega, prowadzi, karmi i karci, zachęca i podnosi na duchu swoje owieczki, a odpowiednią do każdej pory roku kościelnego (str. 13) i do rozmaitych zajęć domowych owieczkom swoim strawę gotuje. Lud z tych kazań wie, jak ma się zachować nie tylko w kościele, ale i w domu, na polu, na zabawie, jest nawet wspaniała sylweta naszego ludu, jak się zachowuje w gospodzie. Bardzo ładne, ważne i praktyczne są kazania o umartwieniu (str. 20), o odkładaniu pokuty (str. 43), o wychowaniu dzieci (str. 156, 193), o obowiązkach gospodarzy względem sług (str. 262).

Ze stanowiska homiletycznego zalecają się te nauki tem, że kaznodzieja przemawia do ludu prawie słowami Pisma św. Jasne zaś przedstawienie rzeczy nabiera wielkiej wagi dla rozlicznych przykładów, czerpanych obficie z Żywotów św. — co tem godniejsze pochwały, że czcigodny kaznodzieja szuka wzorów cnoty dla naszego ludu w żywotach Świętych polskich. Myśli zaś Boże, wyrażone często słowami znanych pieśni kościelnych, wprost pięknością swoją zachwycają.

Nie można się też skarżyć na brak rozmaitości w formie czyli w układzie kazań. Nie jest on klasyczny zawsze, to prawda, ale przystosowany do poziomu intellektualnego ludu, raz przypomina formą kazanie, to znowu rozwija się w formie katechizacyi wyższej, jak kazanie o stworzeniu świata, to kiedyindziej w formie homilii zwykle syntetycznej. Nadto po kilka kazań rozmaitej formy na jedno święto czyni ten tom nauk bardzo zajmującym i pożytecznym dla P. T. Braci Kapłanów.

Ośmielimy się atoli zwrócić uwagę naszą na jedno. Zdaje nam się, że wskutek przeoczenia zakradła się pewna niedokładność w nauce »o grzechach powszednich« (str. 301), którą należałoby przy następnem wydaniu poprawić, mianowicie, powiedziano tam, że przez grzech powszedni »łaska ta (a mowa jest o łasce poświęcającej) zmniejsza się«, na co się żaden teolog nie godzi. To też czcigodny kaznodzieja w tem samem zdaniu słusznie naucza, że »nie traci człowiek przez grzech powszedni łaski poświęcającej«, a gdyby prawdą było,

że Ona się zmniejsza; ostatecznie kiedyś musiałaby się wyczerpać. Tem bardziej uważamy to za przeoczenie tylko, że w drugim punkcie tego kazania (str. 304) jest właśnie mowa tylko o tem, że grzech powszedni wstrzymuje wiele łask uczynkowych, a niema wzmianki żadnej o zmniejszaniu się łaski poświęcającej przez grzechy powszednie.

Oprócz tego sądzilibyśmy by i ludowi, przy tłumaczeniu stworzenia świata, podać najprawdopodobniejsze tłumaczenie egzegetyczne znaczenia sześciu dni, a nie utwierdzać go nadal w tem mniemaniu, jakoby Pan Bóg *de facto* w ciągu 6 dni według naszego dzisiejszego pojęcia dnia świat nasz miał stworzyć. Lud dziś spotyka się z trudnościami odnoszącemi się do stworzenia świata, dowiaduje się, że katolicy uczeni rozumieją inaczej, niż dosłownie, wyrażenie Pisma św., dowiaduje się też o zapatrywaniach materyalistycznych na tę kwestyę, a nie mogąc pogodzić tych zdań z zapatrywaniami, jakie sobie wyrobił słuchając kazań, czy ucząc się katechizmu, łatwo natrafia na trudności i w podejrzenie podaje szczerość słyszanych w kościele nauk.

Z całą jednak szczerością przyznajemy wielką wartość homiletyczną tym kazaniom czcigodnego autora, i uważamy je za cenny nabytek w dziedzinie kaznodziejstwa popularnego.

Kazania te można nawet polecić czytelniom ludowym, jako książkę do czytania a wielki byłby z tego czytania pożytek, tem większy, że może te kazania czytać z zajęciem i pożytkiem i wykształcony człowiek.

Oryginalna praca Szanownego Autora spotkała się już z uznaniem na łamach naszego pisma po wydaniu tomu I. Drugi tom [1] nie zawiódł położonych nadziei, ale owszem utrzymał się na wyżynie swego zadania. Szanowny Autor na tle przypowieści podaje w tym drugim tomie »reguły i przepisy, wedle których ma członek Kościoła w danych wypadkach i okolicznościach postępować«. (Przedmowa).

Przypowieści te wykłada autor we formie homilii syntetycznej, rozwijając ich główną myśl, którą stara się odnaleźć badając okoliczności wśród jakich zostały wygłoszone. Po omówieniu właściwej myśli Chrystusa Pana, autor czyni krótkie zastosowanie do życia.

Nauki są krótkie, nieraz aż za krótkie, 5 minutowe, np. Stracona Drachma XV, Syn Marnotrawny XVI, 2, 3, ale we wszystkich czuć świeżość myśli i pewną energię w ich oddaniu.

---

[1] Wykład przypowieści P. Jezusa w kazaniach. Ks. K. Smogór. Tom II. Chicago 1906. 8-ka mała.

Co do treści są one przeważnie egzegetyczno-moralne. Najwięcej dogmatycznie omówiona nauka o piekle, w przypowieści »Gody Syna Królewskiego«, nauka 3. Zastosowania praktyczne na czasie, odpowiednie do stosunków miejscowych, nieraz bardzo ważne, jak np. o talentach, by naprawę społeczeństwa zaczynać od siebie (str. 73), o szkole wyznaniowej (str. 190) i t. d. Zarzucićby tylko można Szanown. Autorowi, że raz tylko wspomniał św. Augustyna, a zresztą zupełnie pominął powagę Ojców świętych, których poglądy mają przecie tuż po Piśmie świętem największe znaczenie w kaznodziejstwie, a zwłaszcza w homiletycznej egzegezie. Szkoda także, że autor poddając słuchaczom ładne nieraz postanowienia, nie poucza ich zarazem, jakby te postanowienia w czyn mogli wprowadzić. Świadczy to jednak o wielkiej gorliwości kapłańskiej autora, że często spotykamy się ze zachętą do spowiedzi i do unikania grzechu ciężkiego. Nie wiem atoli czyby się każdy zgodził na poglądy autora na stan rolniczy, wypowiedziane w homilii II, nauka trzecia. Mimo to wszystko, ładne myśli i ładna forma wydania zachęcają do zapoznania się z temi naukami. Styl odznacza się pewną jędrnością, jest przytem potoczysty i gładki.

Wielkie podziękowanie należy się tłumaczowi niniejszej mowy ks. Kolba T. J. [1], tem większe, że ją przez dodanie odpowiednich dopisków spopularyzował i na dobry, gładki, poprawny język polski przełożył. Zaznajomienie ludu śląskiego, jak i wogóle polskiego z treścią tej znakomitej mowy sławnego kaznodziei i mowcy, godne jest trudu i nakładu. Z tej bowiem mowy dowie się czytelnik o całem niebezpieczeństwie, jakie grozi katolickim interesom ze strony złej, przewrotnej żydowsko-masońskiej prasy, zapali się do zwalczania takowej, a popierania pism katolickich, zapozna się też i ze środkami, jakich w tej pracy używać należy. Dodatek tłumacza p. t. »Brońmy się i nie dajmy się«, zawierający odpowiednie do tej treści wyimki z encyklik Ojca św. Leona XIII, Piusa X i pism biskupów, świetne wywody mowcy objaśnia i popiera. Znakomite przedstawienie rzeczy, pełne wdzięku i krasomowczego artyzmu sprawia, że się rzecz czyta nie tylko zajmująco, ale i z pewną ducha rozkoszą.

---

[1] »Precz z trucizną! tylko zdrowy pokarm!«. Przemowa O. Wiktora Kolba T. J. o znaczeniu prasy wygłoszona na V wiecu katolików Austryi we Wiedniu dnia 20 listopada 1905. Tłumaczenie z niemieckiego. Cieszyn 1906. Nakładem »Dziedzictwa błog Jana Sarkandra dla ludu polskiego na Śląsku«. Drukiem Kutzera i Sp., c. i k. dostawców dworu. Dodatek do *Gwiazdki Cieszyńskiej* z dnia 27 stycznia 1906, nr. 4. 8-ka mała.

Czcigodny autor skreśliwszy wielkimi rzutami a z niemałą oratorską gracyą życie pełne pracy i poświęcenia O. Henryka Jackowskiego [1], uwydatnił wspaniałe rysy charakteru tego Bożego męża i słuchaczów swoich odpowiednim nakarmił duchownym chlebem. Ładna ta mowa W. Czcigodnego autora, pełna prostoty, jak życie ś. p. O. Jackowskiego, ale zarazem pełna wdzięku i jakiegoś Bożego namaszczenia, jak zmarłego cnoty, pozostanie na zawsze miłym i wdzięcznym pomnikiem na grobie zasłużonego dla Kościoła, Ojczyzny i Zakonu cichego i pokornego Bożego sługi.

Ks. Henryk Haduch.

Kronika Drohojowskich. Na podstawie badań archiwalnych opracował *dr. Jan hr. Drohojowski.* Cz. I. Sumaryusz aktów. Część II. — Wydane w 200 egzemplarzach jako manuskrypt nakładem rodziny. Kraków. 1904. W 4-ce, 270, 200 i 220.

Bez kronik rodzinnych nie można pisać monografii wybitnych osobistości, bez nich zaś niepodobna myśleć o dokładnej historyi narodu. Nie mamy jej też w Polsce i nie prędko mieć będziemy. Dlatego witamy radośnie każdą kronikę rodzinną, tem bardziej opartą, jak niniejsza Drohojowskich, na aktach grodzkich i ziemskich, czerskich, halickich, krakowskich, przemyskich; na archiwach *Jugo Zapadnoj Rossii,* bernardyńskich we Lwowie, Komisyi hist. Akad. Umiej. i watykańskich, na Metryce Koronnej i Dyaryuszach sejmowych. A przytem wzięte są w rachubę dzieła heraldyczne dawne i nowsze Piekosińskiego, Muczkowskiego, Bonieckiego, Żychlińskiego i opracowania poważne, jak: Wierzbowskiego »Uchansciana«, Korzeniowskiego »Orichoviana«, »Listy Hozyusza«, Andrzeja Zebrzydowskiego, »Relacye nuncyuszów polskich«, »Źródła dziejowe« Pawińskiego, *Acta rectoralia* Wisłockiego, *Premislia sacra* ks. Pawłowskiego, »Jagiellonki polskie« Przeździeckiego, »Prałaci i kanonicy gnieźnieńscy« ks. Korytkowskiego i t. d. i t. d. W wielu razach autor prostuje mylne twierdzenia heraldyków i autorów, których cytuje. Głównie zaś opiera się na »Sumaryuszu aktów z XV, XVI i XVII wieku, tyczących się rodziny Drohojowskich« w archiwum bernardyńskiem we Lwowie i archiwum

[1] »Mowa żałobna, wypowiedziana przez Najprzewieleb. ks. d-ra Józefa Sebastyana Pelczara, biskupa przemyskiego obrz. łac. nad zwłokami ś. p. O. Henryka Jackowskiego T. J. w Chyrowie dnia 8 marca 1905 r.« Podług stenogramu Konopki Włodz., ucznia VII kl. Chyrów. Czcionkami drukarni Józefa Styfiego w Przemyślu. 1906.

krajowem w Krakowie, częścią wydanych, częścią niedrukowanych dotąd, a jest ich 1331 i podaje treść ich w części II, str. 1—200. I na drugim »Sumaryuszu aktów w archiwum rodziny Drohojowskich« jest ich 1139, streszczonych na 146 stronicach.

Pięcioletnia to i mozolna, jak sam autor przyznaje, praca i dokładnie przeprowadzona. Poprzedza ją krytyczna rozprawa o herbie Drohojowskich Korczak, objaśniona 11 drzeworytami, która jednak nie tłumaczy pochodzenia herbu, ani pierwotnej jego historyi.

Sama zaś kronika Drohojowskich do pierwszych lat XV wieku okryta mgłą niepewności. Roku 1422 umiera władyka lwowski, Atanazy Drohojowski, o którym nic więcej nie wiemy, tylko że był władyką od r. 1415. Protoplastą rodziny (ruskiej, prawosławnej) był Jan de Drohojow, znany z aktów sądowych od 1437 r., który z Anną z Dydatych miał 3 synów i tyleż córek. Najstarszy Jan umiera bezdzietny, zato najmłodszy Aleksander, żonaty z Jadwigą z Krukienic, ma 5 synów i 3 córki. Dwaj synowie Aleksandra bezżenni, trzeci, Aleksander zwany Olyechno, z żoną Anną Ossowską schodzą także bezpotomnie. Czwarty Teodoryk, dwa razy żonaty, zostawia 2 synów, Andrzeja i Olechno, którzy zakładają rodzinę Krukienickich z Drohojowa. Wreszcie piąty syn Aleksandra, Jan Parys z żoną Katarzyną Orzechowską zostawił 5 synów i córkę.

Najstarszy Jan, przeszedł na rzymską wiarę, obrał stan duchowny, został biskupem kamienieckim, chełmskim, kujawskim, pierwszy z Drohojowskich senator. Autor nasz poświęca mu 7 stronic a prostuje niektóre twierdzenia Damulewicza i Bartoszewicza, przyznaje, że biskup zrazu sprzyjał nowinkom, przestawał z Fryczem Modrzewskim i dyssydentów, między nimi brata swego Stanisława, trzymał na swym dworze w Wolborzu, ale po upomnieniu z Rzymu i rozmowie z nuncyuszem Lipomano, odmienił się zupełnie i był dobrym biskupem do śmierci 1557 r.

W miarę obfitości źródeł autor rozwodzi się szerzej lub skąpiej o swych przodkach. Brat biskupa, Jan Krzysztof, sekretarz króla Batorego, który jako komisarz królewski uspokoił Gdańszczan. Trzej jego synowie: Jan Tomasz, Kilian i Jan stają się założycielami najstarszej, wygasłej już koło 1680 r. linii Drohojowskich.

Stanisław, najmłodszy brat biskupa, także sekretarz królewski, a potem kasztelan przemyski († 1583) »dobrze ojczyźnie zasłużony«, autor poświęca mu 8 stronic. Był on dyssydentem, mimo to pochowany w kaplicy Drohojowskich w katedrze przemyskiej.

Jan Tomasz Drohojowski, najstarszy syn sekretarza królewskiego Krzysztofa, starostą był przemyskim, posłem do króla francuskiego Henryka i do sułtana tureckiego 1575 r.; pod hetmanem Zamojskim odbył wyprawę na Wieliz, Wielkie Łuki i Zawołocie 1580 r. i drugą na Psków 1581—1582, Zygmunt III mianował go referendarzem koronnym 1589 r. Mimo tych zalet pieniaczem był i awanturnikiem, umarł też wskutek rany w wojnie domowej ze Stanisławem Stadnickim na Lesku 1605 r. Rozpisał się o nim nasz autor na 25 stronicach (51—76), umieszczając jego portret i podpis, i przytaczając listy, a wyborną charakterystykę jego podał Wł. Łoziński w »Prawem i lewem« II, 151.

Drugi syn sekretarza król. Krzysztofa, Kilian, poseł na sejm, podkomorzy przemyski, równie jak 4 jego synowie i wnukowie, piastują ziemskie urzęda, procesują się i zajeżdżają, słowem ponad poziom zamożnej, ale butnej i awanturniczej szlachty przemyskiej nie wyrośli.

Powiedzieć to samo można o młodszej linii Drohojowskich, po Mikołaju, trzecim synu Jana Parysa, a bratanku biskupa kujawskiego, wygasłej 1760 r. Dwóch z tej linii wstąpiło do stanu duchownego. Stanisław, syn Jerzego a wnuk Mikołaja, kanonik gnieźnieński a potem opat Cystersów w Szczerzycu, który r. 1628 odwiedził Jezuitów u św. Barbary w Krakowie i u nich celebrował. I drugi, Zygmunt Drohojowski, syn Stefana a prawnuk Mikołaja, z Janem, Tomaszem i Janem Parysem Drohojowskimi złożył kapitał 12.000 złp. (roczny procent 820 złp.) na powiększenie fundacyi kanonii przy katedrze przemyskiej, zrobionej przez rodzinę Drohojowskich r. 1700 i sam został pierwszym kanonikiem, zachowując przytem dwa probostwa, w Kosienicach i Żurawicach. Postąpił potem na kustosza, wreszcie na dziekana przemyskiej kapituły, † 1746.

Zato linia Drohojowskich po Stanisławie, kasztelanie przemyskim, kwitnąca. Syn jego z pierwszej żony Włoszki, Urszuli Guezy, Jan, dworzanin i sekretarz króla Stefana, uczestniczy w wyprawie na Połock 1579 r. W 10 lat później jest marszałkiem trybunału koronnego; r. 1590 zostaje kasztelanem sanockim, ma trzech synów: Macieja Stanisława, Jana Parysa i Piotra Pawła; od nich idą nowe linie Drohojowskich, które także ponad poziom dobrze urodzonej i osiadłej szlachty się nie wznoszą. Odznaczył się tylko Jan Stefan z młodszej gałęzi po Janie Parysie i syn jego awanturniczością i bratobójstwem Władysława Ferdynanda Drohojowskiego. Skazany przez trybunał na banicyę

i konfiskatę, drwił z dekretu, bo uzyskał u króla Jana dyplom na rotmistrza JKM., zbierał więc żołnierzy i awanturował się po dawnemu (str. 134—141).

Zabity przez brata Stefana Władysław Ferdynand był ojcem Jana, kasztelana czernichowskiego, którego syn Józef otrzymał r. 1765 kasztelanię przemyską, umarł 1770 r., zostawiwszy z Barbary Wolskiej 7 synów, 3 córki. Z synów Iwo, Klemens i Józef poświęcili się stanowi duchownemu; Józef, Reformat, pielgrzymkę swą do Ziemi św. (1788—92) ogłosił drukiem; Jan, Wiktor i Antoni otrzymali 7 lutego 1782 r. tytuł hrabiów austryackich, stąd cała ta linia nosi nazwę »hrabiowskiej«, kwitnąca dotąd. Jan i Seweryn służyli w wojsku polskiem, odbyli kampanię 1812 r.

Młodszym synem zabitego Władysława Ferdynanda był Józef, miecznik przemyski: linia po nim wygasła koło 1820 r.

Wygasła także gałąź najmłodsza po Krzysztofie, synie kasztelana przemyskiego, Stanisława, na prawnuce Joannie Katarzynie z Drohojowskich Rybińskiej koło 1720 r.

Mamy więc trzy jeszcze gałęzie kwitnące Drohojowskich. Jedna szlachecka po Władysławie Ferdynandzie zabitym przez brata Stefana, do której należą Drohojowscy na Czorsztynie; druga staro-szlachecka po Janie Parysie, synu Jana, kasztelana sanockiego, z początku XVII w.; trzecia hrabiowska od Jana, kasztelana czernichowskiego, † 1716, do której nasz autor się zalicza.

Nie jako lektura ale jako źródło historyczne »Kronika Drohojowskich« ma rzetelną wartość i zaszczyt przynosi autorowi. Wydanie staranne, zbytkowne prawie. Tekst zdobią liczne portrety i podobizny. Przy końcu części I indeks alfabetyczny, mapa ziemi przemyskiej i tablica genealogiczna. Przy końcu części II indeks alfabetyczny do obydwóch sumaryuszów.

Ks. St. Załęski.

Runy i runiczne pomniki słowiańskie. Napisał *dr. Jan Leciejewski.* Lwów 1906. Str. 207.

Nowe to dzieło uczonego docenta uniwersytetu lwowskiego, wprowadza nas w dziedzinę całkiem obcą ogółowi czytającej publiczności. A zwłaszcza u nas prawie nikt nie interesuje się runami; można więc przewidywać, że — w najbliższym przynajmniej czasie — tylko garstka badaczy specyalistów zechce zapoznać się z treścią tej książki i zasługę autora ocenić. Trudniej już przewidzieć, o ile ta ocena będzie

korzystną i jakie stanowisko zajmie krytyka naukowa wobec wyników, do których dochodzi dr. Leciejewski.

Dotąd przyjmowała większość naszych uczonych bardzo sceptycznie wszelkie próby odczytania »runicznych napisów słowiańskich«, bo próby te nie doprowadzały do rezultatów, których prawdziwość mogła uchodzić za stwierdzoną. Otóż dr. Leciejewski jest przekonany, że udało mu się odcyfrować »runy«, wyryte na kilkunastu pomnikach starożytnych, a mianowicie na t. zw. »brakteacie z Wapna« (który znajduje się obecnie w berlińskiem »Muzeum starożytności północnych«), na »medalu krakowskim«, »figurce lednickiej«, »kamieniach mikorzyńskich«, na dwóch pomnikach czeskich (nagrobek w Skalsku i urna drahelczycka), na słowackim graniczniku bodińskim na kilku pomnikach rosyjskich (urna alekanowska i skorupy z urn w tejże wsi znalezione), a wreszcie na urnie, wykopanej na cmentarzysku przedhistorycznem we wsi Czechach (w powiecie brodzkim).

Jeżeli twierdzenia Szan. Autora ostoją się wobec zarzutów, z którymi się niewątpliwie spotkają, trzeba będzie wynikom jego badań przyznać doniosłość ogromną. Najpierw bowiem dostarczą one dowodu, (którego dotąd nikt nie zdołał przeprowadzić), że Słowianie używali znaków runicznych, zanim przyjęli chrześcijaństwo i zapoznali się z pismem łacińskiem. Dotąd odmawiali im niektórzy badacze bardzo poważni znajomości pisma (por. np. rozprawę A. Małeckiego p. n. »Co rozumieć należy o runach słowiańskich i autentyczności mikorzyńskich kamieni?«), a słowa mnicha bułgarskiego Chrabra, który opowiada o nich, że »czytali i wróżyli«, używając do tego karbów i znaków wyciętych, tłómaczono: »rachowali i wróżyli«. Otóż dr. Leciejewski dowodzi, posługując się bardzo trafnymi, jak sądzę argumentami (str. 126 i dalsze), że Chrabr musi tu mówić o piśmie runicznem. A dalej odniesie i archeologia i filologia korzyść niemałą z odczytania tych napisów. Jeżeli się sprawdzi, że na »medalu krakowskim« wyryto z jednej strony słowa: *Krzestow witjandz* (t. zn. »rycerz chrześcijański«), a z drugiej strony: *Dziewica Maćy czanłowek* (t. z. »Matka ludzi«) i że medal ten kazał wybić Mieszko I, na pamiątkę przyjęcia chrześcijaństwa przez Polskę, będzie zarazem rzeczą udowodnioną, że naród nasz posiadał już w r. 965 pewną oświatę, skoro posługiwał się pismem i że już wtenczas przyjął Matkę Boską za swoją Patronkę i Królowę. Filolog zaś przyjmie z wdzięcznością wykrycie formy: *czanłowiek*, rzucającej nowe światło na pochodzenie i znaczenie wyrazu: »człowiek«; według autora (str. 89) powstał on z indo-europejskiego

k'nlo (sanskr. kala-s = dźwięczny, miły) i tematu vak, oznaczającego »mowę« (por. łac. vox-vocare) i znaczy tyle, co: »dźwięczny głos mający«, »dźwięcznie mówiący«.

Na kamieniach mikorzyńskich wyczytał autor napis następujący: *Smiř žiretwan ledžyt* i *Smirnogo oćec Lutewoi woiu s(ynowi)*, co znaczy po nowopolsku: »Smiř żertwą (ofiarą — jako ofiara) leży, — Smirnego ojciec Lutewoj wojownikowi synowi« sc. kazał ukuć te kamienie.

Nie będąc specyalistą w tym zakresie badań, nie ośmielam się wydać własnego sądu o dziele d-ra Leciejewskiego. Zdaje mi się jednak, iż trzeba je w każdym razie uważać za bardzo poważny i bardzo cenny przyczynek do nauki o runach.

Ks. dr. Aleksander Pechnik.

Lądem i morzem. (Z mojego pobytu w Kastylii. — Na obczyźnie wśród swoich. — Gdzie wygnańcem był Cezar. — Dwa tygodnie na Bornholmie). *Stanisław Bełza.* Warszawa-Kraków, Gebethner i Sp. Poznań, Leitgeber.

Sympatyczny turysta obdarza nas nowym tomikiem swoich opisów zwiedzanych krain. Wrażliwość subtelna i delikatna, przysłonięta tęsknotą słowiańską, która umysłowi ciekawemu zdaje się zawsze szeptać: wróć się — nie znajdziesz szczęścia nigdzie, skoro go niema w ojczyźnie, cechuje te kartki. W Kastylii pustka, wyludnienie i ubóstwo, w zestawieniu z dawnymi cudami pomaurytańskiej architektury, każą mu żałować tego ludu przemyślnego, gospodarnego i pracowitego, który odchodząc, wypierany ze swoich siedzib, pozostawił kwiaty swojej kultury i fantazyi. Czytając to, czujesz, że: *El sospiro del Moro* unosi się wiekami nad dawnem dziedzictwem Maurów. Melancholia turysty ustępuje miejsca oburzeniu na bezmyślne okrucieństwo tłumu podczas walki byków: opuszcza cyrk przybity i zgnębiony, ma odrazę do ludzi i wstydzi się za ludzi — pisze: — »Nie chce się myśleć o ich szlachetnych w pogoni za ideałem wysiłkach, o ich zasługach dla cywilizacyi, o ich wielkiej miłości dobrego, szlachetnego niekiedy, ich poświęcenia. Myśli się o tem, dokąd zajść mogą, gdy rozbudzą w sobie instynkta, które w nich wiecznie drzemać powinny, gdy natura zwierzęca przytłumi w nich Boską, gdy poczną pełzać w dzikich żądz błocie. Myśli się — i dreszcz przechodzi ciało, bo się wie, że wszystkie szatańskie tryumfy i uciski, w podobnem źródle początek miewają«.

»Bo jeśli wiara, jak ktoś słusznie powiedział, jest kwiatem życia i kiedy ona zniknie, wtedy życie powabu jest pozbawionem, to serce jest regulatorem pochodu człowieczeństwa naprzód, i skoro ono w kamień się obróci, skazówka na zegarze duchowego rozwoju świata, zatrzymać się na wieki w swoim pochodzie musi«.

I oto — jednym tchem, z pod gorącego nieba i z pod opustoszałej ziemi Kastylii, »gdzie człowiek drzemie a natura kwitnie« tyle, ile sama chce, przenosi się do Danii, a już sam tytuł rozdziału »Na obczyźnie wśród swoich« mówi, po co tam dąży. Pod szarem, chłodnem niebem ziemia uprawiona starannie, ład, porządek i gospodarność połączone ze wstrzemięźliwością i oszczędnością, a na tej ziemi, nasi wychodźcy z kroplami potu łzy tęsknoty sieją. Ten tęskniący Słowianin, pracuje jednak dobrze i pilnie, aż zwraca na siebie oczy myślącego a z czułem sercem Duńczyka, który wnet odgaduje czego tej wędrownej za chlebem rzeszy potrzeba. Chleba nie mają! za doczesnym gonili, a wiecznego głodni — i oto zrozumienie tej wiekuistej potrzeby daje naszym robotnikom opiekuna, który z energią apostolską wyucza się po polsku, wznosi w Maribo kościół, naucza, katechizuje i kazania mówi po polsku, robi wycieczki w najdalsze krańce Zelandyi i Jutlandyi, staje się opiekunem i nauczycielem, więc do niego, do ks. Edwarda Ortweda najpierw z hołdem za swoich, bieży autor, ale nie zastaje go w domu.

Niedziela — w otwarte drzwi kościoła wchodzą znane autorowi i strojem i rysami gromadki i to dostarcza parę ładnych, serdecznych kart jego książce.

Na początku III rozdziału: »Gdzie wygnańcem był Cezar« spotykamy piękną, myślącą głowę i tajemnicze wejrzenie Cezara-Napoleona, a o kilka kart dalej wytworną, delikatną główkę kobiety, której losy, wbrew jej usiłowaniom złączone fatalizmem z losami Cezara, nawet w poniżeniu poezyą wierności i cierpienia owiane, budzą współczucie, dla tej szlachetnej bezinteresownością i poświęceniem Polki, która zawsze o sobie zapominać umiała.

Polak zawsze musi czuć trochę, czar legendy napoleońskiej, która shypnotyzowała początek zeszłego stulecia: »O roku ów — dotąd lubią starzy o tobie gwarzyć — dotąd pieśń o tobie marzy...« więc i nasz wędrowiec błądzi ze smętnem uczuciem po malutkiem państwie wielkiego Cezara, daje nam obraz Elby geograficzno-kulturalny i »ptasim rzutem« ukazuje Cezara wygnańca, zaznaczając wielkoduszność jego w upokorzeniu i niedoli. Kto czytał wspaniałe wy-

znania Napoleona na wyspie Św. Heleny, chętnie w tej mierze przyzna słuszność autorowi. Umysł dojrzewa w nieszczęściu, a myśl zdobywcy świata w nadziemskie unosi przestrzenie. Ale to życie na Elbie, bez goryczy i skarg, przejmując podziwem autora, nasuwa mu porównanie »z wściekłością innego, historycznego również męża, bliższego nam terytoryalnie kraju, który nie upadły i nie zdradzony, jak Napoleon przez nikogo, ale tylko usunięty dla swojej bezgranicznej pychy od władzy, gorszył świat wstrętnymi objawami swojej zjadliwej małoduszności«.

Północna przyroda pociąga wędrowca, bo IV rozdział przenosi nas na Bornholm i daje zajmująco treściwy obraz należącej do Danii wyspy, kreśli jej dzieje, stare i zajmujące; — wylicza oryginalnej budowy okrągłej kościoły, które czasu władania na wyspie biskupów, jednocześnie za twierdze służyły, zaznacza bogactwo wsi, czystość domostw i miłe a ulubione przez najuboższe kobiety pielęgnowanie kwiatów, wzdychając czemu to nie u nas? — tak! prawda, czemu nie u nas?... Opisem lasu w Almindingen, który jest chlubą całej wyspy, zamyka autor nieduża, ale bardzo zajmującą, o czystych kartach, a często idealnych myślach książkę.

A. Rejowicz.

Z piśmiennictw obcych.

Z nowszej literatury hiszpańskiej.

J. M. Aïcardo S. J.: »De literatura contemporánea«. — P. Luis Coloma S. J.: »Estudios del siglo XVI: »Jeromin«. — »La Reyna Martir«. — »Historia de las Sagradas Reliquias de San Francisco de Borja«. — »Nuevas lecturas«. — »Cuentos para ninos«.

Rzecz znamienna, że im mniej się w jakim kraju dzieje, tem więcej się pisze — i odwrotnie, nie licząc oczywiście porostu broszur i dzienników, które wokoło każdego politycznego wypadku rodzą się jak grzyby po deszczu. W Hiszpanii od szeregu lat dzieje się niewiele, a gdy się coś dzieje, to się dzieje źle. Atrament zato w ciągłej robocie, a książki dziwnej taniości. To, co w Krakowie płacimy po 3 korony, ceni się w Madrycie albo w Sewilli na 1 pesetę, a przecież druk wyraźny i papier niezgorszy. Szkoda tylko, że pomimo tak ła-

twych warunków pieniężnych, nie każdy czytający może dojść do wiedzy, bo dzieł poważnych rodzi się bardzo mało; te zaś, które istnieją są zazwyczaj przekładami z obcych języków. Natomiast literatura powieściowa płynie coraz szerszą falą. Tak przynajmniej sądzić można z tego, co nas dochodzi, niemniej jak z katalogów księgarskich. Co więcej, ludzie wracający z Hiszpanii wydają zgodną opinię o lekkości umysłu i płytkiem wykształceniu większości narodu. Być może, iż dlatego właśnie uczeni tak mało piszą, że nie znaleźliby czytelników. Ten ostatni rodzaj w krajach cywilizowanych rekrutował się, zwłaszcza przed ruchem »emancypacyi« kobiet, pomiędzy słabszą połową rodzaju ludzkiego: w Hiszpanii tymczasem brak gruntownych wiadomości uważanym był do niedawna za warunek wdzięku i niemal cnotę u kobiet.

Pisząc zatem o obecnej działalności literackiej w Hiszpanii nie ma się wiele do powiedzenia o jej stronie poważnej. Wprawdzie ks. Aïcardo T. J. w swoim traktacie o piśmiennictwie współczesnem *De literatura contemporánea* poświęca 161 stron pracom krytycznym w dziedzinie bibliografii, filozofii i literatury; trudni się jednak nie samemi dziełami ale ich sprawozdaniami i ocenami. Same dzieła zaś pochodzą rzadko z pod hiszpańskiego pióra. Lepiej snać dzieje się z wymową kościelną. Ks. Aïcardo omawia zdolności i działanie czterech kaznodziei: O. Ogara T. J., O. Costa H. C. I., ks. d-ra Calpena i O. Fr. Campana — poczem całą resztę swego obszernego tomu poświęca belletrystyce. Figuruje w niej i Sienkiewicz, traktowany bardzo pochlebnie w pomniejszych szkicach, ale absolutnie niezrozumiany ani w *Quo vadis,* gdzie jest oskarżony o danie wyższości światu pogańskiemu nad chrześcijańskim, ani w »Pójdźmy za Nim«, gdzie już autor hiszpański posuwa się do równie grubych, jak niesłusznych zarzutów. Taki brak bystrości czy sprawiedliwości odejmuje ufność do sądu o innych... Wogóle trudno orzec o wartości dzieła O. Aïcardo, znając tylko kilka z obrobionych w niem utworów. Wydaje się czasem podejrzliwy, czasem zbyt surowy; w niektórych ustępach nie dotyczących moralności i wiary miałoby się czasem ochotę nie tylko o Sienkiewicza się wykłócić. Jest to jednakowoż dzieło pomocne do przeglądu literatury hiszpańskiej.

Jak już powiedziano powyżej, dzieła poważniejszej treści stanowią tam mniejszość, która jednak, jak każda prawie »mniejszość«, więcej przedstawia wartości od »większości« hałaśliwej i tłumnej. Stanowią ją studya historyczne. Co prawda pole do tej pracy ogromne. Archiwa monarchii, w której »nie zachodziło słońce«, kryją jeszcze obfite kopalnie

skarbów a do tej Kalifornii ciągną badacze i raz wraz ukazuje się światu jakiś zbiór dokumentów lub jakieś opracowanie źródłowe. Niedawno niezrównana organizacya Sodalicyi w Barcelonie wyznaczyła osobną sekcyę dla sposobienia młodych adeptów do archiwalnej pracy. Na tem polu też spotykamy z niemniejszą radością jak zdziwieniem słynnego autora *Pequéneces, Juan Miseria* i t. d. O. Coloma. Wprawdzie już z niektórych jego poprzednich szkiców można się było domyśleć, że łatwo na tę drogę zboczy, jeśli wogóle zboczeniem nazwać można przerzucenie wielkiego talentu z dziedziny wyobraźni w dziedzinę historyi. Tematy jego nie nowe, tylko że to co inni opisali nudno i sucho lub opiewali fałszywie, ks. Coloma przedstawił prawdziwie i barwnie. Przyszło mu to oczywiście z wielkim nakładem trudu trzeba bowiem ciężko pracować, aby módz coś dokładnie a lekko nakreślić, trzeba całkowicie opanować swój przedmiot; trzeba jednem słowem daleko więcej o nim wiedzieć, niż to, co się o nim pisze. Autor w szkicu historycznym powinien być jak śpiewak, w którego śpiewie znać, że nie wydaje całego głosu.

Takie też właśnie wrażenie jasności i siły odnosi się czytając najnowszy utwór O. Colomy: *Jeronim*[1], zawierający dzieje dzieciństwa i młodości Don Juana d'Austria, późniejszego zwycięzcy z pod Lepanto. Co prawda wybór przedmiotu możnaby nazwać umysłowym sybarytyzmem, bo trudno zwłaszcza dla Hiszpana o świetniejszą epokę i sympatyczniejszego bohatera. To też O. Coloma widocznie lubuje się w swym przedmiocie, w opisanych ludziach, miejcowościach i rzeczach; miałoby się ochotę powiedzieć, że idealizuje, gdyby dzieło nie zamykało się nieco raptownie w chwili, gdy chcąc trzymać się prawdy, zmuszony ton weselny na minorowy zamienić. Czytelnik otwierający książkę ma przed sobą kilkanaście godzin prawdziwej rozkoszy, połączonej z niemałym nabytkiem wiedzy. U nas zwłaszcza — prócz bitwy pod Lepanto — mało kto wie cośkolwiek z dziejów Don Juana: wielu nawet miesza go z przysłowiową osobistością »zjadacza serc« niewieścich, o którego losach pisano poezye i dramaty a Mozart przesławną urządził operę. Otóż Don Juan d'Austria, syn Karola V, nie miał absolutnie nic wspólnego z bajeczną, średnich wieków sięgającą postacią Don Juana de Maranha, równie jak nie mieli z nią nic wspólnego liczni królewicze hiszpańscy noszący toż imię. Dziwnem zrządzeniem

[1] *Jeronim.* Estudios historiccos sobre el siglo XVI, por el P. Luis Coloma de la Compánia de Jesús. Bilbao 1905. Str. 391.

los ich bywał przeważnie smutny a życie krótkie, do czego niejeden z nich własną się winą przyczynił. O Don Juanie d'Austria tego powiedzieć nie można, i nie dziw, że ks. Luis Coloma dał się oczarować jego wdziękiem, że, jak sam mówi w przedmowie, przewertował księgi, kroniki i akta, aby go czytelnik »poznał i pokochał«. Dodaje rzecz dziwniejszą: »Gdyby nie to, że k t o ś, k t ó r y d o b r z e o t e m w i e d z i a ł, już przed wielu laty zapewnił, że Don Juan jest w niebie, powiedziałbym ci, abyś polecił Bogu tę wielką i miłosierną duszę. Skoro zaś już jej tego nie potrzeba, proszę cię w zamian o to, co bez wątpienia tobie samemu się przyda: abyś naśladował jego wielkie cnoty a unikał jego wad, które też były niemałe. Z tem więc i z błogosławieństwem Bożem ucz się i baw książką o Jerominie spokojny, że w niej nie spotkasz jednego wyrazu nie pochodzącego z czystego historycznego źródła. Być może, iż miejscami się mylę i ciebie omylam, zostaje nam wszakże pociecha, że się mylimy nawspół z dziejopisarzami pierwszego rzędu...«

Don Juan był, jak wiadomo, synem wielkiego »cezara« Karola V i wysoko urodzonej Barbary de Blomberg. Ks. Coloma ukazuje go nam na pierwszych stronicach małym chłopaczkiem, goniącym po polach wraz z innemi chłopiętami wioski Leganes. Ubrany jak wieśniak, posiadający za całą wiedzę sztukę ubijania wróbli z procy, chował się tu od roku 1550 pod opieką Franciszka Massy (skrzypiciela) *violeur de S. M.* a potem tegoż wdowy Anny de Medina, kobiety prostej, znającej tylko jego chrzestne imię Hieronim (Jeromin) i domyślającej się w nim syna jakiegoś bogatego pana. Wielkie tedy było jej zaciekawienie a zarazem i żal, gdy w pięć lat później ujrzała zajeżdżające przed swoją chatę »żółte pudło na kołach« i wysiadającego zeń w poważnym stroju grubego Flamandczyka, Adryana Prevost, który na mocy karty, podpisanej niegdyś przez jej męża, upomniał się teraz o dziecko w imieniu Don Luisa de Quijada, jednego z najulubieńszych domowników cesarza. Jeromin został przewieziony w »żółtem pudle« do Walladolid, gdzie w czasie kilkodniowego pobytu w klasztorze zauważył sam, że go mnisi kryją przed obcym wzrokiem, zapamiętał jednak dwie twarze ujrzane ukradkiem, jedną starszą o długiej brodzie, drugą młodą pod jasnym włosem: byli to sławny książę Alba i Filip II. Z Walladolid wzięto go dalej do Villagarcia, zamku, o jakim nigdy w wiosce swojej nie marzył i gdzie z otwartemi ramiony przyjęła go anielska żona Luisa Quijady, Dona Magdalena de Ulloa. Ta dzieci własnych nie miała a że mąż nie odkrył jej pochodzenia chłopca

i tylko o opiekę nad nim poprosił, nie mogła się oprzeć posądzeniom zazdrości. Że jednak była bardzo świętą, przytuliła do serca małego przybysza, który wnet wdziękiem swoim całe to serce pozyskał. Ubierano go wciąż w strój wieśniaczego kroju, ale wykwintny w materyi i ozdobach, uczono i ćwiczono niby książęcego syna a choć w hierarchii zamkowej zwanym był tylko honorowym paziem pani Magdaleny, przecież sypialnia jego dotykała jej własnej komnaty a ulubione miejsce w wieczory zimowe było tuż u jej stóp na stopniu estrady. Z nią też został w parę lat później powołany do wsi Jarandilla, gdzie mieszkał Luis Quijada i inni dworzanie Karola V, nie znajdujący pomieszczenia w zajmowanym przez cesarza pawilonie klasztoru Hieronimitów w Yuste. Karol V przybył tam już chory; odtąd stan zdrowia jego stopniowo się pogarszał. Jeromin widział go parękroć zdala w ogrodzie, lecz raz tylko zbliżył się doń niosąc podarunek D. Magdaleny w czasie jej audyencyi. Cesarz położył rękę na jego głowie, jakby błogosławiąc, i patrzał nań długo wzrokiem, którego chłopiec nigdy nie zapomniał. Gdy dano znać, że zgon się zbliża, Jeromin poruszony do głębi jakimś niezrozumiałym instynktem, wmieszał się bez pozwolenia pomiędzy służbę i wszedł do śmiertelnej komnaty. Tu drżącego z żalu i przerażenia spostrzeżono i odprowadzono do przybranej matki, gdzie oboje, słuchając przez noc klasztornych dzwonów, oczekiwali żałobnej wieści. Gdy chłopiec ze znużenia usnął, Magdalena, patrząc w jego dziwnie pobladłą twarz, nagle zrozumiała prawdę i pochylona ucałowała z uszanowaniem rączkę wiszącą z posłania. Po pogrzebie wrócili oboje do Villagarcia, zabierając dwa kotki cesarza, które w ostatniej, już niezbyt przytomnej rozmowie rozkazał był Ludwikowi Quijadzie Jeronimowi darować. Był to na razie jedyny wiadomy legat; prawdziwy bowiem znajdował się wraz z testamentem w rękach nowego króla, Filipa II. Ten już od dłuższego czasu wiedział o dziecku, dbał o nie więcej od ojca; nie chcąc jednak przyznać się przed tymże do swej świadomości, kazał sobie przysyłać tajemne ale szczegółowe raporty. Wiedziała też o wszystkiem i siostra jego Dona Juana, regentka Hiszpanii w czasie choroby ojca i nieobecności brata; domyślało się wielu prócz samego Jeromina. Liczył już lat 14 gdy Filip II, powróciwszy na stałe do kraju, kazał go sobie przedstawić; znaną ogólnie jest scena niby przypadkowego spotkania w czasie łowów na leśnej polanie. Jeromin powrócił z niej oszołomiony i zalany łzami; obawiał się rozstania z opiekunką swoich lat dziecinnych. Odtąd istotnie dużo się w życiu jego zmieniło: Filip II dał mu w sto-

licy pałac, świetny dwór i, krom tytułu *Alteza,* wszelkie honory infantom należne; że jednak był bardzo młodziutki pozostawił mu opiekę D. Luisa Quijady i jego małżonki. Ci przenieśli się do stolicy i nie przestali do śmierci czuwać nad swem przybranem dziecięciem.

Nie tu miejsce opowiadać dalsze przygody życia Don Juana d'Austria, jak go obecnie król kazał nazywać. O. Coloma maluje nam żywo bujny, nieco romantyczno-wojowniczy charakter młodzieńca, entuzyazm i miłość, jaką go otaczało hiszpańskie rycerstwo, jego nieudałą, bez wiedzy i pozwolenia brata przedsięwziętą krzyżową wyprawę, łagodne postępowanie króla a wreszcie pierwsze prawdziwe wyprawy wojenne, w których dowodził i chwałą okrył swe imię. W jednej z nich Luis Quijada poległ, ratując mu życie. Widzimy też jego pierwszą i zda się jedyną w życiu awanturę miłosną, okupioną mnogiemi łzami królewskiego młodzieńca i przedwczesnym zgonem uwiedzionej dziewczyny. W zajściu tem Dona Magdalena postąpiła znów jak prawdziwa matka...

Bardzo interesującą jest część książki, poświęcona dziejom choroby umysłowej i zgonu biednego Don Carlosa. Filip II mniemał zrazu, iż usposobienie syna zmieni się w towarzystwie dwóch młodzieńców tak świetne rokujących nadzieje, jak brat jego Don Juan i siostrzeniec Aleksander Farnese, bohaterski później książę Parmy. Nadzieje zawiodły, zboczenia umysłowe i brutalne instynkta wzięły górę a gdy śmierć wreszcie przecięła litościwie życie szaleńca, ludzie rzucili na biednego ojca potwarz rozmyślnego zabójstwa. Filip II wiele zawinił i wobec syna jednak i wogóle wobec swoich dzieci, nie miał sobie nic do zarzucenia. Drugie niesłuszne oskarżenie, które ks. Coloma prostuje, jest obecność dworu królewskiego wraz z królewskiemi dziećmi przy wykonaniu osławionych *auto da fé.* Opisując bardzo szczegółowo, według aktów współczesnych, całą ceremonię prowadzenia skazańców na plac publiczny i ogłoszenia im tamże wyroku, co niemiłosiernie wiele zajmowało czasu, zapewnia, że tylko ta część programu odbywała się solennie w obecności dworu a na sam akt stracenia prowadzono skazanych na inne miejsce, gdzie, krom wyjątków, wprzód ich duszono na stosie zanim tenże zaczynały ogarniać płomienie. »Z równem oburzeniem — pisze — będą kiedyś opowiadać o dzisiejszych egzekucyach, o gilotynie, garrocie i szubienicy, jak my o dawnem paleniu na stosie...« Być może, — namby się jednak zdawało, że O. Coloma, zapatrzony w blask modrych oczu Don Juana, widzi całe otoczenie jego nieco zbyt jasnem, nie wyjmując *autos da fé,* Filipa II, księcia Alby

i t. d. i t. d., słowem nikogo prócz Anny Mendoza księżny Eboli, którą zwie »kobietą fatalną«, złym geniuszem i Don Juana i króla... Trudno brać w obronę przewrotną istotę, która swem jednem okiem umiała ludzi czarować i gubić — ale trudniej jeszcze uniewinnić Filipa II, zobowiązanego najprostszem prawem uczciwości i honoru do szanowania czci najwierniejszego ze swoich sług, księcia Eboli. Przyjaźń ta datowała się od lat chłopięcych, gdy książę, wówczas tylko Ruy Gomez de Silva, paź cesarza Karola V, wdał się w bójkę z jakimś towarzyszem a gdy królewicz Filip usiłował ich uspokoić — uderzył go w twarz. Pojmany i skazany na śmierć, zawdzięczył życie szlachetności królewicza, który na kolanach ubłagał jego ułaskawienie u ojca. Odtąd też Ruy Gomez stał się z wdzięczności niewolnikiem, wiernym psem Filipa. Podniesiony z czasem do godności ministra, nie przestał sypiać na progu jego komnaty i oddawać mu najniższe usługi, przyczem wyczerpywał swe siły, bo pracując przez cały dzień nad sprawami państwa, dosiadywał długo w noc przy stołach biesiadnych na życzenie swego pana, płacąc mu stokrotnie swój dług serdeczny... Szczegóły te, nie należące do książki O. Colomy, wtrącone tu nawiasem — raczy może czytelnik darować.

Inną dłuższą monografią z XVI w. jest życie Maryi Stuart [1], według najnowszych badań, pisane bardzo krytycznie a niemniej barwnie od poprzedniego szkicu. Marya wychodzi zeń jako istota bardzo szlachetna i czysta, zrazu nie umiejąca sobie znaleźć drogi, wśród wiru wrogich wypadków i ludzi, a potem wznosząca się do najwyższych szczebli świętości męczeństwa. Okropnym jest szczegół, że Katarzyna Medycejska wyprawiając ją z Francyi po śmierci swego syna Franciszka II, wiedziała, że ją posyła na zgubę: »Już tam moja siostra Elżbieta potrafi jej dać rady« — mówiła do kardynała de Tournon, a gdy ten patrzał na nią zdumiony, dodała: »To rzecz prosta... Marya jest prawowitą królową Anglii, a Elżbieta uzurpatorką... Marya uosabia papizm, a Elżbieta reformacyę... A nadto — co najważniejsze — Marya jest piękna i młoda, a Elżbieta brzydka i starzeje się...« Zauważyć należy, iż rozmowa ta odbywała się przed wyjazdem Maryi Stuart do Szkocyi. Tragedyę biednego Riccia sprowadza O Coloma do jej rzeczywistych rozmiarów; powód jej zaś był zda się daleko poważniejszy od rzekomej zazdrości Darnleya.

[1] *La reina Martir.* Apuntes historicos del siglo XVI. Bilbao. Imprenta del Corazon de Jesús. 1904. Str. 466.

Współcześni nie byliby mogli nawet użyć tego pozoru, Riccio bowiem według wszystkich dokumentów, był nie tylko nie młody, ale uderzająco szpetny. Darnley zresztą był w tej sprawie tylko narzędziem protestanckich lordów, pragnących zgładzić w niemiłym sobie Włochu pośrednika między królową a Stolicą św. O. Coloma nie mógł dojść, czy Riccio miał już powierzoną sobie od Piusa IV swoją dyplomatyczną misyę, gdy przybywszy do Szkocyi w świcie posła sabaudzkiego Moretto, przeszedł jako śpiewak (bas) do służby królewskiej, czy też skorzystano później z jego funkcyi, aby go użyć za ajenta papieskiego w Holyrood. Autor skłania się raczej do pierwszej hipotezy, zgodnej jego zdaniem z duchem epoki i koniecznością zachowania tajemnicy. Toż podobnie pod postacią wędrownych kupców dostali się do Maryi Stuart dwaj Jezuici, Edmund Hay i Tomasz Derbishir, legaci Piusa V. Również później trochę towarzyszył jej Jezuita Mikołaj Gradano jako *valet de chambre* podobnie jak Riccio. choć nikt z współczesnych tego się nie domyślał, a nawet prawie żaden późniejszy historyk nie wiedział. Nieroztropnem było, że Marya odesławszy w r. 1564 do Francyi swego sekretarza do spraw zagranicznych Rauleta, dała jego posadę Włochowi, ściągając przez to uwagę na jego czynności. Na tem stanowisku Riccio skłonił królowę do przystąpienia do ligi zawartej przez książąt katolickich w Bajonnie, poparł całemi siłami zawarcie małżeństwa Maryi z Darnleyem, któremu sprzyjał jako katolikowi; widząc zaś heretyków w rozsypce uciekających do Anglii, a Maryę tryumfującą, popartą przez Papieża św. Piusa V i króla Filipa II, sądził, iż nadeszła stosowna chwila przywrócenia katolicyzmu w Szkocyi. Uradził przeto z Królową zwołanie parlamentu na dzień 7 marca i jako pierwszy krok, oddanie biskupom katolickim godności »lordów duchownych», jaką piastowali przed rewolucyą religijną«. Zamiary te były dostateczne, by w umysłach protestantów — mniej zgromionych niż sądził Riccio — powstała konieczność jego zguby, a do dokonania jej dopomógł Darnley, gniewny na Włocha — nie z miłosnej zazdrości, ale dlatego, że słusznie czy niesłusznie przypisywał jego wpływowi ociąganie Maryi w oddaniu mu korony i udziału w rządach. — Śmierć Darnleya, składa z kolei bardzo słusznie O. Coloma całkowicie na głowę Bothwella; Maryę zaś uznaje winną w tem, iż tak śpiesznie i bez istotnych dowodów niewinności poślubiła mordercę, który już od pewnego czasu umiał był pozyskać jej łaski. Był to jedyny prawdziwy grzech Maryi Stuart; prócz niego popełniła pomyłki

i błędy, z których największym było schronienie się pod opiekę Elżbiety.

Autor, jak się można było spodziewać, czerpie bardzo wiele ze źródeł hiszpańskich, a więc z listów do i od księcia Alby, *el gran Duque de Alba*, jak go prawie zawsze nazywa. Czerpie i z archiwów Towarzystwa Jezusowego, które jedno i jedyne przynosiło czynną pomoc uwięzionej królowej, pośrednicząc tajnie pomiędzy nią a Stolicą św., lub udzielając jej z narażeniem życia pociech religijnych, jak to czynił wspomniany powyżej ksiądz Granado, który długi czas pod szatą służącego dzielił jej niewolę, odprawiał Mszę św. a nawet w jej komnacie przechowywał Przenajśw. Sakrament! Dwa świeżo odkryte dokumenty, odnoszące się do rzezi dn. św. Bartłomieja w Paryżu, a pośrednio do Maryi Stuart, są niezmiernie ciekawe. Jednym z nich jest poufny list księcia Alby do Filipa II ze wszystkimi szczegółami faktu, a drugim relacya księcia d'Anjou, to jest naszego Henryka Walezyusza, późniejszego Henryka III. On to, jak z własnych jego słów wynika, był nawspół z matką głównym prowokatorem zbrodni. Rzecz miała się tak, iż admirał Coligny, wódz Hugonotów, któremu Katarzyna Medycejska i Henryk zazdrościli wpływu na Karola IX został dn. 22 sierpnia 1572 wracając z Louvru, ciężko raniony w ręce kulą nieznanego mordercy. Poniesiony do domu mniemał, że kula była zatruta i domyślając się, kto wysłał sprawcę zamachu, postanowił natychmiast się zemścić. Zebrane na prędce zgromadzenie Hugonotów obiecywało 4.000 ludzi gotowych do broni. Tymczasem król zmartwiony wypadkiem, którego nie znał powodu, wysłał z pożałowaniem do admirała, swego szwagra, późniejszego Henryka IV. Ten, jak wiadomo, był Hugonotem, więc Coligny nie wahał się mu odkryć swoich zamiarów, dodając, że po zabiciu panującej rodziny jemu oddadzą koronę. Król Nawarry przerażony, nie chciał czy nie umiał z kolei zachować tajemnicy przed żoną; ta zaś ostrzegła matkę i księcia d'Anjou, którzy wraz pobiegli do króla i jęli mu tłumaczyć, że jedynym sposobem ratunku jest wymordowanie Hugonotów, z admirałem na czele. Karol po długim oporze zgadzał się na rzeź wszystkich, krom admirała; im jednak w rzeczywistości tylko o śmierć admirała chodziło. Ponowili więc nalegania, postrachy i groźby, tak długo, aż Karol — jak opowiada Walezyusz — »zerwał się gwałtownie klnąc *par la mort de Dieu*, że jeżeli chcą wziąć życie admirałowi, niech mu je biorą, ale niech równocześnie wybiją wszystkich Hugonotów, tak, aby ani jeden nie mógł się o nie upomnieć«. Wyrzekłszy to, wyszedł szybko z gabinetu zostawiając samych matkę

i brata, którzy nie tracąc chwili posłali po księcia de Guise, z którym ułożyli cały plan działania. O północy rozeszli się; królowa i Henryk Walezyusz położyli się na parę godzin, poczem zanim jeszcze świtać zaczęło, wyszli cichaczem w towarzystwie króla ku bramie Luwru. do izby, z której okien można było dojrzeć początek wypadków. Czekali tak w ciemności na umówione hasło, gdy naraz ponure milczenie przerwał huk pistoletowego strzału, o którym nie podobna się nigdy było dowiedzieć, z czyjej pochodził ręki i przeciw komu był wymierzony. »Wtedy zaś — opowiada książę d'Anjou — opanował nas taki strach i tak jasno ujrzeliśmy gwałty, które się spełnić miały i skutki takowego przedsięwzięcia, nad którym, prawdę mówiąc, nie byliśmy się prawie zastanowili, że nie tracąc chwili posłaliśmy spiesznie do księcia de Guise, mówiąc mu i rozkazując bardzo wyraźnie, aby wrócił do siebie i nie poczynał nic przeciw admirałowi. Sądziliśmy, że ten rozkaz wystarczy, aby dalszych rzeczy uniknąć, ponieważ było umówionem, że się nie zacznie nic w reszcie Paryża przed śmiercią admirała. Atoli wysłany kawaler powrócił natychmiast donosząc, że rozkaz był spóźniony, bo admirał już nie żył, a rzeź była rozpoczętą we wszystkich innych dzielnicach...« Relacya ta widocznie szczera, bo zdradzająca równocześnie nienawiść, strach, lekkomyślność i słabość, tłumaczy powstanie bajki o Karolu IX, że podczas rzezi patrzał z okna i strzelał do ludzi. On był najmniej winnym, ale Henryk Walezyusz? I myśleć, że go nam po tej zbrodni narajono na króla! Katarzyna musiała się trochę obawiać sądu nawet takiego pogromcy heretyków, jak książę Alby, nie znalazła bowiem wobec niego innego wytłómaczenia swego czynu, jak powtórzenie słów Ewangelii: *Beatus qui non fuerit in me scandalisatus*... Nie dziw, iż Szekspir pisał w tych niemal czasach, że »gdyby dyabeł chciał swą apologię napisać, cytowałby na swoją korzyść teksty z Pisma św....« Rzeź protestantów francuskich była wyrokiem śmierci dla Maryi Stuart.

Nie skończylibyśmy nigdy chcąc za autorem wszystkie fakta powtarzać. Uderzającym jest opis zgonu Elżbiety, tak różnego od przepięknej śmierci Maryi Stuart. Elżbieta ze swych kolejnych faworytów, najbardziej kochała Essex'a i nawet wobec dowodów jego zdrady wahała się długo z podpisaniem wyroku śmierci; potem nawet do ostatniej chwili czekała, czy Essex, na znak upokorzenia się nie pośle jej pierścienia, który mu w dniach miłości darowała z obietnicą, że każdą jego prośbę tym pierścieniem popartą, w każdej chwili wysłucha. Czekała darmo, Essex zginął na rusztowaniu, a królowa odtąd w żalu

i zgryzocie nie znajdowała spokoju. Aliści w dwa lata potem jedna z jej dam honorowych, hrabina Nottingham wezwała ją do swego łoża śmierci, mówiąc, że ma wyznać wielką tajemnicę. Była to żona wielkiego admirała Karola Howarda. Elżbieta poszła zaciekawiona, po chwili jednak usłyszano z pokoju konającej krzyki wściekłości a wśród nich wyrazy: »Bóg ci może przebaczy; ale ja nie przebaczę nigdy, nigdy!« I wypadła królowa z komnaty szalona boleścią i gniewem, chwytając we drzwiach za szyję towarzyszącą jej damę, aby ją z drogi odepchnąć i to tak silnie, że jej szpilka od zapinki głęboko zraniła palec. Dobiegłszy do swego mieszkania rzuciła się na podłogę jęcząc i targając włosy. Lady Nottingham zmarła tej samej nocy i wraz poczęła obiegać pogłoska, że Essex w więzieniu wręczył jej był swój pierścień, by go królowej poniosła a ona przez zadrość, czy własną czy ze względu na męża, zataiła znak mający ocalić mu życie. ... Elżbieta nie powstała już z dywanu, na który była upadła, złożyła tylko głowę na poduszkę, którą jej przyniesiono i tak leżała wijąc się z boleści, to znów w osłupieniu ssąc zraniony palec, nieruchoma, milcząca. Przeszło tak dziesięć dni i dziesięć nocy, w czasie których odpychała jadło i lekarstwa, a otaczające ją damy nie śmiały przysunąć się blizko. »Bały się tak, jak się lęka chorej pantery, dopóki jeszcze może potężną łapę wyciągnąć. ...Tak skończyła Elżbieta i tak czarna jej dusza wpadła w otchłań wieczności, gdzie bez wątpienia jedną z jej najsroższych męczarni był widok Maryi Stuart w chwale niebieskiej«.

Na tych słowach kończy się dzieło O. Colomy o »Królewskiej męczennicy« *La reina mártir,* ozdobione — podobnie jak monografia Don Juana — pięknem zdjęciem z współczesnego portretu. Marya Stuart przedstawiona jest w kwiecie pierwszej młodości, wśród zieleni drzew, w aksamitnej sukni i lekkim białym stroiku, zakończonym długim welonem, owym historycznym stroiku skopiowanym co do formy — ku wielkiej złości Katarzyny Medycejskiej, z tejże żałobnego kwefu. Twarz jest nieco figlarna; ma się wrażenie, że to młodziutkie stworzenie powinnoby biegać po ogrodzie, a nie borykać się z ponurymi heretykami o swą wiarę i tron.

Innym szkicem historycznym O. Colomy jest: *Historia de las sagradas reliquias de San Francisco de Borja.* (Bilbao, 1903. Str. 143). Przedmiot zdawałoby się poniekąd suchy, gdyby czarodziejskie to pióro nie przystroiło go w szatę barw i promieni. Co prawda zwłoki

św. Franciszka dramatyczne przechodziły koleje, a los ich był związany z historycznemi zmianami w Hiszpanii. To otaczane czcią i wspaniałością, jakiej za dni naszych nie doznaje nawet Przenajśw. Sakrament, to znów przeganiane z miejsca na miejsce i ukrywane przed ręką najeźdźców, doznawały bez przerwy opieki potomków świętego, po mieczu i po kądzieli. Ci spierali się między sobą o bliższy stopień pokrewieństwa, dający prawo do pieczy nad urną zawierającą relikwie, z czego niekiedy wynikały zajścia, nadające się niemal do komedyi. Dodać należy, iż »święty książę de Gandia«, jak go za przykładem współczesnych i wielu potomnych, autor prawie zawsze nazywa, był patronem nie tylko całego kraju, ale specyalnie hiszpańskiej *grandezy*, która uważała za punkt honoru przesadzać się na jego cześć w zbytkownych uroczystościach. Przez długie lata obchodzono co roku nowennę św. Franciszka, dziewięć dni świąt zapełnionych, prócz nabożeństw, pochodami, illuminacyami i t. p. Pierwszy dzień był na koszt króla, drugi zwierzchności miejskiej, trzeci najbliższego z potomków; inne książęta hiszpańscy rozbierali pomiędzy siebie. Pewnego roku w rozdzielaniu dni pominięto damę roszczącą sobie pierwszeństwo jako noszącą między innymi tytuł księżny de Gandia. Ta wykłóciwszy się daremnie, wzięła się na sposób: otóż ogłosiła wszem wobec, iż nowenna rozpocznie się nie przez nabożeństwo królewskie, ale w wilię po południu przez solenne nieszpory na jej koszt zorganizowane. Była to wielce przedsiębiorcza osoba i wielce zasłużona na polu czci dla św. Franciszka; rzec można, iż jej jednej zawdzięczano zachowanie relikwii w czasie burz krajowych. Nasamprzód gdy w roku 1767 Karol III wygnał Jezuitów z domu i kościoła założonego dla nich przez wnuka księcia Gandyi, ministra ks. de Lerme, gmachy te przez dwa lata stały pustkami bez obsługi i bez opieki. Tylko ołtarz św. Franciszka zawsze był czysty i zdobny, bo co dnia tajemnicza lektyka zatrzymywała się w pobliżu, a wychodząca z niej młoda, niełądna, o bardzo żywych ruchach kobieta, przekradała się, przepłaciwszy dozorcę, do wnętrza kościoła i tu około zwłok pradziada zmiatała kurz, odmieniała kwiaty, dolewała oliwy do lamp. Dopiero gdy w miejsce Jezuitów wprowadzono tam Filipinów, a krewni św. Franciszka zgromadzili się na ceremonię oddania relikwii w ręce Przełożonego, poznał dawny dozorca kim była owa dama, której niejedną sztukę złota zawdzięczał. Przez całe panowanie Karola III byli święci z Towarzystwa Jezusowego w niełasce u dworu. Ustały nowenny i pielgrzymki i nikt prócz rodziny nie śmiał ponowić nabożeństw o przy-

czynę »Świętego księcia«. Odnowiono je za jego następcy Fernanda i wtedy to umiała księżna Bonavente y Gandia swoim konceptem nieszporów uzyskać pierwszeństwo w nowennie. Przyszły potem wraz z Francuzami gorsze jeszcze czasy, gdzie szlachta i lud hiszpański walczyli o wolność, kobiety, nawet księżne przymierały głodem, a minister króla-intruza Józefa zabierał srebra z kościołów i domów prywatnych. Teraz z kolei wypędzano Filipinów z po-jezuickiego klasztoru i zdało się, że relikwii z ich urną srebrzystą już nic uratować nie zdoła. Szczęściem stara księżna jeszcze żyła. Wezwana na pomoc przez Przełożonego D. José Navarro, kazała urnę powlec preparatem nadającym jej wygląd bronzu i usunąwszy z jej wierzchu zdobiące ją srebrne figury, które następnie przepadły, kazała nocą przenieść święte kości do dawnego kościoła nowicyatu Towarzystwa Jezusowego, oddanego przez Karola III Misyonarzom i cudem jakimś oszczędzonego przez Francuzów. Ledwie ci wyszli przeprowadzono znów relikwie pod opiekę Filipinów, gdzie pozostały do r. 1834. Ojcowie wtedy uszli szczęśliwie rzezi, ale nie sekularyzacyi a raczej exklaustracyi; kościół ich zaś był pierwszym z pomiędzy wielu, które zrównano z ziemią. Daremne były protesty kolatora i spadkobiercy fundatorów księcia Medinaceli; skasowano jego prawa, pozwalając mu tylko na przeniesienie relikwii antenata do kościoła San Antonio del Prado. Pozostały tu do r. 1890 t. j. do chwili nowego konfliktu, już nie z wrogami kraju i wiary, ale pomiędzy dwoma grupami potomków i Jezuitami. Był to jednak znów spór serdeczny o prawo służenia świętemu; zakończył się też niebawem na korzyść hrabiny Ofalia, matki maleńkiego ks. Medinaceli. Na prośbę tejże urna z relikwiami została umieszczona w kościele del Jésus w oczekiwaniu na wykończenie nowego kościoła św. Franciszka de Borja na Calle de la Flor. A zatem zwłoki od zgonu »świętego księcia« emigrowały bezustannie z miejsca na miejsce, przyczem jedenaście czy dwanaście razy otwierano dla weryfikacyi sarkofag lub urnę...

Niestety brak tu miejsca, by w ślad za O. Colomą opisać uroczystości kanonizacyi: gdyby dziś złożyć razem wspaniałości dziesięciu wjazdów królewskich i dziesięciu obchodów koronacyjnych jeszczeby się nie dorównało temu potopowi klejnotów, pereł, kwiatów, złotogłowiów i jedwabi, jakie użyto na ozdobę ołtarzy a raczej kapliczek ustawianych na czas procesyi po obu stronach ulic. Każda rodzina, każdy cech miał swój ołtarz a wszystkie rywalizowały bogactwem: niektóre z nich składały się jakoby z trzech piętr. Podobnie na przystrojenie

kościoła Colegio Imperial, gdzie się miały odbywać, zawsze na cześć świętego — poetyckie zapasy, sprowadzono »artystów« z Lizbony, którzy pracując od 1 czerwca do 22 lipca, nie zostawili na widoku ani cala muru: wszystko obwiesili od góry do dołu, nawet karnisze i kopuły kombinacyą różnych tkanin w czterech kolorach, na których tle poupinali szpilkami kolorowane kwiaty i symbole, grupy aniołków, sceny mitologiczne, herby i t. p. ulepione z białego wosku. Na ten — jak mówiono wówczas — »ósmy cud świata« zużyli 10.000 *varas*[1] cienkiego płótna, przeszło 4.000 v. aksamitu, adamaszku oraz 11.000 v. tafty i t. p., szpilek przeszło 6 milionów dla przyczepiania miliona woskowych rzeźb, na które zepsuli 450 *arrobas* czyli 16.350 funtów wosku. Całe dzieło kosztowało 40.000 dukatów i, jak słusznie przypuszcza O. Coloma, musiało być bardzo brzydkie. W turnieju poetyckim zwyciężył stary Calderon de la Barca; zresztą mogło być przewidziane, że jego uwieńczą, jeżeli weźmie udział w zapasach.

Tomik zatytułowany *Nuevas Lecturas*[2] zawiera między innemi trzy krótsze szkice z różnych epok historyi hiszpańskiej. Najznaczniejszy z nich: *Fablas de dueñas* (Pogadanki starych bab) sięga XIII w. Możeby lepiej zrobił O. Coloma nie opowiadając dziś owych zajść, które miały swoje przyczyny i wytłumaczenie, ale które z naszego punktu widzenia robią nieprzyjemne wrażenie. Dowiadujemy się bowiem, że Alfons IX, król Leonu, pojął w małżeństwo królewnę portugalską Teresę, z którą żył kilka lat w wielkiej miłości doczekawszy się urodzenia dwóch córek — aż nagle w Rzymie opatrzono się, że między małżonkami istnieje jakiś stopień pokrewieństwa i że więc związek jest nieważnym. Rozeszli się posłusznie acz z wielką boleścią; królowa schroniła się do klasztoru, gdzie świętem życiem zarobiła na kanonizacyę, król zaś po kilku latach ożenił się gwoli dynastyi z Berengarią, dziedziczką Kastylii. Tę również pokochał i cieszył się już przyjściem na świat następcy tronu, gdy znów wyszedł na jaw zapomniany stopień pokrewieństwa i znów przyszło zagasić rodzinne ognisko. Żal bierze biednego króla, tak, że się szuka myślą czegoś niedopowiedzianego, stawiającego w innem świetle tę dziwną historyę. O. Coloma ukazuje nam te dwie królowe, żony tego samego męża, konfe-

[1] *Vara* jest miarą hiszpańską, obejmującą 3 stopy długości a zatem prawie 2 łokcie.

[2] Bilbao 1902. Str. 198.

rujące po jego śmierci nad sporną kwestyą dziedzictwa tronu. Trzeba przyznać, że sytuacya niezwykła! — Drugi szkic *La Virgen de las Palmas* — to humorystycznie opowiedziany epizod z trzęsienia ziemi r. 1755 w Kadyksie; trzeci *Las borlitas de Mina* (Kutasiki Miny), epizod z kampanii 1811 r. przeciw Francuzom, w której Mina walczył zapamiętale, jako wódz bandy ochotniczej, *las guerillas*, jak mówią za Pireneami. Reszta tomu to opowiadania niehistoryczne, i — przykro powiedzieć o takim autorze — dość słabe. Toż samo niestety powiedzieć można o *Cuentos para Niños* (Opowiadania dla dzieci). Zdawałoby się, że znajdziemy tu sznur perełek, tymczasem widzimy obrazki blade, dość nudne i w których niekiedy tezy moralnej trudno się dopatrzyć. Zda się, że trzeba mieć talent osobny, aby módz pisać dla dzieci: lepiej trzymać się drogi, na której tworzy się istne klejnoty, choćby to miały być niepopularne dziś monografie historyczne.

T. Wodzicka.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Złota księga szlachty polskiej. Przez *Teodora Żychlińskiego.* R. XXVII. Poznań 1905. Str. 161. Z tablicami wywodowemi.

Ten rocznik, jak i dawne, składa się z trzech części: monografii, uzupełnień i sprostowań i nekrologii.

Pomiędzy monografiami znajdujemy: Cetnerów h. Przerowa, Chrzanowskich h. Poraj, Drzewickich h. Ciołek, Janotów-Połczyńskich h. Bończa odm., Jaroszyńskich h. własnego, Komorowskich h. Korczak (gałąź litewska), Kurcewiczów h. Szreniawa z krzyżem, Montwiłłów h. Kolumna, Pieńczykowskich h. Jastrzębiec, Pląskowskich h. Oksza, Prószyńskich h. Lubicz, Toczyskich h. Habdank i Wojakowskich h. Brochwicz.

Dział uzupełnień i sprostowań mniejszy w tym roczniku, jak zwykle, i przeważnie dostarczyły go rodziny z Poznańskiego, co może wskazuje na mniejsze zainteresowanie się tem wydawnictwem w innych dzielnicach naszych; a wielka szkoda, bo pożyteczna praca p. Żychlińskiego zasługuje na większe poparcie.

W tym dziale dostrzegliśmy małe niedokładności.

Tak np. na str. 116 pod Tyszkiewiczami czytamy: Z Kijowa piszą do *Czasu*, że od powstania po raz pierwszy się zdarzyło, że Polak został mianowany marszałkiem powiatowym szlachty, a jest nim Aleksander Tyszkiewicz z Howor; A. Tyszkiewicz, dodaje p. Żychliński od siebie, urodz. 1864 r., zaślubił Maryę Pusłowską i t. d.

Pomijamy już tu tę kwestyę, że Polacy inni piastowali nieraz ten urząd po powstaniu (np. Adam Plater dotąd jest marszałkiem gubernii wileńskiej, był marszałkiem szawelskim zacny Ludwik Plater-Zyberk, Stanisław Pusłowski, ojciec wyżej wymienionej Maryi, piastował urząd marszałka powiatu kowieńskiego i t. d.),

ale obecnie otrzymał tę godność zupełnie inny Aleksander Tyszkiewicz, a mianowicie Aleksander, syn Mikołaja Tyszkiewicza i Aleksandry Komorówny, żonaty z Maryą Stadnicką, dziedziczką właśnie owych Howor, w powiecie uszyckim na Podolu.

Pomiędzy nekrologami są także usterki niewielkie. Na str. 129 powiedziano, że Henryk Plater-Zyberk zeszedł z tego świata w swojej rezydencyi w Krasławiu. A tymczasem Krasław, jak wiadomo, należy do Broel-Platerów, a siedzibą Henryka była Lisksna pod Dynaburgiem.

Potem, na str. 149, gdzie jest mowa o śmierci Wincentego Tyszkiewicza, doktora medycyny, dodano, że był żonaty z Natalią Tarnowską, ale owa Natalia (jest o niej należyta wzmianka w tej samej książce pod Drzewickimi h. Ciołek, str. 25) jest żoną Janusza Tyszkiewicza, brata rodzonego lekarza Wincentego, który poślubił Reginę Grzesiewiczównę w 1900 r., rodem z Łowickiego (zostawił dwoje dzieci).

Zmarła w Lucernie Jadwiga Tarnowska (str. 149), była córką Jana-Aleksandra i Natalii D r z e w i c k i e j, a nie Drzewieckiej, jak to nawet zaznaczono w monografii tego rodu, pięknie ułożonej i wyczerpująco przez znanego heraldyka Stanisława Tarnowskiego (z linii na Chorzelowie) w tej samej księdze.

Naturalnie, te nieścisłości nieznaczące wcale znaczenia tej pracy nie obniżają. W każdym razie jest tu bardzo dużo wyczerpujących informacyi, wiadomości pewnych, a monografie i genealogie są dobrze ułożone.

Drzewo rodowe Gąsiorowskich h. Ślepowron (monografia ich była w XII roczniku), Janotów-Połczyńskich i tablica genealogiczna Kossakowskich, równie też zbiór ich portretów na arkuszu dużym, dość udatnie zrobionych, podnoszą wartość tego rocznika interesującego. γ.

Promyki. Poezye. *Zofia Kęczkowska.* Serya piąta. 1904. Warszawa. Nakładem księgarni M. Szczepkowskiego. W 8-ce, str. 106.

Czemś zupełnie różnem, jak nastroje impresyonistów, są poezye Kęczkowskiej. Powołanie, cel, zakres twórczości poetyckiej pojmuje autorka wzniośle i szeroko. Nie ten jest poetą, kto potrafi »w pięknej formie nieść ludzkości słów wykwintnych grę prześliczną« (str. 77), ale kto słowy natchnionemi miłością i żywem odczuciem pragnień i bolów serca ludzkiego, krzepi i podnosi upadłych, budzi zapał do ideałów, wlewa ochotę do walki i poświęceń, wskazuje drogę i sam prowadzi do źródła prawdy i szczęścia, do Boga.

Taką poetką jest Kęczkowska. Dla niej ten »za życia już umarły«, kto zasklepia się w codziennych troskach i bolach swoich, pogrąża w apatyi, niezdolny do czynu i poświęcenia. Prawdziwem życiem jest dopiero to, które wypełni zapał do walki i ofiary, działalność oparta na wierze, tem źródle siły i szczęścia tak przyszłego jak i ziemskiego w spokoju i zadowoleniu wewnętrznem. Stąd też dla wzniosłej myśli, dla szlachetnej a energicznej i hartownej woli ma autorka głębokie uwielbienie i cześć; stąd też gorącemi słowy zachęty przemawia do młodzieży, która jest zdolniejszą do żywszej miłości i silniejszego zapału

A zatem hasła i dążenia wprost przeciwne tym, jakie wywiesiło wielu z młodych poetów. Że te hasła przynoszą zaszczyt i chwałę autorce, to pewne i jasne, — inna rzecz, jeżeli chodzi o ich wypowiedzenie, o formę

poetycką. Przy czytaniu »Promyków« mieliśmy ciągle wrażenie, że mamy przed sobą polemikę, refutacyę, ubraną w szaty mowy wiązanej. Nie przeczymy, że Kęczkowska ma talent poetycki, ale to wydaje się pewnem, że jej wiersze wypłynęły raczej z bólu i oburzenia na złe kierunki w poezyi, jak z miłości, oglądania i zachwytu dla ideałów. Myśli poetki obracają się w ogólnikach, rodzą się z refleksyi, czasem mozolnej, są wprawdzie wzięte ze świata i życia, ale po abstrakcyi od konkretnych warunków tego życia i świata. Nawet wiersze, pomyślane jako utwory epiczne (Ból, Demony) mają na pierwszym planie rozumowanie czy raczej moralizowanie.

Drugą słabą stroną poezyi, to przesada. Ta energia, hart, męskość, które sławi poetka, są zbyt zimne i twarde, noszą na sobie cechy jakiegoś pustelniczego ascetyzmu. Zapewne, największe piękno i szczęście jest w Bogu, ale możemy kochać, szukać i znajdować szczęście na tym świecie, wśród którego żyjemy, boć i on przedstawia dużo odblasków piękna i szczęścia Bożego, owszem, przedstawia ich więcej, niż stron ciemnych i złych. Tymczasem autorka (popadając w polemice w drugi ekstrem) zdaje się nie znać żadnego szczęścia i piękna na ziemi. Charakterystyczne pod tym względem są jej zapatrywania na miłość. W miłości małżeńskiej (»Gdy mówisz: kocham« str. 17) zna tylko same obowiązki kobiety, a sonety »Czarne oczy« (str. 57) uczą, nie jak uszlachetniać, ale jak walczyć, odrzucać rodzące się uczucie.

Choćby dlatego, że poezya religijna tak dziś zaniedbana, wspomnieć należy o religijnych wierszach poetki. Jest ich kilka: »Marya« (str. 28), »O Boże« (str. 40), »Anioł Pokoju« (str. 45), »Krzywda mi, Ojcze« (str 49), »Do szczęścia bram« (str. 51): najpiękniejszy z nich i prawdziwie poetycznie pomyślany jest wiersz »O Boże«. Słabą stroną tych wierszy jest znowu uczucie. — Może dlatego, że talent poetki nadaje się raczej do epiki, końcowy utwór »W ogrodach cezara« (str. 95) wypadł z wszystkich wierszy najlepiej.

Jak całe usposobienie poetki, tak samo jej język i forma wierszowa odznaczają się pewną męskością i hartem; ujemną ich stroną, to widoczny nieraz wpływ techniki na tok i wyraz myśli.

M. B.

Nastroje. *K. Sterling.* Warszawa. Druk i nakład W. L. Anczyca i Spółki w Krakowie.

Chorobliwe i małe te nastroje poety. Smutek i przygnębienie jedynym jego udziałem, niezdolny do radości i wesela, bo zresztą tymi, według poety mogą się tylko ci chełpić, którzy nie kochali wiele, którym brak serca. Śmierć, ciężka i szara dola życia codziennego, obłuda i złość ludzka tak małą znalazły odporność we wzroku i sercu autora, że przesłoniły mu wszystko, co piękne i wzniosłe na świecie. Siły mogła mu dodać religia i wiara w ideały, ale to albo niedostępne w jego przekonaniu, albo jest złudzeniem. Nic więc dziwnego, że ogarnął go pessymizm, brak wszelkiej ochoty do pracy i walki, sceptycyzm i pragnienie śmierci lub raczej nirwany.

To są motywy całego tomiku poezyi, którego pierwszą połowę wypełniają małe liryczne wierszyki, drugą nieco dłuższe utwory. Z tych ostatnich »Bajka« (str. 44) opowiada o dziewczynie, która po wielu mozolnych poszukiwaniach znalazła szczę-

ście na dnie ton rzecznej. Dramatyczne dyalogi, »Excelsior« i »Koło« przed dążeniem do prawdy i ideału przestrzegają tego, kto nie chce się stać igraszką ułudy lub krążenia bez wyjścia. Oba te dyalogi, jak i utwór prozaiczny »Walka«, sprawiają wrażenie tem bardziej przygnębiające, że owo daremne i bezcelowe a mozolne dążenie do szczęścia trwa w ludzkości ciągle, wraca z jakąś fatalistyczną koniecznością; potomni nie korzystają z nauki nieszczęśliwych poprzedników.

Jedynym wyjątkiem jest wiersz p. t. »Gawęda«, który naśladuje »Trzech Budrysów« Mickiewicza a sławi miłość ziemi ojczystej,— choć i tu ogólny nastrój poezyi autora budzi pewne wątpliwości.

Wśród legionu impresyonistów Sterling odznacza się wyższym talentem, bogatszym zasobem myśli i obrazowania. Co do technicznej strony poezyi, to sam autor zaznacza w przedmowie, że widzi w niej braki, nawet poważne, — ale ich nie poprawia, zostawiając sąd czytelnikowi. Czy to racya? Dzisiaj można już żądać od poezyi, zwłaszcza lirycznej, pięknego rymu i melodyi rytmu, — a pod tym drugim względem poezye Sterlinga przedstawiają rażące braki.

M. B.

Arya. Poemat w sześciu pieśniach. *Tomasz A. Lisiewicz.*. Kraków. Księgarnia Gebethnera i Spółki.

Rzecz dziwna, w naszych czasach jawi się poemat o treści filozoficznej albo raczej historycznej, obejmujący niezmierzone czasy od stworzenia Aniołów do XIII w. po Chr., a właściwie do obecnej chwili. Autor wychodząc z założenia, że poezya, to dążenie, walka, ruch do ideału, ku któremu ludzkość, świadomie czy nieświadomie, ale zdąża i zdążać musi, pragnie ten ideał i to zdążanie ku niemu przedstawić i uświadomić duszy czytelnika. Zaczem przyobleka go w kształty kobiety Aryi, »aryjskiego a przedewszystkiem polskiego pochodzenia« (str. 11) i przeprowadza następnie tę Aryę przez fazy rozwoju ludzkości.

Pierwotne pochodzenie Aryi, jak się dowiadujemy z pierwszej rapsodyi »Arya i Luciferus«, jest wysokie, bo początkowo była aniołem dodanym Lucyferowi, najpotężniejszemu z Duchów niebieskich, by go rozweselała swą lutnią i natchnioną pieśnią. Później jednak przy buncie archanioła, w którym brała pewien udział, straciła lutnię i gwiazdę natchnienia, a nadto za karę została jako kobieta zesłaną przez Boga na padół ziemski. Na ziemi spotykamy Aryę najpierw między ludźmi różniącymi się od zwierząt tylko wyższym sprytem (raps. II, »Arya i Tryglodyci«). W czasie »Potopu« (raps. III) ratuje się Arya tylko dzięki arce Noego. W raps. IV »Niewola i Nowy Świt« pracuje Arya jako niewolnica, dzieląc nędzny i upodlony los kobiet. Równość ludzi wobec Boga i obowiązek powszechnej miłości przynosi z nieba Chrystus, z którym się Arya, jako bogata księżniczka, spotyka (raps. V »Chrystus i Arya«), ale naukę jego rozumie i w życie wciela dopiero w średnich wiekach, duchowo uszlachetniona i w posiadaniu czci powszechnej (r. VI »Cimabue i Arya«).

Oceniając ze stanowiska autora ten poemat, musielibyśmy się zapuścić w mnóstwo kwestyi histrycznej, kulturalnej i filozoficznej natury, bo autor swoją, już nie wolnością, ale swawolą poetycką druzgoce po drodze zapory rzeczywistości, psychologii, logiki. Uczynilibyśmy to, gdyby poza tymi błędami poemat przedsta-

wiał większą wartość. Ale autor poetycznego talentu nie ma, brak mu inwencyi, elastyczności, smaku nawet estetycznego (by się o tem przekonać, wystarczy przeczytać przedmowę); brak mu nawet tej techniki, jakiej dzisiaj od poezyi domagać się trzeba. Jest zato rezonerem, snującym na całych stronach w rymowanej prozie swe filozoficzne zapatrywania. Wartość tego poematu najlepiej ocenić słowami autora: »To nie poemat, gdzie są tylko głoski« (str. 134).

M. B

Der Symbolismus des Herzens und seine natürliche Grundlage Von *R. Handmann S. J.* 2 verb. Auflage. Graz. Verlagsbuchhandl. »Styria«. 1904. 12-ka, str. 75.

Po raz pierwszy ogłosił autor tę pracę r. 1903 w *Natur und Offenbarung*. Broszura niniejsza jest nieco rozszerzonym przedrukiem ogłoszonych tamże artykułów z dodatkiem niektórych fizyologicznych objaśnień. Autor traktuje rzecz naukowo ze stanowiska psychologiczno-fizyologicznego. Zgodnie z ks. Jungmannem odrzuca rzeczową różnicę żądz i uczuć, ale oświadcza się przeciw niemu w kwestyi narządu pożądania zmysłowego. Kiedy Jungmann za takowy uważa nerw współczulny, autor upatruje właśnie w sercu narząd, a nawet główny narząd pożądania zmysłowego, tłumacząc tak wzajemne oddziaływanie żądz na serce. Tak zdanie Arystotelesa, św. Tomasza, Suareza i ogółu dawnych scholastyków zyskałoby znów na powadze. Trzeba jednak zwrócić uwagę na to, że autor nie widzi w sercu tylko mięśni, jak powszechniej utrzymuje anatomia i fizyologia, ale uwzględnia zwoje komórek nerwowych, wyścielających ściany serca czyli pojmuje serce jako czynny, żywy organ, będący w ścisłym związku z organami ciała wogóle: stąd też odnosi do serca wszystko, co się fizyologicznie i psychicznie odbywa w niem, a względnie w należącym doń organizmie. Na tej to naturalnej podstawie okazuje się serce jako symbol miłości. Symbolicznymi momentami są komunikacya, ciepło i barwa krwi, oraz centralne położenie serca, łączącego w jedność inne systemy wegetacyjnego i zmysłowego życia.

Autor uwzględnił poglądy nowszej psychologii i cytuje poważną i obszerną literaturę z danej dziedziny. Rezultaty badań ks. Handmanna mogą być bardzo przydatne do lepszego zrozumienia nabożeństwa do Serca Jezusowego, gdzie odnajdujemy te wszystkie symboliczne momenty, zredukowane w tej pracy do naturalnej swej podstawy. Zastosowanie tej teoryi do wymienionego nabożeństwa wykazał autor na innem miejscu.

E. M.

Les origines du christianisme. *Freppel.* Pages choisies du cours d'éloquence sacrée mises en ordre par l'abbé E. Barbier. T. 2. 1903. Paris. V. Retaux.

Freppel, dawny biskup w Angers, przedtem sławny profesor w Sorbonie, znany jest jako autor dzieła *Bossuet et l'éloquence sacrée au XVII siècle* i studyów patrologicznych. Te ostatnie, to owoc przygotowania do wykładów o wymowie kościelnej, którą słusznie pojmował nie jako samą tylko naukę stylu i formy, ale głównie jako historyę dogmatu i teologii moralnej w danej epoce.

Wychodząc z tego założenia, bisk. Freppel przy swych wykładach o wymowie kościelnej w pierwszych wie-

kach chrześcijaństwa, szeroko uwzględniał i charakteryzował ówczesne środowisko wymowy kościelnej, — i z tej właśnie części wykładów ułożył i wydał ks. Barbier dzieło *Les origines du Christianisme.*

Rozpada się ono na trzy części, które omawiają świat starożytny (wierzenia, systemy filozoficzne, potrzebę objawienia), epokę przejściową (pojęcia religijne i moralne w dobie zjawienia się chrystyanizmu) w tomie pierwszym, — tom drugi daje obraz świata nowego (moralność chrześcijańska, obrona wolności religijnej, świadectwo krwi). Z wielkim talentem, w stylu jasnym i pięknym dowodzi biskup Freppel, że chrystyanizm, to nie naturalny rezultat ewolucyi wierzeń i pojęć moralnych starożytności, że świat starożytny opierał się całą swą mocą jego ustaleniu, i że zwycięstwo i istnienie chrystyanizmu jest wypływem a razem i dowodem Boskości jego pochodzenia. Dzieło zatem dotyka problemu, który był zawsze i jest dotąd aktualnym, a wartość dzieła wzrasta jeszcze przez to, że autor ciągle zwraca uwagę i wykazuje, że dzisiejsze zarzuty robione nauce chrześcijańskiej, noszą, mimo swych pretensyi, tylko pozory nowości.

Te dwie myśli są ideami przewodniemi całego dzieła i one też dają mu wielką i stałą wartość. Od czasu, w którym wykładał biskup Freppel, historya kościelna postąpiła dużo naprzód, uzupełniła i zmieniła niejedno, a choć te jej zdobycze nie dotykają owych przewodnich myśli, to przecież pominięcie ich obniża nieco wartość dzieła. Odpowiedzialność za to spada oczywiście na ks. Barbier, tylko że tę winę wielokrotnie okupił podjętym trudem znakomitego wydawnictwa. *M. B.*

Blütenkranz des hl. Franciscus von Assisi. Aus dem Italienischen übersetzt von Otto Frhr. von Taube. Mit Einführung von Henry Thode. Jena 1905. Diederichs. Str. 248.

W XIII i XIV wieku powstały we Włoszech a przedewszystkiem w Umbryi *fioretti* (wybór kwiatów), zbiór legend i podań o treści pouczającej i budującej. Najcenniejsza część tego zbioru doczekała się naszych czasów. *Fioretti di San Francesco* zawiera legendy o życiu i czynach św. Franciszka z Umbryi. Niektóre z tych legend już za życia Świętego powstały, jako wyrazy przywiązania i niezwykłej czci. Pierwsze wydanie tego zbioru legend pochodzi z XIV wieku, spisał, zebrał i wydał je Braciszek Hugolino de Monte Giorgio i to w języku łacińskim. Najdawniejsze jednak przekłady włoskie mieszczą w sobie nie tylko *fioretti* w ściślejszem tego słowa znaczeniu, ale i uwagi o świętych stygmatach.

W Niemczech wzrasta od kilku dziesiątek lat zainteresowanie się św. Franciszkiem i po dwóch nie bardzo udałych przekładach pokazał się w roku ubiegłym nowy przekład *fioretti.* Przekład jest bardzo piękny, zewnętrzna forma książki bardzo estetyczna. Książka rozpada się na cztery części: str. 1—140 mieści: *Blütenkranz des hl. Franciscus*, str. 146—186; *Von den hochheiligen Wundmalen St. Francisci und den Betrachtungen darüber*, str. 200—220; *Das Leben Bruder Gineros*, 220—235; *Das Leben des Seligen Bruders Egidio*, i wreszcie str. 235—245 *Anhang*, legendy o końcu życia Świętego. *N. N.*

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Obce głosy o misyonarzach katolickich.

Ciekawy przyczynek do bezstronnej i sprawiedliwej oceny pracy i działalnosci katolickich misyonarzy w krajach zamorskich, tem ważniejszy, że oparty na powagach, stojących albo poza Kościołem albo Kościołowi wrogich, zawiera mowa deputowanego Verhaegena, wygłoszona w parlamencie belgijskim 27 lutego b. r. z okazyi zarzutów, stawianych misyonarzom przez belgijską komisyę śledczą. Przytaczamy tu kilka charakterystycznych zdań.

»Między urzędnikami, pisze dowodzący w Kongo Lemaire, oficerami, agentami państwa i innymi białymi, którzy w Afryce przebywają, można znaleźć dobrych, średnich i mniej dobrych; między misyonarzami istnieje jedna tylko klasa: dobrzy. Jeżeli wam to mówię, winniście mi uwierzyć, gdyż nie jestem wierzącym. Owszem, jestem niewierzącym w pełnem tego słowa znaczeniu. Mówicie często o cywilizacyi, ale prawdziwa cywilizacya, jedyna cywilizacya to ta, której tam w dali misyonarze swe życie poświęcają«.

Inny wojskowy, nazywający siebie samego wolnomyślnym, tak się wyraża w *Carillon d'Ostende:* »W Kongo tylko misyonarze pracują i cywilizują. Można ich tam widzieć, jak razem z czar-

nymi uprawiają swe pola, kształcą dzieci, uczą rzemiosł, a wszystko z taką bezinteresownością, która wywołuje zdumienie Europejczyków. Nie! misyonarze nie nadużywają krajowców do swych celów. Bez nich cywilizacya w Kongo nie postąpiłaby ani kroku«.

Szeroko znany podróżnik, Hieronim Becker, w swem dziele *La vie en Afrique*, przeciwstawiając życie twarde misyonarzy katolickich wygodnemu misyonarzy anglikańskich, dodaje: »Misyonarze rzymscy nie znają tych wszystkich przyjemności. Kapłan katolicki, który opuszcza swój kraj, aby ponieść dobrą nowinę do barbarzyńskich szczepów, wie że tylko na sobie samym polegać musi. O jego poświęceniu żadne pismo nie wspomni. Tylko powołanie go zagrzewa i działa cuda. Nie wystarczy, żeby wziął ze sobą biblię i brewiarz; musi on wziąć pług wieśniaka, siekierę pioniera, piłę robotnika i młotek mechanika«.

Większe jeszcze pochwały oddaje misyonarzom jeden z dostojników anglikańskiego Kościoła, Izak Taylor, w piśmie *The Fortnightly Review:* »Nasza metoda nie tylko żadnych nie osiąga skutków, ale jest wprost fałszywa. Musimy wrócić do metody, która święciła takie tryumfy w tych wiekach, które widziały nawrócenie cesarstwa rzymskiego. Aby zewangelizować Afrykę, pisał z Kartumu generał Gordon, potrzeba nam apostołów, ludzi, którzy opuścili wszystko — wszystko, moi panowie, zapamiętajcie to dobrze — ludzi, którzy umarli światu. I generał Gordon, żarliwy protestant, znalazł tylko w rzymskich misyonarzach urzeczywistnienie ideału o absolutnem poświęceniu apostolskiego misyonarza. W Chinach widział misyonarzów protestanckich pobierających rocznie pensyę 300 funtów i zamieszkujących z zamiłowaniem na wybrzeżu, gdzie komfort angielski łączyli z towarzystwem europejskiem; gdy tymczasem kapłani rzymscy opuszczają Europę bez nadziei powrotu, żyją w głębi kraju razem z krajowcami i prowadzą to samo życie, jak i oni. Ci misyonarze znajdują się tam zdala od swej ojczyzny, bez żony, bez dzieci, bez pensyi, bez jakiegokolwiek komfortu, bez towarzystwa europejskiego. Dlatego pracują skutecznie, jak na to zasługują ich usiłowania, podczas gdy misya protestancka upada«.

René Vauthier znowu w *Belgique coloniale* tak się wyraża:

«Na pierwszy rzut oka uderza w misyach katolickich charakter apostolski, który cechuje ich czynności. Te trzeba przypisać wyłącznie ich zaparciu się, ich cierpieniu i ofiarom dobrowolnie podjętym... Jedyną ich pociechą to dodatni skutek katechizacyi«.

Nawet belgijska komisya śledcza, misyonarzom nieprzychylna, widziała się zmuszoną uznać ich dodatnią działalność. »Misyonarz zniża się do czarnego, wspomaga go według możności, staje się niejako echem wszystkich skarg jakiejś okolicy. Stąd pochodzi ta zdumiewająca powaga misyonarzy w pewnych częściach kraju. Ich wpływ rozciąga się nie tylko na krajowców ulegających wpływowi ich religijnej pracy, lecz na wszystkie wioski, których skargi do nich dochodzą. Misyonarz jest dla krajowca jedynym przedstawicielem słuszności i sprawiedliwości«.

Równocześnie inny, niepodejrzany a niesłychanie przychylny sąd o misyonarzach katolickich wydaje znany z wojny niemieckiej w Afryce, komenderujący generał v. Trotha. W liście do ks. Lebeau, prowincyała Oblatów, ogłoszonym w wiedeńskiem misyjnem piśmie *Das Licht*, wyraża się, jak następuje: »Wszędzie na całej ziemi, gdziem się spotkał z działalnością misyi katolickich, we Wschodniej Afryce, w Chinach, a teraz na Zachodzie, wszędzie widzę ten sam obraz w skutki bogatej pracy, zadziwiającej wierności obowiązku, połączonej z hasłem *labora et ora*, wszędzie widoczne pracy owoce. Powinszować Kościołowi katolickiemu takiej działalności«.

Ta wiązanka obcych, wyłącznie akatolickich sądów, wystarcza, aby wykazać, że tylko trochę poczucia sprawiedliwości i bezstronności potrzeba, by oddać każdemu, co mu się słusznie należy.

Z dalszej walki o szkołę w Anglii.

Zarys nowego prawa szkolnego w Anglii, o którem pisaliśmy na tem samem miejscu w maju b. r., wywołał w kraju niebywałe burze. Poważna prasa angielska potępiła go prawie jednomyślnie. »Nie znając nawet dosłownego brzmienia »Zarysu«, musimy go potępić... gdy jego celem jest zniszczenie wolnych (wyznaniowych) szkół«, pisze *Standard*. Według *Daily Telegraph* nie jest on zwiastunem pokoju dla powaśnionych wyznań, przeciwnie rozpęta fanatyzm; *Times* nazywa go czemś, co

się nawet bronić nie da, *Daily Mail* daje ustawie nazwę »wyjątkowo niesprawiedliwej, której się do końca opierać trzeba«. Najostrzej potępia ustawę *The Guardian:* »Ktokolwiek jest przekonany o niezbędnej konieczności określonego wykładu religii dla młodzieży, zobaczy w »Zarysie« Birrella tylko nadużycie władzy, brutalne ciemiężenie sumienia, i krzyczące zaprzeczenie wolności religii«. Rozumie się, że i prasa katolicka nie mogła pozostać i nie pozostała w tyle.

Pocieszającym w tej sprawie objawem jest fakt, że nie tylko katolicy, jako najbardziej nowem prawem dotknięci, ale i anglikanie skupili się i wytężyli wszystkie siły, by »Zarys« zwalczać. Biskupi państwowego Kościoła wypowiedzieli publicznie i wspólnie zdanie, że »Zarysowi« w obecnej formie trzeba przeciwstawić niewzruszony opór; lud poszedł za ich przykładem i ósmego czerwca przywiozło 35 osobnych pociągów do Londynu tysiące Anglikanów, protestujących przeciwko ustawie. Zgromadzenie protestujące katolików skupiło znowu piątego maja w Londynie około 50,000 osób, między niemi pięciu biskupów, czternastu lordów, przeszło trzydziestu posłów i wielu innych wybitnych przedstawicieli z katolickiego świata. Potępiono tam »Zarys«, ponieważ wykład religii poddaje świeckim radom gminnym, nie uwzględnia religijnych przekonań rodziców i obraża religijną równość, wspólną sprawiedliwość i obywatelską wolność.

Mimo tych wszystkich protestów rząd przedłożył parlamentowi ustawę. Pierwsze przyjęcie nie było zachęcające; nie tylko opozycya i irlandcy narodowcy, ale wielu z pomiędzy liberalnych deputowanych poddało ustawę ostrej i gorzkiej krytyce. Sprawa weszła na tory dla rządu przychylne dopiero po przemówieniu ministra Lloyd George, który zaznaczył, że walka o szkołę, to walka o biblię przeciwko klerykalizmowi; naród angielski żąda, zdaniem ministra, aby żaden kapłan i żaden polityk nie stanął między nim a biblią, której bliższe poznanie świat na lepsze odmieni.

Nie tylko skutkiem tej mowy, ale także dla niej, parlament przyjął 10 maja w ogólnym zarysie nową ustawę 410 głosami przeciwko 204. Na tem sprawa jeszcze nie jest załatwiona, gdyż

dopiero teraz rozpoczynają się pojedyncze obrady nad poszczególnymi paragrafami; opozycya wysila się, większość rządowa coraz upada, tak że chwilowo wynosiła tylko 103 głosy, mimo to obrady i uchwały, choć powoli, postępują naprzód.

Ostatecznie wszystko zależy od izby lordów, a stanowisko tej izby wobec ustawy nie jest jasnem ani pewnem. Chamberlain przynajmniej przypuszcza, że »Zarys« nigdy nie stanie się prawem, że więc z wiosną przyszłego roku odbędą się znowu nowe wybory, tem samem jednak sądzi, że izba lordów ustawy nie przyjmie i że pierwszy minister będzie musiał powtórnie do narodu apelować. Inni natomiast wyrażają zapatrywanie, że izba lordów nie odważy się odrzucić całej ustawy, ale przyda jej tyle poprawek, uzupełnień i klauzuli, że będzie mogła być przyjętą, gdyż choć nie formalnie, jednak faktycznie będzie w istocie swej zmienioną, i toby było na razie najlepszem rozwiązaniem sprawy.

Ostatecznego wyniku przewidzieć nie można, fakt jednak, że w ostatnich czasach rząd sam rozpoczął kampanię przeciwko izbie lordów, nazywając ich przez usta podsekretarza stanu »niezdrowem zgromadzeniem, bez poczucia odpowiedzialności, i niezdolnem do jakiejśkolwiek normalnej działalności«, lub przez usta ministra handlu »rozstrojoną maszyną parlamentarną, należącą do rupieci«, ten fakt domyślać się każe, że jednak z tej strony rząd trudności się spodziewa i obawia.

Z życia holenderskiego.

Pisząc w sierpniu zeszłego roku o wyborach w Holandyi i o upadku gabinetu Kuijpera, zaznaczyliśmy, że dla Holandyi ten upadek był wielką klęską i że socyalne prawodawstwo, dla którego Kuijper tyle zrobił, będzie w swym rozwoju powstrzymane. Te przewidywania, niestety! się sprawdziły. Liberalno-radykalno-socyalistyczna koalicya, posiadająca w drugiej izbie tylko większość czterech głosów a znajdująca się w mniejszości w izbie wyższej, rządzi bez doznania przeszkód i trudności ze strony katolicko-konserwatywnej mniejszości.

Opozycya holenderska składa się bowiem ze stronnictwa katolickiego i konserwatywnego czyli protestanckiego, nazywanego także antyrewolucyjnem. Wiele punktów stycznych łączy te dwa

stronnictwa, ale jest dużo i rozbieżnych, jak np. zapatrywania na kwestyę szkolną i wojskową lub na wolny handel. Jak długo te dwa stronnictwa uznawały w Kuijperze swego naturalnego wodza, były wszystkie różnice jego powagą i znaczeniem wyrównane; z chwilą, w której Kuijper musiał ustąpić, zabrakło wodza i akcya partyi katolickiej i konserwatywnej została osłabioną. Dla wzwyż wspomnianych różnic nie zdobyły się one na utworzenie bloku, idącego ręka w rękę przeciwko liberalno-radykalno-socyalistycznej większości. A szkoda, bo do roku zeszłego jedynie stronnictwo katolicko-konserwatywne pracowało dla kraju.

Do połowy czerwca b. r. liberalne ministeryum de Meester'a nie przedłożyło izbie żadnego zarysu prawa o jakiemkolwiek większem znaczeniu, chociaż wiele takich zarysów Kuijper już przygotował i dał im taką podstawę, że wystarczało tylko dalej na niej budować; nawet liberalne dzienniki zaczynają się już zżymać na te owoce postępowej gospodarki.

Napotykając na trudności w izbie rozwijają katolicy tem większą działalność poza parlamentem. Wiec katolików holenderskich w miasteczku Echt w dyecezyi Roermond zgromadził liczne zastępy w poniedziałek Zielonych Świąt. Że zrozumieli oni współczesne prądy i potrzeby, wykazali wywieszając na wiecu podwójne hasło: jedność i organizacya. Zwrócili też uwagę na ważność i znaczenie prasy i na zawiązywanie komitetów wyborczych; dwa takie komitety już się utworzyły.

Z obozu protestanckiego w Niemczech.

W ostatnią niedzielę czerwca odbyły się dwa ważniejsze zgromadzenia Związku ewangelickiego. Zgromadzenie prowincyonalne w Hernie w Westfalii zaznaczyło, że celem Związku »wskazać członkom rzymskiego Kościoła drogę do Jezusa prowadzącą« i pracować dalej nad ruchem *Los von Rom* w Austryi; równocześnie jednak dziwną konsekwencyą wykazywał osławiony pastor Mayer, że poganin Wittekind, »to nasza przednia straż w walce, którą teraz prowadzimy. Karol Wielki zezwolił, żeby go biskup rzymski koronował i tym sposobem w narodzie niemieckim zrodził się wpływ papiestwa, dla wyparcia którego dzisiaj walczymy. Walkę Wittekinda pro-

wadzimy dalej«. To znowu nie przeszkodziło twierdzeniu, że Związek bynajmniej nie myśli o zwalczaniu Kościoła katolickiego i ludów katolickich.

Drugie zgromadzenie w Mühlheim nad Renem wypowiedziało się jaśniej. »Naszym wrogiem nie jest Kościół katolicki sam w sobie — w nim znajduje się jeszcze dużo religijnego życia, — lecz katolicyzm, o ile stał się jezuickim, zewnętrznym, bezwartościowym, bez treści, o ile na polu polityki staje się z dnia na dzień coraz silniejszą brutalną potęgą«.

Dlaczego to wszystko? Gdyż ten katolicyzm »przemienił państwo niemieckie w państwo kościelne«, gdyż »tolerancyjny wniosek centrowy zdąża do zgniecenia protestantyzmu, a swoje wskazówki otrzymuje centrum z Rzymu«, gdyż »ultramontanizm opanował nawet handel«, gdyż lękać się trzeba, czy Niemcy, »dzisiaj bogate i kwitnące, pod działaniem palących promieni watykańskiego słońca nie przemienią się w nagą pustynię«; dlatego też Związek »wyciąga chętnie rękę do katolickich braci i katolickich księży, lecz pod warunkiem: precz z Rzymem! precz z syllabusem! precz z nieomylnością papieską! Wszystkiego, coby obrazić mogło, będziemy unikać, ale jeżeli nawet katolicy sobie tego nie życzą, wbrew ich woli pomożemy im, by prawdę znaleźli«.

Ta wiązanka sprzecznych myśli i zapatrywań pokazuje chaos i zamieszanie, panujące w umysłach protestantów niemieckich. Ludzie, którzy w wielkiej części nic wspólnego z Jezusem nie mają a za pierwowzór walki przeciwko Kościołowi obierają sobie poganina, drogi do Jezusa chyba nikomu nie wskażą.

Walka jednak przeciwko katolicyzmowi przez społeczeństwo prowadzona trwa w państwie niemieckiem dalej; ograniczymy się na razie do jednego tylko tej walki objawu. Z pewną satysfakcyą uwiadomił minister Studt parlament, że kongregacye katolickie (chodzi tu o kongregacye maryańskie), nie znajdują się obecnie w żadnym wyższym zakładzie naukowym; są one niebezpieczne dla całości państwa niemieckiego. Zaprowadzono zato dla młodzieży protestanckiej po gimnazyach tak zwane Kółka biblijne *(Bibelkränzchen)*.

Takich Kółek istnieje obecnie w Niemczech urzędowo 84,

w rzeczywistości jest ich więcej, gdyż dużo zakładów liczy po dwa Kółka. Że jest to naśladowanie kongregacyi katolickich, to jasne. Że rząd im sprzyja a dyrektorzy dla nich propagandę robią, to także pewne. Jakież jest zadanie tych Kółek?

O ile chodzi o protestantów, nie można im odmówić słuszności i dodatnich stron. Zadaniem Kółek jest głębsze poznanie Pisma św. w duchu chrześcijańskim. Do tego celu służą modlitwy i śpiewy, czytania Pisma św., wykłady biblii, często nawet wcale obszerne, jak np. o chrzcie, Trójcy św., Eucharystyi i wreszcie odczyty apologetyczne. Niektóre z tych tematów były dosyć aktualne i interesujące, np. wiara i wiedza, chrześcijaństwo i nauki przyrodnicze, biblijne dni stworzenia i t. d.

Kółka rozszerzają się prędko, uszczęśliwiły już nawet Rawicz i Leszno. Gdyby, rozumie się, nie ich ekskluzywne, czysto protestanckie stanowisko, możnaby czuć do nich nawet pewną sympatyę. Lecz tu chodzi przedewszystkiem, nie tak o odnowienie i wzmocnienie ducha wiary, jak raczej o wyparcie związków katolickich wśród młodzieży szkolnej. To wyparcie udało się za przyczyną ministra Studta, gdyż konferencya biskupów w Fuldzie postanowiła na razie nad zaprowadzeniem kongregacyi katolickich w naukowych zakładach niemieckich nie pracować.

Nowa organizacya misyi w Kongo.

W ostatnich dniach maja stanął między Ojcem św. a Leopoldem II belgijskim układ co do misyi katolickich w Kongo. Podajemy tu kilka ważniejszych ustępów tego układu.

Państwo Kongo da każdej legalnie utworzonej misyi bezpłatnie i na wieczną własność sto do dwieście hektarów ziemi według ważności odpowiedniej misyi pod następującymi warunkami:

Każda misya otworzy według możności dla krajowców szkołę o programie, w którego skład wejdzie przedewszystkiem uprawa roli, leśnictwo i rzemiosła ręczne. Program nauk będzie przedłożony generalnemu gubernatorowi, a program ten obejmie także języki, używane w Belgii. W pewnych oznaczonych czasach superyorzy misyi złożą gubernatorowi sprawozdanie z rozwoju szkół,

z postępu nauk, z liczby uczniów, a gubernator będzie miał prawo badać, czy szkoły odpowiadają swemu celowi pod względem hygieny i zdrowotności. Nazwisko każdego superyora misyi będzie podane do wiadomości generalnego gubernatora, a misyonarze zobowiązują się starać o zapewnienie krajowcom posługi duchownej tam przedewszystkiem, gdzie dla większej liczby parafian ich obecność będzie pożądana. Tak gubernator wreszcie jak i superyorzy misyi starać się będą o utrzymanie zgody między misyonarzami i urzędnikami, a jakiekolwiek niesnaski mają być załatwione po przyjacielsku u odpowiednich władz lokalnych, a gdyby te celu nie osiągnęły, u wyższych.

Ks. Wiktor Wiecki.

Stowarzyszenia spożywcze w Galicyi.

I.

Gdy słyszymy o wspaniałych rezultatach, osiągniętych przez angielskie czy szwajcarskie stowarzyszenia spożywcze, w całej pełni ujawnia się różnica między stanem kulturalnym naszego społeczeństwa, a stanem kulturalnym społeczeństw, powyżej wymienionych. Brak zupełny, martwota, lub rozwój bardzo tylko niedoskonały, oto stan rzeczy, charakteryzujący nasze stosunki w tym względzie. A ten, nad wyraz smutny stan rzeczy, budzi ciekawe bardzo dociekania na temat naszej zdolności do zrzeszania się[1].

Dociekania na ten temat, jakkolwiek z natury rzeczy muszą wychodzić z właściwości psychicznych, w naszem społeczeństwie się ujawniających; niemogą jednak doczekać się ostatecznego rozwiązania, dopóki nie będzie zbadanym przedewszystkiem faktyczny rozwój poszczególnych kategoryi zrzeszania się, dopóki nie będą również zbadane zewnętrzne rzeczowe warunki, wśród których stowarzyszenia spożywcze zmuszone są działać.

Stawianie ostatecznych ogólnych tez, o naszej zdolności zrzeszania się, może być tylko wówczas uważane za ostatnie słowo nauki,

[1] A. Krzyżanowski: »Umiejętność zrzeszania się« (*Przegląd Polski* 1906). Z. Gargas »Indywidualizm a asocyacya« (*Związek* 1906).

jeśli się oprze na obfitym a możliwie wszechstronnym materyale indukcyjnym. Dotyczy to zwłaszcza stowarzyszeń spożywczych.

Stowarzyszenia spożywcze w Galicyi, we właściwem tego słowa znaczeniu i w swym całokształcie, nie były nigdy jeszcze dotychczas przedmiotem roztrząsań naukowych. A ten brak naukowego zainteresowania się, był w części może także przyczyną małego zrozumienia właściwych zadań i celów stowarzyszeń spożywczych, pośrednio więc także częściową przyczyną niepowodzeń idei tych stowarzyszeń w Galicyi.

Bo przedmiotowe warunki są w wielu kierunkach jakby stworzone do tego, by się tu idea stowarzyszeń spożywczych zrealizowała w całej pełni.

Historya cen w naszym kraju, stosunek cen hurtownych do cen drobiazgowych, kosztów pośrednictwa handlowego i t. d., nie została wprawdzie dotychczas napisaną, ale to co w tym kierunku stwierdzono, dostarcza dla twierdzenia powyższego dowodów aż nadto wymownych, zwłaszcza, jeśli ceny nasze zestawimy z cenami w krajach ościennych[1].

I tak gdy w Niemczech[2] najniższa cena mięsa w głównych miastach Niemiec wynosiła 1 m. 24 fen. za 1 kg., to cena wołów za 100 kg. martwej wagi wynosiła 137 m. 8 fen. Jeśli zaś obliczymy za Settegastem, wartość martwej wagi na wartość żywej wagi, wypadnie ta ostatnia na 97 m. 94 fen., a więc stosunek cen żywej wagi za bydło do najniższych cen mięsa był jak 1:1·27.

W Berlinie we wrześniu 1905 r. wynosiła cena za 100 kg. po obliczeniu na żywą wagę bydła 97 m. 94 fen.; cena najniższa mięsa za 1 kg. 1 m. 20 fen., stosunek cen jak 1:1·25.

We Lwowie we wrześniu 1905 wynosiła przeciętna cena żywej wagi 67 k. za 100 kg.[3]; cena najniższa mięsa według notowań w miejskiem biurze targowem 1 K. 20 h. za 1 kg., stosunek cen więc przedstawiał się jak 1:1·79.

Z zestawienia tego wypływa[4], że na 100 K. wydanych na zakupno bydła odbierali rzeźnicy w najtańszem mięsie, przeciętnie w całych Niemczech 127 K., w Berlinie 125 K., we Lwowie zaś aż 179 K.,

---

[1] »Sprawozdanie o stosunkach drożyźnianych we Lwowie« wygłoszone na posiedzeniu komisyi aprowizacyjnej miasta Lwowa w dniu 3 kwietnia 1906 przez Władysława Lenkiewicza. Lwów 1906, str. 4 i n.

[2] R. Calver: *Das Wirtschaftsjahr 1905.* (Jena 1906).

[3] *Rolnik* 1905, Nr 38.

[4] Lenkiewicz: j. w. str. 4.

a więc stosunek ten był dla konsumentów Lwowa mniej korzystnym w pierwszym razie o 52% w drugim o 54%.

Gdyby rzeźnicy lwowscy w tym samym stosunku układali ceny za mięso jak berlińscy, powinnoby mięso we Lwowie, przy cenie bydła 67 K. za 100 kg. żywej wagi, mieć najniższą cenę 80¾ h., a gdy ono kosztowało faktycznie 1 K. 20 h. było ono droższe o 18·6%.

We Wiedniu w lutym 1906[1] była przeciętna cena bydła rzeźnego z pominięciem chudego, 74 K. 60 h. za 100 kg. żywej wagi — przeciętna cena mięsa w drobnej sprzedaży a mianowicie w sklepach 1 K. 48 h. za 1 kg. — stosunek cen jak 1:1·98.

We Lwowie w tym czasie była przeciętna cena za 100 kg. żywej wagi bydła 73 K. 90 h.[2] — przeciętna cena mięsa w pierwszorzędnych sklepach według cen płaconych i podanych przez konsumentów 1 K. 57 h. stosunek cen jak 1:2·12. Zatem we Lwowie mięso jest bezwzględnie o 9 h. droższe a stosunek cen o 14% wyższy jak we Wiedniu.

Ale pomijając zresztą fakt znacznie wyższych cen u nas istniejących w porównaniu z zagranicą, co tu w rachubę nie wchodzi, podnieść wypada jeden moment przedewszystkiem[3], mianowicie bardzo znaczne różnice między ceną uzyskiwaną przez producenta a ceną sprzedażną, uzyskiwaną przez kupca. Tak według wiadomości, zasięgniętych u hodowców w okolicy Lwowa, płacono tymże za bydło rzeźne w lutym 1906 r. 58—60 K. za 100 kg. żywej wagi, podczas gdy na targu lwowskim notowano 73 K. 90 h.

Gdyby za bydło płacono odpowiednio do cen mięsa, lecz w stosunku wiedeńskim, powinnaby być cena za 100 kg. żywej wagi bydła 79 K. 29 h., a ponieważ targi wykazują 73 K. 90 h., więc jest niższą o 5 K. 39 h., gdy zaś hodowcom nie płacą wyżej nad 60 K. więc jest niższą o 13 K. 90 h. Jeśli się uwzględni, że sam Lwów spożywa rocznie około 11½ milionów kg. mięsa, na którego wyprodukowanie potrzeba przeszło 191.000 q. żywej wagi bydła, to przy różnicy w cenie odnośnie do cen targowych, jak powyżej 5 K. 39 h. na każde 100 kg., czyni ta różnica 1,032.000 K., a przy uwzględnieniu różnicy rzeczywiście płaconych cen za bydło t. j. 13 K. 90 h. czyni to 2,654.000 K.

---

[1] *Statistische Nachrichten aus dem Gesammt-Gebiete der Landwirtschaft* 1906 Nr 7.

[2] *Rolnik.* 1906, Nr 9.

[3] Lenkiewicz j. w. str. 6.

Podobnie przedstawia się sytuacya i w innych artykułach spożywczych.

Ziemniaki płacono u producentów za 100 kg. $2^1/_2$—3 K., w handlu sprzedają je po 6 h. za kg. czyli 6 K. za 100 kg.[1], czyli że różnica w cenach wynosi 100—140%.

Buraki płacono po 2—3 K., przeciętnie $2^1/_2$ K., cena sprzedaży przy zakupnie najmniej 25 kg. na jeden raz wynosi 5 K. za 100 kg., różnica cen wynosi przeszło 100%, w drobnej sprzedaży przeszło 200%.

Kapustę w głowach płacono w jesieni za kopę 2—4 K., przeciętnie 3 K., w drobnej sprzedaży kosztuje główka 15—40 h. czyli kopa 9—24 K., przeciętnie $16^1/_2$ K. czyli że różnica w cenach wynosi 450%.

Fasolę białą płacono w jesieni 16—20 K., przeciętnie 18 K. za 100 kg., cena sprzedaży 34 K., czyli że różnica cen wynosi 89%[2].

Stosunek cen pszenicy do cen pieczywa był w Berlinie jak 1 : 2·27, we Wrocławiu jak 1 : 2·18, we Lwowie jest obecnie jak 1 : 2·75 zatem wyższy od berlińskiego o 48%, od wrocławskiego o 57%.

Według stosunku berlińskiego powinnoby pieczywo przy cenie pszenicy 16 K. za 100 kg. kosztować we Lwowie $36^1/_3$ h. za 1 kg., według stosunku wrocławskiego niespełna 35 h. Gdy zaś według cen targu aprowizacyjnego, kosztuje 44 h., więc jest droższe w pierwszym razie o 21%, w drugim o 26%.

W Dreźnie był stosunek cen żyta do cen chleba, jak 1 : 1·65, we Wrocławiu, jak 1 : 1·51, we Lwowie, jak 1 : 2·18, zatem u nas wyższy o 53% względnie 67%.

Według stosunku drezdeńskiego powinien 1 kg. chleba przy cenie żyta 12 K. za 100 kg. kosztować we Lwowie 14·8 h., według stosunku wrocławskiego 18·1 h., według cen targu aprowizacyjnego kosztuje 26 h., więc jest droższy o 31·3% do 43·6%.

Daty te, sporadyczny co prawda, mające charakter, dowodzą niewątpliwie z jednej strony, że między ceną, uzyskiwaną przez wytwórców, a ceną uzyskiwaną przez kupców znaczna zachodzi różnica, z drugiej zaś strony, że ta różnica jest u nas wyższą.

---

[1] *Dziennik Polski.* 1906, Nr 71.

[2] *Dziennik Polski.* 1906, Nr 71.

Mylnem byłoby jednak co prawda twierdzenie, że cała ta różnica idzie na rzecz pośredników. Szczegółowa analiza cen, której dotychczas brak, a której szczegółowe przeprowadzenie byłoby możliwem dopiero przy pomocy urzędowego aparatu statystycznego, wykazałoby niewątpliwie, że do tej podwyżki cen w walnej mierze przyczynia się silne obciążenie podatkowe. I to nie tylko same podatki spożywcze, ale i wszystkie inne: podatek domowo-czynszowy, bo im wyższym jest ten podatek, tem wyższym jest też i czynsz, bo właściciel domu, jakkolwiek sam opłaca podatek, to jednak opłaciwszy go, przerzuca go następnie na lokatora, którym w danym wypadku jest kupiec, kupiec zaś znowu, niema ochoty sam ponosić tego ciężaru, i przerzuca go, o ile względy współzawodnictwa mu na to pozwalają, na swych odbiorców. To samo dotyczy również w pewnej mierze i dodatku zarobkowego, czy osobisto-dochodowego, opłacanego przez kupca i t. p.

O ile do podatku państwowego przybywają jeszcze dodatki do podatków, na jakiejkolwiek zasadzie prawnej oparte i przez jakiekolwiek ciało samorządne pobierane, o tyle też obciążenie podatkowe staje się silniejszem, o tyle też podwyżka cen artykułów spożywczych postępuje naprzód.

Intenzywność działania tej przyczyny podwyżki cen, nie może być oczywiście wyrażoną w jakiejś ścisłej ogólnej formule, mogłaby być co najwyżej uwydatnioną na przykładach, których typowość byłaby zresztą natury czysto — hipotetycznej.

Analiza szczegółowa musiałaby zresztą uwzględnić całość obciążenia podatkowego w łącznem jego działaniu, ponadto zaś poboczne wydatki kupca.

Chodzi tylko o to, czy te poboczne wydatki nie przybierają w wielu wypadkach zbyt obszernych rozmiarów, względnie czy koszta, wyłożone przez społeczeństwo, a raczej przez konsumentów na opłacenie kosztów pośrednictwa handlowego nie są zbyt wielkie.

Otóż w tym względzie pewnych danych dostarcza nam statystyka zawodowa. Wedle statystyki zawodowej Galicyi z r. 1902, na ogólną liczbę 180.072 przedsiębiorstw *(Gewerbe)* wogóle, do których należą zarówno przedsiębiorstwa wytwarzające surowce jak przedsiębiorstwa przemysłowe i handlowe, przedsiębiorstw handlowych i komunikacyjnych jest aż 99.188, przedsiębiorstw wytwarzających zaś tylko 80.884, samych zaś przedsiębiorstw handlowych ze stałą siedzibą jest aż 82·377, obie więc cyfry przenoszą cyfrę przedsiębiorstw

wytwarzających[1], daty te zaś dowodzą zarazem, że w Galicyi, pośrednictwo handlowe uprawiane jest ze wszystkich zawodów gospodarczych najbardziej intenzywnie.

W bardziej jaskrawem świetle przedstawia się kwestya, jeśli się weźmie na uwagę daty bardziej szczegółowe, dotyczące wprawdzie terytoryów, bardzo ciasno zakreślonych, ale mające wszelkie znamiona dat typowych. I tak w Limanowej, miasteczku powiatowem w Zachodniej Galicyi[2], rodziny żyjące z handlu liczą około 437 głów, czyli stanowią czwartą część ludności miasteczka.

Kapitał zakładowy, jest z reguły tak mały, że znika wobec kredytu, którego wielkość decyduje jedynie o wielkości obrotu. Takie samo opieranie się na kredycie, pozbawionym zresztą zupełnie podkładu rzeczowego, a opartym prawie wyłącznie na zaufaniu, z natury rzeczy silnie musi wpływać na podwyżkę cen. Ta podwyżka cen musi być tem silniejszą, że niewypłacalność naszych kupców jest zjawiskiem statystycznie regularnem. Konkurencya handlowa jest bardzo silną i prowadzi się ją wszelkimi możliwymi sposobami i obniżaniem cen z uszczerbkiem dobroci towarów, namową odbiorców, oczernianiem współzawodników, udzielaniem kredytu. Rezultatem tej ostrej walki jest, jak wspomniano, niewypłacalność. W ciągu 10 ostatnich lat było np. w takiej małej mieścinie jak Limanowa, liczącej w roku 1900 82 przedsiębiorstw handlowych, aż 20 wypadków niewypłacalności. Trzech kupców popadało 2 i 3 razy w niewypłacalność. Na wieść o niewypłacalności zgłaszają się wierzyciele, badają stan interesu, układają się z dłużnikiem i zobowiązują go, aby im w ciągu 1—2 lat wypłacił odpowiednią część długu, zwykle 50—80%. Jeżeli nie wykryją oszustwa lub niebezpiecznej lekkomyślności, to i nadal udzielają chętnie kredytu, tylko podnoszą odpowiednio ceny tak, że ewentualne niewypłacone sumy znajdują w tej nadwyżce swe pokrycie; nawet sam niewypłatny pokrywa stratę przez siebie spowodowaną, jeżeli tylko dłuższy czas stale brał towary. Zwykle przy takiej sposobności zmienia się firmę, np. żona lub córka otwierają sklep, choć mąż czy ojciec nadal głównie zajmuje się interesami. Do zgłaszania niewy-

[1] *Ergebnisse der gewerblichen Betriebszahlung vom 3 Juni 1902 in den im Reichsrathe vertretenen Königreiche und Ländern Galizien und Bukowina* (*Oesterreichische Statistik* B. LXXVII).

[2] Fr. Bujak: Limanowa. Miasteczko powiatowe w Zachodniej Galicyi. Stan społeczny i gospodarczy. Kraków 1902. (Studya ekonomiczno-społeczne Z. I).

płacalności mają ogromną skłonność drobni kupcy, którzy się jeszcze niczego nie dorobili, bo na tem nic nie tracą, ale mogą zyskać. Pozbywają się przez to znacznej części długów, przynajmniej tej, która niema pokrycia w towarach i mogą na nowo rozpocząć interes od zera t. j. nie mając jak dawniej majątku ani długu. Przez zręczne ukrycie swojego majątku lub pozostałych towarów można nawet dorobić się majątku, w Limanowy np. pewien kupiec 9 razy był uznany za niewypłacalnego — w rezultacie dorobił się majątku, który szacują blizko na 80.000 koron[1].

Fakty te dowodzą niewątpliwie, że istotnie zbyt wielka liczba kupców i niezdrowe stosunki handlowe są jedną z walnych przyczyn naszych stosunków drożyźnianych.

Z faktu tego mylnym byłby oczywiście wniosek, że pośrednictwo handlowe w zupełności należy usunąć.

II.

Pośrednictwo handlowe było może w wielu wypadkach zbyteczne, jak długo produkcya odbywała się głównie na zamówienia. Z chwilą jednak, gdy w miejsce produkcyi na zamówienie nastąpiła produkcya na zapas, sytuacya zasadniczej uległa zmianie.

Bo to pewne przedewszystkiem, by owe dobra, wytworzone w tak wielkiej masie, doszły istotnie rąk spożywcy, koniecznem jest bądź co bądź pewne pośrednictwo handlowe[2]. Produkcya i dowóz z jednej strony a spożycie z drugiej, są to zjawiska ściśle ze sobą związane. Jeśli towary jakieś mają być wytworzone lub do kraju dowiezione, to muszą one również dojść do rąk spożywców, jeśli wytwarzanie i dowóz mają być kontynuowane. Wytworzenie i dowiezienie do właściwego miejsca zbytu jest dopiero połową zadania; druga połowa polega na tem, żeby owych produktów się pozbyć, żeby je dalej dowozić i dalej wytwarzać. Zarówno wytwórcy jak i hurtownicy powinniby przeto właściwie wejść w bezpośredni stosunek do spożywców i istotnie niejednokrotnie pojawiają się tego rodzaju usiłowania.

Spożywca mógłby więc np. zamawiać towar listownie, a producent lub hurtownik przesyłałby mu towar pocztą. W obu wypadkach, ilości tych zamówionych towarów, musiałyby być tak małe, jak tego

---

[1] Bujak: j. w. str. 106.

[1] A. Bayerdörffer: *Der Einfluss des Detailhandels auf die Preise (Schriften des Vereines für Socialpolitik* T. XXXVII. Leipzig 1888.

środki finansowe i wygoda publiczności wymagają, z drugiej zaś strony jednak przecież w takich rozmiarach, żeby przesyłka się opłaciła. W obu kierunkach istnieją pod tym względem bardzo poważne trudności i przy niektórych towarach i u niektórych spożywców z warstw zamożniejszych byłby może taki bezpośredni obrót niekiedy możliwy. Tak co do kawy, cukru, ryżu i t. p. Ale ewentualność ta jest prawie wprost wykluczoną przy towarach, które są narażone na zepsucie, których przechowanie wogóle, z jakichkolwiek względów przedstawia pewne trudności, które są używane rzadziej i w mniejszych ilościach, wkońcu wogóle wszystkie takie przedmioty, które spożywca, przed ich zakupieniem chce widzieć i zbadać, czy odpowiadają jego potrzebom.

Tak np. u osób prywatnych jest wprost wykluczone zakupno większej ilości nafty[1]. Naftę sprzedają bowiem hurtownicy zazwyczaj w beczkach, zawierających zazwyczaj kilka cetnarów. Przechowywanie takiej ilości nafty, byłoby jednak niewątpliwie dla wielu spożywców, zwłaszcza z uwagi na niebezpieczeństwo ognia, połączone z bardzo znacznemi trudnościami; wypróżnianie beczek nie jest rzeczą szczególnie przyjemną, do tego są bowiem potrzebne osobne naczynia i narzędzia; wkońcu spożywca nie zdoła wyprożnionej beczki tak dobrze spożytkować, jak kupiec. Wreszcie trzeba pamiętać, że korzyść z takiego uproszczenia obrotu wynikająca, nie byłaby w rezultacie tak bardzo wielką. Wedle szczegółowych obliczeń dokonanych przez Bayerdörffera wynagrodzenie za pośrednictwo dla handlu drobiazgowego wynosiłoby przy rodzinie złożonej z 5 osób, a potrzebującej około 42 kg. t. j. 53 c. rocznie zaledwie 2 m. 12 fen., licząc po 4 fen. na litr. Wprawdzie flaszka jednolitrowa nie zawsze wynosi w praktyce pełny litr, atoli pamiętać należy, że i uwzględniając ową podwyżkę zarobku detalisty, korzyść dla spożywcy stąd wynikająca nie byłaby zbyt wielką.

Przytem wogóle koszta przesyłki towaru, nie stałyby wrazie uproszczenia obrotu, w żadnym odpowiednim stosunku do wartości towaru, a towar ten znaczniejby podrożał niż to się dzieje obecnie wskutek pośrednictwa handlu detalicznego, ponadto trzeba uwzględnić koszta, połączone z zapłatą towaru, wkońcu musiałby wytwórca względnie grosista, używać osobnych lokalności i sił roboczych do opakowania i przesyłania tak licznych a małych ilości towarowych, musiałby również użyć do pomocy większego kapitału, w celu szyb-

[1] A. Bayerdörffer: j. w. str. 24.

kiego załatwienia zleceń, musiałby utrzymywać większe jakieś zapasy; nie mógłby przeto spożywcom dostarczać towaru tak tanio, jak to się dzieje obecnie za pośrednictwem handlarzy. Ponadto istniałyby wogóle niezliczone trudności, któreby codziennie prawie musiał zwalczać spożywca, a nie mogąc ich zwalczyć, nieraz zrzekłby się zupełnie używania niejednego towaru; to ograniczyłoby wytwórczość i dowóz, co znów ujemnie musiałoby wpłynąć na całokształt gospodarstwa społecznego.

Zdanie, że od samego wytwórcy wprost, można zakupywać znacznie taniej, jest co prawda bardzo rozpowszechnione, ale opiera się w znacznej części wprost na przesądach, niekiedy istotnie zupełnie nieuzasadnionych. Charakterystycznym w tym względzie jest fakt, przytoczony przez Conrada[1], że często ogłaszają bezpośrednią sprzedaż w fabryce drobni fabrykanci, którzy nie mogą w zwykłej drodze uzyskać zbytu swych wytworów, nie mogąc zaś nastarczyć swymi własnymi wytworami licznie nadpływającym zgłoszeniom, kupują tandetę (wybiorki) u swych kolegów, stają się więc poprostu zupełnie zwykłymi pośrednikami handlowymi, ale pod firmą fabrykantów, mogą uzyskiwać niejednokrotnie znacznie wyższe ceny.

Innym sposobem wytworzenia bezpośredniego stosunku między wytwórcami a spożywcami, byłoby może urządzenie odpowiednich składów wprost przez samychże wytwórców; do tego byłyby potrzebne osobne miejsca składowe u sprzedawcy, a w najlepszym razie osiągniętoby te korzyści, które daje obecnie handel drobiazgowy. Handel drobiazgowy spełnia tę funkcyę atoli w formie podziału pracy, a następnie znowu w formie połączenia pracy w sposób lepszy, a w każdym razie w sposób tańszy; bo podczas gdy tam każdy wytwórca i hurtownik musiałby utrzymywać swój własny skład, detajlista utrzymuje w jednym i tym samym składzie różne towary, tem samem zaś znacznie lepiej wykorzystuje i miejsce i siły robocze, tem samem zaś ułatwia spożywcom zakupno. Detajlista łączy towary z różnych fabryk lub od różnych grosistów sprowadzane, tem samem umożliwia spożywcom większy dobór i przegląd tego wszystkiego, co grosista chce kupić.

Handel detajliczny jest więc połączony z niewątpliwą korzyścią dla wytwórcy, tembardziej że umożliwia mu utrzymywanie stosunków

---

[1] Conrad: *Einfluss des Detailhandels auf die Preise und entwaige Mittel gegen eine ungesunde Preisbildung (Schriften des Vereins für Socialpolitik* T. XXXVIII).

z niewielu stosunkowo odbiorcami. A należy i o tem pamiętać, że handel detajliczny wytwarza grupę ludzi, zawodowo oddających się tej czynności, a wskutek tego skierowujących swą uwagę także i na to, aby pozyskać możliwie jaknajwiększe koło spożywców dla danego towaru.

Jeśli towary znajdują się już w składach detajlistów, to wartość ich jest już dla spożywców znacznie większą, niż wówczas, gdy one znajdują się w składach fabryk lub grosistów; a niejeden artykuł pozyskuje wogóle jakąś poważniejszą wartość dopiero z chwilą, gdy został wyłożony do sprzedaży w handlu detajlicznym; jak długo np. jakiś fabrykat nowo wynaleziony nie opuścił jeszcze fabryki, brak będzie niewątpliwie zazwyczaj kupca, a spożywca zdecyduje się zazwyczaj do kupna towaru wówczas dopiero, gdy może towar bez szczególnych trudności oglądnąć.

Jak jednak z jednej strony handel detajliczny jest niewątpliwie konieczny, tak z drugiej strony rozmiary jego i granice ciągłemu ulegają wahaniu a raz po raz pojawiają się usiłowania, niekiedy bez skutku, by doprowadzić do bezpośredniego obrotu między wytwórcą względnie grosistą z jednej strony, a spożywcą z drugiej, bądźto za pomocą wysyłek pocztowych, zawierających dotyczące towary w niewielkich stosunkowo ilościach, bądź też za pośrednictwem agentów podróżujących czy wprost handlu obnośnego[1].

Jeśli się uwzględni momenta powyżej zaznaczone, a dowodzące niezbędnej potrzeby handlu detajlicznego z jednej strony, z drugiej strony zaś tego rodzaju usiłowania i tendencye, musimy dojść do przekonania, że zjawisko to przypisać należy wygórowanym częstokroć kosztom, połączonym z handlem detajlicznym. Wprawdzie handel detajliczny od wieków ma licznych wrogów i przeciwników.

Nasz Grodwagner jeszcze w XVII w. pisał, że obecnie kupcy, to ci, »co to iuż y na każdey rzeczy niezmiernych korzyści łakomie szukaią y ustawicznie nowe o tym koncepty stroią, iakoby to łożywszy mały koszt, zawsze pożytek wielki otrzymywali. I powodzi się im to iako baczymy bardzo dobrze; ponieważ opuściwszy inszych, ci co się handlami bawią za podłe a błahe towary, tak wiele pieniędzy nabierzą iako za nayprzedniejsze«[2].

Ale długie wieki były to próżne jeno żale i deliberacye, a taksy

---

[1] Z. Gargas: »Handel obnośny a państwo«. Kraków 1900.

[2] Z. Gargas: »Poglądy ekonomiczne w Polsce XVII wieku«. Lwów 1903, 2 wyd. str. 72.

ustanawiane przez dawniejsze ustawodawstwo w celu położenia tamy nadużyciom pośredników, okazały się zupełnie bezskuteczne. Stanowczym krokiem naprzód było dopiero zrzeszenie spożywców, stowarzyszenie spożywcze.

Omijanie zupełne handlu detajlicznego, jak zaznaczono już powyżej, nie byłoby właściwem, ponieważ handel detajliczny, pełni istotną i niezbędną funkcyę w gospodarstwie społecznem. Szczególnie korzystną zaś dla spożywców formą pośrednictwa handlowego, jest sprowadzanie towarów *en gros* co również zrzeszenie spożywców w pewnych artykułach z wielkim skutkiem uczynić może. Wogóle wszystko to, co czyni handel detajliczny prywatny, t. j. rozprowadzanie poszczególnych towarów, pobranych w większej masie od grosisty, po różnych arteryach organizmu gospodarstwa społecznego, pomiędzy poszczególnych spożywców, da się niewątpliwie równie dobrze uskutecznić w drodze asocyacyi interesantów, t. j. spożywców. Kupiec pełni dla spożywców pewne niezbędne dla nich usługi na własny rachunek i ryzyko, atoli te same usługi mogą być równie dobrze, jeżeli nie lepiej, spełniane przez pełnomocnika samychże spożywców, t. j. stowarzyszenia spożywcze.

Korzyści, wynikające dla stowarzyszonych z kooperatywy spożywczej są wielorakie. Na zebraniu Towarzystwa polityki socyalnej, poświęconem omówieniu wpływu handlu drobiazgowego na ceny, przedstawił H. Crüger referat, w którym szczegółowo zestawił długi szereg dat, dowodzących daleko idącego wpływu stowarzyszeń spożywczych, na kształtowanie się cen w handlu drobiazgowym i na polepszenie się ich jakości.

Tak w Mausbach pod Magdeburgiem podwyżka spowodowana handlem drobiazgowym stała się dzięki stowarzyszeniom spożywczym mniejszą przy mące o 43%, przy grysie o $43^1/_6$%, przy krupach o $33^1/_2$%, przy makaronie o $56^1/_3$%; w stowarzyszeniu spożywczem w Exbede podwyżka spadła przy ryżu o 27—30%, przy sadle o 19%, przy szmalcu o 30%, przy sodzie nawet aż o 160%, przy grochu o 52·8%, przy grysie o 27·6% i t. p.

Na prywatny handel drobiazgowy wpływają stowarzyszenia spożywcze dość rozmaicie.

Tak, co się tyczy wielu małych miast, to wielu kramarzy rzeczywiście nie może istnieć obok stowarzyszenia. Atoli dzieje się to głównie dlatego, że kramarze ci są skazani na bardzo niewielką tylko liczbę odbiorców, wskutek czego wynagrodzenie, które oni muszą sobie liczyć za swe czynności, jest dość znaczne, a nadpłata dro-

biazgowa bardzo poważnych sięga tu niekiedy rozmiarów. Pamiętać jednak należy o tem przedewszystkiem, że kupiec drobiazgowy jest dla spożywcy a nie odwrotnie i każda czynność, a więc i pośrednictwo handlowe, jeśli chce mieć prawo do wynagrodzenia, to musi odpowiadać istotnej potrzebie. Gdy owa potrzeba nie istnieje, lub nie istnieje w odpowiednich rozmiarach, to i owa czynność staje się zbyteczną i traci racyę bytu.

Rozwój stowarzyszeń spożywczych nie tak łatwo zresztą może doprowadzić do zupełnego zaniku handlu drobiazgowego. Jak słusznie bowiem Lexis[1] zaznacza, publiczność żąda z wielu względów, z wygody, z zamiłowania do różnic społecznych, do wielkiego wyboru urządzeń zbytkowych i t. p., aby zawsze cały szereg sklepów stał do jej dyspozycyi, więc też musi ona płacić i płaci też chętnie faktycznie za tę gotowość do usług tych rozlicznych przedsiębiorstw.

III.

W Galicyi uznawano te korzyści stowarzyszeń spożywczych już oddawna. W Galicyi idea stowarzyszeń spożywczych, oddawna zdobyła sobie ideowe uznanie. Zwłaszcza w latach siedemdziesiątych zrozumienie dla idei kooperatywy spożywczej jest tu dość żywe, by następnie w latach osiemdziesiątych, zwłaszcza zaś w latach dziewięćdziesiątych ustąpić pola zasadniczo odmiennym kierunkom, które używając formy stowarzyszenia spożywczego, do innych zupełnie zmierzają celów. I gdy w pierwszych latach kiełkowania tej idei na gruncie galicyjskim pojawia się rzetelne dążenie do przystosowania do naszego społeczeństwa klasy owych wzorów roczdalskich, to w dalszym rzeczy rozwoju, idea ta coraz bardziej się psuje, a owo ideowe uznanie dla idei kooperatywy spożywczej, o którem była mowa powyżej, staje się istotnie coraz to bardziej ideowem, coraz to bardziej pozbawionem wszelkiego realnego podkładu. To też pełną racyę, musimy przyznać Wydziałowi Związku stowarzyszeń zarobkowych i gospodarstw Galicyi, gdy Wydział ten pisze:

»Wasze stowarzyszenia handlowe są to spółki z mniejszą lub większą ilością wspólników, które jednak niemal $^{9}/_{10}$ obrotów swych zawdzięczają nie członkom, lecz postronnym odbiorcom. Ilość członków udziałowców we wszystkich 10 towarzystwach handlowych wynosi zaledwie 1437 czyli przecięciowo 143 na towarzystwo a 79 na jeden sklep; przy tem nie wszycy członkowie są stałymi odbiorcami swych stowarzyszeń«.

---

[1] Lexis *w Schriften des Vereins f. Socialpolitik.* T. XXXVII, str. 199.

Na ile daleką jest organizacya i praktyka naszych stowarzyszeń handlowych od podjęcia zadań konsumów — usunięcia pośredników — uwidocznia się to szczególnie jaskrawie w tym fakcie, że niedawno grono kupców zorganizowało się w stowarzyszenie udziałowe w celu popierania interesów zawodowych — osiągnięcia możliwie dużych zysków handlowych a Towarzystwo to znajduje chętnych członków konsumentów, którzy nie widzą różnicy pomiędzy tem Towarzystwem handlowem, a innemi i nie wyczuwają sprzeczności interesów swych z jednej strony jako odbiorców, a z drugiej jako udziałowców stowarzyszenia.

Powody tego powierzchownego poprostu zrozumiemia idei kooperatyw spożywczych, wyjaśni niewątpliwie historya stowarzyszeń spożywczych, ona bowiem umożliwi bliższe wglądnięcie w wewnętrzną strukturę tych stowarzyszeń, ona zarazem umożliwi nam zbadanie objektywnych przyczyn stałego rozwoju tych stowarzyszeń.

Próba niniejsza nakreślenia historyi stowarzyszeń spożywczych w Galicyi, opiera się przeważnie na informacyach, zawartych w czasopiśmie »Związek« organie Związku stowarzyszeń zarobkowych i gospodarczych w Galicyi, tudzież na wiadomościach zawartych w protokółach lustracyjnych z lustracyi przeprowadzonych z ramienia Związku stowarzyszeń zarobkowych i gospodarczych[1].

Pomocniczem źródłem jeno jest statystyka Związku stowarzyszeń zarobkowych i gospodarczych, w Galicyi z W. Ks. Krakowskiem, założona w r. 1874 przez dra Alfreda Zgórskiego, następnie zaś kontynuowana kolejno przez W. Terenkoczego, W. Białoczewskiego, K. Heinricha, od r. 1892 zaś wydawana przez N. Ulmera.

Źródła te mają jednak niestety charakter fragmentaryczny, zwłaszcza dotyczy to protokółów lustracyjnych, z których dawniejsze nie dały się już odszukać, prawdopodobnie dlatego, że jako rzekomo bezużyteczne zostały swego czasu zniszczone.

IV.

Już o pierwszych latach działalności stowarzyszeń spożywczych w Galicyi, pisze dr. Alfred Zgórski [2], wybitny ówczesny działacz w tym

---

[1] Za umożliwienie mi przeglądnięcia tych protokółów, niech mi wolno będzie, złożyć w tem miejscu serdeczne podziękowanie pp. N. Ulmerowi sekretarzowi Związku i I. Domagalskiemu, lustratorowi Związku.

[2] »Trzeci rocznik stowarzyszeń zarobkowych i gospodarczych w Galicyi i w W. Ks. Krakowskiem«. Zebrał i ogłosił dr. Alfred Zgórski. Lwów 1877. Str. 6.

kierunku: »Ogółem stowarzyszenia spożywcze nie rozwijają się u nas, jakby tego życzyć wypadało — przyczyna, zdaniem naszem, w tem leży, że nie zrozumiano pewnika, że interesy tego rodzaju, na szersze koła obliczone, a zatem interesy więcej kupieckie niż spożywcze, lepiej prowadzić zdoła przedsiębiorca niż grono zbiorowe — nasze zaś stowarzyszenia nie mają cechy kastowej jak angielskie i nie działają dla ludzi jednego tylko sposobu życia. Do przedsiębiorstw zaś kupieckich brak nam wiadomości i praktyki«.

P. Zgórski, jeden z wybitnych ówczesnych działaczy na tem polu, widział więc niedomagania ówczesnych stowarzyszeń, sądzę jednak, że dyagnoza, którą on postawił, nie była zgodną z prawdziwym stanem rzeczy, że zjawiska, które on uważał za zjawiska powodujące właśnie niedostateczny rozwój stowarzyszeń, w rzeczywistości powodem tych niepowodzeń bynajmniej nie były.

Pierwszem, o ile nam wiadomo, stowarzyszeniem spożywczem w Galicyi było Towarzystwo spożywcze w Samborze[1]. Powstało ono jeszcze w r. 1870, p. n.: Stowarzyszenie ku dostarczaniu potrzeb domowych w Samborze, jeszcze na zasadzie dawnej ustawy. W pierwszej chwili stowarzyszenie rozwijało się dość pomyślnie, najęło lokal wyłącznie dla własnego użytku, sprowadziło najpotrzebniejsze artykuły, przyjęło subjekta i — co z naciskiem podnieść należy — w układy z kupcem miejscowym nie wchodziło. Podnoszono wprawdzie niejednokrotnie w łonie Towarzystwa myśl, »aby Towarzystwo na niektóre artykuły potrzeb domowych, nie wchodzące w zakres produktywności, z kupcami zawarło umowę, atoli wnioski te odrzucono, upatrując w tem powód do rozstrzelenia się członków i sposobność do porzucenia solidarności«.

Ale już w pierwszym roku istnienia Towarzystwa, szczególniej w miesiącach zimowych, poczęła się wkradać pewna obojętność u członków. I tak, gdy w czasie od 4 kwietnia do końca grudnia 1870 sprzedano artykułów za 5.329 złr., suma zbytu artykułów, wynosiła od 1 stycznia do 30 czerwca 1871 tylko 2970 złr. Powodem tego zobojętnienia było u zamożniejszych brak poczucia solidarności i lekceważenie drobnych oszczędności, u uboższych zaś członków ich krytyczne materyalne położenie. Znaczna część uboższych członków z powodu długów sklepowych, których dla braku innego rodzaju kredytu, natychmiast zaspokoić nie była w możności, ażeby nie narazić się na

[1] I. L. »Towarzystwo spożywcze w Samborze«. *Związek* 1875, str. 159.

nieprzyjemność zaskarżenia, którem handlarze takiemu członkowi grozili, zmuszoną była żyć i nadal kredytem kupieckim, tem bardziej, że Towarzystwo jedynie za gotówkę dostarczało artykułów. Stowarzyszenie z roku na rok coraz bardziej chyliło się ku upadkowi, tak że na początku piątego roku obrotowego przy 82 członkach, sprzedało ono zaledwie za 466 złr.

To chylenie się stowarzyszenia ku upadkowi, nie jedynie obojętności członków przypisać należało, jeno także różnym objektywnym przyczynom. Wpływała na złą gospodarkę przedewszystkiem wadliwa organizacya zarządu. Dyrekcya bowiem złożona z 3 do 4 członków, przez Wydział zawiadowczy zamianowana, wykonywała tylko uchwały Wydziału, tyczące się zakupna i sprzedaży artykułów, oraz prowadziła rachunki Towarzystwa. Dyrekcya przeto, która jedynie w bezpośrednią styczność z członkami wchodziła, a wskutek tego potrzeby ich dokładnie rozpoznać miała sposobność, która przechodząc praktycznie warunki handlu tak z ogólnemi handlowemi wiadomościami, jakoteż i ze szczegółową nauką o własnościach poszczególnych artykułów obznajomić się mogła — ubezwładniona zakresem działania Wydziału zawiadowczego, nie była w możności, pomimo najgorętszych życzeń, w każdym czasie, kiedy tego potrzeba wymagała zadość uczynić słusznym żądaniom członków, a zniżona do poziomu wykonawcy wyższych poleceń, postanowionych częstokroć przeciw jej doświadczeniu i pomimo jej przedstawienia nie wykonywała zlecenia z tą sprężystością i dokładnością, jak tego interesa Towarzystwa wymagały i jakby je było spełniało, gdyby takowe pochodziły z jej przekonania. Wydział zaś zawiadowczy, ciało ociężałe, składające się z kilkunastu osób, pod względem handlu nie posiadających wiadomości na doświadczeniu opartych — nie mógł, jak tego interesa handlowe wymagają, ustawicznie fungować, a gdy Dyrekcya nie mogła przekraczać swego zakresu działania, leżały częstokroć najpilniejsze i żywotne sprawy Towarzystwa odłogiem, a ogół stowarzyszonych na tem cierpiał.

Chcąc zapobiedz upadkowi Towarzystwa przemieniono je na stowarzyszenie zarejestrowane po myśli ustawy kwietniowej, zmieniając równocześnie jego nazwę na »Towarzystwo spożywcze«. Stowarzyszenie przyjęło zasadę poręki nieograniczonej, chcąc w ten sposób zwiększyć swą zdolność kredytową. Z zysku, względnie z oszczędności, jaka się z obrotu okaże, wydzielano przedewszystkiem procent od udziałów, wynoszący po 1 cencie od każdego 1 złr., na udział z końcem po-

przedniego roku wpłaconego, następnie potrącano remuneracye Dyrekcyi lub urzędnikom przyznać się mogące, dalej wydzielano stosownie do uchwały walnego Zgromadzenia, od pozostałej reszty 3%, a najwięcej 5% na fundusz rezerwowy, a resztę tytułem dywidendy rozdzielało pomiędzy członków, w miarę kwot, jakie w ciągu kwartału za artykuły z Towarzystwa kupione zapłacili.

Przy ustanawianiu ceny zbytu artykułów, nie brało Towarzystwo względu ani na dywidendę, ani też na zwykłe ceny miejscowe i cenę zbytu artykułów potrzeb domowych, o ile możności jak najniżej oznacza, byle tylko koszta z zakupnem i sprzedażą połączone pokryć, to też dywidenda, jaką między członków rozdzielano, była prawie nic nie znaczącą. I tak za pierwszy rok obrotowy wypłacono 1%, za drugi rok żadnego, za trzeci rok 2%, za czwarty rok żadnego.

Przemiana na stowarzyszenie zarejestrowane, korzystnie wpłynęła na rozwój instytucyi. Liczba członków wynosząca podczas przeobrażenia się Towarzystwa 20, podniosła się do końca grudnia 1874 do 86, a suma wpłaconych udziałów z 874 złr. na 992 złr. Za sprzedane artykuły pobrano 4.155 złr., przeto więcej jak dwa razy w porównaniu z najlepszemi przeszłemi latami. Kapitał obrotowy, wynoszący 2548 złr. obrócił się przeszło półtora raza, przeciętnie od ogólnej sumy pobranej ze sprzedaży artykułów przypadało na jednego członka w kwocie 48 złr., co również dawniej nie bywało, zaś oszczędność wynosiła 55 złr.

Wedle dawnego statutu, umocowaną była Rada Zawiadowcza wykluczyć członka z Towarzystwa, gdyby członek artykuły z Towarzystwa pobierane, obracał na inny, jak swój własny domowy użytek, lub gdyby książeczki swojej, do której zapisuje się artykuły z Towarzystwa zakupione, udzielił osobie do Towarzystwa nie należącej, a ta zapomocą tej książeczki artykuły na swój użytek z Towarzystwa pobrała. Nowy statut nie zawiera już takiego postanowienia, doświadczono bowiem, że pomimo, że nie więcej nad zwykłe potrzeby członków artykułów zakupiono, artykuły te częstokroć z powodu oziębłości lub mylnego zapatrywania się członków, nie zostały w należytym czasie pozbyte, wskutek czego przy zmienności ceny, nie wspominając już o psuciu się towarów na składzie ostatecznie Towarzystwo ponosiło stratę. Przy ogólnej sprzedaży może Towarzystwo, znaczniejszą ilość artykułów, pod korzystnymi warunkami zakupić, jak niemniej na wypadek, gdyby członkowie Towarzystwa nie brali takiego udziału, jakby się spodziewać należało, to otwiera się Towarzystwu nowe

a znaczne źródło dochodu. Sprzedaż ogólna, również jak znaczna ilość członków, spowoduje znaczniejszy zbyt towarów, przeto w zwykłym stosunku i zwykłą oszczędność, zaś liczba członków stopniowo powiększać się będzie, albowiem znaczna część publiczności, której przez sprzedaż ogólną da się sposobność bliższego zapoznania z praktycznością tego rodzaju towarzystwa, przekonawszy się osobistem doświadczeniem o rzetelnem postępowaniu z własnego popędu do Towarzystwa przystąpi [1].

Warto również podnieść, że Towarzystwo zawarło imieniem członków swoich, którzy do szczegółowej umowy przystąpili, umowę z miejscowym przemysłowcem w celu dostarczenia mięsa. Na mocy tej umowy, przedsiębiorca zobowiązał się członkom Towarzystwa, którzy kontrakt ten podpisali i kaucyę złożyli, dostarczać przez czas w umowie określony, mięsa dla domowego użytku w dwóch trzecich częściach z wołów tłustych, a w jednej trzeciej części z krów lub jałówek, za cenę od jednego funta wagi wiedeńskiej polędwicy, rozbratla, krzyżówki i pieczeni po 20 ct., zaś usztyk, piersiówkę czyli mostek, żebro grube, szponder, plecówkę i karkówkę po 18 ct., dalej zobowiązał się wszystkie wyżej wyszczególnione gatunki mięsa sprzedawać od ćwierci funta począwszy w tym porządku, w jakim członkowie Towarzystwa się zgłaszają, nie jest jednak obowiązany mieć na każde żądanie mięsa z przodu bydlęcego. Umowa ta, do której przystąpiło 64 członków, wydała na razie korzystne rezultaty, zwłaszcza co do jakości mięsa, mimo to jednak żywot stowarzyszenia nie trwał zbyt długo.

(C. d. n.)

Dr. Zygmunt Gargas.

---

[1] *Związek* j. w. str. 184.

Druk ukończono 3 sierpnia 1906 r.

KWESTYE EGZEGETYCZNE

W OSTATNICH DZIESIĘCIU LATACH[1].

Kogóż w ostatnich latach nie doszły słuchy o »kwestyi biblijnej«, ba nawet »o przesileniu« w dziedzinie nauk Pisma św.? Czyż na prawdę około natchnionych Ksiąg obraca się kwestya nowa, która zajmuje obecnie biblistów, czy raczej kontrowersya cała dotyczy tylko pewnych zarzutów, podobnych do tych, jakie podnoszono już przeciw Pismu św. od pierwszych wieków chrześcijaństwa?

Odkrycia i teorye Galileusza dokonały tego, że Kościół określił, jak należy zapatrywać się na znaczenie ustępów biblijnych, dotyczących nauk przyrodniczych. Dziś już powszechnie ustaliła się następująca zasada, za którą encyklika *Providentissimus Deus* wyraźnie się oświadcza: pisarz natchniony może w tej dziedzinie tak się wyrazić, *sicut communis sermo per ea ferebat tempora.*

Zdaje się, że zupełnie analogiczny problemat staje dziś przed nami dotyczący nauk historycznych. Czy w Piśmie św. mamy szukać ścisłej historyi? Czy we wszystkich częściach, nawet w ustępach drugorzędnych, mamy się domagać drobiazgowej dokładności? Czy we wszystkich księgach Pisma św., ilekroć spotykamy się z jakiemś opowiadaniem biblijnem, mamy upatrywać w niem historyczne twierdzenia tejże wartości? Czy pod tym

[1] Autor, znany egzegeta francuski, napisał niniejsze studyum specyalnie dla naszego pisma. *Redakcya.*

względem naprzykład Księga Rodzaju a Księgi Królewskie nie przedstawiają żadnej różnicy? Jeżeli natrafiamy w Piśmie św. na jakiś szczegół z dziedziny historyi, który, jak się zdaje, nie zgadza się z rzeczywistymi faktami, czy musimy go mimo to uważać zawsze za prawdziwy bez liczenia się z powagą przeciwnego mu świeckiego dokumentu historycznego? Jeżeli znowu uznamy błąd w jakimś szczególe opowiadania biblijnego, czy koniecznie trzeba ten błąd włożyć na karb przepisywacza, czy też można powiedzieć, że natchniony autor oparł się po prostu na jakimś dokumencie, który wyraźnie lub tylko domyślnie cytuje, sam zaś nie potwierdza ani gwarantuje zawartej w tym cytacie opowieści, ani też nie przyjmuje na się odpowiedzialności za nią, przepuszczając cytat jako mało znaczący szczegół? W takim razie mielibyśmy do czynienia z fałszem materyalnym, nie zaś z formalnym błędem. Natchniony pisarz nie może uledz formalnemu błędowi, to pewna; atoli czyż błąd materyalny, prosta mianowicie niedokładność w jakimś szczególe, nie może nigdy zajść w jego księdze?

Oto kwestya dziś aktualna. Kościół nie rozstrzyga jej dorywczo: będąc stróżem skarbu wiary i Ksiąg św., nie chce skutkiem niepotrzebnego pośpiechu uronić najmniejszej choćby cząsteczki prawdy: pozostawia więc z niczem nie dającą się zamącić przezornością kwestyę tę otwartą i czeka, aż w dyskusyi dojrzeje ona do określenia; zachęca natomiast swych kapłanów do głębszego studyum Pisma św. Obecny papież stara się usilnie o podniesienie studyów biblijnych w wielkich seminaryach, jak o tem świadczy świeży dokument, rozpoczynający się od tych słów: »Quoniam in re biblica tantum est hodie momenti, quantum fortasse nunquam antea, omnino necesse est, adolescentes clericos scientia Scripturarum imbui diligenter« ... [1]

Zanim przejdziemy do naszego założenia, nie od rzeczy będzie rzucić okiem na wyznanie protestanckie, aby stwierdzić, czem

---

[1] *SS. D. N. Pii Papae X. Litterae apostolicae de ratione studiorum Sacrae Scripturae in Seminariis clericorum servanda. 27 Martii 1906.* (*L'Osservatore Romano,* 3 kwietnia 1906).

wobec wniosków krytyki stało się w ich obozie Pismo św. w ostatnich czasach.

Biblia, która dla pierwotnych protestantów była jedyną normą wiary, skarbem, który Kościół katolicki, podług ich gorzkich zarzutów, miał źle pielęgnować i źle z niego korzystać, ta księga, w której w myśl wyznania wiary protestantów inspiracya zagwarantowała od błędu wszystkie spółgłoski tekstu hebrajskiego, a nawet wartość samozgłoskowych znaczków [1], — dzisiaj już nie jest w rozumieniu większości tych uczonych Pismem prawdziwie natchnionem, różniącem się istotnie od ksiąg pogańskiej starożytności. Wszyscy niemal krytycy protestanccy, zwłaszcza w Niemczech, widzą w Piśmie św. wyłącznie księgę czysto ludzką. Dla przeważnego zastępu ich przedstawicieli natchnienie już nie istnieje: albowiem wyjaśnić je tak, jak oni to czynią, znaczy tyle, co mu zaprzeczyć. Natchnienie Boskie, według ich zapatrywania, jest to tylko zwyczajna interwencya Ducha św., podobna do każdej innej, jaka się objawia w dziełach wielkich mężów wszystkich epok i ludów. Bynajmniej nie jest ona przywilejem proroków hebrajskich, tudzież innych autorów Ksiąg św., lecz dostała się w równej mierze wielkim mędrcom wszystkich krajów i wszystkich wieków. Platon i Seneka stoją tu obok Mojżesza i św. Pawła; geniusze w sztuce, polityce lub strategice, Michał Anioł i Napoleon, byli również »natchnieni«.

Ci więc, którzy chełpliwie samych siebie tylko uważali za prawdziwych uczniów Ewangelii i obrońców słowa Bożego, odstąpili w tej zasadniczej kwestyi od tradycyjnej nauki, podanej przez apostołów, wyznawanej przez Ojców greckich i łacińskich i przyjętej w całym Kościele chrześcijańskim aż do naszych czasów.

Zatraciwszy wiarę w natchnienie Ksiąg św., protestanci oczywiście nie zdołali zachować prawdziwego i jasnego pojęcia, czem jest k a n o n tychże Ksiąg, albowiem kanon jest właśnie a u t e n-

[1] Wyraźnie to wypowiedziano w drugim kanonie Wyznania wiary, ułożonego przez Heideggera r. 1675 i przyjętego przez kościoły reformowane w Szwajcaryi. Loisy: *Histoire critique du texte et des versions de la Bible.* 1892. Str. 190.

tycznym spisem natchnionych Ksiąg. Stąd widzimy pod tym względem nie małe zakłopotanie u autorów protestanckich. Dosyć przytoczyć jednego z nich, M. F. H. Woods'a, autora artykułu *Old Testament Canon*, w *Dictionnaire de la Bible*, wydanym przez M. J. Hastings'a. Według niego »normą dla ocenienia wszystkich ksiąg biblijnych, lub niby-biblijnych, nie jest ono *ipse dixit* nieomylnego Kościoła, żydowskiego czy chrześcijańskiego, zakreślające linię demarkacyjną między tem, co święte, a tem co świeckie, ale jest nią ‚jasne poznanie', upatrujące w Księgach św., a nawet w niektórych księgach, nie policzonych powszechnie w poczet ksiąg kanonicznych, rozmaite stopnie natchnienia i duchowej wartości. Pod tem ‚jasnem poznaniem' nie rozumiemy bynajmniej prywatnej opinii jakiejś jednostki, ale coraz bardziej ustalający się sąd chrześcijan duchownych, dobrze myślących, uczciwych i pobożnych. Słowem, badając wyrabianie się kanonu, postawić trzeba zasadę, że wpływy podobne do tych, które niegdyś doprowadziły do określenia kanonu Starego Zakonu, doprowadzą nas może kiedyś do jaśniejszego pojęcia i dokładniejszego określenia samej idei ‚kanonu św.'« (t. III. 1900, str. 615, 616).

Oto czem, za świadectwem samych protestantów, stał się w ich rękach depozyt Ksiąg św. »Może« kiedyś w przyszłości poznają trochę jaśniej, czem jest kanon Pisma św. i co zawiera! Najprawdopodobniejszem jest, — a wierzący protestanci nie mało się tem niepokoją — że wobec zarzutów krytyki, będzie »wzrastała zgodność opinii«, ale w kierunku zupełnego odrzucenia i tak już zamglonego wśród protestantów pojęcia inspiracyi. Jest to zresztą los wszystkich dogmatów, wydanych na łup niezależnej krytyki; naraża się je na niebezpieczeństwo zagłady, kiedy się nie posiada najwyższego i nieomylnego trybunału dla rozstrzygania powstających sporów.

Inaczej rzeczy stoją w obozie katolickim. Dzięki swej uległości Kościołowi, katolik zachowuje tradycyjną wiarę ubiegłych wieków nienaruszoną, nie naraża jej na ustawiczne zmiany zgodnie z zachciankami bieżącej krytyki, — natomiast zatrzymuje swobodę badania w bardzo rozległym zakresie prawdopodobnych hipotez, jakie nastręczają się w naukach biblijnych, zarówno jak

w innych gałęziach wiedzy. W ostatnich czasach wśród katolików nieograniczonej niczem wolności sądu w kwestyach biblijnych domagał się francuski ksiądz Loisy, lecz poglądy jego gdyby pozwolić im urzeczywistnić się, zepchnęłyby katolickiego badacza w tęż samą otchłań sceptycyzmu względem Pisma św., z jakiej napróżno protestanci wydostać się usiłują.

Ks. Loisy mniema, że historya i teologia są to tak dalece odrębne dziedziny, że niepodobna nawet, by historyk zetknął się kiedykolwiek z teologią. Nawet historyk, zajmujący się historyą biblijną i ewangeliczną, może zupełnie wedle upodobania pracować, nie oglądając się na prawdy wiary: póki pozostaje w obrębie historyi, póty nie naraża się na sprzeczność z żadnym dogmatem, ani nie podkopuje jego podstaw, podobnie jak uczony badacz życia owadów, nie potrzebuje na to uważać, by nie sprzeciwił się jakiejś prawdzie wiary katolickiej. Niema sposobności, według ks. Loisy, by historya z teologią się spotkała, a zatem niema też nigdy między niemi ani opozycyi ani zderzenia. A więc zupełna swoboda!

Teorya to bardzo wygodna, ale błędna. Nie można przyjąć podobnego rozbratu między faktami historycznymi a prawdami wiary. Łatwo się o tem przekonamy, jeśli dowiedziemy: 1) że ks. Loisy staje w sprzeczności z sobą samym, 2) że przykłady przezeń przytoczone świadczą przeciw niemu, 3) że teorya jego nie zgadza się ani z filozofią ani z doświadczeniem.

Po pierwsze ks. Loisy staje w sprzeczności z sobą samym. Oto jego słowa[1]: »Zapewne, Kościół mógłby określić historyczny charakter jakiegoś tekstu lub faktu biblijnego, ale ta historyczność musi już wyprzedzić określenie: wcale zaś nie wynika z określenia Kościoła, aby historyk zyskał przez nie możność i miał obowiązek wykazać prawdziwość historyczną zdarzenia«. Tymczasem trzeba się zgodzić na to, że wskutek określenia Kościoła historykowi-katolikowi nie będzie już wolno zaprzeczyć lub choćby podawać w wątpliwość historyczny charakter tekstu.

---

[1] *Autour d'un petit livre,* str. 55.

A zatem historyk-katolik musi się liczyć z określeniami Kościoła i bynajmniej nie jest tak niezawisłym, jak niedowiarek. Na pierwszych stronicach tego samego dzieła ks. Loisy tak powiada: »Możliwość udowodnienia faktów historycznych, będących przedmiotem wiary, jest wstępnym warunkiem definicyi tychże faktów; w przeciwnym bowiem razie powaga Kościoła nie tylko że nie ręczyłaby za prawdziwość faktów, lecz nadto fakty uwłaczałyby powadze Kościoła i powaga owa wisiałaby w powietrzu« (str. 15). A zatem nie wolno katolickiemu krytykowi zwalczać historyczności tych faktów, które są przedmiotem wiary i określone jako takie, i ktoby tak uczynił, zwalczałby powagę Kościoła. Krytyk więc katolicki nie cieszy się pod tym względem ową pretensyonalną swobodą, jaką każdy racyonalista sobie przywłaszcza.

Przykłady przytoczone przez ks. Loisy dowodzą fałszywości jego teoryi. Posłuchajmy znowu jego słów: »Bóg nie jest osobistością historyczną; nie można jego istnienia udowodnić ani samymi faktami, ani samym tylko rozumem« (str. 10 i 215). »Bóstwo Chrystusa Pana, gdyby nawet sam Jezus o niem pouczał, nie byłoby faktem historycznym« (str. 215). »Zmartwychwstanie Zbawiciela w rzeczywistości nie jest zdarzeniem, należącem do dziedziny historyi, na równi z pobytem Chrystusa na ziemi, jest ono bowiem zdarzeniem porządku nadprzyrodzonego, nadhistorycznego, nie daje się udowodnić, ani nie udowodniono go na podstawie wyłącznie historycznego świadectwa, niezależnie od świadectwa wiary, świadectwo zaś wiary tylko w oczach samejże wiary posiada wartość dowodu. To samo twierdzę o ustanowieniu Kościoła, o ile zależy od wyraźnej i szczególniejszej woli Chrystusa; albowiem wola ta nie więcej jest stwierdzoną dla historyka, aniżeli sama chwała zmartwychwstałego Jezusa« (str. 169).

Któż nie widzi, jak sztucznemi i bezpodstawnemi są przytoczone rozróżnienia? Historyk nie może udowodnić, że Chrystus miał wyraźną i szczególniejszą wolę założenia Kościoła? A czemu to? Może dla braku wystarczających świadectw historycznych? Według zapatrywania ks. Loisy, bynajmniej nie dlatego, lecz

z tego powodu, że mamy tu do czynienia z faktem »nadhistorycznego porządku«. Napoleon I założył *l'Université de France*, Leon XIII powołał komisyę biblijną, zapewne, nie są to fakty nadhistorycznego porządku, — ależ czemuż ustanowienia Kościoła nie można uznać za fakt historyczny, jeżeli Zbawiciel zamierzył założyć widzialną społeczność wiernych, dążących pod kierunkiem widomego jego namiestnika do wspólnego celu, oraz, jeśli swą wolę objawił na zewnątrz słowem i czynem?

Co się tyczy innych przykładów, które przytacza ks. Loisy, mianowicie Bóstwa i Zmartwychwstania Jezusa, to czyż na prawdę można się zgodzić na twierdzenie, że te fakty są poza obrębem historyi? Któryż katolik zgodzi się na to, że historyk nie zetknie się wcale z tymi faktami, tudzież, że można napisać historyę Jezusa Chrystusa lub Kościoła, nie potrzebując się zgoła na nie oglądać?

Teorya ks. Loisy sprzeciwia się filozofii i doświadczeniu. Jak widzieliśmy wyżej, twierdzi ks. Loisy, że »historyczna znajomość faktów religijnych, a ich religijna ocena, są to rzeczy zupełnie różne«. Według niego »historya ogranicza się do fenomenów w ich następstwie i wzajemnym stosunku; spostrzega ona zewnętrzne objawy idei, oraz ich rozwój, ale nie sięga do samego jądra rzeczy« (str. 9, 10).

Wystarczyłoby jednak trochę refleksyi, by zrozumieć, że historya, jeśli docieka następstwa zjawisk i »ich związku wzajemnego«, musi też dotrzeć do »jądra rzeczy«; albowiem wzajemny związek zdarzeń jest właśnie owym wewnętrznym węzłem, który je łączy i sprawia, iż jedne wypływają z drugich. Historya musi również dotrzeć do jądra rzeczy, by pojąć »ewolucyę« idei, by rozróżniając ją od wszelkiej przypadkowej zmiany, skonstatować ich żywotny rozwój, dokonywujący się wskutek działania ich wewnętrznej energii i pod wpływem otoczenia. Zaiste historyk nie może się zadowolić opisem zewnętrznego zjawiska spraw ludzkich. Owszem, kiedy grupuje wydarzenia, idąc za związkiem przyczyn i skutków, kiedy opowiada o zwycięstwach, niesprawiedliwościach, politycznych błędach, kiedy maluje charaktery ludzi, historyk dokonywa »oceny«. I słusznie,

gdyż bez tej moralnej oceny, miasto żyjącego obrazu faktów i idei, mielibyśmy tylko bladą fotografię przedmiotów materyalnych. Jakimże sposobem możemy studyować naukę i czyny założyciela religii, nie pytając, co zamierzał uczynić i jak swe plany urzeczywistnił, czyli nie wydając sądu o nim na podstawie jego dzieła? Historya religii bez religijnej oceny jest czystą mrzonką.

A w praktyce, któryż to historyk będzie się trzymał fantastycznych abstrakcyi ks. Loisy? Czyż posiadamy historyę Joanny d'Arc, której autor nie oświadczyłby się ani za ani przeciw nadprzyrodzonym cechom jej życia; czy znajdziemy jakiegoś jej biografa, któryby już przez sam sposób przedstawienia rzeczy nie orzekł jednego z dwojga, albo, że Joanna d'Arc podlegała halucynacyi, lub też, że w rzeczywistości usłyszała cudowne głosy? Czy można, nie biorąc w rachubę nadprzyrodzonego pierwiastka, przedstawić dokładnie i należycie historyę religijną Starego Zakonu, dzieło proroków, rozwój Objawienia, przepowiednie mesyaniczne, posłannictwo Jezusa Chrystusa? Zapewne, jest to rzecz niemożliwa i w praktyce nikt tak nie postępuje. Każdy autor w podobnym przedmiocie wnet objawia swoje zapatrywanie za lub przeciw nadprzyrodzonemu pierwiastkowi. *La Revue de l'histoire des Religions* ma się za czasopismo czysto historyczne; skoro jednak przeglądniemy analizy i sprawozdania jakiegobądź zeszytu tej *Revue*, wnet znajdziemy na dnie niejednej oceny główną zasadę racyonalizmu — zaprzeczenie wszystkiego co nadprzyrodzone.

Tak więc oddzielenie teologii od historyi religijnej, proponowane przez ks. Loisy, według którego ta ostatnia nie pozostaje w żadnej zależności od tamtej, nie tylko trudności nie rozwiązuje, ale je powiększa, lub raczej jest zgubnem i z natury swej ubliża dogmatowi w najważniejszych rzeczach.

Nastręcza się nowy sposób nie rozwiązania, ale obejścia nastręczających się trudności. Wobec nowszych trudności, liczniejszych może i dotkliwszych w komentowaniu Starego Testamentu, niektórzy katolicy piszą się na takie zdanie: »Pozostawiam Stary Zakon na uboczu i trzymam się Ewangelii«. Jeżeli to ma tylko znaczyć, że nie chcą z powodu trudności przedmiotu i braku czasu zapuszczać się w głębsze studyum Biblii, np. Pięcioksięgu,

trudno znaleźć coś na przyganę takiego postępowania. Znajomość Starego Zakonu i historyi Izraela jest dla nas katolików o wiele mniej potrzebną, niż znajomość Nowego Zakonu. Ale, jeśli powyższe słowa mają znaczyć: »Poświęcam Stary Testament, wydaję go na łup krytyki, która niech robi z nim co chce wedle upodobania swego, podobnie, jak z każdą inną księgą«, to niepodobna zgodzić się na takie zapatrywanie; albowiem Stary Testament, zarówno jak Nowy, składa się z Ksiąg natchnionych. Co więcej, zachodzi łączność między jednym a drugim. Zbawiciel, ewangeliści i św. Paweł odwołują się wciąż na proroctwa i cytują księgi Starego Zakonu jako Księgi natchnione.

Dla katolika natchnienie całego Pisma św. jest faktem pewnym, opartym na nieomylnej powadze Chrystusa Pana, apostołów i soborów; nie potrzebujemy się o nie obawiać wobec zarzutów, jakie krytyka przeciw niemu podnosi, albowiem, jak zobaczymy, wszystkie te zarzuty i trudności nie są tego rodzaju, by nie można było zadawalniająco ich rozwiązać. Krytyka nam przeciwstawia wprawdzie fakty, ale fakty te należycie zrozumiane, mogą się doskonale ostać wobec natchnienia. Jednak byłoby dziecinną a nawet niebezpieczną rzeczą uporczywie zamykać na nie oczy i nadal budować teorye *a priori*.

Zanim przystąpimy do przedstawienia nowych rozwiązań nastręczających się w Biblii trudności, rozwiązań dawanych przez jednych egzegetów katolickich przy jednoczesnem odrzucaniu ich lub ograniczaniu przez niektórych teologów, warto jeszcze raz ustalić prawdy każdego katolika obowiązujące i nie podlegające wcale dyskusyi w obozie katolickim.

Księgi św., należące do kanonu Starego i Nowego Testamentu, wyliczył sobór Trydencki, a inspiracyę ich wyraźnie ogłosił sobór Watykański. Każdy katolik uznaje za dogmat wiary, że księgi te są natchnione we wszystkich swoich częściach i spory, jakie powstały wśród katolików w ostatnich dziesięciu latach, nie dotyczą wcale faktu natchnienia. Nie dotyczą one również rozciągłości inspiracyi, albowiem od encykliki *Providentissimus Deus* (1893) żaden autor katolicki nie ośmieli się ograniczyć natchnienia jedynie do ustępów, mających związek z wiarą i obyczajami.

Nie wolno uważać za nienatchniony żadnego ustępu, który można prawdziwie nazwać c z ę ś c i ą księgi. (Za »część księgi« nie uchodzą oczywiście słowa nie posiadające same przez się znaczenia, jak np. g l o s y; najbardziej konserwatywni i wierzący autorowie przyjmują ich istnienie lub przynajmniej nie zaprzeczają możliwości ich istnienia w Piśmie św.).

To są prawdy, na które każdy katolicki egzegeta zgodzić się musi. Cóż więc jest przedmiotem dyskusyi i sporów między młodszymi egzegetami katolickimi?

Kontrowersya toczy się o inspiracyę odnośnie do treści natchnionego tekstu. Czy tekst natchniony zawsze jest wolnym od błędu, a w szczególności czy tekst jest zawsze dokładnym we wszystkich szczegółach historycznych? Czy też może wystarcza, aby natchniony pisarz nie popełnił błędu formalnego, aby nie mylił się w głównej osnowie swego opowiadania, w tem, co twierdzi i o czem poucza? W tem jest cała kwestya. Ujął ją dobrze Chrystyan Pesch T. J. w dziele swojem *De inspiratione sacrae Scripturae* (1906); kończy on następującemi słowy ustęp o 30 stronicach, poświęcony historyi najświeższych rozpraw: »Quaestio, num et quomodo errores materiales, ut distinguuntur a formali errore, in Scriptura admitti possint vel debeant, nunc maxime exagitat mentes theologorum«.

Zanim przystąpimy do przedstawienia nowoczesnych rozwiązań, jakie u poszczególnych egzegetów napotykamy w tłumaczeniu zawiłych tekstów Pisma św., musimy najpierw zdać sobie jasno sprawę, czy wogóle nasuwa się dziś do rozwiązania jakiś nowy problem. Między trudnościami podnoszonemi przeciw, znajduje się wiele takich, które już poruszano za pierwszych dni chrześcijaństwa, dając im zarazem należytą odprawę. Zresztą wobec pewnych napaści, w guście płaskich żartów Woltera, najlepszą odpowiedź stanowią pogarda i milczenie. Atoli zarzuty dzisiejsze — trzeba to szczerze przyznać — noszą na sobie cechę naukową. Z dwóch głównych źródeł mogły w ciągu XIX wieku nowe powstawać trudności; dostarczyły ich już to świadectwa nowo-odkrytych zabytków starożytności, już to krytyczna analiza ksiąg Pisma św.

Zaznaczmy od razu, że historya biblijna, tak w całości, jak we wszystkich ważniejszych szczegółach, w których ma łączność jakąś z asyryjskiemi i babilońskiemi pamiątkami, doczekała się zadziwiającego właśnie przez nie potwierdzenia i wyjaśnienia. Roczniki asyryjskie królów Teglatphalasar i Sennacherib opisują nam dokładnie wyprawy tych wojowników do Palestyny za panowania królów judzkich Achaza i Ezechiasza. Osnowa tych napisów ustala i uzupełnia opowiadanie Ksiąg św.; wydarzenia występują przed nami o wiele wypuklej, a dzięki temu poznajemy całe ich znaczenie dziejowe, oraz rozumiemy lepiej posłannictwo i działalność wielkiego proroka Izajasza w owych krytycznych warunkach.

W licznych także szczegółach Pismo św. zostało niespodzianie zgoła potwierdzonem i objaśnionem na podstawie odnalezionych zabytków. Tak przed 60 laty imię Sargona króla było znanem wyłącznie tylko z dwudziestego rozdziału Izajasza. Zakłopotani komentatorowie utożsamiali tego króla z Teglathphalasarem, albo z Salmanasarem, to znów z królem Sennacheribem lub z Asarhaddonem. Dziś imię Sargona czytamy na przeszło stu napisach klinowych wszelkiego rodzaju. Bardzo niepokaźny fragment pewnego napisu potwierdza świadectwa proroków Jeremiasza (46, 13—26) i Ezechiela (29, 18—20), tyczące się wyprawy Nabuchodonosora do Egiptu, którą niektórzy krytycy podawali w wątpliwość. Możnaby wiele innych zacytować przykładów. Podczas gdy dzieło historyków greckich raczej ucierpiało z powodu zestawienia ich opisów z zabytkami przeszłości, Pismo św. przeciwnie zyskało na tem wiele, jak uczeni zgodnie uznają.

Te pomyślne wyniki archeologicznych badań zasługują na to, abyśmy je z całym naciskiem podkreślili. Nie sądźmy jednak, że w świetle dawnych pamiątek nie pozostała w Piśmie św. żadna już trudność, nawet w najdrobniejszym szczególe. Łudzilibyśmy samych siebie. Nie obawiajmy się jednak tych trudności, albowiem i one nie są niepokonalne; pilnie natomiast wystrzegać się należy nieszczęsnej taktyki, która wobec kłopotliwych zagadnień woli zamknąć oczy i pominąć je głębokiem milczeniem.

Przeciwnicy katolicyzmu widzieliby w takiem postępowaniu wyznanie naszej niemocy i nie omieszkaliby z tego skorzystać.

Czytelnik zapewne poprosi o kilka przykładów podobnych trudności. Niepodobna mu takowych odmówić, choćby dlatego tylko, że na ich właśnie tle łatwo określić teorye, o których później obszernie mówić będziemy. Chcąc bowiem ocenić znaczenie owych rozwiązań nowoczesnych, trzeba koniecznie poznać dane, na których się one opierają. Oto obiecane przykłady.

Phul i Teglatphalasar jest to jedna i ta sama osobistość.[1] Poddał tę myśl już w r. 1863 Henryk Rawlinson, później (r. 1872) wywody Schradera zjednały temuż utożsamieniu cechy wielkiego prawdopodobieństwa, a wreszcie kwestya została na pewno rozstrzygniętą (1884, 1887) na podstawie »kroniki babilońskiej«; dziś autorowie katoliccy, jak Vigouroux, Pelt, Lesêtre i inni, godzą się bez zastrzeżeń na to zapatrywanie.

Otóż w pierwszej księdze Paralipomenon (5, 26) czytamy, że »pobudził Bóg Izraelów ducha Phula, króla Assyryjskiego i ducha Telgathphalnasara *(sic)*, króla Assur«. Nastręcza się więc pytanie, czy rozróżnienie dwóch królów, Phula i Teglathphalasara wprowadziła glosa jakaś lub omyłka kopisty, czy raczej ma ono swoją genezę w tem, że autor ksiąg Paralipomenon streścił tu czwartą księgę królewską (rozdział XV) i zbliżył do siebie dwa ustępy (wiersz 19 i 29), z których pierwszy mówi o »Phulu, królu Asyryjskim« (w. 19), a drugi nadmienia o »Teglathphalasarze, królu Asyryjskim« (w. 29)?

Księga Daniela przedstawia nam Balthasara jako syna Nabuchodonosora, oraz jako króla babilońskiego. Jeżeli uważnie przeczytamy rozdział V, a zwłaszcza w. 10—13, nasuwa się nam prawdopodobny wniosek, że autor mieni Nabuchodonosora ojcem Balthasara we właściwem tego słowa znaczeniu,

---

[1] Niektórzy królowie asyryjscy, którzy równocześnie panowali nad Babilonią, nosili jako królowie babilońscy odrębne imię: tak Salmanasar IV nazywał się *Ululai*; Assurbanipal był znanym jako *Kandalanu*. Niekiedy również u Izraelitów ta sama osoba ma odrębne imiona: Ozyasz = Azaryasz; Gedeon = Jerobaal.

a nie w dalszem znaczeniu przodka lub poprzednika[1].

Co więcej, cały rozdział V, tudzież VII, 1; VIII, 1 dają do zrozumienia, że Balthasar jest jedynym i niezależnym królem Babilonu. Otóż najpewniejsze pomniki babilońskie podają nam następujący poczet królów babilońskich. Nabuchodonosor (605—562), Evilmerodach (562—560), Nergalšarusur[2] (560—556), Labašimarduk (556), Nabonide (556—539), Cyrus (539—529). Na podstawie napisów Nabonide miał syna zwanego Belšarusur (= Balthasar), któremu najprawdopodobniej powierzył dowództwo nad wojskami. Ale żadną miarą nie można dopatrzeć się w Balthasarze współrządcy, i aż do Cyrusa jeden tylko Nabonide wymienionym bywa w ugodach jako król Babilonu.

Trudność jeszcze większą stanowi Daryusz Med (V, 31; IX, 1; XI, 1), o którym napisano, że objął panowanie po śmierci Balthasara. Babilońskie dokumenty żadnego nie zostawiają miejsca dla Daryusza Meda pomiędzy Nabonidem i Cyrusem, jak to naocznie widać z seryi kontraktów, które opublikował ks. Strassmaier T. J. w tekście klinowym.

O Astyagesie, o którym wzmianka u Daniela proroka w rozdziale XIII, w. 65, powiada nawet ks. A. Delattre T. J. w ten sposób: »Mimo wszelkich usiłowań do dziś dnia podejmowanych, nie udało się dotąd wyjaśnić wzmianki o Astyagesie w tem miejscu, w którem mowa o Cyrusie, królu babilońskim, mającym tylko uboczny związek z historyą Astyagesa. Ten bowiem nigdy nie panował nad Babilonem, a utracił swoje królestwo medyjskie o dziesięć lat pierwej, zanim Cyrus zajął miasto Babilon«. (Artykuł *Astyage* w *Dictionnaire de la Bible* przez M. Vigouroux).

Od dawna egzegeci zauważyli, że księga Judith zawiera liczne i poważne trudności historyczne i geograficzne. Kusili się o ich rozwiązanie rozmaitemi drogami, kładąc przedewszystkiem dużo błędów na karb kopisty. »Zarzut, wzięty z imion własnych, jest najpoważniejszy, jak zaznacza ks. F. Prat T. J., a zdaniem

[1] Księga Baruch (1, 11, 12) mówi o Nabuchodonosorze i o synu jego Balthasarze, żyjącym równocześnie z nim.

[2] *š* = polskie *sz*.

naszem nie dano dotąd odpowiedzi ze wszech miar zadowalniającej«. (*Dict. de la Bible* de Vigouroux, art. *Judith*).

Nowoczesne kontrowersye częstokroć obracały się około pierwszych rozdziałów księgi Rodzaju. Głośny odczyt prof. Delitzsch'a *Babel und Bibel,* w którym to najbardziej imponuje jako nowość, że znakomity asyryolog przedzierzga się w bardzo miernego teologa, — tudzież niezliczone broszury, wydane w tym przedmiocie, obwieściły całemu światu, że istnieją punkta styczne pomiędzy tradycyami babilońskiemi i opowiadaniami księgi Rodzaju. Niektórzy autorowie z Delitzschem akcentowali nad miarę te podobieństwa i powiększali liczbę zbliżonych do siebie szczegółów, widząc wszędzie jakieś ślady mytów babilońskich, nawet w Nowym Testamencie. Przytoczę tutaj tylko to, co dobrze jest uzasadnionem i niewątpliwem. Zresztą wystarczy jeden jedyny przykład, aby wyrobić sobie pojęcie o porównaniach, które mogą mieć miejsce w tej kwestyi. A w przykładzie tym dla większej jasności ograniczmy nasze refleksye tylko do kwestyi historyczności szczegółów.

Babilońska epopeja, sięgająca starodawnych wieków, bo powstała przynajmniej 2000 lat przed erą chrześcijańską [1], zawiera opis potopu, nadzwyczaj zbliżony do opisu biblijnego. Nic nas nie zmusza wyrokować o fikcyjnym charakterze potopu dlatego właśnie, że stanowi przedmiot pieśni, a do tego pieśni ułożonej kilka wieków przed opowiadaniem w księdze Rodzaju. Jądro opisu bezsprzecznie może być historycznem. Atoli, czy to samo sprawdza się odnośnie do wszystkich szczegółów?

Weźmy np. ten ustęp z księgi Rodzaju (VIII, 6—12): »A gdy minęło czterdzieści dni, otworzywszy Noe okno korabia, które był uczynił, wypuścił kruka, który wychodził a nie wracał się, aż oschły wody na ziemi. Wypuścił też gołębicę za nim, aby poznał, czy ustały już wody na ziemi; ta zaś nie znalazłszy, gdzieby od-

[1] O. Scheil wykrył fragment innego babilońskiego opisu potopu. Tabliczka zawierająca go nosi datę panowania króla Ammizaduga (XXII wiek przed Chr.); a jest kopią tekstu o wiele dawniejszego. Ob. *Revue biblique,* 1898, str. 5.

poczęła noga jej, wróciła się ku niemu do korabia: wody bowiem były po wszystkiej ziemi: i wyciągnął rękę, a uchwyciwszy ją wniósł do korabia. A poczekawszy jeszcze siedm dni drugie, powtóre wypuścił gołębicę z korabia. A ona przyleciała do niego pod wieczór, niosąc gałązkę oliwy z zielonym liściem w dzióbie swoim, a tak poznał Noe, że przestały wody na ziemi. I poczekał przedsię jeszcze siedm dni drugich: i wypuścił gołębicę, która się nie wróciła więcej do niego«.

Odpowiedni ustęp babilońskiej pieśni tak się przedstawia:

»Gdy nadszedł siódmy dzień wypuściłem i uwolniłem gołębicę. Gołębica latała tam i napowrót, nie było zgoła miejsca (gdzieby usiadła); powróciła. Wypuściłem i uwolniłem jaskółkę. Jaskółka latała tam i napowrót; nie było zgoła miejsca (gdzieby usiadła), powróciła. Wypuściłem i uwolniłem kruka. Kruk uleciał; widział zniżenie się wód; jadł, brodził po błocie, krakał; nie powrócił«. (Por. P. Jensen: *Assyrisch-babylonische Mythen und Epen*, str. 240—241).

Nie zamierzam tu badać genezy tradycyi o potopie, ani nie wchodzę w kwestyę, o ile Księgi natchnione mogły wprost lub ubocznie czerpać z literatury babilońskiej. Wystarcza mimochodem skonstatować fakt, że Pismo św. nieskończenie przewyższa klinowe napisy swym monoteizmem, tudzież wzniosłością swych religijnych, filozoficznych i etycznych pojęć. Można to dowodnie wykazać; można przyjąć zasadniczą historyczność biblijnej opowieści potopu, a jednak postawić pytanie, czy wszystkim szczegółom opowiadania trzeba koniecznie przypisać wartość ścisłej historyi? Czy należy sądzić, że szczegóły te utrzymywały się bardzo wiernie i dokładnie przez kilka wieków jeszcze przed istnieniem narodu żydowskiego, a potem opatrznościowo przekazanemi zostały Żydom, czy też powinniśmy przyjąć, że szczegóły te zostały objawione natchnionemu pisarzowi w celu poprawienia tradycyi babilońskiej w kwestyach drugorzędnych i niemających żadnej wagi?

Również i krytyczna analiza Ksiąg św. nastręczyła pewne trudności.

Potop rozpoczyna się siedm dni po wstąpieniu Noego do

korabia (VII, 4 i 10) i trwa czterdzieści dni (VII, 4, 12, 17; VIII, 6). Po czterdziestu dniach Noe wypuszcza kruka, potem gołębicę (VIII, 6—8); czeka najpierw siedm dni, potem drugie siedm dni (w. 10 i 12) i wychodzi z korabia. Zatem pobyt w korabiu trwał 61 dni.

Jeżeli powiemy, że owe czterdzieści dni rozdziału VIII, 6 nie określają czasu trwania potopu, ale że oznaczają czas po wyłonieniu się górskich szczytów z wód potopu (w. 5), to jak pogodzimy to tłumaczenie z w. 9 tego samego rozdziału, z którego dowiadujemy się, że na końcu tych 40 dni wody pokrywały jeszcze powierzchnię całej ziemi?

Według dokumentu odmiennego, mówiąc językiem krytyków, przy zestawieniu go z poprzedzającym, wody pokrywają ziemię przez 150 dni (VII, 24). Pod koniec tych 150 dni powoli opadają (VIII, 3). Dopiero po 8 miesiącach i 13 dniach ukazują się szczyty gór (porównaj VII, 11 i VIII, 5). Pobyt Noego w korabiu trwa więc jeden rok i 10 dni (porównaj VII, 11 i VIII, 14).

Powszechnie wiadomo, że Abraham podróżując po Egipcie przedstawiał żonę Sarę za siostrę swoją. Pięć głównych rysów tego zdarzenia powtarzają się odnośnie do Abrahama po raz drugi w ziemi Gerara. Porównaj XII, 13 i XX, 2; XII, 15 i XX, 2; XII, 17 i XX, 7; XII, 18 i XX, 9; XII, 19 i XX, 14.

Bardziej jeszcze nas ciekawi, że ta sama historya powtarza się po raz trzeci, tym razem z Izaakiem przynajmniej o 60 lat później (według rozdziału XX przytrafia się fakt opowiedziany przed narodzeniem Izaaka; w rozdziale zaś XXVI Izaak liczy przeszło 60 lat (por. XXV, 26 i XXVI, 34). Otóż opisy w rozdziałach XX, XXI a (w rozdziale) XXVI zgadzają się w 10 punktach:

1) Zdarzenie zachodzi w Gerarze: XX, 1 i XXVI, 6.
2) To samo udawanie: »To moja siostra«: XX, 2 i XXVI, 7.
3) Król Gerary nazywa się Abimelech: XX, 2 i XXVI, 8.
4) Abimelech uskarża się: XX, 9 i XXVI, 10.
5) Izaak, podobnie jak Abraham, wzbogaca się po tej przygodzie: XX, 14 i XXVI, 13, 14.
6) Phikol, dowódca wojsk Abimelecha: XXI, 22 i XXVI, 26.

7) Przysięga wzajemnego pokoju: XXI, 23 i XXVI, 28, 29, 31.
8) Spór o studnię: XXI, 25 i XXVI, 20.
9) Przymierze: XXI, 27 i XXVI, 28.
10) Miejsce nazwano Bersabee: XXI, 31 i XXVI, 33.

Wobec tego nasuwa się znów pytanie, czy można oświadczyć się za tem, że dokumenty zostały pomieszane ze sobą i powikłane co do pewnych ubocznych momentów, czy też musi się opis w całkowitej jego osnowie uważać we wszystkich szczegółach za ściśle dokładny?

Albo weźmy inny przykład! Który z synów Jakóba wyratował Józefa od śmierci, czy Juda (rozdz. XXXVII, 26; por. XLIII, 3; XLIV, 14, 16, 18), czy Ruben (rozdz. XXXVII, 29; XLII, 22, 37)? Podobnież nie wiadomo, czy sprzedano go Ismaelitom (XXXVII, 25, 27, 28 b; XXXIX, 1) czy Madyanitom (XXXVII, 28 a, 36)?

Czy Aaron umarł na górze Hor (Num. XXXIII, 38 i XX, 25, 26), czy w Mosera (Deut. X, 6)?

Niemniejszą trudność sprawia liczba mieszkańców krainy judzkiej, uprowadzonych do niewoli babilońskiej; zestawić tylko: 1) IV, Król. XXIV 13, 14; 2) IV, Król. XXIV, 15, 16; 3) Jerem. LII, 28—30.

Porównajmy chronologiczne daty kilku ustępów, pewne genealogie lub spisy, powtarzane po dwa lub trzykroć w różnych księgach, a stwierdzimy różnice, jakich czytający Biblię jednym ciągiem zwyczajnie nie spostrzega. Komentatorowie wysilali cały swój dowcip, aby pogodzić te na pozór sprzeczne świadectwa. Odczuwali to jednak nieraz, że ich objaśnienia nie odpowiadają dostatecznie na trudności biblijne. Dość często tłumaczenia ich są (ściśle rzecz biorąc) możliwe, ale za to są zbyt subtelne i mało prawdopodobne. Za przykład niech posłużą usiłowania, które czyniono, aby dwa opisy o śmierci Ochozyasza wzajemnie uzupełnić i pogodzić. (II. Król. IX, 27, 28 i II. Paral. XXII, 9). Skoro zaś sztuczne wyjaśnienia tekstów powtarzają się często w celu rozwiązania rozmaitych trudności tego samego rodzaju, jest to znakiem dosyć wyraźnym, że prawdziwego rozwiązania należy szukać

w ogólniejszej jakiejś zasadzie, dającej się zastosować do samego źródła tych trudności.

Mgr. Le Camus, biskup w La Rochelle, czyni te same uwagi odnośnie do Nowego Testamentu. Stwierdziwszy fakt, że ewangeliści przekazują nam napis krzyżowy, słowa Modlitwy Pańskiej, oraz słowa konsekracyi z pewnymi waryantami stanowiącymi »częściowe niedokładności«, powiada: »Owszem trzeba się dalej posunąć i uznać w pewnych ustępach bardziej pozytywne różnice szczegółów. Różniące się trochę twierdzenia synoptyków o ślepych miasta Jerycho, tudzież o opętanych z Gergezy trzeba swobodnie traktować; bo z większą to będzie korzyścią, aniżeli gdy uciekamy się do dziecinnych objaśnień, w które nie wierzą sami nawet ich autorowie. Nawet samo pochodzenie ewangelii synoptycznych z ewangelii ustnie ogłoszonej dostatecznie usprawiedliwia te niedokładności; ale któż nie widzi, jak małej są one wagi?« (*Vraie et fausse Exégèse,* 1903, str. 16).

Kwestyę więc tak należy sformułować: W jaki sposób różnice szczegółów w opisach tych samych zdarzeń — czy nazwiemy je z Mgr. Le Camus »niedokładnościami«, czy językiem innych autorów »materyalnymi błędami«, — możnaby pogodzić z natchnieniem Ksiąg św., tudzież z nieomylnością, która wypływa z tegoż natchnienia, a którą uznaje tradycya katolicka i encyklika *Providentissimus Deus?*

(Dok. nast.).

Ks. Albert Condamin.

W ARABII SKALISTEJ.

Wrażenia z podróży r. 1905.

(Ciąg dalszy).

V.

Miasto grobowców.

Nad ranem — *Wadi Musa* — *Bab es Sik* — *Sik* — *Haznet Fir'aun* — teatr — grobowce (z urną, koryncki, trzech piątrowy) — przez miasto — *ed Der* — widok na okolicę — *Żebel Harun* — *Kasr Fir'aun* — obiad z Budulami — *Akropol* — *zibb Fir'aun* — inskrypcye nabatejskie — *En Nezr* (święta góra obeliskowa; obeliski, fortece, plac ofiarny Nabatejczyków) — geograficzny rzut oka na Petrę — odjazd i pożegnanie — ogólny sąd.

Z objęć Morfeusza wyrwał mię wkrótce głos naszego Petrarchy. Trzeba było tem bardziej go słuchać, że mozolna praca czekała nas dzisiaj. Wprawdzie już wczoraj przez 5 godzin badaliśmy pomniki Petry, ale wobec ogromnej ich liczby nie wiadomo czy zdołamy dziś wszystko ukończyć. Aby się uporać z materyałem, już przedtem podzieliliśmy robotę między siebie. Jeśli nie gotową, to przynajmniej wielce ułatwioną mieliśmy pracę pomnikowem dziełem prof. Brünnowa i Domaszewskiego, którego pierwszy tom[1] przed rokiem opuścił prasę i prawie wyłącznie ($^3/_5$ całości) poświęcony jest ruinom Petry. Chodziło więc głównie

[1] R. E. Brünnów & A. v. Domaszewski: *Die provincia Arabia.* I Band, str. 524 in IV°. Die Römerstrasse von Madeba bis el 'Akaba. Strassburg. 1904 Alfred v. Domaszewski jest profesorem historyi starożytnej na uniwersyte-

o wyświecenie miejsc ciemniejszych lub wątpliwych, o wyrobienie sobie w kwestyach dotychczas spornych własnego zdania na podstawie autopsyi.

Zrzuciliśmy z siebie koce, przemoczone do nitki obfitą rosą. Toaleta krótko trwała. W braku wody przemyliśmy oczy ręką, spędzając z powiek resztki snu. Po kwadransie już byliśmy na koniach. Jeden żandarm zostaje przy rzeczach, drugi nam towarzyszy; przewodnikiem będzie sam szech Musa, który już o trzeciej nad ranem się zjawił.

Ruszamy. Droga przez pół godziny nader uciążliwa; trzeba się spuszczać po ślizkich skałach w przepaścistą dolinę *wādī Mūsā*, którą płynie potok górski ze źródeł *ʿAin Mūsā*. Już tu po drodze napotyka oko na mnóstwo grobowców, które swym kształtem należą do najstarszych pomników Petry. Są to najczęściej proste pylony, pochodzenia egipskiego, z małym otworem u dołu, często bez żadnych ozdób. Jeżeli gdzieniegdzie zjawiają się ozdoby, np. schodowe gzymsy u szczytu — to tworzą one już formę przejściową do wpływów greckich. (Są to tak zwane *Stufengräber*). Wszystkie te grobowce, nad wyraz poważne, zwłaszcza zaś jeden grobowiec obeliskowy, są jakby tylko przygotowaniem, wstępem, mają na celu odpowiednio nastroić podróżnika już przed wstąpieniem w progi »miasta umarłych«.

Jakoż Wadi Musa poczyna się zwężać i nagle przechodzi w rozpadlinę skalną, szeroką na 3—10 m., wysoką na 50—100 m., długą na pół godziny drogi. Z obu jej stron wznoszą się prostopadłe ściany skalne, czasem nawet zbliżają się ku sobie, tak że zostaje u szczytu niekiedy dwa metry tylko przestrzeni, która pozwala odbitemu światłu przedostać się do głębi, oświetlić wnętrze. Dołem tego jedynego w świecie jaru, płynie wesoło strumyk *Nahr Wādī Mūsā*, a jego brzegi, obrosłe kwitnącymi oleastrami, dodają mu jeszcze uroku. Niema sposobu, trzeba jechać przez ten

cie w Heidelbergu. — Ze starszych dzieł zasługuje na uwagę: Léon de Laborde et Linant: *Voyage dans l'Arabie pétrée.* Paris 1830 i Palmer: *The Desert of the Exodus.* Cambridge 1871.

cudny tunel gęsiego, samym środkiem potoka. Na tętent kopyt końskich zrywają się stada przepiórek i kuropatw, płacząc żałośnie, żeśmy je ze snu zbudzili.

Co za imponujący widok tego tunelu z poszarpanych skał i ścian piaskowca! A piaskowiec ten ubrał się we wszystkie barwy: od czarnego bazaltu począwszy a skończywszy na purpurowym krwawniku. Różowy jednak kolor przeważa i nadaje całości dziwnego uroku. Ta prawdziwie królewska droga, prowadząca do cudnej nekropolii, nosi nazwę *Bāb es Sik*, »bramy przejścia«. Nawet na tych prostopadłych ścianach, na wysokości 30 - 40 m., spostrzegam kilka grobowców, dość ładnej struktury, ale kutych dość późno, bo greckie motywy są tu szeroko uwzględnione.

W starożytności potok w Siku był na całej swej długości sklepiony, tak że suchą nogą można było nawet w zimie dostać się do miasta. Nadto w pewnej wysokości tunelu widać po dziś dzień jeszcze resztki wykutych w skale rowów wodociągowych, które źródlaną wodę z Ain Musa prowadziły do miasta.

Po półgodzinnej czarującej jeździe w tym górskim tunelu, wijącym się nieustannie, — a którego słabą analogią i w innym zupełnie guście mogłyby być nasze Pieniny — zbliżamy się do miasta. Przebywamy ostatni zakręt i — o cudo — nagle staje przed nami wykuty na zachodniej ścianie góry, majestatyczny a nadobny grobowiec-świątynia: *El Haznet Fir'aūn* — »skarbiec Faraona«. Tak, to prawdziwy skarbiec sztuki i wykwintnego a delikatnego smaku! Całość prześliczna i jako pomysł i jako wykonanie. To też Haznet wzbudza zachwyt i najwyższy podziw u wszystkich bez wyjątku podróżnych. Żadna fotografia, tem mniej żaden opis nie odda majestatu i piękności tego arcydzieła, zwłaszcza gdy go ozłacają promienie wschodzącego słońca — jak tego jesteśmy obecnie świadkiem. Pomysł prawdziwie genialny i niezwykły: naprzeciw wylotu długiego, przepaścistego jaru, jedynej drogi do wnętrza stolicy, zbudować pomnik takich rozmiarów i w takim stylu!

Cudna fasada budowli, wykuta w piaskowej różowej skale, wynosi 26 m. wysokości i jest dwupiętrową. Wszystko tu świadczy

o troskliwem wykończeniu: i korynckie kapitele kolumn przedsionka, i gzyms spoczywający na kapitelach, i czoło fasady, ukoronowane rzymskim orłem. Rzeźby dolnego piętra są mocno uszkodzone z powodu wylewów gwałtownego potoka w zimie, którego głębie dochodzą wtedy do 10 m. Temu należy prawdopodobnie przypisać, że jedna z kolumn już runęła.

Górne piętro spoczywa również na kolumnach, ale jego architraw jest łamany. Składa się z trzech części. Na bokach zasiadły obeliskowe wieżyce, środek wypełnia okrągła świątyńka, spoczywająca na kolumnach, przepasana prześlicznym architrawem, który dźwiga kopułę. Na jej szczycie wielka kamienna urna. W niej to, zdaniem Beduinów, Faraon ukrył swe skarby, to też przechodząc strzelają czasem z fuzyi, by ją strącić. Dla tej urny nazwali Beduini cały pomnik skarbcem Faraona, chociaż z faraonami niema on nic do czynienia. W niszach (obydwóch piąter) stanęły mocno już zatarte rzeźby *en relief*. Według Domaszewskiego[1] przedstawiają one boginię Izydę i jej symbole, bo tej bogini miała być ta świątynia[2] dedykowaną. Orły rzymskie strzegą szczytów fasady u podnóża obelisków.

Po takiej fasadzie spodziewałby się każdy wnętrza pełnego blasku i sztuki. Tymczasem we wnętrzu budynku niema nic osobliwego prócz sali i 3 komór. Prawdopodobnie zaprzestano pracy, gdy twórca jej umarł. Powierzchnia głównej sali wynosi 10 m², wysokość jej 8 m. Z każdego boku prowadzą drzwi do bocznej komory. Ściany głównej sali pokryte są nazwiskami podróżnych i badaczy, którzy zwiedzili Petrę, począwszy od Burckhardta (r. 1812), który ją odkrył, aż po r. 1903[3].

---

[1] Op. cit. p. 179 sqq.

[2] Czy *Haznet* jest świątynią, czy też grobowcem trudno rozstrzygnąć. Naukowe powagi bronią obydwóch zdań. Przechylam się w tej mierze raczej do zdania Domaszewskiego.

[3] Z nazwisk słowiańskich znalazłem: A. Elissejew r. 1883; Kyzlink; Bazyli Elizarów; dr. Musil (r. 1896, 1901), Lidzbarski, Domaszewski (1897, 1898). Z tych wydali prace o Petra: Elissejew A.: *Pajezdka w. Egipet, Kamenistuju Arabiju i Palestinu.* St. Petersburg 1885; tenże: »W rozwalinach Petry« 1890; Musil Louis: *Voyage au désert Biblique.* W Al maszrig I. 211—216; Domaszewski (z Brünnowem) jak wyżej.

Jeśli się zwróci uwagę, że ten cały kolos i wszystkie szczegóły, absolutnie wszystkie, są z jednej i tej samej masy kamienia, z jednego monolitu góry, w której wnętrze wrzyna się świątnica, to podziw doprawdy ogarnia, jak architekt tego mógł dokonać. Kto jej autorem? Przypuszczają, że Hadryan, romantyk z usposobienia, zwiedzając Petrę r. 131 polecił zbudować Haznet w tem właśnie najpoetyczniejszem miejscu u wjazdu do stolicy.

Haznet jest bez wątpienia najpiękniejszym w Syryi pomnikiem starożytności, a jest najpiękniejszym i z tego tytułu, że zdaniem znawców (jak Hitldorf i Domaszewski) jest najdoskonalszym wyrazem harmonijnego zlewu dwóch stylów: egipskiego i greckiego w budowie świątyń. Podziwiałem olbrzymią świątnicę w Baalbeek, cudne budowle Żeraszu, ruiny Ammanu, Pelli, Gadary — żeby nie wspominać o Italii i Egipcie — ale żaden z wymienionych pomników nie wywiera tak silnego wrażenia, nie upaja tak człowieka, jak ta świątynia. Zawdzięcza to w znacznej części swej niezaprzeczonej artystycznej piękności, ale pod tym względem można i w Italii i w Egipcie znaleźć rzeczy równie doskonałe, ba nawet doskonalsze. Ale czego tam niema i co mojem zdaniem stanowi sekret całego uroku Haznet — to jej otoczenie i materyał, z którego ją wykuto — to ta piaskowa skała, różem powleczona, w którym jednak skąpały się wszystkie barwy tęczy. Ta niezrównana gra kolorów, naśladująca najśliczniejsze mozaiki, jest główną przyczyną, czemu od Haznet nie można oczu oderwać, czemu chciałoby się na nią godzinami patrzeć.

Jeszcze przez kwadrans prowadzi droga skalistą rozpadliną — jest to dalszy ciąg wschodniego Siku, który jednak posiada tutaj już większą nieco szerokość. Tutaj to dobry smak zhellenizowanych Nebajotów wykuł sobie w skale t e a t r, a przeciwległą ścianę góry pokrył ładnymi grobowcami.

Obok Haznet należy teatr do najlepiej zachowanych budowli Petry. Składa się z 33 rzędów siedzeń, wykutych w całości w piaskowej skale, czerwonego koloru, w półkolu, a wznoszących się amfiteatralnie jeden nad drugim. Kształt całego teatru zupełnie grecki. Teatr mógłby pomieścić 2500—3000 widzów. Scena *(pro-*

scenium) mniej dobrze się zachowała, bo częściowo była z kamieni zbudowaną, nie zaś, jak reszta, kutą w skale. *Orchaestra* zajmowała 35 m. średnicy. Niektórzy z badaczów (jak np. Visconti) sądzą, że teatr tak był zbudowany, iż *proscenium* można było łatwo zamienić na *naumachia*. Wodociągi szły tuż obok i w razie potrzeby napełniały plac wodą, a po ukończeniu przedstawienia miały odpływ do strumienia.

Z najwyższego rzędu siedzeń otwiera się imponujący widok na całą północną czeluść t. zw. *Wādī Chirbet en-nāsārā* i na jej grobowce. Teatrowi dodają wspaniałości skały, które obok niego a i nad nim się wznoszą. Front teatru skierowany ku północnemu wschodowi.

Idąc dalej ku północy spostrzega się po prawej ręce, na północno-wschodniej ścianie góry *El-Chubz* cały szereg najwspanialszych grobowców, wykutych w skale, o fasadach i stylach najrozmaitszych[1]. Proste egipskie pylony, których tu nie brak, przez zastosowanie greckich architrawów i attyki, dały początek typowi grobowców, zwanemu Heżr. Najwięcej grobów typu Heżr wykuto za długiego panowania króla Aretasa IV (9 przed Chr. do 39 po Chr.). Powoli typ Heżr przekształca się w grobowce łukowe *(Bogengrab)*, fasadowe *(Giebelgrab)*, świątyniowe *(Tempelgrab)* o różnych kształtach; wreszcie obeliskowe *(Obeliskengrab)* i te ostatnie mocno mi przypomniały grobowiec Absaloma w Jerozolimie.

Na szczególniejszą uwagę zasługują głównie trzy grobowce: t. zw. grobowiec z urną, grobowiec koryncki i grobowiec trzechpiętrowy.

Grobowiec z urną kształtem swym przypomina nieco El Haznet. Wzniesiono go na miejscu podwyższonem, skąd widać wspaniale całe miasto. Przed pomnikiem ściele się czworoboczna terasa, częścią wykuta w skale, częścią sztucznie wsparta na podmurowaniu o kamiennych łukach. Dwa rzędy jońskich pilastrów

[1] Domaszewski we wspomnianem dziele poświęcił osobny rozdział (137—174) traktatowi o grobowcach Petry, które nader trafnie i umiejętnie poklasyfikował. Jego klasyfikacyę streszczam w tekście.

(po 5 w rzędzie) tworzą rodzaj doryckiego portyku. Front zdobią cztery wielkie pilastry. Nad fryzem umieszczono prześliczną urnę, która nadała nazwę grobowcowi. Obszerna sala (15 m²) tego grobowca, do której dostateczną ilość światła doprowadzały wielkie drzwi i okno nad drzwiami, służyła za czasów chrześcijańskich za katedrę biskupią. Sześć pierwotnych zagłębień (w tylnej ścianie sali) zamieniono na trzy, w których umieszczono ołtarze. Widać jeszcze resztki malowideł, a inskrypcya grecka wymienia biskupa Jazona i dyakona Juliana, którzy roku 447, dokonali poświęcenia tego Kościoła w obecności załogi wojskowej [1]. Grobowiec z urną zasługuje na wzmiankę i uwagę także z tego względu, że wymagał dużo pracy i trudów. Należało bowiem z nierównej góry wyciosać prostopadłą ścianę, olbrzymiej wysokości, aby na niej pomieścić i wykuć całą fasadę pomnika.

O sto kroków ku północnemu wschodowi, za całym szeregiem grobowców, mniej zasługujących na szczególną uwagę, wznosi się t. zw. grobowiec korynckі. I on kuty w różowej skale; i on naśladuje (nieudale) świątynię El Haznet. Fasada jego znacznie szersza, a dolne piętro wsparte na 8 kolumnach, nie posiadają tej regularności proporcyi, co Haznet. Przeładowanie mnóstwem ozdóbek i ząb czasu odbierają mu dużo wdzięku.

Największym co do rozmiarów jest bezsprzecznie grobowiec trzechpiętrowy. Wysokość jego tak ogromna, że góra nie dawała już dostatecznie wysokiej ściany, a szczyt fasady musiano domurować. Fasada, już nieco zniszczona, posiada w dolnem piętrze 4 portale, poprzedzielane pilastrami. Każde z górnych pięter zdobi po 18 korynckich kolumn. Wnętrze posiada 4 sale różnej wielkości, z których tylko dwie środkowe komunikują ze sobą. Do sal bocznych trzeba wchodzić przez odpowiedni portal z frontu. Tak wnętrze jak i fasada były pomalowane na biało. Dziś kolor zżółkł. Laborde (l. c.) tłumaczy bardzo racyonalnie ten dziwny proceder. Skały Petry, przeważnie czerwone, nie posia-

[1] Ἐπὶ τοῦ ὁσιωτάτου Ἰασωνος ἐπισκόπου Θ(εοῦ) χάριτι ἡγιάσθη ὁ τόπος τῇ ἐ Λώου τοῦ (ἔτους) τμά παρόντος νούμέρου τῶν γενναιοτάτων Γ... ραμάτων καὶ Ἰουλιανοῦ διακόνου... γρ(ιστοῦ) σώζοντος.

dają tej samej barwy w całej swej objętości. Mając w sobie dużo żelaza oksydują z łatwością a to powoduje owe prześliczne szerokie żyły fioletowe, brunatne, niebieskawe, zielonawe i t. d., które tworzą nieraz jakby pokłady kilkumetrowe i biegną równolegle do poziomu. Wskutek tego np. kolumny, wykute z jednego monolitu, wyglądają czasem jakby zlepki. Tak samo i linie architektoniczne doznają (wskutek optycznego działania barw na oko), częstych załamań, psujących czasem harmonijną całość budowli.

Opuszczamy północno-wschodnią ścianę miasta, wsiadamy na koń i kierujemy się ku środkowi stolicy. W oczy wpadają przedewszystkiem liczne przekopy na wodę, którą w wielkiej obfitości zsyła »ojciec życia« *abu-l-chajati* [1] w porze zimowej. To też wszędzie pobudowano mury ochronne, a w środku miasta znać resztki sklepienia nad głównym kanałem. Rzymski system, czy zwyczaj, pokrywania sklepieniem rzek i potoków na całej przestrzeni miasta, oglądałem także w Amman, a poniekąd i w Zerasz.

Już przed wejściem do wschodniego Siku, spostrzega się na prawo wykutą w skale obszerną stolnię (przekop) [2], 5 m. szeroką, 7 wysoką a 100 m. długą, która wychodzi na północ w dziką przepaścistą dolinę. Celem jej było odprowadzać wielkie ilości wody, gromadzące się w zimie przed Sikiem i grożące miastu zalewem. Było to tem konieczniejsze, że wązki Sik stanowi jedyną drodę ze wschodu do miasta; gdyby więc tę drogę zawaliły w zimie fale głębokie na kilkanaście metrów, dostęp do stolicy byłby dla karawan przecięty.

Mijamy resztki mostu i inne budowle publiczne, których zwiedzenie odkładamy do powrotu, a spieszymy czemprędzej, nim jeszcze południe nas zaskoczy, na stronę północno-zachodnią. Czeka nas żmudne drapanie się pod górę. Konie zostawiamy żandarmowi, a z szechem Musa ruszamy naprzód. Zrazu droga prowadzi ku północy wązką doliną, między wysokiemi górami; po kwadransie

---

[1] »Ojcem życia« nazywają Arabowie deszcz.

[2] Stolnia nosi tu nazwę tunelu, bo go przypomina swą formą.

zwraca się ku zachodowi. Tu już trzeba rzucić ścieżynę w jarze, a drapać się ku górze. Miejscami brak jakiejkolwiek ścieżki. Tylko skał złomy, dziko poszarpane, wabią i nęcą oko swym ślicznym różem, różnobarwnie nakrapianym, a utrudniają wspinanie się swemi ścianami.

Wydostajemy się wkońcu na ścieżynę, wykutą w skale. Tu jeszcze widać ślady dawnych schodów i małych teras. Gdzieniegdzie nawet schody są dobrze zachowane. Po ich bokach ładne grobowce każą się domyślać, że tę drogę dla nich kuto.

Po półgodzinnem wspinaniu się jesteśmy u celu, u stóp pomnika zwanego *ed-Dēr* (klasztór). Już sam wybór miejsca zdradza poetyczny umysł i smak artysty. To jedno z najpiękniejszych miejsc w całej Petra. Zewsząd otaczają nas czarowne swą dzikością góry, których silne promieniowanie w świetle południowego słońca potęguje znacznie wrażenie. Naprzeciw ed-Deru w kilkokilometrowej może odległości, wzbija się ku niebiosom majestatyczny Żebel Harun.

By pomnikowi zapewnić wszystkie estetyczne efekty, budowniczy nie wahał się wykuć pod nim wielkiej terasy *(area)*. Z jej końca dopiero ocenia się należycie i rozmiary grobowca i jego artystyczne wykonanie.

Przedewszystkiem uderza jego ogrom (a nie należy zapominać, że całość jest z jednej bryły skalnej!). Według Hornsteina, który zadał sobie trud pomiaru, wysokość fasady wynosi 142 stóp, szerokość 151 stóp. Sala wewnętrzna ma 36 stóp i 9 cali długości, a 39 stóp i 8 cali wysokości. Portal jest na 30 stóp wysoki, a 17 stóp szeroki.

Jakże się przedstawia fasada? Jest to dwupiętrowy fronton. Dolne piętro (parter) zdobi 8 doryckich kolumn, których kapitele miały, zdaje się, metalowe ozdoby. W środku parteru drzwi do wnętrza. Po ich bokach siedzą między kolumnami dwie nisze, w których dawniej musiały się mieścić posągi. Drugie piętro składa się z trzech oddzielnych części. Po jego bokach wzbijają się wieżyczki (bez obelisków), w środku zaś mała świątyńka, nakryta urną. Frontonowi brak portyku. Jak z tego opisu wynika, styl fasady jest owocem zlania się rzymskich świątyniowych gro-

bowców z fasadą El Haznet; tylko, że harmonijne linie El Haznet, tu jakoś zmartwiały czy przekwitły.

W jedynej sali budynku znajduje się nisza, na której pobożna ręka późniejszego pustelnika wyryła krzyż. Pierwotnie była to świątynia pogańska, po której jeszcze pozostały ślady.

Całość wywiera na widzu silne wrażenie, mimo usterek w szczegółach, które wielkość rozmiarów znacznie zmniejsza i prawie niweczy. Ale barwa skały, przechodząca już w kolor brunatny, a także brak portyku, sprawiają, że ed-Der nie zachwyca tak widza, jak El Haznet.

Ale co tu przedewszystkiem zachwyca widza, to okolica. Po lewej stronie fasady, w pewnej odległości, wykuto stopnie, prowadzące na szczyt świątyni, jakby przeznaczony do tego, by ułatwić i potęgować kontemplacyę okolicy.

Z tej sztucznej a wysokiej terasy otwiera się widok we wszystkich kierunkach. Mało wprawdzie szczegółów widzi się wyraźnie, mimo to jednak nabywa się wyobrażenia bardzo dokładnego o ogólnej formacyi i charakterze krainy.

Zacznijmy przegląd od wschodu. Po lewej mej ręce ciągną się naprzód skaliste Petry wyskoki, poprzerzynane głębokimi jarami, z oną cudną grą kolorów, które tak zachwycają, mimo, że się je tu spotyka na każdym kroku. Wioskę Elżi zasłaniają szczyty, leży bowiem względnie nizko. W oddali na samym horyzoncie wschodnim rozściela się płaskowyż niezmiernej długości i szerokości, cały skąpany w promieniach słońca, które swym blaskiem wprost oślepia. To piaski arabskiej pustyni. Falistość gruntu można wprawdzie rozeznać, ale w takiej perspektywie ginie ona prawie. To po lewej ręce.

Kieruję oczy na zachód, na prawo. Widok dość jednostajny, smutny, ponury. To grzebień gór Idumejskich. Stanowią one zachodni brzeg morza Martwego, a biegnąc ciągle ku południowi tworzą także zachodnią ścianę wadi-l-Arabach. Góry to nagie, jałowe, których jednostajność urozmaicają tylko liczne doliny, wpadające do wadi-Arabah.

Sama wadi-Arabah jest wielką, piaszczystą równiną, prze-

ciętą tu i ówdzie korytem potoków, w których napróżno, nawet przez lunetę szukałem wody. Jej widok przypomina swą formą rozpadlinę Jordanu; ale brak tu tej bujnej roślinności, która stanowi ozdobę nieporównaną doliny Roru. Zbliżając się ku wschodowi, ku pasmu gór esz-Szarat, równina Arabah poczyna się wypuklać, garbić, przemieniać w tysiączne pagórki o stożkach spadzistych, a szczytach igielnych. Kolor purpurowy zdradza, że mamy tu do czynienia z wysepkami tej samej geologicznej formacyi, co pasmo esz-Szarat. Na ostatnich południowych kończynach wadi-Arabah, dostrzegam przez lunetę jakąś taflę błękitnawą, a na prawo od niej górskie pasma, o których już żadnych szczegółów podać nie umiem. Tak, to zatoka morska Akaby i góry półwyspu synajskiego.

Ale przedewszystkiem i ponad wszystko, porywa i przykuwa oczy *Żebel Hārūn*, góra Arona, jak ją nazywają Beduini. To król w całem paśmie esz-Szarat, który inne szczyty przewyższa i zawstydza swą dzikością, przechodzącą najbujniejsze obrazy ludzkiej fantazyi. To ogromnych rozmiarów iglica, najeżona po swych bokach stożkowatymi kopcami, przepaściami o głębinach zawrotnych, kształtach malowniczych a oryginalnych. A cóż powiedzieć o barwach? To co jest cechą charakterystyczną, nieporównaną i niedościgłą Petry, to jeszcze w wyższym stopniu trzeba stwierdzić o Haruna górze. Panuje wprawdzie ciemna purpura, ale wrzynają, ale wkradają się w nią tu kolor niebieskawy, tam fioletowy, tu prążki zielone, żyły karmazynu, tam znowu pokłady żółtawe, wstążki różowe i pomarańczowe. Często znowu pojedyncze barwy układają się równolegle jedna nad drugą, tworząc cudną, bo naturalną mozaikę. Aż wierzyć się nie chce, żeby to była rzeczywistość, a człowiek pyta się sam siebie, czy przypadkiem nie marzy, nie śni. Gdy zaś po tej naturalnej, prześlicznej, fantastycznej barw mozaice, poczną się ślizgać słońca promienie, gdy poczną się odbijać, łamać, zbiegać i rozbiegać — wtedy już doprawdy czar ogarnia człowieka. Tuby powinni koniecznie przyjeżdżać wszyscy malarze, by szukać natchnienia, barw i tła do swych płócien. Gdyby stolica Nabatejczyków nic innego nie dawała

tylko to widowisko, gry barw i fantastyczną dzikość swych szczytów — już to samo opłaciłoby sowicie trudy podróży.

Wśród skał pokrywających stoki, wije się ścieżyna, przesłonięta niekiedy jałowcowym krzakiem i pnie się aż na sam szczyt góry. Na wschodnim szczycie tych cudnych szczytów mały zawód: ordynarny piaskowiec wśród drogich kamieni, mała buda murowana i bielona. Ma to być grobowiec Arona, brata Mojżesza, jak chcą Beduini i jak naucza dość stara tradycya żydowska, o której wspomina Józef Flaviusz [1]. Tę opinię żydów (za świadectwem św. Hieronima) przejęli chrześcijanie, którzy na zboczu góry wybudowali niegdyś klasztor; przejęli muzułmanie; przejęli i niektórzy katoliccy uczeni, którym tradycya sama wystarczała. Zdanie więc to poważne, z którem liczyć się trzeba. Mimo to, nowsi uczeni i bibliści, jak np. Guthe, Lagrange [2], opierając się na kilku danych samej Biblii, podali w wątpliwość tę tradycyę wieków. Według ich mniemania — nie pozbawionego cech wielkiego prawdopodobieństwa — góry Hor (czyli jak ją Biblia [3] nazywa *Hōr-hā-hōr*), należałoby szukać po zachodniej stronie wadi-Arabah, gdzieś w pobliżu Cades (dzisiejszego *'ain Kadis*), 80 klm. na południe od Bersabei. Ale któremu z pagórków, w pobliżu Cades, w szczególności należy przekazać ten honor, czy dla Żebel Madurah, czy też dla Żebel Muele, na to niema zgody między tymi uczonymi.

Jakkolwiek jednak rzecz się ma, to w każdym razie jest pewne, że budynek, stojący obecnie na szczycie Żebel Haruna, jest dość nowy; fundamentami swymi nie sięga nawet XIII wieku, sam zaś grób i trumna są zupełnie świeże. Kształt grobowca przypomina tak częste w Syryi sàntony świętych tureckich: kwadratowy budynek o kilku małych okienkach, pokryty małą kopułą.

Nie zwiedziłem góry Haruna z kilku przyczyn. Najważniejszą był brak czasu; wycieczka ta zabiera cały dzień, jest zaś ogromnie uciążliwą. Trzeba się bowiem wspinać po ścieżynach, nieraz tak stromych, że zaledwie, pomagając sobie rękami, można się

[1] *Antiq. jud.* IV, 4, 7.

[2] *Revue biblique* 1899, str. 376—378.

[3] Por. *Num.* XX, 22, 25, 27; XXI, 4; XXXIII, 37, 38, 41; *Deut.* XXXII, 50.

posuwać naprzód. Prócz tego fanatyzm strażnika muzułmańskiego, nie chce za żadną cenę wpuścić chrześcijan do wnętrza, bo Aron jest także świętym tureckim. Wprawdzie wobec telegramu z Damaszku, możnaby zażądać od mutesaryfa z Keraku, rozkazu do szecha, strzegącego santonu. Ale trzebaby wracać do Maan i telegraficznie rzecz załatwiać — lub żandarmom kazać stoczyć walkę ze starcem. Tego zaś nie chcieliśmy, dla zobaczenia niepewnego bądź co bądź grobowca i nowej próżnej trumny. Jak twierdzą podróżnicy, którzy santon Haruna zwiedzili, wnętrze nie przedstawia nic osobliwego. Grób znajduje się w sklepionej ciemnej izbie i nakryty jest kobiercem. Nad tą ciemnicą jest sala, na której ścianach Beduini zawieszali *ex-vota*, w swem ubóstwie: strzępki koszuli lub sukni, albo kosmyki włosów. Tym wotom synów pustyni napatrzyłem się do przesytu w całej Syryi, gdzie tylko spoczął jaki santon.

Powróciwszy z ed-Deru napowrót do miasta, pospieszyliśmy czemprędzej przez dolinę potoka do *Kasr bint-Fir'aun*, zamku córki Faraona, jak te ruiny nazwali Beduini, którzy wszędzie w Petra upatrują Faraonów i szukają ich skarbów. Jest to jedyna murowana budowla Petry, która jako taka się przechowała. Wszystkie inne, które nie były kute w skale, ale które wzniesiono z kamienia, zniszczył ząb czasu, a raczej wylewy wód potoka.

Kasr Firaun był obszerną świątynią [1], jak się zdaje *Magnae Matris* [2], w stylu *templum in antio*, o czterech kolumnach i dwóch pilastrach w *pronaos*. *Cella* posiadała trzy nawy: w środkowej mieścił się ołtarz kultu. Trzy okienka w bocznej ścianie nad gzymsem oświecały cellę. Świątynia pochodzi z czasów rzymskich. Przed świątynią widnieją resztki starego ołtarza do krwawych (?) ofiar; szerokość jego wynosi 13 m., wysokość 2 m. Świątynię otaczał τέμενος: — na zachodzie są jeszcze widoczne resztki exedry.

---

[1] Twierdzenie kilku uczonych (jak np. Irby, Olin i inni), że Kasr Firaun było prywatnym gmachem nie da się dziś utrzymać. Lagrange (*Rev. bibl.* 1897, str. 227) przypuszcza, że to był gmach kuryalny, poprzedzony bazyliką i *forum*.

[2] Domaszewski l. c. str. 176 sqq.

Ukończyliśmy oględziny »zamku Faraona«, gdy słońce stojące prawie na zenicie, szalony, suchy upał i wielkie zmęczenie kazały nam pomyśleć o spoczynku i o tak prozaicznej czynności, jaką jest obiad. A mieliśmy gości niezwykłych. W Petra, a raczej w niedostępnych jej rozpadlinach, gnieździ się kilka rodzin beduińskich (9 namiotów tylko), odrębnego zupełnie typu, odrębnego zupełnie plemienia, zwiącego się Budul. Szech tego zmarniałego szczepu zjawił się wraz z kilku jego przedstawicielami. Ubóstwo ich tak wielkie, że raczej na nazwę żebraków zasługują. Na widok karawany wyszli ze swych kryjówek, chcąc coś zarobić na »konzulach«. Oczywiście nie pożałowaliśmy tym biedakom naszej »uczty«. Chleb, ogórki i ser wzięliśmy ze sobą, woda znalazła się w potoku, ale tak nieapetyczna, że dla oszukania siebie, a raczej naszego podniebienia, dolewaliśmy do każdej czarki po kilka kropel »araku«. Woda natychmiast zmieniła swój podejrzany kolor, stając się białawą. Nasz żandarm, który był wielkim amatorem »araku«, w drodze wypróżnił nam w jakiejś dogodnej chwili połowę flaszki. Teraz zaś bez żenady — choć muzułmanin — domagał się kilku »kropel«. Trzeba było spełnić jego żądanie, boć to przedstawiciel tureckiej władzy, a obecnie nasz obrońca i opiekun. Zdziwionemu białą wodą szechowi Budulów wytłumaczył nasz poczciwy Kurd, że te krople są mlekiem z jego kraju.

Po kwadransie wypoczynku znowu na koń. Po lewej ręce Kasr Firauna wznosi się olbrzymi blok skalny, mocno poszarpany, na którego szczycie widnieją ruiny, w których Hoskins i inni upatrują ślady fortecy krzyżowców (?). Górka nosi od czasów Burckhardta nazwę *Akropolu*. Fakt istnienia twierdzy, choć możliwy sam w sobie, jest dość wątpliwy z wielu przyczyn.

Objechawszy zagadkowy »akropol«, wydostajemy się na płaszczyznę, dość mocno pofałdowaną mniejszymi pagórkami. Na jednym z nich wznosi się odosobniona wielka kolumna, nieźle zachowana, która się składa coś z 10 kawałków, a obok niej resztki absydy (kościelnej ?), wraz z ruinami (kościoła ?) [1]. Arabowie w swej pre-

[1] Ehni i Lagrange (l. c.) upatrują w ruinach podobizny pogańskiej świątyni.

dylekcyi do Faraonów i tę kolumnę ochrzcili mianem *zibb Fir'aun.*

Posuwamy się ciągle w kierunku południowo-wschodnim wśród rumowisk i mniejszych ruin. Po pewnym czasie wjeżdżamy w parów. Tu trzeba już zsiąść z koni i zostawić je pod opieką żandarma. Nasz szech Budulów, którego tylko ks. Lammens zrozumieć może, bo z braku zębów sepleni, zwierzył mu się, że przed miesiącem przypadkiem znalazł 2 inskrypcye nabatejskie. Jeśli mu za każdą da beszlika (0·55 fr.), to mu je wskaże. Nasz wytrawny Petrarch podejrzywał mocno starego, że go chce oszukać, ale ponieważ dwa beszliki to jeszcze nie majątek, zgodził się popróbować szczęścia. Nuże te inskrypcye rzeczywiście dotychczas są nieznane? Wobec względnej rzadkości inskrypcyi nabatejskich mogą zawierać jakąś cenną wskazówkę lub zdobycz. Jakoż przez niedostępne przepaści i urwiska przedostaliśmy się do miejsca wskazanego. Inskrypcye te mocno nieczytelne skopiował ks. Lammens, a nasz fotograf ks. Jalabert odfotografował [1].

Stąd kierujemy nasze kroki na górę obeliskową[2], zwaną także górą świętą albo *en-Neżr.* Mijamy kilka dość ładnych grobowców starszej struktury i wspinamy się po ścieżynie wyrąbanej w skale, gdzieniegdzie opatrzonej schodami. Dużo tu względnie zieleni, nieco winorośli, oliwek i oleastrów. Od czasu do czasu dzikie krzewy uderzają nas po twarzach, jakby chciały zagrodzić drogę do tych niedostępnych urwisk, gdzie tylko orły bujają, a gdzie Nabatejczycy ryli po skałach swoje pozdrowienia *(salām)* zmarłym towarzyszom. Nie zważając ni na te zbawienne ostrzeżenia czy przeszkody, ni na straszny upał, pniemy się odważnie do samego gniazda orłów, do najstarszej i pierwotnej siedziby

[1] Po powrocie do Bejrutu przekonaliśmy się, że podejrzenie ks. Lammensa miało podstawę. Owe dwie inskrypcye znajdują się już w *Corpus inscriptionum semiticarum.*

[2] Na górę obeliskową wchodzi się zwykle ze strony wschodniej, gdzie schody, wykute w skale, na znacznej przestrzeni, ułatwiają wejście. Myśmy na nią się wdrapali ze strony zachodniej, trudniejszej, ale krótszej.

Nebajotów, która przechowała nam miejsce ich kultu i religijnych wierzeń. Miejsce to nosi nazwę Zabeatuf, a wykute jest na najwyższym wierzchołku kilku, żeby się tak wyrazić, piąter skalistych, które się rozkładają jedno na drugiem.

Dostajemy się najpierw na esplanadę dość wielką, która się ciągnie z zachodu na wschód, a wykutą jest w skale. Na niej znajdują się 2 obeliski, jeden od drugiego w oddaleniu o jakie 30 m. Obeliski widzi się już z miasta, bo wysokość ich wynosi około 7 m. Nasuwa się pytanie, kto i w jakim celu je postawił? Wszyscy prawie badacze twierdzą, że to uczynił budowniczy fortecy, której ruiny widać stąd niedaleko. Potrzebując bowiem materyału do zamczyska, ścinał obok leżącą górę i — aby zostawić pamiątkę, ile góry ścięto i przerobiono na terasę — zostawił na obydwóch jej końcach te dwa obeliski. Jakoż materyał, z którego zbudowano fortecę, jest ten sam, co składniki terasy i obeliski.

Posuwając się dalej ku północy, spostrzegam głęboki rów, sztucznie wykopany, który bronił dostępu do twierdzy od strony południowej. Przebywszy go po stromej ścieżce staje się przed fortecą. Z wyjątkiem 2 bastyonów z zachodu, wszystkie inne w ruinie. Mimo to widać dokładnie, jak niezdobytą musiała być ta forteca w czasie, gdy armat nie znano. Z północy, wschodu i zachodu broniły jej prostopadłe ściany skalne, a z południa wykopany głęboki rów. Kto ten zamek budował? Dość ogólnie przypisują go Krzyżowcom. W tem przypuszczeniu, nie pozbawionem zresztą prawdopodobieństwa, Krzyżowcy posiadali aż trzy twierdze w Petra: jedną (od wschodu i południa) na en-Neżr; drugą w mieście na Akropolu; trzecią (wraz z kościołem) na północ od miasta, zwaną el Wuaira [1]. Niektórym jednak uczonym trudno się z tą myślą pogodzić i szukają daremnie innego tłumaczenia.

Posuwając się ciągle ku północy tem samem pasmem górskiem en-Neżr, dochodzi się po drodze zawrotnej i karkołomnej do najstarszego pomnika Petry, z czasów przedchrześcijańskich;

---

[1] Co do *El Wu'aira*, której nie mogliśmy zwiedzić, por. dobre sprawozdanie ks. Savignac O. P. w *Revue biblique* 1903, str. 117 sqq.

wychodzi się na plac ich krwawych ofiar, które swym bóstwom składali. To prawdziwy akropol starej stolicy, z którego ładny widok ściele się na całe stare i nowe miasto i na ich pomniki. Na razie najwięcej interesuje nas sam plac kultu. Jest to równo ścięty i zniwelowany wierzchołek szerokiej skały, na którym rozłożyły się trzy oddzielne części mające odrębne przeznaczenie.

Najważniejszym bez wątpienia jest sam główny ołtarz, skierowany ku zachodowi słońca. Jest to kloc prostokątny, długi na 3 m., szeroki na 1·90 m., wysoki prawie na 1 m. Z trzech jego stron wycięto skałę, aby go oddzielić od głównej masy wierzchołka. Ołtarz spoczywa na podwyższeniu; to też prowadzą do niego cztery stopnie. Na środku ołtarza znajduje się zagłębienie w kształcie basenu, długie prawie na jeden metr, głębokie (przeciętnie) na 2 dcm. Uczeni przypuszczają, że w tym basenie gromadzono popioły spalonej ofiary.

Po lewej stronie głównego ołtarza (ku południowi), widać drugi ołtarz okrągławy, dość niedbale ociosany, na którego szczyt prowadzą schody. Tutaj to spostrzegamy wykute w kamieniu płytkie a okrągłe zagłębienie, o promieniu 1 m. W jego środku mieści się otwór prowadzący do kanału, który kończy się rynienką po lewej (południowej) stronie głównego ołtarza. Wszyscy się zgadzają, że na okrągłym ołtarzu zabijano ofiary. Krew gromadziła się naprzód w zagłębieniu, a stąd wchodziła przez kanał do rynienki; stamtąd zaś można było jej używać do obrządków kultu np. libacyi, pokropienia ludu lub sprzętów.

Poniżej i przed tymi dwoma ołtarzami wykuto w skale prostokątną terasę czyli plac z małem wyniesieniem w środku. Plac ten wynosi $14^1/_2$ m. długości, $6^1/_4$ m. szerokości, a skierowany jest z południa ku północy. Aby deszczówka, gromadząca się na placu, miała odpływ, przebito w południowej ścianie otwór, odprowadzający wodę na zewnątrz. Po przeciwległej stronie placu kilka schodów prowadzi w przepaść. Plac służył, zdaje się, na pomieszczenie ludu, obecnego przy ofiarach. Do czego zaś służyły schody, wiodące w przepaść, nie wiadomo. Ks. Savignac [1] przy-

[1] L. c. str. 281.

puszcza nie bez prawdopodobieństwa, że tędy wyrzucano odpadki ze zwierząt, nie nadające się do ofiar. Wyniosłość na środku placu długa prawie na $1^1/_2$ m., szeroka na $^3/_4$ m., mogłaby służyć za ołtarz wonności, jak chce profesor Mathew, albo za miejsce dla kapłana celebrującego, skąd wygłaszał swe modły, jak tłumaczy ks. Savignac. Twierdzenie to jest tem prawdopodobniejsze, że wyniosłość mieści się naprzeciw głównego ołtarza.

Pozostają jeszcze dwa zagłębienia, pierwsze na północy, drugie na południe od placu. Dno wyżłobienia północnego leży $^1/_2$ m. wyżej, niż sam plac główny. Tutaj to znawcy wyznaczają miejsce dla książąt i dygnitarzy narodu. Zagłębienie południowe o długości 3-metrowej, szerokości $2^3/_4$ m., a głębokości 1 m., służyło za zbiornik wody, potrzebnej przy ofiarach, a może i na obmycie zwierząt przed ofiarowaniem.

Jak widać z tego krótkiego opisu, plac ofiarny przypomina w kilku szczegółach świątynię jerozolimską, jej główne części składowe. Różni się zaś przedewszystkiem charakterem; podczas gdy w Jerozolimie cześć składano jedynemu prawdziwemu Bogu, tutaj na górze obeliskowej władał i przyjmował ofiary Duszara, bożek słońca, a może i jego matka Allat, bogini księżyca.

Zanim zstąpimy z góry obeliskowej i pożegnamy się z tem miastem umarłych, warto objąć rzutem oka jego całość i ustalić sobie w pamięci położenie miasta i rozkład jego pomników. Do tego celu Góra obeliskowa nadaje się wyśmienicie.

Petra leży w kotlinie, otoczonej zewsząd górami. Ze wschodu są to góry *en-Szārāt,* z zachodu dzikie masy kamienia, które wkońcu przechodzą w *Wādi 'Arabāh.* Z północy i południa zasłaniają miasto wysłanniki pasma wschodniego i zachodniego, które jakby podają sobie ręce w niższych ale bardzo nieprzystępnych pagórkach.

Do kotliny, w której leży stolica Nebajotów, wiedzie podwójna, naturalna droga: ze wschodu rozpadliną skalną, zwaną *Sik* (wschodni); z zachodu zaś dalszym ciągiem Siku wschodniego, który przebija się przez środek miasta, prowadząc wody ze źródła Ain Musa. Z północy i południa niema naturalnego przystępu;

i gdyby nie sztuczne, kute w skałach ścieżki, z tych stron do Petry dostaćby się nie można.

Sik przecina dwa prawie równoległe pasma górskie na dwie części proporcyonalne: północną i południową. Można przeto rozróżnić cztery grupy ścian skalnych, otaczających stolicę. Grzebień południowo-wschodni, święta góra obeliskowa, nosi na swych trzech grzbietach trzy miana: *en-Neżr*, *el Kantara* i *el Farasa*. Grzbiet północno-wschodni nazywają Beduini *El-Hubże*, *el Nasārā* i *el-Wu'aira*. Grzbiet południowo-zachodni zwie się: *el Habis*, a północno-wschodni: *El Ma'aitere*, *es-Siag* i *ed Der*.

Srodkiem kotliny, otoczonej w ten sposób ze wszystkich stron górami, płynie na dnie Siku potok *Nāhr Wādi-Mūsā*, przemieniający się w zimie w prawdziwą rzekę. Dzieli on miasto na dwie nierówne części; część południowa jest obszerniejszą. Sama kotlina nie jest jednak zupełną równiną, bo rozsiadły się na niej faliste pagórki, poprzedzielane między sobą małemi dolinkami. Najwyższy pagórek na południowym zachodzie nosi nazwę akropolu. Brünnów[1] ocenia całą przestrzeń zamieszkalną miasta na 2 klm² — to jednak nie wyklucza, że na zboczach gór mogły się także znajdować domy, jak to na każdym kroku widać np. na Libanie.

Skały piaskowca, wypełniające przestrzeń między *Elżi* (zwaną przez Beduinów *Wādī Mūsā*) a samem miastem grobowców, są przeważnie białego koloru. Podobnież skały na północ od Petra są na biało zabarwione. Natomiast wszystkie ściany skalne otaczające miasto (a nadto i *Żebel Hārūn*) ubrały się w róż lub ciemną purpurę, którą przetykają i jakby cieniują prążki wszystkich innych kolorów.

Pomniki są rozłożone jak następuje:

El Haznet skryła się w Siku wschodnim (3/4 jego długości); teatr wspiera się o wschodnią ścianę góry en-Neżr, którą na swym wierzchołku mieści plac ofiarny, zamek krzyżowców (?) i 2 obeliski; najważniejsze groby wykuto na ścianie północno-wschodniej pasma el-Hubże; *ed-Dēr* spoczął na jednym

[1] Op. cit. str. 135.

ze szczytów północno-wschodniego pasma tegoż nazwiska; *Kasr Fir'aun* przytulił się do stóp akropolu. Resztę rozrzucono po stokach wszystkich gór. Ilość zabytków, mniej lub więcej zachowanych, jest ogromną. Brünnów i Domaszewski, którzy je ponumerowali i poklasyfikowali, naliczyli aż 851 pomników. Nie wiem, czy które ze starożytnych miast, wyjąwszy może Rzym, mogłoby się poszczycić taką liczbą.

Czas naglił, słońce miało się już ku zachodowi; należało opuścić en-Nežr, zstąpić z góry zachwytów w szarą dolinę prozy, opuścić Petrę. Chwila dość uroczysta, bo opuszczaliśmy jedno z najfantastyczniejszych i najdzikszych, a swą dzikością najwięcej czarujących miejsc na ziemi. Opuszczaliśmy wielki grobowiec narodów, olbrzymią skalistą mozaikę barw, której żadnych nie trzeba ozdób, żadnych upiększeń. Opuszczaliśmy w ścisłem słowa znaczeniu serce Arabii Skalistej, w którem ta ostatnia zogniskowała i złożyła wszystko, czego jej z taką rozrzutnością udzieliła przyroda i wszystko, co sobie własną pracą wykuła, nabyła, co z siebie wydobyła lub zapożyczyła od drugich.

Zstępowaliśmy w milczeniu, przypatrując się uważnie jeszcze wszystkiemu i z myślą uwięzioną w tych cudnych skałach i pięknych pomnikach. Tylko nasz szech z plemienia Budulów myślał o czem innem, był praktyczniejszy. On wysilał się na wszystkie sztuczki, aby zamiast dwóch przyobiecanych baszlików wyłudzić np. meżidji (4·25 fr.). To też wśród tysiąca oznak przyjaźni, życzliwości i komplementów, na które mało obecnie uważaliśmy, począł aż całować brodę naszego Petrarchy — z wielkiego afektu ku... upragnionemu meżidji.

Spuściliśmy się w dolinę, gdzie czekały konie. Dosiadłszy ich, tą samą drogą wracaliśmy do Elżi przez Sik obok teatru aż do El-Haznet. Tutaj postój. Nie można było opuścić stolicy Nabatejczyków, nie złożywszy pożegnalnej wizyty temu arcydziełu sztuki i natury, tej najdoskonalszej przedstawicielce Petry, która oparła się zniszczeniu 20 wieków. Po krótkiej milczącej kontemplacyi żegnamy ją po raz ostatni przeciągłem spojrzeniem i... ruszamy z kopyta.

Jak sformułować wrażenia dwu dni? jaki wydać sąd o stolicy grobowców? Powiem szczerze, co myślę. Włochy, Grecya, Egipt, a może i Syrya posiadają wprawdzie ładniejsze pomniki, dzieła artystyczniejsze, gdy się je uważa same w sobie, oddzielnie — ale takiego tła, takiego otoczenia, kolorytu, takich ram obrazu nie posiadają. A te właśnie czynniki potęgują czasem w dziesięćkroć odebrane wrażenia. W Petra wszystkie warunki estetycznej rozkoszy podały sobie dłonie, aby stworzyć rzeczy pod tym względem niedościgłe. Stąd to opuszcza się stolicę Nabatejczyków w rozmarzeniu, prawie że ze smutkiem, tęsknotą, myśląc ciągle i tylko o niej.

(C. d. n.)

Ks. Władysław Szczepański.

BOSSUET I FENELON.

Ciąg dalszy.

III.

Bossuet był już wtedy stale na dworze królewskim, albowiem w r. 1670 został mianowany wychowawcą syna królewskiego. Młody królewicz miał lat dziewięć; był z natury dobry, zdolny do szlachetnych uczuć; te dobre skłonności wyzyskał należycie wychowawca, i Delfin okazywał się zawsze dostępnym dla wszystkich, rozmawiał z domownikami, zajmował się ich losem, ku niemałemu zdziwieniu całego dworu. W bitwie okazał się dzielnym, nie tyle dowódcą, bo mu na to nie pozwolono, ale zato żołnierzem pełnym zapału i rzeczywistej męskości. Zato strona intellektualna pozostawiała bardzo wiele do życzenia; chłopiec po matce odziedziczył powolność umysłu i niezdolność a raczej niechęć do najmniejszego wysiłku myśli; nauki nie lubił, niecierpiał, a po skończeniu edukacyi z dziwną konsekwencyą do książki nie zajrzał. Pod tym względem więc praca wychowawcy była trudna. »Delfin w rzeczy samej nie jest nieukiem, — zapewnia nas ks. Orleańska — on się wiele nauczył, ale nigdy o niczem nie chce mówić: wkłada cały swój wysiłek w to, by zapomnieć wszystko, czego go nauczono, bo tak mu się podoba, innej racyi nie możnaby znaleźć«. Lanson[1] to tłumaczy psychologicznie: »Zapomnieć, to

[1] Bossuet, str. 161.

był odwet złego ucznia względem nauczyciela, który mu gwałtem wpoił jakąś wiedzę; nauczyć się było jego męczarnią, oduczyć się było jego zemstą«.

Wielbiciele Fenelona[1] lubią Bossuetowi czynić zarzut, że nie zmienił tak swego ucznia, jak tego dokonał Fenelon. Zarzut to nie całkiem usprawiedliwiony, bo wiadomo, że z charakterem łatwiej sobie dać radę, niż z umysłem. Z moralnie upadłych można zrobić świętych, co innego z leniwym umysłem. Uczeń Fenelona był bystry, żywy i potrzebował tylko kultury moralnej; »wielki Delfin« miał wstręt do nauki: czyż było łatwą rzeczą taką przeszkodę pokonać? Czyby więc kto inny na tem stanowisku więcej dokonał, należy wątpić; choć z drugiej strony, wbrew zdaniu wielbicieli Bossueta, należy podnieść zarzut poważny w tej pedagogii. Używano zbyt często środków gwałtownych[2], które tem bardziej zbrzydziły uczniowi naukę. Czynił to książę de Montausier, dodany Bossuetowi do pomocy, który nie miał wyobrażenia o najelementarniejszych zasadach pedagogii, ale biskup-kaznodzieja mógł był wpłynąć na zmianę systemu; że tego nie uczynił, pozostanie jeśli nie winą Bossueta, to w każdym razie dowodem, że jego zdolności w prowadzeniu dzieci były mniejsze, niż u Fenelona.

Tak samo, wierząc chętnie Floquetowi[3], że Bossuet robił, co umiał i mógł, by się do dziecka zbliżyć, niemniej ma się wrażenie, że biskup-kaznodzieja nie potrafił tego dokonać. Zdaje się, że to trzeba przypisać temu rysowi charakterystycznemu Bossueta, który stanowi tak zasadniczą różnicę między nim a Fenelonem, jest to rozmyślne usuwanie swego »ja«. Bossuet jak w kazaniach lub listach do króla nie mówi od siebie, ale każe ewangelii czy Ojcom Kościoła głosić dane prawdy, tak i względem ucznia postępuje. Jeżeli, jak zobaczymy, Fenelon przesadził, wkładając za wiele swego »ja« w pedagogię, to w przeciwnym kierunku po-

---

[1] Np. Chassang we wstępie do wydania »Telemacha«. Paris. Hachette 1904.

[2] Szczegóły bardzo drastyczne podaje w swym pamiętniku kamerdyner Delfina, Ludwik Dubois, cytowane w biografiach Bossueta (np. Lansona).

[3] *Bossuet, précepteur du Dauphin.*

szedł może zbyt daleko Bossuet. Prawda, że za to uczeń, dorósłszy, obywa się znakomicie bez nauczyciela: jest samodzielny i ma energię do czynu. Bossuet zaś, te dwa przymioty sam posiadając w wysokim stopniu, chciał je wpoić uczniowi. I to jest zasadniczą cechą pedagogii Bossueta, którą to cechę widzimy także w kierownictwie duchownem. Nie pozwala on duszom przez siebie kierowanym opierać się zbytnio na sobie, ale dba bardzo o ich samodzielność. Kierownictwo duchowne (listowne) — jego zdaniem — nie ma być chlebem codziennym, ale niejako lekarstwem, od czasu do czasu, w ważnych chwilach potrzebnem; chlebem powszednim ma być własna praca nad sobą. Obawia on się dla dusz sobie powierzonych braku samodzielności, energii. To znaczy, że Bossuet wbrew temu, co się często czyta — nie był charakterem despotycznym. Dowodem między innemi stosunek do Delfina; od ukończenia edukacyi wielki biskup nie utrzymuje żadnego bliższego stosunku ze swym byłym uczniem, co może i służyć za wskazówkę, jeśli nie dowód, że »ambicye« Bossueta nie były tak wielkie, jak to przypuszczają niektórzy krytycy (np. Faguet).

Z pośród przedmiotów, jakich miał się uczyć Delfin, największą rolę grała historya. Wskazuje mu więc biskup »błędy królów i nieszczęścia, które były ich skutkami«, »ażeby zaś książę nauczył się z historyi sposobu kierowania sprawami, tłumaczy mu stan ich, pyta ucznia o zdanie« i następnie wskazuje na podstawie doświadczenia drogę postępowania [1]. Nigdy jednak —i tu znowu różnica między oboma biskupami — Bossuet nie krytykuje wobec ucznia Ludwika XIV, woli na innych królach wykazywać zgubne skutki złego panowania czy życia króla. I tak w »krótkim rysie historyi Francyi«, skreślonym dla Delfina, znajdujemy śmiały i surowy sąd o królach i papieżach. Z oburzeniem mówi autor o Nocy św. Bartłomieja, nie mając słowa na jej usprawiedliwienie; piętnuje rozluźnienie obyczajów za czasów humanizmu w Rzymie, jak i na dworze królewskim we Francyi. Potępia królów, którzy zbytnimi podatkami uciskali lud. Wogóle znać zamiar wszczepienia młodemu królewiczowi prawdy, że wielcy tego świata —

[1] List Bossueta do Ojca św. w sprawie wychowania Delfina.

papieże i króle — mają przed Bogiem największą odpowiedzialność, że ich Bóg i potomność najsurowiej sądzić będą i mają prawo.

Za przykład natomiast stawia św. Ludwika; wielbi w nim świętość, ale tę prawdziwą, jak ją Bossuet pojmował dla króla [1], nie polegającą na nadzwyczajnej pobożności, ale na sprawiedliwości, dobroczynności, odwadze w bitwie, pracowitości i tylu innych przymiotach dobrego króla, opartych na zasadach chrześcijańskich.

Bo i to ważne: Bossuet nie mówi nigdy o cnocie naturalnej lub z racyi rozumowych, praktycznych pochodzącej; cnota u niego ma zawsze swe źródło w religii; tak jak władza królewska pochodzi od Boga i jest absolutną, nie odpowiedzialną przed nikim, jedynie przed Bogiem, ale też nikt królom tej ostatniej odpowiedzialności nie przypominał tak często, jak Bossuet. Prócz innych kazań jego mowy pogrzebowe są tego świetnym dowodem.

Całe to dzieło wychowania było jednak daremne, bo Delfin nie doczekał się panowania, umarł w r. 1711. Ale zato Bossuet odniósł tu ogromne korzyści. Dla wykształcenia ucznia nawiązał stosunki z najwybitniejszymi uczonymi Europy, którzy *ad usum Delphini* pisali rozprawy i dzieła; a biskup-wychowawca sam je czyta, studyuje, zastosowuje do potrzeb ucznia. Powraca do dawno zarzuconych autorów starożytnych, czyta i bada już nie tylko łacińskich tym razem ale i greckich pisarzy i odkrywa w nich nowe piękności, zwłaszcza Arystoteles i Cycero jako filozof uderzają jego umysł. Sam należy do wydawnictwa *Classiques du Dauphin* i styka się tam osobiście z najznakomitszymi uczonymi Francyi: byli tam historycy, prawnicy, filologowie; nie brakło

[1] Bossuet bał się przesady w pobożności; ciekawy jest jego list do Ludwika XIV, który w pewnej epoce życia oddawał się długim modlitwom: »Kochać Boga, dla króla, to znaczy nie robić nic nadzwyczajnego, ale to znaczy robić wszystko, czego obowiązek od niego wymaga dla miłości Tego, który mu każe panować... Cóż więc uczyni król oddający się Bogu, i cóż zmieni w swem życiu? Zmieni on w niem tylko grzech... Niech król włoży swe serce w dobre odmawianie zwykłych modlitw — to wystarczy. Zresztą wszystko pójdzie dobrze na zewnątrz... wielka odmiana ma mieć miejsce wewnątrz«.

i fizyków i naturalistów. Zbliża się do uczonych Benedyktynów w Saint-Germain-des-Rés; słowem, gdzie może, czerpie sam wiedzę, by jej mógł jak najwięcej udzielić królewiczowi. Takie ziarno, na taki umysł padłszy, jakież musiało wydać owoce! Horyzonty gwałtownie się rozszerzają i odtąd już nie tylko teologa-kaznodzieję podziwia Francya, ale jednego z największych uczonych swego czasu.

Rozrywką wśród tych zajęć pedagogicznych były konferencye tygodniowe (zwane *le petit concile*), które Bossuet zorganizował, a mające na celu dyskusye nad księgami świętemi; w ciągu ośmiu lat przeczytano Proroctwa Izajasza i Jeremiasza; Księgi Królów i Paralipomenon. Dochował się egzemplarz Pisma św. *(Bible du concile)* z uwagami ks. Fleury i Bossueta.

Na ten też czas przypada dzieło przeciw protestantom *Exposition de la doctrine catholique* i sławna korespondencya z Leibnitzem w celu połączenia protestantyzmu z Kościołem katolickim; a przedewszystkiem dzieła napisane dla Delfina[1], z których najważniejsza »Rozprawa o historyi powszechnej« i »Polityka«.

V.

W r. 1681 Bossuet kończy wychowanie Delfina, otrzymuje biskupstwo w Meaux[2] i tu pozostaje do śmierci, oddając się w pierwszym rzędzie swej dyecezyi, gdzie jest prawdziwym ojcem dusz sobie powierzonych, dbając nie tylko o ich potrzeby duchowne ale i doczesne. Na pięć tomów korespondencyi Bossueta najmniej zajmują miejsca listy do wielkich osobistości, choć na dworze miał tyle sposobności z niemi nawiązać stosunki; natomiast przeważają listy do zakonnic nieznanych i zwykłych pobożnych, którym, jak św. Franciszek Salezy, służy swą radą, a czyni to z wielką prostotą i dobrocią. Ten ostatni przymiot zbyt jest zapoznany u Bossueta, a przecież piękne o nim świa-

[1] Dzieła te są: 1. »Gramatyka łacińska« (po francusku). 2. »Logika«. 3. *Traité des causes.* 4. *Traité de la connaissance de Dieu et de soi-même.* 5. *Discours sur l'histoire universelle.* 6. *Politique tirée de l'Ecriture sainte.*

[2] Biskupstwa w Condom zrzekł się w chwili objęcia preceptoratu wiedząc, żeby tym obowiązkom nie mógł uczynić zadość.

dectwo zachowało się w »Pamiętnikach Wizytek w Meaux«; wielki kaznodzieja miewał w tym klasztorze często nauki, a mówił »z takiem namaszczeniem i jasnością — przyznają siostry — żeśmy mniemały być w niebie«; a gdy raz pewną niemocą złożona zakonnica żałowała, że nie może go już słyszeć, on nie wahał się dać jej osobnej nauki w celi. »Protokóły wizyt pasterskich« Bossueta opowiadają, jak nieraz miewał homilie niedzielne w zastępstwie swych proboszczów wiejskich i to stosownie do ich życzeń. Także wobec ludu prostego był przystępny, wolno było go odwiedzać w pokoju, nawet gdy był chory.

Ten rys charakteru należy podnieść, bo czyta się aż nadto często zdania wręcz przeciwne, szerzone bezkrytycznie przez przeciwników wielkiego biskupa. Nieprawda też jest, jakoby to był charakter despotyczny. W kierownictwie duchownem jest stanowczy, ale bynajmniej nie despotyczny; uważa bardzo na to, by się nie uczynić niezbędnym duszom kierowanym, zostawia im jak najdalej idącą samodzielność; unika zato czułości, ton jest męski, przyjazny, ale nigdy nie znać chęci narzucania swej woli, tak jak unika wszelkich zwierzeń; listy jego są niemal całkiem pozbawione tego »ja«, którem tak przepełniona jest korespondencya Fenelona.

Z tem się łączy i pewna wada charakteru wręcz przeciwna despotyzmowi; jest nią słabość względem rodziny, która niestety nie dorosła do wielkości kaznodziei i nieraz robiła interes na zaszczytnem pokrewieństwie. Bossuet, tak surowy dla siebie, w nocy wstający na modlitwę, często uciekający przed światem do Trapistów, nie umiał być surowym dla rodziny, nie miał na nią wpływu, i był dla niej tak słabym, że narażał się na upokorzenia ze strony dworu, byle dla krewniaka uprosić godności kościelne, które na nim samym zdawały się nie robić żadnego wrażenia[1]. Jeśli to należy podnieść jako cień na charakterze, to dowodzi on jednak, jak Bossuet był człowiekiem dostępnym wszystkiemu, co ludzkie, tak jak ludzkiem było to przywiązanie do życia w osta-

[1] Szczegóły ciekawe podaje Le Dieu (Por. Sainte-Beuve: *Causeries du Lundi*, tom XII, str. 248 sqq.), kuzyn Bossueta, bardzo niesympatyczna postać; sam się takim przedstawia w swym *Dzienniku*.

tnich latach [1], które mogłoby się dziwnem wydać u tego, co u progu życia tak pogłębiał myśli o śmierci i marnościach świata. Ale Bossuet nigdy nie bronił się przed uczuciami ludzkiemi, zdolny był kochać, cierpieć, płakać [2] i nigdy się z tem nie taił, bo, zdaniem jego, religia nie ma za zadanie przeistoczyć naturę ludzką, ale tylko normować jej skłonności w myśl zasad ewangelii. Przeciwnem mu zaś było wyzuwanie się z tego, co w naturze ludzkiej nie jest złem, lecz co owszem może ułatwić postęp w dobrem.

Trudno się też dopatrzeć tej strasznej ambicyi, o którą Bossueta posądzają Diderot, Voltaire i niektórzy dzisiejsi krytycy. W listach na to dowodów niema, a mamy ich pięć tomów; współcześni pomawiali go o ambicyę, ale to mógł być głos zazdrości; wiemy, że niejeden z wyższego duchowieństwa, pochodzący z arystokracyi, krzywo się patrzył na tego potomka handlarzy sukna, który samą genialnością i zasługą postępował coraz dalej w hierarchii kościelnej, aż koniecznością faktów stał się moralnym przywódcą Kościoła katolickiego we Francyi.

Jeżeli jednak Bossuet był ambitny, to czemu tak późno i tak mało ogłasza drukiem? Wiedział, że jest uznanym za wielkiegó kaznodzieję, król mu to mówił i najznakomitsi duchowni; tymczasem prócz kazania »O jedności Kościoła«, będącego ważną enuncyacyą wiary, Bossuet kazań swych ani nie wygłaszał ani też

---

[1] »Dziś, w niedzielę — pisze Le Dieu d. 7 paźdz. 1703 — biskup wydawał się bardzo wesołym przy obudzeniu, z tego, że dobrze spał i z radości wypadły mu te słowa: Widzę ja dobrze, że Bóg chce mię zachować...«

[2] Kiedy umarła księżna orleańska, o mało nie zemdlał z bólu; na wiadomość o śmierci Turenne'a, z którym był w szczerej przyjaźni, zatoczył się, zbladł i oniemiał; kiedy Fenelon zostaje (za sprawą Bossueta i P. de Maintenon) biskupem, pisze do jego pasierbicy (d. 19 paźdz. 1689): Wczoraj byłem zajęty tylko szczęściem Kościoła i państwa; dziś, gdy miałem czas zastanowić się z większą uwagą nad radością Pani i ja ją odczułem serdecznie. Ojciec Pani przyjaciel tak zasłużony i tak zacny, stanął w mojej pamięci. Wyobraziłem sobie, jakby się cieszył w tej chwili i wobec tak wielkiego blasku zasługi, ukrywanego z taką starannością. Ostatecznie nie tracimy ks. Fenelona i możesz się Pani nim cieszyć; i ja choć z prowincyi, wydobędę się raz po raz, by pospieszyć go uściskać«. A pisząc ten list, tak pełen szczerej przyjaźni dla Fenelona i jego rodziny, Bossuet wiedział już o stosunku jego do pani de Guyon.

ich do druku nie przygotował; pozostały same bruliony, szkice, które z powodu oburzającego niedbalstwa rodziny[1] w wielkiej części zaginęły; dopiero w 68 lat po śmierci wielkiego kaznodziei odkryto jego arcydzieła i ogłoszono, a około stu kazań zaginęło bezpowrotnie.

Podobny los spotkał wiele innych pism, o których istnieniu znajdujemy wiadomości u Le Dieu'go lub gdzieindziej. Mowy pogrzebowe doczekały się wydania jedynie na życzenie dworu, a jedna z nich (na pogrzebie Anny Austryackiej), ponieważ tego nie zażądano, nie ukazała się w druku i zaginęła, choć ogłoszono kilkanaście innych mów na pochwałę tejże zmarłej.

Oprócz zarządu dyecezyi wziął sobie Bossuet za zadanie obronę wiary tam, gdzie, zdaniem jego, była zagrożona, i tu rozwija olbrzymi zapas energii duchowej, która go nie opuszcza do samej śmierci. Pomijam tu kwietyzm i gallikanizm, o których później; w r. 1694 pisze *Maximes et reflexions sur la Comédie*, gdzie z całą stanowczością występuje przeciw teatrowi, nie chcąc żadnych czynić ustępstw duchowi czasu[2]. Następnie podejmuje ponownie korespondencyę z Leibnitzem (1699—1701) w sprawie unii protestantów z Kościołem, walczy przeciw za daleko idącej kazuistyce, przeciw *Traité des préjugés* pastora Basnage'a, przeciw jansenistom[3], a najsilniejsze może ataki wymierza przeciw Ry-

[1] Spadkobierca Bossueta, »mały bratanek wielkiego człowieka«, jak go słusznie nazywa de Maistre, nie dbał o ten cenny spadek; pożyczał nawet innym księżom manuskryptów najpiękniejszych kazań w literaturze francuskiej; co pozostało, odesłano po śmierci tegoż bratanka, wraz z wielu innymi papierami innemu krewnemu, który, zdaje się, równie mało ocenił wartość spuścizny; dopiero Benedyktyn Dom Déforis, mając polecenie przygotowania nowego wydania dzieł Bossueta, jął się poszukiwać zaginionych manuskryptów i znalazł je w pożałowania godnym stanie u pani de Chasot, wdowy po owym krewniaku Bossueta. (Gandar: *Bossuet orateur. Introduction*).

[2] Ustępstwa te chciał zrobić O. Caffaro, Teatyn i przeciw niemu to wymierzył Bossuet swe dziełko.

[3] W Janseniźmie należy rozróżnić dwie strony, jedną jest doktryna o Łasce i tę Bossuet zawsze stanowczo potępiał jako zupełnie przeciwną samym podstawom jego filozofii, zresztą całe życie walczył przeciw Kalwinom, a ich nauka o Łasce była niemal identyczna z jansenistyczną, co przyznał Saint-Cyran, mówiąc o Kalwinie: *bene sensit, male locutus est;* drugą stroną Jansenizmu jest surowa doktryna moralna i ta w Bossuecie znalazła

szardowi Simonowi, w którego metodzie krytycznej do badania Pisma św. widzi największe niebezpieczeństwo dla Kościoła. Jak w polityce jest konserwatystą w całem tego słowa znaczeniu (Lanson zwie go legitymistą), tak i w teologii obawia się wszelkich nowości. Jedynymi interpretatorami Pisma św. są dla niego Ojcowie Kościoła; znajomość języków tu zbyteczna. Na Bossuecie mści się tutaj zbytek jego konserwatyzmu; krańcowość iście francuska nie pozwoliła mu przeczuć idei Leona XIII i stworzonej przez niego komisyi biblijnej... Ale bo Bossuet przeczuwał może Renana... To pewne, że o niebezpieczeństwie był przekonany i dlatego z taką energią i wytrwałością zwalczał wszystko, co, zdaniem jego, nie było zgodne z tradycyą. Umarł niejako z bronią w ręku dnia 12 kwietnia 1704 r., »zawstydzając — jak powiada Saint-Simon — w swej starości tak sędziwej wiek męski i silny biskupów i doktorów i prześcigając najuczeńszych i najpracowitszych«.

VI.

To, co dotąd powiedzieliśmy o Bossuecie, przedstawia go nam jako charakter dodatni, umysł trzeźwy i bystry[1], nieraz prawdziwie głęboki. Na jeden i drugi rzuca cień przykry — gallikanizm.

W wieku XVII stosunki między Francyą a Watykanem były niedobre. Polityka francuska bowiem była wybitnie antycesarska, a papież, mający na oku nie jedno państwo, ale całe chrześcijaństwo i jego kulturę, musiał wszelkiemi siłami wspierać

do pewnego stopnia zwolennika, widział on w niej środek zaradczy na rozluźnienie obyczajów, pokryte zewnętrzną pobożnością, a czerpiące swe usprawiedliwienie w za daleko idącej kazuistyce. Ale i tu Bossuet zachował miarę, daleki od ostateczności Arnauld'ów, a w szczególności był przeciwny odstraszaniu od Komunii św., do której często i bardzo nawołuje tak w kazaniach, jak w listach duchownych. Powiedzenie Jansenisty ks. Racine'a *(Abrégé de l'histoire écclesiastique.* Cologne 1754), »że nikt nie był bardziej jansenistą od wielkiego Bossueta« jest umyślną kalumnią dogodną dla autora i jego współwyznawców wieku XVIII, ale sprzeczną z faktami. Bossuet pozostawił dzieło przeciw jansenistom, ale jego bratanek — sam winien tego zboczenia — je spalił.

[1] W 120 lat przed Napoleonem Bossuet radzi Delfinowi wysłać ekspedycyę naukową do Egiptu.

cesarstwo niemieckie przeciw najazdowi tureckiemu. Ludwik XIV zaś, tak jak mógł podmawiać protestantów przeciw cesarzowi, tak samo radby był i Turków sprowadzić na Wiedeń i dalej nawet. I ta zasadnicza różnica między polityką francuską ściśle państwową a wielką cywilizacyjną polityką Rzymu była główną przyczyną trwałego antagonizmu między temi dwiema potęgami. Różne drobne zatargi ciągnęły się od samego początku panowania Ludwika XIV, aż sprawa »regaliów« sprowadziła wielką scysyę. Nie rozchodziło się tu o pieniądze, ale o zasadę, albo lepiej mówiąc, o dokuczenie papiestwu [1]. Król, podburzany przez Colberga, uparł się i rozszerzył rzecz do kwestyi supremacyi papieskiej nad władzą świecką, która to supremacya, jeśli komu, to Ludwikowi XIV i tak nie dała się uczuć. Król i Colberg wywołali wielki protest parlamentu; a kiedy papież Innocenty XI ekskomunikę rzucił na wikaryuszy generalnych, mianowanych przez króla, wtedy zebranie prałatów zganiło ten krok Watykanu i zażądało od króla zwołania synodu narodowego całego duchowieństwa. Synod ten zapowiadał się fatalnie dla Kościoła; zasiadały tam prawie wyłącznie kreatury Ludwika XIV, a prezydować miał arcybiskup Paryża Harlay de Champvallon; mówiono głośno, że ten prałat raczej utrudni zgodę i będzie się starał coraz bardziej Francyę oddalić od Stolicy świętej; chodziły pogłoski o zupełnem zerwaniu z Rzymem, o kościele niezależnym [2].

W takiejto chwili zostaje powołany Bossuet do wygłoszenia kazania inauguracyjnego; nosi ono tytuł »O jedności Kościoła«. Z całej przemowy tchnie przedewszystkiem obawa schizmy: »Drżyjcie przed samym cieniem rozdziału. Pomnijcie na nieszczęście ludów, które, zerwawszy jedność, rozpadają się... Pomyślmy, że

[1] Salvady w swej »Historyi Sobieskiego« przypuszcza, że »Artykuły gallikańskie« r. 1682, były odpowiedzią Ludwika XIV na starania Papieża około osłabienia potęgi tureckiej (t. II, str. 123).

[2] Charles Gérin: *Recherches historiques sur l'Assemblée du Clergé de France* de 1682, 2 wyd. poprawione (i to w ważnych punktach). Paryż 1870. Dzieło to, jedno z najgruntowniejszych o tym przedmiocie, uzyskało pochwałę Piusa IX; natomiast zostało ostro zaatakowane przez prof. Sorbony Loysona, który w swej tezie p. t. *L'Assemblée du Clergé de France* en 1682, oskarża Gérina o niedokładności a nawet fałszywość cytatów i t. p., Gérin

mamy postępować w duchu całego Kościoła; nie bądźmy ludźmi pospolitymi, których widoki poszczególne odwracają od prawdziwego ducha jedności katolickiej; ale działajmy w jednem ciele, w ciele episkopatu i Kościoła katolickiego«. I to jest główna treść kazania, w którem prawa gallikańskiego Kościoła są ledwie wspomniane i to w myśl nieodłącznej idei jedności z Rzymem. To też jeśli w Paryżu głos Bossueta nie przez wszystkich został pochwalony, w Rzymie natomiast sprawił jak najlepsze wrażenie. De Maistre powiada, że Bossuet powinien był po tem kazaniu umrzeć, bo odtąd zaczyna się jego upadek. Ale i tu zauważyć należy, że w zredagowaniu sławnych deklaracyi duchowieństwa gallikańskiego udział Bossueta był mniejszy, niż się to niektórym historykom Kościoła wydaje[1]. Gérin, który jest bardzo nieprzychylnie usposobiony dla biskupa z Meaux, sam to podnosi (op. cit. str. 342). Biskup z Tournai, opowiada sam Fenelon w swym traktacie o Nieomylności, ułożył pierwszy propozycye, według których Stolica św. tak samo jak papież może popaść w herezyę. Otóż Bossuet temu przeczył i bronił zasady nieomylności Stolicy św. (misterną dystynkcyę czyniąc między nieomylnością Stolicy św. a nieomyślnością papieża, której to ostatniej nie przyznawał). Gdy Bossuet od tej zasady odstąpić nie chciał, biskup z Tournai z redakcyi artykułów zrezygnował i wtedyto polecono ją Bossuetowi. Sam Gérin przyznaje, że tym krokiem Bossuet »oddał religii i duchowieństwu francuskiemu przysługę nieocenioną«. Może

już na to odpowiedział. Ale zestawienie dzieł obu uczonych sprawia wrażenie, że sprawa jeszcze daleka od ostatecznego wyjaśnienia. U Gérina wielkie przywiązanie do Stolicy św., u Loysona zaś jaskrawy gallikanizm utrudniają objektywność sądu. Jeżeli Loyson przesadnie apoteozuje Bossueta, to Gérin nie przebiera w źródłach, by rzucić jak najgorsze światło na wielkiego kaznodzieję i cytuje np. wyciąg z aktów policyi; relacyę policyjną o młodym Bossuecie posłano Colbergowi. W przedstawieniu faktów opieram się tu na dziele Gérina.

[1] Między innymi zupełnie fałszywie przedstawia sprawę ks. Rohrbacher w swej *Histoire universelle de l'Eglise catholique*, gdzie co do Bossueta jest mnóstwo niedokładności dat, nazwisk, faktów, nie mówiąc już o zupełnem niedocenieniu pisarza w przeciwstawieniu do Fenelona, którego »bajki« omawia ten historyk Kościoła z pietyzmem, należnym co najmniej św. Augustynowi (tom XI). Por. ks. Delmont: *Fénelon et Bossuet*. Str. 142 i następne.

nawet — mówi tenże historyk (op. cit. str. 342) — wysiłki czynione przez Bossueta, by zachować jedność Kościoła były większe, niż to dotąd myślano. Odkryłem świeżo dokument, który zdaje mi się wskazywać na to, że projekt Czterech Artykułów, ułożony przez Bossueta, był początkowo bardziej sprzyjający zwierzchności papieża od redakcyi przyjętej ostatecznie przez zebranie... znalazłem w najtajniejszych papierach Le Tellier'a, arcybiskupa z Reims, kopię Deklaracyi zupełnie zgodną z tekstem, który czytamy dzisiaj, z wyjątkiem czwartego artykułu, który tak jest zredagowany: »In fidei quoque quaestionibus praecipuas Summi Pontificis esse partes, eiusque decreta ad omnes et singulas ecclesias pertinere; quibus quidem decretis si Ecclesiae consensus accesserit, tum fixa rataque omnia, nec nisi in ea capitis membrorumque consensione certum ac tutum, sub quo omnem intellectum captivari necesse sit, Spiritus Sancti iudicium agnoscendum«. Otóż na kopii, o której mówię, słowa: *quibus quidem* aż do *agnoscendum* zostały przekreślone i Le Tellier je zastąpił własnoręcznie między liniami tekstem obecnym *nec tamen irreformabile* i t. d. Ten dokument, pisany przez kopistę-kaligrafa, wydaje mi się być jednym z egzemplarzy projektu, rozdawanych komisarzom lub członkom zebrania, i to tym samym, który został wręczony arcybiskupowi z Reims. Komisya sześciu Artykułów Sorbony albo Zebranie, uważając tę redakcyę za zbyt korzystną dla Stolicy św., zażądała zapewne zmiany w ciągu dyskusyi, a Le Tellier, może autor poprawki, pospieszył poprawić egzemplarz, który miał w ręku.

Tak jak pewnem jest, że inicyatywa wyszła nie od Bossueta, tak pewnem jest także, że on bronił jedności i powagi Kościoła. Wina jego to nie pozytywny atak na Kościół, ale słabość, jaką okazał w ciągu zebrania, kiedy wprawdzie sam nie atakował Stolicy św., ale słuchał bez opozycyi mów innych dostojników Kościoła, ubliżających w sposób niegodny powadze Ojca św. A przecież, jeśli kto to on — Bossuet — uznana powszechnie powaga Kościoła francuskiego, miał prawo i obowiązek ująć się za prawdą. Milczenie Bossueta było w tym wypadku wyraźnem dla całej Francyi przyzwoleniem — i to było złem.

Bossuet to zdawał się czuć i uznawać, bronił się długim traktatem, ale ostatecznie go nie ogłosił (choć ma czasu 22 lata do śmierci), i rzecz wydana została, w dodatku sfałszowana, przez najmniej powołanych, bo wrogów Kościoła w 26 lat po śmierci wielkiego biskupa [1].

Pozostaje pytanie: czem — nie usprawiedliwić, bo to niepodobne — ale wytłumaczyć to postępowanie Bossueta? Sama słabość nie wystarcza, bo w innych okolicznościach ten sam biskup ma odwagę przemawiać z godnością, ale stanowczo do swego króla. Jest tu prócz wymienionego pietyzmu dla króla, jeszcze jedno mniej sympatyczne uczucie w duszy biskupa, to niechęć do papieża, dobrze tajona, ale faktyczna. Już uczniowi swemu wykładając historyę, nacisk formalny kładzie na to, co zganić się i dziś musi w Aleksandrze VI, Leonie X i i., a o papiestwie wieków średnich nieraz wyraża się surowo. Zdaje się, że to wypłynęło z jego gruntownych studyów nad protestantyzmem, z których wyszło arcydzieło Bossueta: *Histoire des variations des Eglises protestantes*. Dzieje protestantyzmu pouczyły go, ile złego wyszło z pewnych, acz czasowych, ale bądź co bądź faktycznych zapomnień się namiestników Chrystusowych — i stąd poszła, sądzę, ta niechęć do papieży wogóle.

Jest to oczywiście próba genezy, nie usprawiedliwienia Bossueta, bo jeśli byli papieże źli, to było bez porównania więcej dobrych; a tuż po wybuchu Reformacyi zasiadają na Stolicy św. papieże świątobliwi, nieraz święci; sam Innocenty XI zaś, od którego Bossuet doznał wielu względów i dobrodziejstw (co sam przyznaje), był jednym z wielkich filarów Kościoła i cywilizacyi [1]. Nie do darowania jest, że katolicka i tak wysoce kulturalna Francya nie rozumiała intencyi Innocentego XI i że przekładała in-

---

[1] *Gallia orthodoxa* i *Defensio Declarationis*, ogłoszone r. 1730—1743.

[2] O Innocentym XI, jako człowieku nie tylko papieżu, wyrażają się jak najpochlebniej współczesne pamiętniki: »skąpy dla siebie — wydatki na życie nie dochodziły nawet 30 soldów dziennie — hojny względem innych, rozrzutny w potrzebach publicznych, on to swymi pieniędzmi podtrzymał oblężenie Wiednia r. 1683...« (Gérin j. w. str. 357).

teres polityki antyhabsburskiej nad wielki ideał ogólno-cywilizacyjny.

A tymczasem »swobody gallikańskie« pomściły się strasznie na Kościele katolickim we Francyi, były one, wedle trafnego określenia Fenelona, »swobodami względem Papieża, niewolą względem króla«, a Bossuet byłby się sam przeraził konsekwencyi roku 1682, gdyby był przewidział Napoleona I i jego słowa wyrzeczone do kleru belgijskiego dn. 6 marca 1810: »Głupcy! gdybym nie był znalazł w doktrynie Bossueta i maksymach kościoła gallikańskiego zasad podobnych do moich, tobym się był zrobił protestantem« [1].

W rzeczywistości Bossueta wina, jak widzieliśmy, nie była tak olbrzymią, on się posunął — jak słusznie mówi Gérin (l. c. Préface str. XX) — »aż do ostatecznych granic ortodoksyi. Jeden krok więcej, a wpadał w schizmę. Niektórzy około niego ten krok uczynili, on ich powstrzymał«.

Sylwetka wielkiego kaznodziei byłaby niezupełna bez dwuletniego epizodu w jego życiu, znanego pod nazwą »sporu o kwietyzm«. W tej smutnej pamięci walce, występuje Bossuet przeciw drugiemu najwybitniejszemu reprezentantowi katolicyzmu we Francyi Fenelonowi. Przyjrzyjmy się teraz tej ciekawej postaci prałata, którego do dziś apoteozują historycy Kościoła, którego wielbił Voltaire, a wróg jego Rousseau zawołał, że gdyby był żył za czasów Fenelona, to chciałby był być jego służącym, by mieć szczęście być jego uczniem.

VII.

Franciszek de Salignac de Lamothe-Fénelon, urodził się na zamku Fenelonów d. 6 sierpnia 1651. Była to rodzina na wskróś arystokratyczna [2] i czująca się taką. I przyszły arcybiskup nigdy

---

[1] d'Haussonville: *l'Eglise et le Premier Empire*, t. III, str. 362. Napoleon opiera się tu na sfałszowanych po śmierci dziełach Bossueta, o których była mowa wyżej.

[2] Wspominają o niej dokumenta z XIII w., a w XIV w. wydaje arcybiskupów, o jednym z nich czytamy: *ex vetusta et nobili baronum de Salignaco in Petrocoriis oriundus*, a w drugim: *de Salignac, quae gens in pago*

nie zapomniał o swem pochodzeniu, a nawet je innym przypominał. Do brata swego, starającego się o dostojeństwa, dostępne tylko najwyższej arystokracyi, tak pisze (6 lipca 1694): »Możesz powiedzieć, co jest prawdą, że mieliśmy w naszej rodzinie kilku namiestników prowincyi, szambelanów królewskich, koligacye z najpierwszymi domami naszych prowincyi, jednego kawalera orderu Ducha świętego, ambasady przy pierwszorzędnych dworach... a co jeszcze bardziej doniosłem to, że Najj. Pan raczył mi przyznać zaszczyt siadania przy stole i jeżdżenia karetą z naszymi książętami« (było to podczas preceptoratu przy ks. Burgundzkim). Fenelon pozostanie całe życie arystokratą z krwi i kości i na tym arystokratyźmie ekskluzywnym, oprze swą »politykę«: »Postaw w pierszym rzędzie mówi Mentor w »Telemachu« — tych, którzy mają szlachectwo dawniejsze i świetniejsze. Ci, co będą mieli zasługę, godność urzędów, będą dość zadowoleni, że będą następowali po tych starożytnych i sławnych rodzinach... Ludzie, nie mający, tego samego szlachectwa, ustąpią im bez trudności... Co do cnoty, to ona będzie dosyć podniecona i będzie się miało dość zapału do służenia państwu, skoro będziesz dawał wieńce i pomniki pięknym czynom i skoro to będzie początkiem szlachectwa dla dzieci tych, którzy tych czynów dokonali«.

Pierwsze nauki pobierał młody Fenelon w domu rodzicielskim, gdzie pozostawał do 12 roku życia; dalsze studya w Cahors a wreszcie w Paryżu. Szczegółów mamy mało, nawet data wstąpienia do seminaryum Saint-Sulpice r. 1665, podana przez Bausseta i powtarzana w literaturach, jest conajmniej wątpliwa, bo odnosi się do jednego z braci Fenelona, także Franciszka. Również legenda o zamiarze udania się na misye do Kanady, rozwiana faktem, że inny Fenelon w tymże czasie istotnie do Kanady pojechał i tam na misyi życia dokonał. Chęć pojechania na misye do Grecyi niepewna, ale list w tym przedmiocie pisany jest niezmiernie ciekawy: »Cała Grecya otwiera się przedemną, sułtan przerażony cofa się, już Peloponez oddycha wolnością i Ko-

---

Petrocoriensi est antiquissima et nobilissima. (Por. le Cardinal de Bausset: *Histoire de Fénelon*, t. I, Pièces justificatives, str. 381).

ściół koryncki znowu zakwitnie, głos apostoła jeszcze tam zabrzmi. Czuję się przeniesionym do tych pięknych miejsc, wśród tych drogocennych ruin, aby tam, wraz z najciekawszemi pamiątkami, czerpać samego ducha starożytności. Szukam tego Areopagu, gdzie św. Paweł zwiastował mędrcom świata Boga nieznanego... Niezapomnę Cię, wyspo uświęcona niebiańskiemi widzeniami ukochanego ucznia; o szczęśliwa Patmos, pójdę ucałować na ziemi stopy Apostoła i wyda mi się, że widzę nieba otwarte... Widzę już schizmę upadającą« i t. d. Brunetière[1] uważa ten list za zabawkę retoryczną. Inni biorą go na seryo (np. Bausset). Cobądź, to pewne, że przejawia się już tutaj ta wyobraźnia bujna, umysł lekki, raczej poety niż teologa, a wreszcie to »ja«, którego pełne będą dzieła arcybiskupa z Cambrai. Podobnie ciekawy jest list do stryja, w którym rozpływa się nad swym kierownikiem w seminaryum ks. Tronson'em i wyznaje, że ma do niego większe zaufanie niż do stryja, »chociaż moja szczerość i otwartość do stryja wydają mi się bardzo doskonałemi«. Znać od początku samego indywidualność, niezależność w sądzie, a przynajmniej dążenie do niej, do których to przymiotów przybywa niebawem nowy, tryskający z dwóch listów do markizy de Laval (r. 1681); w pierwszym opisuje swój wjazd do Carenac, gdzie otrzymał prebendę od biskupa Sarlat'u: »Tak jest, niech pani nie wątpi o tem jestem człowiekiem przeznaczonym do wspaniałych wjazdów... Panowie... przychodzą aż do Sarlat złożyć mi swe hołdy. Kroczę otoczony majestatycznie wszystkiemi temi deputacyami; przybywam do portu Carenac i spostrzegam brzeg obramowany tłumami ludu... Otóż jestem u bramy, a konsulowie rozpoczynają swą przemowę przez usta królewskiego mowcy... porównał mnie do słońca, wkrótce potem byłem księżycem, wszystkie inne gwiazdy najpromienniejsze miały następnie zaszczyt być podobnemi do mnie, stąd przeszliśmy do żywiołów i meteorów i skończyliśmy szczęśliwie na początku świata...« Klasyczny w tym rodzaju jest list następny, gdzie opisuje przebieg sessyi sądowej na prowincyi. Chodziło o to, »by dać chleba dzieciom, które go nie miały«;

[1] Artykuł: Fénelon w *Grande Encyclopédie.*

adwokaci »cyceronowie miasta zaczynali od początku świata i przez potop wprost zmierzali do rzeczy«. Po mowie świetnej, pełnej cytatów z Owidyusza i Pisma św., która się bardzo podobała, wszyscy byli pewni, że dzieci »się pysznie najedzą — ale, o kaprysie fortuny! jakkolwiek adwokat uzyskał tyle pochwał, dzieci nie mogły uzyskać chleba... kazano im procesować się na czczo, a sędziowie poważnie powstali z trybunału, by pójść na obiad, ja poszedłem tam także, a następnie wyruszyłem, by zawieść list Pani biskupowi Sarlatu«; w końcu zaś tegoż listu żałuje, że nie może pani de Laval przesłać »kwiatków retorycznych, które pewien kaznodzieja wiejski rozsypał na nas, swych nieszczęsnych słuchaczy, ale słuszną jest rzeczą, »by szanować kazalnicę więcej od sądu«.

Nam Polakom listy te przypominają Krasickiego, Francuzom Woltera. Istotnie to już nie tylko zmysł obserwacyi i krytyki, ale wprost satyry powleczonej subtelnym ironicznym uśmieszkiem — a natomiast dziwnie mało serca. Wrażenie zabawne onego adwokata tak całkowicie pochłania duszę, że już tam nie ma miejsca na odruch litości dla pokrzywdzonych dzieci. A Fenelon ma lat 30, jest już kapłanem i utrzymuje blizkie stosunki z Bossuetem.

Dziwna to ta przyjaźń dwóch tak biegunowo odmiennych serc i umysłów. O studyach Fenelona nic dokładnego nie wiemy, ale z życia i dzieł widzimy, że świat starożytny (przeciwnie niż u Bossueta) wielki wpływ miał na autora »Telemacha«, nie tylko na język ale i na ducha pism jego. Do końca życia widać w nim humanistę, wyglądającego co chwila z pod szaty biskupiej. A przy tem ta lekkość umysłu, pewna powierzchowność, brak pogłębienia na chwilę podjętej myśli (co tak widocznie w powyższym liście, a co go, do pewnego stopnia przynajmniej, nie opuści do śmierci) a cóż dopiero uśmiech satyryczny: jakże to wszystko niepodobne do Bossueta! ale za to jak przypomina wiek XVIII!

W 27-ym roku życia Fenelon zostaje mianowany superyorem zakładu *Nouvelles Catholiques*, gdzie pozostał przez lat 11. Jak tam swoje tak trudne i przykre zadanie spełniał, niestety, znowu brak wiadomości. Douen *(Intolérance de Fénelon)* opowiada straszne rzeczy; ale potwierdzone dowodami jest tylko to, że działy

się w tych zakładach nadużycia sprzeczne z duchem chrześcijańskim i to ze strony władzy świeckiej; natomiast autor nie podaje dowodów na udział Fenelona w tem dziele. Co pewne, to że umiał on przemawiać do serca tym biednym istotom; miał bowiem zmysł psychologa i umiał — gdy chciał — rozumieć ludzi i ich sobie jednać. Była to natura pełna sprzeczności, w której mieściły się wszelkie przeciwieństwa zgodnie obok siebie. Ironia obok dobroci niemal anielskiej, surowość obok łagodności, wyniosłość aż do zarozumiałości, obok uległości i pokory dziecięcej. Stosownie do okoliczności i potrzeby umiał znaleźć wyraz na wszystko, a wyraz tak łudząco szczery, że najbliżsi go nie znali i dopiero dzisiaj jedenaście tomów korespondencyi w najrozmaitszych tonach i odcieniach pokazują nam tę przedziwną mozaikę duszy [1]. Należy więc przypuścić, że działalność Fenelona w *Nouvelles Catholiques* była dodatnia, a co nie ulega wątpliwości, to, że tu wniknął w psychologię kobiecą, — w czem przewyższa Bossueta — który poza zakonnicą kobiety jakby nie znał i stąd za mało w swych kazaniach uwzględnia potrzeby duchowne żon i matek. Fenelon natomiast napisał (na życzenie księżny de Beauvillers) dziełko o »Wychowaniu dziewcząt«, w którem rozwinął niejedną prawdziwie postępową myśl, którą podejmie i urzeczywistni wiek XIX, w czem znowu Fenelon różni się od Bossueta, który sceptycznie się patrzył na wykształcenie kobiet, widząc w ich pragnieniu wiedzy tylko odmianę »ciekawości« kobiecej. Jest wreszcie już w tem dziełku to opieranie poglądów nie tyle na Ewangelii, jak na rozumie. Bossuet, przez wielbicieli zwany

[1] Świetny jest sławny portret skreślony piórem Saint-Simona w jego Pamiętnikach: »Prałat ten był to człowiek chudy, dobrze zbudowany, blady, z wielkim nosem, oczyma, z których potokiem tryskały ogień i bystrość i fizyognomią taką, że nie widziałem nigdy podobnej i której nie można było zapomnieć, gdy się ją raz jeden widziało. Ona kojarzyła wszystko, a przeciwieństwa w niej nie zwalczały się. Był tam majestat i galanterya, powaga i wesołość; czuć było równocześnie doktora, biskupa i wielkiego pana... Trzeba było wysiłku, by przestać nań patrzeć... człowiek, który nie chciał mieć nigdy więcej bystrości od tych, z którymi rozmawiał... zdawał się czarować tak, że nie można go było opuścić, ani przed nim się obronić... ani nie starać się znowu do niego powrócić... ten to dar trzymał mu wszystkich jego przyjaciół tak całkowicie oddanych...«

»mężem Ewangelii«, od »polityki« począwszy, wszystkie swe idee albo bierze z Pisma św., (lub z Ojców Kościoła), albo też, sam je wynalazłszy, nie przyznaje się do tego, ale wyszukuje odpowiedni ustęp w księgach świętych, którego powagą się zawsze zasłania. Pełen nieufności do Descartes'a i Malebranche'a, jak gdyby się obawiał własnego rozumu i rozumu ludzkiego wogóle, buduje całą swą doktrynę moralną, filozoficzną a nawet polityczną na Piśmie św. Fenelon przeciwnie (i tem był tak sympatyczny wiekowi XVIII) lubi mówić od siebie i w imieniu rozumu. Zdanie zaś takie, jak: »Trzeba się zadawalać, iść za naturą i pomagać jej [1]« mogło naprawdę wywołać entuzyazm Russa.

Tymczasem stosunek do Bossueta stawał się coraz serdeczniejszy. Fenelon oddał się dobrowolnie pod kierownictwo duchowne wielkiego biskupa, który poznawszy się na zdolnościach (mniej na charakterze) młodego kapłana, stara się je wyzyskać dla sprawy Kościoła i poddaje mu myśl napisania dzieła przeciw »Traktatowi o Naturze i Łasce« Malebranche'a. Kard. Bausset opowiada, że widział manuskrypt tego dzieła z uwagami Bossueta na marginesie. W letniej rezydencyi biskupa (Germigny) młody Fenelon często i długo przebywa, zaprawiając się w studyum Pisma św., w wymowie, w kontrowersyi, pisze nawet traktat przeciw protestantom *(Traité sur le ministère des pasteurs)*, w którym zwraca się nie do uczonych protestantów (jak Bossuet), ale do ludu, podobnie, jak św. Franciszek Salezy w swych *Controverses* i znowu opiera swe rozumowanie przedewszystkiem na logice, mniej na Piśmie św. W tem wszystkiem znać wielką niezależność umysłu; istotnie niema w jego dziełach prawie śladu wpływu Bossueta, a jeszcze mniej w charakterze czy uspobiebieniu, tak, że mimowoli nasuwa się pytanie, jaki był cel tego tak blizkiego, częstego, serdecznego stosunku do wielkiego biskupa, kiedy młody na pozór tak uległy uczeń, w rzeczywistości nie przejmował nic od mistrza? Dalsze dzieje rzucą nieco światła na tę kwestyę, a tymczasem Fenelon na polecenie Bossueta zostaje

[1] *Traité de l'Education des Filles.* Cap. III

wysłany do prowincyi Poitou i Saintonge jako misyonarz w celu nawracania tamtejszych protestantów.

I tu niestety »legendę Fenelonową« o niezwykłej łagodności, słodyczy względem innowierców rozwiały doszczętnie listy misyonarza do markiza de Seignelay. Znajdujemy tu takie propozycye czynione królowi za pośrednictwem Seignelay'a: »Podczas gdy my używamy miłości i łagodności w nauczaniu — pisze Fenelon — jest ważnem, jeśli się nie mylę, by ludzie, mający władzę, ją podtrzymywali, by ludom dać lepiej uczuć szczęście, iż są pouczani łagodnie. Sądzę, iż pan intendant (wojskowy) będzie tu za kilka dni, to będzie bardzo użyteczne, bo on wzbudza trwogę i miłość zarazem. Mała wizyta, którą nam złożył w Marennes, dokonała cudów, on zdołał sprowadzić umysły najtrudniejsze. Odtąd zauważyliśmy, że ludzie są uważniejsi i posłuszniejsi«. Równocześnie jednak zauważa: »Nie trzeba, aby rozkazy surowe zdawały się wychodzić od nas, bo toby znaczyło burzyć dzieło nam polecone«. Innym razem proponuje, by najupartszych protestantów wysłać w głąb kraju, a nawet do Kanady; na ten ostatni projekt — rzecz charakterystyczna — nie zgodził się nawet Ludwik XIV. Jest i propozycya, by uwięzionym innowiercom nie pozwolono widywać się z rodziną; a nawet, co już i Janetowi, wielbicielowi Fenelona, się nie podoba, proponuje młody misyonarz wydrukowanie w Hollandyi apokryficznych listów niby-socyniana Aubert'a de Versé, wroga moralnego przywódcy protestantyzmu Jurieu'go, i radzi, by ambasador francuski w Hollandyi »za pomocą pieniędzy« spróbował użyć tego człowieka i jemu podobnych i by rozsiewać książeczki, któreby osławiały stronnictwo ministrów zbiegłych do tego kraju«. Crouslé może nie przesadza nazywając to machiawelizmem [1].

Jest też w tych listach pewien ton pogardy dla innowierców, którego u Bossueta nigdzie nie znajdujemy. »Te umysły zatwardziałe, uparte i zacietrzewione przeciw naszej religii są jednak tchórzliwe i interesowane. Zeby ich trochę przycisnąć, to doprowadzi się ich do niezliczonych świętokradztw... Gdyby

[1] *Fénelon et Bossuet* t. I, str. 108.

chcieć im kazać odprzysiądz chrześcijaństwa i przyjąć Alkoran, potrzebaby im tylko pokazać dragonów«. List ten pisany do Bossueta, o którym tak pisze historyk Gaillardin[1]: »Bossuet zachowywał się z łagodnością, która ściągnęła nań wyrzuty intendanta... nie było żadnych wojsk w dyecezyi Meaux z wyjątkiem jednego zamku, którego właściciel osobiście podrażnił króla, i to jeszcze biskup kazał im stąd się usuwać, przynosząc ściganego do mieszkania biskupiego...«

Ale może najbardziej charakterystyczny jest list, w którym Fenelon proponuje tajemne pensye dla wybitnych protestantów, »którzy zaczynają powracać«, bo »przez nich będzie się wiedziało wiele ważnych rzeczy«. Przez nowonawróconych chce się dostać do rodzin: »albowiem rozchodzi się znacznie mniej o podstawę kontrowersyi, jak o przyzwyczajenie, w jakiem ludy się zestarzały... trzeba przesadzić *(transplanter)* nieznacznie to przyzwyczajenie... przez to umysły się zmienią, prawie nie spostrzegłszy się...« Czyż podstawa tego rozumowania nie jest samem jądrem najskrajniejszych teoryi antyreligijnych dni naszych, a które we Francyi znajdujemy, po raz pierwszy u Montaigne'a?

Widzimy też tu w całej pełni Fenelona jako polityka, którym pozostanie do śmierci. Sainte-Beuve'owi powiedział ktoś o Bossuecie, że był on przedewszystkiem »radcą stanu«; otóż to do Fenelona znacznie więcej możnaby zastosować; bo jeśli Bossuet brał udział w polityce, to nie okazał tu nigdy tej bystrości, inicyatywy — wprost artyzmu, co Fenelon.

W Saintonge daje on pierwsze próbki swego talentu w tym kierunku. I tak przy wypędzaniu protestantów radzi uwzględniać interesy handlu francuskiego (któremu też emigracya protestancka zadała cios dotkliwy), dba o to, by nie szkodzić temi represaliami marynarce, której protestanckie prowincye dostarczały dzielnych majtków; doradza lepszego pilnowania granic, bo oficerowie świeżo nawróceni »podobno spełniają miękko swój obowiązek«; wreszcie.. należy czuwać nad tem, by przeszkadzać sprzedażom dóbr i me-

[1] *Histoire du Règne de Louis* XIV, t. v, str. 116.

bli«. Ubogich radzi wspierać i to hojniej, niż to czynią konsystorze protestanckie [1].

Jak się Ludwik XIV patrzał na młodego misyonarza, którego mógł poznać z tak dokładnych raportów? Z jednej strony musiał się takim nabytkiem w swej służbie cieszyć i niejednokrotnie swe zadowolenie w tym względzie przez Seignelay'a wyraził. Ale równocześnie mógł się zaniepokoić zbytnią pewnością siebie tego misyonarza, który pisze raporty o zachowaniu się oficerów, krytykuje namiestnika prowincyi i wogóle zachowuje się tam, jak komisarz królewski, wglądający w sprawy, stojące daleko poza kościelnemi. I rzeczywiście król, jakby z nieufnością pewną spoglądał na Fenelona, nie powołał go ani razu do kazań dworskich, choć kazania Fenelona, zupełnie odmienne od bossuetowskich, miały swoje wybitne przymioty [2], o czem król wiedzieć musiał; kiedy zaś w r. 1686 zaproponowano go na biskupstwo w Poitiers, król odmówił sankcyi, podobnie w r. 1687 na koadjuturę w La Rochelle. Dopiero w r. 1689, za namową pani de Maintenon, ks. de Beauvilliers i za sprawą Bossueta, król — nie bez wahania — mianuje Fenelona wychowawcą swych wnuków, a więc w pierwszym rzędzie ks. Burgundzkiego, t. zw. »małego Delfina«, a wkrótce potem arcybiskupem w Cambrai.

(Dok. nast.)

M. Paciorkiewicz.

---

[1] Wszystkie powyższe cytaty wyjęte są z 11-to tomowej korespondencyi Fenelona; znajdują się w każdem kompletnem wydaniu dzieł autora od r. 1874 (a więc np. w *Ed. des Grands Ecrivains Français.* Paris, Hachette), przytaczane obficie przez Crouslé'go i innych, a w całości przez Douen'a.

[2] Najpiękniejsze z nich *Pour la fête de l'Epiphanie*, wygłoszone zostało w r. 1685.

STATYSTYKA KATOLICYZMU W PAŃSTWIE ROSYJSKIEM.

(Dokończenie).

Obsługa duchowna.

Katalogi dyecezalne przekonywują nas o bardzo niedostatecznej obsłudze duchownej katolickiej ludności w Rosyi, dla zbyt małej liczby kościołów i kapłanów. Niektóre dyecezye w Królestwie jako to: płocka, sejneńska, lub na Litwie żmudzka, obsadzone są jako tako. Zato biskupstwa, posiadające większe miasta, centra fabryczne, również dyecezye w ziemiach ruskich, usianych niegdyś katolickimi klasztorami i kościołami, obecnie cierpią na wielki brak księży, co zwłaszcza na Litwie i Białorusi tem dotkliwiej czuć się daje wobec obszaru parafii katolickich, rozrzuconych między ludnością innego wyznania.

Następująca tablica (tablica b) uwidoczni panujące pod tym względem stosunki i pozwoli nam uczynić porównanie pomiędzy poszczególnemi dyecezyami. W obliczaniu świątyń, kapłanów, parafii trzymałem się kanonicznego podziału dyecezyi, t. j. przyjąłem ich liczbę 15, gdyż właśnie dyecezye skasowane najbardziej wykazują niedostatek obsługi duchownej. Oddzieliłem nadto Syberyę, w całej olbrzymiej Rosyi najbardziej chorującą na brak świątyń i kapłanów, i kaukaskich Ormian, którzy przeciwnie, przy swej liczebnej małości, zdają się być najlepiej obsłużeni. Uprzedzam przytem, że do liczby parafii zaliczyłem i te

filialne kościoły, które mają swoich kapłanów wykazują w katalogach liczbę wiernych osobno od kościołów macierzystych, od których mniej lub więcej zależą.

Tablica b.

Dyecezye	Liczba wiernych	Ilość dekanatów	Liczb. parafii	Liczba kościołów			Ilość kaplic	Ilość kapłanów	Przeciętna liczba wiern.	
				parafialnych	niepara-fialnych	Ogółem			Na jedną parafię	Na jednego kapłana
W Królestwie:										
Warszawska.	1,742.289	14	284	284	53	337	125	525	6200	3340
Kujawsko-kaliska . . .	1,297.820	13	340	341	42	383	156	528	3800	2460
Płocka	793.298	12	241	241	29	270	73	354	3300	2250
Sejneńska.	691.572	11	138	138	3	141	100	310	5010	2230
Lubelska	842.366	10	144	144	19	163	88	240	5900	3500
Podlaska	703.007	9	104	104	4	108	59	146	6760	4800
Sandomierska	823.991	7	211	211	10	221	50	287	3910	2870
Kielecka	968.569	8	238	236	26	262	140	317	4070	3060
W Cesarstwie:										
Mohilewska bez Syberyi	780.000	18	159	150	22	172	226	230	4900	3390
Syberya.	65.000	—	10	10	—	10	4	18	6500	3610
Mińska	280.000	9	48	48	15	63	119	60	5840	4670
Wileńska	1,442.421	23	261	261	26	287	177	382	5530	3780
Żmudzka	1,258.092	19	218	218	143	361	300	619	5770	2030
Łucko-żytomierska. .	482.640	17	146	146	47	193	225	180	3300	2700
Kamieniecka	298.805	10	96	96	7	103	80	110	3120	2720
Tyraspolska	337.683	10	127	111	9	120	49	151	2660	2240
Ormianie	37.088	4	46	40	—	40	5	44	807	843
Ogółem . .	12,844.641	194	2811	2779	455	3234	1978	4501	4570	2855

Z powyższego zestawienia pokazuje się, że najwięcej wiernych na jednego kapłana wypada na Podlasiu (4800) i w Mińszczy-

źnie (4670), t. j. w tych właśnie miejscach, gdzie katolicyzm uległ najsroższym represyom. Po nich idzie Syberya, dyecezya wileńska, lubelska i warszawska. Dyecezye sejnejska i żmudzka najlepiej się przedstawiają pod względem liczby kapłanów, ale zato są to dyecezye o wielkich i ludnych parafiach i niewystarczającej ilości świątyń.

Do zupełnej oceny jak trudną jest obsługa parafialna katolików przez nieliczny kler, trzeba jeszcze zwrócić uwagę na następujące okoliczności: 1) że, jak już powiedzieliśmy na wstępie, katalogi dyecezalne, jeżeli w czem, to w tem mianowicie szwankują, że wogóle podają za małą liczbę parafian, a zatem w rzeczywistości więcej przypada wiernych na jedną parafię i jednego kapłana, niż wykazuje nasza tablica; 2) że w podanej liczbie księży znajdują się kapłani nie mogący oddawać się bezpośredniej pracy nad ludem, jako to profesorowie, katecheci, urzędnicy w konsystorzach, chorzy i t. p., a zatem znowu przeciętna liczba wiernych, przypadająca na jednego kapłana, nieco podnieść się musi; wreszcie 3) że znajduje się wiele parafii o niższej, niż przeciętna, liczbie ludności, zatem w parafiach większych nad przeciętną liczbę nadwyżka pracy spada tylko na barki obsługujących je księży.

Ten ostatni punkt uwidocznimy znowu, podając tablicę z klasyfikacyą parafii według ich wielkości i z podaniem, jaki % każda kategorya przedstawia wobec ogólnej liczby. Parafie pod tym względem podzielimy na 6 kategoryi. Pierwszą z nich stanowić będą parafie małe, nie przewyższające tysiąca dusz, następną kategoryę parafie średnie do 2 tysięcy, które może jeden kapłan dobrze obsłużyć, trzecią kategoryę od 2—5 tysięcy, dość znaczne na jednego kapłana, lecz wygodne na dwóch księży. Następne trzy kategorye stanowią parafie, w których p r a w i d ł o w a pastoracya jest już utrudnioną lub wprost niemożliwą. Niektóre katalogi nie przy wszystkich parafiach wystawiły liczbę wiernych; stąd pochodzi różnica między ogólną liczbą parafii, a sumą parafii w poszczególnych kategoryach.

Tablica c.

Dyecezye	Ogólna liczba parafii	Do 1000		1000—2000		2000—5000		5000—10000		10000—20000		Wyżej 20000	
		Liczba	%	Liczba	%	Liczba	%	Liczba	%	Liczba	%	Liczba	%
Warszawska	284	3	1	56	19,5	152	53,5	48	17	14	5	11	3,8
Kujawsko-kaliska	340	15	4,5	56	16,5	209	61,5	48	14,1	8	2.4	4	1,2
Płocka	241	13	5,4	61	25,3	132	54,8	27	11,2	8	3,3	—	—
Sejneńska	138	—	—	5	3,6	77	55,8	45	32,6	8	6	—	—
Lubelska	144	—	—	6	4,2	69	48	54	37,5	14	9,7	1	0,7
Podlaska	104	1	1	6	5,8	45	43,3	39	37,5	14	12,5	—	—
Sandomierska	211	9	4,2	40	19	104	49,3	54	25,6	3	1,4	1	0,5
Kielecka	238	16	6,7	50	21	121	50,8	41	17,2	6	2,1	4	1,7
Mohilewska	159	23	14,5	30	18,9	64	40,3	32	20,1	7	0,4	3	0,2
Syberya	10	—	—	—	—	5	50	2	20	3	30	—	—
Mińska	48	—	—	4	8,3	23	48	16	33,3	4	8,3	1	2
Wileńska	261	2	0,8	19	7,3	123	47,1	92	35,2	23	8,8	2	0,8
Żmudzka	218	3	1,4	10	4,6	91	41,7	93	43,1	17	7,8	1	0,5
Łucko-żytomierska	146	24	16	44	30	54	37	18	12,3	3	2,1	3	2,1
Kamieniecka	96	9	9,4	25	26	46	47,9	14	14,5	2	2,1	—	—
Tyraspolska	127	18	13	22	17,3	58	45,7	12	9,5	—	—	1	0,9
Ormianie	46	31	67	10	21,7	2	4,3	—	—	—	—	—	—
Ogółem	2811	167	5,9	444	15,8	1375	49	635	22,5	133	4,8	32	1,2

A zatem przynajmniej 165 parafii (ostatnie dwie kategorye) są tego rodzaju, że do prawidłowej pastoracyi z trudnością wielką albo wcale się nie nadają. Z niektórych tych parafii możnaby potworzyć całe szeregi nowych.

Przytoczymy po szczególe wszystkie parafie, liczące więcej niż 20 tysięcy katolików, gdyż są to okazy, jakie trudno napotkać w statystyce wyznaniowej innych krajów. Są one następujące: Łódź, parafia św. Krzyża (142 tysiące), Łódź, parafia Wniebowzięcia (90 tys.), Praga pod Warszawą (82 tys.), Wola (65 tys.), w Warszawie: parafia św. Jana (21 tys.), parafia na Lesznie (43 tys.), św. Karola Boromeusza (26 tys.), Wszystkich Świętych (62 tys.), św. Barbary (25 tys.), św. Aleksandra (28 tys.), św. Trójcy (35 tys.), Częstochowa, parafia św. Zygmunta (50 tys.), Pabijanice (24 tys.), Piotrków (21 tys.), Radomsk (21 tys.), Janów lubelski (21 tys.), Radom (34 tys.), Niwka (37 tys.), Sosnowiec (31 tys.), Dąbrowa Górnicza (21 tys.), Kielce (25 tys.), Petersburg, parafia św. Katarzyny (30 tys.), Ryga (45 tys.), Moskwa (25 tys.), Mińsk, parafia Narodzenia M. B. (23 tys.), Białystok (21 tys.), Wilno, parafia WW. Swiętych (25 tys.), Kowno (21 tys.), Żytomierz (21 tys.), Kijów (39 tys.), Puliny na Wołyniu (21 tys.), Odessa (36 tys.). Niektóre z wyliczonych parafii są obsługiwane zaledwie przez dwóch — trzech kapłanów. Najliczniejsza zapewne na całym świecie parafia łódzka, mająca tyle katolickiej ludności, ile wystarczyłoby na parę np. włoskich biskupstw, posiada do obsługi tylko 9 kapłanów wraz z proboszczem! Parafię na Pradze (82 tys. m i e j s k i e j ludności) obsługują czterej księża! Łatwo zrozumieć, jak muszą być przytłoczeni pracą kapłani tego rodzaju parafii i jak powierzchowną musi być ich praca. A są to przeważnie parafie, gdzie należałoby powołać do życia cały szereg katolickich społecznych i filantropijnych instytucyi, stanąć na ich czele, kierować niemi.

Z innego znowu powodu, bo przedewszystkiem z bajecznie wielkich obszarów, na jakich rozrzuceni są katolicy, praca parafialna utrudniona jest w wewnętrznych guberniach Rosyi, a zwłaszcza w Syberyi. Proszę sobie wyobrazić szmat ziemi, większy od całej Europy łącznie z Rosyą, nie posiadający więcej tylko

jedną kolej i podzielić go na 10 parafii z 18 kapłanami do posługi rozrzuconych na tej olbrzymiej przestrzeni 70 tysięcy katolików. Tak rzeczy stoją w Syberyi. Parafie tamtejsze to Tobolsk, Tomsk, Barakowskoje w gubernii tomskiej, Omsk, Spasskoje, Krasnojarsk, Nerczyńsk, Irkutsk, Władywostok i Taszkient i kaplice na Sachalinie, w Błagowieszczeńsku i w Tiumeniu i Kurhanie, tobolskiej gub. Rzecz jasna, że większość mieszkających w Syberyi katolików widzi zaledwie raz na rok swego proboszcza, objeżdżającego zwykle swoją olbrzymią parafię, a wielu jest i takich, którzy całemi latami pozbawieni są wszelkiej posługi religijnej. Nie może również tam być mowy o jakiejś misyjnej pracy katolickiego duchowieństwa nad innowiercami i poganami. Z jednej bowiem strony wstęp dla misyonarzy zagranicznych jest tam wzbroniony i Rzymska Kongregacya *de Propaganda fide* nie rozciąga swej bezpośredniej pieczy na te kraje, z drugiej strony prawa miejscowe i krańcowy brak kapłanów miejscowych uniemożliwiają wszelką w tym kierunku pracę.

Prawo państwowe dzieli jeszcze parafie na klasy, według uposażenia proboszczów. W Królestwie są trzy klasy probostw z pensyą proboszcza 500, 400 i 300 rubli rocznie; w Cesarstwie podzielono r. 1842 probostwa na pięć klas z pensyą 600, 500, 400, 275 i 230 rub. rocznie. Obliczanie jednak probostw podług tych klas pomijamy ze względu na to, że nie przedstawia ono większego dla nas znaczenia.

Jakość kościołów.

Rok 1864 można uważać za początek okresu w budownictwie kościołów w państwie rosyjskiem. W Królestwie po skonfiskowaniu majątków kościelnych, uwolnieni od trosk gospodarskich rządcy parafii rozwinęli swą gorliwość przeważnie w kierunku budowania, powiększania i odnawiania świątyń. Gdzieniegdzie jednak, jak na Litwie, Podlasiu i Mińszczyźnie, w tymże samym czasie ruch budowlany został raczej wstrzymany; owszem zamknięto i na inne cele obrócono wiele kościołów. Nawet restauracya istniejących świątyń była niezmiernie utrudnioną. Stąd po-

szło, że np. w dyecezyi mińskiej mamy jeden z tego okresu czasu pochodzący kościół, mianowicie w Bobrujsku, wybudowany po spaleniu się starego.

Następująca tablica wykazuje ilość i stosunek w odsetkach kościołów murowanych i drewnianych względem ogólnej liczby świątyń, a nadto liczbę i % kościołów zbudowanych po r. 1864. Dwa katalogi, mianowicie warszawski i łucko-żytomierski, nie dostarczyły żadnych historycznych danych; inne zaś katalogi mają pewne pod tym względem niedokładności. O wielu kościołach niewiadomo, z jakiego materyału zbudowane; w takich razach % obliczaliśmy od znanej co do jakości liczby kościołów.

Tablica d.

Dyecezye	Ogólna liczba kościołów	Liczba kościołów wiadomej jakości	Kościoły murowane		Kościoły drewniane		Zbudowane po r. 1864	
			Liczba	%	Liczba	%	Liczba	%
Warszawska . . .	337	337	233	70	104	30	?	?
Kujawsko-kaliska .	383	383	268	70	115	30	56	15
Płocka	270	270	170	63	100	37	75	28
Sejneńska czyli augustowska . .	141	141	91	64½	50	35½	42	30
Lubelska z podlask.	271	271	195	72	76	28	18	6½
Sandomierska . .	221	221	178	80½	43	19½	28 [1]	13
Kielecka	262	262	228	87	34	13	34	13
Mohilew. z mińską	245	190	134	70	56	30	34	14
Wileńska	287	263	163	62	100	38	28	10
Żmudzka	361	324	134	41½	190	58½	31	8½
Łucko-żytomierska z kamieniecką .	296	247	215	87	32	13	?	?
Tyraspolska . . .	160	160	130	81	30	19	71	44
Ogółem . .	3234	3069	2139	70	930	30	417	17

Z tablicy tej widać, że największy jeszcze procent (58½) kościołów drewnianych znajduje się na Żmudzi, gdzie dawniej

[1] Podana cyfra wykazuje liczbę kościołów, konsekrowanych po r. 1864; liczba zbudowanych w tymże czasie jest oczywiście większą, lecz nieznaną.

dla obfitości lasów przeważnie takie świątynie budowano, a w ostatnich czasach z powodu zewnętrznych okoliczności nie wiele pod tym względem można było zmienić na lepsze. Następnie idą tu dyecezya wileńska i sejneńska dla tych samych przyczyn, wreszcie płocka, gdzie musiało być najwięcej drewnianych kościołów, jeśli nawet silnie rozwinięty w ostatnich czasach ruch budowlany w tej dyecezyi obniżył ilość drewnianych świątyń zaledwie do 37%.

Murowanych kościołów najwięcej stosunkowo posiadają dyecezye kielecka i łucko-żytomierska z kamieniecką, gdzie o drzewo budulcowe trudniej niż na północy. Wogóle można zauważyć, że im bardziej posuwamy się na północ, tem bardziej stosunek drewnianych kościołów do murowanych wzrasta na korzyść pierwszej z tych dwóch kategoryi.

Ruch budowlany w ostatnich 40 latach najbardziej się zaznaczył w dyecezyi tyraspolskiej. Jest to bowiem dyecezya nowa, w której w tym właśnie czasie powstawały jeszcze osady kolonistów niemieckich. Nadto prawie wszystkie parafie ormiańsko-katolickie tej dyecezyi zdobyły się na kościółki dopiero w ostatniem stuleciu. Najmniejszy procent nowo zbudowanych kościołów (nie mówiąc o mińskiej), wykazuje dyecezya lubelska z podlaską dla zaznaczonych wyżej przyczyn. Tutaj miejsce zaznaczyć, że w dyecezyi tyraspolskiej, pomimo największego % nowych kościołów, znajduje się dotąd 22 parafii i filii (16 łacińskich i 6 ormiańskich), które dotąd nie posiadają żadnej świątyni i nabożeństwa muszą odprawiać w czasowo urządzonych kaplicach lub salach szkolnych.

Niektóre z kościołów drewnianych są bardzo stare. Tak np. na Litwie i Żmudzi wielka ich ilość pochodzi z czasów zaprowadzania tam chrześcijańskiej wiary. Co ciekawsze, że niektóre katalogi wykazują drewniane kościoły z bardziej jeszcze odległych czasów, jak np. katalog kielecki, przytaczający kościoły drewniane z XI stulecia, mianowicie w Bierkowie z r. 1033 i w Zborówku z 1058 r.

Zakony.

Minęły podobno bez powrotu te czasy, w których poeta widział polskie miasteczka, posiadające

... bram cztery ułomki
Dziewięć klasztorów i gdzieniegdzie domki.

Pod panowaniem rosyjskiem monachomachia stała się niemożliwą, poprostu dla zupełnego braku mnichów. W XVII i XVIII stuleciu obliczano zakonników i zakonnice w Polsce przynajmniej na kilkanaście tysięcy. Sto lat wystarczyło, aby zakonnik w wielu okolicach stał się prawie mitologiczną postacią.

Ostatniego masowego zamknięcia klasztorów w państwie rosyjskiem dokonano w r. 1864. Ale i wtedy pozostawiono jeszcze kilkadziesiąt etatowych i nie-etatowych klasztorów. Etatowym prawo gwarantowało dalszą egzystencyę, nie-etatowe zaś miały być zamykane, skoro w którym z nich liczba zakonników lub zakonnic spadnie niżej 7 osób. W etatowych miało być po 14 osób (a w Częstochowie 24), lecz nowicyaty były zamknięte dotąd, dopóki nie zostaną skasowane klasztory nie-etatowe. W rzeczywistości stało się gorzej nawet, niż prawo państwowe obiecywało. Powoli zamknięto nie tylko klasztory nie-etatowe, ale i większą część etatowych i pomimo, że liczba zakonników i zakonnic dawno już spadła niżej etatu, nowicyuszów przyjmować nie pozwolono, z wyjątkiem klasztoru jasnogórskiego i paru sporadycznych wypadków w innych klasztorach (zdaje się przybył przez lat 40 jeden kapucyn i jedna czy dwie benedyktynki). Tylko siostry miłosierdzia mogły przyjmować stale nowicyuszki.

Klasztory męskie dochowały się w następujących miejscowościach: kapucyński w Nowem Mieście nad Pilicą, pauliński na Jasnej Górze w Częstochowie, Karmelitów w Oborach, Franciszkanów w Grodnie (3 braci bez księdza zakonnego), Minorytów *de observantia* w Kretyndze, Zasławiu, Kole (bernardyński), Włocławku (reformacki). Zakonników w tych klasztorach, kapłanów i braci znajdowało się z początkiem b. r. 61.

Ogólnie stan zakonów liczebnie tak się przedstawia:

Dyecezye	Klasztorów męskich	Zakonników w nich	Zakonników poza klasztorem	Klasztorów żeńskich	Zakonnic	Sióstr Miłosierdzia
Warszawska	1	8	18	2	21	321
Kujawsko kaliska	3	36	19	2	12	29
Płocka	1	6	2	1	6	13
Sejneńska	—	—	6	1	12	11
Sandomierska	—	—	1	1	7	23
Kielecka	—	—	10	1	10	35
Lubelska z podlaską	—	—	6	—	—	11
Mohilewska z mińską	—	—	7	1	1	—
Wileńska	1	3	1	3	16	—
Żmudzka	1	4	—	2	15	—
Łucko-żytom. z kamien.	1	4	11	—	—	—
Tyraspolska	—	—	—	—	—	—
Ogółem	8	61	81	16	100	443
		142			543	

Z 81 zakonników, mieszkających poza klasztorami, najwięcej przypada kapłanów reguły św. Franciszka, jako to Kapucynów, Bernardynów i Reformatów. Zajęci są oni przeważnie pracą parafialną, lub też pojedynczo obsługują niektóre poklasztorne kościoły. W tejże liczbie znajduje się kilku braci, mieszkających prywatnie i 6 dominikanów francuskiej narodowości, obsługujących przeważnie kolonię francuską w Petersburgu i Moskwie. Również wliczeni są tutaj czterej kapłani ze Zgromadzenia Niep. Poczęcia N. Maryi Panny, czyli tak zwani Maryanie, ostatnie na całym świecie resztki tego zakonu; mieszkają oni w dyecezyi sejneńskiej, gdzie posiadali przedtem maryampolski klasztor.

Klasztorów żeńskich dochowało się dwa razy tyle, co męskich. Są one: Wizytek w Warszawie, Sakramentek tamże, Felicyanek w Przasnyszu, Benedyktynek w Łomży, Wilnie i Kownie, Bernardynek pod górą św. Katarzyny, czyli Łysicą, w Wieluniu i Słonimie, Norbertanek w Imbramowicach, Maryawitek w Mohilewie (katalog podaje tylko jedną zakonnicę), Dominikanek w Przy-

rowie, Brygidek w Grodnie, Katarzynek w Krokach. Przeciętnie na jeden klasztor wypada 6 dogorywających zakonnic. W niektórych z wymienionych klasztorów znajdują się zakonnice różnych reguł, pozbierane ze skasowanych klasztorów. Osobno liczymy Siostry Miłosierdzia św. Wincentego à Paulo, zajmujące się obsługą szpitali. Mają one dom macierzysty w Warszawie na Tamce. Poza granicami Królestwa Polskiego, czyli w Cesarstwie, niema ich wcale.

Liczba ogólna zakonnic według reguł w porządku zstępującym tak się przedstawia: Sióstr Miłosierdzia 443, Benedyktynek 30, Bernardynek 15, Sakramentek 12, Norbertanek 10, Wizytek 9, Dominikanek 7, Felicyanek 6, Katarzynek 4, Brygidek 3, Karmelitek 2, Maryawitek 2. Nie liczymy wcale zgromadzenia świeckiego panien Kanoniczek w Warszawie, ani zgromadzeń tercyarskich męskich i żeńskich i innych stowarzyszeń o charakterze zakonnym, które nie posiadają uznania prawnego, i o których katalogi dyecezalne nie podają żadnych informacyi.

Dodamy w końcu, że te relikwie zakonów w Polsce pod berłem rosyjskiem nie posiadają prowincyałów i poddane są władzy biskupiej. Każda dyecezya, gdzie są klasztory, ma świeckiego księdza z tytułem wizytatora klasztorów, który z urzędu swego jest członkiem dyecezalnego konsystorza. Majątki klasztorne skonfiskowano; zakonnicy i zakonnice otrzymują szczupłą pensyę przez rząd wypłacaną (po 40 rub. na osobę rocznie).

Wnioski.

Z przedstawionego przez nas stanu katolicyzmu pod berłem rosyjskiem narzuca się przedewszystkiem ten wniosek, że w obecnych warunkach trudno żądać od tamtejszego duchowieństwa intensywnej a owocnej pracy nad podniesieniem ducha wiary i moralności chrześcijańskiej katolickiego społeczeństwa, lub winę za braki w tym względzie kłaść jedynie na karb niedbalstwa tamtejszego kleru. Prawidłowych pod każdym względem funkcyi nie można żądać od organizmu, znajdującego się w tak nienormalnych warunkach zewnętrznych. Jedną z najpierwszych trosk nie tylko hierarchii kościelnej, ale i innych wpływowych czynników i ca-

łego polskiego społeczeństwa w Królestwie i Rosyi, winno być to, aby dla Kościoła uzyskać takie warunki egzystencyi, w których możnaby i wolnoby było oczekiwać od niego płodnej religijnej i społecznej działalności. Do tego zaś, naszem zdaniem, potrzeba:

1) Powiększyć liczbę dyecezyi, jużto przywracając skasowane przez rząd biskupstwa, jużto dzieląc zbyt obszerne lub zbyt ludne dyecezye. Biskupów własnych winnyby zyskać takie miasta jak Łódź, Ryga, Odessa. W interesach katolicyzmu wskazanemby było dążyć do utworzenia biskupstwa na Wschodzie, np. w Tomsku. W ostatecznym razie przynajmniej część istniejących na papierze sufraganii winna być obsadzoną.

2) Powiększyć liczbę parafii, przedewszystkiem w wielkich miastach, aby pastoracya mogła wejść na właściwsze tory, a następnie i na prowincyi, zwłaszcza na Litwie, Białej Rusi i Podlasiu. W tym celu wskazanem jest, aby w ludniejszych fabrycznych centrach nie tyle dążyć do wznoszenia wielkich monumentalnych świątyń z pozostawieniem małej liczby parafii, lecz raczej do podziału ich i budowania mniejszych, ale gęstszych kościołów. Na Zmudzi i w dyecezyi sejneńskiej dotychczasowa liczba kapłanów wystarczyłaby jako tako do obsługi wiernych, ale kościołów jest tam stanowczo za mało i parafie są zbyt obszerne.

3) Dążyć do powiększenia liczby świeckiego kleru, zwłaszcza w dyecezyach lubelskiej, warszawskiej, kieleckiej, mohilewskiej i wileńskiej, gdzie choćby się nagle podwoiła liczba kapłanów, jeszczeby ich nie było za wiele. Obecne seminarya są zbyt szczupłe i niewygodne dla pomieszczenia większej liczby kleryków; zatem wobec zubożenia Kościoła społeczeństwo całe winno się przyczynić do rozszerzenia i lepszego uposażenia duchownych uczelni. Z powodu małej liczby gimnazyów, trudno o większą liczbę powołań. Temu brakowi zaradzićby mogły seminarya niższe czyli internaty pod kierunkiem Kościoła dla młodzieńców, uczęszczających do szkół publicznych, a pragnących się poświęcić stanowi duchownemu. W interesie zaś podniesienia naukowego poziomu kandydatów do kapłaństwa, należałoby podnieść wymagania uprzedniego przygotowania naukowego, np. matury, lub też

przedłużyć kursa nauk seminaryjskich, aby uzupełnić braki wykształcenia ogólnego. W Warszawie winna powstać Akademia duchowna lub fakultet teologiczny katolicki przy uniwersytecie.

4) Podnieść upadające zakony i powołać do kraju nowe, zwłaszcza te, które przez dawanie misyi i rekolekcyi ludowych mogą przynieść wielką pomoc obarczonemu pracą klerowi świeckiemu. Z zakonów żeńskich nadawałoby się do Królestwa zgromadzenie Służebniczek N. Maryi Panny, które w Galicyi powszechnem cieszy się uznaniem za swą pracę przy ochronkach i szkółkach wiejskich.

Wyliczyłem te tylko dezyderaty, które stoją w związku z obecną statystyczną notatką.

Były one wszystkie poruszane i w ankiecie *Przeglądu*. Statystyka przytoczona aż nadto je usprawiedliwia, a dobro i przyszłość Kościoła i narodu wymaga niezwłocznego ich urzeczywistnienia.

Ks. J. Urban.

Z TWÓRCZOŚCI FRANCUSKIEGO PASTORA.

(Ciąg dalszy).

Zresztą streszczenie głównych zasad zawartych w *Justice* i innych dziełach, znajduje się w książeczce p. t. *Sois un homme* [1], wypisanej przez uczniów i przez niego samego z odczytów mianych dla młodzieży. Tu widocznie rzecz była ułożona *ad usum Delphini:* niema już bowiem krat tamujących światło, wszystko piękne, prawdziwe a rzewne. To rzecz pisana silnie, jasno, spokojnie, z bardzo wielką prostotą i wielką miłością, a ludzie za naszych czasow bardzo się stali wybredni co do sposobu i formy w jakich im jest prawda podana. Może nawet niejeden — tak dziwnie sprzeczną jest natura ludzka — przyjmie z ust innowiercy to, czegoby od własnego kapłana nie przyjął. Podobnie matki kładą nieraz w usta obcych ludzi rady, których pragną dzieciom udzielić, bo »od kogoś innego więcej uczynią wrażenia...«

Zupełnie odmienne formą, wartością literacką stanowczo wyższe, bogatsze w myśli, w światło a niestety i w cienie jest: *L'Ami* [2]. Jest też dla prostych czytelników od innych ciekawszem, bo nigdzie tak jak tu, nie występuje sama postać autora, w żadną ze swych prac nie wlał tyle myśli, serca i łez. Ów przyjaciel dający tytuł książce, to jego dobry duch, jego sumienie, część

[1] *Sois un homme!* Simples causeries sur la conduite de la vie. Par Charles Wagner. Paris. Libr. Fischbacher. Deuxième édition. Str. 163.

[2] Ch. Wagner: *L'Ami.* Dialogues intérieurs. 3-me édition. Paris. Libr. Fischbacher 1904. Str. 371.

jego umysłu pozostająca bezustannie pod wpływem Bożym. W przedmowie pisze, iż często bywał samotnym, lecz nigdy opuszczonym, bo ten towarzysz nie opuścił go nigdy; łagodny gdy płakał, surowy gdy błądził, gotów z poradą, gdy wątpił. Cała, dość obszerna książka, składa się, prócz początku, z seryi dyalogów, niekiedy bardzo krótkich, pomiędzy nim a »przyjacielem«; wadą ich jest, że te dwie połowy jednej istoty, wydają się zbyt często zupełnie odrębnemi osobistościami, mistrzem i uczniem, dyskutującymi o wielkich i drobnych zagadnieniach życia. Całość dedykowaną jest synowi autora, zmarłemu w 15 roku życia; jego pamięci też poświęcone są pierwsze ustępy. Oto najładniejszy z nich pełen głębokiego znaczenia. Zatytułowany jest: *Par dessus la muraille* (Poza murem):

»Było to w Szwajcaryi; przyjechaliśmy tegoż dnia z rana. Miałem strzedz Piotrusia, który wówczas liczył niespełna trzy lata. Malec dreptał wokoło mnie, przypatrując się, dotykając wszystkiego i zadając tysiące pytań. Naraz, nie wiem jak, zniknął mi z oczu.

Tuż blizko były skały, przepaście, niebezpieczeństwo... Biegam, szukam, pytam — daremnie. Nikt go nie widział. Okropny strach mnie chwyta. Wkońcu idę wzdłuż muru, zamykającego jakiś ogród, — dochodzi mnie głos dziecinny w rozmowie z grubym, męskim głosem.

To był Piotruś. Częstowano go poziomkami, zapytywano o rodziców a on najspokojniej zajadał i zachęcony dobrem przyjęciem szczebiotał swobodnie.

Obecnie mur dzielący nas od niego jest większym, ale w pamięci mojej powraca owa chwila, gdzie myślałem, że jest stracony, że wpadł w jakąś otchłań, a on tymczasem był szczęśliwy, pieszczony i dobrze strzeżony. I w tem wspomnieniu odkrywam symbol tego, co się dzieje po tamtej stronie muru«.

Śliczna ta przypowieść nie potrzebuje komentarzy. Jest w niej cały skarb ufności i miłosnego poddania. Posłuchajmy, co mówi o kilka stron dalej p. t. *L'Essentiel:*

»Najważniejszem jest ugruntować się w Bogu. Poza tem

wszystko jest niczem. Nie czekaj aż promień słońca przyniesie ci prawo, byś się czuł bezpiecznym, aż wyższa wola ludzka ku tobie przychylnie się zwróci, aż poczta ci wręczy kiedy szczęście pod osłoną listu. Nie obawiaj się również, by nieszczęście spadło na cię z obłoków, by cię chwyciło przez rękę wroga lub niespodzianie wkroczyło do twego domu. Szczęście czy nieszczęście, wszystko co cię czeka u zakrętu drogi, za zamkniętemi wrotami, wśród myśli ludzkiej tajników, poza zasłoną przyszłości — wszystko zależy od tego, co masz w sercu twojem. Wiedz, że istnieje pokój, którego świat nie daje i którego zabrać ci nie zdoła... Zakorzeń się w rzeczy jedynie potrzebnej: w nieskończonej miłości Ojca. Dobro stąd dla ciebie wypłynie ogromne i staniesz się przytułkiem dla drugich, dla tych, których kochasz i dla obcego nawet, którego droga przypadkiem zbiegnie się z twoją«.

Dalej ton jeszcze się wzmacnia:

P r z y j a c i e l. »Bóg cię kocha. Wszystko wkońcu musi się na dobre obrócić. Biedna ludzkości zbłąkana, błądząca, zużyta znojem, obarczona grzechami i bólem. Ojciec cię woła. Powstań z prochu, spojrz w górę...

Wśród twej nieświadomości szukaj ukojenia w myśli, że Bóg wie wszystko, czego ty nie wiesz i że nie żąda, abyś się przed Nim stawił z dokładnem wytłumaczeniem wszechświata. To nie Sfinks, zadający zagadkę i pożerający tych, którzy jej rozwiązać nie mogą. Oddaj się w jego ręce — zaufaj Mu«.

Taż sama myśl powtarza się w różnych formach we wszystkich dziełach autora. W walce z pessymizmem, którego jest najzaciętszym wrogiem, używa dobroć Bożą za główną broń. W tym kierunku zapuszcza się nawet zbyt daleko, gdy bowiem skarży się przed »przyjacielem«, że Bóg zabrał mu syna, ten karci go z powagą. Jego zdaniem, powiedzenie Hioba: »Bóg dał — Bóg wziął«, było tylko formą retoryczną, bo Pan Bóg daje, ale nie zabiera, nie zsyła chorób, nieszczęścia ni śmierci. Te przychodzą ze zbiegu okoliczności lub złej woli ludzkiej; przypuszcza też i działanie szatana. Bóg zaś tylko pomaga znosić, pociesza, koi, leczy, obraca zło na korzyść człowieka. Doktryna to bardzo poetyczna, bardzo dla serca ponętna, ale ją trudno jakoś pogodzić

z pojęciem wszechmocy i wszechwiedzy Stwórcy, przeobrażonego w poczciwego a nieco bezradnego tatusia.

Przyjaciel. »Nie skazuj się na gorzkie wspomnienia. Czemu chcesz zaszczycać obelgę, umieszczeniem jej w złotych ramach wspomnienia? Czyż serce twoje dość wielkie, byś mógł w niem tyle miejsca poświęcać zawiści? Człowiek tak mało ratować zdoła z pochłaniającej zapomnienia fali — czyż ma ratować przeważnie doznane krzywdy? Bywają czyny nie do przebaczenia, istoty nie zasługujące na żadną pobłażliwość, nie mający żadnej wymówki. Czy to jest racya, abyś je na zawsze z myślą twoją zespolił? Daj upaść obeldze i nie podnoś jej z ziemi. Schyl się raczej, by podnieść choćby najskromniejszy kwiatek, który ci się na tym padole uśmiechnął...

W głębiach twojej istoty na samem dnie wykop grób. Niech będzie jako te zapomniane kąty, do których żadna nie prowadzi ścieżka. I tam w wiecznem milczeniu zagrzeb zło, jakie ci wyrządzono. Serce twe poczuje się wolnem, jakby po odjęciu brzemienia i spokój Boski zagości w niem...«

Ustęp o niewdzięczności skreślony z wielkiem zacięciem:

»O ta niewdzięczność — co za zgryźliwa choroba! I jak dręcząca!...

Przyjaciel. A jednak musi sprawiać dużo przyjemności tym, co ją praktykują, sądząc po ich liczbie. Niektórzy mają »wino smutne« i wdzięczność kwaśną, ale zato niewdzięczność wesołą. Spojrz na nich gdy dziękują: silą się i krztuszą. Ale gdy są niewdzięczni pełno u nich uśmiechów; znać w nich dezynwolturę i swobodę kacząt puszczonych na wodę: są w pełni swego żywiołu. Inne występki kwitną tylko w poszczególnych strefach. Ten zaś jest kosmopolitycznym. Wyrasta na wszystkich szczeblach społeczeństwa, w każdej porze ludzkiego życia, w piwnicy czy na strychu — wszędzie jest w domu. Dziś widzisz go pod jasnym włosem i różową buzią i myślisz — to dziecko. Jutro spotkasz go w zmarszczkach i siwiznie — to starzec kończący żywot długiego upadku. Gdy niewdzięczność cię rani z ręki ludzi możnych, bierzesz ją za wielką damę. Ale zważ metamorfozę! Za pierwszą sposobnością ujrzysz ją w postaci dziadówki. Istnieje

niewdzięczność dzieci i rodziców, ludów i rządzących, wodzów i podwładnych, panów i sług, publiczności i sławnych ludzi, bogatych i ubogich. Są też formy niewdzięczności, któremi specyalnie bywają karmieni ludzie pewnego gatunku: niewdzięczność wobec lekarzy, ministrów, starych sług wyczerpanych pracą, śpiewaków o wyczerpanym głosie, obywateli zubożałych w służbie ojczyzny, wobec bohaterów poległych na wszystkich polach chwały i poświęcenia. Jedną z najgorszych form jest niewdzięczność mężczyzny wobec kobiety... Niepodobna jest nie wywoływać niewdzięczności. Im więcej dobrze czujesz, tem obficiej ją siejesz i ten, co najmniej na nią zasługuje najobficiej ją zbiera. A przecie niema nic boleśniejszego. To ciężki krzyż, do którego nieraz przyłącza się wieniec cierniowy i inne narzędzia męki. Niewdzięczność bowiem jest przemyślna, sprytna, zawsze płodna w nowe sposoby... Rzecby można, iż trudniej jest znieść dobrodziejstwo, niż darować urazę...

Niewdzięczność w tem najgorsza, że do dobrego zniechęca.

P r z y j a c i e l. To znów jest źle. Tu chodzi o cel i o punkt widzenia: jeżeli pracujesz dla ludzkiej wdzięczności, zbierzesz same przykrości i wkońcu znużony dasz pokój. Czyń dobrze, idź prostą drogą, otwieraj serce i ramiona nie myśląc zanadto o żniwie... Ofiary niewdzięczności wszelkich krajów i wieków mają towarzysza niedoli, którego przykład pocieszyć ich może. Jest nim Bóg najbardziej zapomniany ze wszystkich dobroczyńców. Czyż pomimo to zaprzestał okazywać swą miłość? A odkąd Chrystus umarł na krzyżu, wieczystym symbolu ludzkiej niewdzięczności, ta już chyba dosięgła szczytu. »Mąż boleści« może na braci swych wołać: Pójdźcie do mnie a ja ochłodzę was!«

Powyższy ustęp traktujący o osobnym rodzaju złości ludzkiej jest niemal unikatem w dziełach Wagnera. Przyznając braki, winy i złe skłonności natury ludzkiej nie ma czasu zatrzymywać się nad niemi. Zbyt jest zajęty leczeniem ogólnego zła, które upatruje w upadku woli, zniechęceniu do życia a równoczesnej obawie śmierci, w zaniku ufności i nadziei. Przyczynę widzi u jednych w braku wiary, u drugich w wierze polegającej na strachu przed wyrokami Bożymi.

Wagner musiał osobiście się zetknąć z podobnym stanem umysłów albowiem pisze:

»Dopiero w trudnych warunkach wytworzonych przez niebezpieczeństwo lub ciężką chorobę poznać można, jak srogą krzywdę wyrządza się duszom, terroryzując je«. Wszystko co mamy najpiękniejszego w naszych świętych tradycyach — mówi nieco wyżej — powinnoby nas uzbroić przeciw obawie zgonu.

»Pełnem wielkiej a tajemniczej prawdy jest powiedzenie Chrystusa: P o ż y t e c z n o w a m a b y m j a o d s z e d ł. B o j e ś l i n i e o d e j d ę, P o c i e s z y c i e l n i e p r z y j d z i e d o w a s. Stracić według ciała, by rzeczywiście posiadać według ducha — to bolesne prawo, którego słuszność uwydatnia się tysiącami faktów. Toż właśnie z żalu za tymi, co zniknęli, z myśli goniącej za nimi spłynęło na ludzkość najwięcej światła o rzeczach wyższych od naszego padołu. Po przez świętości wspomnienia ukazał jej się świat nowy o niezgłębionych przestworach. Człowiek zatopiony w ziemskości nie domyśla się o jego istnieniu...«

Autor chce, by myśl zatapiała się w tych przestworach, ale nie znosi, by mu je tłumaczono, analizowano, składano według własnego zrozumienia i wyboru. Czyni wciąż różnicę między w i e r z e n i a m i i w i a r ą *(les croyances et la foi)*. Pierwsze albo odrzuca albo zostawia je do wolnego wyboru każdej duszy, widząc w nich tylko poszczególne formy, symbole, sposoby wyrażania wiary. Nie znosi wierzeń, popartych historyczną podstawą; wydają mu się granicznymi słupami, więżącymi umysł, skazującymi ducha na zaskorupiałość lub zupełną martwotę. Poza istnieniem Boga i Ewangelią wszystko musi być lotne, mgliste, niepochwytne. Twierdzi, że z dogmatów niektóre jałowe w działaniu, wysunęły się na pierwszy plan, zasłaniając inne skromniejsze ale czynniejsze. Nie żal mu powolnego gaśnięcia pierwszych, byle na jaw wyszły drugie. Te, które lubi dotyczą dobroci Bożej; tamtych nie wymienia, ale je odgadnąć łatwo. Ładniebyśmy na tem wyszli, gdyby tak każdy wymazywał z wiary prawdy, które mu są mniej sympatyczne! Wytworzyłaby się ruchoma mieszanina pojęć, na której wspomnienie sama myśl zawraca się w głowie. Taką mieszaniną przecież zadawalniają się dzisiejsi protestanci w Niemczech, w Szwajcaryi

i widocznie we Francyi, skoro p. Wagner takowej pożąda. Najwyraźniej zaznacza w tem swoje mniemanie w końcowym dziale książki *L'Ami*, zatytułowanym: *Par la Foi* — Przez Wiarę. I tu jednak trafiają się piękne, choć mgliste ustępy.

Przyjaciel. »Chcesz wiedzieć moje zdanie o tylu sposobach skomplikowanych, zręcznych, sprzecznych, poziomych lub wzniosłych pojmowania świata, w którym mieszkamy? Niech każdy nad tem pracuje, jak może, ale niech nikt nie stanie się niewolnikiem swojego systemu i nie używa go dla trapienia i prześladowania bliźniego. A zwłaszcza w chwilach wielkiego zmęczenia gdy już wśród tylu kombinacyi myśl twoja się mąci, miej odwagę wznieść ją swobodnie ponad wszystkie systemy. Czyś ty stworzył świat? Czy masz nim rządzić? Czy jesteś zań odpowiedzialnym? — Nie! Więc uspokój się. Daj sobie godzinę spoczynku. Toż to męka nad mękami poruszać te potężne myśli, przewracać w duszy swojej ich masy olbrzymie, zanurzać się w niezbadane głębie, badać nieprzejrzane przestworza. Ale mówiąc szczerze czyż niema nieco nadużycia i wiele złudzenia w tych tytanicznych próbach przedsiębranych przez istoty tak drobne, jak my? Doprawdy, kto ci zabroni złożyć chwilami berło wszechświatowych rządów i przestać równocześnie myśleć o wszystkiem? Nikomu nie zaszkodzi jeśli przestaniesz się zachowywać jakbyś miał kierować obrotem gwiazd — żadna z nich przez to o sekundę się nie spóźni. Nauczmy się nie dotykać tego, co nas przewyższa, nie mówić o tem, czego nie rozumiemy, nie usprawiedliwiać Boga i nie częstować Go naszemi radami. Wierzaj mi, wzniosłe kombinacye są wprawdzie jedną z ozdób ludzkości, ale jest niemniej czcigodnem zajmować się tem, co do nas należy, mieszać się w to, co się rozumie i opuszczając niebiańskie tory słońc, stąpać po ścieżce, którą się ma pod nogami.

Bądźmy po prostu ludźmi i z tem co posiadamy czyńmy, na co tylko sił starczy. Choćby na próbę, nie wyrzekając się wysokich wzlotów, zostańmy czasem na swojem miejscu, sprawujmy własne rzemiosło... Bądźcie wiernymi w małem — rzekł Chrystus. Jakżeżby się chciało módz usiąść u Jego stóp, gdy pod brzemieniem wielkich zadań kosmicznych głowa pęka od trudu

nad układaniem, łączeniem, przewidywaniem i obejmowaniem wszechrzeczy. Widzę Jego długie spojrzenie, pełne Boskiego spokoju i litości nad naszą nędzą, widzę Jego słodki, ożywczy uśmiech i zda mi się, że słyszę głos Jego mówiący nam: »Dziatki moje! zostawcie każdemu, co do niego należy. Ojcu — napełnianie świata swą obecnością, wszechwiedzę i rządy nad wszystkiem; sobie — zaufanie w Nim, miłość i usługę wzajemną«.

Pan Wagner miłuje i uwielbia Pana Jezusa — ale czy Go uznaje za Boga? Chwilami zda się, że nie, częściej, że tak, może sam czasem się waha, albo też wobec dyskusyi nad tym punktem wiary toczonych wpośród protestantów niemieckich, woli go internować w owej sferze mglistej, gdzie, według niego, powinny wszystkie zostawać »wierzenia«. W każdym razie ze zwykłą w kwestyach dogmatycznych niekonsekwencyą wierzy w zmartwychwstanie i jednym z lepszych jego ustępów jest zatytułowany: *Pensées de Pâques.*

Wagner każe tylko na ufności w Bogu opierać nadzieję w udoskonalenie ludzkości; dotąd wprawdzie — a świat już dość stary — trudnoby mu wykazać dowody dające tej metamorfozie inną rękojmię, jak cudowne miłosierdzie Boże. Pismo św. nie obiecuje jej — Wagner mimo to nazywa ateuszem każdego, co w nią nie wierzy. Chwilami ma się ochotę mu zazdrościć, boć praca musi iść raźniej w bezpiecznem oczekiwaniu końcowego tryumfu. Łatwiej też znosić chwilowe niepowodzenia, choćby najboleśniejsze. Nie dziw przeto, że serce autora skłania się ku wszystkim zwyciężonym. Ich radby wieńczyć, im składać hołdy, bo w oczach jego mają podwójny majestat walki i cierpienia. Zwycięzców nie lubi dlatego tylko, że są zwycięzcami, że im świat ślepo bije pokłony i że odurzeni własną chwałą w chwili, gdy dotarli do szczytu, zaczynają tracić na wartości moralnej. Jeżeli ponieśli zasługi to im sam tryumf był sowitą nagrodą. Ten sam sąd jego odnosi się tak do poszczególnych ludzi, jak do narodów, do stronnictw, do pokonanych a szlachetnych idei — jest zaś zbyt pocieszającym zwłaszcza dla nas arcyzwyciężonych — zbyt podnoszącym ducha, aby mu nie wtórować z zapałem.

Być może iż jest w powyższych zapatrywaniach trochę pa-

radoksu; przesada powstała widocznie jako reakcya przeciw teoryom Nietschego. Wogóle nie jedno powiedzenie książki dałoby się lepiej zrozumieć, gdyby się znało wrażenie pod jakiem wyrosło. Podobne objaśnienie atoli staje się zbytecznem, gdy autor z wyżyn duchowych schodzi na grunt społeczny. Tu znając ogólnoludzkie uczucia swego mistrza, zapytuje go dla formy — czy jest socyalistą? I słyszy odpowiedź: — »Nie!... Byłbym socyalistą, gdyby socyalizm stanowił tylko bezinteresowne dążenie do sprawiedliwości dla wszystkich. Ale socyalizm tyle różnych rzeczy w sobie mieści, iż wolę unikać tego i z m u, podobnie jak i innych. Po stronie ludu, w jego sprawie stoję najchętniej, ale nie po stronie tych, którzy sobie przypisują wyłącznie zrozumienie i obronę tej sprawy. Jedni są nienawistni, gwałtowni, niesprawiedliwi, drudzy do tego stopnia zaciekli, że ich przyrodzona skłonność sama wciąż prowadzi do scyssyi. Nawet między swoimi zgodni są tylko chwilowo. Wzajemne wyklinanie jest jedną z ich głównych gałęzi działania. Ledwie jeden z nich się odznaczy — staje się podejrzanym. Braterstwo ich jest zbyt wojownicze, ich równość zbyt podejrzliwą, ich wolność zbyt zamiłowaną w płaszczyznach. Nie należy dziwić się błędom, bo je każdy popełnia, ale można, bez anomalii żądać, by każdy przejmował się duchem swego ideału. Im bardziej mnie wzniosły ideał ludzkości nęci i przyciąga, tem mi się lichszymi wydają jego oficyalni obrońcy. Obawiam się, aby socyalizm obecny nie okazał się antysocyalnym w swoich głównych dążeniach.

Jesteś bardzo surowy. Pomyśl o trudnościach walki o przyszłość, o nędzy i ciemnocie kół, z których wyszli ci ludzie. A cóżby się stało z ich przeciwnikami, gdybyś ich chciał mierzyć tą samą miarą co socyalistów?

P r z y j a c i e l. Powinniśmy zawsze najsurowsze sądy i wymagania zachować dla milszej nam sprawy. Wielu socyalistom z imienia zarzucam to, iż się od swych przeciwników nie różnią niczem prócz hipokryzyi, *ils sont aussi bourgeois que les bourgeois avec l'hypocrisie en plus.* Żądają innej organizacyi świata z zachowaniem głównych wad starego. Gdzie jest bezinteresowność? Pragnienie lepszego stanowiska, którego używałoby się korzyści, a kto

inny ponosił koszta, nie wydaje mi się dostateczną zasługą. Odkądże wyniesienie się *(l'arrivisme)* jest cnotą? Dostrzegam tu wśród tłumu żądze, a u przywódców ambicyę. Na mocy jakiegoż przywileju są te żądze bardziej uprawnione, niż żądze ludzi starego porządku, lub te ambicye mniej brudne?... Lud jest czem innem, a polityka i ekonomia polityczna stronnictw socyalistycznych czem innem. Żyć z ludu nie jest żyć życiem ludu. Świadczyć się ludem nie znaczy należeć doń sercem. Wyzyskiwanie sprawy nie jest służeniem jej. Gdyby przesiano przez sito rozsądku i prawości wszystkie te socyalizmy świeckie lub duchowne, nie zostałoby dużo czystego ziarna na siejbę przyszłości. W tem wszystkiem zresztą spostrzegam podział nierówny: jedni hałasują, stoją na pierwszym planie i chcą wszystkiem kierować, drudzy spełniają robotę i nikt o nich nie wie. Chcąc być siłą działającą dla postępu i dobra, socyalizm musiałby wprzód otrząsnąć się ze swych prowodyrów, socyalistów oficyalnych i ich formułek. Przypuszczając nawet zupełną bezinteresowność, ogromne pragnienie utworzenia społeczeństwa lepszego i mniej bezładnego niż nasze, czegóż się można dobrego spodziewać po tej manii stawiania teoryi? Większość owych mężów przyszłości szaleje za formułkami i uprawia fanatyzm symetryi. Społeczeństwo, o którem marzą, to grające pudełko. Co więcej, wymiatają z umysłów wszystko, co na pierwszy rzut oka nie zgadza się z ich systemem. W ten sposób wysusza się źródła życia. U wstępu wielkich ruchów duchowych zjawiają się zazwyczaj przodownicy, heroldowie, prorocy, silne prądy, porywy, wiele wybujałej potęgi. Później już przychodzą mandaryni. Ci żłobią dla idei kanały, by niemi krążyć mogła dopóki jej nie wykopią grobu, na który przyłożą swą pieczęć. Tu, na samym progu, tłoczą się doktrynerzy, scholastycy, pedanci i handlarze formułek.

Czy nie dostrzegasz również bezładu ich filozofii? Większość tych obrońców uciśnionej słabości przyjmuje ryczałtowo doktrynę materyalistyczną. Walcząc przeciw samolubstwu i prawu silniejszego, głoszą teoryę światową, według której słabość jest najgorszym z występków a egoizm najpierwszą z cnót. Chcąc utylitaryzmu nizkiego, jaki przed nami grasuje, wznieść społeczeństwo

nowe, szerokie, altruistyczne, braterskie, potrzeba innych pobudek, jaśniejszego i dokładniejszego poznania prawdziwej natury ludzkiej. Widzę w niej straszne plamy i rany okropne. Nie ujrzysz mnie nigdy w szeregu zadowolonych, zrezygnowanych na cudzy występek i nędzę. Trzeba, by ten świat był zwalczony, by zeń kamień na kamieniu nie został. Ale świat niegodziwy będzie zwyciężonym przez Ducha, niesprawiedliwość przez sprawiedliwość, nienawiść przez miłość, niewola przez wolność, wyzysk przez poświęcenie, kłamstwo przez prawdę. Ludzkie zwierzę nie zbuduje Miasta Przyszłości. Dlatego nie nawrócę się do istniejącego socyalizmu. Sądzę przeciwnie, że on sam gwałtownie potrzebuje nawrócić się do socyalizmu wyższego, jak lekarze do hygieny, sędziowie do sprawiedliwości, Synagoga do Proroków, a chrześcijanie do Ewangelii!...«

Trudno się było rozstać z książką *L'Ami*, w niej bowiem krystalizują się w krótkich zapiskach główne myśli, uczucia i zasady autora. Inne dzieła są tylko ich rozszerzeniem, ich glosą. Tym ostatnim wszakże padły w udziale hołdy zewnętrznego świata. *Jeunesse*[1] zostało uwieńczone przez Akademię Umiejętności, *Vaillance* uczczone listem pochwalnym *(souscription)* ministra oświaty, *La vie simple* nie otrzymało nic prócz liczniejszych tłumaczeń, a zasłużyło na więcej niż pochwałę. Trudno dać z nich sprawozdanie, treść bowiem, zwłaszcza w *Jeunesse*, jest aż do zbytku nabita myślami. Należałoby chyba przetłómaczyć te 417 stron, a tu brak miejsca każe poprzestać na paru drobnych wyciągach. Między tymi pierwsze miejsce winna zająć przedmowa, wyrażająca cel — zawsze ten sam — podniesienia ducha i poziomu moralnego u młodych.

»...Najbardziej uderzającem w współczesnej młodzieży jest pewna niechęć z jaką rozpoczyna życie. Wiem, że to zarzut już bardzo banalny, że chętnie czyni się porównanie pomiędzy nią a młodzieżą innych, cięższych czasów, gdzie przecież szło się na-

[1] C. Wagner: *Jeunesse.* Ouvrage couronné par l'Académie française. 27-me Edition. Paris. Libr. Fischbacher, str. 417.

przód z ochotą i jakoby z uśmiechem naprzeciw twardej doli. Te porównania wszakże nie są zupełnie słuszne... Nie mogę młodego pokolenia w całości oskarżać o niewdzięczność względem wyjątkowej epoki po której zbiera dziedzictwo, ani posądzać ją, jak to wielu czyni, o autosuggestyę choroby.

Nasza młodzież cierpi prawdziwie. Choroba, która w niej nurtuje nie ma nic wspólnego z niewdzięcznością lub pozą; jest aż nadto realną i poważną w oczach każdego, kto nie przywykł lekceważyć przyszłości. Źródłem jej jest obecny przełom ogólnoświatowy. Trudno o gorszą atmosferę pedagogiczną niż ta, którą wytworzyła nasza cywilizacya, a której czynnikami są sceptycyzm, materyalizm i sztuczność życia. Nie dobrze jest roślinie ludzkiej w tej glebie. Brak jej tam soków moralnych i materyalnych; nie dziw, że niebawem więdnie, że młodość jej jest bezbarwną a starość przedwczesną.

»Żyjemy anormalnie, stąd przygaśnięcie żywotności ludzkiej... Odeszliśmy od jej źródeł — należy do nich powrócić; oto przewodnia myśl mojej pracy. Gdyby mi było wolno w jedno zdanie ją streścić powiedziałbym młodzieży: Bądźcie młodymi i bądźcie ludźmi!«

Książka zawiera trzy wielkie działy: *L'Héritage* (Dziedzictwo), *Les Héritiers* (Dziedzice) i najdłuższy bo zajmujący niemal całą połowę: Ku źródłom i szczytom, *Vers les sources et les sommets.* W pierwszym autor chcąc sprawiedliwie osądzić młodzież tegoczesną, zaczyna od zbadania wieku z którego wyrosła, od postawienia bilansu zysków i strat tworzących jej przyrodzone dziedzictwo. Wylicza więc nasamprzód zdobycze wieku, wielkie i piękne, ocenia jego pracę i głód prawdy objawiający się krytycznem badaniem na każdem polu, jego umiejętność, która jak nigdy dotąd zdołała okiełznać brutalne siły natury. Ale po zdobyczach zapisuje i straty, a tych niestety jest wiele: więc naprzód zmateryalizowanie wiedzy i oddanie jej całkowite na cele przemysłu, centralizacya potwornie wzrosłych miast a w nich sztuczność życia, zbytek i nędza, rozwój militaryzmu, zaostrzenie rywalizacyi międzynarodowych, powstanie walk między kapitałem a pracą. Najgorszą z tych strat jest zacieśnienie, skurczenie świata uczuć

i myśli, dzięki anormalnemu rozrostowi realizmu naukowego, dzięki jego pretensyi starczenia za wszystko. Realizm ten ogarnął szybko literaturę i sztukę i za ich pomocą rozlał się po wszystkich zakątkach życia codziennego. Tu zaś przemienił się w materyalizm niższego gatunku w którym obecnie grzęźniemy. Z naukowych zdobyczy osiągniętych kosztem nadludzkich poświęceń i trudów, ciągnie zyski przeważnie egoizm. Zwichnął je przytem, skrzywił i odwrócił od ich pierwotnego celu.

»Patrząc pod pewnym kątem na naszą cywilizacyę, zda się, jakoby jakaś złośliwa ręka obracała na naszą szkodę każdą nową siłę, którą nauka wzbogaciła świat. A czemu tak się dzieje? Czyżby metoda badania była wadliwą? Czyśmy się pomylili usiłując oprzeć życie na doświadczeniu, zamiast po staremu pozostać pod absolutyzmem twierdzeń i naukowych dogmatów? Nie. Zbłądziliśmy w tem, iżeśmy sobie wyobrazili, że ludzkość może wyżyć samą wiedzą i chlebem«.

Zmateryalizowana nauka zbyt wiele zajęła miejsca, a najlepsze rzeczy stają się zgubnemi gdy przekroczą swój zakres, zwłaszcza gdy działają tak, jakby ich zadaniem było opanowanie człowieka, a nie służenie mu. Taką przecież obecnie jest rola nauki. W miejsce ogromnej uczciwej pracy ludzkości, pragnącej poznać swój zapas faktów i myśli, »oglądamy roszczenie niektórych gałęzi naukowych, do przedstawiania w swojej osobie całości wiedzy ludzkiej. Że zaś z punktu widzenia tak zredukowanej wiedzy niema już poza jej obrębem sposobu zetknięcia się człowieka z rzeczywistością, przeto z kolei dochodzimy do pretensyi niektórych ludzi, redukowania rzeczywistości do tego co z niej sami poznali. Poza tem, (a Bóg widzi, jak mimo swoich rozmiarów lichym jest zakres ich świadomości wobec bogactw życiowych) poza tem mają być same złudzenia i mary. Tego już nadto! To już nie nauka ale naukowy despotyzm«.

Nie byłoby się czem smucić, gdyby owa pretensya nie wywołała w świecie olbrzymiego odgłosu. Profesor berliński Du Bois Reymond mówi *(Culturgeschichte und Naturwissenschaft)*: »Historya nauk przyrodzonych jest prawdziwą historyą ludzkości«. Zaś

uczony francuski Berthelot woła w tryumfie: *Il n'ya plus de mystères!* (Niema już tajemnic). Teorye te rozlały się po wszystkich klasach ludzkości.

»Dla większości faktem naukowym skonstatowanym i skontrolowanym jest dziś, że człowiek jest zwierzęciem jak inne. O konkluzyę z tego nie trudno.

Olbrzymim krokiem stąpał nasz czas po szlakach materyalizmu, zrazu naukowego potem praktycznego, siejąc bezmyślnie po drodze wszystko co stanowi najdroższy skarb ludzkości. Pojęcie świata żywego zastąpił pojęciem świata martwego. Na całej linii maszyna sztuczna zastąpiła duszę. Nauka nie dostrzega jej ani w świecie ani w człowieku. Dla niej istnieje tylko powłoka, w głębi niema nic. Świat jest wielkim fajerwerkiem, utworzonym według ostatniej analizy ze zbiegu atomów. Są dnie, gdzie niektórzy uczeni prawią, jak gdyby wszystko wiedzieli. Ignoranci są jeszcze bardziej stanowczymi i tak większość obecnych ludzi żyje wtłoczona w ciasne pojęcie o świecie, w którym nie może zmieścić swych wierzeń, swych zasad ani swych uczuć.

...Epoka nasza zapomniała — i to właśnie stanowi jej obłęd — że jest więcej rzeczywistości pomiędzy niebem a ziemią, niż ich mogą objąć nie tylko nauki t. zw. pozytywne, ale nawet cała nasza wiedza światowa. Nasze dzieła urosły, myśmy sami zmaleli. Człowiek przed sobą samym zmalał w swojej godności i swojej nadziei. Na dnie wszystkich cierpień tego czasu kryje się zbrodnia *lesae humanitatis.* Wszelka cywilizacya bezpośrednio oparta jest na człowieku. Dotykając człowieka wstrząsasz całą cywilizacyą. Że zaś podstawa, t. j. człowiek, jest osłabioną, nie dziw, że nasza cywilizacya grozi zwaleniem...«

Od uwag ogólnych przechodzi autor następnie do właściwego przedmiotu — młodzieży. Tu znów nie jeden ustęp przypomina Ernesta Hello; Wagner jednak wykazawszy stan niewesoły dzisiejszych umysłów, wini znów nie samych młodych, ale moralne ubóstwo atmosfery w jakiej wyrośli: »Młodzież przychodzi i pyta o drogę. Wskazują jej jedną tylko — naukę. Rzuca się w nią, lecz wraz zamiast jednego dziesięć szlaków spostrzega przed sobą. Zawsze w imieniu nauki najróżniejsze głosy wołają

na nią z przeciwnych stron. Słyszy, iż historyi, etyce, psychologii zaprzeczoną jest nazwa nauki. Zbita z toru zaczyna wątpić o kierunku drogi... Najlepsi tracą odwagę. Powierzchowni lub mierni pocieszają się łatwiej, po krótkim czasie oświadczają, że jedna tyle warta co i drugie. Ot i sceptycyzm gotowy...«

Najlepszym obrazem tego stanu umysłów jest literatura dzisiejszej młodzieży: dużo pięknych słów, misterna harmonia tonów, wykwintność formy, ale pod niemi chłód. A wraz z tym chłodem, wielki smutek, nie czekający na przyjście nieszczęścia, rozczarowanie przed pierwszym błyskiem złudzenia, gorycz zawodu przed urodzeniem nadziei. »Wszędzie pod wonną powłoką słów uczucia ludzi, których wszystko zawiodło. W filozofii, w naukach, w sztuce— ruina zasad zupełna. Młodzież wchodzi w życie jak spóźnione oddziały ochotników w czasie długiej wojny, gdy już na całej linii dzieje się źle. Na wszystkich drogach, któremi radaby iść naprzód, spotyka ludzi, którzy już rzucili broń i powracają, mówiąc, że niema co robić. Daleko mniej siły woli potrzeba, by z iskierką nadziei rzucić się w dal nieznaną a straszną, niż aby wytrwale kroczyć szlakami ducha, na których się co krok spotyka zwalczonych i rannych. To też wielkie przestworza są niemal puste...«

To samo z wyjątkami widzi Wagner w dziedzinie moralnej i religijnej. Zauważa między innymi w społeczeństwie dzisiejszem rozwielmożnienie się typu dyletanckiego, umysłów bardzo wrażliwych, przyjmujących chwilowo każdy obraz, każdą przelatującą myśl: »podobnych roli, którąby można co tydzień orać i zasiewać«. Od takich trudno spodziewać się owocu. Woli już t. zw. »ludzi czynu«, pomimo, iż Renan nazwał ich »tylko osobnym gatunkiem miernoty«. Jednym z najlepszych nie tylko z książki, ale z całej pracy literackiej Wagnera jest następny rozdział: »Szkoła życia«, *L'Ecole de la vie* — ten jednak należałoby, chcąc go nie zepsuć, przeczytać w całości. Szkoda wielka, że go nie przeczytają młodzi, podobnie jak i wiele po nim idących rozdziałów. Moralista piszący dla młodzieży, czyni zazwyczaj wrażenie tych księży gromiących z kazalnicy ludzi, którzy do kościoła nie chodzą. Ci, dla których użytku przeznaczone są gromy, nie słyszą ich, bo są nieobecni; przytomni zaś albo w myśli stosują słowa kazania do

znajomych bliźnich, albo też mówią sobie w duchu to, co raz św. Franciszek Salezy w podobnym wypadku powiedział: »Za cóż nas złajał, skorośmy byli w kościele?« U Wagnera atoli tak źle nie jest, bo każdy młody czy stary dużo się nauczyć może; rodzice znajdą cenne wskazówki, wykazanie lub rozświetlenie różnych objawów w charakterze dzieci, myśliciele obfity wątek do długich rozmyślań a zarazem do intelligentnych a ożywionych dyskusyi. Przeszedłszy seryę poważnych tematów o pojmowaniu życia, o potrzebie ideałów, o ciągłej młodości stworzenia przez ustawiczne odmładzanie się świata, i obszerną a piękną rozprawę o pracy p. t. *L'Action* (Czyn), gdzie sam przedmiot ściąga autor z teoretycznych wyżyn na poziom powszedniego życia, napotykamy na niezrównane ustępy w rozdziale *La joie* (Radość).

(Dok. nast.)

T. Wodzicka.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Wykład liturgii Kościoła katolickiego. Napisał *ks. Antoni Nowowiejski,* magister św. Teol., prof. semin. dyecez. w Płocku. Tom I: Wiadomości wstępne. Część I: O środkach rozwinięcia kultu. Warszawa 1893 r. (Str. 1332). Tom II: Ciąg dalszy części I. Warszawa 1902. Str. 672. Tom III: Dokończenie części I. Płock 1905. Str. 515. Wszystkie tomy z licznemi rycinami w tekscie (659 + 250 + 23).

Pod koniec r. z. ukazał się trzeci z kolei tom największej pracy, jaką nasza literatura nie tylko w zakresie liturgii, ale wogóle w dziale teologicznym dotychczas posiada — pracy, która nie jest wydawnictwem zbiorowem, ale owocem studyów jednego człowieka. Zaiste godzi się podziwiać nie tylko znajomość przedmiotu i rozmiłowanie się w nim dostojnego autora, ale i tę ogromną pracowitość, jakiej potrzeba na podróż po takiem *mare magnum,* jakiem jest liturgika i przepisy nią rządzące, a trzeba przyznać, że autor daje nam poznać nie tylko brzegi tego morza, ale i głębie jego przestworów.

Zasługę ks. prałata Nowowiejskiego w ułożeniu tego dzieła pomnaża i ta okoliczność, że napisał je w sposób nie tylko zajmujący teologów z zawodu, ale i tych, dla których znajomość przepisów liturgicznych do pewnego stopnia nie powinna być obcą, a więc znawców i konserwatorów zabytków sztuki oraz twórców i wykonawców dzieł sztuki w zakresie służby Bożej. Dodajmy wreszcie, że na powstanie tej pracy złożyła się nie sama tylko spekulacya rozumowa i działanie pamięci, której usługi w znajomości liturgiki są nieocenione, ale nadto i gorące przejęcie się czcią Bożą i obszerne oczytanie,

z którego autor umiejętnie, z przyjemnością dla czytelnika, korzysta. Przeczytajmy np. tylko o znaczeniu światła nieustającego w kościele (str. 508), albo obszerny opis Ukrzyżowania, albo wytłumaczenie znaczenia dzwonów, a łatwo się przekonamy, że »Wykład liturgii« jest dziełem zarazem naukowem i budującem; bo nie tylko tłumaczy czytelnikowi i znaczenie i dzieje i piękność i majestat służby Bożej, ale nadto pragnie go potrzebą jej pełnienia przejąć.

Trzy tomy dotychczas wyszłe mają za przedmiot to, co uczeni nazywają liturgiką ogólną, więc we Wstępie określenie jej pojęcia, (przedmiotu i cech charakterystycznych, stanowiska jej w nauce teologii, stosunku do nauk pomocniczych, źródła prawa liturgicznego, historyę i literaturę samejże nauki liturgii), a następnie w części I: »O środkach rozwinięcia kultu« jest mowa o osobach i rzeczach liturgicznych oraz o tych modlitwach i czynnościach liturgicznych, które się powtarzają przy sprawowaniu różnych obrzędów. Mówiąc o liturgii Kościoła katolickiego, trzebaby właściwie mówić o liturgii według wszystkich obrządków, tak zachodniego jak i wschodniego Kościoła (katolickiego); autor jednak głównie ma na myśli obrządek rzymski, najbardziej rozszerzony, co do innych, to przy sposobności większe lub mniejsze objaśnienia dodaje. Przy wyliczeniu obrządków (I, 38) znajdujemy obrządek georgiański, tymczasem mówiąc o języku liturgicznym (III, 309) autor powiada, że tej liturgii dla wielu ważnych błędów do katolickich zaliczać nie można. Nadto zapomniano przy wyliczeniu obrządków wspomnieć o obrządku italo-greckim (greckim czystym) i obrządkach zakonów poszczególnych, jak: Kartuzi, Dominikanie, Karmelici Trzewiczkowi oraz (co do brewiarza) Benedyktyni. Spodziewamy się jednak wyczytać historyę tych wszystkich od rzymskiego odmiennych obrządków w ostatniej części dzieła. We wstępie mamy wiadomość o Kongregacyi Obrzędów w Rzymie i o jednej z jej najważniejszych agend t. j. przeprowadzaniu procesów beatyfikacyjnych i kanonizacyjnych, przyczem zauważyć należy, że liczba kardynałów należących do tej Kongregacyi nie jest stale określoną, ale większą, niż 24 (obecnie wynosi 30), że zakrystyanem papieskim nie tylko był ale i jest zawsze Augustyanin, będący biskupem tyt. porfiryjskim, że jak Barnabici dla pamięci Gawanti'ego a Teatyni dla pamięci Meratiego, tak Benedyktyni dla pamięci Dom Guérangera mają zawsze jednego ze swego zakonu konsultorem Kongregacyi Obrzędów [1], że wre-

[1] Brewe z 19 marca 1885.

szcie do kanonizacyi nie zawsze wystarczają dwa cuda dokonane po beatyfikacyi, ale w dwóch razach potrzeba ich aż czterech, a mianowicie, jeśli mają być udowodnione przez świadków *de auditu* a nie *de visu*, oraz jeżeli zamiast beatyfikacyi miało miejsce tylko zatwierdzenie czci od niepamiętnych czasów (jeszcze przed r. 1534) oddawanej słudze Bożemu (t. z. *causa super casu excepto a decretis Urbani VIII*). Można też dodać, że w tej materyi są dwa znane, bardzo praktycznie ułożone dzieła: jedno z nich napisał January Trama p. n. *Manuale theorico-practicum pro postulatoribus*, drugie prałat Lauri: *Codex pro postulatoribus causarum beatificationis et canonisationis*. Również i w literaturze ogólnej nie znaleźliśmy kilku dzieł znanych, jak np. Gaume: »Zasady i całość wiary katolickiej«, tłumaczone na polskie, gdzie V i VI tom poświęcony liturgice, Guillois »Wykład katechizmu«, również tłumaczony na polskie, ma tom IV cały o naszej materyi traktujący; »Liturgika« Lewartowskiego i Jachimowskiego, kilka dzieł Probsta, Bacuéz'a dwa dzieła: *Du Divin Sacrifice*, drugie *Le Saint-Office*[1]. We wstępie znajdujemy niezmiernie ważny i donośny w swem znaczeniu rozdział o »Zwyczaju w liturgii«, ale o tem powiemy słów kilka niżej.

Po wstępie idzie część I dzieła (wszystkich ma być sześć) a rozpoczyna ją traktat z natury rzeczy najkrótszy o osobach liturgicznych. Tu przy archiprezbiterach nie znajdujemy wzmianki, iż obecnie są to kapłani będący w niektórych dyecezyach (francuskie, czeska, ołomuniecka) na czele okręgów obejmujących kilka dekanatów; podobne stanowisko mieli u nas dawniej archidyakonowie (krakowska dyecezya miała 5 archidyakonatów).

Po rozdziale poświęconym pierwotnym kościołom oraz po opisie katakumb jest mowa o architekturze kościelnej. Mówiąc o kopułach 5 w stylu bizantyńskim, możnaby dodać fakt, zanotowany przez kard. Pitrę w jego notatkach z podróży po Rosyi. Oto na pytanie, co te kopuły oznaczają, odbierał wszędzie jednakową odpowiedź, iż wyobrażają one pięć patryarchatów większych, i że kopuła środkowa, największa i najwspanialsza oznacza patryarchat rzymski — żywe i wymowne świadectwo dawnej Cerkwi wschodniej jedności z Rzymem przed odpadnięciem jej w schizmę.

Czytając wiadomość o bazylikach i dowiadując się, ile to po różnych krajach jest świątyń zaliczonych do bazylik mniejszych, dzi-

[1] Nazwa trochę niedokładna, bo możnaby mniemać, że tu mowa o Kongregacyi Inkwizycyi.

wimy się, dlaczego u nas o takich kościołach nie słychać, nawet świątynia na Jasnej Górze, choć afiliowana do bazyliki liberyańskiej w Rzymie [1], a więc uczestnicząca w jej odpustach, nie wiemy, czy jest bazyliką. Obszerną wiadomość o przywilejach bazyliki, sposobie podniesienia kościołów do ich godności podaje ks. Battandier w swym *Annuaire Pontifical catholique* 1900. Mówięc o kościołach kollegiackich dodajmy, że jeżeli nie są parafialnymi, nie można w nich bez osobnego pozwolenia przechowywać *Sanctissimum* (Kongr. Sob. z 7 września 1652); a także i ten szczegół dorzućmy, że o prawie przytułku jest w języku polskim wyczerpująca rozprawa prof. Heyzmanna, ogłoszona w jednym z tomów Pamiętnika krak. Akademii Umiejętności.

Opisawszy kościół, przechodzi »Wykład liturgii« do najważniejszej w kościele rzeczy, do ołtarza, i wspomina, że w bazylice watykańskiej jest 7 ołtarzy, za których nawiedzenie zyskuje się odpusty, i że taki przywilej (z pewnem ograniczeniem) mają i inne kościoły, w których owe ołtarze oznaczone bywają tablicą z napisem: *Unum ex septem.* Dodać trzeba, że takie kościoły są i u nas w Polsce, np. katedra krakowska miała 7 ołtarzy odpustami nadanych d. 8 list. 1757, ale tylko na lat 10; czy potem to nadanie przedłużono — nie wiemy, ale to wiemy, że znaczenie tego napisu: *unum ex septem,* jest u nas mało znane i niekiedy mylnie brane, jako oznaczenie *altaris privilegiati pro defunctis.*

Dalej mowa o przynależytościach ołtarza, a wśród nich wiele przedmiotów, o których się prawie nie słyszy, a jednak w dawnych czasach często napotykanych, jak: cyborum ołtarzowe (dach w kształcie piramidy, dzwonu lub wieży, wsparty na kolumnach nad ołtarzem, np. w bazylice watykańskiej nad konfesyą lub u nas nad trumną św. Stanisława), kortyny (zasłaniające ołtarz w przestrzeniach między owemi kolumnami), korony zwieszające się ze sklepienia cyboryum nad ołtarzem, baldachin nad ołtarzem nakazany i przez ceremoniał biskupi i niejednokrotnie przez Kongr. Obrzędów (jeśli niema cyboryum ołtarzowego) a jednak poza Rzymem często nie znany, konopeum, której to osłony brak w tylu kościołach na tabernaculum; armarium w ścianie, zastępujące dawniej tabernaculum (na str. 440 w tomie I mamy rysunek takiego zabytku, znajdującego się w Zielonkach pod Krakowem), fenestella czyli mała szafka w murze na przedmioty do Mszy św. (są one np. przy ołtarzach bocznych

[1] Cf. Ulanecki: »Pamiątka z Częstochowy«.

w opactwie benedyktyńskiem na Emaus w Pradze). Jako wzór piękny, szkoda że nie podano kratek z marmuru kararyjskiego przedziwnie rzeźbionych w bazylice na Fourvière w Lyonie, na których rysunek składają się krzyże, snopki pszenicy i grona winne, które dzióbią gołąbki — zaprawdę! na kratę do komunikowania trudno było na piękniejszy pomysł się zdobyć.

Po obszernym traktacie o świetle w kościele przechodzimy do plastyki na usługach liturgii, rozdziału wielce pożytecznego i dla liturgistów zawodowych i dla ludzi świeckich, zajmujących się dziełami sztuki lub ich konserwacyą po kościołach. Jeżeli pierwszym nie powinna być obcą historya sztuki kościelnej choćby w zarysie, drudzy muszą znać koniecznie »zadania plastyki w usłudze liturgii i jej przymioty«, oraz »główne zasady ikonografii chrześcijańskiej«. Rozczytanie się w obu tych rozdziałach »Wykładu liturgii« przyczyni się do poznania wartości niejednego zabytku sztuki i usunie nieraz powód do niepotrzebnego sporu między rządcą kościoła a konserwatorem zabytków. Ważne są też uwagi o wydawnictwie obrazków popularnych. Zajmowało się niem u nas uśpione od lat wielu Towarzystwo św. Łukasza w Krakowie, a sprawę tę poruszono na kongresach maryańskich międzynarodowych we Fryburgu i Rzymie, wykazując, jak wielkie usługi religii i pobożności mogą oddać obrazki popularne pod warunkiem, jeśli z wiernością tradycyi ikonograficznej połączą wartość estetyczną. Mówiąc o dekoracyi wewnętrznej ścian i jego sprzętów nie wspomniano o tym jej rodzaju, który kierując się jednolitym planem, wszystką dekoracyę odnosi albo do osoby patrona kościoła, opowiadając jego życie, cnoty i prace, albo wyjaśnia tajemnicę, będącą tytułem kościoła. Taką dekoracyę ma np. bazylika na Fourvière w Lyonie: w kościele tym ku czci Matki Bożej, w dowód wdzięczności za łaski przez nią otrzymane wystawionym, cała dekoracya jest jednym hymnem dziękczynnym Panu Bogu za łaski i przywileje Bogarodzicy udzielone i za dobrodziejstwa za Jej pośrednictwem otrzymane. Tą samą myślą kierował się Matejko w polichromii kościoła Maryackiego w Krakowie, a świeżo ukończona dekoracya najstarszego z kościołów franciszkańskich w Polsce ciągle myśl widza zwraca do osoby Patryarchy asyskiego. Na str. 1058 jest przepis, by na ołtarzu znajdował się krzyż i tu się przypomina szczegół mało znany, że w kościele prymacyalnym w Lyonie znajdują się na wielkim ołtarzu 3 krzyże: jeden w środku, jak zwykle, a dwa zatknięte na krańcach ołtarza, co nie jest bynajmniej właściwością obrządku lyońskiego (odmiennego

od rzymskiego), tylko pamiątką unii Kościoła greckiego z rzymskim, dokonanej na II soborze lyońskim r. 1274.

W rozdziale o relikwiach jest mowa o *Agnus Dei,* poświęcanym przez papieża, ale wyznajemy, że na dzieło tak dokładne jak praca ks. prałata Nowowiejskiego, wiadomość ta jest za szczupłą. Ciekawych w tej mierze odsyłamy do monografii o *Agnus Dei,* zamieszczonej w *Annuaire Pontifical catholique* 1901.

Na str. 1159 pisze autor, że biskupi mogą ustępować tronu swemu sufraganowi. Przepis ten jednak został r. 1899 (a więc po wydrukowaniu tomu I) zniesiony, a odnośne orzeczenie znajdujemy też w tomie III na str. 414, co jednym dowodem więcej tej staranności, jakiej czcigodny autor nie szczędzi, by jego dzieło odpowiadało wszelkim wymogom. Dowiadujemy się także (str. 1166), że siedzenia dla kleru w prezbiteryum (np. dla celebransa i jego asysty) nie powinny mieć kształtu krzeseł i foteli pokojowych, mimo że praktyka nieraz zdaje się o tem nie wiedzieć.

Pod koniec tomu I jest pełen różnych ciekawych szczegółów traktat o dzwonach.

Tom II rozprawia o ubiorze kleru i szatach liturgicznych oraz naczyniach świętych. Ktokolwiek zajmuje się wyrobem jednych lub drugich niechże zapozna się z nim dokładnie, a mamy tu na myśli także i panie należęce do Bractwa Przenajśw. Sakramentu, których pracą i staraniem bywają ubogie kościoły zaopatrywane. Można się tu dowiedzieć również o niektórych przyborach liturgicznych, dziś już nie używanych, jak nóż i szczypce eucharystyczne, cedzidło do wina. Na str. 103 autor wspomina, że barwę aparatów niebieską zachowała Hiszpania, nie dodaje jednak, iż używa jej tylko w uroczystości Niepokalanego Poczęcia i przez oktawę, oraz w wotywach o Niepokalanem Poczęciu. Dopóki ten przywilej i na inne kraje rozciągniętym nie będzie, nie wolno nigdy używać paramentów tej barwy.

Autor wspomina, że u Greków są dwie barwy: biała i czerwona; tu możnaby dodać, że w Aktach synodu prowincyonalnego lwowskiego z r. 1891 czytamy, iż są cztery barwy przepisane: biała (a tu zalicza się i złota, srebrna i biało-kwiecista), czerwona, fioletowa, czarna. Używają się one podobnie jak w obrządku rzymskim, z niektóremi jednak różnicami, i tak białej używa się zawsze w niedziele, choćby przypadło święto Męczennika oraz w nabożeństwach żałobnych w tygodniu wielkanocnym. Czerwonego koloru można używać zamiast czarnego, w braku czarnych paramentów. Fioletowego zaś używa się także

w uroczystości Matki Bożej Bolesnej, św. Krzyża, Ścięcie św. Jana Chrzciciela, nadto i wtedy, kiedy i w obrządku łacińskim. Mówiąc o sutannie zw. *zimarra* (z pelerynką i drugiemi po łokieć rękawami) należało dodać, że ona jest uważaną we Włoszech za symbol jurysdykcyi, zaczem nosi ją np. wikaryusz generalny, ale nigdy nie używa jej kanonik lub choćby protonotaryusz apostolski jako taki. W dyecezyach niemieckich i czeskich uważa się *zimarra* za odznakę udzielaną przez biskupa i stamtąd w tym charakterze przeszła do Galicyi.

Trzewiki papieskie są barwy białej w tygodniu wielkanocnym.

Biskupi krakowscy (str. 434) racyonału haftowanego przez królowę Jadwigę nie tylko używali, ale i obecnie go noszą. Mówiąc o paliuszu nie dodano, że czasami biskupi otrzymują osobiste prawo używania paliusza; jest to bardzo wielkie odznaczenie, jakie spotkało np. sędziwego biskupa Szymona Aichnera, autora znanego *Compendium* prawa kanonicznego.

Jeżeli mający prawo noszenia paliusza ma być pochowanym poza swą dyecezyą, wówczas paliusz daje się mu do trumny pod poduszkę, z powodu, że poza obrębem terytoryum swej jurysdykcyi paliusza nosić na sobie nie wolno.

Do tyar papieskich (już po wydaniu tomu II) przybyła jedna: szczerozłota, ofiarowana Leonowi XIII ze składek wiernych w 25-tą rocznicę jego potyfikatu.

»Papież nosi kapę (wielką) aksamitną czerwoną« (str. 479); dla dokładności, szkoda że autor nie dodał, iż bierze ją tylko na jutrznię Bożego Narodzenia, jednak od lat blizko 500 praktyka ta wyszła z użycia, które miało najczęściej zastosowanie w XIV wieku.

Co do kapy wielkiej kardynałów należy dodać, że kardynałowie zakonnicy noszą ją wełnianą, że barwa jej odpowiada ich habitowi zakonnemu (wyjątek tu tworzą *clerici regulares*), że i świeccy kardynałowie noszą kapę wełnianą w W. Piątek i w czasie między zgonem papieża a wyborem nowego, że wreszcie tren kapy mają rozpuszczony z wyjątkiem t. zw. *capella cardinalizia* t. z. nabożeństwa odprawianego wobec św. Kollegium ale w nieobecności papieża.

Nowe rozporządzenie zawarte w *motu proprio* Piusa X z 21 lutego 1905 r. odnosi się do używania Pontyfikaliów, o których ks. Nowowiejski mówi na str. 356 i nast. t. II. Pisząc to, rzecz jasna iż o owem rozporządzeniu wiedzieć nie mógł, ale nie uszło ono jego uwagi, zamieścił je w t. III str. 415 i 416, tak, że owe oba miejsca nawzajem się uzupełniają.

Tom III »Wykładu liturgii« porusza kilka spraw żywotnych; wszystkie one wypływają z tego zasadniczego pytania: jakim ma być w liturgii stosunek zwyczaju do prawa pisanego, na które to pytanie bardzo często słyszy się odpowiedzi, podyktowane raczej osobistem zapatrywaniem, własnym gustem, niż spokojnem a wszechstronnem zbadaniem sprawy. Mówiąc tu o księgach, muzyce, śpiewie i językach liturgicznych, zastanawia się Dostojny autor nad powagą rytuału rzymskiego i piotrkowskiego, wykazuje, że nie każda muzyka kościelna jest zarazem muzyką liturgiczną i świętą, uzasadnia racye dlaczego w tych a nie innych językach sprawuje się służbę Bożą. Fundamentem, na którym się opierają owe traktaty, jest wspomniany już wyżej jeden z początkowych rozdziałów tomu I o zwyczaju liturgicznym, jasno tłumaczący, jakie zwyczaje winny być przestrzegane, jakie można zachowywać, a jakie z nich są tylko *nadużyciem*, które wprawdzie ostrożnie i roztropnie, ale prędzej lub później usunięte być powinno. Sama starożytność zwyczaju braku innych wymogów nie zastąpi i chociaż przeszkadza nieraz silniej w usunięciu nadużycia, to nie obdarza go jednak nietykalnością a bez zgody ustawodawcy zwyczaj faktyczny w liturgii nie zamieni się w zwyczaj prawny, Są te prolegomena konieczne do zgłębienia dla tych zwłaszcza, co albo chcą o powadze rytuału piotrkowskiego wyrobić sobie sąd poważny, lub też orzec, ażali muzyka kościelna u nas jest tylko kościelną (dlatego że jest w Kościele), czy też zarazem jest i liturgiczną t. zn. odpowiednią wymogom prawa liturgicznego. Co do pierwszej kwestyi (powagi rytuału piotrkowskiego), to rozprawa ks. Maryana Fulmana p. t.: »Rytuał rzymski a piotrkowski« podzieliła naszych liturgistów na dwa obozy analogiczne do tych dwóch stronnictw, jakie są wśród liturgistów wogóle co do mocy obowiązującej Rytuału rzymskiego. Jedni z nich sądzą, że ten ostatni obowiązuje wszystkich trzymających się obrządku rzymskiego, na równi z przepisami innych ksiąg liturgicznych; inni są zdania, że to tylko jest życzeniem Kościoła, aby rytuał rzymski był wszędzie używanym. Jeżeli zdanie pierwsze jest prawdziwem, to rytuał piotrkowski, którego nigdy Kongregacyi Obrzędów do potwierdzenia nie przedłożono, niema powagi prowincyonalnej księgi liturgicznej, jedno ma dyecezalne znaczenie, tam gdzie go biskupi zatwierdzili i to o ile się nie sprzeciwia rytuałowi rzymskiemu i innym księgom liturgicznym. Jeżeli zdanie drugie ma racyę, to rytuał piotrkowski ma moc obowiązującą, ale z jednem zastrzeżeniem; a to tylko w tekście zgodnym *ad amussim* z pierwszem wydaniem; późniejsze wydania zmienione jako całość po-

wagi nie mają. Zaczem ks. Nowowiejski jest zdania, że obecne rytuały piotrkowskie, jakoby tolerowane przez biskupów czekają chwili, kiedy rytuał rzymski stanie się u nas księgą obowiązującą, a zwyczaje nasze o ile nie sprzeciwiają się wprost rubrykom, zostaną jako dodatek do rytuału przez Kongregacyę Obrzędów zatwierdzone [1].

Opisawszy znaczenie i powagę ksiąg liturgicznych, wśród których o starych wydaniach w Polsce Mszałów i Brewiarzów są obszerne ekskursa, podawszy interesujące, nie wszystkim może znane, wiadomości o czci ksiąg liturgicznych, przepisywaniu ich, illuminowaniu i oprawach, przechodzi autor do muzyki i śpiewu liturgicznego i przedstawia ich znaczenie, cel i historyę. Ktokolwiek te rozdziały z uwagą przeczyta, przekona się, jak koniecznymi były regulaminy Leona XIII i *motu proprio* Piusa X. Wykonanie tego ostatniego może w niejednym punkcie nie jest rzeczą od razu łatwą, ale nie wolno zapominać, że jest to k o d e k s p r a w o m o c n y m u z y k i k o ś c i e l n e j [2], zaczem ani jego nieświadomością wymawiać się nie można, ani uważać go tylko za radę czy życzenie. A jednak nawet w punktach najłatwiejszych do spełnienia, istnieje on nieraz tak, jakby go nie było. Co łatwiej, pytamy się, czy w czasie Prefacyi i *Pater noster* wstrzymać się organiście od akompaniamentu, jak to Papież nakazuje, czy wtórować na organach celebransowi? Czy orkiestra na procesyi poza kościołem, jeżeli nie towarzyszy pieniom pobożnym (jak sobie Papież życzy), to musi koniecznie grać utwory świeckie, na co Ojciec św. n i e pozwala? Przypomina nam się tu odpowiedź, jaką raz usłyszał kard. Haynald. Podczas jakiejś wielkiej uroczystości znajdował się w jednym z kościołów rzymskich, w gronie wiernych, a poruszony świecką muzyką, jaką tam słyszał, rzekł zniecierpliwiony do jakiejś staruszki, obok niego będącej: *E un scandalo questa musica!* na co ona odezwała się: *No, Monsignore, no e scandalo, ma una allegrezza religiosa.* Tego samego zdania, co owa staruszka, jest bardzo wiele osób, ale niechże się one na to zgodzą, że w czasie służby Bożej śpiew i muzyka m u s i być liturgiczną, nie teatralną, a wykonanie rozkazu papieskiego jest kwestyą posłuszeństwa, a nie gustu osobistego.

Dział VII traktujący o języku obrzędowym, jest historyczno-apologetyczną odpowiedzią tym, coby pragnęli, iżby służba Boża była

---

[1] Niezgodności z rubrykami ma rytuał piotrkowski 15, ale znaczna ich większość jest tego rodzaju, że uchodzi uwagi wiernych.

[2] Słowa dekr. Kongregacyi Obrzędów z 8 stycznia 1904.

w językach narodowych sprawowaną; w pewnem pokrewieństwie z nimi, (choć może o tem nie wiedzą) są także i ci, co chcą, by chór lub organista, podczas mszy św. przez kapłana śpiewanej, wykonywał swe partye w innym języku niż łaciński. Dając przykłady połączenia języków liturgicznych (str. 321), można przytoczyć obrządek grecko-ruski, w którym w Niedzielę Wielkanocną podczas uroczystej służby Bożej, śpiewa się ewangelię po hebrajsku, grecku, łacinie i starosłowiańsku.

Ostatni wreszcie dział części I »Wykładu liturgii« opowiada o tych modłach i czynnościach, co wchodzą w skład różnych ceremonii.

Mówiąc o Alleluja (str. 341) powiedziano, że we ferye adwentowe, suche dni, wigilie z postem i w uroczystość Młodzianków niema Alleluja; tu jednak należało dodać, że to odnosi się tylko do Mszy św., gdyż w pacierzach kapłańskich, jeźli to jest *tempus alleluiaticum*, nie opuszcza się nigdy na początku godzin.

Kiedy się *Ave Maria* odmawia, czytamy na str. 356, przyczem możnaby wymienić właściwość obrządku Kartuzów, zakonu odznaczającego się wielką czcią Matki Bożej, że ile razy w swych pacierzach kanonicznych i innych modłach z reguły odmawianych, mówią po cichu *Pater noster*, zawsze dodają *Ave Maria*; dzieje się to około 33 razy na dzień [1].

Kyrie eleison (str. 371) rozpoczyna się w obrządku mozarabskim każdą godzinę kanoniczną z wyjątkiem *Laudes*.

Jeżeli (str. 438) Autor powiada, że kapłan »przy każdej uroczystej celebrze z ministrami siedzi, ponieważ śpiewy te długo trwają«, to widocznem tu jest opuszczenie słów: »podczas śpiewania przez chór *Kyrie, Gloria* i *Credo*«.

Jak uwagi ks. prałata Nowowiejskiego nie uchodzą rozporządzenia najnowsze, choćby mało znane, dowodem przytoczenie na str. 417 i nast. dekretu Kongregacyi Ceremoniału z d. 23 maja 1902, normujące warunki, pod którymi można kardynałów zapraszać do celebry po kościołach w Rzymie, a trzeba też i to dodać, że »Wykład liturgii« podaje często uwagi praktyczne, za które rządcy kościołów wdzięczni będą, jak np. o świetle w kościele, budowie i restauracyi kościołów, ustrzeżenia się przed fałszowaniem paliwa, o polichromii ścian, naprawie obrazów, czyszczeniu naczyń i t. d.

---

[1] *Compte rendu du Congrès Marial à Lyon;* 1900; t. II. *Les traditions Mariales de l'ordre des Chartreux.*

A teraz z uczuciem podobnem temu, jakie mieli ceremoniarze współcześni Gavanti'emu, kiedy słyszeli ostrzeżenie biskupa, że *Gavantus praesens est*, wymieńmy zdania z »Wykładu liturgii«, na które pisać się trudno. W tytułach Papieża podano, że jest proboszczem Lateranu, choć tak nie jest, podobnie jak biskup nie jest proboszczem parafii katedralnej. Nazwanie Papieża (str. 102 t. I) patryarchą Kościoła Wschodniego, uważamy za *lapsus calami*, gdyż Ojciec św. jest Patryarchą Kościoła Zachodniego.

Obraz Matki Boskiej Kodeńskiej n i e jest kopią wizerunku w Guadalupe w Meksyku, jedno obrazu w Guadalupe w Hiszpanii; dodajmy, że i historya i rysunek obu tych obrazów: hiszpańskiego i meksykańskiego są między sobą zupełnie różne.

O legendzie o przewiezieniu 32 wozów (zwykle mówią 28) z relikwiami przy konsekracyi Panteonu, pisze Antoni de Waal [1]: że to opowiadanie, iż Papież (Bonifacy IV) kości męczenników na 28 wozach przywiezione, złożył pod ołtarzem, jest bajką *(eine Fabel)*; Horacy Marucchi jest zdania [2], że tu nie miało miejsca przeniesienie ciał, jeno drobnych przedmiotów, które się dotykały relikwii lub grobów świętych; nasz autor tej kwestyi nie wyjaśnia.

Historyę modlitwy »Anioł Pański« nowsze badania nieco inaczej przedstawiają, niż to Autor (str. 1280, t. I) uczynił [3]. Wiadomość o jej wprowadzeniu przez bł. Urbana II i Grzegorza IX uważa się za niekrytyczną. W sprawie dodatku trzy razy »Wieczne odpoczywanie« do modlitwy »Anioł Pański« wspomnianego w uwadze 2) na str. 1280, odsyłamy ciekawych do rozprawy ks. Augustyna Błachuta p. t. »Mało znany przywilej Piusa IX dla Polski« [4], gdzie też podano tekst breve Piusa IX, wydanego na prośbę ks. Aleksandra Jełowickiego. Na mocy tegoż breve wszyscy wierni w Polsce oraz wszyscy Polacy gdziekolwiek bądź będący, za każde odmówienie »Anioł Pański« (choć nie klęcząc i nie na głos dzwonu) mogą pozyskać odpust, byleby dodali trzykroć: »Wieczne odpoczywanie racz im dać Panie, a światłość wiekuista niechaj im świeci.

Bł. Jakób Strepa był arcybiskupem halickim nie zaś lwowskim (t. II str. 318).

---

[1] *Der Rompilger*; Freiburg im Br. 1895, str. 133.

[2] *Éléments d'archéologie chrétienne;* 1900, t. I str. 101 i 102.

[3] Tomasz Esser: *Das Ave Maria-Läuten u. der „Engel des Herrn" in ihrer geschichtlichen Entwikelung.* P. *Historisches Jahrbuch.* München, 1902.

[4] »Księga pamiątkowa Maryańska«. Lwów 1905, str. 27—35.

Tylko Karmelici dawnej obserwy mają swój własny obrządek (t. III str. 155), bosi trzymają się rzymskiego.

Oto sprawozdanie z pierwszych trzech tomów dzieła ks. prałata Nowowiejskiego; dokładniejsze podadzą pisma fachowe teologiczne. Obecnie drukuje się tom IV o modlitwie brewiarzowej; do końca dzieła jeszcze nie tak prędko, ale wiek i zamiłowanie autora dodają otuchy, iż spełni się gorące życzenie czytelników i ta benedyktyńska praca, poświęcona »teologii w jej najpiękniejszej formie« pomnoży jej znajomość i zamiłowanie do niej w Polsce.

Maryan Bartynowski.

Z nowszych powieści polskich.

Feliks Jabłczyński: »Romans«. — Wincenty Rapacki: »Około teatru«. — J. S: »Kasztelanka«. — Irena Mrozowicka: »Złote mosty«. — Marya Rodziewiczówna: »Ioan. VIII 1—12«. — T. Jaroszyński: »Miasto«. — Ludwik Stasiak: »Trzecie humoreski«.

Dzień, w którym pojawił się »Romans« [1], powinienby autor nazwać feralnym, tak ten zbiór nowel i szkiców przeszedł bez wrażenia i zwrócenia na siebie uwagi. A szkoda! gdyż powinno się było stać przeciwnie; »Romans« zajmuje między ostatniemi wydawnictwami poczesne miejsce. Znajdujemy w nim myśli, a tych tak często brak w innych belletrystycznych utworach. Prawie wszystkie zawarte w »Romansie« prace, zajmują się analizą uczuć i objawów życiowych. Ta analiza obraca się około rzeczy poważnych, n. p. w nowelach »Około śmierci«, »Przy robotach«, »Eustachiusz«, a także i codziennych, zwykłych, nawet trochę dziwacznych, n. p. »Pantofle«.

W obiorze i opracowaniu takich tematów leżało niebezpieczeństwo. Autor mógł się stać nudnym, suchym lub szablonowym; tego niebezpieczeństwa szczęśliwie się ustrzegł. Znajdzie się wprawdzie tu i tam jakaś mało ciekawa obserwacya, n. p. dłuższa refleksya na temat: wszyscy ludzie mają nosy między oczami (str. 7), takich rzeczy jest jednak mało. Poza tem jest autor wogóle oryginalnym, idzie głęboko, maluje żywo i okazuje niezwykle bystrą obserwacyę życia, to też prawda życiowa bardzo wiernie pochwycona. Wystarczy prze-

[1] Feliks Jabłczyński: »Romans«. Warszawa — Kraków. Gebethner i Wolff. 1905, str. 411.

czytać n. p. na str. 59 charakterystykę religii, jak ją pojmują dewotki lub nie rozumiejący jej ducha ludzie, a dziwić się wypadnie, skąd autor to wszystko wie. Ten sam talent obserwacyjny daje się spostrzec i w innych obrazach o mniej ważnym temacie; tak fakt, że pan Bonifacy, pedant i skończony dziwak, spostrzegł rano, »że jego piękne, safianowe pantofle, które zawsze, ale to bez wyjątku zawsze, stojąc przy łóżku, miały nosy zwrócone na pokój, a pięty do łóżka, tym razem najbezczelniej stały w pozycyi wprost odwrotnej« (375), dał mu okazyę do napisania wcale ciekawej noweli, która do końca uwagę na uwięzi trzyma.

A jednak nie można »Romansu« każdemu dać do ręki. Pan Jabłczyński jest dzieckiem swego wieku; w najważniejszych kwestyach życiowych, jak w kwestyi religii lub celu życia, nie wzniósł się ponad bezkrytyczny ogół. O niektóre zapatrywania możnaby się z nim kłócić — dysputa byłaby bardzo ciekawa; — na rozwiązanie innych kwestyi trzeba się naprawdę oburzyć. Wieje z tych kart nieuzasadniony pesymizm, i o ile chodzi o pytania najważniejsze, dziwnie płytki sceptycyzm, jak n. p. w noweli »Około śmierci«. Wystarczyło wziąć do ręki jakąś dobrą filozofię lub etykę, a z pewnością nie wyrwałoby się autorowi zdanie »o bezdennie głupiej bezcelowości cierpień, których nie usprawiedliwia żaden cel« (str. 111), a i jego bohater nie straciłby tak prędko wiary po takiem dziwnem zdaniu Karwickiego, który, według słów noweli, nie posiadał wiele wykształcenia (str. 114): »to już koniec... wszystkiego« (str. 117).

Nie myślimy bynajmniej twierdzić, że wszystkie zapatrywania, głoszone w tej książce, są zapatrywaniami autora, owszem może go nawet tłumaczyć fakt, że przedstawia zblazowanych ludzi XIX-go wieku; to samo jednak, że nigdzie przeciwnych zapatrywań nie głosi, zdaje się mówić, że się do nich skłania. A szkoda to wielka!

Życzliwie za to przyjęto w krytyce »Około teatru« [1] i słusznie. Dwa przedewszystkiem dodatnie przymioty cechują ten zbiór szkiców i obrazków. Mamy tu rzeczywistość, oddaną tak szczerze i serdecznie, że możemy z niej poznać naprawdę życie artystów i artystek dramatycznych. Autor, nie pisząc powieści, lecz osobiste wspomnienia, nie poszedł też śladem powieściopisarzy; jego postacie nie są postaciami

[1] Wincenty Rapacki: »Około teatru. Szkice, obrazki, wspomnienia«. Serya I i II. Kraków. Spółka Wydawnicza Polska. 1905, str. 264.

owianemi jakąś tajemniczością, poetycznym nimbem, nie są nadludźmi, lecz ludźmi zwykłymi, o tych tylko odrębnych rysach, które poszczególne zajęcie lub powołanie stwarza. To jest już wielką zasługą, gdyż romans pojmuje teatr zwykle całkiem inaczej. Za większą jeszcze zasługę poczytujemy autorowi optymizm, jaki z każdej karty jego szkiców wieje. Przyzwyczajono nas w aktorach i aktorkach, szczególniej teatrów prowincyonalnych, widzieć przeciętnie moralne zera. Intrygi, zawiść, zazdrość, obojętność dla sztuki, a zajmowanie się nią o tyle tylko, o ile dawała chleb, trochę podkasanej muzy, to recepta, według której stwarzano powieści i nowele z tego środowiska. I u Rapackiego znajdują sie takie ujemne typy, są one niestety! wszędzie, gdzie żyje człowiek, olbrzymia jednak większość postaci to typy pogodne, szlachetne, a prawie wszystkie żyjące dla sztuki i uprawiające ją z zamiłowaniem. Jak codzienne, zwykłe życie jest oryginalnem, jak rozmaitem, jak wzrusza lub pobudza do śmiechu, — to wszystko wykazał autor, a wykazał szczęśliwie i za to wdzięczność od każdego czytelnika mu się należy. Czytelnik zaś, którego obchodzą losy i przeszłość teatru polskiego, podziękuje autorowi jeszcze i za to, że tą garścią wspomnień uratował od zapomnienia tych, którzy tyle zasług około teatru polskiego położyli.

Poświęconą przez autorkę »ludowi wielkopolskiemu« powieść p r u s k ą, mamy w »Kasztelance« [1]; ludowi wielkopolskiemu też najwięcej odpowiada, gdyż nie tylko w przeważnej części na gruncie Wielkopolski się odgrywa, ale daje równocześnie obraz dzisiejszego prześladowania, które się rozpoczęło już w dalekiej przeszłości. Treść powieści bardzo urozmaicona: wybór Łokietka na króla Polski, koronacya w Krakowie, zdrada Wincentego z Szamotuł i jego nawrócenie, walki z Litwą i ich zakończenie przez ślub królewicza z córką Giedymina, Aldoną, powrót jeńców z niewoli litewskiej, intrygi i knowania Niemców i Krzyżaków, wojna z Mazowszem, Brandeburgią i Krzyżakami, zakończona świetnem zwycięstwem pod Płowcami, kilka wiernych i szczęśliwie zakończonych miłości, kilka morderstw i zbrodni skutkiem nieszczęśliwej lub zawiedzionej miłości popełnionych — czy tego nie za dużo na jeden tom? Zdaje się, że tak, gdyż wiele scen jest właściwie tylko naszkicowanych, nie odrzynają się one od

[1] J. S. »Kasztelanka«. Powieść z czasów Władysława Łokietka. Lwów — Altenberg. 1905, str. 459.

ogólnego tła, brak im tej wyrazistości, której wymagamy od powieści, a szczególniej historycznej. Najlepiej jeszcze wypadły opisy i to nie ludzi lub miejsc historycznych, gdyż te nie są dość barwne i plastyczne, lecz dawnej przyrody polskiej, lasów i puszcz, i niektórych zwyczajów; tak n. p. udatnie jest namalowane wesele Spytka i Świętochny.

Jeżeli jednak ktoś się zapyta, dla jakich czytelników powieść jest przeznaczoną, nie łatwo znajdzie odpowiedź i ta okoliczność osłabia wartość tendencyą swoją tak zacnego utworu. Treść sama i częściowe przeprowadzenie zdawałyby się wskazywać, że »Kasztelanka« przeznaczona dla czytelników inteligentnych i krytycznie wyrobionych; tu i ówdzie, a nie zawsze fortunnie, w tok opowiadania wplecione uwagi i przedewszystkiem technika, użyta przez autorkę, każą się domyślać, że powieść skierowana do mas.

Zwracamy tu też uwagę na jeden, naszem zdaniem, zasadniczy błąd: brak prawdopodobieństwa. Trzykrotne n. p. uratowanie Bożenki przez Bożywoja i jej uwolnienie z niewoli litewskiej i z oblęganego przez Krzyżaków Raciąża za wiele wymaga od nas wiary; w możliwość takiego faktu, jakim była nocna wizyta Wincentego z Szamotuł w obozie Łokietka, w tych okolicznościach też trudno uwierzyć; te czerwono błyszczące lub spadające na złą wróżbę gwiazdy, gasnące przy zamiarze krzywoprzysięstwa świece, to nie bardzo dla dzisiejszych wymagań wdzięczny i podatny materyał. Wałęsanie się pojedyńczych Krzyżaków po całej Polsce i to w czasie wojny, nasyłanie szpiegów na cały kraj, i to szpiegów, o których wszyscy wiedzą, że są takimi, nie wiedzą tylko ci, do których oni są wysłani, było może łatwiejsze w owych czasach, jak dzisiaj, ale nie w tym obrazie minionych wieków, jaki nam nakreśliła autorka. To wszystko obniża znaczenie powieści; kto jednak pod tym względem nie ma za wysokich wymagań, przeczyta ją z zainteresowaniem i korzyścią.

»Każdy zdobyć się może na zbudowanie sobie złotego mostu, który przeprowadzi go ponad wszystkie życiowe otchłanie. Na to... wystarczy mieć w duszy gorące ukochanie wszystkiego, co dobre i piękne« (str. 13); tem »dobrem i pięknem« jest poważne pojmowanie życia i sumienne pełnienie, choćby i ciężkiego obowiązku. Te myśli rozwija powieść p. Mrozowickiej [1]; niema więc potrzeby dłużej nad

[1] Irena Mrozowicka: »Złote mosty«. Powieść. Kraków. Spółka Wydawnicza Polska. 1906, str. 214.

niemi się rozwodzić, mówią same za siebie. Chodzi tylko o to, jak te myśli przeprowadzone zostały.

Tu nasuwa się od razu uwaga, z której jednak autorce bynajmniej zarzutu nie robimy, że powieść nie daje lektury lekkiej, z początku jest ona nawet dość nużącą; kto jednak nie zrażony tą trudnością, szuka nie tylko przyjemnego zabicia czasu, ale i poważniejszej rozrywki, będzie p. Mrozowickiej za jej pracę szczerze wdzięcznym. Powieść, i to jest naszem zdaniem jej największą zaletą, wyodrębnia się od wielu innych przez swój szlachetny ton, w jakim jest trzymaną. Przedstawia ona różne przecież typy, a jednak nie czuć w nich zgrzytu nienawiści lub bezlitosnego sarkazmu; jest tam optymizm lub głęboka litość dla błędów ludzkich, litość taka, która przecież nie osłania win, nie tłumaczy ich i nie przyobleka ich w tęczowe kolory.

Taki n. p. malarz Gończak lub artystka Rena, choć ona jest jeszcze, przynajmniej z początku, najwięcej m o d n ą, zjednają sobie od razu czytelnika; znajdujemy w nich, poraz pierwszy znowu od dłuższego czasu, cyganeryę artystyczną nie w separatkach przy absyncie, koniaku i czarnej kawie, ale ze zdrową wiarą i żywą nadzieją w szczęśliwą przyszłość, z różowym poglądem na świat i życie; a choć z drugiej strony postacie Wyszomirskiego, pani Mety lub Bodzia nie mają w sobie nic dodatniego, to jednak nie rzucają one gromem potępienia na cały stan lub klasę, mogą uchodzić za charaktery, spaczone przez życie, dlatego, że nie umiały lub nie chciały zbudować sobie tych »złotych mostów«, ale nie są typami. I nie czuć w nich tego gryzącego sarkazmu, który niszczy zamiast budować, i który nasuwa często myśl, że autorowi brakło silniejszej broni.

Na pierwszym planie stoi, rozumie się, bohaterka powieści, Iza. Może jest ona trochę za idealna i szlachetna, w myśl dawnych poglądów, każących dodatnie czynniki udoskonalać do możliwie najwyższych granic, aby tym sposobem, przeciwstawiając je elementom ujemnym, uwydatnić prawdę danej tezy, lepiej jednak mieć do czynienia z tą idealnością, jak zstępować do bagna. Całe życie, które jej nie szczędziło trudu i bólu, budowała ona swoje »złote mosty« i choć utrudzona, szła jednak po tych mostach przez życie czysta i zwycięska. Raz tylko, w chwili bezbrzeżnego smutku i cierpienia, stanęła nad przepaścią, gdzie pozorne szczęście ją ciągnęło, uczyniła pierwszy krok, który niewątpliwie zaprowadziłby ją aż na dno, ale głos obowiązku powstrzymał ją na pochyłości i kazał iść dalej po ciężkiej drodze.

I poszła, pozostawiając po sobie niezamącone wspomnienie i »jako złoty promień, wskazując drogę do samych dobrych, jasnych, wysokich celów« (str. 214), podczas, gdy inni, którzy także »złote mosty« budowali, wyszli z życia zwyciężeni i z połamanemi skrzydłami, bo te mosty pozornie tylko były złotymi. Więc i przeprowadzeniu idei nie wiele zarzucić można, a akcya rozwijająca się po kilkudziesięciu stronnicach normalnie i zaciekawiająco i styl, który w miarę postępu powieści się udoskonala i pięknymi, a w miarę użytymi obrazami wypełnia, nie pozwala żałować kilku godzin dla przeczytania książki poświęconych.

Senzacyjny tytuł powieści Rodziewiczówny[1] każe najpierw każdemu wziąć do rąk »Nowy Testament« i szukać zaznaczonego przez autorkę ustępu — potem już przeciętny czytelnik i do samej książki się zabierze, bo historya jawno-grzesznicy, do której tytuł nas odsyła i ostatni wiersz, »kto z was jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci na nią kamieniem«, nasuwa przypuszczenie, że powieści nie zabraknie pieprzu i gorczycy. Romans Rodziewiczówny jest naturalistycznym przedewszystkiem w obiorze tematu. Żona strażnika kolejowego Gedrasa, rzuca się pod koła pociągu, bo jakiś szatan zburzył jej szczęście domowe, zaznajamiając męża z jej ciemną przeszłością, którą zawdzięczała we dworze »paniczowi«; Gedras, który już przedtem w fabryce utracił rękę, został stróżem we dworze p. Zaremby, znalazł na drodze umierającą kobietę i wziął jej nowonarodzone dziecko do siebie na wychowanie; niezadługo rzucił służbę, gdyż nie chciał, aby jego »znajda« bawiła się z panienką i była zabawką dla paniczów. W mieście pilnuje dziecka, które wyrosło tymczasem na piękną dziewczynę, jak oka w głowie, ale jej piękność zgotowała jej zgubę; padła ofiarą narzeczonego »panienki«, Moryńskiego. Gedras zabija uwodziciela, mordercę skazują na katorgę, dziewczyna stacza się coraz niżej, aż wreszcie umiera na grobie tego, który ją unieszczęśliwił; »panienka« zostaje żoną »starego piernika« Solnickiego, i kochana od męża zdradza go z młodym artystą, Brzechwą, szanowana przez wszystkich. Zgrzytem kończy się powieść: »jest na świecie nagroda za cnotę w uznaniu i szacunku ludzkim, jest pogarda i ohyda dla jawnego występku i obrzydzenie nawet dla takiego trupa. Tak jest!«

[1] Marya Rodziewiczówna: »Joan. VIII 1– 12«. Powieść. Warszawa — Kraków. Gebethner i Wolff. 1906, str. 316.

Trzeba autorce przyznać, że tezę swoją przeprowadziła konsekwentnie. Nad nieszczęśliwą córką Gedrasa tylko litować się można, kamieniem na nią rzucić nie można; za to każdy potępi i musi potępić Maniusię a z nią razem i opinię ludzką i sąd świata i nieznośne stosunki, wśród których takie anomalie są możliwe. Środkom jednak, jakich autorka do przeprowadzenia swej tezy użyła, można a raczej trzeba dużo zarzucić. Wprawdzie p. Rodziewiczówna unika scen drastycznych, tylko na ostatnich kartkach poszła trochę za daleko; za to taki bezlitośny, czarny pesymizm przemawia z każdego prawie wiersza, że ostateczne wrażenie jest niesłychanie przygnębiające. »Myślałam, Bóg się nademną ulitował, nad wszystką męką, com przeżyła. Nieprawda, komu zguba sądzona, to niema dla niego ni u Boga, ni ludzi ratunku« (str. 83). Ale może autorka to nawet zamierzała, gdyż przy takiem pojęciu rzeczy niesłychanie plastycznie odbija się druga część jej tezy: potępienie tych, którzyby mogli być dobrymi, a nimi nie są i to tylko z złości i własnej winy. Jest to środek efektowny, ale chyba niezupełnie dobry, gdyż charakterystyka osób powieści jest skutkiem tego jednostronna. Tylko klasy bezdomne, choć cierpią pod pręgierzem niesłusznej opinii, są zacne i szlachetne; klasy za to posiadające przedstawione z jadem i żółcią. Jest między tymi przedstawicielami z pewnością dużo przewrotności, obłudy i fałszu, ale przecież nie wszyscy są takimi, jak również nie wszyscy »bezdomni« są samą doskonałością. Powieściopisarza obowiązuje nie tylko sprawiedliwość i surowość, ale także miłość, wyrozumienie i bezstronność.

W powieści Jaroszyńskiego[1] znajdujemy myśl podobną do tej, jaką kiedyś w noweli »Moloch« rozwinął Łada; tylko w »Molochu« nie dotykała ona tylu brudnych stron miasta i nie była tak szeroko przeprowadzona. Miasto pożera wszystko, co stanie się jego łupem; nic przed niem się nie ukryje — to chyba przewodnia idea powieści. Tu leży jej zasadniczy błąd, gdyż ten obraz przedstawiający nam szmat życia i do tego jeden z najbrudniejszych, jest zbyt jednostronnym; nie każde przecież wielkie miasto jest wyłącznie kanałem. Z tej też przyczyny i tytuł jest niekoniecznie dobrze dobranym; daje za mało, stąd też powieść po przeczytaniu przygnębia i przytłacza.

Tego uczucia nie równoważą dodatnie strony utworu, których

[1] T. Jaroszyński: »Miasto«. Powieść. Warszawa — Kraków. Gebethner i Wolff. 1906. str. 357.

tu jest nie mało. A najpierw nie często w powieściach dzisiejszych spotykana plastyka. Autor jest nie tylko literatem, jest i malarzem, więc dar plastycznego przedstawienia rzeczy jest u niego zrozumiałym, ale to nie osłabia jego zasługi. Takie charaktery, jak n. p. reporter Nossek lub baronowa, uchodząca przed światem za kobietę zacną i poważną, a będącą w rzeczy wstrętną rajfurką, nie prędko wypadną z pamięci. Scenom w kawiarni, knajpie, szpitalu, laboratoryum bakteryologicznem pod względem ich wykonania, wyrazistego przeprowadzenia i życiowej, niestety! prawdy, pewnie nic zarzucić się nie da. Tylko demoniczny wpływ tajemniczego artysty na wolę Ireny nie zadawalnia, to zanadto senzacyjne, zanadto nieuchwytne, zakrawa za wiele na *deus ex machina*, choć znowu na wytłumaczenie autora powiedzieć trzeba, że u histeryczki wszystko jest możliwe.

I jedno jeszcze zasługuje naszem zdaniem na uwagę. Autor nie cofa się wprawdzie przed malowaniem scen namiętnych; nie robi jednak wrażenia, jakby się lubował w błocie. Przeciwnie! gęsto po powieści rozsypane uwagi, jak n. p. na str. 51, 97, 127, 271, 284 i innych, gdzie mówi o upodobaniach właściwych troglodytom, o uwstecznieniu psychicznem dekadentów itd., narzucają przypuszczenie, że uważa on ujemne objawy życia i sztuki za to, czem są w rzeczywistości, za anomalię; to też »nadludzie« mu nie imponują, ma dla nich słowa ostrej krytyki, a to już wielka zasługa.

Pisać o humoreskach [1] pana Stasiaka nie bardzo bezpieczna rzecz. Autor gotów odpowiedzieć humoreską w rodzaju »Majcherka« a takie pojęcie recenzenta nie każdemu przypadnie do smaku; gotów też, jak w »Powrocie na ziemię« wsadzić biednego recenzenta na samo dno piekła a i taka perspektywa podobno nie każdemu się uśmiecha; zwymyśla wreszcie, jak w »Małpie« od »obrzydłej pluskwy« i »dziennikarskiego kreta« a nie każdy takim komplementem będzie zachwycony. Mimo tych, niekoniecznie miłych widoków, odważamy się na spełnienie naszego obowiązku.

O »Humoreskach« i »Nowych humoreskach« pisaliśmy już w marcu ubiegłego roku; ówczesny sąd możemy dzisiaj wogóle tylko powtórzyć. Trzeba się z tych humoresek uśmiać, można z nich i skorzystać, i w tem ich wartość. Takie humoreski, jak n. p. »Drukarze«

[1] Ludwik Stasiak: »Trzecie humoreski«. Kraków. Spółka Wydawnicza Polska. 1906, str. 163.

lub »Dlaczego objąłem agencyę?« są w swym rodzaju wprost klasyczne; inne, jak »Małpa«, »Inspektor podatkowy«, »Dwie łąki« lub »Stronnictwo chińskie«, chociaż same w sobie dobre i głęboką prawdę zawierające, należą więcej do satyry. Za to »Americana, z kroniki dziennika« obniżają poziom książki; to ramoty.

Jeżeli jednak mamy już być szczerzy, musimy zwrócić uwagę na jedną jeszcze, naszem zdaniem, ujemną stronę »Humoresek«. Autor jest znany ze swych wysokich wymagań moralnych i z nienawiści brudu, w jakiejkolwiekby się on w literaturze objawiał formie, dlatego też rąbie tak, że drzazgi lecą na wszystkie strony, lecz również dlatego staje się zanadto surowym, może trochę niesprawiedliwym, nasuwa nawet przypuszczenie, że jak n. p. w »Majcherku«, załatwia osobiste rachunki, a tego pochwalićby nie można. Te uwagi nie osłabiają ogólnej wartości »Humoresek«: owszem, gdyby z trzech dotąd drukowanych tomików zrobić dobry wybór, mielibyśmy najlepszą rzecz, jaką w tym rodzaju polska literatura wydała.

Ks. Wiktor Wiecki.

Z piśmiennictw obcych.

Les grands poètes romantiques de la Pologne. Essais de littérature et de l'histoire. Mickiewicz — Slowacki — Krasinski. *Gabriel Sarrazin.* Paris 1906.

Po Brandesie Sarrazin jest drugim cudzoziemcem, piszącym obszerniejsze studyum o polskich romantykach. Fakt istnienia takiej książki, dzisiaj, usposabia — rzecz tak naturalna — czytelnika Polaka ku niej bardzo przychylnie, tak, że do jej rozpatrywania przystępuje się z wielkim zasobem życzliwości, z uprzedzeniem na korzyść książki i jej autora. Ta życzliwość spotęguje się niezmiernie po przeczytaniu książki. Z tak wielką, z tak gorącą, możnaby powiedzieć namiętną sympatyą Polak nie przywykł się spotykać. Może coś podobnego było w epoce następującej bezpośrednio po wypadkach roku 1831, kiedy to ideały polskie schodziły się z ideałami całej Europy, dążącej do wyzwolenia. Dziś spotyka nas obojętność albo lekceważenie albo nienawiść; u jednych Włochów tylko szczera sympatya. Otóż z tej Francyi, która bądź co bądź była nam niegdyś bardzo przychylną, z narodu, który niedyś szczerze z nami współczuł i wiele od-

dał przysług, przychodzi do nas książka, napisana z takiem ukochaniem rzeczy i spraw polskich, z takiem zrozumieniem i odczuciem naszych dążeń, jakie widzieliśmy jedynie w epoce romantycznej, w epoce wiosny ludów.

Ten fakt, sercu naszemu tak miły, utrudnia bardzo zdanie sprawy ściśle objektywne z wymienionego dzieła. Jakże mu tu wytykać braki i niedostatki, choćby znaczne, jeżeli ono z taką sympatyą o nas mówi? a jak znowu łatwo zalety jego pokazać w oświetleniu powiększającem, chwalić więcej, niż w rzeczywistości na to zasługują! Ale trudno — trzeba się z tem uczuciem rozstać, i badać książkę tak samo, jak każdą inną.

Więc najpierw co do owej sympatyi dla Polski. Otwarcie mówiąc, wolałbym, żeby jej było mniej, wolałbym, żeby się naszymi romantykami zajmowano dla nich samych, dla ich wartości i znaczenia raczej, aniżeli dla sympatyi wobec rzeczy polskich. W takim razie traktowanie rzeczy wznosiłoby się na podstawie trwalszej naukowo, aniżeli sentyment. Wolałbym, żeby się nad nami mniej litowano, a więcej ważono i uważano. Wolałbym, żeby ta sympatya nie objawiała się w takiej formie jałmużny uczuciowej. Jałmużnę, współczucie, daje się słabym; wolałbym, abyśmy ich nie potrzebowali. Ta uwaga nie zwraca się oczywiście przeciwko Sarrazinowi — raczej przeciw losom. I przeciw tym z nas, którzy tak tej jałmużny wyczekują z upragnieniem i tak się z najmniejszego jej objawu radują. Nie zwraca się też tak dalece przeciwko samemu istnieniu sympatyi polskich w książce Sarrazina, tylko może trochę przeciw formie, w jakiej się one wyrażają.

Wogóle przeciw formie omawianej książki, przeciw sposobowi jej pisania i mówienia, zwrócićby się mogły zarzuty najważniejsze. Pomimo niezaprzeczonej żywości opowiadania, pomimo, że książka jest stanowczo interesująca, zbyt często niepodobna opędzić się niemiłemu uczuciu, jakie sprawia jej patetyczna retoryka. Powód tej retoryki nie trudny jest do odgadnięcia. Leży ona bądź co bądź w usposobieniu francuskiem i we francuskim języku, który się w tym kierunku rozwijał z dawien dawna; i przeciętny pisarz francuski inaczej nie pisze. To cudzoziemca razi. Dalej: Sarrazin jakby się przejął romantycznym sposobem pisania prozą, takim, jaki jest właściwy zwłaszcza romantykom francuskim. A ten sposób już nam się trochę sprzykrzył. Nawet Micheleta styl już nam dzisiaj nie zawsze jest miły i piękny, a cóż dopiero mniejszych od niego. Taki romantyczny styl

w pośledniejszym rodzaju jest jedną z ujemnych cech książki »*Les grands poètes romantiques de la Pologne.*

Romantyczna w stylu, książka ta ma również dosyć romantycznych poglądów na różne sprawy, wyrażonych czasem naiwnie (jak np. ów okrzyk oburzenia przeciwko *le hideux argent* czasów dzisiejszych). Wyrazu »romantyczny« używając w tem miejscu w znaczeniu nieco negatywnem, rzecz jasna, że przez to samo nie określamy romantyzmu; mamy tu na myśli jedynie manierę, pozę, frazes (nie tylko stylistyczny) jako ujemny skutek, jako ciemną stronę tak świetnego zjawiska, jakim romantyzm był. Otóż takie np. zdanie, że dzieje Polski były jedną wzniosłą epopeją, nazywanie szlachty paladynami, pojmowanie Kozaków nawskróś takie, jakie mamy np. u Zaleskiego, zdania o świetności i potędze poezyi ludowej, ciągłe określanie Mickiewicza i Słowackiego jako bardów (po naszemu wieszczów), określenie takie ogólnikowe i nic zgoła realnego nie mówiące, pojęcie poety wogóle — i t. d.: tego rodzaju poglądy rozumiemy przed kilkudziesięciu laty, ale nie teraz. Pozornie głębokie, piękne i szlachetne, są one w gruncie rzeczy płytkie a nieprawdziwe. I tutaj książka sprawia nam zawód o tyle, że znamy te rzeczy do syta z naszej historyografii i krytyki literackiej, a sądziliśmy, że cudzoziemiec, w innych wzrosły pojęciach, w innych warunkach, może je nam oświetli inaczej. Wogóle cały interes, jaki dla polskiego czytelnika książka Sarrazina mieć może, polega właśnie na tej odmienności umysłu autora. Polak nie z tej książki będzie się dowiadywał o polskich romantykach, ale znając ich dobrze, znając polską o nich literaturę, ciekawy jest, jakiem będzie odbicie obrazu tego romantyzmu w duszy i w umyśle niepolskim. Z przyjemnością tedy zapisując, że Sarrazin ocenia ten okres literatury polskiej należycie, nie możemy nie zanotować, że nowego czytelnikowi polskiemu nic nie powiedział. Jego koncepcya romantyzmu nie różni się zgoła od tej, jaka jest panującą u nas. A jako cudzoziemiec mógł był nań spojrzeć trochę inaczej. Mógł go np. powiązać z romantyzmem zachodnio-europejskim. Próbkę tego, bardzo interesującą, dał w tym ustępie (str. 23 i ns.), który poświęcony jest rozpatrywaniu romantyzmu w Europie *(Des conséquences du mouvement romantique en Europe: héros et voyant),* a następnie od tego określenia przechodzi do polskich romantyków obu grup (bohaterów i wieszczów). Ten ustęp budzi u nas najwięcej zainteresowania.

Nie jest już takim, choć znowu ze względów wyżej wyłuszczonych mógł nim być, ustęp, dający ogólną charakterystykę romantyzmu

polskiego *(Principaux caractères du romantisme polonais*, str. 93—120). Autor nie oświetla tu rzeczy w sposób odmienny od tego, który znamy w naszej krytyce; nie łączy romantyzmu polskiego z innymi, do czego sposobność nadawała się znakomita. Błędnie zresztą stawia towianizm w samem centrum, od niego niejako wywodząc messyanizm, albo przynajmniej uważając go za jedno z najcharakterystyczniejszych objawień tej idei. Główne rysy romantyzmu polskiego wypisuje w tytule tego rozdziału: *le messianisme, l'appel au génie, le prométhéisme chrétien.* Pierwszemu poświęca najwięcej miejsca i uważa za znamię najwybitniejsze, za najoryginalniejszy romantyzmu polskiego wytwór. Tymczasem messyanizm w ostatnich swych konsekwencyach dogmatycznych i etycznych pojawia się właściwie we wszystkich romantyzmach, nie tylko polskim. Za daleko istotniejszą cechę uważałbym właśnie ów prometeizm chrześcijański. Ale nie tu miejsce na szeroką o to dyskusyę; tem więcej, że byłaby to dyskusya nie tylko z Sarrazinem, ale i z polskimi historykami literatury.

Tę cechę, czy ten niedostatek ksiązki, o którym mówimy, usprawiedliwiać możnaby tem, że autorowi chodziło o czytelnika francuskiego, ktory o literaturze polskiej nie ma pojęcia, więc wystarczy mú na razie pojęcie takie, jakie jest już rozpowszechnione. To rzecz inna, i o tem wspomnimy później. Bez względu jednak na cel, na warunki, mamy z a w s z e prawo pytać, co książka nam przynosi i jak to, co przynosi podaje — ze względu na jej autora. Może książka być i dobrą i pożyteczną, a mimo to o jej autorze możemy powiedzieć, że wiedzy naszej o danym przedmiocie nie posunął naprzód.

Sarrazin nie zna widocznie języka polskiego, więc literatura polska krytyczna była mu niedostępną. Prawdopodobnie też nie zna języka niemieckiego, a przynajmniej nie zna Brücknera *Geschichte der polnischen Litteratur* (chyba, że studya jego powstały przedtem). Wskutek tego informować się mógł jedynie u tych bardzo nielicznych autorów, którzy pisali w tym przedmiocie po francusku. Musiał tu brać, co było pod ręką. Skutkiem tego powołuje się między innymi na Lorentowicza i Kozłowskiego, których spostrzeżenia najzupełniej nie nowe, nie ciekawe, a czasem i błędne, są dlań przewodnikiem po tak wspaniałych obszarach, jakim są rozłogi romantyzmu polskiego. Z nieznajomości języka polskiego i z niemożności czerpania u źródła, wyniknęły też u Sarrazina różne niedokładności i pomyłki, z których dla przykładu przytoczymy kilka najważniejszych.

I tak: program filomatów doprowadził do powstania r. 1830

(str. 7: *Ce noble programme fut rempli. Il se répandit peu à peu dans toute la Pologne et aboutit à l'insurrection de 1830*). W tej formie zdanie nie da się utrzymać. Ballady Witwickiego mają być: *pleines de charme* (str. 61). Nauka Towiańskiego *c'était la pure et merveilleuse doctrine du Christ* (str. 96). O Krasińskim autor mówi, że jego mistycyzm był nieco bierny *(un peu passif*, str. 99). Tu byłoby pole do dłuższej dyskusyi, najpierw na temat, czy mistycyzm każdy nie jest w swej istocie bierny; potem, czy Krasiński był naprawdę mistykiem. Jako pewnego rodzaju przeciwstawienie do owej uwagi o Krasińskim jest określenie poezyi Mickiewicza, jako skierowanej do czynu (str. 169); gdyby autor znał Krasińskiego dokładnie, znalazłby u niego myśli najzupełniej te same. W Wallenrodzie w starości budzi się gwałtownie rasa i patryotyzm (str. 129). Żmiję Sarrazin uważa za jedno z lepszych dzieł Słowackiego i za źródło do obrazu Kozaków; na równi zaś ze Żmiją stawia Beniowskiego, w obu widzi na równi wyszukanego i błyszczącego wirtuoza tylko (str. 214, 216); Krasińskiemu do Nieboskiej Komedyi były między innemi pobudką dzieła Owena, Saint-Simona i Fouriera (str. 278), podczas gdy poeta prawdopodobnie nie znał z własnej lektury żadnego z tych myślicieli.

Z nieznajomości języka polskiego wynikło tu i ówdzie nieustosunkowanie wartości pojedynczych utworów: o Beniowskim była dopiero co mowa; za to duma o Wacławie Rzewuskim autora jakby hipnotyzowała; ballada Świteź przytoczona w całości, gdy np. o Grażynie głucho, i t. p. — co mógł poznać z przekładów, to stawało mu się więcej znajomem. Rzecz to naturalna, i nicby przeciw niej mieć nie można, gdyby wszystko było przetłumaczone i to tak, żeby odpowiadało wartości oryginału. Przekłady prozaiczne, które Sarrazin cytuje, przeważnie przez Wład. Mickiewicza wykonane, oddają wszędzie myśl doskonale, ale prozą francuską — piękności poetyckiego języka znikają. Świteź, Improwizacya, Ałuszta w nocy, Spowiedź Robaka, Król Duch, Przedświt i t. d.: wszystko przetransponowane jest na jednostajną prozę. Dla przykładu, jak wygląda takie tłumaczenie, bardzo wierne i sumienne i nic nie roniące z myśli oryginału, przytaczam parę wierszy z pieśni Wajdeloty:

Płomień rozgryzie malowane dzieje,
Skarby mieczowi spustoszą złodzieje:
Pieśń ujdzie cało; tłum ludzi obiega,
A jeśli podłe dusze nie umieją
Karmić jej żalem i poić nadzieją,
Ucieka w góry...

La flamme dévorera les peintures de l'histoire, les trésors seront pillés par les brigands porte-glaive, le chant échappera tout entier; il parcourt la foule des hommes, et s'il est des âmes viles qui ne sachent pas le nourrir de regrets, l'abreuver d'espérance, il fuit aux montagnes...

Myśl uszła cało, ale piękność cała uszła.

* * *

Takie i tym podobne zarzuty możnaby zrobić dziełu Sarrazina. Możnaby do nich dodać jeszcze jeden, natury ogólniejszej: że mianowicie czasem autor dużo mówi a mało powiada, właśnie przy takich dziełach, o których dużo można powiedzieć, jak np. przy Improwizacyi lub przy Anhellim.

Przy wszystkich jednak niedostatkach książka jest istotnie zjawiskiem bardzo ciekawem. Jeżeli zważymy, że przeznaczona ona jest dla czytelnika francuskiego, wtedy owe jej braki, któreśmy podkreślili, nie będą miały wielkiego znaczenia wobec całości. Całość bowiem daje wogóle bardzo dobre o romantyźmie polskim wyobrażenie. Autor z przedmiotem swoim zżył się bardzo ściśle; zapoznał się z nim, jak na cudzoziemca, pozbawionego możności korzystania bezpośrednio z polskiej literatury krytycznej, wprost zadziwiająco doskonale, i zrozumiał go niemal w całej pełni. Szczególniej należy tu podkreślić ustęp o Słowackim. Mickiewicz i Krasiński są uchwytniejsi w przekładach, Słowacki przedstawia tutaj trudność ogromną, a tę Sarrazin świetnie przezwyciężył. Jego obraz romantyzmu polskiego jest o całe niebo lepszy od Brandesowego, chociaż ten ostatni bądź co bądź nad Sarrazinem góruje znajomością literatur europejskich.

Ostatecznie więc książka Sarrazina, choć dla nas nie przynosi nic faktycznie nowego, choć naukowo nie jest krokiem naprzód, jest jednakże wcale dobrą książką o naszym romantyźmie, lepszą aniżeli niejedna polska. Na jej niedostatki zwróciliśmy uwagę, podkreślając je nieraz silnie, bo patrzyliśmy na nią ze stanowiska w i e d z y o romantyzmie. Co jednak nie przeszkadza zaznaczeniu, że wobec danych warunków autor z zadania swego wywiązał się doskonale.

St. Dobrzycki.

Aus Goethes Römischen Tagen. Von *Julius Vogel.* Leipzig 1905. Str. 322.

Dzieło to przeczyta z przyjemnością każdy, kto interesuje się Goethem i każdy miłośnik Rzymu. Z wielką starannością i znajomo-

ścią rzeczy zestawił tu autor wszystkie szczegóły, odnoszące się do pobytu poety w Rzymie, do stosunków, jakie tam panowały, do ówczesnego wyglądu miasta i do nagromadzonych tam arcydzieł sztuki. Nie zawsze możemy się zgodzić z zapatrywaniem autora, — który nie jest widocznie chrześcijaninem wierzącym i w swojem uwielbieniu Goethego posuwa się za daleko — ale trzeba mu przyznać, że jest badaczem sumiennym i przedmiotowym, i że stara się oceniać jak najsprawiedliwiej ludzi i wypadki. I tak mówiąc o państwie kościelnem i o działalności Piusa VI, przedstawia on wprawdzie za przykładem innych pisarzy protestanckich administracyę papieską i zepsucie duchowieństwa w barwach dość ponurych, ale czyni to w przekonaniu, że zarzuty nieprzyjaciół katolicyzmu, przez niego przytoczone, zgadzają się zupełnie z prawdą; — że zaś nie chce uczynić mu krzywdy, pokazuje się już z tego, iż liczne dodaje rysy, które najbardziej nawet uprzedzonych przeciwników Kościoła muszą naprowadzić na myśl, że przecież w Rzymie papieskim było i jest wiele dobrego i zasługującego na cześć i pochwałę. Działalność Piusa VI, jego zamiłowanie sztuki, jego szlachetne zamiary skreślone są w sposób zgodny z prawdą równie jak ucisk brutalny, na który pozwolił sobie Napoleon wobec bezbronnego starca, wywołując przez to słuszne oburzenie w całej Europie. Prawda, że autor przytacza bez protestu — i sądy złośliwe współczesnych o papieżu, nie mając może podstawy faktycznej (por. str. 82 i 87): zarzucano mu próżność i oceniano bardzo niekorzystnie budowę nowej zakrystyi w kościele św. Piotra, która oznacza się olśniewającym przepychem a kosztowała milion skudów. Ale czytając to, pomyśli sobie zapewne niejeden protestant: oskarżają papieży, że nie szczędzili pieniędzy na swoje budowle i muzea i że to wychodziło na szkodę administracyi skarbowej ich państwa, cały jednak świat cywilizowany powinien uznać, że sztuki piękne zawdzięczają więcej ich »marnotrawstwu« niż wszystkim innym monarchom i mecenasom.

Bardzo zajmujące są wiadomości podane przez autora o zmianach, jakie zaszły w Rzymie od czasów Goethego. Zmiany te są ogromne a największa ich część, sprawiłaby z pewnością wielką przykrość poecie, gdyby je mógł widzieć. Całe dzielnice straciły swą dawną piękność i przybrały inną zupełnie postać, odkąd »zjednoczone Włochy« poczęły gospodarzyć w stolicy papieskiej. Wiele uroczych winnic i ogrodów musiało ustąpić miejsca długim szeregom kamienic, zbudowanych w stylu koszarowym, bez żadnej ozdoby estetycznej, nudnych i wstrętnych dla miłośników sztuki. Nie można wprawdzie zaprzeczyć,

że tu i ówdzie zrobiono wiele dla uporządkowania i uzdrowienia miasta, że np. regulacya »żółtego Tybru«, że pogłębienie i rozszerzenie jego łożyska było potrzebne, ale jest faktem godnym największego ubolewania, że wiele piękności zniszczono w celach niezdrowej spekulacyi, żeby tylko pomnożyć ilość ulic i domów mieszkalnych.

Wielkie są także zmiany, które dokonały się od czasów Goethego w muzeach rzymskich. Mnóstwo arcydzieł kazał Napoleon, który na swój sposób cenił sztuki piękne — przewieźć do Paryża, jako zdobycz wojenną, a nie wszystkie powróciły do Rzymu po jego upadku; za to jednak zbogaciły się zbiory papieskie i prywatne mnóstwem nowych, z ziemi wydobytych rzeźb starożytnych; powstały też nowe muzea, jak utworzone przez Piusa VII: Museo Chiaramonti, dalej założone przez Grzegorza XVI etruskie i laterańskie. W ostatnich czasach przysłużył się i rząd zjednoczonego królestwa sztuce i cywilizacyi, zakładając muzeum w termach Dyoklecyana i pomieszczając w niem słynne zbiory willi Ludovisi (które dawniej dla publiczności nie były przystępne), umożliwiając też dalsze odkrycia na forum. Otóż autor poucza nas jak najdokładniej, które z dzieł wybitnych, znajdujących się obecnie w Rzymie, widział albo mógł widzieć Goethe. Dalej czytamy o wszystkich artystach i znajomych, z którymi tam obcował, a zwłaszcza o tych, którzy mu byli najbliżsi, — o jego własnych rysunkach i zbiorach, znajdujących się dotąd w jego domu weimarskim i t. d.

Znaczną część swojej pracy poświęcił autor całkiem słusznie poglądom estetycznym Goethego, na które podróż do Rzymu wywarła wpływ tak doniosły. Jeżeli gdzie, to tutaj sprawdzają się słowa, że i geniusze są dziećmi swego czasu, że i na nich odbijają się prądy panujące w życiu umysłowem ich stulecia. Pod wpływem pism Winckelmanna, Lessinga, Herdera, Mengsa i innych, rozpowszechniło się w drugiej połowie XVIII wieku pośród niemieckich miłośników sztuki jednostronne uwielbienie rzeźby greckiej, które nie pozwalało oceniać sprawiedliwie wielu artystów nowszych, tworzących dzieła całkiem niepodobne do posągów starożytnych. Ideałem sztuki plastycznej miał być zawsze tylko spokój i cichy majestat bóstw olimpijskich. Z tego stanowiska potępiano styl realistyczny, dążący do prawdy, do potężnego wyrazu w malarstwie i rzeźbie, nie umiano się poznać na głębi duchowej i na oryginalnej twórczości wielu geniuszów odrodzenia i wieku XVII, a za to wychwalano przesadnie eklektyków, usiłujących się zbliżyć do piękności greckiej, albo też naśladujących gracyę

i harmonijną doskonałość Rafaela. Mengs np. (który i sam uchodził wówczas za wielkiego artystę!) zbywa w swojej rozprawie »O różnych szkołach malarskich« Giotta kilku ogólnikami, nie wymieniając nawet jego głównych arcydzieł, znajdujących się w Padwie, w Asyżu i Florencyi, nie umie również ocenić Lionarda i Michała Anioła, nie wspomina nawet o innych artystach pierwszorzędnych, jak Fra Angelico, Sandro Botticelli, Mategna, Signorelli, Sodoma, a za to nie znajduje dosyć słów pochwalnych dla szkoły bolońskiej.

Otóż i o Goethem trzeba powiedzieć, że ulegając czarowi rzeźby i architektury helleńskiej, nie poznawał się już — od czasu, jak przybył do Włoch, — na arcydziełach, które uchodzą dziś powszechnie za najgodniejsze widzenia. Kościół św. Marka nie podoba mu się wcale, jego styl uważa za »godny wszelkiej niedorzeczności, której w nim uczono(!)«, katedrę medyolańską nazywa »eine Marmorhechel«, nie wspomina wcale o najpiękniejszym posągu konnym, jaki dotąd stworzono: o Colleonim Verrocchia, o Donatellu, o Mojżeszu Michała Anioła, za to unosi się nad obrazami Caraccich i Guercina, których dzisiaj wszyscy znawcy stawiają daleko niżej. Największy jednak zachwyt i w duszy Goethego wzbudził Rafael i freski Michała Anioła w kaplicy Sykstyńskiej, chociaż te różnią się bardzo od posągów greckich, ale te muszą zaimponować każdemu, kto potrafi odczuwać wrażenia wzniosłe.

Liczne a dobre ryciny (33) podnoszą wartość książki i uprzyjemniają jej lekturę.

X. Aleksander Pechnik.

La Providence et le Miracle devant la science-moderne, par *Gaston Sortais.* Str. 190. Gabriel Beauchesne et C-ie, Paris (6-e) 1905.

Już w roku 1903 Gaston Sortais, były profesor filozofii w Paryżu, stanął w charakterze apologety do walki z Gabrielem Séailles, profesorem Sorbonny. Wówczas polemika toczyła się na tle teologicznem. Wyzywającemu artykułowi Gabriela Séailles p. t.: »Czemu się dogmata nie odradzają« przeciwstawił G. Sortais broszurę »Czemu dogmata nie zamierają« [1], w której podał treściwie a trafnie zasady rozwoju katolickich dogmatów. W książce, którą obecnie omawiamy, zwraca się autor przeciw filozoficznym błędom profesora Sorbonny

[1] »Pourquoi les dogmes ne meurent pas«. Paris, Bloud, 1905. Wydawn. »Science et Religion«.

i staje w obronie chrześcijańskiego wogóle poglądu na świat wobec racyonalizmu naszego wieku. Zarzuty, podnoszone przez Gabriela Séailles, bynajmniej nie są nowe i po raz pierwszy wypowiedziane, lecz grasują powszechnie w kołach racyonalistycznych. Stąd chociaż dzieło profesora Sortais (»Opatrzność i cud wobec nowoczesnej nauki«) zwraca się przeciw racyonalistom francuskim, których prawie wyłącznie uwzględnia, to jednak praca ta zasługuje na zainteresowanie się także poza Francyą dlatego, że porusza aktualne kwestye występującego w szacie naukowej naturalizmu. Z 6 rozdziałów tylko pierwszy zajmuje się Opatrznością Boga nad światem, inne obszerniej traktują o cudach — widać już z tego podziału, że autor tylko ubocznie i dla względów polemicznych roztrząsa zagadnienie rządów Boga nad stworzeniem. Zresztą zdradza to także sposób, obrany przez autora; chce on tylko kłam zadać twierdzeniu prof. Sorbonny, że nauka ostatnich 3 wieków podkopała teistyczny pogląd na wszechświat. W tym celu przytacza szereg uczonych, którzy, właśnie dla swej naukowej sławy, są wymownymi świadkami prawdziwości sądu filozofa Bakona, że połowiczna tylko nauka odwodzi od Boga, podczas gdy prawdziwa i gruntowna do Boga zbliża. Prof. Sortais opiera się przeważnie na znakomitem dziełku Ernesta Naville *La Physique moderne*, przetłumaczonem przed laty na język polski. Wyborna książka jezuity Knellera *Das Christentum u. die Vertreter der neueren Naturwissenschaft* (Herder 1903) wcale nie znalazła tu uwzględnienia. Wylicza prof. Sortais głównych przedstawicieli nauki, a zwłaszcza ich założycieli, oraz zastrzega się, że nie daje bynajmniej kompletnego spisu wierzących mężów nauki, ale trzeba przyznać, że pomijanie tylu światłych uczonych nie bardzo jest na miejscu wobec zamierzonego celu, jakkolwiek przytoczone dowody zupełnie wystarczają, by obalić gołosłowne odwołanie się prof. Sorbonny do wyników postępowej wiedzy pozytywnej. Wogóle uważa recenzent te wywody za słabszą część dzieła, raz dlatego, że nie dowiadujemy się o filozoficznych argumentach, na których opierają się wyliczeni uczeni wierzący, a powtóre dlatego, że pod względem statystycznym dzieło Knellera o wiele wyżej stoi.

Lepiej natomiast udały się wywody autora o cudach, i tu należy mu się słusznie uznanie. Mając zawsze na oku poglądy prof. Séailles'a, oraz dziś żyjących racyonalistów francuskich, prof. Sortais zbija szczęśliwie zarzuty zarówno przeciw możliwości, jak przeciw rzeczywistemu istnieniu cudów. Prawa natury nie są tak dalece bezwzględnemi, aby wykluczały bezpośrednie działanie Boże, skoro już

wolna wola ludzka zdoła w pewnej mierze wpływać na warunki, w obrębie których prawa natury konkretnie się urzeczywistniają. Cud wcale nie uniemożliwia nauk doświadczalnych, bo bezwzględny determinizm, nie pozostawiający już miejsca dla przyczyn działających z wolnej woli, bynajmniej nie jest postulatem nowożytnej wiedzy. Trafne bardzo uwagi zaczerpnął tu autor z dzieł filozofów z zawodu jak prof. Sorbonny, Boutroux, oraz prof. Elie Rabier, tudzież skrzętnie zestawił świadectwa mężów nauki, jak M. de Lapparent, Roberta Mayera i innych.

Podobnież niema w pojęciu cudu nic, coby sprzeciwiało się rozumnemu poglądowi na świat: cud nie jest wcale »dziecinną zabawką, swawolnem gwałceniem raz ustanowionych praw, niegodnem wyższej intelligencyi«. Ani niezmienność Boga, ani jego mądrość nie wyklucza cudu, tak pojętego, jak pojmuje go zdrowa filozofia. Słusznie G. Sortais występuje tu przeciw określeniu cudu, jakie Hume przekazał całemu zastępowi racyonalistów a między nimi profesorowi Séailles. Uważają oni cud za przekroczenie jakiegoś prawa natury przez szczególną wolę P. Boga, i przez to właśnie zamącają proste pojęcie cudu, będącego działaniem Boga poza porządkiem natury. Za Bonniotem zwalcza autor niektórych apologetów i filozofów katolickich, posługujących się w tej kwestyi wyrazami mniej ścisłymi, jak np. cud jest »przekroczeniem, naruszeniem, zawieszeniem, odstąpieniem od praw natury«. Uwagi tu podane są wielkiej doniosłości, a za nie należy się autorowi szczera wdzięczność, zwłaszcza dlatego, że jasno i przekonywująco uzasadnił swój pogląd.

Zajmującym nadzwyczaj jest rozdział o skonstatowaniu faktów cudownych, w którym G. Sortais rozprasza ogólny przesąd racyonalistów sformułowany przez Littré'go, a w praktyce zastosowywany głównie przez Renana, że za każdem opowiadaniem jakiegoś faktu nadprzyrodzonego zawsze kryje się albo łatwowierność albo oszukaństwo. Szczęśliwa to była myśl autora, że ogólne zasady w konstatowaniu cudów objaśnił praktycznie na cudach w Lourdes; zyskała na tem praca niemało.

Wcale oryginalnym jest dowód *ad hominem*, przytoczony na końcu dziełka na ustalenie możliwości cudów. Warto go tu podać w ogólnych rysach. Niezaprzeczonym faktem jest początek życia na ziemi. Ale jak ten fakt tłumaczyć? Dwie tylko drogi mogą doprowadzić do rozwiązania problemu, jak to przyznają nawet uczeni jak Virchow i Haeckel: albo samorództwo, albo bezpośrednie działanie Boga,

tertium non datur. Teorya samorództwa, jak Virchow wykazał, nie ma żadnych naukowych podstaw, a sprzeciwia się zasadzie metafizycznej: *Ex nihilo nihil*. Pozostaje więc interwencya Boga jako jedyny klucz do tłumaczenia genezy życia na ziemi. Skoro zaś, — wnioskuje G. Sortais, P. Bóg mógł w ten sposób działać w świecie bez naruszenia harmonii istniejącego przedtem porządku, to żadnej niema racyi, by teraz odmawiać mu możliwości bezpośredniego działania w świecie bez zamięszania praw natury. Obszerniejsze cytaty i uwagi, usprawiedliwiające w toku rozprawy wyrzeczone twierdzenia, zamykają dziełko.

Wywody autora o cudach uważa recenzent za bardzo pouczające i trafne. Mogą one być wielce pożytecznymi dla apologetów i kaznodziejów, a przedewszystkiem przydadzą się do konferencyi religijnych. Jednakże i profesorowie filozofii i uczeni mogą zaczerpnąć tu cennych wiadomości. Styl jest potoczysty i wytrawny, i sprawia, że lektura książki wcale nie nuży, mimo ścisłej jej treści.

Ks. Ernest Matxel.

Fontes historici liturgiae glagolito-romanae a XIII ad XIX saeculum, collegit, digessit et indice analitico instruxit *dr. Lucas Jelić*. Veglae MCMVI, sumptibus ephemeridis »Slavorum litterae theologicae« Pragae. — Pag. 14 + 18 + 46 + 64 + 88 + 98 + 176 + XLVIII.

Rok temu odbyło się w Rzymie zebranie biskupów Chorwacyi, Slawonii i Dalmacyi w sprawie uporządkowania kwestyi liturgii słowiańskiej w pomienionych prowincyach. Treści narad, ani zapadłych rezolucyi nie podano do publicznej wiadomości. Skądinąd wiadomo, że i po zjeździe nie ustała ani na chwilę walka prasy włoskiej, kościelnej i świeckiej, przeciwko używaniu słowiańskiego języka w liturgii. Biskup Mahnić z Krku zmuszonym był wystąpić przeciw tej prasie, wykazując jej szereg niedokładności w przedstawieniu rzeczy (Acta Curiae ep. Veglensis, 1905, n. 9).

Praca dr. Jelića, profesora historyi i prawa w seminaryum centralnem w Zadarze, rzuca wiele światła na tę kwestyę. Dedykowana arcybiskupowi Posilovićowi w Zagrzebiu, książka ta jest zbiorem odnośnych historycznych dokumentów, począwszy od wieku XIII aż do naszych czasów, uzupełniając tym sposobem podobne zbiory Ginzela, Prodana i Pastrneka, odnoszące się do epoki dawniejszej. W zbiorze dr. Jelića każde stulecie stanowi osobną całość z własną paginacyą. Przed oczyma czytelnika przesuwają się liczne, bo do paru tysięcy dochodzące, dowody odwiecznego używania w rzymskiej liturgii owych

krajów języka staro-słowiańskiego w pisowni, znanej powszechnie pod nazwą głagolicy. Spotykamy tu akta papieskie, akta koncyliów, zabytki piśmiennictwa kościelno-słowiańskiego, rozmaite napisy słowiańskie, relacye z wizyt biskupich, wreszcie najbogatszy dział, tyczący walki z liturgią słowiańską w XIX stuleciu. Ważniejsze dokumenta podane są w całości, mniej ważne tylko w streszczeniu, lub poprostu w formie notatki z zacytowaniem odpowiednich źródeł.

Z pomiędzy papieży ostatnich 7 stuleci, największe zasługi względem liturgii słowiańskiej położyli Innocenty IV, Grzegorz XIII, Klemens VIII, Urban VIII, Benedykt XIV, Leon XIII. Pierwszy z nich, nadając łacińskiemu biskupowi Filipowi Segneńskiemu przywilej celebrowania w języku słowiańskim, opatruje swe nadanie iście filozoficzną uwagą, że język rzeczy, nie zaś rzecz językowi ma służyć. Grzegorz XIII założył seminaryum w Lorecie dla kształcenia słowiańskiego kleru. Za Urbana VIII wydane zostały nakładem propagandy księgi liturgiczne, pisane głagolicą. Z chwilą, kiedy ziemie południowej Słowiańszczyzny weszły w skład monarchii Habsburskiej i rzeczypospolitej Weneckiej, dla Kościoła słowiańskiego nastała era ciągłej walki w obronie spuścizny języka narodowego w liturgii. Włosi, Niemcy, Węgrzy, wszyscy starali się położyć kres używaniu głagolicy. Przez parę set lat usiłowania te pozostają bezowocnemi już z tego powodu, że ziemie słowiańskie nie posiadają prawie wcale niższego kleru, któryby władał językiem łacińskim. Zmienia się jednak rzecz pod koniec XVIII i w XIX stuleciu. Założone przez rząd austryacki seminarya, kształcą kler łaciński, podczas gdy język staro-słowiański doznaje w nich coraz większych ograniczeń. Gubernator Dalmacyi jeszcze r. 1817 stara się tak urządzić seminarya, aby w przeciągu 10 lat głagolica mogła zupełnie wyjść z użycia (Fontes XIX, n. 31). W połowie ubiegłego stulecia całe szeregi parafii przyjmują mszały łacińskie z powodu braku kapłanów, znających się na głagolicy. Inni księża radzą sobie w ten sposób, że ciche części mszy świętej odprawiają po łacinie, śpiewane zaś w nowożytnym języku kroackim. Z gabinetu jednak wiedeńskiego wychodzą raz poraz dekrety i instrukcye, rugujące użycie słowiańszczyzny, napotykają wszakże często na opór ludu, kleru, a nawet biskupów.

Sympatye papieża Leona XIII dla języka słowiańskiego i rozszerzenie na cały Kościół czci św. Cyryla i Metodego wlewają otuchę w obrońców głagolicy. Biskup Strossmayer już był uzyskał ciche zezwolenie Stolicy Apostolskiej na wprowadzenie r. 1882 w całej dye-

cezyi języka słowiańskiego do nabożeństwa publicznego z okazyi poświęcenia nowej katedry diakowarskiej, lecz rząd austro-węgierski, dowiedziawszy się o tem, zagroził, że w razie uskutecznienia zamiaru, rząd gotów uznać zabór Rzymu przez oficyalną rewizytę cesarską królowi włoskiemu (Fontes XIX, n. 93 *a)*. Trzeba było ustąpić. — R. 1885 minister wyznań, bar. Gautsch, poleca biskupom Cislitawii powstrzymywać zapał Słowian, zamierzających uczcić tysiąclecie św. Metodego. W dwa lata później, z powodu koncesyi liturgii słowiańskiej dla katolików Czarnogóry, rząd stara się o deklaracyę, że ta koncesya posiada czysto-lokalne znaczenie. R. 1888 bar. Gautsch zabrania uczniom szkół uczęszczać na mszę, odprawianą w języku słowiańskim.

Te represye zwiększyły jedynie przywiązanie austryackich Słowian do swej liturgii. Poczęto ją nanowo wprowadzać nawet tam, gdzie już była z użycia wyszła. W celu uporządkowania całej sprawy św. Kongregacya Obrzędów wydała dekret 13 lutego 1892, zakazujacy używania w liturgii nowożytnego języka chorwackiego, a r. 1898 obszerną instrukcyę, przyznającą przywilej liturgii w języku staro-słowiańskim tym parafiom, w których ona w tymże języku istniała bez przerwy w ciągu ostatnich 30 lat. Norma ta okazała się wprost zabójczą dla sprawy liturgii słowiańskiej, gdyż właśnie w ostatnich 30 latach lub nieco wcześniej język staro-słowiański zamieniono w wielu miejscach na łaciński i chorwacki. Niektórzy biskupi, jak arcybiskup Zadaru i biskup parentyński, na mocy wspomnianej instrukcyi zadeklarowali, że w ich dyecezyach niema już ani jednej parafii, któraby dochowała przywileju języka słowiańskiego. Miał on więc zniknąć z oblicza ziemi. Niebawem jednak, wskutek licznych protestów, wyszło z Rzymu r. 1900 wyjaśnienie, że przerwa w użyciu języka staro-słowiańskiego nie dobrowolna, lecz spowodowana koniecznością, np. nieposiadaniem głagolickich mszałów, lub innemi zewnętrznemi przyczynami, nie odbiera prawa używania obecnie tegoż języka. Pewna ilość parafii powrócić mogła do swej ulubionej głagolicy.

Nieprzyjazna Słowianom ręka na różny sposób przeszkadzała rozszerzeniu się słowiańskiej liturgii. Tak, np., kiedy za Leona XIII miano dokonać nowego wydania niektórych ksiąg liturgicznych głagolickich, jakiś anonym denuncyował do Rzymu wspomniane księgi, że zawierają błędy przeciwko wierze. Denuncyacya potrafiła spowodować długoletnią zwłokę w wydaniu ksiąg. Wreszcie przekonano się po ścisłej

rewizyi, że żadnych błędów księgi owe nie zawierają i druk ich szczęśliwie doprowadzono do końca w sierpniu 1905 r.

Z pobieżnego przeglądu treści zbioru dr. Jelića można się przekonać, że praca ta jest niezbędną dla każdego, kto zechce bliżej zapoznać się z omawianą sprawą. Pożyteczność jej podnosi jeszcze bardziej szczegółowy *Indeks* przy końcu książki, grupujący w porządku rzeczowym to wszystko, co chronologicznie rozłożono w samem dziele. Znajdujemy tu również wykaz bibliografii danego przedmiotu.

Szkoda, że zakradło się wiele błędów drukarskich i rzeczowych, a nie wszystkie zostały poprawione w *corrigenda*. Np. Kleparz, obecnie dzielnica Krakowa, z kościołem św. Krzyża (przy którym istniało jakiś czas nabożeństwo słowiańskie), autor umieszcza w dyecezyi warszawskiej (Fontes XIV, 22). Zbytecznemi wydały się nam niektóre notatki, nie odnoszące się ściśle do przedmiotu, jak np. o losach kultu św. Cyryla i Metodego na Wschodzie, lub ich relikwii.

Ks. J. Urban.

L'Ombrie, l'âme des cités et des paysages. *René Schneider* (Paris 1905). Libraire Hachette.

Dziwna rzecz, jak wspomnienia muszą się uczepić o coś, aby powstać z uśpienia. Czasem tem czemś będzie obrazek, czasem kilka słów usłyszanych, czasem książka.

Dla tych, którzy byli w Assyżu i Perugii taką czarodziejką budzącą pamięć — będzie śliczna książka Schneidera p. t.: *L'Ombrie, — l'âme des cités et des paysages.* Młody to pisarz, ale już znany i ceniony: mówią o nim, że czeka go sława. W każdym razie wstępem dobrym jest ta podróż przynosząca bezpośredniość słodkiej Umbryi w duszę czytelnika i stokroć silniejszem czyniąc wrażenie na pół już może przymglone oddaleniem od chwili, kiedy się własnemi oczyma patrzyło na tę cudną krainę, gdzie żył święty Franciszek z Assyżu — a która daje jakby pojęcie, czem może być raj niebieski, czekający dusze błogosławionych. Tak jak Rzym i Umbrya staje się prędko ojczyzną dla człowieka, tęskniącego za odnowieniem i posileniem. Bo jesteśmy tak biedni, że wyczerpujemy po jakimś czasie wszelki zapas tlenu odżywczego w miejscu, gdzie stale, codziennie mieszkamy. Trzeba zastąpić te ramy powszedniego życia czemś nieznanem, coby się stało dla zmęczonej duszy falą powietrza świeżego, wpadającego do dusznej izdebki zwykłego życia: a ten głód nowości nęka tem srożej, im

twardsza była ręka dnia powszedniego, przygniatającego despotycznie do ziemi zmęczonego biednego człowieka...

I dla mnie ta książka Schneidera osobny miała urok właśnie tem odnowieniem rzeczy widzianych... W jednej chwili budzi się i we mnie wizya tego dnia ciepłego kwietnia, gdy strugi deszczu mieniały się z światłem iskrzącem słońca i tworzyły jakąś migotliwą, srebrzystą zasłonę temu ślicznemu światu, który zaczyna się od Foligno a któremu miano: Umbrya...

Kto chce uchwycić charakter ojczyzny św. Franciszka — niech się udaje wprost do Perugii. Są tam dwa miejsca prawie obok siebie, gdzie się chwyta jakby śpiew cichej harmonii, przepełniający tę przestrzeń niebieską falujących pagórków, wznoszących się jakby rytmiczny oddech przyrody. Ah! jakież zimne, jakie twarde są słowa, gdy się chce oddać czar tej krainy; dwa momenty niezapomniane złotego zachodu na terasie w Perugii, a później rannego tryumfu słońca z okien hotelu — dały mi jakby nagły instynkt, czem może być wieczność zawsze piękna a zawsze jednak ta sama i ciągle odmienna...

W książce p. Schneidera znajduje się właśnie ten rzadko spotykany dar ujęcia w słowo i określenie — wrażenia — odczuwanego przez wielu nie umiejących je jednak wyrazić.

Umbryą to *soave austere* urzeczywistnione zestawienie majestatycznych gór i żyznej doliny, przerzniętej krętemi rzekami, srebrzącemi się jak łuska węża. Niebo dziwnie czyste nawet wtedy, gdy potężny podmuch wiatru z szczytów gór zbiera wełniste obłoki i pędzi je jak stada rozhukane w dal nieznaną!

I roślinność tu inna; brak prawie zupełnie cyprysów, które dają tragiczną nutę żyznej Toskanie, — same tu drzewa zielone lub szarosrebrne oliwki, przepasane festonami winogradu, który jakby świąteczna dekoracya otacza pola obsadzone rzędami drzew.

A w tym kraju, położonym na pół drogi między Adryatykiem a Rzymem, świętość zachwycona spełnianą Ewangelią, walczy i zwalcza wreszcie te dzikie zapasy barbarzyńskich nieraz rywalizacyi. Wielka postać św. Franciszka świeci jak słońce na niebie Umbryi, a koło niego grupują się święci i święte jak Róża z Viterbo, Angela z Foligno, Margareta z Cortony, Colomba z Rieti. Wśród szeregów świata spotykamy często po raz pierwszy te imiona — wszak i św. Franciszek jako Francesco Bernadone, walczył przeciw Perugii, nim to wszystko rzucił dla mniszego habitu... Margareta z Cortony gorszyła świat życiem występnem zanim piorunujące spot-

kanie zwłok ukochanego rycerza przez śmierć zaskoczonego — zwróciło ją na drogę pokuty... I możnaby do mieszkańców Umbryi zastosować przysłowie: *I Perugini sono angeli o demoni*, — tak i tutaj obok dzikich wojen słodkie sceny z Fioretti, a święci obok dzikich condottierów.

Serce katolickie uważa Asyż za stolicę tej krainy. Ale nie tylko katolicy pielgrzymują do ojczystego miasta św. Franciszka. Asyż to ulubione miasto Anglików i nieraz na wiosnę nie można tam znaleźć wygodnego umieszczenia, tyle tu ściąga podróżnych z Albionu. »Ci praktyczni John-Bull'e odnawiają się i ćwiczą przez dni kilka w atmosferze umartwienia i wyrzeczenia — jeszcze to jeden sposób zbogacenia swej natury«.

»Biedny św. Franciszek! — pisze p. Schneider. — Protestanci chcą go sobie przywłaszczyć, gdyż on to odnowił ducha Ewangelii i przywrócił harmonię między Bogiem a człowiekiem, bezpośredniem zetknięciem — przez Kościół zerwanem« — Kościół chce go mieć swoim. I jeszcze sceptycy go uwielbiają resztką zamiłowania dla wiary; żona i córka Renan'a czytywały mu Fioretti na jego prośby usilne. Był św. Franciszek natchnieniem Dantego i Giott'a i wszyscy miłośnicy sztuki i wszyscy poeci wielbią go: Franciszek odnowił ducha Ewangelii, a raczej przypomniał go światu — w słodkiej harmonii jednocząc miłość dla Chrystusa i miłość dla przyrody i ludzkości.

Pan Schneider nie należy do pisarzy wykarmionych i wyrosłych na tradycyach chrześcijańskich, nie pytajmy go zbyt dokładnie o wyznanie wiary katolickiej — ale ma jednakże duszę szlachetną, tkliwą na piękno i tym instynktem prawdy ocenia wzniosłą prostotę najpiękniejszej na świecie księgi: Ewangelii — i jej wiernych wyznawców. To też freski Giott'a w dolnym kościele w Asyżu, obrazy naiwne, ale pełne zachwyconej pobożności Cimabua, Pietra Lorenzette, Simona Memmi, podnoszą mu duszę — odczuwa on tę wiarę młodą, świeżą i silną, »tak daleką od naszego zmysłu krytycznego, jak kwiat od zepsutego owocu« — i rozumie, że jeżeli tak wielkie wrażenie wywierają ci malarze to dlatego, że całą siłą wierzyli i pędzel był im środkiem do wylania duchowych zachwyceń.

Ale w tej Umbryi, która została dla nas przedewszystkiem ojczyzną św. Franciszka — przeszłość zamierzchła odrębnej kultury, niepokoi również ciekawość podróżnika.

Są to tradycye starej Etruryi. Cortona, Perugia i dziesięć jeszcze miasteczek mniejszych były stolicami tego kraju wykarmionego

osobną kulturą i śmiało rywalizującego z Rzymem, który zaczynał z miasta wyrastać na państwo. Jakieś greckie wpływy, jakieś nieznane bliżej czynniki, dały Etruryi osobną cywilizacyę. Patrząc na liczne ślady tej nieznanej przeszłości mało znanego ludu, ze zdziwieniem spogląda się na misterne drobne pieczęcie, wazy, figurki i rzeźby... Ale największe stropienie to czeka u wejścia do grobowców etruskich; dziwne wywiera wrażenie ten świat nadzmysłowy, wyobrażony w skrzydlatych geniuszach, strzegących trumny, te zamyślone o tajemniczym wyrazie meduzy, jak pieczęć zamykające sarkofagi... A na każdym z tych sarkofagów klęczą postacie małżonków splecione uściskiem i spoglądające z dziwnem, trochę drwiącem zapytaniem na przechodnia, który zwyczajem turystów schodzi w podziemia grobowców w Perugii. Wydaje się jakby w tych chłodnych ciemnościach, które rozświeca na moment drżące światło — czekała cierpliwa, zawsze tajemnicza śmierć, grzebiąca ludy i ludzi — i całe kultury z złośliwą radością mocarki zniszczenia... I trzeba dopiero gorącej, czystej miłości św. Franciszka, aby w tej strasznej królowej — dostrzegł dobro i spokój ukochanej siostry »Pani śmierci«...

M. Harsdorf.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Heirat auf Probe. Zur Aufklärung für katholische Kreise über die wahren Ziele der »Eherechtsreform«. Von *A. J. Peters.* 2. verm. u. verbess. Aufl. Wien 1906. Eichinger's Verlagsbuchhandlung. Str. 279.

Zadaniem tego dziełka jest bliższe pouczenie szerszych warstw społeczeństwa katolickiego w Austryi o obecnym ruchu za reformą prawa małżeńskiego. Dowiadujemy się na wstępie o genezie i rozwoju całego tego ruchu, którego główną sprężyną jest istniejące od r. 1902 »Towarzystwo kulturalno-polityczne« w Wiedniu, stojące w najściślejszym związku z masońską lożą. Autor odkrywa we wstępie z wielką skrzętnością obłudną taktykę tego Towarzystwa, usiłującego agitacyi swojej nadać charakter ruchu czysto ludowego i niby mimowolnie zrodzonego w łonie katolików, cierpiących ciężko pod jarzmem nierozerwalności małżeństw katolickich. Opiera się w swoich wywodach przeważnie na protokółach ankiety nad reformą austryackiego prawa małżeńskiego *(Mitteilungen der kulturpolitischen Gesellschaft* 1905) oraz na licznych artykułach gazeciarskich głównie z *Neue Freie Presse* wyjętych. Celem reformy jest walka przeciw nierozerwalności katolickiego małżeństwa. Dla sprawiedliwej oceny doniosłości tego ruchu Peters wyjaśnia najpierw

naukę Kościoła katolickiego o małżeństwie, następnie poddaje podniesione świeżo zarzuty gruntownej krytyce na podstawie zasad wiary i rozumu, a nareszcie określa zadanie prawdziwej reformy, jako odnowienie ducha Chrystusowego w praktycznem życiu małżeńskiem. W całem dziełku wieje duch iście katolicki, którym autor głęboko jest przejęty. Widać, że nie mamy do czynienia z dyletantem, ale z fachowym teologiem, obeznanym dobrze z dogmatyką katolicką. Niemniej rozporządza autor bystrością filozoficzną, jak to pokazują jego treściwe i gruntowne odpowiedzi na poglądy przeciwne, we wspomnianej ankiecie wypowiedziane. Zwycięstwo logiki bezsprzecznie jest po jego stronie. Szczególniejszą zaletę dziełka stanowi aktualność poruszonych w niem kwestyi. Wszystkie zarzuty—a można powiedzieć, że zostały niemal wyczerpane — są dzisiejsze, skutkiem czego cała broszura nosi na sobie cechy kompletnej apologii nierozerwalności małżeństwa. Dowody są przejrzyste, jasne i ściśle naukowe. Styl nie pozostawia nic do życzenia; pożądanym byłby spis imion i rzeczy, ułatwiający wykorzystanie tylu trafnych uwag. Nie tylko księżom, ale i świeckim polecamy to dziełko gorąco, zwłaszcza że wartość oryentacyjna łączy się z gruntowną odprawą aktualnych zarzutów.

E. M.

Jolanta. Poemat dramatyczny w 1 akcie. *Edward Leszczyński.* Kraków 1904.

Poeta wprowadza nas do jakiejś uroczej, ciemnej komnaty. W komnacie tej jakieś posępne zgromadzenie. Ludzie ci uciekli z pod słonecznego nieba, zamknęli się jak w grobie w tych ponurych komnatach, gdzie nie dochodzi żaden promyk słońca i czekają jakiegoś zbawiciela. Skąd ta nienawiść do jasności słonecznej, czego, jakiego zbawienia oczekują ci ludzie, to zagadka, której nam poeta nie rozwiązuje. W tym ponurym tłumie zjawia się Jolanta. Kto ona, co ją tu sprowadziło, też nie wiemy; domyślamy się tylko, że jakieś ciężkie przejścia, jakieś zawody sprowadziły ją do tego ciemnego grobu. Wnosi ona w zgromadzoną drużynę niepokój, budzi tęsknotę do jasnych blasków słonecznych, obudza serca, co już zamarły. Wyrywa z mroków młodsze pokolenie zebranej tu rzeszy, wywodzi je ku słońcu, na świat szerszy. A ci, co zostali, zrozumieli, że tu nie przyjdzie już żaden Mesyasz, że zostali bez pociechy i nadziei, że te drzwi, któremi miało przyjść zbawienie, wiodą tylko ku śmierci. Ale przecież przychodzi wyzwolenie. Te drzwi śmierci otwierają się i zjawia się w nich w blasku słonecznym, w jasności Jolanta: ona ze słońcem przynosi zbawienie.

Oto treść poematu. Jak widzimy, jest to dramat symboliczny. Szukajmy zrozumienia symbolu. Co znaczy ten zamarty, zamknięty w zimnym lochu tłum. To społeczeństwo, które zasklepione w ciasnocie straciło wszelką energię, czeka aż w ich bezczynności przyjdzie jakiś Mesyasz, który ich porwie, da im życie, zbawienie. Dlaczegóż jednak tęsknią za tym Mesyaszem, jeśli ta cisza grobowa, ta bezczynność, ten spokój jest im wygodny; czego pragną jeszcze? Jeśli trafnie czytamy między wierszami, mają oni przeczucie, że gdzieś żyją innem, pogodniejszem życiem, którego oni nie znają, lecz tylko się domyślają. A kto i co im daje zbawienie? Jolanta, piastunka innego życia, pełnego cześci i ideałów, zwiastunka

i przewodniczka na szerszą arenę, gdzie prowadzi młodzież, najwięcej mogącą zrozumieć ją i odczuć.

Takeśmy zrozumieli myśl poety: czy trafnie, nie wiemy, bo symbole jego są zbyt ogólne, stąd pozwalają na różne ich tłumaczenie. Jeden szczegół nasuwałby może wątpliwości, że albo idea poety była inna, lub też przeprowadzenie jej wykazuje braki. Wedle naszego tłumaczenia zdawałoby się, że rzesza zgromadzona w zamku innego życia nie znała; że je co najwyżej przeczuwa. Pierwsze jednak sceny nasuwają myśl, że przeciwnie ludzie ci po przejściach i zawodach życia tu przyszli, tu się schronili przed burzą. Ale w takim razie, jeśli poznali inne życie, jeśli je znienawidzili tak, że sami dobrowolnie od niego tu uciekli, to za czem tęsknią, do czego się rwą: co ma być dla nich tem zbawieniem? I również nie rozjaśniona jest postać Jolanty. Jeśli to ma być słońce szerszego życia i wyższych ideałów, to co ją sprowadziło do tej siedziby umarłych; poco jej dał poeta to serce zgorzkniałe, rozżalone na życie, złorzeczące słońcu? I skąd wkrótce się wzięła ta dziwna przemiana, że ona, która chciała życia grobu, która z jasności słonecznej tu się schroniła, nagle ujrzawszy słońce, czuje się odrodzona, oczyszczona ze swych win? Jeśli od tego słońca uciekła, to tej metamorfozy nic nie zdoła wytłumaczyć. Myśl tedy szczęśliwie poczęta w wykonaniu utyka, nie tłumaczy się.

Strona zewnętrzna poematu jest bardzo nierówna. Forma w wielu miejscach piękna; często jednak język i styl zawodzi poetę; nie znać zupełnego opanowania mowy, rytmu i t. d. Przytem jeszcze jedno zostawałoby do wytknięcia. W poematach tego rodzaju nieunikniona jest retoryka, deklamacya. Ale takt pewien artystyczny powinien miarkować poetę. Tu tymczasem pustej deklamacyi tak wiele, tyle tyrad nic nie mówiących, że one nie tylko nie tłumaczą, ale raczej zaćmiewają i tak nie bardzo wyrazistą myśl dramatu.

Dr. A. B.

Niepokalana i Polska. Kraków 1904.

Do hołdów, jakie rok jubileuszowy przyniósł N. P. Maryi, dołącza się i niniejszy zbiór poezyi. W cyklu poezyi wielbi autor Matkę Bożą, jako Królowę Polski. Pieśń pierwsza, to wspaniały hymn, opiewający tę głęboką tajemnicę, jak powstaje:

Z Słońca-Chrystusa — lilija —
Wcielona czystość: Maryja
Niepokalana.

I ta Dziewica czysta poczęła Syna, porodziła Go i oddała na mękę. Z łzy P. Maryi na Golgocie wylanej »poczęty naród polski«. I ten naród kochał Tę Niepokalaną, wielbił Jej Imię, czcią Ją otoczył w murach Częstochowy, pod Jej znakiem gromił wrogów, w ciężkiej potrzebie Ją obwołał swoją królową. A ta Patronka wspierała zawsze swą umiłowaną krainę, i dziś w niedoli nie zapomina o niej, woła do niej: »Jam jest nadzieja«.

To jest zasadnicza myśl siedmiu pieśni, tworzących cykl omawiany. Początkowo nieco sztuczne, przypominają ody i hymny epoki klasycznej literatury. By wyśpiewać chwałę Stwórcy, którego myślą i dziełem Niepokalana, uderza pieśń niebawem w tony najwyższe, odziewa poezyę swą w szaty uroczyste majestatu, wspina się na wysokie koturny. Ale w tak wysokim nastroju poeta nie umie się jakoś obracać, obco mu i nieswojo, przybiera ton sztuczny, nagromadzeniem szeregu słów chce podwyższyć ton, a zaciemnia myśl. Zu-

pełnie inne robi wrażenie, gdy przystępuje do opiewania samej Boga-Rodzicy: drga tu i nuta szczerości, widać głębokie uczucie synowskiej miłości i czci; forma, choć niemniej poważna, uroczysta, nagina się do myśli, nie zaciemnia jej, jak w początku; jednem słowem daje całość godną tej, której czci jest utwór poświęcony.

A. B.

Wybrana. Obraz sceniczny z dziejów powszechnych w pięciu aktach. Przez *Ludwikę hr. Plater.*

Ta »Wybrana«, dająca tytuł całemu utworowi, to Dziewica Orleańska. Dramat, wcielający tę postać, mimowolnie zaraz nasuwa porównanie z arcydziełem Schillera. Autorka zastrzega się co prawda stanowczo przeciw takiemu zestawieniu, podnosząc, że pojęła swą bohaterkę odmienniej od niemieckiego mistrza, więcej zgodnie z prawdą historyczną, mniej może poetycznie, ale prawdziwiej. Pokusa jednak zbyt silna, by się jej oprzeć i dlatego przepraszając autorkę, że postępujemy wbrew jej woli, porównanie podejmujemy. Ułatwi to nam o wiele nasze zadanie sprawozdawcy: zamiast bowiem rozbierać cały dramat, uwydatnimy tylko różnice od sposobu ujęcia i charakteryzowania przez Schillera. Cech wspólnych jest bardzo wiele. Samo podstawowe ujęcie charakteru bohaterki zupełnie się schodzi z przedstawieniem Schillera. To samo przywiązanie do rodzinnego zakątka, to samo poddanie się wewnętrznemu rozkazowi zupełne, ofiarne, choć nieco niechętne. Ten sam zapał do boju, ta sama ekstaza. Brak tylko było w charakterze Dziewicy Schillerowskiej owej apostolskiej żarliwości, dążenia do oczyszczenia poziomu moralnego społeczeństwa, jak widzimy w naszym dramacie, gdy Joanna wytyka królowi jego stosunek do Agnieszki i żąda jego zerwania. To tło erotyczne, ten stosunek króla wprowadza autorka zupełnie oryginalnie, robi zeń jedno z ogniw węzła dramatycznego. Zato niema tu tego epizodu, który zniżał może aureolę świętości i bohaterstwa Joanny, ale czynił jej postać więcej ludzką i więcej poetyczną, jej nagle zrodzonej miłości do angielskiego rycerza, miłości, która u Schilllera odbiera Dziewicy jej nietykalność i moc bohaterską i sprowadza w następstwie katastrofę. Rozwiązanie tu więcej prozaiczne przez zdradę wasala niewiernego. Z tego sposobu ujęcia nie można jednak robić autorce zarzutu, owszem raczej podnieść należy, że po tak artystycznie uchwyconej postaci, jak to uczynił poeta niemiecki, potrafiła traktując ten sam przedmiot wzbogacić postać bohaterki rysami odmiennymi, oryginalnymi. Co innego mogłaby zato pożyczyć autorka od Schillera: więcej tego poetycznego ciepła, tego tchnienia piękna, którego tyle wlał w swoją tragedyę Schiller. Tego brak omawianemu utworowi, jest on za sztywny, za suchy i prozaiczny: to nie pozwala mu wznieść się wyżej, odbiera mu cechę prawdziwego dzieła sztuki.

Dr. A. B.

Posiew krwi. *Wacław Żmudzki.* Lwów 1906. Księgarnia Narodowa. Str. 498.

Z samego tytułu odgadnąć łatwo, że ów »Posiew krwi« pada na rosyjską ziemię. Mamy istotnie przed sobą ujęty w ramy powieści obraz strasznej wojny japońskiej. Rzecz nakreślona bardzo wprawną i zamaszystą ręką; opisy bitew, marszów i szturmów na Port-Artura niezmiernie silne i barwne. Postacie odrysowane wy-

raźnie, prawie jaskrawo. Autor rozporządzał materyałem nader obfitym, tysiącami depesz, sprawozdaniami reporterów — choćby samego Danczenki — a wreszcie powieściami rosyjskiemi o wojnie. Miejscami, choć niezbyt często, przypomina się »Czerwony śmiech«. Na tem tle buja wyobraźnia autora, kręcąc się około historycznych i niehistorycznych postaci. Bohaterem jest młody Polak, Kazimierz Tyszko, najsłabsza z kreacyi krwawego romansu. Jedzie do Mandżuryi jako lekarz — w poszukiwaniu zemsty na Rosyanach za okropną śmierć matki w więzieniu. Leczy chorych i rannych wszelkiego kalibru; w wolnych chwilach zaś spiskuje z innym Polakiem i ze szpiegiem japońskim na zgubę armii rosyjskiej. Raz nawet przynosi kopię planu wojennego — zapewne ukradzioną któremu z pacyentów. Wkońcu wykryty i prowadzony na śmierć zostaje odbitym wraz z towarzyszami przez partyę Chunchuzów, w których dowódcy poznaje własnego ojca! Głównym celem jego i wspólnika w spisku było, gdy opuszczali Warszawę, nakłaniać żołnierzy Polaków do dezercyi, do przedawania się na stronę japońską, a nawet — do strzelania do Rosyan na tyłach. Słowem rola Polaków jest istotnie ohydna, choć ją autor przepiękną i szlachetną być mieni. Mówiąc o Rosyanach umiał zachować względną miarę, umiał nie generalizować w oskarżeniach i tu i ówdzie rozsiać dodatnie postaci. Dlaczego jedni Polacy wychodzą tak podle? Czyżby u nas tak dalece spaczone było sumienie? Ów Tyszko na pierwszych kartkach zabija na ulicy ajenta policyjnego, poczem, po swem pierwszem zabójstwie idzie najspokojniej spać do swojej cioci, bez najmniejszego choćby wstrząśnienia nerwów! To już brak psychologii. Polacy i inni »obcoplemieńcy«, dochowujący w boju swej wojskowej przysięgi, traktowani są przez autora jako bydło — to znów rzadki u nas brak zrozumienia wojskowego honoru. Prawda, iż jest rzeczą straszną przelewać swą krew dla wrogów, ale okropniejszą jest zdrada, choćby wobec wroga. Szkoda istotnie, że zajmujące większość obszernej książki opisy zepsute są tem skrzywieniem pojęć, rzucającem brzydki cień na nasz narodowy charakter.

T. W.

Les Flibustiers. *Léon Fornel.* Bibliothèque du petit Français. Paris. Libr. Armand Colin. 1906. Str. 285.

Już to dzieciom francuskim nie brak materyału do lekkiego czytania. Z każdym rokiem powstają nowe »biblioteki« różowe, białe, małe i jeszcze mniejsze. Snać interes księgarski idzie w parze z usiłowaniem rodziców, pragnących podać dzieciom w przyjemnej formie choćby cząstkę tak suchego i niemal wyłącznie pamięciowego dziś programu nauk. Na nieszczęście strawa to nieraz licha, boć trzeba osobnego talentu, aby pisząc dla bardzo młodych, nie przybierać naiwno pieszczotliwego tonu. Taką właśnie jest wada książki zatytułowanej zużytem już poniekąd mianem: *Les Flibustiers.* Trudno o coś słabszego tam, gdzie fabuła z treści poważnej schodzi w romantyczną. A szkoda, bo przedmiot interesujący i mało w szczegółach znany, obejmuje dzieje powstania Kuby przeciw Hiszpanii w przeddzień wojny tejże ze Stanami Zjednoczonemi. Autor zda się dobrze poinformowany, ma sąd jasny i bezstronny, opowiada dużo ciekawych szczegółów. Bohaterami są dwaj studenci amerykańscy, którzy wskutek szeregu wypadków zagnani na Kubę

biorą tam wraz z innymi udział w walce po stronie powstańców. W miarę zaś poznania tychże tracą illuzye, nie co do ich dzielności, ale co do ich sprawy. Ranni i wzięci w niewolę odzyskują zdrowie i wolność dzięki hiszpańskiej rodzinie posiadającej oczywiście dwie córki, zastosowane do ich różnego wieku. Wróciwszy do ojczyzny, starszy kończy nauki, poczem ojciec posyła go jako swego zastępcę a zarazem ajenta handlowego do swego kantoru na wyspie. Młodzieniec zmuszony dla zakupna tytoniu udać się w głąb kraju, dostaje się, dzięki znów swoim Hiszpanom pod protekcyę rządową; nadto generał Weyler, pragnący użyć wszelkich środków pacyfikacyjnych przed rozpoczęciem represyi, powierza mu misyę skłonienia za obietnicę amnestyi wojsko buntownicze do poddania. Misya oczywiście chybia, przyczem młodzieniec uchodzi z trudem zasadzkom nastawianym nań przez ajentów rywalizujących kantorów. Opowiadanie kończy się w chwili wybuchu wojny, pomimo której autor pozwala domyślać się czytelnikowi, iż oba kiełkujące związki małżeńskie przyjdą z czasem do skutku. Autor ten, snać jeszcze młody, skoro książkę matce poświęca, ma zapewne przed sobą przyszłość literacką, która jednak rozwinie się nie w belletrystycznym kierunku. Należałoby mu nadto poradzić, aby sobie lepszego wyszukał illustratora.

T. W.

Polski socyalizm utopijny na emigracyi. Dwie rozprawy. *Witołd Narkiewicz-Jodko* i *Szymon Dykształn.*

Obie rozprawy, napisane jedna niezależnie od drugiej, przedstawiają stronę dotąd mało znaną dziejów naszej emigracyi po r. 1830, istnienie i rozwój stronnictwa wyznającego zasady socyalizmu. Grupa nieliczna, powstała w Portsmouth pod przewodnictwem Zenona Bolesława Świętosławskiego, Stanisława Worcella i Tadeusza Krępowieckiego szerzyła słowem i pismem myśl ustroju kollektywistycznego w przyszłem państwie polskiem, pragnęła upaństwowienia własności ziemi. Grupa ta nigdy nie miała wielkiego wpływu ani na kraj ani wśród emigracyi, nie była siłą taką, jak partya Hotelu Lambert lub choćby Towarzystwo Demokratyczne; niedługie też było jej istnienie, powoli wsiąkła w Towarzystwo Demokratyczne, nie sprowadziwszy ani nawet teoretycznie przewrotu, który propagowała.

A. B.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Z ruchu katolickiego we Włoszech.

Stosunki katolickie we Włoszech znamiennie oświetlają wybory parlamentarne w Katanii i w Portomaggiore, które się odbyły w drugiej połowie lipca b. r.; znamienne z tego względu, że wykazały one dość jasno, że gdyby katolicy potrafili odrzucić rozdzielające ich, ciasne, stronnicze zapatrywania, mogliby utworzyć potęgę, z którą każde stronnictwo liczyćby się musiało.

Trzydziestego lipca zeszłego roku, wybrano w Katanii deputowanym członka radykalnego stronnictwa Giuffrida de Felice. Z tej okazyi skorzystali wówczas republikanie, radykali i socyaliści, żeby urządzić gwałtowną uliczną demonstracyę przeciwko klerowi. To zajście zapamiętali sobie katolicy i ono skłoniło kardynała-arcybiskupa Katanii, Francica-Nava, do postarania się w Rzymie o zniesienie przepisu *Non expedit* dla swoich dyecezyan; sam kardynał wziął również udział w akcyi wyborczej.

Stronnictwo radykalne postawiło kandydaturę socyalisty Auteri-Beretta, konstytucyonaliści profesora Carnazza; za konstytucyonalistami opowiedzieli się katolicy.

»Jaki jest charakter obecnej walki wyborczej?«, pytał na licznem zgromadzeniu kardynał. »To nie jest walka osobista, to

walka o zasady. Skoro charakter walki jest ustalony, czyż wolno klerowi nie brać w niej udziału? Ma on pozostać obojętnym? Nie! Jego zadaniem przeciwnie jest stanąć na czele wojska, które na wojnę wyrusza. Dla szlachetnej sprawy nie powinien kler szczędzić trudu ani ofiar, dopóki nie zatryumfuje. I nikogo dziwić nie powinno, że walczymy po stronie partyi, która nie dzieli z nami wszystkich idei. Wystarczy wiedzieć, że broni ona ładu i sprawiedliwości przeciwko stronnictwu przewrotu i bezbożności«. Konstytucyjni, wywodził dalej kardynał, stanęli 30 lipca zeszłego roku w obronie katolików z narażeniem nawet własnego zycia. »A więc w imię Boga do dzieła! Niech nikt w tyle nie pozostaje. Jedność i łączność powiodą nas do zwycięstwa«. I powiodły, gdyż kandydat socyalistyczny upadł.

Les ésprits forts se rencontrent mówi przysłowie; socyalistyczny Avanti tak pisał o tych wyborach, iż zdawać się mogło, że to bynajmniej nie Avanti, ale pismo bliżej nas wychodzące. »Przyszła chwila stanowcza, kardynał głosił krucyatę, księża wystawiali Sakrament na ołtarzach, dewotki poniosły zarzewie niezgody do domowych ognisk, mury pokryły się plakatami z wezwaniami, jak np.: Synowie św. Agaty, nie wybierajcie synów szatana. Prefekt zamknął żołnierzami drogę wyborcom z ludu, robotników uwięziono w *Camera del Lavoro*, korupcya święciła orgie pod ochroną władz... W takich warunkach księża i reakcyoniści musieli zwyciężyć, ale zwyciężyli tylko 243 głosami«. Tak! pokrewne duchy wszędzie się spotkają, a bajka o lisie i kwaśnych winogronach i we Włoszech się sprawdza.

Nie lepiej udało się socyalistom i w Portomaggiore. Dwudziestego dziewiątego lipca odbywał się tam wybór ściślejszy między kandydatem socyalistów, radykałów, wolnomularzy i różnych skrajnych stronnictw ludowych, Henrykiem Ferri, a kandydatem monarchistów i katolików, inżynierem Chiozzi. Mimo, że socyalistom udało się unieważnić 195 głosów, wyszedł z urny wyborczej jednak kandydat bloku antysocyalistycznego, Chiozzi. Socyaliści zemścili się za tę klęskę w ten sposób, że uniemożliwili zgromadzenie prezydentów, tak, iż Chiozzi został ogłoszony deputatem dopiero po otwarciu Izb.

Jeżeli powyższe dwa wybory stwierdzają pewien, choć nawet minimalny, wzrost prądów katolickich, to o przyjmowaniu się w społeczeństwie włoskiem zdrowych moralnych zapatrywań, świadczy rzymski kongres pensyonowanych oficerów włoskiej armii. W ostatnich latach szerzyły się pojedynki między włoskimi oficerami w przerażający sposób, to też nie dziw, że kongres zabrał w tej sprawie głos i prawie jednomyślnie uchwalił następującą rezolucyę: »kongres wyraża życzenie, aby każdą sprawę honorową, w myśl praw prawdziwej rycerskości, dać do rozstrzygnięcia sądom honorowym; życzy też sobie, aby w myśl wymagań modnej cywilizacyi, pojedynek został zniesiony«.

Ta propaganda nabiera tem większego znaczenia, że zajęły się nią ze zwykłą gorliwością panie z towarzystwa. Z inicyatywy hrabiny Paravicino-Raval zawiązał się komitet damski antypojedynkowy w Medyolanie, a niezadługo mają powstać takież komitety w Palermo i Wenecyi. Komitetowi medyolańskiemu udało się już zapobiedz kilku ważnym pojedynkom — to częściowe przynajmniej potwierdzenie tego, co przed kilku laty pisał *Przegląd*: »między czynnikami d e c y d u j ą c y m i o przyszłych losach ligi (antypojedynkowej)«, najwybitniejszą może rolę odegraćby mogły kobiety.

Encyklika *Pieni l'animo.* Ostatnia Encyklika Piusa X *Pieni l'animo*, zwrócona do biskupów i arcybiskupów Włoch, wywołała i wywołuje sporne zdania. Sądząc z ostrego tonu, w jakim encyklika jest zredagowaną i z surowych przepisów, jakie daje, trzeba przypuścić, że bardzo ważne przyczyny skłoniły Ojca św. do tego kroku. Te przyczyny wyłuszcza encyklika. Są niemi listy wielkiej liczby arcypasterzy »listy pełne smutku i łez, które opłakują ducha niesubordynacyi i niezależności — *lo spirito d'insubordinazione e d'indipendenza* — jaki się wśród kleru pojawia«; duch ten istnieje przedewszystkiem, dodaje Ojciec św., w szeregach młodszego kleru, wśród których powstają nowe i nagany godne teorye o samej istocie posłuszeństwa.

Encyklika zajmuje się najpierw reformą seminaryów. Biskupi mają święcić kleryków z zachowaniem największych ostrożności,

według przepisów koncilium trydenckiego i potrzeb dyecezyi, a nie według wymagań i życzeń samych aspirantów; stanowczo zaś mają od święceń wykluczyć tych wszystkich, którzy objawiają skłonności przeciwne swemu powołaniu, a więc zbytnie wynoszenie samych siebie i brak uległości. Seminarya, w których jak najprędzej trzeba przeprowadzić przepisy Leona XIII z 8 grudnia 1902 r., powinny kształcić księży, prawdziwe sługi Chrystusa, nie ludzi szukających karyery. Studya teologii, filozofii i nauk pokrewnych, a przedewszystkiem Pisma św., mają się odbywać w myśl przepisów Leona XIII i listu z 23 stycznia 1904 r. i mają być oparte o św. Tomasza; profesorów, skłaniających się do niebezpiecznych nowości — *a certe novità pericolose* — i nie uwzględniających napomnień, biskupi bezwzględnie usuną. Młodzi klerycy mogą na uniwersytety uczęszczać tylko wtenczas, jeśli ważne przyczyny tego zażądają, biskupi zaś użyją w tym wypadku wszelkich środków, by możliwe niebezpieczeństwa z uczęszczania na uniwersytety wynikające, usunąć. Klerykowi nie wolno brać udziału w agitacyach zewnętrznych, nie wolno czytać gazet a z czasopism tylko te, które biskupi za dobre uznają. Seminaryum wreszcie każde ma mieć kierownika duchownego.

Dalej zajmuje się encyklika kaznodziejami. Tu mają biskupi uwzględniać życie, obyczaje i wiedzę mowców. Kaznodzieja ma się oprzeć na Piśmie św. i tłumaczyć je, nie według opinii prywatnych, lecz według tradycyi, Ojców św. i koncyliów; kazania moralne mają pierszeństwo przed bezowocnemi konferencyami; dla przedmiotów, nadających się do gazet lub sal uniwersyteckich, niema miejsca na ambonie. Kaznodzieja, szukający własnych interesów lub poklasku świata, ma być upomniany, a jeżeli to nie pomoże, urzędu swego pozbawiony, jak wogóle każdy mowca, który nie zachowuje przepisów, wydanych przez kongregacyę biskupów i zakonników.

Wreszcie daje Papież przepisy, odnoszące się do całego stanu duchownego. Bez pozwolenia biskupów nie wolno duchownym redagować dzienników lub czasopism, wydawać książek, zakładać stowarzyszeń, miewać odczytów o demokracyi chrześcijańskiej lub jakimkolwiek innym temacie. Zapatrywań, które sfery

nizsze do wyższych zniechęcają, głosić nie wolno. Unikać trzeba w publikacyach katolickich wszystkiego, co pachnie niezdrowemi nowościami. Do takich należą według słów encykliki, zdania, mówiące o nowych punktach oryentacyjnych dla życia chrześcijańskiego, nowych kierunkach dla Kościoła, nowych wymaganiach współczesnego człowieka, nowych socyalnych zadaniach dla kleru — *nuovi orientamenti della vita cristiana, nuove direzioni della Chiesa, nuove aspirazioni dell' anima moderna, nuova vocazione sociale del clero, nuova civiltà cristiana.* Wolno księżom iść w lud, ale w tej czynności ulegać będą wskazówkom swych duchownych przełożonych, będą dążyć do zachowania swej kapłańskiej godności; w niczem też nie zaniedbają swych kapłańskich obowiązków, ani nie naruszą kościelnej dyscypliny. Księżom i klerykom nie wolno być członkami, stowarzyszeń niezależnych od biskupów. Każdy kleryk wstępujący do *Lega Democratica Nazionale*, której program wydrukowano 20 października 1905 r. w Rzymie-Torette, staje się niezdolnym do otrzymania święceń, a kapłan wpada tem samem w suspenzę *a divinis.*

Po przeczytaniu encykliki to jedynie stwierdzić trzeba, że taką łagodnością odznaczający się Pius X, nigdy jeszcze tak stanowczo i surowo wobec swego włoskiego kleru — bo do Włoch tylko jego pismo się odnosi — nie wystąpił. Bliższych i szczegółowych przyczyn, które Ojca św. do tego zmusiły nie znamy, a pisma katolickie tą stroną kwestyi się nie zajmują. Jedną tylko przyczynę nasuwa nam encyklika: brak subordynacyi i uległości a więc brak jedności wśród kleru. Zważywszy jednak, że encyklika nadaje tak wielką władzę biskupom włoskim i że z powodu koniecznej różnicy w zapatrywaniach prawie trzystu biskupów, jedność jakiejkolwiek akcyi będzie utrudniona, przypuścić trzeba, że Ojcem św. kierowały inne jeszcze, nieznane nam przyczyny, które tej trudności uwzględnić nie pozwoliły.

Na ten moment nie zwróciły uwagi liberalne pisma, jak np. *Italie*, która twierdzi, że Papież cofnął się na stanowisko Piusa VII, lub *Tribuna* odmawiająca skutkiem encykliki Papieżowi zrozumienia dzisiejszych prądów i dążności. Lepiej już wszedł w myśl Papieża wielki liberalny medyolański organ, *Corriere della*

Sera, który encyklikę nazywa dokumentem wielkiej wagi, zgadzającym się w swych istotnych zapatrywaniach co do polityki i studyum z zasadą, głoszoną w pierwszem piśmie Piusa X: *renovare omnia in Christo.*

Najwięcej czuje się encykliką dotknięta *Lega Democratica Nazionale.* W programie zjazdu przygotowanego na czas od 15—18 września nosi się z myślą utworzenia organizacyi bez udziału księży i pozwala wstępować swym członkom do stronnictw socyalistycznych; postanawia też brać udział w wyborach, ale głosować na tych tylko kandydatów, którzy swemi dążnościami do niej się zbliżają.

Zapatrywanie *Ligi* na encyklikę jest co najmniej zadziwiające. Są, tak twierdzą, wiernemi i posłusznemi dziećmi Kościoła, ale nauki i tendencye, które Papież w encyklice potępił, nie są ich tendencyami, dlatego do nich się nie odnoszą; niczego, pisze w *Giornale d'Italia* ks. Murri, nie ma w naszych statutach, coby mogło być kamieniem obrazy dla władzy duchownej. To zapatrywanie stwierdza tylko na nowo, że dużo jeszcze upłynie czasu, nim do jakiej takiej jedności między katolikami włoskimi przyjdzie.

Z walki kulturnej we Francyi.

Zgromadzeni w Paryżu biskupi wystosowali po zakończeniu zjazdu do Ojca św. list pełen uległości i posłuszeństwa, ale zarazem i tego nieuzasadnionego optymizmu, który tak dzisiaj katolickich Francuzów cechuje. »Nie pochwalamy tego wszystkiego, czego Wasza Świątobliwość nie pochwala; potępiamy wszystko, co Ty potępiasz. A zwracając oczy nasze do Rzymu, matki i nauczycielki wszystkich Kościołów, oczekujemy w duchu pokuty i w modlitwie słowa przyszłości, wychodzącego z ust Piotra, a wtenczas, jako katoliccy biskupi i Francuzi, będziemy umieli być posłusznymi. To jest Ojcze św. nasze ostatnie słowo; to jest także mimo wszelkich przeciwnych zjawisk na polu politycznem, zapatrywanie i postanowienie olbrzymiej większości naszych katolickich dyecezyan... Usposobienie religijne znajduje się nienaruszone na dnie francuskiej duszy. Tytuł: najstarsza córka Kościoła, ma jeszcze w oczach narodu swój urok

i swój blask. Katoliccy Francuzi uznają w rzymskim Papieżu narzędzie Chrystusa, Jego zastępcę. Dlatego ufamy Ojcze święty, że Twoja ojcowska dobroć potrafi rozróżnić między narodem, który kocha Chrystusa i Jego zastępcę, papieża, a tymi zaślepionymi, którzy przytłumiają głos wiary, aby swą pożałowania gogną ambicyę zadowolnić. Dzień, w którym francuska demokracya będzie uświadomiona, ujrzy ją zjednoczoną w wierze Chrystusowej i w miłości do Papieża«.

Do tego uświadomienia jednak jeszcze daleko; zamiast odwagi i energii, obecnie bardzo potrzebnej, zniechęcenie opanowało interesowane umysły, tak jak przedtem złudny optymizm je cechował. »Pragnąłbym przedewszystkiem, pisze członek Akademii, hr. d'Haussonville, by już raz koniec lamentowaniu położono, gdyż ono do żadnego nie prowadzi celu. Czas już przestać wzdychać; zbliża się godzina męskich postanowień, a wzdychanie jest złem przygotowaniem do akcyi«.

Ta godzina już się zbliżyła a przyniosła ona pewne rozczarowanie katolikom francuskim, gdyż pokazała im, że nie za nich papież pracować będzie, ale że od nich pracy żąda. Encyklika *Gravissimo officio*, podpisana 10 sierpnia, wróży dla Francyi czas pracy i walki. Ojciec św., wbrew żądaniom wielu wybitnych katolików, nie przyjął związków wyznaniowych w tej formie, jaką przewidywała ustawa. Nie wyklucza wprawdzie innych związków, odpowiadających prawu kościelnemu i państwowemu, lecz zaznacza równocześnie, że nie może o ich utworzeniu być mowy, jak długo prawa Kościoła, Papieża i biskupów, przedewszystkiem prawa odnoszące się do dóbr dla Kościoła niezbędnych, nie będą ustawą państwową zagwarantowane. Tym najważniejszym ustępem encykliki są właściwie związki stanowczo potępione, gdyż cała ustawa Kościelna musiałaby być zmieniona, aby powyższe warunki mogły się spełnić.

Encyklika nie orzeka pozytywnie co czynić, ogólnie tylko zaznacza, że obowiązkiem biskupów wziąć się do pracy i użyć wszelkich środków, jakie obywatelowi z prawa przysługują, by kult zorganizować. Jak go zorganizować, o tem encyklika nie

wspomina i to nasuwa przypuszczenie, że w swoim czasie Papież na nowo do biskupów francuskich przemówi.

Co w całej sprawie przykro uderza, to apatya, z jaką według dzienników, przyjęło encyklikę papieską społeczeństwo, a która rządowi, choć jego stanowisko w tej sprawie nie jest jeszcze wyjaśnionem, wszelkie, gwałtowne nawet kroki, na przyszłość ułatwi. Zresztą trudno dziś o następstwach encykliki coś pewnego przewidzieć lub powiedzieć, tem bardziej, że i rząd czeka na akcyę biskupów w tym względzie i do niej własne środki zastosować pragnie.

Dziwna konsekwencya.

Walka przeciwko polskości toczy się w Prusach na wszystkich polach, równocześnie rozbudza się jednak wbrew oczekiwaniom i duch narodowy i w tem leży znamienna strona tej gwałtownej, a tak wysoce niekulturalnej walki. Gazety w ostatnich tygodniach przynosiły z różnych miejscowości szczegółowe wieści o systematycznem rugowaniu języka polskiego z wykładów religii w szkołach ludowych i o oporze, jaki temu postępowaniu stawiła polska dziatwa.

Że nie pragnienie dobra poddanych i wymagania kultury, ale duch rasowej nienawiści tę walkę cechuje, świadczy między innemi postępowanie rządu pruskiego, nietylko wobec protestanckich Mazurów, ale i protestanckich Litwinów. Litwini skarżą się w Prusach, że ich dzieci nie mogą się uczyć religii po litewsku, gdyż brak profesorów litewskich stoi temu na przeszkodzie. Na te skargi odpowiada *Post.*

Wyrachowała ona, że dzieci litewskie uczęszczają w regencyi królewieckiej do 103 szkół, a tylko 36 tych szkół posiada profesorów mówiących po litewsku. Dlatego przypomina *Post* Litwinom, że już oddawna radził im rząd, aby jak najwięcej młodych Litwinów garnęło się do stanu nauczycielskiego, tym sposobem trudności się usunie. Dlatego też, choć Litwini pruscy mają już dwa seminarya nauczycielskie, założono dla nich w ostatnich czasach jeszcze trzecie w Memlu, a to w tym wyłącznie celu, by pomnożyć zastępy profesorów litewskich.

Fakt ten nie potrzebuje tłumaczenia, mówi sam za siebie, wystarczy tu przytoczyć chyba słowa, niekoniecznie Polakom przychylnej *Germanii:* »nie można się obronić uczuciu wstydu i oburzenia, widząc taką różnicę w postępowaniu wobec protestanckich Litwinów a katolickich Polaków... Względem kwestyi polskiej można zająć stanowisko, jakie się komu podoba, w tem jednem powinna panować pełna sprawiedliwość i równość: czego słuszność domaga się dla protestanckich Litwinów i Mazurów, tego też żąda dla katolickich Polaków«. To otwarte postawienie kwestyi, lecz da się ono tam chyba uzasadnić, gdzie panuje nie tylko siła, ale także prawo.

List Piusa X do Arcybiskupa Poznańskiego.

W trudnych warunkach, w jakich się Papież znajduje, znalazł on jeszcze czas i sposobność, by czynem objawić na nowo swoją sympatyę dla Polski. Tym czynem był serdeczny list, wystosowany do Arcybiskupa Poznańskiego. W liście dziękuje Papież arcybiskupowi za dowody miłości, jakich z jego strony doznał, za gorliwość, z jaką kieruje dyecezyą wśród tylu trudności; zachęca wreszcie, krzepi na duchu i obiecuje swą pamięć i miłość.

List ten w prostych a szczerych skreślony słowach, naprawdę głębokie wywołuje wrażenie. Krzepi na duchu i pociesza ten Papież, który sam obecnie dużo pociechy potrzebuje.

A i dla księdza arcybiskupa ten list będzie źródłem siły i otuchy. Złamany chorobą, w najtrudniejszych warunkach rządzi dyecezyą. Tak łatwo w tych rządach urazić polskich lub niemieckich dyecezyan! Gazety protestanckie pomawiają go o agitacyę polską, niektóre z gazet polskich — z szczególną predylekcyą czyni to *Nowa Reforma* — zapominając, że inaczej rzecz się przedstawia za zielonym stolikiem, a inaczej w życiu, oskarżają go o brak patryotyzmu i o ustępstwa wobec niemieckiego narodu na niekorzyść Polaków. W tem położeniu list papieski jest zasłużoną nagrodą za poniesione ofiary i trudy.

Ks. Wiktor Wiecki.

Stowarzyszenia spożywcze w Galicyi.

(Ciąg dalszy).

W tym samym mniej więcej czasie powstało Towarzystwo spożywcze we Lwowie. Od samego początku jednak rozwijało się ono nieszczególnie, aż wreszcie upadło. O powodach tych niedomagań, wypowiedziała trzecia z rzędu Dyrekcya stowarzyszenia, takie nader słuszne uwagi, które po dziś dzień, nie utraciły swej aktualnej wartości [1].

»Do wprawienia w ruch naszego Towarzystwa, do utrzymania tego ruchu w granicach praktyczności, tak, ażeby wszelkie spożywcze potrzeby członków zaspokajać w coraz bardziej zadowalniający sposób, a przytem nie podkopać bytu Towarzystwa, na nic nam się nie przydały pierwowzory spożywczych zakładów zagranicą. Wprawdzie i gdzieindziej Towarzystwa tego rodzaju jak nasze, wywodzą swój początek od szczytnego zawiązku, rozporządzającego na razie małym kapitałem, ale gdy zagranicą początkujące nieliczne koła stowarzyszonych poprzestają na powolnym i stopniowym rozwoju interesów spożywczych, u nas przeciwnie, zaledwo liczba stowarzyszonych doszła do kilkudziesięciu członków i zaledwo ci kilkudziesięciu wpłacili na udziały paręset złotych, zażądano natychmiast otwarcia interesu; nie pozwolono na razie ograniczyć się do kilku najpotrzebniejszych artykułów, lecz domagano się wynajęcia obszernego lokalu na sklep, któryby był zaopatrzony we wszystkie artykuły żywności, począwszy od najwyszukańszych towarów kolonialnych, a schodząc aż do najpowszedniejszych jak np. jaj, chrzanu, cebuli; żądano dalej, aby w tym sklepie obsługa była szybka, nagła, od rana do nocy, nawet nie chciano pozwolić na ścieśnienie sprzedaży marek do kilku godzin popołudniowych. Gdy z jednej strony wskutek tych wymagań, wykluczających wszelką możliwość bezpłatnych usług, musiano od razu zaprowadzić i urządzić liczną i kosztowną służbę i administracyę, to z drugiej strony niecierpliwość członków nie dawała poczekać na zamknięcie rachunków, aby należycie obliczyć zysk i rozdzielić go według zastrzeżonej statutem normy pomiędzy kupujących, ale wbrew temu zastrzeżeniu i wbrew przyjętemu powszechnie zagranicą prawidłu, aby w towarzystwach spożywczych sprzedawać towary po cenach targowych

[1] *Związek* 1877, str. 77.

i sklepowych domagało się natychmiastowego opustu cen, czyli bezpośredniego rozdziału zysku przy zakupnie każdej kwarty i każdego funta jakichkolwiek artykułów.

Tymczasem wpłacone wkładki zaledwo wystarczały na sprawienie inwentarza, pokrycie kosztów wstępnego urządzenia; już na opłacenie czynszu za I kwartał od sklepu, potrzeba było szukać pomocy obcych kapitałów, na hurtowne zakupywanie najgłówniejszych towarów, przy którem jedynie dałaby się osiągnąć możność opustu cen dla drobnej sprzedaży. Towarzystwo nie posiadało ani centa własnego kapitału, ale musiało te zakupna uskuteczniać za pomocą pożyczek na wysoki procent zaciąganych albo brać towary na kredyt, zakupywać je w drobnych ilościach od pośredniczących handlarzy a nawet kramarzy; o prowadzeniu główniejszych przedsiębiorstw spożywczych jako to: piekarń, jatki, składu drzewa opałowego we własnym zarządzie nie podobna było ani myśleć i potrzeba było poprzestać li na wytargowaniu jakiego takiego rabatu od istniejących już piekarzy, rzeźników i handlarzy drzewa.

Mimo, że Dyrekcya jasno, jak widzimy, zdawała sobie sprawę z przyczyn niepowodzenia, mimo to jednak nie znalazła w sobie dość siły, by się oprzeć nieuzasadnionym roszczeniom członków stowarzyszenia. Wszelkie też uwagi powyżej przedstawione, a tak jasno wyjaśniające całą sytuacyę, zachowały li tylko teoretyczny charakter.

Miało zresztą to Towarzystwo niejednokrotnie wcale chlubne w swej działalności momenta. Interesa spożywcze stowarzyszenia rozpadały się na następujące działy: 1) na piekarnię, 2) skład drzewa opałowego, 3) sklep z towarami kolonialnymi i innymi artykułami żywności, 4) dział rabatowy (sprzedaż mięsa, nafty i białego pieczywa). W r. 1877 założyło ono własną piekarnię, dla której później osobny wybudowało budynek i obdzielało chlebem 415 członków Towarzystwa, nie mogąc na razie zaspokoić wszystkich potrzeb członków stowarzyszenia. Korzyść dla członków była niewątpliwą. Gdy cena chleba Towarzystwa była w przecięciu o jednego centa na bochenku niższą od cen targowych, a wartość chleba wskutek przedniejszego gatunku mąki użytej do jego wyrobu, była o jednego centa wyższą od chlebów innych piekarzy, więc prócz dochodu dla Towarzystwa wogóle, jeszcze i członkowie pojedynczo na zakupnie własnego chleba odnieśli bezpośrednią korzyść ct. $2 \times 220.000 = 4.400$ złr.

Stowarzyszenie utrzymywało własny skład drzewa opałowego, gdzie drzewo wyborowe w mierze nieuszczuplonej i w dostawie, ści-

śle kontrolowanej, sprzedawano członkom stowarzyszenia o 1 złr. poniżej ceny targowej za jeden 4 metrowy stos w przecięciu, co dało członkom bezpośrednią korzyść dającą się obliczyć na $1^1/_2$ złr. od każdego 4 metrowego stosa tj. $1^1/_2 \times 1300 = 1950$ złr.

Zakupno mięsa wywołało dla członków Towarzystwa obniżenie ceny targowej o $1^1/_2$ ct. na pół kilogramie mięsa co dało członkom bezpośrednią korzyść $1^1/_2 \times 129{,}481 = 1942$ złr. 23 ct.

W nafcie wynosił opust 5 ct. na każdym litrze, co przyniosło członkom bezpośrednią korzyść 5 ct. $\times$ 24.068 litr. = 968 złr. 72 ct.« [1].

To też Sprawozdanie Towarzystwa za r. 1877/1878 z zadowoleniem stwierdza, że »Towarzystwo« już niemały wpływ wywarło na ulepszenie niektórych artykułów spożywczych i na zniżenie ich cen na targu lwowskim z jednej strony a z drugiej skłoniło producentów do bezpośredniego zaofiarowania swoich płodów i wyrobów spożywczych z pominięciem dotychczasowych pośredników, którzy i producentów i konsumentów niemiłosiernie dotąd wyzyskiwali. Ono to pierwsze obniżyło ceny drzewa opałowego, i utrzymywało je przez cały czas w jednostajnej wysokości, rozbijając i uniemożebniając zmowę handlarzy dla sztucznego cen podwyższenia. Ono utrzymując ceny wszelkich artykułów przy możliwej niskości, zmusza także kramarzy do trzymania się blisko tych cen w ich sklepach. Ono przez otworzenie i zapewnienie odbytu, skłoniło kilkanaście rolnych gospodarstw domowych do wyrabiania artykułów żywności; mianowicie masła i serów we własnym zarządzie, co zwiększyło ich obfitszy dowóz na targ lwowski i wpłynęło na obniżenie ich ceny.

A w Sprawozdaniu za r. 1879/1880 czytamy: »Czysty zysk z piekarni znacznie się zmniejszył. Zmniejszenie tego zysku o 75% w porównaniu z dwoma poprzednimi okresami, pochodziło ze zniżenia ceny chleba o 2 centy na każdym bochenku poniżej ceny targowej i z utrzymania tej niższej ceny przez przeciąg całego roku. Ale co na tem zarządzeniu Towarzystwo wogólności straciło, to zyskali członkowie w szczególności. Przytem przez utrzymanie niższych cen chleba, w czasie drożyzny, Towarzystwo nasze uwydatniło swą wartość ekonomiczną i użyteczność publiczną, które więcej niż wszystkie rozprawy i namowy, zjednały mu na wewnątrz i na zewnątrz szerokie uznanie i ogólną wziętość«. I to Sprawozdanie, jak i następne stwierdza zna-

[1] *Związek* 1878 str. 72.

czne obniżenie ceny wszystkich artykułów sklepowych, poniżej ceny targowej.

Członków miało to Stowarzyszenie z końcem r. 1878/9 360 i przeważnie osoby żyjące ze stałych dochodów, lub pobierające stałą płacę, więc przedewszystkiem urzędników [1].

Stowarzyszenie wybudowało własną piekarnię. Dział rabatowy trwał krótko i rychło począł się chylić ku upadkowi, a zarząd przypisywał to dostawcom, którzy widocznie nie przywiązują wielkiej wagi do rabatowego interesu i lekceważą go. To też w miejsce rabatowej sprzedaży białego pieczywa, doprowadzono w r. 1877/9 wyrób białego pieczywa we własnej piekarni. Faktem jest, czytamy w Sprawozdaniu, że białe pieczywo we Lwowie jest droższem o 25% od tegoż pieczywa w Londynie. Sztuczna ta drożyzna pochodzi z trzech przyczyn. Lwowskie pieczywo jest zbyt drobne, co zwiększa koszta wyrobu. Za rozdział tego pieczywa pomiędzy konsumentów, piekarze płacą 20%. Produkcya jest nieoględna, przewyższa konsumcyę, pozostaje wiele czerstwości, na której stratę powetowuje podwyższeniem ceny świeżego pieczywa. Otóż piekarnia Towarzystwa może zniżyć względną cenę białego pieczywa o 30% i odstąpić tę zniżkę na korzyść członków, jeżeli ci zechcą usunąć powyższe przyczyny sztucznej drożyzny, tj. jeżeli w miejsce jedno i dwucentowych, zechcą kupować ćwierć lub półkilowe bułki, jeżeli po nie zechcą posyłać sługi do naszych sklepów, w których wyłącznie białe pieczywo sprzedajemy i jeżeli zadadzą sobie trud zamówienia, aby nie wyrabiać więcej nad potrzebę i uniknąć marnotrawstwa czerstwizny.

Towarzystwo napotyka i zewnętrznych nieprzyjaciół: Dotyczy to przedewszystkiem »grajzlerów«, którzy tyle tylko sztuk chleba przyjmują na zbyt, ile potrzebują dla zaspokojenia wyraźnych żądań i usilnych nalegań członków. To też, gdy w przedostatnim roku czytamy w sprawozdaniu Towarzystwa za r. 1879/1880 ilość chleba sprzedanego w dwóch sklepach własnych Towarzystwa, wynosiła zaledwie $^1/_4$ tego, co grajzlerzy sprzedali, w ostatnim roku dwa własne sklepy sprzedały tyle, ile 72 grajzlerów razem wziąwszy [2].

Walka przeciw Towarzystwu ujawniła się i w innej formie. Oto kupcy lwowscy np. wnoszą w sprawie Stowarzyszenia protest do Izby

[1] *Związek* 1879, str. 135.
[2] *Związek* 1880, str. 143.

handlowej we Lwowie [1], a objawem walki przeciw Towarzystwu są również usiłowania organizacyjne ze strony drobnych kupców, zwłaszcza w formie Stowarzyszeń dla zakupów. Tak jeszcze w r. 1874, utworzyło się we Lwowie Towarzystwo grajzlerów dla wspólnego zakupna towarów, jako Stowarzyszenie z nieograniczoną poręką, choć co prawda, Stowarzyszenie to nie było tyle zwrócone przeciw Stowarzyszeniom spożywczym, których u nas wówczas (podobnie jak i dziś zresztą) prawie że nie było, ile raczej przeciw hurtownikom drugorzędnym [2].

Usiłowania te doprowadziły wkońcu do pożądanego rezultatu. Stowarzyszenie wkońcu, jak wspomniano powyżej, upadło. Towarzystwo apelowało do członków, by »zdobyli się na taką samą przezorną solidarność, wytrwałość i cierpliwość, jakiem się odznaczają członkowie Towarzystw spożywczych, za granicą i żądało, by prawodawstwo państwowe, zechciało zrozumieć istotę Towarzystw spożywczych, zasadzającą się na wytwarzaniu li tylko oszczędności, przy zaspokajaniu najniezbędniejszych potrzeb do życia, a nie uważało je za spółki zarobkowe, goniące za zyskiem i nie nakładało na pierwsze równie jak na drugie podatek zarobkowy i dochodowy [3].

Niestety, apel ten pozostał i w jednym i w drugim kierunku bezskutecznym.

Bywały jeszcze we Lwowie próby utworzenia Stowarzyszenia spożywczego, ale wszystkie skończyły się nieszczęśliwie. Kraj. Towarzystwo spożywcze zlikwidowało w r. 1887. Spółka konsumcyjna urzędników w r. 1903 (po dwuletniem zaledwie istnieniu). Zwłaszcza w tem ostatniem Stowarzyszeniu błędy tylekrotnie dawniej popełniane, zostały obecnie ponowione. Otwarto od razu sklep z najrozmaitszymi artykułami, pokojem do śniadań, delikatesami i t. p. Borgowanie towarów urzędnikom z pensyą, obłożoną kondyktami, odbywało się oczywiście na wielką skalę. Szczególnie w tym względzie charakterystycznym jest fakt, że gdy np. kredytowano drogocenne wina, to stowarzyszenie zobowiązywało się równocześnie do przyjmowania zwrotu flaszek z wina opróżnionych, oczywiście za uiszczeniem drobnego wynagrodzenia za flaszkę. Flaszki więc zwracano, otrzymywano drobne za nie wynagro-

[1] *Związek* 1879, str. 140.
[2] *Związek* 1874 str. 86.
[3] *Związek* 1880, str. 144.

dzenie, ale ceny za towar zakredytowane, zaniechano uiszczać, a ściąganie tej kwoty było rzeczą wątpliwą, wobec braku uzyskania odpowiedniego przedmiotu egzekucyi.

Dowodem niedołężnej administracyi są również dzieje Towarzystwa spożywczego urzędników i służby c. k. kolei państwowych we Lwowie. Towarzystwo to uposażone w przeróżne przywileje, jak bardzo tani lokal w zabudowaniu kolejowem, prawo do bardzo daleko idących ulg taryfowych dla sprowadzania towarów, (aż do ceny własnych kosztów), przecież nie zdołało się rozwinąć i musiało uchwalić likwidacyę, przeprowadzaną przez lwowską filię Związku handlowego Kółek rolniczych w Krakowie.

I tu zresztą borgowanie bardzo wybitną a ujemną rolę odegrało, w dziejach Stowarzyszenia.

Wogóle liczba Stowarzyszeń spożywczych w Galicyi, zawiązanych, a następnie zlikwidowanych, względnie znajdujących się w likwidacyi, jest dość znaczną.

Tak wedle statystyki Związku Stowarzyszeń za r. 1904, zlikwidowały prócz powyżej wymienionych, następujące Stowarzyszenia spożywcze: Tow. spożywcze w Bochni (1885), Tow. spożywcze w Ratuszu (1883), Tow. spożywcze w fabryce sukna w Mikuszowicach (1885), Okrążna narodna torhowla w Samborze (1886), Tow. spożywcze i produkcyjne »Ul« w Stanisławowie (1874), Stowarzyszenie spożywcze w Tarnobrzegu (1889), chrześcijańskie Tow. spożywcze w Tarnowie (1886), Kółko rolnicze (za r.) w Tłumaczu (1899), sklep kółka rolniczego w Tyśmienicy (1900).

V.

Upadek lwowskiego Towarzystwa spożywczego, spowodował dość długą pauzę w dziejach kooperatywy spożywczej w Galicyi, choć niewytłómaczonym mi sposobem od r. 1883 przez kilka lat z rzędu, czytamy w *Roczniku* Stowarzyszeń, że »na polu zakładania Stowarzyszeń spożywczych, ożywia się ruch znacznie«. Dopiero z początkiem lat dziewięćdziesiątych, ruch ten staje się silniejszym. Ale idea kooperacyi spożywczej, jest tu właściwie tylko formą, jej treścią utworzenie handlu chrześcijańskiego.

Fakt ten tłómaczy się tą przedewszystkiem okolicznością, że nasz handel drobiazgowy, znajdował się (i znajduje się) w rękach żydów, że zaś z drugiej strony ludność żydowska w przeważającej swej większości oddaje się zawodowi handlowemu. Wszak w Galicyi

Zachodniej liczono w handlu towarowym na 1000 osób zawodowo-czynnych 186 osób wyznania katolickiogo, a 810 osób wyznania izraelickiego, w Galicyi Wschodniej 86 osób wyznania katolickiego, a 912 wyznania izraelickiego [1].

Gdy więc rzucono hasło usunięcia zbytecznych pośredników, to hasło to z natury rzeczy, musiało się zwrócić przeciw jedynemu prawie w kraju handlowi żydowskiemu. Stąd w drodze błędu logicznego, łatwo było ograniczyć się do postulatu schrystyanizowania handlu, utworzenia handlu chrześcijańskiego, i hasło to podnoszono też u nas bardzo często, coraz to bardziej zapominając w zupełności o ideałach współdzielczych.

Ewolucyę tych pojęć, można bardzo wyraźnie stwierdzić na okólnikach Związku Stowarzyszeń zarobkowych i gospodarczych. Tak, gdy w latach siedmdziesiątych, Związek wcale energicznie propagował tworzenie Stowarzyszeń spożywczych, to w okólniku z 6 marca 1891 L. 299 zwrócił Wydział Związku uwagę na potrzebę pilniejszego niż dotąd bywało, zajęcia się orędowników sprawy spółek udziałowych, tworzeniem Stowarzyszeń niezaliczkowych. Zakładanie sklepów chrześcijańskich po wsiach i miasteczkach, powiatowych składów towarów dla obsługi sklepów wiejskich, a wreszcie utworzenie centralnego składu towarów dla użytku kupców chrześcijańskich — oto szerokie i nader wdzięczne pole do działania obywatelskiego w tym kierunku [2].

Ukrajowienie handlu solą, spowodowało utworzenie akc. Tow. handlowego, które obok celów popierania przemysłu krajowego, dążyło również do tworzenia powiatowych Towarzystw handlowych, obliczonych przedewszystkiem na sprzedaż soli.

»Wydział Związku, czytamy w referacie przedstawionym na walnem zgromadzeniu Związku w Cieszynie dn. 6 grudnia 1891, zapytywał poufnie Dyrekcyę akc. Towarzystwa handlowego, w jaki sposób zamierza postępować przy urządzeniu trafik solnych i uzyskał od niej zapewnienie, że jeżeli powstałyby godne zaufania powiatowe, Towarzystwa handlowe na zasadzie ust. z 1873 r. Dyrekcya Tow.

---

[1] »Wiadomości statystyczne o stosunkach krajowych wydane przez krajowe biuro statystyczne t. XX, zeszyt II. Stosunki zawodowe i socyalne ludności w Galicyi, według wyznania i narodowości na podstawie spisu ludności z dnia 31 urudnia 1900, przedstawił dr Józef Buzek. Lwów 1905, str. 18 i 20.

[2] *Związek* 1891, str. 58.

handl. byłaby skłonną poruczać im tak samo zastępstwo swoje po powiatach, jak bank krajowy poruczył wielu Towarzystwom zaliczkowym swoje zastępstwo po powiatach.

Najważniejszym i niewątpliwie najkorzystniejszym interesem dla takich powiatowych Towarzystw handlowych, byłoby utrzymanie centralnych składów soli w jednym lub kilku ważniejszych punktach powiatu — tak, ażeby o te trafiki głównie opierał się ruch handlowy wszystkich lokalnych trafik solnych w całym powiecie. Mając zaś w ręku sól, mogłyby z czasem te powiatowe Towarzystwa handlowe opanować kolejno różne inne interesa handlowe, zwłaszcza na polu zaspokajania potrzeb rolnictwa[1]. Te powiatowe Towarzystwa handlowe, które zresztą wcale się nie rozwinęły, ponieważ i akc. Tow. handlowe nie zdołało zmonopolizować, były jednak niewątpliwie, jak wspomniano, nie tyle przejawem organizacyi spożywczej, ile raczej objawem tendencyi wytworzenia handlu chrześcijańskiego.

Przemijającem zjawiskiem w dziejach Stowarzyszeń spożywczych w Galicyi, były również Stowarzyszenia spożywczo-zaliczkowe.

Obok Stowarzyszeń spożywczych, mianowicie działalność właściwą tym Stowarzyszeniom, rozwinęły również Stowarzyszenia zaliczkowe. Pod r. 1876 notuje dr. Zgórski: »Trzy Stowarzyszenia zaliczkowe (w Jaśle, Stanisławowie Stowarzyszenie urzędników i w Tarnopolu), prowadziły ubocznie interesy właściwe Stowarzyszeniom spożywczym, bo działalność swą ograniczały na ludzi jednakowego sposobu życia; w Stanisławowie na urzędników, w Jaśle i Tarnopolu na rolników. Nie zakładano tam składów, sklepów i wogóle nie przedsiębrano żadnych czysto kupieckich interesów«. W r. 1878 notuje dr Zgórski, że za tym przykładem poszła i spółka rolnicza w Stanisławowie[2]. Działalność ta nie przybrała jednak zdaje się, zbyt szerokich rozmiarów, bo jakoś wkrótce później cichną wszelkie wiadomości o tej działalności, a o zawiązanem w r. 1879 urzędniczem Stowarzyszeniu zaliczkowem i konsumowem w Tarnopolu[3], czytamy w r. 1881, że Stowarzyszenie to, trudniło się więcej pożyczkami, niż interesami spożywczymi, a do bilansu za r. 1880 nie wszedł żaden zapas towarów

---

[1] *Związek* 1892, str. 4.
[2] Zgórski »Trzeci Rocznik j. w., str. 7.
[3] Zgórski »Czwarty Rocznik« i t. d. str. 9.

z działu spożywczego [1]. Zdaje się więc, że to połączenie przedstawiało w rezultacie nieprzezwyciężone trudności, raz z powodu różnorodności uzdolnienia osobistego, zupełnie innego wówczas, gdy chodzi o prowadzenie interesów kredytowych, innego zaś wówczas, gdy chodzi o interesy spożywcze [2].

Przytem w Stowarzyszeniu kredytowem, przyjmowanie wkładek oszczędności, jest rzeczą zupełnie naturalną, gdy w Stowarzyszeniu spożywczem, przedstawia ono poważne trudności.

W wielu naszych Stowarzyszeniach spożywczych zarządy tych Stowarzyszeń, pisze słusznie organ związkowy, starają się zasilić swój kapitał obrotowy przyjmowaniem wkładek oszczędności. Na wyższem stadyum rozwoju jest to niewątpliwie wskazane, mianowicie wówczas, gdy Stowarzyszenie łatwo może w danym wypadku zaspokoić swoje potrzeby w jaki inny sposób.

W pierwotnem stadyum rozwoju, gdy Stowarzyszenie nie jest jeszcze należycie skonsolidowane, gdy zwłaszcza nie posiada wybitniejszej zdolności kredytowej, przyjmowanie wkładek oszczędności może być połączone z poważnem niebezpieczeństwem wobec tego, że tu terminy spłaty nie są ściśle terminowo określone, a wszak tutaj, czasem nieoględnie rzucona pogłoska, nieopatrzna lub złośliwa krytyka gospodarki Stowarzyszenia, wystarcza do wywołania popłochu i gromadnego wypowiadania wkładek.

Wówczas słabo lub choćby tylko średnio rozwinięte Stowarzyszenie, staje się zupełnie bezsilnem i prawie nigdy dostatecznie zabezpieczyć się nie może, bo ani większych zapasów gotówki utrzymać nie może, ani też przynajmniej nie zawsze może fundusz rezerwowy utrzymywać stale w papierach wartościowych [3].

VI.

Niezrozumienie właściwych zadań Stowarzyszeń spożywczych, obejmowanie zaraz w pierwszej chwili zbyt szerokiego zakresu działania, borgowanie, opieranie się na zbyt szczupłym kapitale, brak odpowiednich kierowników, niekiedy ograniczanie się na zbyt nielicznej grupie

---

[1] Zgórski »Siódmy Rocznik« etc. 1879, str. 9.

[2] Stowarzyszenie to zresztą istnieje po dziś dzień, ale rozwinęło się nieszczególnie, liczyło bowiem w r. 1905 129 członków z 200 udziałami na łączną kwotę 14.423 k. 76 h.

[3] *Związek* 1898, str. 187.

zawodowej, oto typowe wady Stowarzyszeń spożywczych w Galicyi, typowe zarazem przyczyny tak licznych ich upadków.

Powiadają, że po trupach dochodzi się do zwycięstwa. Atoli u nas liczba tych trupów zdaje się jeszcze nie zamknięta, a chwila zwycięstwa nie blizka. Przynajmniej wielka liczba Stowarzyszeń, obecnie istniejących, wykazuje te same pewnie wady, które wykazywały Stowarzyszenia obecnie już nie istniejące, choć zdarzają się co prawda w tym kierunku i chwalebne wyjątki.

Jednem z bardzo nielicznych Stowarzyszeń spożywczych w Galicyi, które jak dotychczas dodatnie wykazuje rezultaty, jest Stowarzyszenie kolejarzy »Samopomoc« w Nowym Sączu. Nie jest to pierwsza próba tego rodzaju w Nowym Sączu. Owszem N. Sącz był wedle statystyki Związku Stowarzyszeń niezwykle częstem polem prób tworzenia Stowarzyszeń spożywczych, które jednak wszystkie bez wyjątku zakończyły się likwidacyą. Tak zlikwidowało się tu w r. 1886 »Tow. spożywcze« w r. 1887, »Spółka spożywczo-oszczędn. kolejowa« w r. 1896, »Spółka handlowa Tow. kółek roln. w r. 1898, »Chrześć. spółka handlowa«. Mimo tak licznych niepowodzeń jednak, nie ustawano w dalszych usiłowaniach.

Przypisać to należy bezwątpienia ogólnemu układowi stosunków społecznych w Nowym Sączu. Nowy Sącz jest siedzibą warsztatów kolejowych, stąd też liczba robotników-spożywców o stałych, lecz nie wielkich dochodach, a przytem ściśle ze sobą zsolidaryzowanych jest tu stosunkowo znaczną, wszystkie stosunki, które zasadniczo sprzyjają rozwojowi zrzeszenia spożywczego.

Wspomniane wyżej Stowarzyszenie nowo-sandeckie zawiązane w kwietniu 1898 r. liczyło:

w końcu r.	1898/9	46	członków z kap. udział.	1.370 K — h.
	1900	85	» »	3.452 » 36 »
	1901	87	» »	3.988 » 28 »
	1902	93	» »	4.427 » 28 »
	1903	123	» »	5.454 » 63 »
	1904	141	» »	6.092 » 88 »
14. XII	1905	143	» »	6.219 » 03 »

Suma rocznej sprzedaży wzrasta dość szybko, gdy bowiem:

	w r.	1902	utargowano	42.921 K 14 h.
to	»	1903	»	56.209 » 41 »
	»	1904	»	96.456 » 98 »
a za 11 miesięcy		1905	»	98.190 » 89 »

Rok bieżący, włączając najruchliwszy miesiąc grudzień, dał zdaniem lustratora Związku Stowarzyszeń, zar. i gosp. obrotu sto kilkanaście tysięcy koron.

Zysk brutto na towarach wynosił:

w r. 1902	K 3.988	h. 78	czyli	9·3%	targu
1903	» 5.179	» 53	»	9·2%	»
1904	» 5.530	» 76	»	6·8%	»

Względne obniżanie się zysku w ostatnim roku (z 9·2% na 6·8%, przypisać należy parciu, jakie wywierają członkowie Stowarzyszenia na zarząd, aby towary, sprzedawane w sklepikach, nie tylko były w najlepszym gatunku, lecz i aby sprzedawane były koniecznie znacznie taniej niż w sklepach konkurencyjnych, co stanowi bezwątpienia zjawisko ujemne.

Wprawdzie spółka, dając towary w dobrym gatnnku i taniej, niż konkurencya, stała się regulatorem cen w kolonii kolejowej i osiągnęła pod tym względem na tyle dodatni rezultat, że na ogół ceny produktów w kolonii kolejowej są nawet niższe, niż w mieście, gdy przed pozyskaniem przez »Samopomoc« wpływu, stosunek ten był wprost odwrotny, lecz z drugiej strony zapewniając wszystkim, a więc zarówno nie członkom jak i członkom korzyść, traci »Samopomoc« tę siłę przyciągającą, ten magnes, jakiby miała, gdyby ceny produktów równały się cenom konkurencyjnych sklepów, a za to cały znaczny zysk skrystalizowany, uwidoczniony w końcu roku, czy to w wysokiej dywidendzie, czy lepiej w znacznym opuście unaoczniał wszystkim korzyść należenia do spółki.

Spółka ta mogłaby i powinnaby przecież dążyć do tego, aby zgrupować koło siebie i pozyskać na członków wszystkich robotników kolejowych a wtedy liczba członków wynosiłaby nie półtora sta, lecz półtora tysiąca, a obroty ze 100.000 kor. podniosłyby się do miliona rocznie. Wtedy spółka mogłaby zapewnić swym członkom jeszcze znacznie większe korzyści, niż dotychczas i rozszerzyć zakres swego działania nie tylko przez utworzenie własnych jatek i piekarni, o czem myślą już dziś członkowie, lecz na wiele jeszcze innych działów.

Wobec tego, że każdy z członków ma prawo korzystać i korzysta z kredytu, stało się rzeczą konieczną skrupulatne dobieranie członków, którzy pod względem moralnym i materyalnym dają gwarancyę, że spłacą dług zaciągnięty.

Zarząd musiał wskutek tego postępować i postępował bardzo

ostrożnie, a karta zgłoszenia się na członka, była przedmiotem szczegółowych obrad i dyskusyi, i o ile tylko były wątpliwości co do zalet moralnych lub możności spłacenia długu, zgłoszenie było bezwzględnie odrzucane. To też na ogół długi towarowe, zaciągnięte przez członków w ciągu miesiąca spłacane są dobrowolnie i dość akuratnie.

Komisya z trzech członków zarządu i kontroli, zamyka kredyt tym z członków, którzy bez podania przyczyn, zasługujących na uwzględnienie, nie spłacą w ciągu pięciu dniu należności z poprzedniego miesiąca, a skutek tego zarządzenia jest bezwarunkowo dodatni.

Względy ostrożności, wobec udzielanych członkom kredytów, powodowały też, że przyjmowano na członków tylko tych, którzy byli w możności oprócz wpisowego 1 korony wpłacić od razu pełny udział K. 50, a już co najmniej K. 20, a resztę w ratach miesięcznych do końca roku.

Spółka napotyka zresztą w swem praktycznem działaniu na różne inne trudności, typowe dla naszych stosunków. Trudność polega przedewszystkiem na tem, że niewielu tylko jest robotników, którzyby mogli zapłacić cały udział, a przedewszystkiem zerwać stosunki z kupcami, u których towar brali dotychczas na kredyt. Jeśli przestaną tam brać towary w tej chwili wierzyciel ich skarży i zmusza do pozostania z nimi w stosunku handlowym.

Obrót towarowy w spółce bardzo szybki. Na sto kilkanaście tysięcy koron rocznego targu cały zapas towarowy wynosił z dniem 31/XII 1904 r. zaledwie K 5.426.38, czyli że przeciętnie prawie dwa razy na miesiąc odnawia się cały zapas.

Co miesiąc zestawiany jest przez zarząd bilans surowy i sprawozdanie, które jest przedmiotem wyczerpującej dyskusyi na wspólnych posiedzeniach zarządu i komisyi rewizyjnej. Co pół roku zestawiane są inwentarze z natury przez zarząd i komisyę rewizyjną. Towar oceniany jest szczegółowo według faktur bez doliczania dostawy, towar zleżały szacuje się niżej według rzeczywistej wartości.

Faktury za towary płacone są zaraz przy odbiorze towaru lub przy końcu miesiąca, tak, że w dniu zestawienia bilansu spółka nic nie jest winna dostawcom.

Członkowie, należności za pobrane w ciągu miesiąca towary, spłacają w dniach 1 do 8-go następnego miesiąca oprócz robotników prowizorycznych, którzy otrzymują pensyę 15-go a płacą 21-go.

Najwyższy dług za pobrane towary wynosi u poszczególnego członka 150 K. zwykle 60 do 90 K.

Członkowie zarządu i komisyi kontrolującej, pracują dla wspólnego dobra bezpłatnie, a ta ich praca jest rzeczywistą i gorliwą.

Codziennie dwa razy (w godzinach obiadowych i wieczornych) urzęduje dwóch dyżurnych z zarządu i jeden z komisyi rewizyjnej. Codziennie wydzielane są pod kontrolą ze składu do sklepiku towary, obliczane przy udziale delegata komisyi rewizyjnej bloczki kasowe i kredytowe i odbierany dochód dzienny, sporządzane zamówienia na towary, codziennie zapisywane są wszystkie pozycye do księgi kasowej, likwidacyjnej, fakturowej, na arkusze kredytowe członków, zaś miesięcznie do księgi dłużników towarowych i zestawiane rachunki dla członków oraz bilans surowy. Zysk na r. 1904 rozdzielono członkom na dywidendę od udziałów (1870) 1.644. 70 K.

członkom na rabat towarów (1·35%)	K	1.044·70
remuneracye dla zarządu	»	350
» » komisyi	»	150
» » panien	»	90
na fundusz budowy domu	»	1.169·56
» rezerwowy	»	237·15
na manko kasowe	»	10
na cele dobroczynne	»	250
razem . .	K	4.346·12

Odrzucono natomiast wniosek zarządu, by dywidendę rozdzielić w stosunku do wpłat za pobrane towary, a od udziałów dać tylko 4 do 5% (zamiast 18%), a w uchwale tej ujawniać się poczyna pewne zboczenie od idei roczdalskiej.

Stowarzyszenie nowo-sandeckie dzierży prym między Stowarzyszeniami spożywczemi, obecnie w Galicyi istniejącemi i jakkolwiek i tu nie wszystko jest idealne, to jednak na ogół sytuacya w tem Stowarzyszeniu przedstawia się o wiele lepiej, niż w całym szeregu innych Stowarzyszeń.

Oto kilka dat w tym względzie.

Towarzystwo handlowe w Birczy, założone w r. 1894, składało się w chwili swego założenia z 33 członków, nie zainteresowanych w wybitniejszej mierze w materyalnych wynikach Stowarzyszenia i nie posiadających w swem gronie ludzi o fachowem wykształceniu.

Kapitał zakładowy wynosił:

w udziałach	K	1.535·48
w funduszu rezerwowym	»	137·00
razem . .	K	1.662·48

Wskutek tak małych środków, nie zorganizowano sklepu należycie, a jedynym funkcyonaryuszem był chłopiec prawie niepiśmienny, były pastuch, z płacą 29 K. miesięcznie. Obecna sytuacya nie jest dużo w tym kierunku odmienną, stąd też i rachunkowość przedstawia się bardzo nieszczególnie. Towary (prawie wyłącznie artykuły spożywcze), sprowadza się przeważnie od kupców drobiazgowych z Przemyśla, Tarnowa, z wyjątkiem słoniny i szmalcu, sprowadzanych od hurtowników węgierskich.

Stąd też korzyści dla spożywców nie są szczególne (znów z wyjątkiem słoniny i szmalcu istotnie tutaj ogólnie poszukiwanej), jakkolwiek pole działania wobec lichwiarskich cen detalicznych jest bardzo poważne. Ceny cokolwiek tylko niższe od miejscowych, stałe i dla wszystkich nabywców jednolite.

Obrót wzrasta powoli.

Towarów sprzedano:

w r. 1899	. . . . .	na K 19.007·60
1900	. . . . .	» » 24.838·98
1001	. . . . .	» » 25.608·65
1902	. . . . .	» » 26.707·91

Dywidenda od udziałów bardzo znaczna, bo aż 10%-owa, mimo to nie ściąga więcej udziałów. Kredyt udzielony wynosi 5.227 K. 04, cały kapitał udziałowy zaś zaledwie 2.661 K. 90. h.

»Towarzystwo handlowe w Dębicy« ma wyrobioną reputacyę i stałą klientelę. Do odbiorców należą w szczególności także (obok publiczności miejscowej) dwory sąsiednie i wiele sklepów kółek rolniczych. Obroty znaczne, zyski skromne.

Głównymi artykułami sprzedaży są: sól, żelazo, nafta, nawozy sztuczne, mąka, krupy itp. Zapasy towaru na składzie będące są niekiedy zbyt wielkie tak, że z powodu dłuższego leżenia, tracą na wartości.

Towarzystwo ma mleczarnię parową, zostającą pod kierownictwem zakonnicy. Mleczarnia pod względem technicznym funkcyonuje doskonale, niestety jednak dostawy mleka są zbyt małe. W r. 1904 dostawiono 302.634 litrów mleka pełnego i 10.201 litrów śmietany. Z tego uzyskano oprócz sprzedanego mleka pełnego i śmietany w naturze 11.807 kg. masła i 9.000 kg. sera i masła, które zjednało sobie bardzo dobrą markę. Sprzedano w przecięciu po 2 K. 20 za kg., ser po 20 h. Tymczasem mleczarnia mogłaby bez żadnych trudności prze-

rabiać dziennie do 4.000 litrów mleka zwłaszcza, że ogólne koszta administracyi są te same przy przeróbce 500 litrów jak i 5000 litrów.

Normalnie rozwija się również Związek spożywczy w Podhajcach, założony w grudniu 1901 r. Roczna sprzedaż towarów wynosi około 60.000 K., a cały obrót kasowy 125.000 K. Członków 72 z udziałami na łączną kwotę 3,361. 80. Wierzytelności bardzo znaczne, dochodzą bowiem do kwoty 9.146.21. Dłużnicy oporni. Wierzytelności pochodzą głównie z pokoju do śniadań, przy sklepie istniejącym, powodują niejednokrotnie dotkliwy brak gotówki i trudność dopełniania zobowiązań, wynoszących z górą 151.000 K.

(C. d. n.)

Dr. Zygmunt Gargas.

Druk ukończono 30 sierpnia 1906 r.

SPIS RZECZY.

Artykuły naukowe i literackie.

Strona

Posłowie Ankiety. Przez *Redakcyę Przeglądu Powszechnego*. . . . . 1*—30*

Z naszych spraw społecznych: Książnice prowincyonalne w Galicyi. Przez *B. Grużewskiego* . . 1

Nowy projekt noweli do ustawy przemysłowej wobec terminatorów. Odczyt na społecznym kursie lwowskim. Przez *ks. Leonarda Lipkego T. J.* . 28

Okres rzymski w twórczości Mickiewicza. (Dok.) Przez *ks. Romualda Koppensa T. J.* 52

W Arabii Skalistej. Wrażenia z podróży roku 1905. (C. d.) Przez *ks. Władysława Szczepańskiego T. J.* . 67 196 285

Czterdziestolecie Elizy Orzeszkowej. Przez *Lucyana Rydla* . . . . . 1*—5*

Z twórczości francuskiego pastora. Przez *T. Wodzicką* 129 341

Z naszych spraw społecznych: Oświata i emigracya w naszym kraju. Przez *dr. Kaz. Wł. Kumanieckiego* 144

Bossuet i Fenelon. Przez *M. Paciorkiewicza* 160 306

Statystyka katolicyzmu w państwie rosyjskiem. Przez *ks. Jana Urbana T. J.* 183 328

Kwestye egzegetyczne w ostatnich dziesięciu latach. Przez *ks. Alberta Condamina T. J.* 267

Str.

JOLANTA. Poemat dramatyczny w 1 akcie. Edward Leszczyński. *(Dr. A. B.)* 394

NIEPOKALANA I POLSKA. *(A. B.)* 395

WYBRANA. Obraz sceniczny z dziejów powszechnych w pięciu aktach. Przez Ludwikę hr. Plater. *(Dr. A. B.)* 396

POSIEW KRWI. Wacław Żmudzki. *(T. W.)* 396

LES FLIBUSTIERS. Léon Fornel. Bibliothèque du petit Français. *(T. W.)* 397

POLSKI SOCYALIZM UTOPIJNY NA EMIGRACYI. Dwie rozprawy. Witołd Narkiewicz-Jodko i Szymon Dyksztajn. *(A. B.)* 398

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

LIPIEC.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Z wyborów belgijskich. — Sprawa Fogazzara. — Protest demokratycznej Ligi rzymskiej. — Z walki kulturnej we Francyi. — *Osservatore* w obronie rzezi? Przez *ks. Wiktora Wieckiego T. J.* 114

KURS SOCYALNY WE LWOWIE. Przez *d-ra Leopolda Caro* 122

SIERPIEŃ.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Obce głosy o misyonarzach katolickich. — Z dalszej walki o szkołę w Anglii.—Z życia holenderskiego.—Z obozu protestanckiego w Niemczech.—Nowa organizacya misyi w Kongo. Przez *ks. Wiktora Wieckiego T. J.* 242

STOWARZYSZENIA SPOŻYWCZE W GALICYI. Przez *d-ra Z. Gargasa* . . 250

WRZESIEŃ.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Z ruchu katolickiego we Włoszech. — Encyklika *Pieni l'animo.* — Z walki kulturnej we Francyi. — Dziwna konsekwencya. — List Piusa X do Arcybiskupa poznańskiego. Przez *ks. Wiktora Wieckiego T. J.* 399

STOWARZYSZENIA SPOŻYWCZE W GALICYI. (C. d.) Przez *d-ra Zygmunta Gargasa* 408

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: KS. JAN PAWELSKI T. J.